

POCHYŁE NIEBO

ĆMA

EWA CIELESZ



POCHYŁE NIEBO
ĆMA

EWA CIELESZ

Copyright © 2018 by Ewa Cieleś
Copyright for this edition © 2018 by Axis Mundi
REDAKCJA: Katarzyna Sosnowska, Marta Szelichowska
KOREKTA: Katarzyna Sosnowska
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska
PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: Radosław Maciejewski
SKŁAD: Positive Studio
WYDANIE I
ISBN OPRAWA BR: 978-83-64980-72-5
EAN OPRAWA BR: 9788364980725
ISBN E-BOOK: 978-83-64980-73-2

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ: Kamil Raczyński

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

Jechali przez warmińskie wzgórza. Z okien pociągu powinni widzieć niewysokie wzniesienia, liściaste lasy, plamy połyskliwych jezior i pola zieleńjące oziminą. Ale nie widzieli, ponieważ w towarowych wagonach nie było okien. Był za to smród i robactwo, głód, płacz dzieci i niepewność. Matka opowiadała o tym głosem przepelnionym goryczą. Jechali tygodniami. Babcia Anastazja, dziadek Franciszek i trójka ich dzieci: Stasio, Rozalia i Malwina, moja matka.

Przychodziłam tu często w drodze ze szkoły, kiedy miałam kilkanaście lat. Mijały mnie długie pociągi, a ja liczyłam: „szczęście, nieszczęście, paczka, list. Szczęście, nieszczęście, paczka, list...”. Gdy wagonów było coraz mniej, pomijałam słowo „nieszczęście”, żeby nie przypadło na ostatni wagon. To była taka wyliczanka. Wróżba.

Stojąca przy mnie matka uśmiechnęła się w zadumie i pokiwała smutno głową.

– Ja też tak liczyłam, gdy byłam młoda. Kiedyś wypadło „nieszczęście”, no i przydarzyło się...

– Wiem, mamó. Nie wracaj do tego. – Ścisnęłam dłoń matki opartą o balustradę dzielącą nas od torów.

Zatrzymali się w tym mieście, bo tu znajdowało się biuro dla repatriantów z Wileńszczyzny. Był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty, kwiecień. Dwa miesiące wcześniej mała wioska, w której Polacy nie mieli już czego szukać, zegnała ich śnieżycą i mrozem. Moja matka zapamiętała ten dzień boleśnie. Rozstawała się nie tylko z domem, w którym spędziła najlepsze lata, ale również ze swoją babcią, moją prababcią, Anitą. Wszyscy uważali, że babka nie przeżyłaby tej podróży, dlatego została na zawsze po tamtej stronie. Oczy matki, gdy o tym mówiła, szklily się podejrzanie. – U obcych – dodawała łzawo. Potem przyglądała mi się, jakby widziała mnie po raz pierwszy i wyjaśniała czule: – Odziedziczyłaś po niej urodę. I imię. – Na pewno wzruszyłabym się tym niespotykanym u niej ciepłem w oczach i głosie, gdybym nie wiedziała, że było przeznaczone dla tamtej, nieznaney mi prababki Anity. – Tak bardzo jesteś do niej podobna – wzdychała, jakby żałowała, że stoję przed nią ja, nie ona.

W swoim albumie miała jedyne zdjęcie prababki. Czasem wpatrywałam się w nie i udawało mi się rozpoznać na starej sepiowej fotografii własne rysy.

Matka ruszyła powoli ścieżką wiodącą wzdłuż torów, snując dalej historię, którą znałam już na pamięć, lecz pozwoliłam jej mówić, bo wiedziałam, że w ten sposób może wrócić do przeszłości, za którą tęskniła.

No więc był kwiecień, a oni w grubych kufajkach, filcowych walonkach i kwiecistych wełnianych chustach, pod którymi zdążyły zalegnąć się wszy. Miejscowe dzieciaki wytykały ich palcami, śmiały się głośno i wyzywały od Ruskich, co było najbardziej upokarzające. Byli przecież Polakami, jak one, te zarozumiałe, paskudne dzieciaki z miasta. I przyjechali do swojego kraju, żeby żyć wśród swoich i umierać wśród swoich. Po tamtej stronie Bugu nie było już dla nich miejsca, choć zostawili tam dzieciństwo, młodość i historię zapisaną w pośpiesznie wykopanych wojennych grobach. Urzędnik z kopiowym ołówkiem za uchem był niecierpliwy. Za nimi stała jeszcze długa kolejka. Chciał ich wysłać do Zielonej Góry, ale dziadkowie nie chcieli się na to zgodzić. Moja babcia Anastazja kręciła na wszystko głową i przygryzała końce wełnianej chusty, zawiązanej ciasno pod brodą, choć na dworze było prawie dwadzieścia stopni.

– A co ja mam w mieście do roboty? – zapytał wreszcie dziadek. – Ja rolnik jestem. Nam potrzeba ziemi, gospodarki...

Urzędnik przejrzał kilka dokumentów i postukał palcem w jeden z nich. – Jest i gospodarka – rzekł po krótkim wahaniu. – Dwadzieścia kilometrów stąd. Może być?

Dziadek znów spojrzał na babcie, a ona pokiwała nareszcie głową.

Jechali wynajętą furmanką, trzymając na kolanach tobołki, żeby nie wysypały się na wyboistej drodze. Kiedy mijali wieś, słońce jeszcze stało na niebie wysoko, choć daleko, od zachodu zaczęły gromadzić się ciemne chmury. Gdy znaleźli się na miejscu, woźnica nie zsiadł z furmanki i przyglądał się, jak zabierają powiązane w koce i kapy tłumoki, układają je na ganku. Skończyli, a wtedy dziadek wyciągnął w jego kierunku pomięty banknot. Tamten machnął tylko ręką.

– Daj spokój, człowieku. Mało to będziecie mieli wydatków?

– Bóg zapłać, panie – mruknął dziadek i w podziękowaniu zdjął czapkę z głowy.

Furmanka odjechała, a babcia zaczęła rozbierać śpiesznie Stasia, najmłodszego syna, któremu spod chustki okutanej wokół głowy pot lał się strumieniami. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że chłopiec z powodu tego

przegrzania w ciągu dwóch kolejnych tygodni umrze na zapalenie płuc. Matka i ciocia Rozalia stały i z ciekawością rozglądały się po otoczeniu. Ale babcia nie pozwoliła im się gapić. Musiały czym prędzej zbierać tłumoki, bo siniejące niebo wyglądało groźnie. Ciocia Rozalia złapała jeden z pakunków i otworzywszy nogą drzwi, pierwsza weszła do środka. Moja matka, Malwina, podążyła za nią, tuląc do serca jakiś okopcony garnek. Za nimi szła babcia, prowadząc za rękę pochlipującego z głodu i zmęczenia mojego wujka, Stasia. Zanim dziadek zdążył przekroczyć próg, oni pierwsze wrażenie mieli już za sobą. Babcia złapała się za głowę i wybiegła z lamentem na zewnątrz.

– A jakże my tu mamy żyć? – wołała z rozpaczą. – Wołaj woźnicę! Wracamy!

Dziadek odsunął ją z przejścia i sam zlustrował wnętrze zdewastowanego i doszczętnie ograbionego domu.

– Wchodź do środka – powiedział ostro. – Nigdzie nie wracamy. Poradzimy sobie.

Babcia przestała płakać, bo wiedziała, że z mężem nie ma co dyskutować. W milczeniu zaczęła wnosić resztę bagaży, układała je jeden na drugim w sieni. Najmniejszy z nich rozsypała, wydobyla z niego wędzoną słoninę i grubo krojone pajdy chleba. Rozdzieliła między dzieci i siebie. Największy zaś kawałek wręczyła mężowi. Zaraz po tym oznajmiła, że nie mają nic więcej do jedzenia.

Matka w tym momencie opowieści zawsze milkła, jak teraz. Słysząc było tylko żwir chrzęszczący pod naszymi butami. Było lato, ale słońce chyliło się już ku zachodowi i pierwszy chłód zakradał się pod cienką sukienkę.

Przyjechałam do niej, jak zwykle, w ostatnią sobotę miesiąca. Pierwsze lody po tym, co między nami zaszło, udało mi się przełamać zupełnie niedawno. Po mojej wyprowadzce z rodzinnego domu prawie się do mnie nie odzywała. Teraz wróciła równowaga, choć nigdy nie odzyskałam tego szczególnego rodzaju zaufania i miłości, którymi darzyła mnie wcześniej. Ale i tak, jak dawniej, przychodziliśmy tutaj, gdzie lubiła wracać do wspomnień. Moja pamięć związana z poniemieckim domem dziadków dawno się zatarła. Zresztą matka szybko wyszła za mąż i wyprowadziła się do miasta za torami. Zamieszkała w domu z czerwonej cegły wraz z nowo poślubionym mężem i jego rodzicami. Kiedy babcia Anastazja została sama, matka starała się ją sprowadzić do czerwonego domku, ale to się nigdy nie udało.

– Nie rozumiem babci – mówiłam. – Ja po tym wszystkim uciekałabym gdzie pieprz rośnie.

– Tylko, że ten pieprz dla babci nigdzie nie rósł – wyjaśniła matka. – Przywiązała się do swojego miejsca i nie chciała mieszkać ani z nami, ani z Rozalią. W końcu umarła tam, gdzie chciała.

– W tym samym pokoju co dziadek...

Zamyśliłam się. Babcia nie raz opowiadała o tragicznej śmierci dziadka. Wciąż mam tę scenę przed oczami, chociaż nie byłam świadkiem samego wydarzenia. To był grudniowy wieczór, niedługo przed świętami, na które planowały zjechać dorosłe już córki. Dziadek wrócił od leśniczego, u którego zamówił świeżą choinkę na wigilię. A że leśniczy lubił każde drzewko podlać, więc i dziadek miał trochę w czubie. Babcia podała mu spóźnioną kolację, potem usiadła na kanapie i cerując skarpetki, obserwowała go spod oka. Nie lubiła, gdy pił, bo stawał się bardzo gadatliwy, w dodatku nie szczędził jej przykrych słów. Nagle dziadek zakrztusił się. Początkowo mocno kaszał, ale po chwili wyglądało to naprawdę źle.

– Boże, Franiu, oddychaj! Pochyl się mocno! Głowa w dół! Oddychaj! – wołała przestraszona, zrywając się z kanapy i potykając o zawinięty róg chodnika. Dopadła jego pleców, w które zaczęła z całej siły tłuc pięścią.

Dziadek poczerwieniał. Talerz z jedzeniem, który trzymał na kolanach, zsunął się na podłogę i wywrócił do góry dnem. Przekrwione oczy wychodziły mu z orbit, gdy usiłował złapać haust powietrza. Chyba nie słyszał krzyku żony, nic do niego nie docierało. Babcia usiłowała zgiąć go wóół, niemal właziła mu na plecy, w które wciąż waliła pięścią, nie wiedząc, jak inaczej może mu pomóc. Po chwili spychała go z fotela, żeby upadł na brzuch i wykrztusił z siebie to, co nie pozwalało mu oddychać. Robiła, co mogła, choć widziała, że nie ma szans z dużym i bezwładnym ciałem męża.

Osunął się tylko trochę i zaczął charczeć jak zraniony pies. Zrozpaczona miotała się od drzwi do jego fotela i nie wiedziała, czy ma biec po pomoc do wsi, położonej dwa kilometry dalej, czy krzyczeć najgłośniej jak potrafiła. Zanurzyła palce w gardle męża i próbowała wydobyć kęs chleba, który mu tam utkwiał. Dziadek tymczasem siniał i łapał powietrze jak ryba. Babcia chwyciła kubek z resztką wystygłej herbaty i przystawiła mu do ust. Błagała przerażona, żeby pił, ale jedyną reakcją były świszczące, urywane dźwięki wrywające się mu z gardła.

– Kasłaj! Mocno kasłaj! – wołała histerycznie, jednocześnie otwierając okno.

Mroźne powietrze wtargnęło do środka, zawirowało drobinami śniegu, zbudzonego porywem wiatru, osiadło na jej twarzy.

Krzyczała w czarną otchłań, aż zabrakło jej sił, aż zrozumiała, że i tak nikt jej nie usłyszy. Odpowiedziało jej jedynie dalekie ujadanie psów. Staęła bezradnie nad mężem i patrzyła w nabiegłe krwią oczy, które już nie błagały o pomoc. Potem upadła wprost w rozgrzebane na podłodze resztki jedzenia, oparła głowę o nieruchome uda dziadka i szlochała bezgłośnie.

Od tej pory w starej poniemieckiej norze została zupełnie sama. To znaczy, tak myśleli wszyscy, prócz niej. W jej odczuciu duch dziadka wciąż jej towarzyszył i sędzę, że był to główny powód, dla którego nie chciała opuścić domu. Bo czyż mogła zostawić samego człowieka, z którym przeżyła tyle lat? Rozmawiała z nim, jakby stał obok, a na stole ustawiała zawsze dwa kubki do herbaty. Zwykle jeździłam do niej zimą, gdy była przerwa w szkole. Wzdrygałam się na te jej rytuały uklepywania dziadkowej poduszki przed snem, ustawiania talerza w miejscu, gdzie zwykł siadać, wydobywania z szafy niedzielnego garnituru przed wyjściem do kościoła. Bałam się nie tylko tego, co siedziało w jej umyśle, bałam się samej babci.

Dlatego też nie lubiłam wizyt u niej. Ciężka atmosfera starego domu przytłaczała. Namawiałam babcię do opuszczenia tego ponurego przybytku i przeprowadzki do nas. Ona jednak nie chciała o tym słyszeć. Pewnego dnia podzieliła los dziadka. Odtąd, dwa kilometry za wsią, wśród wysokiej nawłoci, która opanowała cały ogród, został stary, szaro tynkowany dom wypełniony westchnieniem umarłych, do którego nikt nie miał ochoty zaglądać.

Powinnyśmy już wracać – zauważyłam spoglądając na zegarek. – Pociąg mam za dwie godziny, a muszę jeszcze się spakować.

– Ech, wpadasz jak po ogień – westchnęła matka. – Znowu zostanę sama jak palec. Sonię byś kiedyś przywiozła, niedługo zapomnę, jak wnuczka wygląda.

– Sonia wyrosła już z wieku, kiedy mogłam ją gdziekolwiek zabrać. Zresztą, dziwi mnie twoja nagła tęsknota. Nigdy za nią nie przepadałaś.

– Bzdury opowiadasz. Kocham Sonię tak samo jak chłopców Reginy... A co tam u niej? Dawno do mnie nie zaglądała.

– Nie wiem. Nie widuję jej. I nie tęsknię.

– Siostry... Nie umiałam was wychować. Mam dwie córki, a wy jak ten pies z kotem. I tylko ty tu przyjeżdżasz.

– No widzisz, mamo...

– No widzisz, no widzisz... Nie zaczynaj znowu!

– Ja nic nie zaczynam.

– Ale to brzmi, jak wyrzut, a zdaje się, że wszystko już sobie wyjaśniłyśmy. Jak długo będziesz mi wypominać to, co się stało?

– Nie wypominam ci.

– Nie wypominasz? Tak ci się tylko wydaje. Ale nie mogłaś się powstrzymać i musiałaś powiedzieć: „No widzisz, mamo”. Widzę! Widzę i wiem. Zawzięta jesteś, jak twój ojciec.

– Mamo, proszę – powiedziałam zmęczonym głosem. – Nie wracajmy już do tego. Ja wszystko rozumiem.

– Ale wtedy nie rozumiałaś. Mnie nie rozumiałaś, jaki to wstyd przed całym miastem. Przecież mnie prawie wszyscy znali, bo co to za miasto, kilka tysięcy mieszkańców... A tu nagle siedemnastoletnia córka z brzuchem. I to z kim? Nie wiadomo z kim!

– Ja wiem, z kim – obruszyłam się.

– Tak, ty wiesz. I co z tego? Sonia do dzisiaj nie ma ojca, bo poszedł w siną dal – burczała ze złością.

– I za każdym razem będziesz to powtarzać? – zapytałam, siląc się na

obojętność. Odwróciłam wzrok. Nie chciałam, żeby zauważyła, że to tylko poza, że noszę w sobie bezmiar żalu i nie potrafię wybaczyć.

– Nie będę, nie będę – mruknęła zrzędliwie. – I tak nic się nie zmieni.

– Co ma się zmienić? Rozstaliśmy się i już – powtórzyłam, nie wiem który raz. Brnęłam w tę rozmowę, chociaż miałam świadomość, że prowadzi, jak zwykle, do kłótni.

– Boś głupia! Dziecko zrobił, trzeba było go trzymać za fraki! A tymczasem ani ojca, ani alimentów.

– Radzę sobie.

– Radzisz sobie. Pewnie, że radzisz. Tylko, gdyby Rozalia cię nie przygarnęła, to poszłabyś z dzieciakiem na zmarnowanie.

– Ale wtedy nie myślałaś o tym, prawda? Nie zastanawiałaś się, dokąd pójde. Gdyby nie ciocia... Ech, szkoda gadać. Ja nie zrobiłabym czegoś takiego swojemu dziecku. Nie wystawiłabym walizki za próg.

– Nie wiesz tego. Nie wiesz, bo nie byłaś w takiej sytuacji. Zobaczysz, jak ci Sonia z brzuchem przyjdzie.

– Jeśli przyjdzie, przekona się, że na mnie może liczyć. A ty też się przekonasz...

– Ja? O czym się przekonam?

– Mamo... – zaczęłam cicho. – Że można inaczej... Że kocha się nawet wtedy, gdy ktoś popełnia błędy. Zwłaszcza wtedy.

– Gadanie – burknęła i machnęła ręką. – Człowiek i tak zawsze na własnych błędach chce się uczyć, zamiast patrzeć na innych. A skoro pakuje się w kłopoty, niech ponosi konsekwencje.

Zamilkłam. Zdawałam sobie sprawę, że w matce nic się nie zmieniło. Gdyby sytuacja się powtórzyła, zrobiłaby to samo co kilkanaście lat temu.

Na dworzec szłam z uczuciem rozżalenia i straconego czasu. Przyjeżdżam tu, bo uważam to za swój obowiązek. Przyjeżdżam, ponieważ chcę mieć czyste sumienie, że nie zostawiam jej samej. Przyjeżdżam tu dla siebie, nie dla niej.

Biegłam na dworzec z duszą na ramieniu. Od matki wyszłam zbyt późno, a to był ostatni pasujący mi pociąg. Wprawdzie jutro niedziela, dzień wolny od pracy, ale nie chciałam spędzać go z matką, bo czekało mnie tu tylko utyskiwanie i wyrzuty.

Na peron wbiegłam w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem drzwi wagonów. Pociąg potoczył się gładko z cichym szumem, przywołał wspomnienie pierwszej samodzielnej podróży do Wrocławia, gdy wiozła mnie stara dusząca się lokomotywa. To było właśnie wtedy, gdy dowiedziałam się, że

w domu nie ma już dla mnie miejsca. Wspomnienie było bolesne, wracało jak bumerang.

Kończyło się lato. Babcia, ta druga, ze strony ojca, smażyła w kuchni powidła ze śliwek. Siedząc przy stole nakrytym ceratą, pozbawiałam je pestek. Niepokoiłam się, bo mój organizm uparcie sygnalizował zmiany, których nie chciałam przyjąć do wiadomości. Siedziałam spięta i wsłuchana w siebie, gdy babcia zagadnęła wesoło:

– I cóż ty taka milcząca jesteś? Wakacje się kończą, co? Za dwa dni do szkoły.

– Niestety – westchnęłam i skóra mi ścierpła. Nieznacznie dotknęłam brzucha i przymknęłam oczy. Boże – modliłam się bezgłośnie – niech to będzie jakaś choroba, wszystko jedno co, ale niech to nie będzie... Bałam się nawet w myślach wypowiadać to słowo, żeby nie wywołać wilka z lasu. Znałam matkę, nie była złą kobietą i potrafiła dać mi dużo ciepła, ale spodziewałam się, że w kwestii nieplanowanej, przedwczesnej ciąży, jeśli okaże się faktem, zrobi prawdziwe piekło. Bardzo liczyła się z opinią mieszkańców małego miasteczka i panicznie bała się plotek.

Kiedy pierwszy raz spóźniała mi się miesiączka, usprawiedliwiłam ten fakt stresem i wakacyjną zmianą klimatu. Nawet nie pomyślałam, że coś takiego mogłoby mi się przytrafić. W końcu to był pierwszy raz. Jeden, jedyny. Czy to możliwe, żeby właśnie wtedy to się stało?

– Boli cię coś? – wyrwała mnie z zadumy babcia. – Weź sobie jagódek ze słoika. To dobre na żołądek.

– Nie, babciu. Nic mnie nie boli. Wszystko w porządku – odparłam szybko i dorzuciłam przebrane owoce do wielkiego garnka. Po kuchni rozszedł się intensywny zapach.

– To ile ci jeszcze tej szkoły zostało? W tym roku matura, prawda? – zagadywała, mieszając powidła drewnianą łyżką.

– Tak, matura – powiedziałam zdławionym głosem, bo znów obleciał mnie strach.

– Nie martw się, zdasz. – Spojrzała wzrokiem pełnym miłości. – Mądra jesteś, poradzisz sobie. Niepotrzebne te nerwy, naprawdę.

– Wiem, babciu – odparłam, uśmiechając się blado. Odłożyłam nożyk i

odsunęłam pustą miskę. – Skończyłam już. Pójdę do siebie.

– Dobrze się czujesz? – patrzyła podejrzliwie. – Na pewno?

– Na pewno. Idę poczytać. – Podeszłam do niej i pocałowałam w policzek. Był rozgrzany parą unoszącą się z garnka.

Poczekam jeszcze kilka dni, może wszystko wróci do normy – myślałam w zaciszu swojego pokoju i dotykałam co chwilę brzucha, jakbym chciała przypomnieć mu, że nie spełnia swojej comiesięcznej powinności. Kilka tygodni temu zaczęłam się niepokoić, ale teraz żyłam w prawdziwym strachu, dręczona rzeczywistością, przed którą nie mogłam uciec. Jeśli proces bycia matką się zaczął, nie mogłam powiedzieć: przepraszam, moja wina, ale ja już nie chcę, rozmyślałam się. Zabierzcie to, co we mnie kiełkuje, a ja na przyszłość się poprawię. Nie umiałam wybaczyć sobie chwili słabości, która zaowocowała teraz lękiem przed naturą zmuszającą mnie do objęcia nowej roli, obarczającą owocem bezmyślności. Poczekam więc kilka dni, będę brała gorące kąpiele, skakała ze stołu i piła napar z laurowych liści. Pójdę do kościoła i będę umartwiać się na kolanach przed świętymi obrazami, obiecywać posty, wstrzemięźliwość i pokutę, byleby dobry Bóg odroczył macierzyństwo. Nie przypuszczałam, że te wszystkie sposoby, wyszeptywane w kątach szkolnego korytarza, staną się kiedyś moją receptą na udręczoną duszę.

Zwinęłam się na łóżku i zamknęłam oczy. Zza okna dobiegał czyjś śmiech, szczekanie psa, warkot przejeżdżającego motoru. Gdzieś w pokoju brzęczała mucha, w kuchni za ścianą poszczękiwały naczynia. Wsłuchiwałam się w to wszystko, uświadamiając sobie, że bez względu na to, co się we mnie dzieje, życie i tak potoczy się zwyczajnie, a świat się nie skończy. Poczekam więc jeszcze kilka dni, a potem o wszystkim powiem matce. O ognisku, butelce wina i o fascynującym młodym mężczyźnie, z którym przeżyłam najpiękniejsze chwile mojego życia, chociaż wiedziałam o nim tyle, ile mi powiedział. Nie liczę na zrozumienie, ale opowiem matce, bo mam zaledwie siedemnaście lat i sama nie umiem znaleźć rozwiązania.

Pierwszego września od rana świeciło słońce. Zapinałam granatową spódnicę i na moment nabrałam otuchy, bo wydawało się, że jest luźniejsza niż w czerwcu, gdy odbierałam świadectwo. Schudłam, a więc może to nie to, o czym obsesyjnie myślałam każdego dnia. A może schudłam właśnie dlatego, że zżerały mnie nerwy? Ale schudłam, bez względu na powód, więc jeszcze jest nadzieja, że brzuch mi nie urośnie, jeszcze poczekam, nie powiem... Zazdrościłam Reginie, która bez skrupułów opuściła dom, wyjechała do miasta, znalazła pracę i narzeczonego. Zawsze była odważniejsza ode mnie. Z góry

zapowiedziała, że po maturze więcej uczyć się nie będzie. Matka nie miała argumentów, gdy Regina, zatraskując drzwi, wykrzyczała, że będzie żyć tak, jak chce. Tylko ojciec, człowiek nad wyraz łagodny po raz pierwszy zrobił to, co sam uważał za stosowne, nie pytając o zdanie żony. Udał się do banku, wyjął z książeczki swoje skromne oszczędności i wcisnął je mojej siostrze do ręki. Potem wymknął się tylnymi drzwiami i zniknął na cały dzień. Matka nie powiedziała na to ani słowa. Być może nawet pochwaliła go w duchu i żałowała, że jej samej nie było stać na taki gest. Ale to tylko domysły, bo nigdy o tym nie rozmawiali. Trzy miesiące po wyjeździe Reginy ojca zabrała karetka. Ze szpitala nigdy już nie wrócił. Pochowałyśmy go w kwietniowy poranek tuż obok dziadka. Nad grobem nieprzyzwoicie wesoło świergotały ptaki. A my płakałyśmy. Trzy samotne kobiety z czerwonego domu.

Na początku listopada przestałam się łudzić. Wszystkie spodnie wylądowały na dnie szafy, a ja, tuszując zaokrąglający się brzusek, zaczęłam nosić rozwleczone swetry i spódnice na gumkach. Do łazienki przemykałam w obszernych nocnych koszulach, nie nosiłam już kusych piżamek. I wciąż się bałam, że matka wreszcie zobaczy to, co tak bardzo chciałam ukryć przed nią i całym światem. Większość czasu spędzałam w moim pokoju pod pretekstem, że się uczę. Dzięki temu uśpiłam na pewien czas jej czujność. Niestety, nie na długo. Wychowawczynie wezwała ją, gdy przestałam ćwiczyć na wf-ie. Przez dwie godziny nieobecności matki przeżywałam katusze.

Babcia piekła drożdżowe bułeczki, a ja siedząc na ulubionym okiennym parapecie, wyskubywałam z nich kruszonkę, gdy pąsowa ze złości matka wpadła do kuchni.

– Do pokoju! – krzyknęła i palcem wskazała drzwi, żebym przypadkiem nie pomyliła drogi.

Zdumiona babcia zastygła nad blachą, którą miała właśnie wstawić do piekarnika. Ale matka nie zamierzała jej niczego tłumaczyć. Popchnęła mnie mocno przed sobą, aż się zachwiałam. Opanowania wystarczyło jej jedynie na tyle, by dokładnie zamknąć za sobą drzwi.

– Mów! – wrzasnęła, a ja skuliłam się z przerażenia. – Kto to jest?! – Ponieważ milczałam, postawiła bardziej konkretne pytanie: – Kto jest ojcem? Mów!

Z nerwów skurczył mi się żołądek, ale wolałam nadal milczeć, niż przyznać się do chwilowej letniej znajomości.

– Nie powiesz? – zasyczała.

Ze strachu ścisnęło mnie w dołku i zrobiło mi się słabo. Oparłam się o poręcz

krzesła i wstrzymałam oddech. Chyba zauważyła, że zbladłam, bo kazała mi usiąść.

– Nie powiesz? – powtórzyła, nachylając nade mną wykrzywioną złością twarz.

– Nie – odparłam i zacisnęłam pięści.

– Boże, taki wstyd – załkała nagle. – Jak mogłaś mi to zrobić?! Cała szkoła aż huczy! Siedemnaście lat! Matura na karku! Matura! Jaka matura?! Kazali mi zabierać cię ze szkoły! Mów, kto jest ojcem! Mów!

Podbiegła do mnie i zaczęła szarpać mnie za ramiona.

– Powiesz wreszcie czy nie?! – wrzeszczała.

– Nie – powtórzyłam z uporem.

Pierwszy raz w życiu dostałam w twarz. Policzek palił, ale powstrzymałam się przed rozmasowaniem go chłodną dłonią. Niech patrzy jak płonie od uderzenia. Niech poczuje się winna. Ale ona nie zamierzała mi się przyglądać. Wybiegła z pokoju, by po chwili wrócić z wielką walizką.

– Masz, pakuj się! Wynoś się do niego! Umiał zrobić dzieciaka, niech się teraz nim zajmie! I tobą też!

Drżącymi z nerwów rękami przetrząsała torebkę, z portfela wyjęła jakieś banknoty, które wrzuciła do walizki. Potem znów wybiegła z pokoju. Zza drzwi słyszałam, jak babcia staje w mojej obronie, jak stara się najpierw uspokoić matkę, wreszcie nie wytrzymuje.

– Obyś jednej nocy nie przespała spokojnie! Podła kobieto! – krzyczała, aż trzęsły się mury. Nigdy wcześniej nie słyszałam podniesionego głosu babci.

– Nie wtrącaj się! – darła się matka. – Nie wtrącaj się, rozumiesz?! Nie twoja sprawa!

Babcia zamilkła i w całym domu zapadła cisza. Siedziałam struchlęła na krześle, niezdolna do żadnego ruchu i gapiłam się na walizkę, bo wciąż nie docierało do mnie, że za chwilę wypełnią ją moje rzeczy, które będą odtąd wszystkim, co posiadam. Nie zastanawiałam się, dokąd pójdę. Nie potrafiłam myśleć nawet o najbliższej godzinie, cóż dopiero o reszcie życia. Łudziłam się jeszcze, że matka się opamięta, wejdzie do mojego pokoju, przytuli mnie i powie, że to nic, jakoś to będzie. Czekałam z zapartym tchem, ale nic takiego się nie stało. W domu nadal panowała cisza. Może pójść do niej, przeprosić, kajać się i błagać o wybaczenie? Ale co właściwie miała mi wybaczyć? Moją bezmyślność? To ja ponoszę jej konsekwencje, więc jeśli sama sobie nie wybaczę, ona nie ma nic do tego. Po awanturze, jaką zrobiła, honor nie pozwalał mi tu pozostać. Nie umiałabym już żyć z nią pod jednym dachem. Jak automat,

ze ściśniętym gardłem, wyjmowałam z szafy ubrania i układałam je w walizce. Pachniały niepowtarzalnością tego domu, bo każdy dom ma przecież inny zapach. Jak długo przetrwa w dzierganych wieczorami wełnianych swetrach? Wtuliłam twarz w miękki pulower i rozplakałam się bezgłośnie. Drzwi lekko skrzypnęły. Podniosłam z nadzieją głowę, ale to tylko kot przyszedł, by jak zwykle wylegiwać się na swojej ulubionej poduszce. Otarł się o mnie pyszczkiem i z cichym miauknięciem wskoczył na łóżko. Patrzyłam na niego i zazdrościłam mu tego spokoju, tej małej kociej stabilizacji. Otworzyłam szuflady biurka, wyjęłam notes, kilka długopisów. Zdjęcie matki oprawione w tekturową ramkę po krótkim namyśle wrzuciłam z powrotem do szuflady. Do walizki dołożyłam jeszcze ulubiony tomik poezji i zasunęłam zamki. Potem rozejrzałam się po pokoju. To wszystko. Walizkę wyniosłam do przedpokoju i powoli zaczęłam się ubierać. Szalik, beret, buty... Babcia pojawiła się bezszelestnie. Wzięła mnie w ramiona i przycisnęła mocno do siebie. Ogarnął mnie zapach mięty i naftaliny, który od najwcześniejszego dzieciństwa kojarzył mi się z nią i bezpieczeństwem. Stałyśmy tak po cichutku, krojąc się wzajemnie łzami, dopóki nie usłyszałyśmy szurnięcia krzesła dobiegającego z pokoju matki. Babcia oderwała się ode mnie, pośpiesznie narysowała kciukiem krzyż na moim czole, wsunęła coś do kieszeni kurtki i umknęła do siebie. Czekałam jeszcze chwilę w nadziei, że matka przyjdzie, wyjmie z moich rąk walizkę, jak dawniej pocałuje w czoło. Ale ona siedziała przyczajona za drzwiami, bez jednego szmeru, jakby też czekała. Zawahałam się, czy wejść do pokoju, żeby ją pożegnać. Nie zrobiłam tego. Kiedy poczułam wieczorny chłód w otwartych drzwiach domu z czerwonej cegły, wiedziałam, że klamka zapadła.

Szłam przed siebie cichą uliczką, zupełnie nie znałam celu swojej podróży. Matka myślała, że to takie proste, że drzwi ojca mojego dziecka staną przede mną otworem, a on zapewni mi to, co sama mi odebrała. Dom i rodzinne szczęście. Nie miała pojęcia, że moja wiedza o tym człowieku ogranicza się do szczątkowych informacji, jakie udało mi się zapamiętać z wakacyjnych rozmów: Dawid Marczak, nie wiadomo skąd, niewiele starszy ode mnie, ale już pracujący, syn twardego żołnierza i łagodnej, dobrze wykształconej kury domowej. Jedynek. Wielbiciel przygód i górskich wędrówek. Uroczy lekkoduch, lecz kiedy trzeba, może być bardzo stanowczy. Poza tym fascynujący.

Zupełnie bezwiednie skierowałam kroki do domu Moniki, koleżanki z klasy. Nie miałam prawdziwej przyjaciółki, ale z Moniką dobrze się rozumiałyśmy. Pomyślałam, że po nocy, którą spędzę u niej, matka skruszeje i pozwoli mi wrócić do domu. Otworzyła jej młodsza siostra, która nie poświęcając mi żadnej

uwagi, zostawiła mnie w otwartych drzwiach i pobiegła do kuchni. Nie bardzo wiedziałam, jak powinnam się zachować. Wejść czy może czekać, aż ktoś przyjdzie i zaprosi mnie do środka? Na szczęście Monika wyjrzała ze swojego pokoju.

– O! – zdziwiła się na mój widok. – Anita... Chodź, co tak stoisz? – Omiotła wzrokiem mój bagaż, ale nie skomentowała ani słowem. Pokój Moniki był mały, dlatego stanęłam w progu, zastanawiając się, gdzie upchnąć walizę, żeby nie zawadzała. W końcu zostawiłam ją przy drzwiach i usiadłam na brzegu tapczanu. Czułam się nieswojo, bo Monika nie wyglądała na zachwyconą.

– Napijesz się herbaty? – zapytała uprzejmie, lecz w jej głosie i ruchach wyczułam jakąś nerwowość i zniecierpliwienie.

– Nie, dziękuję... Monika... – zaczęłam, ale patrząc na wyraz jej twarzy, nie miałam odwagi wyjawic, z czym przyszłam. Ona natomiast wcale nie zamierzała mi pomóc.

– Zdobyłam płytę tego szwedzkiego zespołu, popatrz – paplała, byle coś powiedzieć, złapać jakiś temat, którym nie byłaby moja ciąża, mój problem. Wydobyła z szuflady pocztówkę dźwiękową z napisem ABBA i podsunęła mi ją pod nos. – Słuchałaś już?

Ledwie rzuciłam okiem.

– Monika, mogłabym zatrzymać się u ciebie na jedną noc? – zdobyłam się na pytanie i wstrzymałam oddech, jakbym czekała na wyrok.

Przez chwilę milczała wymownie.

– Tutaj? – bąknęła. – Sama nie wiem... Ja nie mam miejsca... Musiałabym zapytać mamy – kręciła, ale nie ruszyła się wcale.

– Jeśli to taki kłopot, trudno, poszukam gdzie indziej – wycofałam się. – Zajrzę do Małgosi...

– Tak – ożywiła się natychmiast i zerwała się z tapczanu. – Gośka ma w pokoju wersalkę, to się u niej zmieścisz. Na pewno pozwoli ci się przekimac. Ja bym cię przyjęła, ale wiesz, mama... – tłumaczyła się, chociaż nawet nie zapytała matki o zdanie.

Wstałam z westchnieniem i sięgnęłam po walizkę.

– No to cześć, trzymaj się – rzuciłam z bladym uśmiechem.

– Cześć, wpadnij jeszcze kiedyś – powiedziała bez przekonania i zatrzasnęła za mną drzwi.

Wieczorny chłód wdzierał się pod poły jesiennego płaszcza, kiedy szybkim krokiem zmierzałam na osiedle betonowych bloków. W jednym z nich mieszkała Małgosia. Zawsze była dla wszystkich serdeczna, dlatego liczyłam, że

mnie przygarnie. Z okien mieszkań padały smugi światła, które boleśnie przypominały o tym, że nie mam już domu. Znowż żal chwycił za gardło, wycisnął łzy. Zbliżałam się do domu Małgosi, więc musiałam wziąć się w garść.

Echo odpowiadało moim krokom, gdy szłam po schodach na drugie piętro. Dzwonek zabrzmiał ostro, wrzynając się w ciszę pustej klatki schodowej. Drzwi otworzyła matka Małgosi. Na mój widok cofnęła się nieznacznie, rzuciła okiem na walizkę i uśmiechnęła się nieszczercze.

– Wyjeżdżasz – raczej stwierdziła, niż zapytała. – Masz rację, w twojej sytuacji to najlepsza decyzja. To małe miasto, co się będziesz ludziom na oczy pchała... Małgosia w łazience, kąpie się. Powiem jej, że byłaś się pożegnać. No... Powodzenia, muszę zamykać, zimno z klatki ciągnie.

Machnęła drzwiami tak, że gdybym się nie odsunęła, przycięłaby mi czubek nosa. Nie zdążyłam powiedzieć choćby jednego słowa. Zrozumiałam, że wśród koleżanek nie znajdę pomocy. Nawet, gdyby któraś z nich się zgodziła, natychmiast zaprotestuje jej matka, broniąc reputacji córki. Bo potem ludzie na mieście będą gadać...

Taszcząc ciężką walizę, bezwiednie dotarłam na dworzec. Bardziej niż zamiar kierowała mną intuicja. Stałam pod ścianą i bezmyślnie przesuwałam wzrokiem po tablicy z rozkładem jazdy. Zatrzymałam się na Wrocławiu, bo przez myśl przemknęła mi ciotka Rozalia, która dawno temu znalazła tam miejsce dla siebie. Była jedyną osobą z najbliższej rodziny, u której mogłabym szukać pomocy, więc właściwie nie miałam wyboru. Poza tym mieszkała tam również Regina.

Pieniądze od matki zostały na dnie walizki, sięgnęłam więc do kieszeni i przeliczyłam to, co podarowała mi babcia. Zanim ustawiłam się w kolejce, wyszłam przed budynek i raz jeszcze rzuciłam okiem na miasteczko, z którym wiązało się moje dotychczasowe życie. Żałowałam, że się z nim rozstaję, chociaż spotkał mnie tu zawód. W tej chwili jednak żal mi było przede wszystkim siebie, tylko siebie. Przełknęłam łzy i wróciłam po bilet. Trudno, trzeba zamknąć ten rozdział i zacząć wszystko od nowa. Z człowiekiem pod sercem. Z ciotką, która jeszcze o niczym nie wie.

Mały kartonik w dłoni, który kosztował prawie całą zawartość kieszeni, nagle dodał mi energii, wiary w lepsze jutro. W jednej sekundzie stałam się inna, choć wyglądałam tak samo. Opuściła mnie rezygnacja, poczułam się silniejsza. Być może to chwilowa euforia, dająca nadzieję, że wszystko jeszcze się ułoży, że wyjazd z rodzinnego miasta i opuszczenie domu nie jest równoznaczne ze śmiercią. Coś jeszcze mnie czeka. To, co przeżywam teraz, jutro nie będzie miało żadnego znaczenia. Po kilku godzinach obudzę się w innym mieście i wszystko stanie się inne.

W przepełnionym przedziale, gdy pociąg ruszał z peronu, znów dopadł mnie żal. Udałam sama przed sobą, że nie słyszę jego rozdzierającego krzyku, nie czuję, jak rozrywa mnie na kawałki, pożera. Zasnęłam, otulona koszmaremi przerywanymi nadzieją, że z każdą minutą jestem dalej od tamtej siebie, że jutro jej już nie będzie.

Nad ranem pociąg wtoczył się na wrocławski dworzec. Oszołomił mnie tłum wysypujących się z wagonów pasażerów, hałas i ogólny pośpiech. Stałam zdezorientowana, omiatana lodowatym przeciągiem hulającym po peronie i nie

pamiętałam, w którą stronę powinnam się udać. Ruszyłam więc za innymi. W poczekalni śmierdziało potem i gotowaną kapustą. Rozciągnięci na drewnianych ławkach bezdomni pochrapywali przez półotwarte usta, a stłoczeni pod ścianami podróżni dosypiali, siedząc na własnych walizkach. Pod kopułą budynku tkwiły nieruchomo gołębie z dziobami wtulonymi w skrzydła. Na zewnątrz niebo było jeszcze szare, a na zgniłych trawnikach ścieliły się resztki mgły. Ulice były opustoszałe. Na pobliskim przystanku ze zgrzytem zatrzymał się tramwaj. Niewygodna walizka nie pozwoliła mi do niego podbiec, mimo że stałam niedaleko. Dworcowy zegar wskazywał piątą czterdzieści. Nie musiałam więc się śpieszyć. Ciocia Rozalia z pewnością jeszcze śpi. Na myśl o niej znów poczułam ucisk w dołku. Będzie zaskoczona moim przyjazdem, a cóż dopiero informacją, że chcę zostać na dłużej. Nadjechał kolejny tramwaj. Wtасzczyłam walizkę i zajęłam wolne miejsce przy oknie. Musiałam uważnie obserwować trasę, żeby wysiąść na właściwym przystanku. Gdzieś w tym mieście mieszkała również Regina, ale dotąd nie kwapiła się z podaniem swojego adresu. Pewnie nie chciała, by odwiedzała ją matka. Przyglądałam się starym kamienicom i, może na wyrost, ale odczuwałam dumę, że zamieszkam w tak pięknym, wielkim mieście. Na każdym przystanku odrywałam wzrok od okna i rozglądałam się jak płochliwy zając, ponieważ jechałam na gapę. Wysiadłam przy ulicy Powstańców Śląskich, dalej szłam pieszo, drogę pamiętałam mgliście. Ciotka Rozalia mieszkała w starej kamienicy na ostatnim piętrze, a właściwie na strychu, zaadaptowanym na mieszkanie. Krążyłam po podwórkach, szukając numeru zapisanego w notesie. Napotkany mężczyzna z wiadrzem pełnym śmieci wskazał mi wreszcie drogę.

Do drzwi, które ktoś pod wpływem fantazji pomalował na czerwono, przymocowana była wizytówka z nazwiskiem ciotki. Ponieważ nigdy nie wyszła za mąż, na tabliczce widniało tylko jedno imię. Zapukałam i przycisnęłam dłoń do serca, które omal nie wyskoczyło z piersi. Odpowiedziała mi cisza. Zapukałam ponownie, już odważniej, ale na próżno. Ze środka nie docierał żaden dźwięk. Spojrzałam na zegarek. Była szósta trzydzieści. Przysiadłam na walizce, zastanawiając się, co dalej. Wtedy to poczułam. Delikatne drgnienie czegoś, co na pewno nie było mną. Zastygłam i zaczęłam wsłuchiwać się w swoje wnętrze, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że to dzieje się naprawdę. Noszę w sobie człowieka, który za kilka miesięcy zechce opuścić swój azyl i znajdzie się obok mnie. Będzie miał swoje potrzeby, a ja będę musiała im sprostać, bo będę jego matką. Bo jestem jego matką. Zerwałam się z walizki i położyłam obie dłonie na zaokrąglonym brzuchu, jakby to całe rodzicielstwo

dopiero teraz naprawdę do mnie dotarło. Zalała mnie fala nieznanego uczucia, jakiegoś bolesnego lęku przed tym dzieckiem, a jednocześnie strachu o nie. I o siebie. Tak, bałam się i to było jedyne uczucie, jakie mała istota, która zagnieździła się w moim brzuchu, zdołała we mnie wzbudzić. Stałam nieruchomo i czekałam na następny sygnał z jej świata. Nie nadszedł. Usłyszałam natomiast kroki na schodach. Im bardziej się zbliżały, tym większą czułam treść przed spotkaniem z ciotką Rozalią. Gorączkowo układałam w głowie wszystko, co powinnam jej powiedzieć. Żeby nie przestraszyć, nie zniechęcić, żeby zechciała mnie przygarnąć przynajmniej na jakiś czas, aż się tu zorganizuję, znajdę jakiś kąt, jakąś pracę.

Stała u szczytu schodów z małym psem uczeponym do smyczy, zadyszana, zaskoczona moim widokiem, zamieniona w jednej chwili w wielki znak zapytania.

– Ciociu – powiedziałam zwyczajnie, jakby w mojej głowie żadnej przemowy nie było. – Matka wyrzuciła mnie z domu. Jestem w ciąży.

Przez mansardowy pokój przebiegał chłód. Małe okna przepuszczały tyle światła co zimnego powietrza, zwłaszcza w porywach. Jedynym źródłem ogrzewania był olejowy piecyk na prąd, zaś mrok rozpraszały żarówki ukryte pod kloszami z mlecznego szkła. Lampy stały praktycznie wszędzie, zastępując tradycyjny żyrandol, którego tutaj, ze względu na lekko ukośny sufit, nie było. Czasem przez uchylone drzwi docierała z kuchni dodatkowa wiązka światła oraz dźwięki radia nadającego wiadomości, których ona lubiła słuchać. Przy gorszej pogodzie zagłuszał je tłukący o dach deszcz i gwizdzący w szczelinach wiatr. Oprócz pokoju przeznaczanego dla mnie, miałyśmy jeszcze jeden. Nazywałyśmy go salonem, choć na to miano w żaden sposób nie zasługiwał. Był niewiele większy od mojego i pełnił teraz funkcję sypialni ciotki, jadalni i pokoju gościnnego. – Tę ostatnią tylko w teorii, bo goście rzadko tu zaglądali.

Co wieczór piłyśmy ciepłe mleko na dobry sen. Potem i tak śniły mi się rozdarte koperty, uciekające pociągi i ostrza złych spojrzeń. Człowiek w moim brzuchu obracał się kilka razy i dostawał czkawki. Kolejny dzień zastawał mnie nad muszlą klozetową przy porannych mdłościach i toalecie, po której jak zwykle ubierałam się i szłam do sklepu po bułki. Każdego wieczoru zastanawialiśmy się, jak to zmienić.

Ciotka Rozalia nosiła długie, obszerne sukienki z miękkiej flaneli, a jej twarz zdobił enigmatyczny uśmiezek. Patrząc na nią, zastanawiałam się, co dzieje się w jej głowie. Była zupełnie inna niż moja matka. Bardzo opanowana, ważyła każde słowo, zanim je wypowiedziała. Jej oczy spoglądały uważnie, czasem ironicznie, co zwykle mnie onieśmielało. Swoje myśli zapisywała na tapecie w przedpokoju i pomimo remontów na przestrzeni lat, nigdy jej nie wymieniła. Żyłyśmy już miesiąc pod jednym dachem i co dzień odkrywałam w niej coś nowego. W pierwszych dwóch tygodniach przyzwyczajała się do mnie, ciągała po urzędach i przychodniach lekarskich, żeby wszelkim formalnościom stało się zadość. Czasem nie opowiadając się, wychodziła z domu, nieregularnie, o różnych godzinach. Każdego dnia zamykała się na kilka godzin w pokoju z zastrzeżeniem, żeby jej nie przeszkadzać. Maszyna do pisania nasuwała mi

podejrzenia, że pisze jakieś tajne książki, ale nie chciałam pytać, skoro sama milczała. Tak czy inaczej, poza niedzielami, które spędzałyśmy razem, resztę tygodnia miałam dla siebie. Ponad wszelką wątpliwość nie byłam ciotce potrzebna. Nie zamierzała niczego zmieniać w swym zorganizowanym życiu. Nie wtrącała się też w moje sprawy, jeśli nie widziała takiej potrzeby, pozwalając mi na ułożenie każdego dnia według własnej modły. Obserwowała mnie jednak dyskretnie i doskonale orientowała się, co się ze mną i we mnie dzieje. Jedyne w kwestii dalszej nauki była twarda i nieustępliwa. Nie pytając o zdanie, zapisała mnie do szkoły wieczorowej.

Ponieważ udzieliła mi gościny, starałam się być użyteczna. Dbałam o dom, omiatałam z kurzu kąty i gotowałam ciepłe posiłki, na których jej nie zależało. Wspólny obiad, późne kolacje po moim powrocie ze szkoły i rytuał wieczornego picia ciepłego mleka były jedynymi chwilami w ciągu dnia, gdy zamieniałyśmy ze sobą kilka słów. Zwykle dotyczyły one zmian, które mogłyby wzbogacić moją codzienność. Ciotka uważała, że marnuję młodość, pełniąc funkcję domowej gosposi. Przegadywałyśmy więc ten czas, nie dochodząc do żadnych konkluzji, ale ciotka uspokajała sumienie, że coś w tym kierunku zrobiła, pozostawiając w efekcie jedynie otwartą furtkę dla moich pomysłów. Tymczasem był koniec listopada, człowiek, którego nie pragnęłam, rósł w moim brzuchu i chcąc nie chcąc, musiałam pomyśleć o gromadzeniu dla niego wyprawki. Był rok siedemdziesiąty ósmy, w kraju ogarniętym kryzysem niewiele można było kupić. Poza tym nie miałam swoich pieniędzy, a wstydziłam się obarczać ciotkę dodatkowymi wydatkami. Postanowiłam poszukać jakiejś pracy, co w mojej sytuacji było naprawdę trudnym wyzwaniem. Kto zechce zatrudnić dziewczynę bez wykształcenia, w dodatku w ciąży?

Tego wieczora ciotka podkręciła głośniej radio i przysiadła na kuchennym taborecie. Czekwała na swoje ulubione słuchowisko, nadawane raz w tygodniu o tej samej porze. Skorzystałam z okazji, że nie jest niczym zajęta i stanęłam w drzwiach, opierając się o framugę.

– Ciociu – zagałam. – Mogę zająć cioci chwilkę?

– Chwilkę – zgodziła się. – Zaraz będzie audycja, której chciałabym wysłuchać.

– Wiem – powiedziałam i uśmiechnęłam się. Lubiłam ciotkę Rozalię. Była konkretna i szczerą. – Chciałabym podjąć jakąś pracę, ale nie wiem, gdzie szukać – powiedziałam po prostu.

– Chcesz iść do pracy? – zdziwiła się. – Brakuje ci czegoś?

– Nie, mam tu wszystko, ale chcę uzbierać trochę pieniędzy. Dziecko będzie

potrzebowało ubranek, wózka, wie ciocia, tego wszystkiego, czego potrzebuje niemowlę – mówiłam z zakłopotaniem.

– Nie wiem – roześmiała się – ale dzięki tobie niebawem się dowiem. Masz rację, musisz być samodzielna. W ubiegłym tygodniu widziałam kartkę na drzwiach naszego osiedlowego sklepu, szukają ekspedientki. Zajrzyj tam jutro, może jeszcze potrzebują.

– Pojdę tam – powiedziałam. – Dziękuję, ciociu.

Pokiwała głową i odprawiła mnie ruchem ręki, bo właśnie zaczynała się audycja.

Wycofałam się do swojego pokoju. Znowu zalała mnie fala niechęci, goryczy, żalu do siebie i do losu, który obszedł się ze mną tak okrutnie. Moje koleżanki uczyły się do matury, po lekcjach spotykały się z chłopakami, biegały na dyskoteki. Tęskniłam za takim życiem tym mocniej, im bardziej uświadamiałam sobie, że moje nigdy już nie będzie tak wyglądało. Och, gdyby można było cofnąć czas! Ogarnęło mnie uczucie nienawiści do człowieka, któremu uległam. Przez krótką chwilę fascynacji, złudzenia, że to miłość, będę teraz uwiązana przez całe życie do owocu własnej głupoty. Z zazdrością odprowadzałam wzrokiem dziewczyny o szczupłych taliach, zgrabne i zwinne jak łanie. Czułam się przy nich jak beczka, gruba i niezgrabna. Nieszczęśliwa.

Od kilku dni pisałam list do matki. Za każdym razem gniotłam papier i zaczynałam od nowa. Czułam się w obowiązku poinformować ją, że znalazłam kąć u ciotki Rozalii, dzięki której nie przerwałam nauki i że na pewno jeszcze w tym roku zdam maturę. Zamierzałam napisać, że jestem zdrowa, czuję się dobrze i niczego mi nie brakuje. Zamiast tego cisnęły mi się pod pióro słowa pełne pretensji i żalu. Tęskniłam, ale nie umiałam jej wybaczyć. Zresztą, czy ona potrzebowała mojego wybaczenia? Położyłam się do łóżka i zgasłam lampę.

Zapatrzona w okno, obserwowałam na tle czarnego prostokąta białe śmy, które miękko opadały na szybę. Uświadomiłam sobie, że to pierwszy w tym roku śnieg. Leżałam tak, bez marzeń i planów, bezmyślna, nieobecna. Przeszłość pogrzebałam wraz ze szczęśliwą młodością, a o przyszłość nie umiałam jeszcze zabiegać. Bałam się tego, co mnie czeka. Przewracałam się z boku na bok, przeklinając drżące cienie na ścianach, cykanie zegara, istotę rozpychającą moje wnętrze, wszystko to, co nie pozwalało mi spać. Jutro rzeczywistość znowu szarpnie mnie za ramię, zmusi do podniesienia głowy z poduszki, do życia, które przeklinałam.

Nie napadało dużo tego śniegu. Ot, zaledwie przykrył cieniutką warstwą zrudziałą trawę na skwerku pod domem. Z mojego okna niewiele można było

zobaczyć, nawet jeśli wspinałam się na palce i wyciągałam szyję. Ciotka Rozalia wyszła gdzieś z samego rana. Zajrzała do mnie, uchylając drzwi, ale udałam, że śpię. Wskazówki ściennego zegara biegły dziś wyjątkowo szybko, na przekór mojej stagnacji, spowolnieniu, jakby chciały przypomnieć o wczorajszej obietnicy, którą złożyłam sama sobie. Powinnam wybrać się do sklepu i zapytać o pracę. Tymczasem dochodziła dziesiąta, a ja łąziłam w piżamie po domu i trzęsłam się z zimna. Piecyk olejowy grzał wprawdzie, ale teraz właśnie, gdy nadciągała zima, miałam się przekonać, jak przykry może być wiatr wciskający się do wnętrza przez wszystkie szczeliny okien. Usłyszałam zgrzyt klucza w zamku i zrobiło mi się wstyd, że wciąż snuję się w negliżu po pokoju. Ciotka Rozalia wniosła chłodne powietrze na zaróżowionych policzkach, które pocałowałam na powitanie.

– Rozsądniej będzie, jeśli się ubierzesz – zauważyła. – Nie chcę ci prawić morałów, ale przeziębienie w twoim stanie... Poza tym za chwilę przyjdzie tu klientka z tekstami. Głupio będzie witać ją w piżamie, prawda?

– Myślałam, że ciocia pisze książkę – bąknęłam.

– Ależ co ci przychodzi do głowy – zdziwiła się. – Książkę? Skądże znowu. Tłumaczę teksty. Listy, pisma urzędowe, co tam kto ma.

– Angielskie?

– Angielskie. Od niedawna również francuskie. Ale te znacznie rzadziej... O, idzie właśnie.

Usłyszałam dzwonek i umknęłam do łazienki. Kiedy z niej wyszłam, drzwi do salonu były zamknięte. W kuchni przyrządziłam sobie mocne kakao z dużą ilością cukru. Dobrze wiedziałam, że nie powinnam tyle słodzić, i tak byłam gruba. I nie wiadomo, co było ciężą, a co tłuszczem oblewającym moje boki. Po ciąży będę musiała się go pozbyć. Po ciąży... Tak wiele spraw dzieliłam na to, co teraz i to, co po ciąży. Żyłam jak w poczekalni. Nieoczekiwanie pomyślałam o Reginie. Chciałabym ją spotkać, porozmawiać, może nawet przytulić. Nigdy nie byliśmy sobie bliskie. I nie chodzi tylko o różnicę wieku. To, że była starsza o dziesięć lat, nie miało znaczenia. To niesamowite, że miałam siostrę, której tak naprawdę nigdy w moim życiu nie było. Nawet wtedy, gdy mieszkaliśmy w jednym pokoju. Teraz jest gdzieś tutaj, w tym samym mieście, a ja nic o niej nie wiem. Być może nie łączy nas nawet to samo nazwisko.

– Anito – wyrwał mnie z zadumy głos ciotki Rozalii. – Proszę, przyjdź do nas na chwilę.

Zaintrygowana odstawiłam kubek z resztką kakao i podążyłam za nią. Na sofce nakrytej wełnianą, pastelową narzutą siedziała kobieta. Jej buty utworzyły

niewielką błotnistą kałużę na świeżo wypastowanej podłodze. Ponieważ do mnie należało sprzątanie, na ten fakt przede wszystkim zwróciłam uwagę. Musiała to zauważyć, bo nieznacznie cofnęła nogi, rozmazując błoto jeszcze bardziej.

– Pani Alicjo, to jest właśnie Anita – przedstawiła mnie ciotka, po czym zwróciła się do mnie. – A to pani Mazur, Alicja Mazur. Jeśli się zgodzisz, zapewni ci zajęcie. Zostawię was tu same, porozmawiajcie sobie – powiedziała i wyszła.

Przez moment trwała niezręczna cisza. Poszukałam wzrokiem najbardziej dogodnego miejsca, gdzie mogłabym usiąść. W końcu wybrałam jedno z krzeseł przy stole i zawiesiłam na pani Mazur wyczekujące spojrzenie.

– Tak... Właśnie... – zaczęła trochę nieskładnie. – Bo pani potrzebuje pracy, a ja nie mam jakiegoś gotowego etatu. Chodzi raczej o moją osobistą sprawę. Potrzebuję opieki do starszej kobiety.

– Nie zajmowałam się nigdy starszymi osobami – powiedziałam niepewnie. – Nie wiem, czy potrafię.

– To moja babcia. Ma siedemdziesiąt lat. Fizycznie była zawsze sprawna, ale jakiś czas temu potknęła się i złamała nogę. Trzeba ją obsłużyć, doprowadzić do łazienki, przygotować i podać posiłek, zrobić zakupy, posprzątać... Jak to w domu. Jeśli chodzi o stawkę, na pewno dojdziemy do porozumienia.

– Sama nie wiem... Starsza pani potrzebuje kogoś na stałe, a ja uczę się w szkole wieczorowej.

– Wiem, wzięłam to pod uwagę. Postaramy się, żeby zawsze ktoś zmieniał panią na czas. Zależy mi na osobie, której można zaufać, a w pani przypadku mam poręczenie pani Rozalii. Do tej pory dawaliśmy radę, miałam trochę urlopu, ale teraz opieka nad nią to naprawdę duży kłopot. Dzisiaj zostawiłam przy niej kuzynkę, której babcia nie lubi. Wyrzekała cały ranek.

– Skąd wiadomo, że mnie polubi? – zauważyłam.

– To tylko od pani zależy – odparła z uśmiechem Alicja. – Zostawię pani mój numer telefonu. Ma pani skąd zadzwonić?

– Tak, przecież u cioci jest telefon.

– Ano tak, sama dzwoniłam... Do szesnastej poczekam na odpowiedź. Jeśli nie odezwie się pani, będę musiała poszukać kogoś innego. Proszę się zastanowić – rzekła, podając mi wyrwaną z notesu kartkę z numerem.

Ciotka Rozalia nie zachęcała ani nie odradzała. Jak to było w jej zwyczaju, pozostawiła mnie samą z tą decyzją. Zadzwoniłam parę minut przed szesnastą. Na skrawku gazety zapisałam adres podany przez panią Alicję.

Od jutra miałam się stać dorosła i samodzielna. Miałam zarabiać na małego

człowieka, który teraz deformuje moją sylwetkę, a za jakiś czas powie do mnie „mamo”. W tej chwili najbardziej obce, a jednocześnie upragnione słowo. Znów tęskniłam za matką, choć nie chciałam się do tego przyznać. Ale gdybym mogła biec na pociąg, zobaczyć ją choć z daleka, szepnąć „mamo”... W ciemności zimnego pokoju ciotki Rozalii śniłam, że nie ma rozstań, a matka jest tuż, na wyciągnięcie ręki.

Mieszkanie Stefanii Zaniewskiej, mojej podopiecznej mieściło się na pierwszym piętrze starej kamienicy w rejonie osławionego „Trójkąta Bermudzkiego” Wrocławia. Nazwa nie była przypadkowa. Tutaj znikali z podwórka ludzie, jak samoloty w czarnej dziurze. Dzieciaki wychowywane w samym środku zła, stawały się złem, dorastały jako zło. Widok pijanych matek i spadających ze schodów ojców nie był niczym nadzwyczajnym, a powielanie tych obrazów przez kolejne pokolenia było normalne, jak codzienna modlitwa w dobrych domach. Tutaj status przestępcy i stawianie się milicjantom były powodem do dumy. Młodzież rządziła tą częścią miasta, bali się jej nawet wytrawni kryminaliści po odsiadce, którzy z czasem stawali się już tylko zwykłymi żułami i drobnymi pijakami, często odpowiadającymi za przewinienia tych młodych. Jednak wszyscy żyli według zasady: nie ruszać swoich. Bo po co ściągać do własnego gniazda władzę, która wścibiałaby nos w nie swoje sprawy. Mieszkańcy dzielnicy nie mieli się więc czego bać. O tym i o wielu innych sprawach ulicy, na której dominowały obłupane z tynku domy i zasikane podwórka, dowiedziałam się od drobnej, siwowłosej staruszki uwięzionej w gipsie. Siedziała teraz naprzeciw mnie w głębokim miękkim fotelu, z nogą wyciągniętą na podstawiony taboret i przyglądała się mi życzliwie. Oczy miała wyblakłe, ale zachowały się w nich jeszcze iskierki radości. Ścieżki czasu przebiegające przez jej twarz wskazywały na pogodny charakter, dominowały kurze łapki wokół oczu, co świadczyło o tym, że lubiła się uśmiechać. Splecione w warkocz włosy owinięte wokół głowy tworzyły srebrzystą koronę i nadawały staruszce dostojności. Pani Stefania Zaniewska wzbudzała zaufanie, a jej ciepły uśmiech zachęcał do zwierzeń.

– Ania. Anitka – mówiła śpiewnym głosem ujawniającym lwowskie korzenie.
– Miałam przyjaciółkę Anitę. Ach! – machnęła drobną dłonią – nie żyje już od kilku lat. Ale też była taka śliczna jak ty. Cieszę się, że będziesz do mnie przychodziła. Jak widzisz, sama nie mogę się poruszać, a lekarze mówią, że takie złamanie w moim wieku to już kalectwo do końca życia. Niech sobie mówią – zaśmiała się dźwięcznie. – A ja ich wcale nie słucham.

– Będzie dobrze – zapewniłam, choć przecież wcale się na tym nie znałam,

uważałam jednak, że pani Stefanii należały się słowa otuchy.

– Ech, co tam nogi – westchnęła. – Będzie dobrze, jak w kraju się polepszy. Do czego ten świat zmierza... Nie wychodzę, to nie wiem, co ludzie na ulicach gadają, ale telewizję oglądam.

– Moja ciocia mówi, że telewizja kłamie – zauważyłam. – A na Breżniewa to patrzeć już nie może.

– A, bo ta gadzina to samo zło. Ale Gierek jest mądry. Tylko patrzeć, jak porządek z tym wszystkim zaprowadzi.

– Ciocia mówi, że Gierek i ten cały rząd to też nic dobrego i że oni tylko udają. Niby jest demokracja, a wszystkich i wszystko kontrolują, wszędzie węszą, rewidują, bo boją się opozycji. Ludzie nie są tacy głupi, widzą, co się w kraju dzieje i zaczęli się zrzeszać, tworzyć związki zawodowe.

– Kto wie? Może twoja ciocia ma rację – westchnęła. – Ja tam się na polityce nie znam. Cieszę się tylko, że mamy swojego papieża, to będzie się za nas modlił... Będiesz miała dzieciątko – zmieniła nagle temat, patrząc dobrotliwie na mój sterczący brzuch. Zaczerwieniłam się po cebulki włosów. Nie wiem, czemu miałam nadzieję, że ona tego nie zauważy.

– Tak – bąknęłam. – Urodzi się pod koniec marca.

– To już za cztery miesiące, pewnie nie możesz się doczekać – stwierdziła i pokiwała głową, w której zapewne zrodziło się wspomnienie własnych przeżyć.

– Urodzisz dziewczynkę – stwierdziła, lustrując moją twarz.

– Skąd pani wie? – zdziwiłam się, chociaż nie chciałam rozwijać tego tematu. Wstydziłam się go i nie sprawiał mi najmniejszej przyjemności.

– Widzę. Jeszcze nigdy się nie pomyliłam. Jak ją nazwiesz?

– Nie wiem. Nie myślałam o tym – odparłam niechętnie.

– Ja od początku wiedziałam, jak moja córka będzie miała na imię. A córeczka mojej przyjaciółki nazywała się Sonia. Była to najpiękniejsza dziewczynka, jaką widziałam na oczy. Jak bym miała drugą, też nazwałabym ją Sonia. Cóż, Bóg poskąpił – westchnęła i zerknęła na mnie z zakłopotaniem. – Czy mogłabyś, kochana, pomóc mi przejść do łazienki? Pod oknem stoi balkonik, podsuń mi go, a potem pomożesz mi wstać.

Wdzięczna za zakończenie niewygodnego tematu, poderwałam się jak na sprężynie i zrobiłam wszystko, o co mnie prosiła. Przykro było patrzeć, ile wysiłku kosztowało ją przejście tych kilku kroków. Kiedy wróciła i pomogłam jej usiąść na miejscu, wskazała staroświecką komodę i poprosiła:

– Otwórz, proszę, górną szufladę. Znajdziesz tam włóczkę i druty. W domu i tak na nic się nie przydam, to chociaż tym się zajmę. Podaj mi je.

Podalam. Potem sporządziłam listę zakupów i ruszyłam do najbliższego sklepu. Już przy drzwiach prowadzących z bramy musiałam pokonać ogromną kałużę, z której wystawały kamienie i cegły, wrzucone tu chyba po to, by łatwiej było przejść. Na podwórku, mimo zimnego wiatru, chłopcy rozgrywali mecz piłki nożnej. Jakiś wyrostek, który miał może dziesięć lat, kibicował, paląc papierosa. Kiedy go mijałam, popatrzył na mnie napastliwie, ale nie zaczepiał. Przyglądając się szarym kamienicom, można było dostrzec w nich jeszcze dawną urodę. Pani Stefania, dawna mieszkanka Lwowa, nie kryła, że głównymi lokatorami tej dzielnicy była łobuzeria i włamywacze z przedwojennej lwowskiej szkoły. Trafili tu z własnym kodeksem honorowym, zabraniającym okradania sąsiadów i osób starszych. Później władze peerelowskie umieszczały w tych domach ludzi mających problemy z prawem, ale i oni nauczyli się panujących tu zasad. Dlatego pani Stefania nie bała się chodzić tędy nawet nocą, zapewniając, że ja również nie powinnam się obawiać. Nie czułam się jednak pewnie, przechodząc obok bramy, w której stało trzech podpitych młodzieńców.

– Te, lala, daj złotówkę! – zawołał jeden z nich, reszta zaś zarechotała ordynarnie.

Nie odpowiedziałam, tylko przyśpieszyłam kroku. W sklepie była dość długa kolejka. Klienci wynosili w szmacianych torbach przeważnie chleb, pasztet i ćwiartkę wódki, żeby zaspokoić podstawowe potrzeby. Kiedy miałam już sprawunki w siatce i odchodziłam od lady, za plecami usłyszałam czyjeś podniesione głosy. Ktoś wszczywał awanturę, nie przebierając w słowach. Na wszelki wypadek szybko opuściłam sklep i czym prędzej skierowałam się do domu pani Stefanii. Uszłam zaledwie kilka kroków, gdy jak wichura przemknął obok mnie młody chłopak w niebieskiej kurtce, za nim zaś biegło jeszcze kilku, wyzywając go niewybrednie. Teraz z kolei zwolniłam kroku, żeby się na nich nie natknąć. Wolałam uniknąć rozróby, na którą się zanosilo. Nagle usłyszałam krzyk i odgłosy bójki, a po chwili tych kilku biegło już z powrotem. Minęłam resztki ogródka jordanowskiego, gdzie została jedynie zardzewiała huśtawka i fragment karuzeli, gdy na chodniku, kilka metrów przede mną ujrzałam zwinięte, bezwładne ciało chłopaka w niebieskiej kurtce. Rozejrzałam się wokół. Na ulicy nie było wiele osób, jednak te, które go mijały, zdawały się niczego nie zauważać. Jakiś mężczyzna przyspieszył nawet kroku i odwrócił demonstracyjnie głowę. Kobieta prowadząca za rękę małą dziewczynkę pociągnęła ją mocniej i powiedziała kilka ostrych słów pod adresem leżącego. Mogłam przejść na drugą stronę, również udając, że go nie widzę. Śpieszyłam się przecież do pani Stefanii, a ten tutaj nic mnie nie obchodził. Nie potrafiłam

jednak przejść obojętnie. Tłumiąc w sobie niechęć i odrazę, zbliżyłam się do miejsca, w którym leżał. Kiedy się pochyliłam, nad głową usłyszałam kobiecy głos pełen pogardy:

– Niech pani go zostawi, tu pełno takich. Pani go podniesie, a on w tym czasie zwinie pani portfel.

Odsunęłam się nieznacznie. I wtedy przybiegła ona. Farbowana blond piękność, jakby prosto wyjęta z paryskiej dzielnicy Pigalle. Zadzierając kieckę, uklękła na chodniku i pośpiesznie zaczęła rozpinąć niebieską kurtkę chłopaka. Dopiero teraz zauważyłam brunatną plamę krwi przesiąkającą przez tkaninę. Chłopak tymczasem usiłował się pozbierać i wstać z chodnika.

– Leż, głupi – warknęła i przydusiła go kolanem. – Który cię drasnął? Krzywy, słyszysz mnie? Kto to zrobił?

Krzywy zacharczał coś niezrozumiale i opadł z powrotem na chodnik.

– Co się tak gapisz? – zwróciła się nagle do mnie. – Rusz dupę i pomóż mi. Trzeba go przenieść do tamtej zielonej bramy – wskazała ruchem głowy.

Spojrzałam na chłopaka. Ważył co najmniej siedemdziesiąt kilo. Jego twarz przypominała siekany kotlet, z którego wyzierały dwie szparki opuchniętych oczu.

– Złap go za rękę, nie gap się! – syknęła dziewczyna i z niepokojem rozejrzała się wokół. – No już, bo zaraz gliny tu będą.

Skrzywiłam się z obrzydzenia, bo jego ręka była cała umazana krwią. Ton dziewczyny był jednak ostry i bezwzględny.

– Spadaj – burknął nieprzyjemnie Krzywy i uniósł lekko głowę, gdy dotknęłam jego nadgarstka, po czym syknął z bólu i wrócił do pozycji wyjściowej. Spojrzałam bezradnie na dziewczynę.

– Tu niedaleko jest apteka – szepnęłam do niej. – Zawołam kogoś albo wezwę pogotowie.

– Zjeżdżaj, mówię – wybełkotał chłopak w płytę chodnikową i zamknął oczy.

– Pogotowie? Idiotka – warknęła znowu dziewczyna. – Ci z pogotowia zaraz wezwą cały oddział milicji. Łap go za rękę, no już!

– Zostaw – wycharczał chłopak, kiedy usiłowałam dotknąć go ponownie i cofnął gwałtownie rękę.

– Zamknij się, kretynie – upomniała go dziewczyna i skinęła na mnie. – Bierzemy go.

Złapałam zakrwawioną rękę, dziewczyna drugą i pociągnęłyśmy go do góry, używając całej siły, na jaką było nas stać. Chłopak jęknął z bólu, ale zaparł się nogami i po chwili szarpaniny przyjął pozycję pionową.

Przechodnie mijali nas, oglądając się z zainteresowaniem.

– Co mamy z nim zrobić? – zapytałam, gdy zawisł na nas, jak wyprany chałat.

– Ciągniemy do bramy – wskazała brodą wielkie drzwi, w połowie pozbawione zielonej farby.

W ostatniej chwili przerzuciłam przez ramię torbę z zakupami, leżącą dotąd na chodniku. Na początku małymi posuwistymi kroczkami, potem coraz sprawniej, dociągnęłyśmy go do bramy.

– Pod trójkę – wysapała dziewczyna.

Mieszkanie numer trzy na szczęście znajdowało się na parterze. Dziewczyna wysupłała z kieszeni klucz i podtrzymując jedną ręką Krzywego, który lgnął do futryny jak brud do koszuli, otworzyła drzwi.

Uderzył mnie zatechły smród petów i czegoś jeszcze, czego nie potrafiłam sprecyzować. Mimochodem spojrzałam na okno. Było zakurzone, a pożółkła, zadarta firanka bardziej je szpeciła, niż zdobiła.

– Mogę tu wpuścić odrobinę powietrza? – zapytałam, kiedy już ułożyłyśmy Krzywego na tapczanie.

– Otwórz lufcik – odparła i odsłoniła brzuch Krzywego. – Cholera – zaklęła przez zęby. – Chodź tu, pilnuj, żeby nie umarł – zwróciła się do mnie, sama zaś zaczęła grzebać w metalowym pudełku. Potem usłyszałam z łazienki szum wody, a po chwili dziewczyna była już z powrotem, zaopatrzona w długą nylonową nitkę nawleczoną w cienkie uszko krawieckiej igły, gazik, nożyczki i plaster.

– Co... Co ty chcesz zrobić? – wyjąkałam przerażona, nie spuszczając wzroku z igły.

– Florka jestem, Florentyna – przedstawiła się zniecierpliwiona. – Zszyję go, bo się wykrwawi – dodała lekkim tonem.

– Oszalałaś – jęknęłam.

– Zobacz – powiedziała, podkasując bardziej podkoszulek Krzywego. – Widzisz tę bliznę? To też moja robota. Trzymaj mu ręce, żeby się nie rzucał.

Sięgnęła po butelkę z resztką spirytusu, która stała na stole i chlusnęła na ranę Krzywego. Ten zawył i chyba zemdlał, bo przestał się ruszać. Odwróciłam głowę. Ja również byłam bliska omdlenia, nie mogłam jednak odejść, bo bałam się Florki. Zabieg trwał dość długo. W tym czasie kilkakrotnie ciemniało mi w oczach i uginały się pode mną nogi. Kiedy skończyła, przykleiła do rany czysty gazik i poprawiła Krzywemu podkoszulek.

– No, po wszystkim – odetchnęła z ulgą i poszła do łazienki umyć ręce.

Patrzyłam na twarz Krzywego. Krew już nieco zakrzepła, sączyła się jedynie

z łuku brwiowego. Wciąż leżał nieruchomo, ale Florka zupełnie się tym nie przejmowała. Po powrocie z łazienki usiadła na krześle, podciągnęła drugie pod nogi i zapaliła papierosa.

– No? Co tak patrzysz? Nic mu nie będzie, siadaj. Chcesz fajkę? – wyciągnęła w moim kierunku pomietą paczkę papierosów i skinęła zachęcająco.

– Nie, dziękuję, muszę już iść – odparłam szybko i zaczęłam zbierać do torby rozsypane zakupy.

– No usiądź na chwilę, pogadamy – zaprosiła i strzepnęła popiół obok wypełnionej po brzegi popielniczki.

Rozpięłam kurtkę i przysiadłam na brzegu krzesła. Obrzuciła ironicznym wzrokiem mój brzuch.

– Frajerka – mruknęła.

Zasłoniłam się ponownie kurtką i spiekłam raka, jak zwykle, gdy była mowa o mojej ciąży.

– Dawno tu mieszkasz? – zapytała.

– Nie mieszkam, pomagam jednej staruszce ze złamaną nogą.

– To ty taka bardziej dobra jesteś, co? Jak masz na imię?

– Anita.

– Anita. Śmiesznie. Ni to Anka, ni to co. A Florentyna nie jest moim prawdziwym imieniem, wiesz? Ale spodobało mi się, jak kiedyś przeczytałam o takiej jednej w książce. Nazywała się właśnie Florentyna. Potem nie czytałam już książek, więc tak zostało. Wszyscy mówią do mnie Florka, czasem zapominam, jak mi matka na chrzcie dała. Napijesz się? – zapytała, wstając od stołu. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, uśmiechnęła się całkiem po ludzku, bez ironii. – Nie, no przecież będziesz miała małe bobo... Ja się napiję za twoje zdrowie.

Nalała sobie pół szklanki wina i wychyliła duszkiem.

– Pójdę już – oznajmiłam z przeproszającym uśmiechem.

– Jak chcesz – mruknęła i nalała sobie drugą szklankę.

Każdego ranka podnosiłam głowę wypełnioną jak szklany dzban nadzieją, że coś wreszcie wydarzy się w moim życiu. Każdego wieczora kładłam się na okruchach szkła, które wbijały się boleśnie w ciało, mózg, we mnie całą, aż stawałam się rozpaczą i tęsknotą, zagryzałam róg poduszki, by nie wyć z rozczarowania życiem. Leżąc ze wzrokiem wbitym w przeciwległą ścianę, zastanawiałam się, czy Dawid istniał naprawdę i czy powiedzieliśmy sobie wystarczająco dużo, by znaleźć się tak blisko siebie. W tej chwili wolałabym być hardą Florką z meliny, z jej niechlubną przeszłością i wątpliwą przyszłością, niż przykładowym workiem dumnie wypełnionym macierzyństwem. Czasem marzyłam, że odnajdę tego drania, plunę mu w twarz i rzucę na próg owoc tamtej nocy. Wyjechał nagle i ślad po nim zaginął. Oszukał mnie, wykorzystał. A ja gotowa byłam dać mu wszystko, miłość, całą siebie. Gdyby wiedział, że noszę w sobie jego dziecko, być może tuliłby mnie teraz w ramionach, czekając wraz ze mną na małego człowieka. A ja myślałabym tkliwie o istocie, którą stworzyliśmy jako dopełnienie naszej miłości. Mijały tygodnie, miesiące, każdego dnia uczyłam się zapominać. Nie pamiętać twarzy, dłoni, nawet imienia, które wtedy szeptałam z rozkoszą wprost do jego ucha. Teraz uczyłam się udawać szczęście, patrzeć odważnie ludziom w oczy.

Miałam przed sobą jeszcze kilkanaście minut, zanim rozkrzyczy się budzik. Za oknem było ciemno, jak to w grudniowy poranek. Wiatr gwizdał, przeciskając się przez szpary okna. Zwinęłam się w kłębek i zagłębiłam głowę w poduszkę, by zachować resztki ciepłego snu. Za chwilę będę musiała wstać, zapalić lampy, przejść do lodowatej łazienki, zdjąć koszulę i szczękając zębami, oglądać w lustrze zdeformowane ciało, nim ukryję je w szerokiej sukience. Budzik rozdzwonił się w najmniej oczekiwanym momencie. Pozbierałam okruchy dobrej woli i wysunęłam nogę spod kołdry. Powietrze było lodowate i skutecznie zniechęcało do opuszczenia łóżka, jedyne przyjaznego miejsca. Niestety, nie mogłam uciec od zwyczajnych rzeczy, jakie niósł każdy kolejny dzień. W przedpokoju popiskiwał Banto, pies ciotki, namawiając ją na poranny spacer. Przemawiała do niego czule, pobrzękując smyczą. Więc dobrze, odczekam jeszcze kilka minut, niech trzasną drzwi, niech cisza i pustka

przedłużą wrażenie nocy.

Tramwaj spóźniał się jak zwykle. Ci sami co zawsze ospali ludzie wtulali twarze w kołnierze, chroniąc się przed porywistym wiatrem. Świt rozjaśnił nabrzmiałe niebo, ukazał przesuwane się chmury. Pogoda nie sprzyjała dobremu nastrojowi. W wagonie wisiał na uchwytach zlepiony szary, burkliwy tłum i nie słychać było żadnego dźwięku, prócz szczękających kasowników. Jakiś mężczyzna ustąpił mi swoje miejsce przy oknie. Gapiłam się przez szybę, rozmyślając nad swoim beznadziejnym położeniem. Po maturze zamierzałam podjąć studia. Zamiast tego będę niańczyć dziecko. Wysiadłam przy klasztorze bonifratrów i stąd, już pieszo, ruszyłam do domu pani Stefanii. Mieszkanie otworzyła Alicja, która zaglądała tu każdego ranka.

– Dzisiaj nie jest najlepiej – szepnęła, ubierając się w przedpokoju. – Noga wprawdzie nie dokucza, ale babcia ma kiepski nastrój.

– Niech się pani nie martwi – powiedziałam, zaglądając do pokoju. Starsza pani leżała jeszcze w łóżku. Wodziła wzrokiem po ścianach i miała zaciśnięte usta. Dostrzegła mnie i przywołała ruchem ręki.

– Nie rób mi, dziecko, żadnego śniadania, nie będę jeść. Przynieś mi tylko herbatkę, najlepiej z melisy. I posiedź tu ze mną trochę, będzie mi raźniej.

– Oczywiście, pani Stefanio – odparłam i poklepałam ją po drobnej dłoni. Uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością.

– Wiatr zawsze źle na mnie działał – zauważyła, gdy pomogłam jej usiąść i podałam filiżankę. – A dziś w nocy tak wył, że wcale nie mogłam spać. Pamiętam taki jeden dzień, mieszkaliśmy wtedy jeszcze we Lwowie. Wichura była straszna, drzewa łamały się jak zapalki. Moja mamusia chodziła od okna do okna i wciąż się żegnała. Mówiła, że ktoś się powiesił i diabeł się cieszy. Aż nagle, jak coś nie huknie, jak nie brzęknie! Patrzymy, a tu kawałki szyby lecą prosto na moją siostrzyczkę, która spała w łóżeczku pod oknem. Mamusia ręcznikiem ją obwiązała, bo krew tak tryskała, że strach. Tatuś na rękach ją do szpitala niósł. Pozszywali, ale blizny nigdy nie zeszły. Pamiętaj, żebyś nie stawiała łóżeczka z dzieciątkiem pod oknem.

– Będę pamiętać – obiecałam bez przekonania.

Przyjrzała mi się, a potem powiedziała z zastanowieniem:

– Coś mi się widzi, że ty, Anitko, wcale swojej dziewczynki nie kochasz. Jakbym była młodsza, to bym ją od ciebie wzięła. Nie ma nic gorszego, niż chować dziecko bez miłości.

Zamarłam, tak bardzo zaboląły mnie jej słowa. Zaboląły, bo były prawdziwe, a ja nie potrafiłam nawet zaprotestować. Rozplakałam się.

– Boże ty mój! – załamała ręce pani Stefania. – Ja nie chciałam nic złego. Nie płacz, moja kochana, ja tylko tak rzekłam, co mi serce podpowiedziało. Ale może to nieprawda, mogłam się przecież pomylić. Ach, Boże, ja się na pewno pomyliłam, to nieprawda...

– Prawda! – załkałam, wycierając strugę łez. – Przepraszam – rzuciłam i wybiegłam do łazienki. Żal był tak wielki, że szlochałam jeszcze dobre kilka minut. Pani Stefania uświadomiła mi jednym zdaniem to, co ukrywałam przed wszystkimi, a najbardziej przed sobą od chwili, gdy dowiedziałam się o swoim stanie. Jaką przyszłość szykuję tej kruszynie, jeśli nawet przez chwilę jej nie pragnęłam? Co gorsze, nadal jej nie chcę, a moje uczucie bliższe jest nienawiści.

– Anitka! – zawołała pani Stefania, gdy usiłowałam doprowadzić się do porządku. Obmyłam twarz zimną wodą i posłusznie stanęłam przy jej łóżku. Nie patrzyłam jej w oczy, było mi wstyd, że odkryła moją tajemnicę.

– Chcę wstać. Pomóż mi – poprosiła.

Zaprowadziłam ją do łazienki i poprawiłam poduszki na fotelu, na którym zazwyczaj siedziała. Na podręcznym stoliku ustawiłam koszyk z robótką i wodę do picia. Kiedy przyszła wsparta na swoim balkoniku, pomogłam jej wygodnie się usadowić. Żadna z nas nie wróciła więcej do tematu. Gdzieś w środku czułam jednak niedosyt, wołałabym wyrzucić z siebie cały żal, pretensje do samego Boga, to wszystko, co zgromadziło się we mnie i nie miało ujścia. Brakowało mi bliskiej osoby, z którą mogłabym o tym porozmawiać. Wyszłam do kuchni i zajęłam się przygotowaniem obiadu. Od czasu do czasu zerkałam przez uchylone drzwi. Pani Stefania siedziała zamyślona. Nie wzięła nawet do ręki drutów, które tak lubiła. Nigdy dotąd nie widziałam jej tak przygnębionej. Obudziły się we mnie wyrzuty, że jestem przyczyną jej smutku, poza tym odniosłam wrażenie, że przestała mnie lubić. A ja tak bardzo potrzebowałam akceptacji.

– Pani Stefanio, czy coś pani podać? – zapytałam nieśmiało, gdy warzywa bulgotały już w garnku. – Może koszyk z włóczką?

– Dziękuję, mogę przecież sięgnąć sama – odparła nadąsana. – Ale czy jest sens tym się zajmować?

– A dlaczego nie? – zapytałam, siląc się na wesoły ton.

– A dlaczego? – powtórzyła. – Popatrz, dlatego.

Podniosła koszyk, z którego wydobyła prawie skończoną robótkę. Uroczy, maleńki sweterek w biało-różowe paseczki.

– Dla twojej dziewczynki – powiedziała cicho.

Znów łzy napłynęły mi do oczu. Pochyliłam się i przytuliłam ją mocno.

– Kochaj ją – szepnęła. – To twoja dziewczynka. Twoje dzieciątko.

Do domu tego dnia wracałam wcześniej niż zwykle. Pani Alicja w każdy piątek pracowała krócej i szybciej mogła mnie zmienić. Cieszyłam się, że zdążę odpocząć, zanim pójdę na zajęcia do szkoły wieczorowej. Przechodząc obok jednej z czynszowych kamienic, natknęłam się na Florkę. Nie widziałam jej od pamiętnej bójkii, gdy ratowała Krzywego. Od tego czasu minęło ponad dwa tygodnie. Florka siedziała na ceglanym wyszczerbionym murku i jedną ręką czyściła patykiem buty z błota, w drugiej zaś trzymała nierozłącznego papierosa. Na mój widok przerwała zajęcie, wstała i odrzuciwszy patyk na bok, podniosła do góry dłoń w geście powitania.

– Anka! – zawołała, ignorując moje prawdziwe imię. – Gdzie lecisz?

– Wracam do domu.

– Już po robocie? Skończyłaś u starej?

– Tak, dzisiaj wcześniej. – Zerknęłam na zegarek.

– Śpieszysz się?

– Nie tak bardzo. Krzywy wyzdrowiał? – zapytałam przez uprzejmość, chociaż wcale mnie to nie obchodziło.

– Łazi, więc chyba jest dobrze. Nie zaglądałam mu pod koszulę.

Zza rogu kamienicy dobiegł nagle jakiś hałas. Obie spojrzaliśmy w tamtą stronę.

– To dzieciarnia, chodź, zobaczymy, co tam się dzieje – powiedziała i złapała mnie za rękaw kurtki.

Pod murem zburzonej komórki stał zdezelowany samochód, w którego wnętrzu gnieździło się chyba z dziesięcioro umorusanych dzieciaków. Dookoła samochodu miotał się mały, może sześciolatek chłopak, którego widocznie pozostali nie chcieli wpuścić do środka. Chłopak darł się wniebogłosy i walił żelastwem w karoserię. Jakaś kobieta, wychylona do połowy ze swojego okna, krzyczała coś, wymachując pięścią. Florka uśmiechnęła się pod nosem, podniosła z ziemi gruby kij i zwróciła się do mnie.

– Zostań tu, bo jeszcze który cię kopnie.

Zatrzymałam się posłusznie.

– Ej, wynocha stąd, ale już! – zawołała, unosząc kij do góry.

– Florka! – wrzasnął ostrzegawczo jeden z chłopaków siedzących w samochodzie i natychmiast zrobiło się cicho.

– Albo się zamkniecie i wpuścicie małego, albo rodzona matka was nie pozna – powiedziała Florka spokojnie i pogroziła im kijem.

Drzwi samochodu natychmiast się otworzyły i zadowolony maluch nie wiem

jakim sposobem wcisnął się do środka.

– Florka, daj fajkę – poprosił jeden z nich.

– Jeszcze czego, gówniarzu. Mleko ssać!

Kobieta w oknie schowała się, widząc, że sytuacja została opanowana. Florka rzuciła kij i zadowolona ze sprawnie przeprowadzonej akcji podeszła do mnie.

– Pcha się toto na świat, a potem same z tym kłopoty – mruknęła.

– Mówisz o tych dzieciach? – zapytałam niepewnie.

– O dziełach przypadku, mówię, jakich tam dzieciach – prychnęła z pogardą. Zrobiło mi się głupio. Natychmiast ujrzałam mojego człowieka w czyściutkim biało-różowym sweterku, upchanego w starym wraku, pośród reszty wyrzutków społeczeństwa.

Przez chwilę jeszcze stałyśmy, na wypadek wybuchu nowej awantury. Florka obserwowała bandę dzieciaków, natomiast ja dyskretnie przyglądałam się jej twarzy. Była ładna, choć jej uroda nie należała do nachalnych. Duże, zwykle zmrużone oczy miały kolor szary jak stal. Pasowały do jasnej cery i bladoróżowych warg. Dziś nie miała makijażu, wyglądała dzięki temu dziewczęco i bardziej świeżo. Szpeciły ją tylko tlenione, sięgające ramion włosy z odrostami na czubku głowy. Spod nich wynurzały się te naturalne, trochę mysie. Nie nosiła czapki, a zbyt obszerna kurtka maskowała jej sylwetkę. Kiedy tak stałyśmy, z naprzeciwka zbliżyło się do nas trzech młodych mężczyzn. Jeden z nich, ten w środku, wyglądał jak dziki zwierz wśród podwórkowych kundli. Nosił skórzaną kurtkę i był z nich najwyższy.

– Wilk idzie – szepnęła do mnie Florka i zaczerwieniła się jak panienka. Nie zdziwiła mnie jej reakcja. Na widok tego chłopaka nawet mnie serce zabiło szybciej.

– Cześć, Florka – przywitani się z nią, a po mnie prześlizgnęli wzrokiem – Idziesz?

– Dokąd? – zdziwiła się.

– Zapomniałaś?

Wzruszyła ramionami. Wtedy Wilk zerknął na mnie, odciągnął ją na bok i coś zaczął szeptać. Kundle przyglądały się gołębiom siedzącym na antenie. Czułam się bardzo nieswojo, zwłaszcza że Florka nie raczyła nas sobie przedstawić, poza tym towarzystwo wyglądało na szemrane.

– Idiota! – usłyszałam nagle. – To nasza, pomogła naprawić Krzywego.

Wilk obejrzał się na mnie i podniósł do góry brew, jeden z kundli splunął i zaczął gapić się na mnie z uznaniem. Drugi przyglądał się namolnie.

– To idziemy – zdecydował Wilk. – A mamuśka? – znów zerknął na mnie.

– Nie, ja nie... Nigdzie nie pójdę, nie ma mowy – odezwałam się z zakłopotaniem, w jakie coraz bardziej wprawiał mnie ten cały Wilk.

Florka zdziwiła się.

– No, co ty, Anka? Chodź, Krzywy tam będzie, chętnie cię pozna.

– Nie mam czasu – zwróciłam się do niej. – Mam szkołę.

Kundle zarechotały, Wilk natomiast położył mi ciężką łapę na ramieniu i tchnął wprost do ucha:

– Dobrze kombinujesz, edukacja ważna rzecz. A my idziemy, wódka stygnie – rzucił do reszty towarzystwa.

Florka obejrzała się jeszcze za mną i podniosła rękę na pożegnanie.

Zostałam sama. Nagle ogarnęła mnie pustka. Matka uczyła mnie zawsze, żebym nie zadawała się z byle kim. Czy Florka jest byle kim? Rozmyślając, nawet nie zauważyłam, kiedy minęłam przystanek przy klasztorze bonifratrów. Postanowiłam przejść do następnego, bo nie opłacało mi się wracać. Wtedy mignęła mi sylwetka, która wydała mi się znajoma. Kobieta w wełnianym popielatym płaszczu, prowadziła za rękę małe dziecko. Na głowie miała lisią czapę, która przesłaniała jej oczy, więc nie od razu mogłam stwierdzić, czy to na pewno Regina. Zatrzymałam się na chodniku i poczekałam, aż podejdzie bliżej. Musnęła mnie spojrzeniem, jednak wyraz oczekiwania na mojej twarzy musiał ją zastanowić. Spojrzała jeszcze raz, uważniej. W pierwszym odruchu rozejrzała się nerwowo, jakby zamierzała skrócić, po chwili jednak zatrzymała się i podciągnęła do góry wciąż nasuwającą się na oczy czapkę.

– Anita... – zdumiała się. – Ty tutaj? – Otaksowała moją sylwetkę i zaskoczona stwierdziła: – Jesteś w ciąży.

– Cześć, Regina – powitałam ją bez entuzjazmu. Podstawiła policzek, który ledwo musnęłam, ona zaś nie kwapiła się do żadnych czułości.

– Cześć – odpowiedziała i pchnęła lekko w moim kierunku dziecko stojące u jej boku. – To Pawełek... – przedstawiła go. – Paweł, przywitaj się z ciotką – poleciła małemu. Wyglądający na trzy lata chłopczyk posłusznie wyciągnął do mnie rączkę w czerwonej rękawiczce.

– Dawno jesteś we Wrocławiu? Dokąd idziesz? – zapytała z lekkim rozdrażnieniem, jakby się obawiała, że za chwilę zwalę się jej na głowę.

– Od trzech miesięcy. Wracam właśnie do domu. Mieszkam u ciotki Rozalii.

– Aha, u ciotki Rozalii – mruknęła z niesmakiem. – Cwaniara, nieźle się urządziłaś, włączając jej na kark. Twój mąż jest stąd?

– Nie mam żadnego męża – odparłam opryskliwie. Było to dokładnie to, co chciała usłyszeć, bowiem kącik ust drgnął jej w hamowanym uśmiešku

satysfakcji. Narastała we mnie złość, ale starałam się nad sobą panować. To właśnie cała Regina. Wypyta o wszystko, ucieszy się z cudzego nieszczęścia, ale o sobie nic nie powie. Postanowiłam odwrócić kartę. – A ty? Widzę, że też masz dziecko.

– Tak. Paweł urodził się trzy lata temu. Mój mąż – podkreśliła wyniośle ostatnie słowo – chciałby mieć drugie. Ale ja wolę poczekać. Teraz mamy ważniejsze sprawy.

– Dawno się nie widziałyśmy. Wejdźmy do jakiejś kawiarni, porozmawiajmy – zaproponowałam spontanicznie, zapominając o szkole.

– No... Nie wiem – zawahała się. – Leon czeka w domu. Chciałabym cię zaprosić – dodała nieszczercze – ale mamy straszny bałagan.

– No to co? Nie przeszkadza mi to zupełnie – zauważyłam lekkim tonem.

– Nie, nie. Tam nie ma nawet gdzie usiąść. To już chodźmy lepiej do kawiarni. Ale tylko na chwilę – zastrzegła.

Podjechałyśmy kilka przystanków tramwajem, bo w okolicy, gdzie się spotkałyśmy, nie było żadnego lokalu. Przez całą drogę Regina prawie się do mnie nie odzywała, strofowała jedynie co chwilę syna. Usiadłyśmy w Europejskiej. Zamówiłyśmy po herbacie, dla Pawła sok jabłkowy.

– Muszę oszczędzać – krygowała się Regina. – Wynajęliśmy mieszkanie, a ono wymaga remontu. Umówiliśmy się z właścicielem, że przez kilka miesięcy nie będziemy płacić czynszu, tylko doprowadzimy lokum do porządku. Ale to są straszne wydatki, chyba zrobiliśmy błąd, ale już przepadło.

– Ja zapłacę za herbatę – uspokoiłam ją.

– Tak? – podchwyciła i zwróciła się natychmiast do syna – Pawełku, chcesz ciasteczko? Ciocia kupi ci ciasteczko.

Przeraziłam się, bo mój portfel nie był wcale zasobny. Paweł na szczęście nie wyraził ochoty na nic więcej.

– No to mów – zachęciła i przechyliła się przez stół, żeby wyłowić jak najwięcej nie tyle słów, co emocji. Potrafiła czytać między wierszami, namierzyć niepowodzenia i karmić się nimi jak wampir krwią swojej ofiary. Dlatego postanowiłam niczego nie demonizować.

– Co mam mówić? – zaczęłam. – Przyjechałam do miasta, bo tutaj są lepsze perspektywy. Jak już wspomniałam, dostałam pokój u cioci Rozalii, wiesz, jaka ona jest cudowna, więc dobrze nam się razem mieszka. Mam też spokojną pracę, uczę się, w tym roku zdam maturę, potem postaram się dostać na studia zaoczne...

– A dziecko? – zapytała, nastawiając uszu. Gdyby były większe, zaczęłyby

nimi wachlować z ciekawości.

– Co, dziecko? Urodzi się w marcu.

– A gdzie tatuś?

– Za granicą – palnęłam, byle się odczepiła.

– Za granicą? Po co pojechał? Na zarobek? – dopytywała i zieleniała z zazdrości z każdym wypowiedzianym słowem.

– A po co się wyjeżdża za granicę? – odparłam wymijająco. – Jak widzisz, u mnie wszystko w porządku. Powiedz lepiej, co u ciebie.

– No cóż... Mam męża, Leona. Jest hydraulikiem. Paweł w tym roku poszedł do przedszkola. Ja zaczęłam szyć dla klientek. Kręci się jakoś. Gnieździemy się w jednym pokoju. Przydałoby się większe mieszkanie, ale nas na nie na razie nie stać. Jak teściowa umrze, to się przeprowadzimy na jej śmieci – uśmiechnęła się z nadzieją.

– Chora? – zapytałam.

– A skąd! Zdrowa jak tur!

Zamilkłyśmy, bo tak naprawdę tematy nam się wyczerpały. Co innego, gdybym narzekała, miałyby o czym mówić, jednak to, co opowiedziałam, nie sprawiło jej satysfakcji.

– A co u matki? – zapytała bez zbytniego zainteresowania.

– Nie wiem. Jak wyjeżdżałam, było wszystko w porządku. Mogłabyś do niej zajrzeć, nie widziała cię kilka lat. I babcia pewnie tęskni – dodałam niepotrzebnie, bo poczułam uścisk w gardle, a nie chciałam się roztkliwiać przy Reginie.

– Nie mam czasu – burknęła. – Może latem pojedę z Pawłem na kilka dni. Tam jest ogródek, to dziecko odetchnie świeżym powietrzem.

Mimowolnie zerknęłam na siostrzeńca. Właśnie zużywał ostatnią serwetkę. Moczył ją w soku i rozmazywał po stole. Otworzyłam usta, by zwrócić mu uwagę, ale powstrzymałam się w ostatniej chwili. W końcu miał od tego matkę. Nigdy nie dopuszczę, żeby w ten sposób zachowywał się mój człowiek – pomyślałam i oczami wyobraźni ujrzałam dziecię o twarzy Dawida w biało-różowym sweterku, z aureolą nad głową. Otrząsnęłam się i zerknęłam na zegarek.

– Muszę iść, bo spóźnię się na zajęcia – oznajmiłam. Chciałam zapytać, czy możemy się jakoś umówić, ale zrezygnowałam.

– Ach, no tak... To zdzwonimy się jakoś, prawda? – powiedziała na odczepnego i zaczęła strofować Pawła. Zostawiłam jej pieniądze na rachunek, pożegnałam się i z ulgą opuściłam lokal.

Noc była głęboka, a nas ogarnęło szaleństwo szykowania Wigilii. W oknie domu naprzeciw też paliło się światło, więc czułyśmy się z ciotką różnie. Mielłam mak do makowca, a ona zagniała ciasto. W półmiskach stały już pierogi z kapustą, a w garnku bulgotał barszcz.

– Zjemy to wszystko? – zastanawiałam się, dosypując do maku nie wiadomo gdzie zdobyte przez ciotkę bakalie.

– Zjemy, zjemy – uspokoiła mnie i sięgnęła po wałek. – A nie tęskno ci za domem? Nie chcesz jechać do matki?

– Ciociu, jeśli ciocia pozwoli, jeżeli nie przeszkadzam, tutaj będzie teraz mój dom. Tęsknię tylko za babcią.

– Na razie nie przeszkadzasz. Przyzwyczaiałam się już do ciebie. Całe życie mieszkałam sama, nawet nie przypuszczałam, że tak miło wracać do domu, w którym ktoś czeka. No i choinkę jest sens ubierać. Do tej pory stawiałam świerkową gałązkę w wazonie i wystarczyło – roześmiała się. – Ale.... – zawahała się i machnęła ręką. Zaniepokoiło mnie to jakieś „ale” i to „na razie”. Postarałam się jednak teraz o tym nie myśleć.

– Naprawdę ubierzemy choinkę? – ucieszyłam się jak mała dziewczynka, bo mimo grubego brzucha, dobrze było poczuć się choć na chwilę dzieckiem.

– A tak. Jutro Bogdan, ten sąsiad co mieszka dwa piętra niżej, przyniesie z samego rana. Tak się z nim umówiłam, że kupi też dla nas. – Ciotka Rozalia zmarkotniała nagle. – Wiesz – dodała po chwili z zadumą – zawsze w Wigilię zastanawiam się, ile jeszcze tych świąt mi zostało. I każde staram się traktować w sposób wyjątkowy, jakby miały być ostatnimi. A te będą pierwsze od kilku lat, które spędzę w towarzystwie kogoś bliskiego, a nie jedynie psa, jak było dotąd. Teraz cieszę się, że jesteś, a potem zobaczymy – powiedziała, a jej słowa znów mnie zaniepokoiły. Mimo to odstawiłam słoiczek z orzechami i przytuliłam ją mocno. Nigdy nie okazywałyśmy sobie czułości, ale święta to przecież szczególne chwile.

– Tak sobie pomyślałam o twojej matce i o tobie. Czy warto marnować czas na niesnaski? Rozumiem, że masz do niej żal, ale trzeba umieć wybaczyć, Anito. Kiedyś będziesz może żałowała tych świąt, których z nią nie spędziłaś.

– Nie będę, ciociu – zapewniłam. – Jest mi tutaj dobrze, jak w niebie. A matce pewnie w końcu wybaczę.

– To dobrze. Nie chowaj urazy. Źle żyć z ciężarem w sercu. Wszystkie błędy, które się popełniło, najbardziej ciężą u schyłku życia. Niby nie chce się o nich pamiętać, a same cisną się do głowy, bo człowiek ma coraz mniej czasu, żeby je naprawić i coś zmienić. Ja też mogłam przecież być lepsza dla ludzi, częściej się uśmiechać, żyć bliżej rodziny i nie odtrącać miłości, która mi się przytrafiła. Mogłam być bardziej potrzebna.

– Niech ciocia tak nie mówi, przed ciocią jeszcze dużo udanych dni i czasu, żeby wiele zmienić, jeśli ciocia chce. Ale ja i tak uważam, że ciocia jest cudowna.

– Dużo czasu? Tak ci się tylko wydaje, mam sześćdziesiąt dwa lata. To wiek, w którym trzeba się poważnie zastanowić, obejrzeć za siebie, coś podsumować. Teraz mam już z górki, Przeleci szybko, nawet się nie obejrzę. Kiedy zabraknie sił, nie będzie można już nic zrobić, tylko być.

– Ciociu, ja jestem młoda, a też czasem przystaję bezradna, bo nie mogę nic zrobić prócz tego, żeby jedynie być.

– To nie to samo, moja kochana, i nigdy nie myśl w ten sposób. Młodzi ludzie nie mogą stać bezradnie, muszą szukać rozwiązania, układać swoje życie tak, by przeżyć je jak najlepiej, żeby potem nie żalowali. Człowiek rodzi się nikim, a kimś się staje. I każdy sam musi o to zadbać... Przyprawiłaś mak?

– Tak, dodałam bakalie i miód.

– Dobrze, posmaruj nim ciasto, ja włączę piekarnik, niech się grzeje.

Posmarowałam ciasto i zawinęłam je w rulon. Przepadałam za makowcem, babcia piekła najlepszy na świecie, ale naszemu też nie powinno niczego brakować. Żeby tylko się udał. Przyjemnie było tak razem kucharzyć. Ciotka była spokojna i mądra. W jej obecności czułam się zawsze silniejsza, a świat nie przerażał mnie tak bardzo. Zresztą po spotkaniu z Reginą też zmieniłam nieco podejście do własnej przyszłości. To, co jej naopowiadałam, było jak najbardziej możliwe do zrealizowania. Zdanie matury i podjęcie zaocznych studiów nie było takim znowu wyczynem. Czułam, jak rosną mi skrzydła. No, ale przedtem należało urodzić dziecko.

Widziałam z kuchennego okna, że naprzeciwko wciąż paliło się światło. Może ktoś nie piecze świątecznych pierników, tylko czuwa nad kimś albo pisze wiersze? Każdy człowiek jest przecież inny i ma inne sprawy – westchnęłam filozoficznie. Położyłam się spać kilka minut po drugiej. Przez sen wspinałam się ku górze, trzymając Dawida za rękę, coraz wyżej i wyżej. Zakochani,

wpatrzeni w coś, co oślepiało i nie pozwalało się zbliżyć. Spadałam potem sama w czarną otchłań z zapartym tchem, z sercem w gardle. Obudziło mnie uderzenie o dno przepaści. Długo leżałam nieruchomo, zastanawiając się nad znaczeniem snu. Człowiek w moim brzuchu przypomniał o swoim istnieniu, poruszając się niespokojnie. Dziś Wigilia, trzeba być radosnym, bo jak mawiała babcia, jaka Wigilia, taki cały rok. Tuż przed szesnastą, gdy przystrojona choinka stała już w kącie pokoju, na stole leżał śnieżnobiały obrus, a z radia sączyła się pastorałka, ktoś zapukał do drzwi. Banto rozszczękał się wniebogłosy, my natomiast spojrzaliśmy po sobie zdziwione. Ciotka, w eleganckiej sukience, wpinając kolczyk w ucho, ruszyła do przedpokoju. Zaciekawiona, wysunęłam się za nią. W progu stał około czterdziesto-, a może trzydziestoletni mężczyzna. Wyglądał bardzo dostojnie w kapeluszu i czarnym palcie z wysoko postawionym kołnierzem. W ręku trzymał butelkę wina zawiniętą w kolorowy, zachodni papier i uśmiechał się, pokazując rząd równych zębów.

– Poznaje mnie pani? – zapytał przyjemnym, aksamitnym głosem.

– Poznają – odezwała się po dłuższej chwili. – Niech... pan wejdzie – zaprosiła go nieswoim głosem i odsunęła się od drzwi. Obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem, a ciotka natychmiast pośpieszyła z wyjaśnieniem: – To moja siostrzenica, Anita. A to – zwróciła się z kolei do mnie – pan Aleksander... – zawiesiła głos, jakby chciała coś dodać, ale zrezygnowała. – Pan Aleksander – powtórzyła krótko.

– Dlaczego tak oficjalnie? – roześmiał się swobodnie i wyciągnął do mnie dłoń. Uścisk był mocny, a ręka lodowata.

Zastanawiałam się, kim jest ów przybysz, bo ciotka Rozalia w żaden sposób nie była gotowa na taką wizytę. Zwykle opanowana, teraz wytrącona z równowagi, nieskładnie zaprosiła gościa do pokoju.

– Nic się tu nie zmieniło – zauważył, rozglądając się po wnętrzu. Podciągnął wyprasowane w kant czarne spodnie, żeby nie wypchać w nich kolana, rozpiął guzik wytwornej marynarki i rozsiadł się na sofie, zarzucając nogę na nogę. Nie pasował do naszej skromnej, pastelowej narzuty, podniszczonej podłogi z sosnowych desek, ani w ogóle do nas.

Przysiadliśmy na krzesłach przy stole w niemym oczekiwaniu. On znów się roześmiał, tym razem z lekkim zakłopotaniem.

– Pani Rozalio – zwrócił się do ciotki – proszę nie traktować mnie z taką rezerwą, zna mnie pani niemal od dziecka.

– Owszem, znam, ale... – ciotka wykonała nieokreślony ruch ręką, jakby nie umiała ubrać w słowa tego, co naprawdę czuła.

– Ja bardzo proszę... Byłoby mi niezmiernie miło, jeśli zechciałaby pani ugościć mnie dzisiaj i traktować jak członka rodziny, bo przecież o mały włos, a...

– Proszę! – przerwała mu i natychmiast się zmieszała, jakby nie chciała, żeby tak ostro to zabrzmiało. – Niech pan przestanie – powiedziała łagodniej. – A patrząc na pana, takiego już dorosłego, dojrzałego, nie potrafię zwracać się inaczej – dodała stanowczo. – Od naszego ostatniego spotkania minęło chyba z piętnaście lat, może nawet więcej.

– Siedemnaście – poprawił. – Teraz mam trzydzieści cztery. Wtedy mówiła pani do mnie Olek. Po prostu Olek.

– Tak, Olek. Czy... – chciała o coś zapytać, ale głos uwiązł jej w gardle, więc machnęła tylko ręką i w milczeniu pokręciła głową.

Patrzyłam na to wszystko z boku i próbowałam złożyć w całość urywane zdania i gesty, których byłam mimowolnym świadkiem. W głosie ciotki wyczuwałam gorycz, a między rozmówcami jakieś brzemie, które przeszkadzało im zbliżyć się do siebie. Oboje wyglądali, jakby chcieli uciec przed słowem, które musiało paść, oboje jednak wiedzieli, że jak nóż wbije się w serce. Potem rozstaną się albo zasiądą do wspólnej wieczerzy.

– Pani Rozalio, proszę mnie zrozumieć, ja musiałem tu przyjść. Jest pani jedyną osobą, która łączyła mnie i jego. On nigdy nie zapomniał. Aż do śmierci.

– Do śmierci? – wyjąkała i przycisnęła do ust obie dłonie zwinięte w pięści.

– Trzy miesiące temu przeszedł klasyczny zawał serca. To pierwsze święta bez niego.

– Boże... – jęknęła. – A ja myślałam... Myślałam, że zdąży jeszcze mi wybaczyć...

– Wybaczył, niech mi pani wierzy, dawno wybaczył, chociaż nigdy nie pogodził się ze stratą. Ja też pani wybaczyłem, mimo iż zostawiła nas pani w momencie, gdy uznałem panią za matkę, a on... On kochał panią rozpaczliwie.

Ciotka siedziała jeszcze chwilę, wpatrzona w Aleksandra. Może spodziewała się, że roześmieje się nagle i powie, że to był tylko żart. Ponury żart. Potem podniosła się z miejsca i podchodząc do sofy, na której siedział, rozpostarła szeroko ramiona.

– Olek – szepnęła, jakby obawiała się, że głos jej uwięźnie w gardle i nic więcej nie zdoła powiedzieć. – Olek, przepraszam... Bardzo przepraszam. Byłam tchórzem...

Jakby na to czekał. Wstał i nie zważając na idealnie wyprasowaną śnieżnobiałą koszulę, wziął ją w ramiona i mocno przytulił do serca.

Potem zrobiło się zamieszanie, bo Banto zakrztusił się włosami anielskimi, który ściągnął z choinki. Ratowaliśmy więc psa, wyciągając mu to z pyska, a później wspólnie nakrywaliśmy do stołu. Skromnie, ponieważ w czasach kryzysu trudno było cokolwiek zdobyć, ale na pewno udało nam się stworzyć prawdziwie świąteczną aurę. I chociaż ciotka Rozalia bardzo przeżyła nie tylko nieoczekiwane spotkanie z Aleksandrem, synem swojej miłości, ale też wiadomość o śmierci dawnego narzeczonego, potrafiła szybko dojść do równowagi, nucić kolędy i utrzymać przy stole pogodną atmosferę. Niewiele się odzywałam, chyba że któreś z nich zwróciło się specjalnie do mnie. Ale nie czułam się z tym źle. Z zainteresowaniem przysłuchiwałam się ich rozmowie.

– A czym się zajmujesz? – zainteresowała się ciotka Rozalia.

– Pracuję w zakładach produkcyjnych – wyjaśnił oględnie.

– Chyba jako dyrektor, bo taki jesteś elegancki – zażartowała, taksując go wzrokiem.

– Jakby pani zgadła, mam pod sobą wszystkie magazyny, jestem dyrektorem – powiedział i uciekł wzrokiem.

– Naprawdę? W tak młodym wieku? To chyba po znajomości – brnęła, chociaż od razu było widać, że temat jest dla Aleksandra niewygodny.

– Zapisalem się do partii – bąknął z zakłopotaniem, chrząknął w garść, lekko uniósł się na sofie, po czym opadł i zajął się głaskaniem psa.

– Aha, do partii – powtórzyła z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

Aleksander przez chwilę zbierał się w sobie, po czym wybuchnął:

– Pani Rozalio, a jak inaczej poradzić sobie w życiu? Nie ożeniłem się do tej pory, bo nie zamierzałem za głodową pensję utrzymywać siebie i żony. I pewnie w przyszłości dzieci – tu spojrzął znacząco na mnie. – Skończyłem studia, i co? Miałem zostać jakimś gryziopórkiem za tysiąc pięćset?

– No tak, oczywiście, rozumiem – wycofywała się ciotka. Mimo że nie znosiła partyjnych, wolała dzisiaj nie rozmawiać o tym, co prowadziłoby do ostrej wymiany poglądów. – To teraz wreszcie się ożenisz – dodała z ugodowym uśmiechem.

– Teraz, to ja nie mam z kim – mruknął nadąsany. – Niedługo stuknie mi trzydzieści pięć lat, najpierw studia, potem praca, czas przeciekł mi przez palce. Nie ma już kobiet w moim wieku, tylko jakieś odrzutki zostały. A ja nie mam czasu w nich przebierać i szukać kogoś sensownego. I co mam zrobić, jeśli dziewczyny nie chcą czekać, i nawet takie młode kozy ze szkoły – znów spojrzął na mnie, tym razem z pretensją – wychodzą za mąż?

– Ja nie wyszłam za mąż – rzekłam z godnością.

Obrzucił mnie obojętnym wzrokiem, machnął ręką i więcej się nie odezwał.

– No, to przyniosę makowiec – powiedziała nagle ciotka, chcąc zapewne rozładować gęstniejącą atmosferę.

Poderwałam się, na ile grubym brzuch mi pozwolił i pobiegłam do kuchni, żeby jej pomóc.

– Biedny chłopak – skomentowała półgłosem. – Został sam jak palec, nie ma się kogo poradzić. Matka zmarła, gdy miał trzynaście lat. Gdyby ojciec żył, nie pozwoliłby mu zapisywać się do partii. Nienawidził jej całym sercem.

Przemilczałam jej komentarz tylko dlatego, że wcale się na tym nie znałam. Ojciec mojej koleżanki z miasteczka był partyjny i wszyscy jej zazdrościliśmy, bo podwoził ją do szkoły samochodem, podczas gdy reszta klasy chodziła pieszo. Nauczyciele też traktowali ją lepiej, poza fizykiem, który trzymał się od partii z daleka.

Ciotka ułożyła makowiec na talerzu, ja zaparzyłam herbatę i ustawivszy wszystko na tacy, wróciłyśmy do pokoju. Pod choinką leżały dwa samotne prezenty, których nie chciałyśmy rozpakowywać, żeby nie stawiać niespodziewanego gościa w głupiej sytuacji. Wróciłam pamięcią do wspomnień z rodzinnego domu. Płakałam, kiedy odkryłam, że Mikołaj w czerwonej kapocie to mój ojciec. Zdemaskowany, tłumaczył mi wtedy, że prawdą jest to, w co wierzę, i jeśli wierzę w Mikołaja, to dla mnie on istnieje. Karmiłam się tą prawdą na własny użytek do czasu, gdy sama zaczęłam przygotowywać prezenty dla bliskich. Wtedy już wiedziałam, że jeśli sami czegoś nie zrobimy, nie ma co liczyć na innych. Aleksander jednak liczył na partię. Widocznie w nią wierzył bardziej, niż ja w świętego Mikołaja.

Teraz otwierał butelkę czerwonego wina i zapewniał, że jeśli faktycznie skończyłam miesiąc temu osiemnaście lat, jak utrzymuję, lampka tego trunku na pewno mi nie zaszkodzi, a wręcz poprawi krążenie. Kazał mówić sobie po imieniu, mimo że był ode mnie starszy o prawie siedemnaście lat, w tym garniturze wyglądał jeszcze poważniej i uważałam go za starego „pryka”. Ciotka przyniosła album ze zdjęciami i po raz pierwszy ujawniła mi swoją przeszłość, a Aleksandrowi przypomniała wspólne chwile z nim i jego ojcem. Reszta wieczoru upłynęła naprawdę miło. Aleksander wprawdzie traktował mnie jak dzieciaka, może nawet trochę ignorował, ale i tak ucieszyłam się, gdy wprosił się na sylwestra, bo to oznaczało, że nie będziemy siedziały same, a ciotka nie będzie mówiła o swojej śmierci.

Poranek pierwszego dnia roku zawsze jest cichy i pusty, jak niczym niezapełnione kartki kalendarza. Można powiedzieć, że świat zamiera do pierwszego leniwego przebudzenia, pierwszego zerknięcia przez okno. Ten poranek zamilkł na dłużej, zaskoczony niespodziewanym i okrutnym atakiem zimy. Kiedy otworzyłam oczy, zdumiał mnie lodowaty chłód w mieszkaniu. Zawinęłam się w kołdrę i wstałam z łóżka. Parapety okien grubą warstwą pokrywał śnieg, a piecyk olejowy był martwy. Miałam ochotę wskoczyć jeszcze do nagrzanego łóżka, jednak zegar wskazywał dziesiątą, a dobiegające z kuchni szczęknięcie talerzy przypomniało mi o śniadaniu i spowodowało dotkliwe ssanie żołądka. Ubrałam się na cebulę i ledwo panując nad szczękaniem zębami, stanęłam w drzwiach kuchni. Wszystkie cztery palniki kuchenki gazowej były zapalone, a opatulona grubym szlafrokiem ciotka siedziała przy stole z tranzystorem przy uchu.

– Nie spodziewałam się, że słuchanie prognozy będzie takie fascynujące – zwróciła się do mnie z gorzką ironią w głosie. – Po wszystkich wiadomościach informują o stopniu zasilania. Nie ma co liczyć na to, że będzie prąd. Zamarzniemy na tym strychu. Zamknij chociaż drzwi od kuchni, zagrzejemy się gazem, zanim też wyłączą.

W przedpokoju wiercił się i popiskiwał Banto, ale ciotka machnęła ręką.

– Trudno, wolę wytrzeć kałużę, niż ciągnąć go na taki mróz.

Zamknęłam drzwi, ciotka w tym czasie podsunęła mi kubek gorącego mleka.

– Wypij, rozgrzejesz się – poradziła. – Dobrze, że dziś wolny dzień, nie musimy nigdzie wychodzić, ale co będzie jutro, strach pomyśleć.

Praktycznie cały dzień spędziłyśmy w kuchni, o bożym świecie wiedząc tylko tyle, ile usłyszałyśmy z charczącego, tranzystorowego radia. O tym, co działo się w mieście, miałam się przekonać następnego dnia.

Była szósta trzydzieści, gdy jak zwykle w dzień powszedni wyszłam z domu. Tym razem, za radą ciotki Rozalii, usztywniona grubą warstwą odzieży, obezwładniającej ruchy. Śnieg skrzypiał głośno, gdy jako jedna z nielicznych zmierzałam w stronę przystanku. Zdziwiłam się, że tam, gdzie zwykle czekali ludzie, nie ma żywego ducha. Podeszłam bliżej i sprawdziłam rozkład jazdy.

Para buchająca z moich ust przesłaniała litery. Przechodzący chodnikiem starszy mężczyzna spojrzął na mnie, jakbym urwała się z choinki.

– Proszę pani! – zawołał. – Tramwaje stoją! Niech pani nie czeka, bo nic nie pojedzie. Autobusy też nie.

– To co mam zrobić? – zapytałam odruchowo, ale on wzruszył tylko ramionami i poszedł sobie.

Miałam przed sobą jakieś sześć przystanków. Po chwili wahania postanowiłam pokonać je pieszo. Gruba warstwa ubrań wprawdzie spowalniała ruchy, ale skutecznie chroniła przed lodowatym powietrzem. Śnieg sypał nieustannie. Mijałam matki ciągnące na sankach opatulone dzieci, autobus zakopany po górną część kół w śniegu i skulonych ludzi, którzy podobnie jak ja zdeterminowani szli pieszo do pracy. Po ulicy przejeżdżały nieliczne samochody, tylko te, które dały się uruchomić. Postanowiłam po drodze zrobić zakupy, żeby nie opuszczać ciepłego mieszkania pani Stefanii. Sklep wypełniał tłum ludzi czekających na opóźniającą się dostawę. Ekspedientka nie potrafiła powiedzieć, czy chleb w ogóle dojedzie. Kolejka jednak czekała, choć niecierpliwie, a jedynym tematem rozmów była pogoda i jej konsekwencje. Stałam dość długo, ale w końcu zrezygnowałam. Nie mogłam tak bardzo spóźnić się do pracy. Musiałam zwolnić panią Alicję, żeby zdążyła do swojej. Poza tym marzyłam, żeby zrzucić z siebie wreszcie niewygodną kurtkę i tysiące swetrów.

Moje rozczarowanie było ogromne, gdy stwierdziłam, że u pani Stefanii również nie działają kaloryfery. Siedziała okutana w koce i grzała dłonie szklanką gorącej herbaty.

– Bardzo się pani spóźniła – zauważyła kwaśno Alicja, patrząc demonstracyjnie na zegarek. – Święta się skończyły i należy wziąć to pod uwagę.

– Szłam pieszo – powiedziałam wściekła, że ona też pewnych rzeczy nie bierze pod uwagę. – Niech się pani cieszy, że w ogóle dotarłam.

Zamilkła, nacisnęła na głowę wełnianą czapkę i obrażona trzasnęła drzwiami. Pani Stefania na szczęście była w lepszym nastroju.

– Koniec świata – mruzczała pod nosem, zerkając w okno, za którym raz po raz wiatr miótł tumany śniegu. – Co to się porobiło, co się porobiło – cmokała zatroskana i kręciła głową.

Poczytałam jej *Quo vadis*, przygotowałam obiad i wysłuchałam szeregu historyjek o tym, jak to we Lwowie było. Zbliżała się godzina zakończenia pracy, a ja coraz niespokojniej obserwowałam zawieruchę szalejącą za oknem.

Jednak czas płynął, a Alicji nie było, przypuszczalnie z powodu fatalnej pogody. Nie przejmowałam się aż tak bardzo, dopóki było jasno, ale kiedy minęła osiemnasta, a ulice ogarnął mrok, przestraszyłam się nie na żarty. Znajdowałam się w dzielnicy, gdzie nawet w biały dzień było niebezpiecznie, cóż dopiero w egipskich ciemnościach. Tego wieczoru nie świeciła ani jedna latarnia, a śnieżycy wciąż się nasilała.

Alicja zjawiła się tuż przed dziewiętnastą. Ośnieżona, wyglądała jak bałwan. Przeprosiła mnie półgębkiem za poranne upomnienie, ponieważ sama doświadczyła trudności z dojazdem. Nie przejęła się moim powrotem do domu. Mogła oczywiście zaproponować mi nocleg, z którego i tak nie skorzystałabym ze względu na ciotkę, która pewnie umierała z niepokoju. Pożegnałam się więc, by po chwili znaleźć się w ramionach śnieżnej zamieci. Wiatr pchnął mnie gwałtownie do tyłu i zasypał oczy śniegiem. Przez moment nie mogłam złapać tchu. Potem osłoniłam twarz szalikiem i pochyliłam się mocno do przodu. Na szczęście biel śniegu rozpraszała mrok, ale tworzące się zasy utrudniały stawianie kroków. Przeszłam zaledwie kilkadziesiąt metrów, gdy z tyłu usłyszałam głośną rozmowę i czyjś śmiech. Zawsze tracę pewność siebie, gdy coś dzieje się za moimi plecami, dlatego zwolniłam kroku, by przepuścić towarzystwo. Serce biło mi mocno, ale miałam nadzieję, że nie zechcą zaczepiać dziewczyny w zaawansowanej ciąży. Byli coraz bliżej, dostrzegłam też blade światło, widocznie szli z latarką. Mijając mnie, ktoś skierował strumień światła prosto w moją twarz. Oślepiło mnie i na moment straciłam równowagę.

– Anka! – rozpoznałam głos Florki. – Co ty tak po ciemku łazisz?

Nim zdążyłam się odezwać, zaczęła wołać, aż zadudniło w opustoszałej ulicy:

– Ej, Krzywy! Chodź tu!

Koło mnie zebrała się hałaśliwa grupka ludzi, których twarzy nie widziałam, tym bardziej że znów padło na mnie światło latarki. Ktoś mnie oglądał, ktoś kłął, a inny rechotał na całe gardło. Zakręciło mi się w głowie.

– Dokąd idziesz? – wyłowiłam z ogólnego hałasu pytanie Florki.

– Do domu – odparłam.

– Ale przecież żadne gówno dzisiaj nie jeździ. Tak na piechotę będziesz szła?

– Nie mam wyjścia – powiedziałam, siląc się na lekki ton. – Dam radę.

– Daj spokój, chodź z nami – zawołała rozbawiona Florka. Miała już trochę w czubie.

– Naprawdę nie mogę. Jest już późno.

– Odwiozę cię – usłyszałam nagle znajomy męski głos.

– Jak Wilk mówi, że cię odwiezie, to odwiezie – oświadczyła z przekonaniem

Florka i swoim zwyczajem pociągnęła mnie za rękaw. – Chodź.

Skusiła mnie. Nie musiałam brnąć przez śnieg, w dodatku sama i po ciemku. Kroczyłam więc ze swoim wielkim brzuchem wśród bandy chuliganerii z Trójkąta i cieszyłam się w duchu, że nie widzi mnie teraz matka, ciotka Rozalia czy ktokolwiek ze znajomych. Było mi głupio, że się ich wstydzę, bo przygarnęli mnie jak swoją, zaakceptowali i obdarzyli zaufaniem. Było mi głupio, bo wstydziłam się ich, nie zastanawiając się nad tym, co noszą w środku. Do oceny wystarczyło środowisko, z którego się wywodzą.

Rozpoznałam obłupane z farby drzwi, którymi już raz wchodziłam, taszcząc z Florką rannego Krzywego. Z mieszkania zionęło stęchlizną, brudną popielniczką i chłodem. Było zimno jak w psiarni. Błysnęła zapalka i po chwili zapłonęły liczne świece. Umieszczone w szklanych słoikach ogarki stały na podłodze i kojarzyły mi się z cementarnymi zniczami. Niemniej dawały nie tylko światło. Ich tańczące płomyki rzucały ruchome cienie, które tworzyły na ścianach wyjątkowy teatr. Maskowały też brzydotę zniszczonych sprzętów i poplamione deski podłogi.

– Pedro, napal w piecu – poleciała Florka jednemu z „kundli” i dopiero teraz zauważyłam stojący w kącie precudnej urody piec. Podobny widziałam tylko w muzeum, chyba we Fromborku, podczas szkolnej wycieczki. Posiadał piękne kafle zwieńczone koroną i żeliwne, ażurowe drzwiczki. W stłumionym blasku świec nie dostrzegałam smug nad paleniskiem ani pęknięć na zielonej glazurze, dlatego uznałam, że był jedyną ozdobą tego mieszkania.

– Dobra – mruknął Pedro i rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do spalenia. Ponieważ nic takiego nie znalazł, naciągnął na głowę kaptur i wyszedł z domu. Florka odprowadziła go wzrokiem pełnym zaufania, że jej polecenie zostanie należycie wypełnione.

– A ty, Cygan, ogarnij trochę stół. Gościa mamy, nie? – zwróciła się do drugiego „kundla”, prawdziwego Cygana o śniadej cerze i wyjątkowo bujnej czuprynie. Podała mu wypełnioną po brzegi popielniczkę, sama natomiast strąciła okruchy na podłogę. – Siadaj – skinęła na mnie i zakreśliła ręką krąg, dając do zrozumienia, że mam całkowitą swobodę w wyborze miejsca. Przysiadłam na chybotliwym krześle. Nie opierałam pleców, żeby się do czegoś nie przykleić. W pokoju tymczasem panował ruch, bo nawet Wilk i Krzywy nie stali beczynnie. Rozlewali do małych szklaneczek „traugutówkę”, lokalną wódkę, którą podobno można było tu kupić za sześć złotych w każdej melinie. Florka podniosła jedną ze szklanek i wcisnęła mi do ręki.

– Pij – zachęciła. – Rozgrzejesz się.

Nie zdążyłam dotknąć ustami szklanki, bo Wilk wyjął mi ją z ręki.

– Ty nie będziesz pić – warknął.

Zrobiło mi się głupio. Nawet Florka nie próbowała kwestionować jego słów.

Pedro przytargał nie wiadomo skąd jakieś deski i zajął się rozpalaniem w piecu. Kopciło jak z dziewiętnastowiecznej ciuchci. Wilk zaklął i mimo panującego na zewnątrz mrozu, otworzył okno na całą szerokość. Potem było już coraz przyjemniej. Krzywy podsunął swoje krzesło bliżej mojego i zanim zaczął mówić, przez dobrą chwilę patrzył na mnie, kołysząc w palcach szklaneczkę z wódką. Długo wytrzymywałam jego wzrok, w końcu, nieco zmieszana, odwróciłam głowę.

– Ty pewnie myślisz, że my to sami złodzieje i bandyci, co? – zagaił z dziwnym uśmiechem. – Ale tak nie jest. Wszystko, co robimy, jest honorowe. Nie każdy to rozumie, ale taka jest zasada. Kradnie się, bo coś jest potrzebne, a nie dla kaprysu, żeby to mieć. A bije się dla obrony albo na wszelki wypadek, żeby nikt nie podskakiwał. Jak ktoś zadziera, dostanie w ryj, bo mu się należy. Swoich nie ruszamy. – Przerwał, wychylił zawartość szklaneczki, otarł usta wierzchem dłoni i dodał: – Ty jesteś nasza. – Potem klepnął mnie w ramię i odszedł. Domyśliłam się, że to swoiste wyznanie miało być podziękowaniem za tamten dzień, w którym pomogłam Florce zaszywać mu bebechy.

Pokój powoli nagrzewał się nie tylko od płonących świec, ale również od pieca, który udało się wreszcie rozpaścić. Miałam mieszane uczucia. Z jednej strony denerwowałam się, że siedzę tu, podczas gdy ciotka Rozalia czeka i na pewno się zamartwia, z drugiej zaś nie miałam na tyle silnej woli, ani nawet ochoty, żeby wstać i wyjść w ciemną i zimną noc. Wdychałam opary wódki i dym z papierosów, słuchałam dyskusji na tematy, które nigdy nie powstałyby w mojej głowie i dawno przestałam się łudzić, że Wilk odtransportuje mnie do domu. Tym bardziej że wlewał w siebie kolejną szklankę trunku. Najbardziej jednak zadziwiające było to, że czułam się tu dobrze. Praktycznie nikt nie zwracał na mnie uwagi, a jeśli zaczepiał, robił to w swobodny, niewymuszony sposób. Oni przed sobą nie grali i nie silili się być inni, niż byli w rzeczywistości. W pewnej chwili przysiadł się do mnie Wilk i zapytał:

– Co zamierzasz?

Pytanie było zaskakujące i w pierwszej chwili zupełnie nie wiedziałam, czego dotyczy. Może mojego powrotu do domu?

– Co zamierzam? – powtórzyłam.

– No, z dzieciakiem i w ogóle.

– Nie wiem. Życie pokaże – odparłam oględnie i sama złapałam się na tym, że

dotąd nie zastanawiałam się nad swoją przyszłością. Wygodny kąt u ciotki i pełny talerz uspiły moje plany, dążenia, harmonogram kolejnych dni.

– Życie pokaże? Czyli co? Przeznaczenie? Tak to sobie wykombinowałaś? A może czarny kot nie jest żadnym znakiem tylko czarnym kotem? Może dni, które następują jeden po drugim, to nie zamysł losu, tylko naturalny cykl życia, które należy zaplanować? A Bóg, jeśli jest, nie myśli o tobie, bo ma na głowie ważniejsze sprawy? Dał ci dwie ręce i powiedział: działaj, ja swoje dzieło skończyłem.

Zdumiał mnie. Zdumiał mnie tak, że nie powstrzymałam się przed pytaniem:

– Wilk, ty jesteś stąd? Jesteś z nimi?

Zaklął szpetnie i roześmiał się szyderczo.

– Wiedziałem, że o to zapytasz, bo masz ich za kogoś gorszego, prawda? Margines, kryminaliści, tak myślisz, co? Spójrz na nich. Różnią się czymś od ciebie, ode mnie? Siedzą, gadają, grzeją ręce o piec, śmieją się. Nie robią nikomu krzywdy, jak trzeba, walczą o swoje. Dlaczego pytasz, czy jestem z nimi? Tak, jestem z nimi, jak z tobą, jak z moimi kumplami ze studiów, z szefem, matką – podniósł głos. – Jestem z nimi, chociaż się tu nie urodziłem i nie musiałem dźwigać na plecach spieprzonego dzieciństwa.

Potem wstał, trzasnął drzwiami i wyszedł.

Zostałam z irracjonalnym poczuciem winy, że powiedziałam coś nie tak. Florka, która przysłuchiwała się rozmowie, skinęła na mnie i zaprowadziła w kąt pokoju.

– Nie przejmuj się, głupia – rzuciła półgłosem. – Wilk to filozof. Nie wiem, skąd się wziął, gdzie mieszka. Któregoś dnia przyszedł i zaczął się tu kręcić. Nie gada nic o sobie, ale to w porządku gość. Może kiedyś powie.

Wilk zjawił się z powrotem jakieś pół godziny później.

– Jedziesz? – rzucił krótko.

Włożyłam szybko kurtkę, pożegnałam się tylko z Florką, bo reszta nie bardzo już kontaktowała, i nie wytykając mu, że przecież pił, ruszyłam za nim.

Pod bramą stał samochód. Nie był przysypany śniegiem, co świadczyło o tym, że niedawno ktoś go używał.

– Wsiadaj – ponaglił i dyskretnie rozejrzał się na boki.

– To twój samochód? – zapytałam pełna wątpliwości.

Być może nie chciał kłamać, dlatego nie odpowiedział. Ruszył cicho, ostrożnie, bez pisku opon i brawury, jakiej się spodziewałam, choć nie wiem dlaczego. Jadąc wzdłuż szpaleru szarych kamienic, minęliśmy ponury gmach szpitala i pogotowia ratunkowego. Wtedy dopiero, nie odrywając wzroku od

zaśnieżonej drogi, zapytał, dokąd mnie zawieźć. Podałam nazwę ulicy i również wbiłam wzrok w przednią szybę, za którą nieustannie sypał śnieg. Z lusterka zwisał breloczek w postaci małego pajacyka o sprężynowych nogach. Był bardzo zabawny i oryginalny, pewnie dlatego wciąż zwracał moją uwagę. Samochód sunął wolno, jednak mimo wszystko ślizgał się w koleinach. Nagle Wilk zaklął przez zęby, wpatrując się w tylne lusterko. Obejrzałam się. Za nami jechał radiowóz. Wilk chciał przyśpieszyć, ale wtedy wpadliśmy w koleinę i lekki poślizg. Wprawdzie zapanował nad autem, lecz widziałam, że bardzo się zdenerwował. Był po alkoholu, poza tym nie ulegało wątpliwości, że jechaliśmy kradzionym autem i z pewnością bez odpowiednich dokumentów. Radiowóz nie gonił nas ani nie wyprzedzał. Siedziałam spięta, bojąc się odezwać. Kiedy mijaliśmy stary żydowski cmentarz, radiowóz niebezpiecznie się do nas zbliżył. Widziałam, jak Wilk zaciska szczęki, był jednak na tyle opanowany, że nie zmienił tempa jazdy. Radiowóz zrównał się z nami, potem lekko wyprzedził, minął zakręt i zajechał drogę, jadąc jeszcze kilka metrów. Samochód zatrzymał się, a ze środka wysiadł umundurowany funkcjonariusz i pomachał lizakiem. Wilk dojechał do końca cmentarza i tuż przed radiowozem gwałtownie skręcił w prawo. Samochód zatańczył od chodnika do chodnika, na całej szerokości jezdni. Złapałam się kurczowo siedzenia i nie spuszczałam wzroku z przedniej szyby. Nawet nie oglądałam się do tyłu, by sprawdzić, czy już nas ścigają. Wystarczyło, że Wilk zmełł między zębami szpetne przekleństwo, bym upewniła się, że nie odpuścili. Wjechaliśmy na główną ulicę, skręciliśmy w lewo i pruliśmy prosto przed siebie. Tutaj asfalt był ledwo przysypany śniegiem, widocznie niedawno przejeżdżała tędy odśnieżarka. Minęliśmy gmach Radia i Telewizji, zaraz potem, ocierając się o krawężnik, wpadliśmy w jakąś boczną uliczkę. Wilk z pewnością siebie lawirował między ponemieckimi willami, jakby znał tu wszystko na pamięć. W końcu wjechał na teren jakiegoś warsztatu i ukrył samochód między czekającymi na naprawę żukami.

– Wsiadamy – rzucił krótko i wyskoczył z auta. Wsiadłam pośpiesznie z drugiej strony. Za płotem najbliższego domu rozszczękał się pies. Wilk objął mnie w pół i przycisnął do siebie.

– Spokojnie, nie śpiesz się – powiedział. Wyszliśmy z warsztatowego parkingu, jak na spacer, przeszliśmy się między uśpionymi domami, następnie powoli skierowaliśmy się w równoległą, przecięliśmy ją i ruszyliśmy w ulicę Ślężną. Za naszymi plecami przemknął radiowóz. Kątem oka zauważyłam, jak Wilk uśmiecha się z satysfakcją.

– I po przygodzie – mruknął, a potem, rozbawiony, zwrócił się do mnie: –

Odprowadzę cię na piechotę, co? Jakoś samochodem nie wyszło.

Klatka schodowa była ciemna. Stawiałam nogi na wyczucie, trzymając się kurczowo poręczy. Banto rozszczękał się, zanim zdążyłam wejść na ostatnie piętro. Wtedy usłyszałam, jak szczęknął zamek w drzwiach i po chwili zalało mnie słabe światło.

– To ty, Anito? – dobiegł przejęty głos ciotki Rozalii. Wyszła aż na schody, trzymając w ręku świecę.

– Tak, ciociu, ja – uspokoiłam ją.

– Bogu dzięki, że jesteś – odetchnęła. – Tak się martwiłam, jest środek nocy!

W mieszkaniu wciąż było zimno. Ciotka siedziała w kuchni przy zapalonych świecach i włączonym gazie.

– Czekałam i czekałam, umierając ze strachu. Żałuję, że tak późno przyszło mi to do głowy – odezwała się, gdy już siedziałam przy stole i popijałam parujące mleko.

Spojrzałam na nią z ciekawością.

– Co cioci przyszło do głowy?

– No jak to? Żeby wysłać po ciebie Olka.

Aleksander nie zadzwonił do ciotki Rozalii z informacją, że nie zastał mnie już u pani Stefanii. Nie próbował się też dowiedzieć, czy na pewno dotarłam do domu. Pomyślałam, że straszny z niego ignorant. Z drugiej strony, może to i dobrze. Ciotka nie będzie dociekać, jak wróciłam. Te i inne myśli krążyły mi po głowie, gdy zwinięta w kłębek w łóżku próbowałam rozgrzać zziębnięte stopy. Nie pomagała nawet butelka z gorącą wodą. Prąd był tylko przez chwilę, ale zanim piecyk nagrzał się porządnie, już go wyłączyli.

Znowu nie mogłam spać, mimo liczenia baranów i tłumaczenia sobie, że jutro muszę wstać dużo wcześniej, by dotrzeć do pracy na czas. Rozmyślałam więc o wszystkim, a najbardziej o Wilku. Martwiłam się, czy nie wpadł w ręce milicji. Tak, martwiłam się o złodzieja, który ukradł komuś auto. O faceta, który mógłby siedzieć za to w więzieniu, który pił i kłął jak szewc. Za nic go nie potępiałam, chociaż moja matka powiedziała by, że te wszystkie postęпки są nieetyczne. Niemoralne. Jednoznaczna ocena czyjejs moralności może wydać się niesprawiedliwa. Wilk wyświadczył mi przysługę kosztem czyjejs krzywdy. Ale

obiecał, że mnie odwiezie. I próbował to zrobić, bo jest honorowy. To taka walka na przewagę subiektywnych wartości. Za nic go nie potępiałam, ponieważ korzystałam z tego zła. To trochę jak z osławionym Janosikiem. Był rozbójnikiem, ale ci, którym pomagał, i tak trzymali jego stronę.

Nienawidziłam budzika. Dzwonił zawsze wtedy, gdy najchętniej przewróciłabym się na drugi bok i zatopiła pełną snów głowę w poduszkę. Nawet otwieranie oczu nie miało sensu, bo i tak było jeszcze ciemno. Ranek przyniósł jednak niespodziankę: z przyjemnością stwierdziłam, że włączyli prąd, a temperatura w pokoju osiągnęła wreszcie przyzwoity poziom. To również oznaczało, że ruszą tramwaje. Nie musiałam się więc tak śpieszyć i mogłam pozwolić sobie na pół godziny leniuchowania. Mój człowiek też się obudził i wyprawiał w brzuchu harce.

Do pokoju zajrzała ciotka Rozalia. Widząc, że się podnoszę, zapaliła lampę i przysiadła na brzegu mojego łóżka.

– Nie musisz jeszcze wstawać – powiedziała i po raz pierwszy od mojego przyjazdu pogłaskała mnie po włosach, a ja aż przymknęłam oczy, tak bardzo spragniona byłam czułości.

– Nie? – mruknęłam leniwie i przytrzymałam jej rękę. Zaśmiała się z tego mojego dziecinnego gestu.

– Nie. Pani Alicja zabiera dziś babcię na badania. Wzięła wolny dzień. Właśnie odebrałam telefon.

– Nie mogła mi o tym powiedzieć wczoraj?

– Nie wiem. Może zapomniała. Ale pomyślałam sobie, że skoro ty też masz wolny dzień, mogłybyśmy wybrać dla ciebie materiał na sukienkę, przecież za dwa tygodnie jest studniówka.

– Nie pójdę na studniówkę – skrzywiłam się. – Jestem gruba, poza tym nie lubię swojej klasy. Co to za studniówka w wieczorowej szkole?

– Jak chcesz – powiedziała. – W takim razie zabieram się do swojej pracy, a ty zaplanuj ten dzień po swojemu.

Wstała i już zmierzała do wyjścia, kiedy ją zatrzymałam.

– Ciociu...

Cofnęła się i spojrzała na mnie pytająco.

– Dlaczego ciocia go nie chciała?

– Kogo? – zdziwiła się.

– Ojca Aleksandra – wyjaśniłam.

– Ojca Olka? Jerzego?

– Tak.

- Wiesz jak to jest... Można wybrać się w bardzo długą podróż, żeby poznać świat i wszystko przegapić. Ja go przegapiłam, Anito.
- To znaczy?
- Chyba go nie doceniłam.
- Dlaczego?
- Bo on robił rzeczy małe, z pozoru nieistotne i łatwo było przeoczyć, że zawierał w nich to, co najważniejsze w życiu: dobroć, lojalność, szacunek, przyjaźń. A ja wyglądałam wielkiej miłości, czekałam na nią i bałam się, że jej nie otrzymam. Tymczasem on podawał mi ją każdego dnia małymi porcjami...
- W takim razie jak poznać człowieka, żeby go nie przeoczyć?
- Doceniać. A żeby nie mieć wątpliwości, może wystarczy czasem umiejętnie pytać.
- Ale pytania, które stawiamy, bywają sugestywne, prowokują odpowiedź.
- Przecież mówię, że umiejętnie – odparła, potarła moje włosy i z tym swoim uśmiechem, który tak lubiłam, opuściła pokój.

To chyba nie jest ważne, ile czasu kogoś znamy. Ważne jest, na jak długo zamieszkał w naszym sercu. Możemy pielęgnować wspomnienia lub drzeć je na strzępy. A to, czy posłusznie odejdą, czy będą wracać, złośliwie szczerząc zęby, zależy nie tylko od nas samych, lecz od ludzi, którzy nas otaczają.

Może mogłabym dla Dawida ocalić skrawek miejsca w swoim życiu, przywrócić wspomnienie rozgrzanego piasku nad jeziorem, równie rozgrzanych ciał. Może umiałabym do niego wrócić i wybaczyć coś, co powoli przestawało być ważne. Ale chyba już nie chciałam. Coraz więcej myśli w mojej głowie zajmował Wilk.

Zima trwała, lecz nie była już tak dokuczliwa. Prócz tego, że co dzień pracowałam u pani Stefanii, skupiłam teraz uwagę na maturze i zbliżającym się wielkimi krokami wydarzeniu, do którego miałam dość ambiwalentny stosunek. Rozpychający się we mnie człowiek miał przyjść na świat niedługo, co przyjmowałam z paniką, ciekawością, ulgą i przerażeniem jednocześnie. W ciotce Rozalii, osobie, która otworzyła przede mną serce i dom, nagle zaczęły budzić się wątpliwości. Przypomniałam sobie rozmowę, którą odbyłyśmy, szykując wigilię. Przebąkiwała między wierszami, że nie bardzo wyobraża sobie swojej pracy przy akompaniamencie niemowlęcego kwilenia. Miała nawet w związku z tym pewien plan. Ale po kolei.

Szłam krok po kroku po śladach wygniecionych w wilgotnym śniegu. Szłam bezmyślnie i właściwie nie interesowało mnie nic poza stawianiem stóp w wyłobionych pozostałościach czyichś wielkich butów. Śnieg padał tego dnia leniwie. Sfruwał z chmur z rzadka, lekko i bezszelestnie, jak płatki czereśni. Wracałam z poczty, gdzie załatwiałam sprawy pani Stefanii. Dzień był przyjemny jak na koniec lutego, a ja nie musiałam śpieszyć się z powrotem. Zapadał zmierzch i właściwie kończyłam swój dyżur. Ulica kołysana falą samochodów bryzgała pośniegowym błotem, a nawet czerniała gdzieś tam asfaltem, bo pługi uporały się wreszcie z grubą warstwą zalegającą na drogach. Ślady wielkich butów skręciły w boczną uliczkę, straciłam więc zainteresowanie i uniosłam głowę. Naprzeciw mnie szedł Krzywy. Musiał zauważyć mnie

wcześniej, bo do twarzy przylepił ten swój lekko zblazowany, bezczelny uśmiech. Skinął głową na przywitanie i pewnie minąłby mnie, nie zaczepiając, gdybym się nie zatrzymała. Przystanął również i spojrzał pytająco. Właściwie nie miałam mu nic do powiedzenia, zatrzymałam się odruchowo, bez żadnego celu. Szukałam w głowie jakiegoś punktu zaczepienia, byle nie stać przed nim tak głupio, bez słowa. I wtedy złapał mnie skurcz. Szarpnął, przytrzymał i zaraz odpuścił, jakby ktoś ścisnął mój brzuch gigantycznym imadłem. Przymknęłam oczy i zagryzłam wargi.

– Co jest? – odezwał się Krzywy, a zblazowany uśmiech natychmiast ustąpił miejsca niepokojowi. Właściwie miał w tej chwili minę spłoszonego zająca. Najchętniej wzięłby nogi za pas i uciekł. Widocznie wyczuł, że coś jest na rzeczy i nie chciał zostać sam z kłopotem.

– Krzywy... Nie wiem, chyba rodzę – oznajmiłam z przejęciem.

– Tutaj? – zdumiał się i rozejrzał wokół z paniką w oczach.

– No... Zrób coś. Ja ci pomogłam, jak cię ktoś poharatał...

– Ja? – zadał retoryczne pytanie, bo przecież nikogo innego przy nas nie było. Pokiwałam więc tylko głową i zacisnęłam zęby, choć już wiedziałam, że był to fałszywy alarm.

Zaklął jękliwie, jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś w ten sposób klął, potem złapał mnie pod łokieć, jak gęś pod skrzydło, zaczął mnie gdzieś ciągnąć.

– Ej, Krzywy, co ty robisz? – usiłowałam się uwolnić z uścisku, ale trzymał mocno.

– Ty chyba musisz gdzieś usiąść, nie? – sapał. – Tam, za garażem widziałem dwie skrzynki. Posadzę cię i pobiegnę na pogotowie, co? Dobrze kombinuję? Jeeezu, że też musiałem teraz tędy iść – sapał, klął i narzekał na przemian.

– Dobra, Krzywy. Już mi przeszło, rozmyślałam się – wyrwałam mu się wreszcie i poprawiłam kurtkę, bo guziki miałam prawie na plecach. Z wrażenia wszystko przestało mnie boleć. – Później sobie urodzę, mam jeszcze miesiąc.

– A to tak można? – stał i gapił się na mnie z półotwartą gębą, jak baran na wodę.

– Co można? – nie zrozumiałam.

– No, tak sobie rodzić, kiedy się chce...

– Nie wiem. W każdym razie mi chwilowo przeszło.

Znów zaklął, tym razem świszcząco i z podziwem.

– Co u Wilka? – zmieniłam temat, bo nie widziałam go od czasu gdy odwoził mnie w tamtą zawieruchę.

– Nie wiem dokładnie. Ktoś go widział w warsztacie u Zenka. Składał sobie

brykę.

– U jakiego Zenka?

– Wszyscy znają Zenka – obruszył się. – Montuje samochody z części, wiesz... Rozmontowuje jedne i składa z nich inne. Żebyś widziała, jaki Wilk dla siebie złożył! – gwizdnął.

– Aha z zepsutych, tak?

– Zaraz tam z zepsutych – mruknął. – Lepiej nie pytaj, za dużo wiedzieć nie zawsze jest zdrowo... Kiedy do nas przyjdiesz? Ostatnio Florka mówiła o tobie.

– Co mówiła?

– Że dawno cię nie widziała.

– Zimno, więc rzadko gdzieś chodzę... Krzywy, to mieszkanie, w którym się spotykacie... Czyje ono jest właściwie?

– Czyje? Komunalne przecież. Moi starzy tam mieszkają.

– Nigdy nie ma ich w domu, czy co?

– Nie ma. Ojciec siedzi, a matka poszła gdzieś w cug i już nie wróciła. Teraz ja tam mieszkam, a właściwie to mieszka tam każdy, kto nie ma gdzie spać – zarechotał. – To co? Przyjdiesz?

– Przyjdę – obiecałam. – Na razie mam mało czasu, uczę się do matury.

Krzywy pociągnął nosem i chwilę pogapił się na mnie z szacunkiem.

– No – skwitował tylko.

Ponieważ wyczerpaliśmy temat, pożegnałam się z nim i ruszyłam w stronę przystanku tramwajowego. Jeszcze nie zdążyłam zbliżyć się do wiaty, gdy nieoczekiwanie podszedł do mnie Aleksander. Naprawdę zaskoczyło mnie to spotkanie.

– Dzień dobry – rzekł uprzejmie, choć bardzo oficjalnie, i uchylił kapelusza.

– O... skąd pan tutaj? – zdziwiłam się.

– Przejeżdżałem tędy, zauważyłem cię i pomyślałem, że mogę odwiedzić cię do domu. Umówiliśmy się, że nie będziesz mówiła do mnie „pan”, nie pamiętasz? – zganił mnie. – Pozwolisz się zaprosić? – dodał już łagodniej.

– No pewnie, nie będę musiała marznąć na przystanku – ucieszyłam się. – I dobrze, nie będę mówiła „pan”, choć nie mogę się przyzwyczaić.

Wyciągnął rękę po siatkę, w której niosłam butelkę śmietany i kostkę topionego serka. – Podziękowałam za pomoc, ale tak się naindyczył, że natychmiast mu ją wręczyłam, choć wydawało mi się to sztuczne i śmieszne.

Biały fiat stał na poboczu, dwoma kołami na chodniku. Aleksander z dumą wyjął z kieszeni kluczyki, podrzucił je do góry i zerknął na mnie z ukosa. Nie

każdy miał szczęście być posiadaczem samochodu, cóż dopiero tak modnego ostatnio dużego fiata. Może więc oczekiwał, że zapieję z zachwytu. Ponieważ nie zareagowałam, otworzył przede mną drzwi i starał się upchnąć mnie w środku, chociaż bardziej mi w tym przeszkadzał, niż pomagał. Wpakowałam brzuch, potem resztę siebie i z ulgą rozsiadłam się na miejscu obok kierowcy. Wtedy zauważyłam coś znajomego. Z lusterka zwisał pajacyk z nogami ze sprężynek. Zrobiło mi się gorąco. Istniała wprawdzie możliwość, że takich pajacyków jest więcej, a ja mam po prostu do nich jakieś cholerne szczęście.

– Jaki cudny! – zawołałam przebiegle, gdy Aleksander usadowił się obok. – Skąd go masz?

– A nie wiem. Poprzedni właściciel sprzedał mi go razem z samochodem. Podoba ci się? – zapytał. – Chcesz go sobie wziąć?

– Nie, nie – zaprzeczyłam prędko. – Niech sobie wisi, bardzo tu pasuje – podkreśliłam i zawiesiłam go z powrotem na lusterku. Aleksander uśmiechnął się zdawkowo, dając mi do zrozumienia, że jak na dyrektora poświęcił i tak zbyt dużo czasu jakiejś tam maskotce.

– Dawno kupiłeś ten samochód? – badałam.

– Dwa miesiące temu – odparł z dumą. – Ostatnio omal go nie straciłem, na szczęście szczęśliwie się odnalazł.

Serce zatrzymało się na moment, gdy siląc się na swobodny ton, zapytałam:

– Tak? Kiedy?

– W tę okropną śnieżycę. Twoja ciotka zadzwoniła do mnie późnym wieczorem i bardzo zmartwiona poprosiła, żebym cię odebrał od tej kobiety...

– Od pani Stefanii.

– Właśnie. Zostawiłem auto dosłownie na chwilę pod jej bramą, a sam pobiegłem na górę. Ciebie już tam nie było i samochodu na dole też nie było. Ani śladu! Zgłosiłem na milicję. Znaleźli go na placu jakiegoś warsztatu, blisko Parku Południowego. Jakiś łobuz pewnie chciał się zabawić albo sprzedać majstrowi.

– Dobrze, że się znalazł – zauważyłam ostrożnie, żeby nie zdradzić emocji. Co by było gdyby Wilk przerobił go na części w warsztacie niejakiego Zenka? – przemknęło mi przez myśl.

Deszcz tłukł o szyby, a ja leżałam bezsenna i wymyślałam lepszy epilog historii mojej i Dawida. Nie musiała kończyć się macierzyństwem. Albo inaczej: nie musiała kończyć się samotnym macierzyństwem. Kiedy wmawiałam sobie niechęć do tych wspomnień, jego twarz przypląwała, stawała się wyraźniejsza, jakby czuł, że chcę zapomnieć i bronił tamtej chwili, gdy razem frunęliśmy do

nieba. To było osiem miesięcy temu. Najwyższy czas przestać tęsknić za czymś, co...

Kap... kap... to kapanie było gdzieś blisko, tuż obok mojego łóżka. Najpierw co kilka sekund, potem coraz częściej. Opuściłam nogi na podłogę i zetknęłam się z zimną kałużą. Zapaliłam lampę. Podłoga błyszczała mokrą plamą, powiększającą się z każdą chwilą. Wybiegłam do łazienki i z szafki wydobyłam blaszaną miskę i postawiłam ją pod miejscem, w którym przeciekał sufit. Nie chciałam budzić ciotki Rozalii. Pewnie nie znalazłaby lepszego rozwiązania. Położyłam się i przykryłam kołdrą po uszy. Hałas nasilał się, był teraz donośny jak trąby jerychońskie. To było nie do wytrzymania. Zasnęłam, gdy wody w misce było na tyle dużo, że dźwięk przerodził się w chlupot.

Ranek rozpoczął się bieganiną ciotki, wydzwanianiem do różnych fachowców i pomstowaniem, że dawno już zgłaszała dach do remontu. Ja natomiast jak co dzień ruszyłam do pracy. Pani Stefanii zdjęto gips. Uczyła się chodzić na nowo, najpierw z pomocą balkoniku, potem laski. Cieszyłam się, że radzi sobie coraz lepiej, bo przecież niedługo będę miała inne zajęcie i przestanę jej pomagać. Nie marnowała czasu, kiedy była unieruchomiona. Co jakiś czas otrzymywałam od niej nowe ubranko dla małego człowieka. Pruła swoje swetry, w których dawno nie chodziła i przerabiała je na skarpetki, czapeczki i mnóstwo innych drobiazgów. Bardzo dbała o to, bym oswajała się z myślą, że słowo wkrótce stanie się ciałem. Można powiedzieć, że dzięki niej łatwiej mi było czekać.

Trwał marzec, a zima wciąż nie chciała ustąpić. Znów padał śnieg, łaskotał dachy domów. Te widoczne z naszego poddasza przykryły się białym kożuchem, dając do zrozumienia, że do prawdziwej wiosny jeszcze daleko. Mróz zelżał, ale całkiem nie odpuścił. I pewnie dlatego Aleksander coraz częściej przejeżdżał przypadkiem obok przystanku, na którym stałam. Przywoził mnie do domu, gdzie wstępował nader chętnie, wydobywał z czarnej skórzanej teczki czekoladki z wiśnią w środku, kilka deko szynki albo pomarańczę, czyli to wszystko, czego nie było w zwykłych sklepach, a jedynie w tych komercyjnych. Wręczał mi je z miną świętego Mikołaja, stwierdzając, że powinnam dobrze się odżywiać. Dorzucał do tych rarytasów porcję niestrawnych uwag, na przykład, żebym nie oblizywała łyżeczki od herbaty, nosiła luźniejsze kiecki i nie zakładała nogi na nogę, bo to źle wpływa na krążenie. Przyjmowałam tę troskę z niejakim zdziwieniem, ale w końcu wytłumaczyłam sobie, że obudził się w nim instynkt ojcowski i z braku własnej córki postanowił roztoczyć opiekę nade mną, a pośrednio nad moim nienarodzonym jeszcze dzieckiem. Podzieliłam się wrażeniem z ciotką Rozalią,

lecz ona uśmiechnęła się tylko pokerowo, jak to miała w zwyczaju i nie skomentowała tego ani jednym słowem. Korzystałam więc z życzliwości Aleksandra, przyjmowałam drobne upominki, zaproszenia do kina albo kawiarni, dotrzymywałam towarzystwa na spacerach i znosiłam delikatne uwagi, bo on robił to wszystko, jak podkreślał, dla mojego dobra. Lubiłam go, chociaż mnie trochę peszył. Różnica wieku między nami była znaczna i nie umiałam traktować go jak kolegi.

Jednocześnie na mojej drodze stawała Florka albo ktoś z jej drużyny i siłą rzeczy przywiązywałam się do siebie coraz bardziej. Uwielbiałam spotkania w Kwadracie, jak nazywali lokum w kamienicy o zielonych drzwiach. Lubiłam pozamysłowe, niejednoznaczne dyskusje z ich lokatorami, których podejrzewałam zawsze o stan lekkiego upojenia. Zniszczony pokój, w którym przesiadywałam, wypełniał się zagadkową, trochę metafizyczną atmosferą, gdy płonęły ustawione na podłodze świece. Używałam ich z konieczności, bo prądu tam w ogóle nie było, bez względu na stopień zasilania. W ich blasku zanikały defekty, a pojawiały się tańczące cienie ogarniające mgławą przestrzeń. Powoli przyzwyczajałam się do smrodliwych popielniczek, oparów taniego wina i bluźnierstw padających z ust moich przyjaciół. Oczywiście, mieli wady, każdy z nich inne, tak jak różne były ich charaktery. Łączyła ich jednak szczerłość, upór w trwaniu przy własnych poglądach i specyficznie pojęty honor. Mimo że pochodziłam z tak zwanego lepszego domu, skończyłam więcej klas, a teraz przygotowywałam się do matury, oni zadziwiali mnie swoimi życiowymi dewizami. W duchu przyznawałam się do tego, że mi nawet imponowali. „Kundle” wychodziły z założenia, że jeśli chcesz sprawiedliwości, musisz ją sam wymierzyć, Krzywy kierował się stwierdzeniem, że świętym nigdy nie będzie, więc nie trzeba się o niego zamartwiać, a w zło nie należy wierzyć, dopóki się od niego nie umiera. Wilk mawiał, że wszelkie żale należy zawsze pochować razem z bólem, a krzywdę wybaczyć, bo inaczej człowieka zeżre. Nie zawsze się chyba jednak stosował do własnych założeń. Ten brak konsekwencji dostrzegałam zwłaszcza wtedy, gdy krzywił się przy tych słowach albo spluwał pod nogi. Nękało go coś, co nosił w sercu, ale nikomu nie wolno było tego dotknąć. Florka uważała, że trzeba być dumnym z tego, kim się jest, i tego się trzymała. W Kwadracie nie było miejsca na utyskiwanie i skargi na podłe życie. Całą paczkę łączyła niesamowita lojalność. Dzielili się wszystkim, co udało im się zdobyć. Mimo że tworzyli bardzo hermetyczną grupę, byli ważni i zwyciężali w międzydzielnicowych wojnach, przyjęli mnie jak swoją, i z tego byłam dumna. Czułam jednak gdzieś głęboko pod skórą, że nie powinnam

mówić o nich Aleksandrowi, zaś informacje o nim trzymałam w tajemnicy przed nimi. Nie lubili takich wymuskanych gogusiów jak on. Dlatego miałam nie lada kłopot, gdy Krzywy pewnego dnia przytargał do Kwadratu wózek. Głęboki dziecięcy wózek, owinięty wielką płachtą szarego papieru, jeszcze z metką. Postawił go obok pieca, usiadł przy stole i nie poświęcając mu więcej uwagi, nalał do szklaneczki trochę wódki i wychylił ją duszkiem. Prócz mnie i Florki był z nami jeszcze Pedro i to on jako pierwszy zainteresował się wózkiem.

– Skąd masz tę karete? – zapytał i podszedł, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Rzucili towar, to wzięłam – odparł Krzywy niby obojętnie i natychmiast uciekł wzrokiem. – Ance się przyda, nie? – zerknął na mnie ukosem.

– Ale... – zająknęłam się, bo zamierzałam kupić używany wózek w komisie. – Ile to kosztowało?

– Przyniesiesz flaszkę i wystarczy – mruknął.

– Flaszkę? – zachnęłam się. – Flaszkę to mogę dorzucić gratis. Ile zapłaciłeś za wózek?

– Anka, dam ci wózek, ty mi dasz flaszkę i będziemy kwita, kumasz? – podniósł głos. – Cholera jedna wie, ile to kosztowało.

– Jak to? – jęknęłam. Zaczęłam podejrzewać, że Krzywy ukradł wózek.

– Zwyczajnie nie wiem. Ludzie się rzucili jak na mięso. Bierzesz, czy mam go komuś opylić?

– Bierz, nie bądź głupia – wtrąciła Florka. – Jak Krzywy chce flaszkę, to mu przynieś i już. Resztą się nie zajmuj.

Szczerze mówiąc, miałam dylemat. Teraz byłam już prawie pewna, że Krzywy minął się z prawem. Jeśli nie wezmę wózka, on go sprzeda, a pieniądze przepije. Jeśli wezmę, będę cały czas drzeć, że ktoś go rozpozna i nazwie mnie złodziejką. Zanim odpowiedziałam, przyszedł Wilk. Nawet się nie przywitał, tylko podszedł do Krzywego, odciągnął go na bok i coś szeptał. Następnie sięgnął do kieszeni po portfel, wysupłał kilka banknotów, wcisnął Krzywemu i wypchnął go za drzwi. Potem usiadł, wyciągnął swoim zwyczajem nogi i nieoczekiwanie zwrócił się do mnie:

– A jeśli zapyta, czy kochałaś tatę, co odpowiesz?

Zaskoczył mnie. Ale Wilk zawsze mnie zaskakiwał.

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym – odparłam niepewnie.

– To źle. Ja pytałem o to swoją matkę. Mówiła, że kochała. Dopiero później się okazało, że było inaczej...

Aleksander o nic nie pytał. Wpakował bez słowa wózek do bagażnika i zawiózł do domu. Dopiero tam usiadł naprzeciw mnie i rozpoczął przesłuchanie.

Pytał. Dociekał. Nie wierzył. Denerwował się, kiedy w jednym zdaniu, w dodatku zapożyczonym od Krzywego, wyjaśniłam sytuację.

– Rzucili towar, to wzięłam.

– Rzucili towar? I tak od razu wzięłaś? Mogłaś zapytać mnie o zdanie, nie musiałaś się śpieszyć. W Peweksie upatrzyłem właśnie piękny model.

– Dlaczego właśnie ty miałabyś kupować? To śmieszne. Zresztą, jak widzisz, poradziłam sobie.

Zamilkł i długo mierzył się z własnymi myślami, zanim rzekł:

– Anito, nie musisz radzić sobie sama. Masz mnie.

– Mam ciebie? Co to znaczy? Nie jesteś moim ojcem. Nie masz chyba zamiaru mnie niańczyć.

Znowu zamilkł, a ja stropiłam się pod jego badawczym i przenikliwym spojrzeniem.

– Mam taki zamiar. Chcę się z tobą ożenić – oznajmił.

Nie ukrywam, że przez dobrą chwilę pozbawił mnie nie tylko pewności siebie, ale również umiejętności złożenia jakiegoś logicznego zdania. Gapiłam się na niego bez słowa, gdy on tymczasem wstał, przeszedł się po pokoju z założonymi do tyłu rękami, jak na dyrektora przystało, wreszcie usiadł bardzo blisko mnie.

– Ustaliliśmy, że zostaniesz moją żoną – oświadczył spokojnie.

Zaczerwieniłam się po cebulki włosów. Nie z panińskiego zawstydzenia. Z wściekłości.

– Co? Kto ustalił? – zapytałam, ledwie panując nad sobą.

– Ja i twoja ciotka – wyjaśnił, chrząknął i poprawił krawat. – Długo zastanawialiśmy się nad tym, ale okoliczności wskazują na to, że tak będzie najlepiej. Zwłaszcza dla ciebie.

Miałam wprawdzie mgliste podejrzenia co do jakiejś intrygi, którą knuli wraz z ciotką Rozalią. Nie wiedziałam, które z nich było inicjatorem, niemniej momentami nabierałam co do tego coraz większej pewności. Nie spodziewałam się jednak spisku tego rodzaju.

– Okoliczności? Ustaliłeś z moją ciotką? Oszalałeś? To ożeń się z nią, nie ze mną – syknęłam.

Natychmiast wstał z miejsca, jakby uznał, że mój pomysł nie jest taki nedorzeczny. Spodziewałam się, że pójdzie do pokoju ciotki i padnie przed nią na kolana. Ale nie o to mu chodziło. Staął naprzeciw mnie i uniósł rękę do góry, żeby zatrzymać dalszy potok słów, który cisnął mi się na usta.

– Uspokój się. Jeśli mnie wysłuchasz, sama się przekonasz, że to jest bardzo

rozsądne rozwiązanie – tłumaczył tonem, jakim przemawia się do osoby mało roztropnej. – Wychowanie dziecka nie jest łatwą sprawą. Przydałaby ci się męska pomoc, a ja... – przerwał nagle i zaczął z innej beczki. – Nie bądź głupia. Oferuję ci mieszkanie, pieniądze, samochód, siebie. Chyba nie odrzucisz tego lekką ręką? Przecież... – Przymknął oczy i nabrał powietrza w płuca. – Twoja ciotka jest tego samego zdania. Tylko, żebyś nie przypuszczała, że chce się ciebie pozbyć, bo tak nie jest – zastrzegł szybko. – Ale wydaje mi się, że powinnaś o niej też pomyśleć... Rozumiesz chyba, że jej praca wymaga skupienia, a niemowlę, wiadomo, będzie płakać, potem łązić po całym domu, ściągać wszystko, dokumenty, papiery... To mieszkanie jest stanowczo zbyt małe na przyjęcie dziecka. Poza tym... Poza tym panna z dzieckiem i tak nie znajdzie sobie męża – rzekł proroczo i nie bez satysfakcji.

Milczałam.

– Musisz pomyśleć o sobie, bo złamiesz sobie życie, tak jak ona – tłumaczył dalej. – Co jej z tego przyszło, że odrzuciła propozycję mojego ojca? Nic. Teraz jest sama jak palec.

Nadal milczałam, a on patrzył na mnie wyczekująco.

– Odezwij się wreszcie... No? Co ty na to? – zniecierpliwił się.

– To jakiś absurd. Przecież ja nic do ciebie nie czuję – oznajmiłam nijakim głosem. – Kompletnie nic. Jak mam być żoną faceta, który obchodzi mnie tyle co zeszłoroczny śnieg?

– Och – odetchnął z ulgą. – Tylko tyle? To nic takiego, miłość przyjdzie, nawet nie zauważysz kiedy! – zawołał z optymizmem i widziałam po nim, że zrobi wszystko, by mnie przekonać. – A zeszłoroczny śnieg też ma swój urok – dodał wesoło. – Może jest nieco przestarzały, ale... Pomyśl racjonalnie – kontynuował. – Na moim stanowisku wypada mieć żonę. Ja nie mam czasu jej szukać i przyznam, że spadłaś mi jak manna z nieba, mimo że jesteś trochę za młoda. No i z dzieckiem, które niestety, nie jest moje – skrzywił się. – Ty za to, wychodząc za mnie, zyskasz dla niego ojca, a w dodatku od razu zostaniesz panią dyrektorową. To chyba coś znaczy, prawda?

– Dla mnie nic nie znaczy. Nie kocham nawet jednego włosa na twojej głowie.

– Anita... – zawahał się. – Jakby tu powiedzieć... Ja też cię nie kocham, ale pracuję nad tym. Przecież ty również możesz się postarać.

Milczałam jak grób.

– To jak? Zastanowisz się? – zapytał już mniej pewnie.

Nie odpowiedziałam.

– W takim razie zostawię cię teraz samą, a ty to przemyślisz, dobrze? – powiedział i wymknął się przez półotwarte drzwi.

Ciotka Rozalia przyszła zaraz potem. Wniosła tacę z herbatą i ciastkami, przyniesionymi zresztą przez Aleksandra, usadowiła się na moim łóżku i zagała:

– A wiesz, Anito, że czasem podejmując pochopną decyzję, żałujemy jej przez resztę życia?

– Ciocia czegoś żałuje? – zapytałam niechętnie, bo tak naprawdę najbardziej w świecie pragnęłam teraz samotności. Miałam o czym myśleć.

– Tak. Nie jest dobrze być samemu na świecie. Znajomi, przyjaciele to nie wszystko. Każdy powinien mieć rodzinę, męża, dzieci, żeby na starość nie zostać samemu. Ja odrzuciłam człowieka, który chciał się ze mną związać. Tego żałuję. Dlatego uważam, że nie powinnaś odtrącać Aleksandra. On chce dać ci wsparcie, dom, chce być ojcem dla twojego dziecka. Powinnaś to docenić i zgodzić się na jego propozycję. Muszę ci powiedzieć, że ja mu bardzo w tej sprawie kibicuję.

– E tam, ciociu. Ten ciociu narzeczony i tak już umarł, więc nie ma ciocia czego żałować. A ja chętnie tu zostanę i się ciocią na starość zaopiekuję.

– Ech, nic nie rozumiesz – zirytowała się. – Dobrze wiesz, że nie o to chodzi. Poza tym, nie mówiłam ci, bo nie wiem jeszcze, kiedy to nastąpi, ale to mieszkanie jest przeznaczone do remontu. Dach jest do wymiany, więc tutaj, moja kochana, i tak nie możesz zostać. Ja też będę musiała się przenieść na czas remontu do jakiegoś wynajętego pokoju. Aleksander jest w stanie zapewnić ci dużo lepsze warunki. Powinnaś się cieszyć, że on chce się zaopiekować tobą i dzieckiem. Więc nie wydziwiaj, tylko bierz, co los ci daje – zdenerwowała się, zabrała swoją herbatę i ostentacyjnie opuściła mój pokój. Rola swatki chyba ją przerosła.

Noc. Na ulicy znów pogasły latarnie. Tym razem nie z oszczędności. To wichura zerwała przewody, wdarła się szczelinami, wyła, jakby chciała zagłuszyć myśli w mojej głowie. Co on powiedział? Ustalili, że się ze mną ożeni. Ustalili. I jeszcze to, że nie kocha, ale pracuje nad tym. Jak się pracuje nad miłością?

Krochmalone prześcieradło chłodziło, szeleściło, jak ten piasek w głowie. W dodatku jakieś szczypce chwyciły mnie od środka, ścisnęły mocno, by za chwilę puścić. Brzuch się napinał, aż wstrzymywałam oddech. I ten ból, który przyczajał się, odchodził, a potem wracał. Wsłuchiwałam się w siebie, liczyłam czas między skurczami. Najpierw odległy, jak echo, potem coraz bliższy... To

chyba już, to teraz. Wstałam, na miękkich ze strachu nogach podreptałam do pokoju ciotki i szarpnęłam ją za ramię. Nie musiałam nic mówić, żeby natychmiast otworzyła oczy. Zerwała się z łóżka i niemniej przejęta niż ja zadzwoniła po Aleksandra. Tak się umówili, znów za moimi plecami. Pal licha, w tej chwili wszystko mi jedno, kto zawiezie mnie do szpitala. Byle szybko, byle dostać się w fachowe ręce. Dygotałam z nerwów i zimna, gdy ubierałam się pośpiesznie. Ciotka pakowała podręczną torbę. Kapcie, ręcznik, mydło, koszula... Nie, koszulę dostanę szpitalną. Dowód, kartę przebiegu ciąży, nie można o niej zapomnieć. Książkę, jakieś krzyżówki, żebym się nie nudziła. Za oknem ciemno, wichura nie przestawała śmiać się, szydzić z moich nerwów, strachu, tego całego trzęsienia świata w moim ciele. I wreszcie kroki na schodach, szybkie, coraz szybsze. Miałam wrażenie że słyszę nawet przyspieszony oddech Aleksandra. Ciotka otworzyła drzwi i wyszła aż na schody, jakby chciała wszystko przyspieszyć, uwolnić się ode mnie, oddać w czyjeś ręce ten akt wdzierania się na świat nowego człowieka. Aleksander był opiekuńczy i czuły, jak nigdy. Ostrożnie sprowadził mnie po schodach, wcisnął do auta i zatrzasnął drzwi. Ruszyliśmy. On uśmiechał się uspokajająco, nawet coś do mnie mówił, ale go nie rozumiałam.

Światło w izbie przyjęć oślepiało. Zgodziłam się na wszystko, podpisałam, czego żądali, przez szybę pomachałam Aleksandrowi, który został gdzieś tam, w wolnym świetle na szpitalnym korytarzu. Ja byłam odtąd własnością personelu w białych kitlach, niewolnicą bólu, położnicą. Matką.

Siedziałam na komodzie wysuniętej na środek pokoju, ja matka. Ja, Madonna, z dzieciątkiem w ramionach. Ja, prawie narzeczona.

Oni wchodzili i wychodzili, wynosili moje rzeczy w szarych kartonach. Sąsiad mieszkający dwa piętra niżej, podpity dozorca i Aleksander kręcili się po mieszkaniu jak sępy, wyławiając z zakamarków to, czego nie zdążyłam spakować. Podekscytowana ciotka Rozalia dozorowała, przytrzymywała drzwi, podawała mi chusteczki. Nie chciałam się wyprowadzać, ale ona nie przyjmowała tego do wiadomości. Uznała jako rzecz oczywistą, że tak będzie lepiej, że się przyzwyczaję, że pokocham. Aleksander wypinał dumnie pierś, ilekroć ktoś zatrzymał się przy małej, żeby się nią pozachwycać. Sam również pochylał się nad nią, głaskał jednym palcem czarny mech na jej głowie, uczył się roli.

Siedziałam na komodzie, blada, ale z umalowanymi ustami, żeby nie wyglądać jak śmierć. Uczylałam się nowych przykazań. W bagażniku białego fiata ułożono moje życie, równo, karton przy kartonie. Aleksander, nominowany na ojca, wziął ostrożnie z moich rąk niemowlę i ruchem głowy wskazał mi drzwi. Jeszcze przez chwilę, uwięziona w ramionach ciotki, obrzucałam wzrokiem mieszkanie, które dało mi schronienie, spokój, bezpieczeństwo na krótki czas, gdy byłam kokonem.

Ja wcale tak nie chciałam. Nie miałam najmniejszej ochoty na opuszczenie ciotki, jej domu, na wiązanie się z człowiekiem, do którego nie tylko nic nie czułam, ale też nic o nim nie wiedziałam. Stałam się kobietą z dziewiętnastego wieku, o której decydują inni, tylko dlatego że jest panną z dzieckiem, bez pieniędzy i bez perspektyw. Nie miałam odwagi prosić ciotki Rozalii o skrawek dachu nad głową w momencie, gdy ona cieszyła się moim, wydumanym przez siebie, szczęściem. Nie miałam odwagi, ponieważ to właśnie ona była inicjatorką mojej wyprowadzki i bezsensownego związku. Ona to wszystko wymyśliła i przekonała Aleksandra. Twierdziła, że to dla mojego dobra. Mogłam spróbować wrócić do matki, do rodzinnego miasteczka, ale wracałabym na tarczy, a tego nie chciałam.

Dzień był kwietniowy, słoneczny, gdy jechaliśmy ulicami miasta. Minęliśmy

Park Południowy i wjechaliśmy w ulicę Armii Radzieckiej. Pod gmachem Radia i Telewizji parkowały samochody, z których wysiadali panowie w garniturach. Nie wiadomo dlaczego Aleksander westchnął na ten widok. Potem skręcił w prawo i ujrzałam dwa bloki z dużej płyty, upstrzone lasem kostropatych anten. Osiedle powstawało dopiero, kolejny budynek był jeszcze w budowie. Księżycowy krajobraz zakłócały wysokie dźwigi i koparki, pracujące z hałasem kilkadziesiąt metrów dalej. Nie było tu jeszcze zieleni, żadnych drzew ani trawników. Ale Aleksander i tak wyglądał na bardzo zadowolonego.

Nie byłam ciekawa tego, co tam dla nas przygotował. Znałam współczesne klitki w blokach z wielkiej płyty. W środku meblościanka, wersalka, stół. Zwyczajne sprzęty, identyczne we wszystkich lokalach, pod tymi samymi ścianami i w tych samych rogach. Drobne różnice mogły być w obrazach, chociaż i tak połowa lokatorów wieszała *Damę z łasiczką*, a druga połowa *Słoneczniki* van Gogha. Taka była moda. Mieszkanie Aleksandra wyglądało jednak zupełnie inaczej. Już od wejścia przez otwarte drzwi pokoju w oczy rzucała się niezwykła ilość roślin, wyrastających ze stojącej na podłodze olbrzymiej białej glinianej misy. Promienie słońca odbijały się w wąskich liściach egzotycznych gatunków traw i przywoływały na myśl świeżość letnich łąk. Zieleń na tle białych ścian w otoczeniu równie białych lekkich mebli na pierwszy rzut oka przynosiły odprężenie i spokój. Ściany zdobiły kreślone tuszem grafiki oprawione w czarne cienkie ramy. Pokoi było trzy. Aleksander pokazał mi jeszcze sypialnię w ciepłych brązach z wielkim starym łóżem w roli głównej, które, jak powiedział, zabrał z domu swoich dziadków. Najmniejsze pomieszczenie przeznaczył chyba dla Soni, bo prócz sosnowej komody i wąskiego tapczanu stało w nim dziecięce łóżeczko, a różowe ściany pokryte były kolorowymi obrazkami. Sterylnie czyste mieszkanie, w którym widoczna była dbałość o każdy detal, onieśmiewało mnie. Czułam, jak powoli tracę w nim resztki pewności siebie. Czułam się nieswojo i nie umiałam się tutaj poruszać. Nie potrafiłam odpowiedzieć jednoznacznie na wydawałoby się proste pytanie Aleksandra:

– No jak? Podoba ci się?

Zrobiłam nieokreślony ruch ręką.

– Widzisz – zauważył – jak się ma pieniądze, można mieć wszystko, nawet w takich wrednych czasach jak te. Wbrew pozorom te meble to nic szczególnego. Ot, kilka desek, które załatwiłem w tartaku. Wystarczy mieć pomysł, a ja miałem. Poskręcał mi je w swojej szopie taki jeden stolarz spod Kłodzka. Diabeł tkwi w szczegółach, jak to się mówi, czyli na przykład w kolorach. Nie wszystko

musi być brązowe i na wysoki połysk. To co? Podoba ci się?

– Tak... Bardzo ładnie – bąknęłam.

– Spójrz, tu jest balkon. Będziesz mogła wystawiać wózek, jak Sonia zaśnie. U ciotki Rozalii nie miałaś takich luksusów, przyznaj sama.

Przysiadłam na brzegu krzesła i rozejrzałam się ponownie. U ciotki Rozalii z pewnością nie było tak perfekcyjnie, ale klimat był swojski i mieszkałam tam bez skrupowania, które tutaj mnie ogarniało. Cóż, kiedy ona uważała, że z Aleksandrem będzie mi lepiej.

– Rozgość się, ja przyniosę twoje rzeczy – powiedział i zniknął za drzwiami.

Kartony, które wniósł, zburzyły harmonię tego domu. Moje drobiazgi, zdobiące dotąd pokój u ciotki, tutaj nie pasowały, więc zapełniły przeznaczoną dla mnie szufladę komody. Dostałam też trzy półki i kilka wieszaków w sypialnianej szafie, szklaną półeczkę w łazience i pół szafki na buty w przedpokoju. W kuchni podziału nie było, pewnie dlatego, że głównie ja miałam w niej królować, czyli krótko mówiąc, stać przy garach i dostarczać Aleksandrowi rozkoszy podniebienia. Do wieczora układałam swoje rzeczy, poznawałam zwyczaje gospodarza i oswajałam się z sugestią, że nie powinnam rewolucjonizować istniejących rytuałów. Po ułożeniu Soni w łóżeczku czekała na mnie kąpiel pachnąca zachodnimi olejkami, ze świecami i winem. Wszystko to przygotował dla mnie Aleksander. Pławiłam się w wodzie prawie godzinę, zastanawiając się, czego będzie oczekiwał w zamian. Ku mojemu zaskoczeniu, nie chciał niczego.

– Przygotowałem ci pościel w pokoju Soni – zakomunikował i po ojcowsku pocałował mnie w czoło. – Dobranoc.

Nie mogłam zasnąć. Sonia popłakiwała przez sen, wierciła się. Kilka razy wstawałam, by podać jej smoczek. Za ścianą głośno grało radio, z dołu dobiegały pijackie krzyki, ktoś kłął i wymiotował. Chciało mi się pić. Wygrzebałam się spod ciepłej kołdry i bosą, na palcach, żeby nie obudzić Aleksandra, podreptałam do kuchni. Ale on nie spał. Siedział przy kuchennym stole nad jakimiś rachunkami i wystukiwał cyferki na kalkulatorze. Na mój widok przerwał niezadowolony.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał.

– Tak, przyszłam po wodę.

Wstał i podał mi szklanę.

Od tego czasu na mojej nocnej szafce pojawił się dzbanek z wodą. Wyprzedzał moje myśli, starał się, żeby niczego mi nie brakowało albo... Albo z jakiegoś powodu nie chciał, żebym zaskakiwała go swoją obecnością.

Ogólnie rzecz biorąc, Aleksander prawie nie wtrącał się do mojego życia, pod warunkiem że wszystko biegło zgodnie z jego planem. A plan był taki: przede wszystkim nauka, zwłaszcza języka rosyjskiego. Nauka, nawet kosztem domowych obowiązków, ponieważ on sam doskonale sobie z nimi radził. Oczywiście, jeśli znajdę czas, by się włączyć, będzie szczęśliwy, ale z pewnością nie zamierza mnie z niczego rozliczać. Rosyjski miałam poznać do perfekcji, a po maturze zostać sekretarką w jego firmie, która ściśle współpracuje ze Związkiem Radzieckim.

Na początek wymienił całą moją garderobę – ze zgrzebnych peerelowskich ciuchów przesłał na modne, kolorowe szatki z Peweksu. Chciał, żeby wszyscy podziwiali jego przyszłą żonę, gdy pokazywał się ze mną na ulicy. Sonię też tam ubierał i trzeba mu przyznać, że nie żałował pieniędzy. Nagle przestałam współodczuwać z resztą społeczeństwa frustrację, że kraj stoi na krawędzi bankructwa. Moja sytuacja z dnia na dzień stała się komfortowa. Niczego nam nie brakowało, nie musiałam wystawać w długich kolejkach. Otrzymywałam też regularne kieszonkowe do własnej dyspozycji. Ale nie wydawałam tych pieniędzy. Wiedziona irracjonalną obawą nie wiadomo przed czym, skrzętnie je zbierałam do blaszanego pudełka po angielskich ciasteczkach, które zagrzebywałam w jego szafie. Mimo że moimi codziennymi obowiązkami była opieka nad Sonią i nauka do matury, Aleksander lubił, gdy w domu było czysto, a na stole o godzinie siedemnastej pojawiał się obiad. Nie domagał się tego, ale jeśli tak było, chwalił mnie jak małą dziewczynkę. Od zawsze pochwały motywowały mnie do działania. Toteż bardzo się starałam sprostać tym oczekiwaniom. Początki były trudne. Aleksander nie mógł ścierpieć, jeśli jakiś przedmiot zmienił raz ustalone miejsce albo coś zawisło na oparciu krzesła. Buty musiały być zawsze schowane do szafki, cukiernica napełniona, podłoga i meble bez drobiny kurzu. Jeśli nie zdążyłam sprzątnąć, nie komentował tego ani jednym słowem. Po powrocie z pracy zdejmował marynarkę, zawijał rękawy białej koszuli i zabierał się za porządki, nawet jeśli na stole czekał obiad. Och, jakież to było denerwujące! Do godziny ósmej, czyli do wyjścia Aleksandra z domu, głównie zajmowałam się Sonią i sobą. Kiedy wychodził, uwijałam się jak w ukropie, żeby zdążyć z porządkami, zakupami, obiadem, obowiązkowym spacerem i nauką.

W połowie maja, gdy Sonia kończyła dwa miesiące, przystąpiłam do pierwszego egzaminu. Doceniłam gest Aleksandra, gdy wziął na ten czas urlop i wspierał mnie w opiece nad dzieckiem. Zależało mu na tym, by wszystko przebiegało sprawnie, ponieważ zaraz po maturze planował zająć się ślubem.

Koniec maja przyniósł szczęśliwe zakończenie matury. Egzamin z języka rosyjskiego zdałam najlepiej i cieszyłam się, że Aleksander będzie ze mnie dumny. Nie śpieszyłam się jednak do domu. Późnym popołudniem, zaraz po odczytaniu wyników, udałam się do ciotki Rozalii, by pochwalić się rezultatem. Jakież było moje zdumienie, gdy zamiast niej zastałam w zrujnowanym mieszkaniu dwóch robotników, którzy siedzieli na drewnianej skrzynce i popijali piwo. Meble, zsunięte w jeden kąt, zostały zakryte starymi kocami i przyrzucone szarym papierem.

– Gdzie jest pani, która tutaj mieszkała? – zapytałam zaskoczona.

– Skąd mamy wiedzieć – odparł jeden z nich i ziewnął szeroko. – Robimy, co kazali i tyle. Niech pani sąsiadów zapyta, może powiedzą.

Zapytałam dozorca, ale ten, jak zwykle podpity, też nic nie wiedział. Byłam rozczarowana, że ciotka nie zawiadomiła nas telefonicznie o przenosinach. Teraz kamień w wodę. Zerknęłam na zegarek. Było parę minut po siedemnastej. Ponieważ Aleksander zajmował się Sonią, a ciotki nie zastałam, postanowiłam zaoszczędzony czas wykorzystać na wizytę w Kwadracie. Ciągnęło mnie tam jak muchę do lepu. Może chodziło o panującą wśród tamtejszych znajomych bez troskę, a może o sposób, w jaki traktowali życie i siebie nawzajem? W domu zastałam grających w karty „kundli”. Cygan zerknął na mnie znad wachlarza kart.

– Florki nie ma – mruknął niechętnie.

Pedro potraktował mnie nieco przychylniej.

– Masz wolne dwa złote? – zapytał. – Brakuje, a pić się chce...

– Mam – odparłam i wysupłałam z portmonetki drobne.

Pedro poderwał się z miejsca, wziął pieniądze, ale zanim wyszedł, zapytał uprzejmie:

– Jak chcesz browara, musisz jeszcze dołożyć.

– Chcę – roześmiałam się i wysypałam na dłoń całą zawartość portmonetki. – Wystarczy na dwa?

– Nawet na trzy – ucieszył się, zgarnął wszystko i wybiegł, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

– Siadaj, co tak stoisz – mruknął Cygan i odsunął nogą krzesło. – Schudłś czy coś... – zauważył, patrząc na mnie z zastanowieniem.

– Urodziłam – odpowiedziałam.

– Ano przecież – puknął się z ulgą w czoło, bo myślenie było dla niego zbyt wielkim wysiłkiem.

– Florka pracuje? – zapytałam, żeby podtrzymać rozmowę.

– Florka pracuje – parsknął i spojrzał na mnie z politowaniem. – No coś ty. Polazła gdzieś z Krzywym.

– A Wilk?

– Co Wilk?

– Wciąż pracuje w tym warsztacie u Zenka?

– Wilk nigdy tam nie pracował. On tam bywał. A Zenek prysnął.

– Prysnął? – zdziwiłam się.

– To chyba dobrze, nie? Wolałabyś, żeby go złapali?

– Nie, wiadomo, że nie – powiedziałam szybko, domyślając się, że nieuczciwy interes Zenka został namierzony. – Nie wiesz, gdzie jest Wilk?

– A co ty masz do tego Wilka? – spytał zaczepnie. – Nic, tylko Wilk i Wilk.

– Nic. Chciałam pogadać.

– To zaczekaj, przyjdzie wieczorem. Zawsze przychodzi.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie, jakby ktoś potraktował je kopniakiem i usłyszałam głos Florki:

– Właż idioto i siadaj. Z tobą są same kłopoty. Cygan, dawaj spirytus!

– Znowu szycie? – zapytałam i podniosłam się z krzesła. – Mogę potrzymać...

– Anka, jak Boga kocham! – zawołała Florka i już była przy mnie. – Kurde, myślałam, że już cię nie zobaczę! Nie, nie szycie, kolano rozwalil na asfalcie. Trzeba odkazić. Dawaj butelkę, Cygan! A ty? – zwróciła się znów do mnie – Gdzie masz bobo?

– W domu – wyjaśniłam krótko.

– A, w domu. No i dobrze. Dzieci powinny siedzieć w domu, jak matka idzie na piwo – roześmiała się. – Zaciśnij zęby, Krzywy – poleciała i chlusnęła na kolano spirytusem. Krzywy nawet nie syknął z bólu. Popatrzyła na niego podejrzliwie i powąchała butelkę. – Co to jest? Co jest w tej butelce? – Spróbowała i wypluła z obrzydzeniem na podłogę – Woda! Cholera. Kto wypił spirytus?

– Pedro – mruknął Cygan i zabrał Florce butelkę. – O, idzie właśnie.

Florka nabrała powietrza, ale odpuściła, ponieważ Pedro z dumą postawił na stole trzy flaszki wódki.

Florka gwizdnęła przeciągle i już chciała o coś zapytać, ale ten spojrzał znacząco na mnie, przymknął oczy i pokręcił przecząco głową, co miało zapewne oznaczać, że przy mnie i tak nic nie powie. Florka podeszła do niego i pacnęła go otwartą dłonią w tył głowy.

– Zuch – pochwaliła, po czym odezwała się do mnie:

– Gdzie ty się podziewałaś? Nie pracujesz już u starej?
– Nie. Odkąd mam Sonię, nie pracuję.
– Sonię? Co ty takie dziwaczne imię jej wybrałaś?
– Nie podoba ci się? Jakie miałam wybrać?
– Ja wiem... Andżelika albo Klaudia są ładne. A nie jakaś tam Sonia. Kiedyś cię przeklnie, zobaczysz. A poza tym co robisz? Chajtnęłaś się?
– Nie, jeszcze nie. Na razie zdałam maturę.
Florka przestała pytać, tylko patrzyła na mnie z podziwem.
– Gadasz – wtrącił się Krzywy. – Zdałaś?
– Tak. Dzisiaj były wyniki.
– Teraz będziesz nosa darła, co? – skrzywił się Pedro.
– Głupi jesteś – rzuciła Florka. – Anka taka nie jest... No to wypijmy za maturę! – złapała butelkę wódki ze stołu i otworzyła ją wprawnym ruchem.
Nawet nie odmówiłam, gdy podawała mi szklanekę. Nie smakowała mi jej zawartość, ale dla towarzystwa, jak to mówią, cygan dał się powiesić. Poza tym nie lubiłam, kiedy Florka nazywała mnie frajerką. Miałam już trochę w czubie, gdy ktoś nacisnął kławkę.
– Kto to? – zdziwiła się Florka. – Otwórz, Pedro, ty masz klucz.
– Co się tak zamykacie? – usłyszałam za plecami głos, na dźwięk którego serce zabiło mi mocniej.
– Wilk! – ucieszyła się Florka i po chwili wisiała już na jego szyi. Poczułam ukłucie zazdrości. Leciutkie, ale jednak.
– Cześć – przywitał wszystkich z uśmiechem i zdecydowanym ruchem zdjął z szyi ręce Florki. Boże, jakież on był przystojny! Gapiłam się na niego jak urzeczona. On wręcz przeciwnie, uśmiechał się do wszystkich, tylko nie do mnie. Kiedy wreszcie jego wzrok spoczął na mnie, natychmiast zmienił wyraz twarzy, a lewa brew powędrowała ku górze. Speszyłam się.
– Cześć – odpowiedziałam niepewnie.
Wilk rozsiadł się na krześle i sięgnął po papierosa. Przez chwilę miętosił go w palcach, skupiając na tej czynności uwagę nas wszystkich. Potem wbił we mnie zimne spojrzenie.
– Przestań tu przychodzić – rzekł stanowczo.
Wszyscy spojrzeli na mnie zaskoczeni, a ja, zupełnie nie rozumiejąc, o co chodzi, wstałam jak automat i patrząc mu prosto w oczy, zaczęłam zbierać swoje rzeczy: torebkę, apaszkę, porzuconą na stół portmonetkę.
– Ej, Wilk! Zwariowałeś czy co? – zaprotestowała Florka i złapała mnie za łokieć. – Nigdzie się nie wybierasz, słyszysz? – odebrała mi wszystkie drobiazgi

i rzuciła na łóżko.

– Zostaw ją, niech idzie. To nie dla niej miejsce – powiedział i spojrzał mi w oczy tak przenikliwie i ostro, że przeszły mnie ciarki.

– Odbiło ci, Wilk. Ona nigdzie nie pójdzie, zdała maturę, opijamy – upierała się Florka. Mówiła głośniejszym głosem niż zwykle, a język nieco jej się plątał.

– Widzę – mruknął nieprzyjemnie. – Wyjdź stąd, Anka – powtórzył twardo.

Krzywy zaklął i pochylił się w moją stronę.

– Co ty zrobiłaś?

– Nic. Nie mam pojęcia, o co chodzi – wymamrotałam. Kręciło mi się w głowie.

– Odbiło mu – pocieszała mnie Florka, wtykając mi do ręki wypełnioną do połowy szklanekę. – Siadaj, pij. To twoje święto.

Patrząc wyzywająco na Wilka, wychyliłam duszkiem całą zawartość i parsknęłam niepohamowanym śmiechem. Następnie osunęłam się na krzesło, bo nogi mi trochę zmiękły. Wilk uniósł brwi i odwrócił z obrzydzeniem głowę.

– Moja krew! – zawołała z uznaniem Florka i naląła mi nową porcję. Było mi niedobrze, ale teraz zrobiłabym wszystko, żeby Florka znów mnie pochwaliła. Wypiłam.

Pedro zaśmiał się cynicznie.

Cygan zmełł przekleństwo między zębami i pokręcił z podziwem głową.

– Ostro – rzucił z uznaniem. Podziwiali mnie, za to ich lubiłam.

Wilk nie wytrzymał. Złapał mnie za ramię, podniósł z krzesła, po drodze pobierał z łóżka moje rzeczy i dosłownie wyniósł mnie z Kwadratu. Przed domem czekał samochód, do którego wepchnął mnie bezceremonialnie i ruszył z piskiem opon. Jedyne, o czym myślałam, to żeby nie obrzygać mu tapicerki. Oparta o okno głowa podskakiwała bezwolnie na każdym najmniejszym wyboju. Zatrzymał się przed domem ciotki Rozalii.

– Wsiadaj – warknął.

Spojrzałam na niego nieprzytomnie. Wirował mi w oczach z tym swoim samochodem i całą ulicą.

– Ja tu nie mieszkam – wyplułam z siebie i zaczęłam chichotać. Byłam w takim stanie, że nawet nie było mi głupio, choć zachowywałam się jak skończona idiotka.

– Nie? – zdumiał się, bo pamiętnej nocy odprowadzał mnie w to właśnie miejsce.

– Nie – zapewniałam.

– To gdzie mieszkasz? – zapytał, kipiąc ze złości.

– Nie wiem, ale wysiadam – zgodziłam się szybko, żeby mu się dłużej nie narażać. – Tutaj właśnie wysiadam – powtarzałam w kółko, gramoląc się do wyjścia. Wcisnął mi w rękę moje rzeczy, przechylił się i otworzył drzwi z mojej strony. Jego policzek znalazł się tuż przed moją twarzą. Miałam ochotę ugryźć go w ucho albo zrobić coś równie głupiego, na szczęście ostatnie przebłyski świadomości mi na to nie pozwoliły. Chwiejąc się na nogach, pomachałam mu ręką i skierowałam się do klatki schodowej. Wtedy dopiero odjechał. Odczekałam dobrą chwilę, aż zniknie mi z oczu i, starając się równo stawiać kroki, ruszyłam na przystanek.

Na dworze było już zupełnie ciemno. Pierwsze gwiazdy rozświetlały niebo, a twarz owiewało chłodne, orzeźwiające powietrze. Powoli docierało do mnie zachowanie, jakim popisałam się przed ekipą Florki. Zwłaszcza przed Wilkiem, bo pozostali z pewnością byli przyzwyczajeni do podobnych ekscesów. Czułam się z tym źle, tym bardziej że na Wilku, na jego opinii zależało mi szczególnie. Gdy wszedł w swojej czarnej skórze, z włosami sięgającymi ramion, taki dziki, pachnący powietrzem, poczułam prąd na całym ciele, w brzuchu roztrzepotały się drobne skrzydełka podniecenia, jakbym za chwilę miała znaleźć się w jego ramionach. Nigdy tak się nie czułam. No, może chwilami przy Dawidzie... Tak, na pewno przy Dawidzie. Tymczasem to Florka zawiesiła się na szyi Wilka, wzbudzając we mnie uczucie zazdrości. Podobał mi się ten dziki człowiek. Niebezpiecznie mi się podobał. Nie mogłam sobie darować, że tak bardzo się przed nim skompromitowałam.

Alkohol szumiał mi jeszcze w głowie, dlatego nie przejmowałam się zupełnie, że siedziałam w Kwadracie, pozostawiwszy Sonię pod opieką Aleksandra. Teraz skóra ścierpła mi na myśl o tym, jak on mnie przywita. Tramwaj, na który czekałam, jak na złość nie przyjeżdżał, a czekał mnie jeszcze co najmniej kwadrans drogi. Zerknęłam na zegarek i jęknęłam z przerażenia. Minęła dwudziesta trzecia. O tej porze zwykle byłam już w łóżku po kąpieli, a Aleksander tkwił przy swoich rachunkach. Teraz na pewno wściekał się nad lamentującą z głodu Sonią, bo nie przygotowałam dla niej mieszanki mleka. Jasna cholera – zakląłam w duchu, a z nerwów znów zrobiło mi się niedobrze. Sterczałam na tym przystanku ponad kwadrans, kiedy tramwaj wreszcie się pojawił.

Niespełna pół godziny później wlokłam się po schodach na drugie piętro. Ręce wilgotniały mi z nerwów przed spotkaniem z Aleksandrem. Nie przypuszczałam nawet, że będę się go kiedykolwiek bać. W głowie miałam pustkę. Nie wiedziałam, jak wytłumaczę się z tak długiej nieobecności i z tego,

że śmierdzą wódką. Nie chciałam mówić o znajomych z Kwadratu. Za nic. Wyjęłam z kieszeni klucz, włożyłam do zamka i ostrożnie otworzyłam drzwi. Zegar w przedpokoju wskazywał prawie północ. W kuchni paliło się światło. Aleksander zwykle siedział plecami do wejścia, więc zajrzałam po cichu, naiwnie sądząc, że mnie nie zauważy. Ale jego tam wcale nie było. Na palcach przeszłam obok sypialni, wprost do różowego pokoju Soni. Uchyliłam drzwi, spod których wydobywała się smuga światła. Aleksander spacerował wzdłuż pokoju, kołysał moje dziecko w ramionach i nucił coś pod nosem. Na stoliku stała opróżniona butelka po mleku, które sam musiał przygotować. Kiedy weszłam, dał znak, żebym zachowywała się cicho, odłożył Sonię delikatnie do łóżeczka, nakrył ją kocykiem i pogłaskał po ciemnych włoskach. Potem skinął na mnie i zgasił lampę. Kiedy szedł za mną, czułam na plecach jego oddech. Nie wiem dlaczego pomyślałam, że gdyby chciał, mógłby mnie zabić jednym uderzeniem w tył głowy. Przy wejściu do salonu wyprzedził mnie i otworzył drzwi. Na stoliku przy sofie stał bukiet czerwonych róż i butelka szampana. Płonące świece stopiły się już do połowy.

– Długo cię nie było – powiedział surowo. – Nie zapytam, gdzie byłaś, ale chcę, żebyś wiedziała, że się martwiłem. Poza tym chciałem ci pogratulować pomyślnie zdanych egzaminów, ale widzę, że świętowałaś już z kimś innym. Czy zdajesz sobie sprawę, że zioniesz alkoholem na cały dom?

Milczałam, bo jedyne, co mogłam powiedzieć, to przyznać mu rację.

– W każdym razie i mimo wszystko gratuluje – rzekł i ruchem głowy wskazał róże. – Jak się domyślasz, to dla ciebie.

– Tak, dziękuję – bąknęłam z poczuciem winy.

– Ciotka Rozalia dzwoniła. Chciała wiedzieć, jak ci poszło. Poinformowała też, że wczoraj się przeniosła do wynajętego pokoju. Nie byłaś u niej, prawda?

– Nie. Byłam u znajomych – odparłam, jak uczennica. – Zasiedziałam się, przepraszam.

– U jakich znajomych? Nigdy nie mówiłaś o żadnych znajomych. – Sięgnął po butelkę z szampanem i sprawnie pozbawił jej korka. Rozlał do dwóch kieliszków i podał mi jeden z nich.

– To chyba bez znaczenia. Ty też nie mówisz mi o swoich – powiedziałam zaczepnie.

– No cóż. Nigdy nie pytasz o moje sprawy. Niewiele cię obchodzą. A po dzisiejszym wieczorze, tak ważnym wieczorze – podkreślił – który musiałem spędzić sam, zacząłem zastanawiać się... Wciąż nie wiem, czy powinienem... – mówił zacinając się, po czym sięgnął do kieszeni spodni i wydobył z niej małe

zawiniątko. – To jest pierścionek, który nosiła moja matka. Masz za sobą egzamin dojrzałości i pomyślałem, że to dobry dzień, by poprosić cię o rękę. Ale przyznam szczerze, że nie wiem, czy dobrze robię. To znaczy... Żebyś mnie źle nie zrozumiała, będę się starał, żeby ci niczego nie brakowało, żebyś czuła się ze mną szczęśliwa, ale sama wiesz, to nie tylko ode mnie zależy. A decyzja jest poważna, coraz lepiej to rozumiem.

– Wydawało mi się, że jesteś przekonany – bąknęłam, nawet nie patrząc na pierścionek, który odwijął z szeleszczącej bibułki.

– Ja tak – odpowiedział. – Co do mnie, jestem przekonany. Ale obserwuję ciebie odkąd tu zamieszkałaś. I tracę tę pewność. Kiedy wracam z pracy, nie widzę w tobie radości. Zachowujesz się, jakbyś przebywanie ze mną uważała za swój obowiązek. Kiedy tylko możesz, umykasz do pokoju Soni, jakbyś nie miała o czym ze mną rozmawiać. Ja to widzę, Anito. Jestem ci zupełnie obcy. Zawsze zostawiam otwarte drzwi do sypialni. Może gdybyś zechciała mnie tam odwiedzać, stalibyśmy się sobie bliżsi, ale przecież nie będę cię do tego zmuszał. Zwłaszcza przed ślubem. Musisz sama tego chcieć. Położę pierścionek tutaj, na stole. Jeśli włożysz go, będę wiedział, że zgadzasz się na to małżeństwo, ale jeżeli zostanie tu, też rozumiem. Nie musisz śpieszyć się z decyzją... Wypijmy – zakończył i trącił mój kieliszek swoim. – Za twój egzamin i nasze szczęście, jeśli go nie odtrącis.

Siedziałam na sofie całkowicie oszołomiona i zmieszana nie tylko wypitym wcześniej alkoholem, ale też tą przemową. Nie spodziewałam się po nim takiej szlachetności i wyrozumiałości. Zawsze uważałam, że jest raczej bezwzględny w sądach. Swoją drogą, co on sobie wyobraża? Że wtargnę mu nieproszona do łóżka? Otwiera drzwi do sypialni, rzeczywiście. Skąd mogę wiedzieć, czy mnie nie wyrzuci, jeśli przyjdę? Co za wspaniałomyślność, zostawić inicjatywę w moich rękach. Przecież nawet nie próbował ze mną flirtować. Nawet te, pozał się Boże, oświadczyzny nie były ani trochę romantyczne.

– Nic nie powiesz? – zapytał rozczarowany.

– Co mam powiedzieć? – odparłam z niespodziewaną złością. – Nigdy nie starałeś się mnie podrywać, a teraz masz pretensję, że nie włożę ci do łóżka.

Chyba go zaskoczyłam, bo zamilkł i nalał kolejną lampkę szampana.

– Wypijmy – wykrztusił zmieszany i znowu uniósł kieliszek w górę.

Wypiliśmy niemal duszkiem, potem zapadła cisza.

– Nie znam się na podrywaniu – powiedział po bardzo długiej przerwie grobowym głosem.

Znów piłam i znów miałam w czubie, więc parsknęłam śmiechem i

podstawiłam mu kieliszek.

– Nalej jeszcze – powiedziałam śmiało. Było mi wszystko jedno, co sobie o mnie pomyśli.

Nalał ze śmiertelną powagą, a może nawet z lekkim rozdrażnieniem.

– Nie rozumiem, co cię tak bawi – bąknął zmieszany.

Wypiłam trzecią lampkę szampana i rozluźniłam się zupełnie.

– Ty. Wyglądasz jak napuszony indor – roześmiałam się.

– Nie dam ci więcej szampana – oznajmił obrażony i zabrał ze stołu butelkę, w której i tak niewiele już zostało.

– Nie to nie – powiedziałam i wzruszyłam ramionami. – Mogę dzisiaj z tobą spać – dodałam wspaniałomyślnie, bo po dzisiejszej dawce procentów było mi wszystko jedno.

Przez chwilę gapił się na mnie jak baran na wodę.

– Jesteś pijana – stwierdził ze zdumieniem, jakby przez ostatnią godzinę osobiście nie poił mnie szampanem. – Lepiej się wyśpij – dodał zde gustowany. – Przygotuję ci kąpiel – westchnął i wyszedł do łazienki.

Sięgnęłam po pierścionek i z ciekawości wsunęłam go na palec. Chciałam zobaczyć, jak będzie wyglądał. Szmaragdowe oczko mieniło się w blasku świateł, rzucało krótkie refleksy. Pasował jak ulał. Podniosłam z podłogi butelkę i wypić wprost z niej resztę szampana.

Chyba zasnęłam w wannie, bo nie pamiętam, jak znalazłam się w łóżku. W swoim łóżku. Obudził mnie płacz Soni. Musiała krzyczeć od dawna, bo buzię miała całkiem siną i mokrą od łez. Kołderka była zupełnie rozkopana, a rączki zimne jak kawałki lodu. Otuliłam ją i pobiegłam do kuchni przygotować mleko. W przedpokoju potknęłam się o pozostawione kaptcie Aleksandra. Było już po ósmej. Na kuchennym stole znalazłam kilka dolarów, a na nich wyrwaną z notesu kartkę:

Dziękuję, że przyjął pierścionek.

Kup sobie coś ładnego.

Twój Aleksander.

Kolejny dzień w tym domu, na tym krześle, przy tym stole. Kolejny dzień obok mężczyzny, który ma wszystko, nawet nadzieję. Kolejny dzień z cholernym pierścionkiem na palcu, który włożyłam tak niefrasobliwie, a potem nie umiałam zdjąć go bez bólu, bo mężczyzna obok potrafił czekać. Tak powiedział:

– Poczekam, aż mnie polubisz.

Tego dnia wrócił z pracy dużo wcześniej. Wniósł zapach wody kolońskiej, której zawsze używał, którą był już był przesiąknięty cały dom. Wniósł również wyjątkowo dobry humor. Po wczorajszym pijaństwie leciało mi wszystko z rąk i nie byłam gotowa z obiadem. Aleksander zdjął jak zwykle marynarkę, zajrzał do Soni, potem zawinął rękawy i sprawnie posiekał warzywa na surówkę. Kończyłam smażyć kotlety, gdy on nakrywał do stołu, zacierał ręce i podśpiewywał coś pod nosem. Zerkalam na niego podejrzliwie, zastanawiając się nad przyczyną tak szampańskiego nastroju, ale on czekał widocznie na dogodny moment, by mi ją wyjawić.

– Nie pytasz, jakie przyniosłem wieści? – zagaił, gdy już siedzieliśmy nad pełnymi talerzami.

– Od dłuższego czasu mnie to intryguje – przyznałam. – Ale przyzwyczaileś mnie przecież, że mówisz tylko wtedy, gdy sam tego chcesz.

– Przepraszam cię, złotko – zaszczębiotał i ucałował moją dłoń. – Wybacz, że cię tak... Hm... – zawahał się nad właściwym określeniem.

– Wytresowałeś – dokończyłam z przekąsem.

– Wybacz, Anito – powtórzył. – Będę się pilnował. Nie chciałbym mieć zahukanej żony.

– Jakie więc przyniosłeś wieści? – zapytałam oficjalnym tonem, jakim on sam zainicjował tę rozmowę.

– Rozmawiałem na twój temat z dyrektorem działu sprzedaży. Tak jak przypuszczałem, od przyszłego miesiąca jego sekretarka wybiera się na emeryturę, a więc etat się zwalnia. Witold miał wprawdzie kogoś na oku, ale poprosiłem, by zwrócił uwagę na ciebie. Dlatego spodziewamy się dziś wizyty. Przyjdzie o dwudziestej, wraz z żoną.

Otworzyłam buzię, by coś powiedzieć, ale zamknęłam ją natychmiast, gdy dodał: – Nie denerwuj się. Mamy dużo czasu. Musimy przygotować wykwintną kolację, no i... – zmierzył mnie krytycznie – powinnaś włożyć na siebie coś przyzwoitego.

– Co przyzwoitego? Co masz na myśli? – spojrzałam po sobie i strzepnęłam z bluzki niewidzialne okruszki.

– Wizytową sukienkę – obruszył się, jakbym miała ich pełną szafę.

– Nie mam żadnej wizytowej sukienki – rzekłam ponuro i zabrałam się za jedzenie.

– Dlatego po obiedzie wybierzemy się do Peweksu. Nie objadaj się za bardzo, bo wystający brzuch zniekształci ci figurę. Nie chcę, żebyś wyglądała jak ta flądra, jego żona.

Widelec z nabitym kawałkiem kotleta zawisł mi w powietrzu. Aleksander tymczasem kontynuował niezrażony:

– Kupimy coś na kolację, jakieś trunki i sukienkę dla ciebie. Musisz prezentować się znakomicie, jak na moją narzeczoną przystało. Cieszysz się?

Wizyty w Peweksie zawsze mnie fascynowały i przyprawiały o dreszczyk emocji. Były symbolem luksusu, który wcześniej był dla mnie niedostępny. Skłamałabym, gdybym zaprzeczyła, nawet jeśli miałabym zrezygnować z dzisiejszego obiadu. Pokiwałam więc tylko głową, bo Aleksander i tak zauważył, jak załśniły mi oczy.

W sklepie unosił się zapach perfum i tytoniu, przetykany specyficzną nutką dobrego alkoholu. Pod szklaną ladą wyłożone było też świeże mięso i wędliny, za które trzeba było zapłacić naprawdę słono, w dodatku dolarami. Aleksander miał nimi wypchany cały portfel i nie interesowały go ceny. Przeszedł się po sklepie, ale z ubrań mógł wybrać jedynie dżinsy, swetry i najnowsze wzory zachodnich bluzek i sportowych koszulek. Były one przedmiotem moich marzeń, lecz on skrzywił się tylko.

– Nie macie tu jakichś eleganckich sukienek? – zapytał ekspedientki, patrzącej na klientów z góry, jakby wyeksponowany towar należał do niej.

– Mamy piękne tkaniny – rzekła i obrzuciła mnie wzrokiem, jakby już brała miarę. Ja tymczasem buszowałam wśród najprawdziwszych, oryginalnych dżinsów, pachnących wielkim światem.

– Nie chodzi mi o tkaniny. Sukienka potrzebna jest na dzisiejszy wieczór – upierał się Aleksander.

– Na którą godzinę? – zapytała, a nawet raczyła się uśmiechnąć.

– Na wieczór, co za różnica, na którą godzinę – zachnął się. Był zły.

– Jeśli wybierze pan tkaninę, dam panu adres zaprzyjaźnionej krawcowej. Za specjalną opłatą uwinie się w trzy godziny.

Aleksander zerknął na zegarek.

– Dobrze, niech pani pokaże, co pani ma.

Kobieta dwoiła się i troiła. Aleksander zaś wcale nie pytał mnie o zdanie. Sam wybrał bawełnianą satynę w kolorze wina, po krótkim namyśle poprosił jeszcze o szyfon w odcieniu kawy z mlekiem.

– Co tam wybrałaś? – rzucił przez ramię. – Chcesz te spodnie?

Tak bardzo chciałam, aż wstrzymałam oddech. Ekspedientka widząc, że ma do czynienia ze szczodrym klientem, natychmiast wykorzystała okazję, dokładając kilka koszulek, buty do przyszłych sukienek, mięciutkie sweterki dla Soni, koszulę dla Aleksandra, a całość zwieńczyła oszałamiającym zapachem Opium marki Yves Saint Laurent, na które pozwalały sobie nieliczne kobiety. Dopiero wtedy Aleksander zabrał się za zakupy spożywcze. Ponieważ bardzo się już śpieszył, godził się na każdą propozycję ekspedientki. W efekcie wyszliśmy objuczeni jak wielbłądy, nawet u Soni w wózku znalazła się torba z napisem Pewex. Stamtąd udaliśmy się pod wskazany adres do krawcowej.

Mieszkała w starej kamienicy o niespotykane wysokie oknach, zakończonych u góry łukami. W pokoju, do którego nas wprowadziła, było jednak ponuro. W powietrzu unosił się przyjemny, migdałowy zapach. Zażywna jejmość nawet nie spojrzała na żadną z tkanin.

– Widzi pan tę stertę na stole? To wszystko czeka na szycie. Klientki czekają tygodniami – rzuciła, mrugając nerwowo okiem.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł spokojnie Aleksander. – Dlatego proszę potraktować moje zamówienie jako ekspresowe.

Wyjął kilka banknotów i podetknął jej pod nos. Przeliczyła łakomie i schowała je do kieszeni.

– Za tydzień będzie – powiedziała.

Aleksander uśmiechnął się pod wąsem i dołożył jej drugą taką samą porcję. Przyjęła.

– Na jutro – skwitowała.

Podał jej jeszcze jeden w dwóch palcach i pokręcił przecząco głową, co oznaczało zapewne, że więcej nie da.

– Proszę do miary – westchnęła, jakby doznała wielkiej krzywdy.

Aleksander zostawił mnie, sam zaś zabrał Sonię i pojechał szykować kolację dla kolegi dyrektora i jego żony. Wrócił po trzech godzinach, gdy krawcowa kończyła prasować sukienkę. Do spotkania została godzina. Uwijaliśmy się,

nakrywając stół, dekorując go świeżymi kwiatami i świecami. W lodówce chłodziły się trunki, a ja próbowałam ujarzmić fryzurę. Gdy wszystko było już gotowe, wpadliśmy na siebie w przedpokoju i po raz pierwszy w naszych oczach pojawiło się nieme porozumienie, wspólny cel, wspólne działanie.

– Anita – szepnął i podniósł do ust moje obie dłonie. – Będzie nam razem dobrze, zobaczysz...

Zaraz potem odezwał się dzwonek telefonu.

– Jak to nie przyjdziecie? – usłyszałam rozczarowany i oburzony głos Aleksandra. – Wszystko gotowe, wódka stygnie... To niech weźmie tabletkę z krzyżykiem. Nie pomogła? No dobrze, trudno... To innym razem, cześć.

Upychałam pieluszki i fatałaszki Soni w szufladzie komody, gdy zadzwonił telefon. Odebrałam w salonie. Przez drzwi balkonowe przedzierały się dźwięki koparki i zanim je zatrzasnęłam, nie usłyszałam nazwiska, jakim przedstawił się rozmówca. Zapytał o Aleksandra.

– Jest w biurze – poinformowałam zdziwiona, że ktoś szuka go o tej porze w domu.

– Jestem w jego biurze – odparł zimno. – No więc jak? Nie ma go w domu? – zapytał ponownie, tylko jeszcze mniej przyjemnym tonem.

– Już powiedziałam, że nie – rzuciłam równie opryskliwie.

Rozłączył się. Przez chwilę trzymałam słuchawkę, zastanawiając się, gdzie może być Aleksander, potem machnęłam ręką i wróciłam do swojej pracy. Ostatecznie jest dyrektorem tej firmy i jeśli znajduje się poza biurem, to znaczy, że ma powód. Ubrałam małą i ruszyłam do Parku Południowego. Był koniec maja i dzień zapowiadał się wyjątkowo pięknie. Przeszłam obok stawu, wokół którego skupiali się amatorzy dokarmiania kaczek, i wzdłuż ławek obleganych przez emerytów rozprawiających o polityce albo o sąsiadach. Idąc główną alejką, dostrzegłam rzucającego kamykami w gołębie chłopca. Ptaki uciekały drobnym kroczeniem, gruchając gardłowo. Siedząca nieopodal na ławce matka zdawała się tego nie dostrzegać, pochłonięta lekturą jakiegoś pisemka dla pań.

– Nie płosz gołębi – ofuknęłam malca. Wystawił język, rzucił garścią piasku prosto na wózek Soni i uciekł do matki. Kobieta oderwała się od gazety i spojrzała na mnie oburzona.

– Regina? – zdumiałam się. Gdybym wiedziała, że ją tu spotkam, pojechałabym raczej na drugi koniec miasta, do Parku Szczytnickiego.

– Anita... A to dopiero... Co ty tutaj robisz? – zapytała głupio.

– To samo co ty. Wyprowadziłam dziecko na spacer – obruszyłam się.

– Pokaż! – zawołała i poderwała się z ławki. Wtedy dopiero zauważyłam, że

jest w ciąży, choć jeszcze niezbyt wysokiej. – Dziewczynka? Podobna do ciebie – zauważyła kwaśno i zerknęła na mnie krytycznie – taki sam perkaty nos. Aleś ją wystroiła, no, no... Skąd ty masz takie ciuchy? To niemieckie czy z Ameryki? Jak ci mała wyrosnie, to nie wyrzucaj, będą dla mojej jak znalazł, bo myślę, że to dziewczynka – poklepała się po brzuchu. – Na kwaśne mam ochotę, bo przy Pawełku to słodkiego mi się chciało. Teraz jem tylko kapustę i ogórki kiszzone. Leon się cieszy, bo cukier na kartki. No? – przerwała potok słów dla złapania oddechu – a co tam u ciebie? Dalej mieszkasz kątem u ciotki?

– Nie, wyprowadziłam się ponad trzy miesiące temu.

Przez ułamek sekundy dostrzegłam błysk w jej oku.

– No, ja wiedziałam, że to tak się skończy. Jak dziecko się urodzi, to ona przestanie być taka słodka. Mogłabym wprowadzić się tam, skoro zwolniłaś miejsce, ale ciotka Rozalia zawsze była egoistką. Na twoim miejscu wróciłabym do matki, zamiast płacić krocie za wynajem byle pokoju, tak jak ja. Mówię ci.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową.

– To dlaczego sama tego nie zrobisz? Ciągłe narzekasz na brak pieniędzy. U matki byłoby ci łatwiej. Ja do niej nie wrócę.

– Jak chcesz – prychnęła. – Ja nie mogę, Leon ma tu pracę. Teściowa coraz starsza, może niedługo umrze. A my już wszystko wyremontowaliśmy, jakbyś chciała wpaść, zobaczyć, jak mieszkamy... Przywiozłabyś przy okazji ubranka, z których twoja mała wyrosła.

– Z pewnością kiedyś was odwiedzę – odpowiedziałam wykrętnie i odwróciłam się gwałtownie, bo za plecami usłyszałam dziki wrzask Pawełka.

– Mamoooo! Mamoooo! – darł się, leżąc brzuchem na ziemi. Wznosił tumany kurzu, kopiąc nogami o ziemię.

– Pawełek! Co się stało? – zawołała i szybko, na ile jej brzuch pozwolił, pognęła w kierunku chłopca.

– Boże, uchowaj mnie przed takim dzieckiem – westchnęłam głośno i wzniosłam oczy ku niebu.

– Muszę wracać do domu – sapała Regina, ciągnąc za rękę wyrywającego się syna. – Pawełek zgłodniał i prosi o racuszki. Muszę mu usmażyć.

– No, skoro tak ładnie prosi... – mruknęłam, patrząc na rozwydrzone stworzenie zapierające się nogami i szczypiące matkę w rękę.

Regina zaczęła zbierać swoje rzeczy z ławki, a ja, pożegnawszy się z nią, oddaliłam się czym prędzej w swoją stronę. Długo jeszcze spacerowałam po parku przy akompaniamencie dobiegającego z zarośli ptasiego świergotu. Słońce grzało przyjemnie i wcale nie miałam ochoty wracać do domu, w którym poza

nielicznymi epizodami nic się nie działo. Aleksander bawił się w rodzinę, zmyślał miłość, żeby rozrzedzić powietrze między nami, zasłużyć na cień uśmiechu. A ja bałam się pytać, na które nie miałam odpowiedzi. Szukałam powodu do kłótni, trzaśnięcia drzwiami, wstrząsu, który wznieciłby jakieś uczucie. Obojętnie, miłość czy nienawiść. Cokolwiek. Ale on był poprawny. Nudny i poprawny. Nienawidziłam poranków wieszczących kolejny dzień w złotej klatce, mijających się kroków na wspólnej podłodze, spoglądania w różne strony przez to samo okno. Nienawidziłam siebie za rolę bluszczu czepiającego się spodni. Tkwiłam tu ze strachu przed wytknięciem nosa poza strefę komfortu, przed odpowiedzialnością, skokiem w życie.

Talerze w bladioróżowe kwiatki lśniły w czerwonej smudze znikającego słońca. Wkradało się skosem, bo w tym pionie bloku kuchenne okna były od zachodu. Dawno minęła siedemnasta, garnki parowały na kuchennej płycie, a surówka ciemniała i puszczała sok. Aleksander tego nie lubił, a mimo to się spóźniał. Z różowego pokoju odezwała się Sonia. Przewinęłam ją i nakarmiłam. Potem wzięłam ją na ręce. Z dzieckiem w ramionach przemierzałam mieszkanie od okna do okna, zaklinałam telefon, nasłuchiwałam kroków na schodach. Moja córka, choć zupełnie nieświadoma, stała się współuczestnikiem niepokoju, który narastał we mnie z każdą minutą. Nagle uświadomiłam sobie łączącą nas więź. Sonia była maleńka, ale dzięki niej właśnie poczułam się mocniejsza, dojrzalsza. W tym momencie doznałam olśnienia, że gdybym miała stąd uciec, to ona dawałaby mi siłę do starania się o każdy dzień. Była jedyną istotą, która trwała przy mnie, bo byłam jej potrzebna. To nagłe odkrycie wzruszyło mnie, a myśl, że nie chciałam tego dziecka, ścisnęła mi serce. Odsunęłam ją na odległość ramion i spojrzałam w jej bystre oczka.

– Przepraszam cię, córeczko. Wybacz mi – wyszeptalam i przytuliłam ją mocno.

Zegar wskazywał północ, ułożona w łóżeczku Sonia dawno spała, a Aleksandra wciąż nie było. Siedziałam w piżamie po ciemku w salonie wśród mebli, które w księżycowych półcieniach nabrały surrealistycznych kształtów i usiłowałam z chaosu domysłów wyodrębnić jakiś konkretny kształt, który tłumaczyłby jego nieobecność. Najpierw nie było go w biurze, potem nie wrócił na noc. Nawet nie zadzwonił. Z minuty na minutę osaczał mnie coraz silniejszy strach, że coś mu się stało, a ja nie będę umiała sobie z tym poradzić. Tylko tyle. Nie bałam się o niego, czułam lęk przed wyzwaniem, jakie mogło mnie czekać. Dlatego, kiedy na dole usłyszałam szmer zatrzymanego się samochodu, wyskoczyłam na balkon z nadzieją, że to właśnie on. Wychyliłam się przez

balustradę. Ale samochód był obcy. Zatrzymał się zresztą tylko na chwilę.

Dopiero rano zbudził mnie telefon. To był Aleksander.

– Anito, przepraszam, wczoraj była nagła inwentaryzacja, nie miałem głowy, żeby cię powiadomić. A dzisiaj muszę wyjechać. Nie będzie mnie dzień albo dwa – poinformował. – W sypialni, w szufladzie biurka znajdziesz pieniądze. Nie żałuj na nic, kupuj jak zwykle, w sklepach komercyjnych.

Och, jakże ja nie lubiłam tych sklepów, zalatujących oszustwem i cwaniactwem, sprytnym zabiegiem rządu na wprowadzanie ukrytych podwyżek cen. Podczas gdy przeciętny zjadacz chleba stał w kilometrowych kolejkach, by kupić byle ochłap, tam można było dostać wszystko, tyle że kilkakrotnie drożej. Odkąd zamieszkałam z Aleksandrem, stałam się ich stałą klientką, odprowadzaną do samych drzwi tęsknymi bądź zawistnymi spojrzeniami tych, którzy z nich skorzystać nie mogli.

– I jeszcze... – zaczął, ale zamilkł.

– Tak?

– Chciałem ci powiedzieć... To cudownie, że zostaniesz moją żoną. Będę tęsknił.

Nie odpowiedziałam.

Nagle zrobiło się pusto. Nigdy nie było tak pusto, gdy wychodził po prostu do biura. Włączyłam radio. Nadawało w kółko informacje o pielgrzymce papieża do Polski. Przez otwarty balkon wdarł się dźwięk pracującego dźwigu i koparek i zagłuszył wiadomości. Sąsiedni blok z wielkiej płyty rósł w błyskawicznym tempie, a za nim przygotowywano już fundamenty pod kolejny. Sporo się teraz budowało. Nie wyglądało na to, że w najbliższym czasie będzie tu spokojnie i cicho. Zatrzasnęłam drzwi balkonowe i jak co dzień wzięłam się za porządki. Jednak robota mi nie szła. Czułam się nieswojo w tym mieszkaniu. Wolałabym teraz być blisko ciotki Rozalii, przy której czułam się spokojnie i bezpiecznie, albo przy kimkolwiek, kto byłby mi bliski. Niestety, nie znałam obecnego adresu ciotki, a do siostry nie chciałam iść. Na myśl przyszła mi pani Stefania, która na pewno chętnie poznałaby Sonię i ucieszyłaby się, że dałam córce na imię tak jak jej przyjaciółka swojej. A poza tym... Poza tym może natknę się przypadkiem na kogoś z Kwadratu. Ach nie kogoś, tylko Wilka. Chciałam go zobaczyć, choćby z daleka. Ubrałam dziecko i ruszyłam na przystanek.

Gdy wysiadałam przy klasztorze bonifratrów, zauważyłam, że niebo nieco pociemniało, ale uznałam, że raczej nie ma powodu do niepokoju. Deszcz zapowiadano dopiero na noc. Przechodząc obok zielonej bramy, zawahałam się. Wilk przyciągał mnie jak magnes. Instynktownie garnęłam się do tego dzikiego

człowieka. Sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać, tym bardziej że on mnie po prostu nie lubił. Stałam pod odrapaną z farby bramą, tłukąc się z myślami. W końcu pchnęłam drzwi, wtaszczyłam po kilku schodkach wózek i zapukałam. Nikt nie odpowiedział, więc nacisnęłam klamkę. Pierwszą myślą był natychmiastowy odwrót, bo nagle zabrakło mi odwagi. Wilk, który wpadał tu zwykle wieczorami, tym razem siedział przy stole i studiował jakąś gazetę. Podniósł głowę. Nie rozumiałam tej agresji w jego oczach. Po chwili ubrał twarz w arogancję i bezczelność. Na wszelki wypadek zdecydowałam się zaatakować, nim on to zrobi.

– Będę tu przychodzić, słyszysz? – powiedziałam napastliwie, choć Bóg mi świadkiem, że wolałabym wtopić się w jego ramiona, poczuć pod policzkiem miękkość koszuli na szerokiej piersi, usłyszeć bicie serca, oddychać tym niepowtarzalnym zapachem, jakiego nie miał żaden inny mężczyzna. – Będę tu przychodzić, czy ci się to podoba, czy nie.

Po jego twarzy rozlał się ironiczny uśmiech, a brew swoim zwyczajem powędrowała do góry. Wstał, podciągnął odruchowo rękawy i wsunął ręce do kieszeni. Nie powiedział nic, a ja gorączkowo obmyślałam strategię. Mogłam prowadzić wojnę albo spróbować załatwić sprawę pokojowo. Wybrałam drugą opcję i usiadłam na krześle po przeciwnej stronie stołu, podczas gdy on wrócił do swojej gazety.

– Wilk... Porozmawiajmy spokojnie.

Złożył gazetę i zawiesił na mnie wzrok.

– Jestem spokojny – powiedział. – O co ci chodzi?

– Florka, Krzywy to moi dobrzy znajomi. Nie mam nikogo innego. Dlaczego ostatnio kazałeś mi stąd wyjść?

– Bo to nie jest towarzystwo dla ciebie. Jesteś z innej bajki.

– Dlaczego każdy usiłuje decydować za mnie? – podniosłam głos i przewróciłam oczami. – Nie jesteś moim tatusiem.

– Ano nie jestem. I masz rację, nic mi do tego, w jakim towarzystwie się obracasz. Rób, co chcesz. A co do tatusia, nie chcę cię tu widzieć właśnie ze względu na niego.

Zamurowało mnie.

– Zwariowałeś? – wyjąkałam po dłuższej chwili. – Co masz do mojego ojca? Co ty możesz o nim wiedzieć?

– Więcej, niż ci się wydaje. Nie chcę cię obrażać, ale to kawał bydlaka.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami i nic z tego nie rozumiałam.

– Wilk, jak śmiesz? Mój ojciec nie żyje od dziesięciu lat – powiedziałam z

oburzeniem. – Nigdy nie mieszkał we Wrocławiu. Skąd mógłbyś go znać?

– Pieprzysz... – burknął i zapalił papierosa.

Podeszłam do okna i otworzyłam je szeroko. Ostentacyjnie ustawiłam pod nim wózek. Przy okazji zauważyłam, że niebo zrobiło się granatowe, a jedynym drzewem, jakie tu rosło, zaczął targać wiatr.

– Pomyliłeś mnie z kimś, Wilk – powiedziałam. – Dlatego nawet się nie obrażę.

– Pieprzysz – powtórzył. – Z nikim cię nie pomyliłem. Mówię o zasranym dyrektorku. Widuję cię z nim na mieście.

– O dyrektorku? Masz na myśli Aleksandra? Człowieku, on nie jest moim ojcem! – zawołałam. – Ale śmiało – zachęciłam – co masz do niego?

– Nie chce mi się języka strzępić. Skoro to nie twój ojciec, to kto?

– Jeśli powiem, zmienisz o nim zdanie?

– Nie zmienię zdania, nawet jeśli jest samym bogiem – warknął ze złością.

– Mieszkam z nim – powiedziałam znacznie ciszej, bo ciężko było wyznać to właśnie Wilkowi.

Zaklął pod nosem.

– Świetnie – syknął. – Mieszkasz z łajdakiem. Kto to jest dla ciebie?

– Nikt – skłamałam. – Powiedz, co zrobił.

– Masz mnie za idiotę? Tobie mam powiedzieć? – zaśmiał się.

– Wilk, jeśli coś jest nie tak, powiedz, zanim zrobię coś głupiego.

– Co głupiego?

– Zanim za niego wyjdę – powiedziałam cicho.

– No to powodzenia – rzucił kpiąco. – Gratuluję.

– Nie wiem, co mam robić – szepnęłam i ręce mi opadły. – Jestem w głupiej sytuacji. Mogę wpaść w jakieś bagno, a ty mi nie chcesz pomóc.

Popatrzył na mnie z zastanowieniem.

– Ty chyba jesteś stuknięta – wymawiał słowa powoli, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Skoro zdecydowałaś się wyjść za niego, chyba nie powinnaś mieć wątpliwości. Dlaczego miałbym ci pomagać?

– Bo ja bym ci pomogła, gdybyś tego potrzebował.

Za oknem dały się słyszeć pomruki burzy.

– Proszę, Wilk – powtórzyłam. – Mogę jeszcze to wszystko odwołać, uciec od niego.

– Uciec od niego? Zmusza cię do tego małżeństwa czy co? To jakiś alfons? Cholera, zupełnie cię nie rozumiem.

– Trudno mi o tym mówić. I wstyd mi, rozumiesz? Wstyd, że próbuję sobie

ułożyć jakoś życie. Wychodzi na to, że jego kosztem. Nic do niego nie czuję, ale on zapewni mi...

– A! Dobra, już kumam – roześmiał się nieprzyjemnie. – Całkiem wygodnie się chcesz urządzać. Chata, szmal... Rozumiem. Wiesz, jak to nazywają?

Nie odezwałam się, bo nie mogłam temu zaprzeczyć. Miał rację. U boku Aleksandra ciotka znalazła dla mnie wygodne i bezpieczne gniazdko, a ja to zaakceptowałam. Nie chciałam wiedzieć, jak to nazywają.

– W takim razie zastanów się, czy mam ci powiedzieć. Może nie chcesz wiedzieć o nim takich rzeczy?

– Chcę. Mów.

– Pracowałem u tego partyjnego gnoja w magazynach. Oszust i złodziej. Niewiele brakowało, żeby wsadził mnie za kratki – dodał.

– To jakiś absurd – zaprotestowałam. – Jak można siedzieć za kogoś? Jeśli już ktoś siedzi, to za siebie.

– Tak myślisz? Otóż może. Ja się wywinąłem, więc wrobił mojego kumpla. Chłopak dostał piętnaście lat za przestępstwo gospodarcze. Za przestępstwo dyrektora. A ja wyleciałem z pracy, bo nie chciałem podpisywać podrobionych faktur, kumasz?

Patrzyłam na niego jak na zmoreę.

– Nie – wyjąkałam drewnianym głosem.

– No to ci wytłumaczę. Ten twój narzeczony przypisał mu swoje grzeszki. Przerabianie faktur i opychanie towaru na lewo. Kumpel był tępy i podpisywał wszystko, co mu twój kochaś podsunął.

– Wilk – przerwałam mu. – Nie wierzę. Aleksander jest uczciwy. Gdzie są dowody?

– Nie wierzysz. No właśnie. Mój kumpel poszedł siedzieć, a stary zlizuje śmietankę. Niby z czego on jest taki bogaty? Z uczciwej pracy? A dowody? Cholera wie, gdzie są dowody. Zniknęły. W tych zakładach wszyscy kradną i rączka rączkę myje. Zapytaj go, co stało się z...

– Ale to tylko słowo za słowo, Wilk – przerwałam mu.

– Słowo za słowo. Co ty chrzanisz, Anka. To nie są same słowa, tylko fakty. Świetnie skrywane fakty.

Wilk usiadł i zagapił się w okno, za którym rozszalał się wiatr. Prawie czarne niebo przecinały błyskawice. Po chwili lunęło. Wilk wstał i zatrzaskał okno. Sonia nagle rozplakała się żałośnie. Wyjęłam ją z wózka i zaczęłam uspokajać, ale ona płakała coraz głośniej.

– Leje jak z cebra. Mogę cię odwieźć pod dom – mruknął Wilk.

Domyśliłam się, że kieruje nim raczej chęć pozbycia się mnie i krzyczącego dziecka, a nie dobre serce. Nie miałam wprawdzie ochoty wracać do domu, którego nie lubiłam, i do człowieka, którego teraz przestałam darzyć zaufaniem, ale nie miałam dokąd pójść.

– Dziękuję, chętnie skorzystam – powiedziałam, zerkając za okno, po którym lały się strugi deszczu.

– Dokąd? – zapytał, gdy siedzieliśmy już w samochodzie.

Podaliśmy adres. Jechaliśmy w milczeniu, bo o czym jeszcze można by mówić, gdy przez Aleksandra stanęliśmy po przeciwnych stronach. Przynajmniej Wilk tak myślał. Ja nie wiedziałam, co mam o tym sądzić.

Zależało mi na zaufaniu tego chłopaka i na nim samym. Bardziej, dużo bardziej, niż na zaufaniu Aleksandra. Dlatego w mojej głowie nagle wszystko zaczęło układać się w logiczną całość. Nocne rachunki Aleksandra, pieniądze, których nigdy nie brakowało, tajemnicze rozmowy przez telefon przy zamkniętych drzwiach, a teraz nawet to, że szukano go w biurze po inwentaryzacji i ten nagły wyjazd... Może to nie żadna konferencja, tylko ucieczka przed odpowiedzialnością?

– Wilk, wejdz proszę do mnie – rzuciłam pod wpływem impulsu, a on spojrzał na mnie zdziwiony. – Ja wiem, że mnie nie lubisz – stwierdziłam niepewnym głosem. Zachnął się i zapatrzył w przednią szybę samochodu. – A teraz, gdy okazało się, że jestem z Aleksandrem, tym bardziej – ciągnęłam. – Mimo wszystko wolę siedzieć tam z tobą niż sama.

Odwrócił głowę i podniósł tę swoją cholerną brew.

– Nie dziw się – mówiłam coraz bardziej gorączkowo. – Nagle spada na mnie jak grom z jasnego nieba wiadomość, że człowiek, z którym omal się nie związałam, jest kombinatorem, hipokrytą i złodziejem. – Uśmiechnął się krzywo, sięgnął po paczkę papierosów, a stwierdziwszy, że jest pusta, odrzucił ją ze złością. – Co mam ze sobą zrobić? – pytałam, szukając jego spojrzenia. – Jak mieszkać z nim pod jednym dachem, a jeszcze korzystać z pieniędzy, które zdobył na czyjejsz krzywdzie. – Zamilkłam, oczekując jakiejś reakcji, choćby jednego słowa, ale on nadal się nie odzywał. – Jeśli to, co powiedziałaś jest prawdą – dodałam znacznie ciszej – nie mogę tu zostać, patrzeć codziennie na niego i wysłuchiwać kłamstw.

Spojrzał na mnie z ironią, może nawet z niechęcią. Trudno było wytrzymać ten wzrok.

– E tam. Przesadzasz – zakpił. – Możesz udawać, że nie wiesz o tym wszystkim. Co to cię w gruncie rzeczy obchodzi? Daje ci kasę, nie musisz pytać,

skąd ją ma. I tak taplasz się już w gównie po uszy. Mieszkać z takim gościem...

– Wilk, zamknij się. Nie wiesz, w jakiej byłem sytuacji, więc nie oceniaj. Idziesz?

– Dobra – mruknął i zgasił silnik.

W domu rozejrzał się dyskretnie, ale wstrzymał się od komentarzy. Zaparzyłam mu herbatę, nakarmiłam Sonię i ułożyłam ją w łóżeczku. Z sypialni odezwał się telefon. Pobiegłam tam, ale nie zdążyłam odebrać. Wilk wślizgnął się za mną i rozsiadł na łóżku, gdzie biała świeża, wykrochmalona pościel. Zmieniałam ją w każdy poniedziałek. W pierwsze wtorki miesiąca myłam okna, a co drugi tydzień pastowałam cholerne parkiety. Czyż nie zarabiałam na siebie, pełniąc funkcję gospoży?

– Tutaj śpicie? – poklepał znacząco materac.

– On śpi tutaj. Ja z Sonią w tamtym pokoju – wskazałam ruchem głowy. Uśmiechnął się półgębkiem i nic nie odpowiedział. Nie wierzył mi.

– A ze mną przespałabyś się tutaj? – zapytał i nieoczekiwanie pociągnął mnie za rękę tak mocno, aż upadłam na łóżko. Tuż nad twarzą ujrzałam jego pociemniałe oczy.

Może kiedyś marzyłam o takiej chwili, ale teraz nie było mi to w głowie. Ani trochę. Zwłaszcza w tym miejscu, na łóżku Aleksandra.

– Zostaw, Wilk – wydusiłam, bo sięgnął ręką za mój dekolt.

– Nie żartuj – odezwał się beczelnie tuż nad moim uchem. – Przecież po to mnie tu zaprosiłaś, nie?

– Nieprawda, Wilk. Puść! – wyrywałam się.

Trzymał mocno i wędrował ustami po mojej szyi, coraz niżej, wprost do uwolnionych ze stanika piersi.

– Hm... Nie przeszkadzam? – usłyszałam nagle gdzieś ponad głową. Wilk puścił mnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Aleksander stał w progu, zdezorientowany i zaskoczony widokiem obcego mężczyzny we własnej sypialni. Widziałam, jak bardzo stara się ukryć te wszystkie emocje.

– Dzień dobry – odezwał się oficjalnie, patrząc wyłącznie na mnie. W ten sposób mówił tylko wtedy, gdy był naprawdę wściekły. – Masz gościa?

Usiadłam na łóżku i przyglądałam włosy.

– To mój kolega – oświadczyłam z wymuszonym uśmiechem. – Odwiózł mnie, bo lało, a ty... A ciebie...

– Rozumiem. A mnie miało nie być, prawda? – rzekł z przekąsem. – Anito, daruj sobie, kolegów nie zaprasza się do sypialni.

– Pierwszy raz masz rację, gnojku – odezwał się nieoczekiwanie Wilk, którego Aleksander uporczywie omijał wzrokiem. – Kolegów nie zaprasza się do sypialni.

Zrobiło mi się gorąco.

– Ach, to pan – raczył obdarzyć go spojrzeniem Aleksander. – Poznaję, co za zbieg okoliczności... Pan wybaczy, że nie podam mu ręki. Anito, zrób mi kawy – zażądał nieoczekiwanie. – Całą noc nie spałem. Wy pewnie też – dorzucił z sarkazmem.

– Chcesz kawy? – zapytałam głupio, bo zdziwiło mnie to żądanie w takim momencie.

– Poproszę... Nie chcę być niegościnnie, ale czy chcecie jeszcze korzystać z mojego łóżka? Chciałbym odpocząć – rzekł wrednie dobrotliwym tonem, a ja zrozumiałam, że w ten subtelny sposób zakończył nasz związek. Wilk zachnął się z wrogim błyskiem oku.

– O tak. Należy ci się odpoczynek. W pierdłu.

Chyba nigdy nie widziałam tak opanowanego człowieka, jakim był mój do niedawna narzeczony. Aleksander bowiem nie chodził, tylko kroczył, nie jadał kolacji, tylko spożywał wieczerzę, nie mówił, tylko wygłaszał wzniosłe myśli. Teraz rozpiął marynarkę, wyjął z szafy wieszak i zawiesiwszy ją na nim starannie, schował do środka. Następnie rozluźnił krawat, oparł obie dłonie o poręcz swojego wielkiego łóża i patrząc Wilkowi prosto w oczy, zapytał:

– Czy pan coś insynuuje?

Wilk podszedł bardzo blisko i wycodził mu prosto w twarz przez zaciśnięte zęby:

– Wsadziłeś mojego kumpla za kratki. Ty kradłeś, łajdaku, a on za to siedzi. Mnie wywaliłeś z roboty, bo się bałeś, parszywy tchórze. Nie daruję ci...

– Nie będę znosił tych impertynencji w swoim domu. Proszę się wynosić – Aleksander przerwał spokojnie wywód Wilka, i odsunawszy go, usiadł na brzegu łóżka, zawijając rękawy śnieżnobiałej koszuli. – Co z moją kawą? – zwrócił się do mnie, a ja natychmiast wybiegłam do kuchni. Nalewając wodę do czajnika i wyjmując z szafki filiżanki, zastanawiałam się, czy zaproponowanie kawy również Wilkowi nie zabrzmi w tej sytuacji groteskowo.

– Radzę panu wyjść z mojego domu, zanim wezwę milicję – dobiegły mnie słowa Aleksandra, jeszcze w miarę spokojne. Wyobrażałam sobie, jak chodzą mu przy tym szczęki. Lada moment spodziewałam się wybuchu. Zaparzyłam kawę, wróciłam do sypialni i podsunęłam ją Aleksandrowi pod nos. Podziękował ruchem głowy.

– A wzywaj sobie – prychnął Wilk. – Prędzej znajdziesz się tam, gdzie twoje miejsce.

– Niechże pan nie przekracza granic. Moja cierpliwość też się kiedyś skończy – ostrzegł łagodnie Aleksander, wyjął z kieszeni dużą, kraciatą chustkę i wytarł w nią dłonie.

– Tak jak moja – syknął Wilk i szturchnął otwartą dłonią Aleksandra w ramię. – Jesteś gnojkiem.

– Przepraszam – rzekł do niego z wyszukaną uprzejmością Aleksander i ponownie zwrócił się do mnie: – Anito, wyjdź, proszę do swojego pokoju. Możesz zacząć się pakować – a po chwili do Wilka: – A pan niech liczy się ze słowami. – Potem odsunął krzesło nieznacznie pod ścianę, żebym mogła przejść. Poszłam do różowego pokoju, nogi miałam jakby z drewna. Usłyszałam tylko, jak któryś z nich zamyka za mną drzwi. Wywlokłam z kąta walizę, do której wrzucałam machinalnie moje i Soni ubrania, pieluchy, wszystko, co miałam. Robiłam to półświadomie, nie do końca docierało do mnie, że właśnie zostałam bez dachu nad głową i nie miałam możliwości wyjaśnienia czegokolwiek. Aleksander nie będzie mnie słuchał. Znałam go nazbyt dobrze, by się łudzić. Jednocześnie byłam tu tylko fizycznie, myślami tkwiłam w sypialni. Nasłuchiwałam, co tam się dzieje. Niestety, nie rozróżniałam wypowiedzianych słów. Docierały tylko coraz bardziej podniesione głosy. Widocznie stoicki spokój Aleksandra również się skończył. Wybiegłam z pokoju, gdy usłyszałam odgłosy szarpaniny, a potem dziwny hałas.

Aleksander upadł niefortunnie, uderzając tyłem głowy o metalowy kant łóżka. Jego rozciągnięte na podłodze ciało leżało nieruchomo. Widząc to, wpadłam w histerię. Czepiałam się bluzy Wilka i wrzeszczałam, nie gorzej od własnej córki, której płacz dobiegał z różowego pokoju.

– Wilk, zabiłeś go! Zabiłeś! – szlochałam i krzyczałam na przemian, pomagając sobie tupaniem nogami.

– Przestań! – oganiał się ode mnie, usiłując schylić się nad leżącym. – Zamknij się! – wrzasnął w końcu i stracił z ramion moją rękę. Przykląkł nad Aleksandrem, przyłożył dwa palce do jego szyi i zaklął siarczyście.

– Wykitował... Zabieraj dzieciaka, wiejemy!

W pierwszej chwili zamarłam. Zauważyłam, że nawet deszcz ustał i nagle zrobiło się bardzo cicho. Śmiertelnie cicho.

– Jezu – wyszeptałam, ledwo poruszając ustami. – Wilk... Coś ty zrobił...

– Zamknij się i zabierz swoje rzeczy – rzucił nerwowo.

Wciąż stałam w miejscu i patrzyłam, jak myszkuje po szufladach komody,

rozsypuje papiery.

– Przestań tu grzebać! Czego szukasz?! – zawołałam oburzona. Spojrzał na mnie półprzytomnie.

– Nie mieszaj się w to, ja wiem, czego szukam. Idź już. Idź po Sonię, szybko! No, na co czekasz?! – wrzasnął, gdy nadal stałam, gapiąc się na leżącego Aleksandra. Popchnął mnie ku drzwiom. Oprzytomniałam. Szarpnęłam się dziko i odepchnęłam rękę Wilka.

– Idioto, nigdzie nie pójde! Nie zostawię go tak, ty chyba zwariowałeś! Trzeba zadzwonić po karetkę!

– Idź, mówię! – krzyknął znowu i złapał mnie za ramię. – Idź! – pchnął mnie z całej siły przez otwarte drzwi pokoju. Wybiegłam do kuchni. Przez moment stałam bezmyślnie, potem przetrząsnęłam gorączkowo szafki, wybierając z nich odżywki, smoczki i butelki. Po chwili byłam z powrotem w sypialni.

– Wilk... – trzęsłam się z nerwów, gdy próbowałam ponownie namówić go na wezwanie pomocy. – Pozwól mi zadzwonić...

– Nie – rzucił przez zaciśnięte zęby, pobiegł do różowego pokoju i wziął Sonię na rękę.

– Zostaw, kretynie – usiłowałam uwolnić dziecko z jego uścisku. – Puść!

Ale on nie zamierzał jej puścić. Chwycił drugą ręką walizę i brodą, bo nie miał już wolnej ręki, wskazał mi drzwi.

– Zaraz! – krzyknęłam. – Zostawiłam coś w szafie.

Nie miał mnie jak zatrzymać, więc czekał w otwartych drzwiach wyjściowych, nasłuchując, czy nie korzystam z telefonu, gdy ja myszkowałam w poszukiwaniu pudełka po angielskich ciasteczkach, gdzie trzymałam oszczędności. Kiedy zamykałam szafę, widok w lustrze sparaliżował mi ruchy. Aleksander leżał z otwartymi oczami i przyglądał mi się całkiem trzeźwo. Nie analizowałam, jak długo był przytomny. Przestraszyłam się tak bardzo, że wybiegłam czym prędzej, zatrząskując za sobą drzwi. Po chwili byliśmy już na dole. Rezulutnie złapałam jeszcze wózek, który stał na klatce schodowej.

Wilk otworzył drzwi samochodu, cisnął mną do środka, na kolana rzucił mi Sonię. Dziecko darło się wniebogłose. Wrzucił do bagażnika walizę, wózek, który pośpiesznie złożył i torbę z odżywkami, potem wsiadł sam i natychmiast ruszył. Dyszał ciężko i chyba był tym wszystkim przerażony nie mniej niż ja. Nie powiedziałam mu jednak o Aleksandrze. Bałam się, że tam wróci i naprawdę go zabije.

Ta podróż zaczęła się już na schodach domu Aleksandra, gdy opuszczałam bezpieczne gniazdo. Wilk nie wiedział, co kryję pod nieładem rozwichrzonych

włosów, ile myśli, rozpaczy, wątpliwości przedziera się przez moją głowę. Uliczne latarnie przeglądały się w połyskujących kałużach. Przechodnie omijali je i nasz samochód z taką samą obojętnością. Skąd mogli wiedzieć, że właśnie potknęłam się po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu, że potrzebuję wsparcia. Siedzący obok człowiek z zaciętą twarzą i chmurnym czołem nie był już tym samym Wilkiem, którego na swój sposób podziwiałam. Teraz uważałam, że jest podłym draniem, tchórzem niewartym współczucia ani nawet cienia mojej uwagi. Daleko mi było do jakichkolwiek związanych z nim uniesień. Gardziłam nim za brutalne rozwiązanie sprawy, za ucieczkę z miejsca, gdzie człowiek potrzebował pomocy, za to, jak obszedł się dziś ze mną. Dlatego nie powiedziałam mu. I nigdy nie powiem o tym, że Aleksander przeżył ten wypadek i prócz chwilowej utraty przytomności nic właściwie się nie stało. Nic, poza wtargnięciem w jego spokój i wydarciem wartości, które pielęgnował. Bardzo chciałam odrzucić to wszystko, co powiedział o nim Wilk. Nie przyjmowałam go takim, nie znałam od tej strony. Nie wierzyłam, że mógłby być tak nieuczciwy i zakłamany. Ale obudziły się we mnie wątpliwości i nie wiedziałam już, komu wierzyć.

– Dokąd cię zawieźć? – wyrwał mnie z zadumy głos Wilka. Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Jak to zawieźć? A ty?

– Co ja? Ja nigdzie się nie wybieram – burknął.

– Boże... Byłam pewna, że masz jakiś pomysł, plan... – bąknęłam i zamilkłam rozczarowana, z uczuciem kompletnego opuszczenia. Cholera, liczyłam na niego, myślałam, że ma jakąś metę, do której mnie zabierze. Co za idiotka ze mnie.

– Zawieź mnie na dworzec – zdecydowałam.

Podjęcie decyzji, że wrócę do matki, nie było w żaden sposób przemyślane. Ale tak postanowiłam: wrócę do niej. Decyzję tę uznałam za jedyną słuszną i ostateczną w mojej sytuacji. Spodziewałam się, co może mnie czekać w rodzinnym domu: wyrzuty, wypominanie błędów, krytyka, sarkazm, zrzęczenie i żadnego wsparcia od najbliższej, wydawałoby się, osoby. Jedynie babcia okaże mi maksimum ciepła i troski. Będzie rozpieszczać Sonię i podsuwać mi po kryjomu co lepsze kąski. Tego się spodziewałam. Ale ponieważ nawet ona czuła respekt przed moją matką, wszystko zapowiadało się fatalnie. Była jeszcze nadzieja, którą kryłam głęboko w sercu. Nadzieja, jak bajka, z cudownym zakończeniem, bo być może któregoś dnia odnajdzie mnie tam Dawid. Może zapuka kiedyś do drzwi i zabierze mnie i Sonię gdzieś daleko od zaściankowego

miasteczka, jego pruderyjnych mieszkańców i wiecznie skrzywionej matki. Takie marzenia snułam, gdy w pośpiechu przebierałam Sonię i znosiłam rzucone pod moim adresem uwagi Wilka, żebym się pośpieszyła. Stał nad moimi bagażami, nieprzyzwoicie przystojny. Przyciągał spojrzenia nie tylko młodych dziewczyn, ale nawet dojrzałych kobiet. Wszystkie zerkały również na mnie, jakby chciały ocenić, czy ktoś taki jak ja zasługuje na bóstwo w opiętej na barkach koszulce i z tą beczelnie piękną męską głową.

Był tak uprzejmy, że zgodził się podwieźć mnie na dworzec. Tutaj się rozstaliśmy. Miałam świadomość, że na zawsze, ale nie chciałam żegnać się z nim jakoś wylewniej. A i on się do tego nie kwapił.

– Dziękuję, cześć – powiedziałam tylko i podniosłam do góry rękę.

– Cześć – mruknął, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Wspólne przeżycia nie połączyły nas. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie był mi tak obcy i daleki.

Zostałam sama. Z walizką, torbą i wózkiem, w którym leżało sześć kilogramów mojego czteromiesięcznego szczęścia. Sonia, nieświadoma zmian, jakie zachodziły właśnie w jej życiu, zabawiała się własnymi rączkami i gaworzyła wesoło. Na dworze padało, więc przez ponad trzy godziny spacerowałam, przemierzając wzdłuż i wszerz halę dworca, która na ten czas stała się moim domem. Zanim zapowiedziano mój pociąg, zaczepiłam jakiegoś mężczyznę i poprosiłam go o pomoc w przeniesieniu bagaży. Przeraził mnie tłum ludzi na peronie. Widziałam już przypadki, gdy pasażerowie wskakiwali do przepełnionych pociągów przez okna. Udało mi się wsiąść dzięki życzliwości zażywej kobiety, która zaopiekowała się dzieckiem, zanim wtaszczyłam wszystkie bagaże. Stałam na ciasnym korytarzu, bo nawet na przedział dla matki z dzieckiem nie miałam najmniejszych szans. Na szczęście wygospodarowałam sobie miejsce przy oknie, pod którym zainstalowano mały rozkładany taborecik. W pociągu było duszno, śmierdziało papierosami i potem. Ruszyliśmy kwadrans po północy. Wtedy zamknęłam jeden z rozdziałów życia. Pociąg toczył się leniwie. Ucichł nieco histeryczny harmider związany z zajmowaniem miejsc i pasażerowie stali się senni i trochę znudzeni podróżą. Jedyne na kolejnych stacjach powtarzało się poruszenie, pośpiech i nerwowość wsiadających i wysiadających tłumów. W Toruniu udało mi się złowić miejsce w przedziale i odtąd, przygnieciona z jednej strony puszystą kobietą, z drugiej zaś starszym mężczyzną w białej, płóciennej czapce z daszkiem i z marudzącą Sonią, odbywałam podróż, której obawiałam się coraz bardziej. Może nie tyle podróży, co jej kresu. Nie chciałam nawet myśleć o tym, jak przyjmie mnie matka.

Podróżowanie z dzieckiem nie należało do komfortowych. Sonia zaczęła krzyżeć wniebogłose, zniecierpliwiona późną porą i niewygodną pozycją na moich kolanach, spocona, bo w gęstym powietrzu przedziału można było powiesić siekiere, oraz głodna. Siedząca obok paniusia burczała niezadowolona, a mężczyzna nacisnął czapkę na uszy i wtulił głowę w wiszącą nad nim letnią kurtkę. Na szczęście z pomocą przysłała młoda dziewczyna siedząca naprzeciw. Wzięła ode mnie małą i szczebiocząc do niej wesoło, obserwowała, jak leję z termosu wodę, odmierzam kilka łyżeczek mleka w proszku i mieszam je w butelce. Nakarmiona Sonia wreszcie usnęła i mogłam zająć się własnymi myślami. Obrazy przyćmionej zmęczeniem wyobraźni mieszały się, zacierały i po pewnym czasie nie wiedziałam już, skąd i dokąd jadę. Powieki zrobiły się ciężkie, nie czułam już nawet kołysania wagonu, nie słyszałam stukotu kół. Nie spałam długo. Obudził mnie harmider na jakiejś dużej stacji, na której moi współpasażerowie opuścili przedział. Zresztą tutaj opustoszał niemal cały pociąg. Rozłożyłam kocyk na siedzeniu, z ulgą ułożyłam na nim dziecko i przewinęłam. Za oknem zapadał mrok. Deszcz znowu siąpił, przez zalane szyby niewiele można było zobaczyć, rozpoznałam jednak pierwsze zabudowania mojego rodzinnego miasteczka. Żołądek zawędrował mi do gardła na myśl o spotkaniu z matką. Już słyszałam, jak ze mnie kpi, wypomina błędy, nie szczędzi złośliwości. Wtedy wpadłam na pomysł, który nigdy nie powinien powstać w głowie osoby obarczonej odpowiedzialnością za dziecko. Ale myśl narodziła się w ostatniej chwili i nie miałam już czasu, by ją analizować.

Na małej stacji nie staliśmy długo. Ot, wysiadły dwie osoby, to wszystko. Z zapartym tchem, przez łzy, patrzyłam na oświetlony mdłym światłem znajomy budynek dworca, żelazne barierki przy wejściu, ciemną plamę rozłożystego klonu wyglądającego zza murów, którędy wiodła prosta droga do domu. Poczekalam, aż konduktor da sygnał do dalszej jazdy. Wtedy dopiero pobierałam fatalaszki Soni, ustawiłam bagaż przy wyjściu. Miałam przed sobą jeszcze jedną stację, na kolejnej powinnam wysiąść. Po pustym korytarzu w jedną i drugą stronę przechadzał się szybkim krokiem młody chłopak. Otwierał i zamykał drzwi opustoszałych przedziałów. W znoszonej, brązowej marynarce brakowało dwóch guzików, a te, które zostały, zapiął niedbale. Chłopak wyglądał na umysłowo chorego, ale i tak poprosiłam go o pomoc w wyniesieniu bagaży. Bardzo się przejął i przez resztę kilometrów nie puszczał uchwytu mojej walizki. Wyrzucił ją na ziemię, gdy pociąg zatrzymał się niemal w szczerym polu, obok drewnianej budki symbolizującej stację. W ślad za walizką rzucił torbę, wreszcie wyskoczył sam z wagonu i wyciągnął ręce po wózek.

Przestraszyłam się, że potraktuje go podobnie, jak resztę bagażu, ale był delikatny. Miał świadomość, że w środku znajduje się dziecko. Potem wsiadł z powrotem, na pożegnanie roześmiał się głośno. Odjechał, a ja dopiero teraz rozejrzałam się dookoła. W ciemnościach niewiele było widać, ale rozpoznałam majaczącą w dali sylwetkę kościółka z dwiema wieżyczkami, zapamiętaną z czasów, gdy przyjeżdżałam na wakacje do babci Anastazji. Ile to już lat? Dziesięć? Może trochę mniej? Nie zapomniałam jeszcze drogi prowadzącej do jej domu. Kiedy widziałam go ostatnio, stał opuszczony i zarośnięty nawłocią. Teraz na zwirowym, jedynym tu peronie, w deszczu, objuczona bambetłami i zupełnie sama, nie licząc Soni, czułam się nieswojo. Panująca gdzie okiem sięgnąć ciemność nie ułatwiała odnalezienia ścieżki w błotnistym podłożu. Położyłam walizkę w poprzek wózka, drugą ręką chwyciłam torbę i macając stopami grunt, starałam się nie zapaść w gliniastym przydrożu. Wreszcie trafiłam nogą na twardą powierzchnię i po chwili kroczyłam już po kocich łbach wiejskiej drogi. Wciąż nie było tu asfaltu i wózek z hałasem podskakiwał na wybojach, budząc podwórkowe psy. Tu i ówdzie zabłysło blade światło, uniosła się firanka, a w małym oknie ukazała się ciemna plama ciekawskiej twarzy. Chciałam jak najszybciej dotrzeć do polnej drogi, wiodącej ku oddalonemu od wioski domowi, kolebce mojego dzieciństwa. Emocje towarzyszące samemu pomysłowi, by tutaj przyjechać, ale również wzruszenie z powodu powrotu zmałyły, a raczej zupełnie unicestwiły racjonalne myślenie. Idąc przez pograżoną we śnie wieś, sama jak palec, bez możliwości odwrotu, uświadomiłam sobie nagle, że drzwi będą zamknięte i trzeba będzie wybić okno, żeby dostać się do środka. Mogłam oczywiście na resztę dzisiejszej nocy ułożyć się w opuszczonej stajni na sianie, ale nie wiedziałam, w jakim będzie stanie, po tylu latach. Mogła mieć na przykład dziurawy dach albo wyrwane wrota. Deszcz przebiegł mi po plecach na myśl o gryzoniach buszujących w starej zleżalej słomie, bezdomnych psach włóczących się po okolicy, nawiedzających dom widmach, o których wspominała babcia. Z wrażenia zatrzymałam się na chwilę i sprawdziłam, czy nic nie skrada się za moimi plecami. Było pusto. Upiornie pusto.

Dotarłam do traktu zakręcającego lekkim łukiem i wiodącego pod górę. Torba ciążyła niemiłosiernie, przełożyłam ją do prawej ręki, a lewą pchałam wózek, podtrzymując jednocześnie walizkę. Nie było łatwo. Całe szczęście, że Sonia spała i nie musiałam się nią zajmować po ciemku na pustej drodze. Po obydwu jej stronach rosły młode drzewka, których dawniej tu nie było. Droga też nie taka jak kiedyś. Nie brnęłam w błocie, jak to bywało dawniej, gdy schodziłam z

babcią do wiejskiego sklepiku. Teraz stapałam po szutrowej nawierzchni, a wózek toczył się gładko, choć ciężko, bo pod górę. Za nią właśnie powinien pojawić się stary ponemiecki budynek i niższe od niego zabudowania gospodarcze. Ale ich nie było. Zatrzymałam się i patrzyłam z niedowierzaniem. Zza wzgórza wyłaniał się oświetlony kilkoma latarniami obiekt, który w niewielkim tylko stopniu przypominał gospodarstwo, jakie zachowałam w pamięci. Ze starej kondygnacji domu wyrosło nowe piętro, w miejscu stajni i stodoły majaczyły dwa długie pawilony. Szereg okien na parterze jaśniał białym, jarzeniowym światłem. Nie mogłam w to uwierzyć. Nogi mi drżały, gdy schodziłam ze wzniesienia. Najpierw natknęłam się na bramę, za którą wylano betonowy plac. Obok na wpół otwarta furka jakby zapraszała do środka. Przy wejściu portiernia, ale nikogo w niej nie było. Weszłam na niestrzeżony teren i zaczęłam się rozglądać. Na głównym budynku widniał napis, którego z tej odległości nie byłam w stanie odczytać. To było jak zły sen, z którego nie mogłam się obudzić. Ktoś przebudował dom mojego dzieciństwa, należący do moich dziadków! Zdenerwowanie odebrało mi możliwość racjonalnej oceny sytuacji. Nie miałam pojęcia, co robić dalej. W grę wchodził jedynie powrót na stacyjkę i przekimanie w drewnianej budce do pierwszego pociągu, jaki się tam zatrzyma. A potem podróż w nieznane.

Sonia zaczęła się wiercić, a po chwili rozplakała się żałośnie. Najpierw cicho, potem coraz głośniej. Kołysałam mocno wózkiem, żeby ją uciszyć, ale ona wcale nie zamierzała przestać. Wtórowało jej echo zbudzone między murami budynków. W panice zawróciłam wózek i zaczęłam uciekać w stronę bramy. Wtedy ktoś otworzył drzwi.

– Halo! Kto tam się kręci? – usłyszałam kobiecy głos.

Katarzyna nauczyła się wiązać sznurówki. Wiązała na dwie kokardki i zaciskała mocno, jak należy. Franek podziwiał ją za to. On jeszcze nie umiał. Może to nic takiego, gdy ma się zaledwie pięć czy sześć lat, ale ona miała dwadzieścia dwa, Franek zaś prawie czterdzieści. Takich jak oni było tu trzydzieścioro. Mniej lub bardziej bezradni, zdani na opiekę tutejszych pracowników. Na budynku, w którym mieszkali, widniała czerwona tablica z napisem: Państwowy Dom Pomocy Społecznej „Ustronie” (z przeznaczeniem dla kobiet i mężczyzn umysłowo upośledzonych). Ten budynek to dom mojej babci. Były dom, oczywiście.

Brygida, kobieta, która zawołała mnie, gdy stałam w deszczu z Sonią i walizkami, pracowała tu jako opiekunka.

– I dokąd pani teraz z tym dzieckiem? – pytała poirytowana, gdy przyznałam się, co robię w środku nocy pod bramą zakładu. – Tu nie ma hotelu, proszę pani. To zapadły kąt, wiocha zabita deskami.

Milczałam wymownie, bo nie potrafiłam odpowiedzieć na jej pytanie.

– Niech pani idzie ze mną, gdzieś panią na tę noc położę – burknęła. – Zrobię pani herbaty – dodała niezbyt uprzejmie i zniknęła w dyżurce.

Potem siedziałyśmy w holu przy mdłym świetle nocnej lampki. Ona co jakiś czas nasłuchiwała, czy żaden z podopiecznych nie spaceruje po korytarzu na górze.

– Wstają, chodzą, jęczą – skarżyła się. – Jeszcze ani jedna noc nie upłynęła tu spokojnie. A pani co? Do pracy? Skąd się pani tu wzięła?

– Przyjechałam do domu moich dziadków – oświadczyłam z pretensją w głosie. – Kiedyś tutaj mieszkali, otrzymali ten dom po wojnie, gdy przybyli jako repatrianci z Wileńszczyzny. Po ich śmierci dom został pusty, myślałam, że teraz będę mogła w nim zamieszkać. Nie wiem, dlaczego ktoś zrobił tu jakiś ośrodek.

– Na jakim świecie pani żyje? – pokiwała z politowaniem głową. – To nie był dom pani dziadków. Dostali go przecież od państwa, więc po ich śmierci przeszedł z powrotem na skarb państwa. Taka kolej rzeczy. Co pani myślała, że będzie tu stał pusty i czekał na panią? To nie była żadna własność. Nie wiedziała

pani o tym?

– Nie. Skąd miałam wiedzieć? Nikt o tym ze mną nie rozmawiał. Córki dziadków, czyli moja matka i ciotka wyprowadziły się do miasta jeszcze przed ich śmiercią, potem nikt się domem nie interesował. One z pewnością wiedziały, ale matce nie przyszło do głowy, by mi o tym mówić. Byłam przecież jeszcze dzieckiem. A później wszystko poszło w zapomnienie...

Po nocy spędzonej w małej klitce na górze, przeznaczonej dla pracowników zesłałam na parter, by podziękować za udzielenie noclegu. Brygidy już nie było, ale w dawnej kuchni babci, a teraz surowym gabinecie natknęłam się na dyrektorkę „Ustronia”. Nie miała głowy do zajmowania się mną, bo właśnie załatwiała jakieś pilne sprawy, machnęła więc tylko ręką, żebym usiadła i kontynuowała rozmowę przez telefon. Była wysoką, postawną, choć chudą kobietą o tlenionych, krótko ściętych włosach. Usta miała wąskie, podkreślone perłową szminką. Nos długi i szpiczasty. Głos ostry. Nie uśmiechała się. Gdyby to choć raz zrobiła, z pewnością zmieniłabym o niej zdanie. W tej chwili wyglądała na zimną zołzę. Kiedy odłożyła wreszcie słuchawkę, zwróciła się do mnie:

– No! Dobrze. Teraz mogę z panią porozmawiać. No więc?

Patrzyłam na nią i zastanawiałam się, czego oczekuje. Mam jej opisać moją sytuację i wyjaśnić, co tutaj robię?

– Zabłądziłam wczoraj i...

– To wiem. Brygida mi powiedziała. Nie poszukuje pani pracy? – zapytała bez ogródek. – Mam akurat wolny etat.

– Szczerze mówiąc, wcale o tym nie myślałam – odparłam zaskoczona.

– Nie ukrywam, że przydałaby się każda para rąk. Może chociaż na dwa, trzy miesiące, zanim kogoś znajdę? Nie jest tutaj wcale tak źle – powiedziała i, o dziwo, uśmiechnęła się, a widząc, że zaczynam się wahać, zachęcała: – Prócz pensji otrzyma pani służbowe ubranie i pokój. Praca w systemie ośmiogodzinnym, ale dziewczyny zwykle zamieniają się i pracują na szesnastki, wtedy mogą wygospodarować wolne dni. Zaczynamy od godziny szóstej. Poza tym będzie tu pani miała darmowe jedzenie. To co? Skusiłam panią?

– Mam czteromiesięczne dziecko – oświadczyłam krótko, sądząc, że informacja ta zdyskwalifikuje mnie jako pracownika, ale pani dyrektor miała chyba nóż na gardle.

– Dziecko. Cóż z tego? Może je pani zabierać na dyżur. Tutaj jest jak w domu. Zdrowsze podopieczne chętnie się z nim pobawią, a i koleżanki z pewnością pomogą. Dziecko na dwór można wystawić w wózku. O, proszę

spojrzeć za okno, jak tu zielono.

Nie musiałam spoglądać. Pomijając betonowy plac, znałam tu każdy zakątek i każde drzewo.

– Spróbuję – powiedziałam.

Dół budynku składał się z niedużego holu, gabinetu dyrektora i lekarza. Była tu również kuchnia i przestronna jadalnia. Na pierwszym piętrze znajdowały się sześćiosobowe sypialnie podopiecznych i dyżurka opiekunek. Z sześciu tylko trzy miały kwalifikacje: Brygida, Beata i Zenia. Pozostałe były z przypadku, tak jak ja. Basia została zwerbowana w autobusie, gdy jechała do siostry, a Wanda zabrana z przychodni lekarskiej, gdzie pracowała jako sprzątaczką. Na miejscu mieszkały Basia, Beata i Wanda. Dwie panie docierały tu z niedalekiej wsi. W dobudowanych pawilonach mieściła się świetlica i jakiś warsztat produkcyjny, w którym podopieczni pracowali w ramach terapii zajęciowej. W świetlicy miały odbywać się zabawy połączone z tańcami, próby śpiewu, zajęcia malarskie. Wydzielono tam również kącik na małą bibliotekę i wypożyczalnię gier planszowych. W drugim pawilonie, czyli w fabryczce, jak go nazywano, co czwartek odbywała się jakaś cicha produkcja.

Sam budynek wywoływał we mnie wspomnienia połączone z tęsknotą, ale i z rozczarowaniem. Bo w miejscu, gdzie babcia gniotła ciasto na drożdżowe bułeczki, stało teraz biurko pani Więcak, dyrektorki tego przybytku. Tam zaś, gdzie dziadek pastował buty całej rodziny, czyli w małej sionce, znajdowała się klatka schodowa. Pokoik, w którym spałam, przerobiono na gabinet lekarski.

Pierwszego dnia, nosząc Sonię na rękach, przyglądałam się, na czym miała polegać moja praca. Koleżanki nie były zbyt rozmowne. Owszem, starały się być życzliwe i pomocne, również jeśli chodziło o Sonię, ale o pracy nie bardzo chciały rozmawiać. Do naszych obowiązków należało wydzielanie odzieży każdego ranka. Bardzo mnie zdziwił fakt, że nikt tam nie miał ubrań na wyłączność. Wszystkie były wspólne. W holu na piętrze stała olbrzymia szafa, do której z samego rana ustawiała się kolejka. Na półkach leżała posegregowana odzież. Osobno męska i żeńska. Nikt nie zwracał uwagi na to, co do czego pasuje. Na przykład Mania do spódnicy w zieloną kratkę dostała bluzkę w niebieskie kropki. Paradowała potem w tym przedziwnie dobranym stroju, rażąc moje poczucie estetyki. Wieczorem zużyte ubrania należało zanieść do pralni mieszczącej się w piwnicy. Tam odbierały je praczki. Odzież miała wrócić dwa dni później, wyprana, wysuszona, zapakowana w poduszkowe poszewki zamiast worków.

Ubrani pensjonariusze wędrowali do stołówki. Wyglądało na to, że poranna

toaleta i gimnastyka były tylko fikcją zapisaną w rozkładzie dnia. Mało tego. Łazienki były zamknięte, a toalety otwierano jedynie w określonych godzinach, ujętych w regulaminie. Nakrywanie do stołów, podawanie posiłków i sprzątanie po nich również należało do opiekunek, które mogły też jeść z podopiecznymi. Ale żadna nie chciała. Szybko przekonałam się dlaczego. Pierwsze śniadanie, jakie tam ujrzałam, składało się z czerstwych bułek namoczonych w osłodzonej wodzie, chociaż jadłospis obwieszczał coś innego. Posiłki były mniej niż skromne. I miałam rację, gdy nie uwierzyłam, że obiad będzie się składał z ogórkowej, młodych ziemniaków z koperkiem, mielonego i marchewki z groszkiem. Nic bardziej mylnego. Musiał wystarczyć talerz rozwodnionej zupy, w której pływało trochę warzyw, a na drugie kasza polana mącznym sosem. Basia szepnęła, że w niedzielę podopieczni otrzymywali porządny obiad z mięsem albo podrobami i surówką. Nie dlatego, że był to dzień święty, tylko dlatego, że w niedzielę przyjeżdżali goście, a oni byli bardzo zainteresowani tutejszymi warunkami. Ale w tym właśnie dniu nam nie wolno było jeść razem z podopiecznymi. Wieczorem należało wydzielić skrawki mydła, ręczniki i zagonić wszystkich do umywalni. Niechętnie myto się w zimnej wodzie, ale cieplej nie było. Pani Więcak oszczędzała na węglu, podobnie jak na jedzeniu i środkach czystości. Porządki robiło się tu przy pomocy octu, którego nigdy nie brakowało w sklepach i który był tańszy niż detergenty. Wszystko jednak musiało błyszczeć, i o to również dbały opiekunki.

Wieczorem, leżąc już w łóżku, zastanawiałam się, czy na pewno powinnam tu zostać. Pani Więcak była bardzo przebiegła. Wykorzystała moją trudną sytuację i mamila obietnicami, które nie miały pokrycia. Podobnie wykorzystywała niemoc pensjonariuszy ośrodka, którym zarządzała. Nie miałam gwarancji na jej uczciwość.

W pokoju numer cztery mieszkała paniusia o imieniu Oksana, niemieszcząca się pod żadnym względem w panujących tu konwencjach. Ona jedna nie nosiła też zakładowej odzieży. Na jej głowie zawsze tkwił okazałych rozmiarów kapelusz w śliwkowym kolorze, nosiła też staroświeckie buty, torebkę i rękawiczki w podobnym odcieniu. Ubierała się tak zawsze, nawet jeśli wychodziła tylko do stołówki. Poza tym bił od niej intensywny zapach wody jaśminowej, którą obficie się skrapiała. W szarym tłumie skromnie ubranych pensjonariuszy jej elegancja rzucała się w oczy, a nawet budziła kontrowersje, bo mieszkańcy mierzyli ją spojrzeniami o różnym natężeniu podziwu, zdumienia lub zawiści. Z niewiadomych względów pobłażano jej i pozwalano na różne dziwactwa. W kularach przebąkiwano nawet, że należy do rodziny samej pani

dyrektor, ale nikt nie wiedział, ile w tych plotkach prawdy. Kiedy pewnego dnia na obiad podano warzywa, Oksana ujęła w dwa palce okazałą brukselkę i zwróciła się do Beaty, z którą akurat miałam dyżur:

– A cóż to takiego? – W jej głosie można było wyczuć leciutki obcy akcent. Być może była z pochodzenia Rosjanką, ale równie dobrze mogło to być tylko manierą, sileniem się na oryginalność.

Ponieważ nie otrzymała odpowiedzi, odwróciła się i eksponując obiekt swojego zainteresowania, wbiła we mnie spojrzenie ocienione sklejonymi tuszem rzęsami. Jej narysowane czarną kredką brwi powędrowały do góry, w niemym pytaniu.

– Brukselka – odpowiedziałam machinalnie, jak zwykle nie mogąc oderwać od niej oczu. Nie można było odmówić jej urody, ale wyglądała jak ruska lalka ze sztucznymi rumieńcami na twarzy. Fascynowała mnie.

– Wiem przecież, tylko zapomniałam – obraziła się. – Ale nigdy nie jadłam. Jak to przyrządzać?

Zerknęłam na Beatę, która widząc moją minę, ledwie powstrzymywała się przed wybuchem śmiechu. Oksana nie ustępowała. Patrzyła nadal na mnie, pewnie dlatego Beata nie zamierzała się wtrącać.

– Trzeba ją po prostu ugotować w osolonej wodzie – wyjaśniłam, przypominając sobie, jak tę potrawę serwowała nam babcia.

– Dziewczyna umie? – zapytała, a ja ponownie spojrzałam na Beatę, zanim uznałam, że pytanie skierowane było wyłącznie do mnie.

– Pewnie, to łatwe – odparłam z lekkim zniecierpliwieniem. – Kto by nie umiał ugotować brukselki?

– Brukselki – obruszyła się, po czym nadgryzła kawałek i żuła przez dłuższą chwilę. – Nie o brukselkę tu chodzi – dodała, wprawiając mnie w zdumienie. – Potrzebna mi będzie pomoc, jak już opuszczę to haniebne miejsce. Nie przy gotowaniu brukselki, ale ogólnie. Mało kto się do tego nadaje – dodała tonem najwyższej pogardy. – Ta kulawa, co tam była, robiła obrzydliwe rzeczy i trzeba było wyrzucić ją na bruk. Na bruk! – dodała dziwnie piskliwym głosem.

Słuchałam w milczeniu. Oczywiście wiedziałam, że coś z nią było nie tak, inaczej by tu nie trafiła, ale zawsze zdumiewała mnie na nowo.

– A ja nie jestem jakąś tam kuchcią – dodała wyniośle i, nie wiedząc czemu, z pretensją. – Nigdy nie zajmowałam się domowymi sprawami, nie jestem przyzwyczajona. Może dziewczyna przyjdzie do mnie na służbę, ja zapłacę.

– Słucham? – zapytałam zaskoczona.

– Zapłacę – powtórzyła głośniejszym głosem.

– Mam gotować u pani? – zdumiałam się, a Beata parsknęła śmiechem.

– Nie tylko. Ja zapłacę, ile trzeba – podkreśliła, po czym wyjęła z kieszeni chudziutką portmonetkę obszytą kolorowymi koralikami i potrząsnęła nią. Zadzźwięczały monety. – Zarobić, żaden wstyd. Szukam młodej, energicznej i silnej dziewczyny. Najęłaby się u mnie na stałe? – zapytała z nadzieją. – Nie ma dużo roboty. Kurze powycierać, ale meble mam antyczne, więc trzeba ostrożnie, żeby nie zarysować. Parkiety pastować raz na kilka dni, okna czasem umyć, no i gotować. Ostatecznie, jak dziewczyna nie chce sprzątać, to tylko do kuchni najmę, a do sprzątania tamtą – wskazała na Beatę, która urażona, natychmiast przestała się śmiać. – Bo jest jeszcze coś...

– Jeśli o mnie chodzi, to nie chcę – przerwałam niegrzecznie, jakbym miała do czynienia nie z pacjentką, tylko z kimś odpowiedzialnym za swoje słowa. – Ani sprzątać, ani gotować u pani nie będę.

– Nie? – patrzyła na mnie z mieszaniną zawodu i zdziwienia, że odrzucam tak atrakcyjną ofertę i tracę wielką życiową szansę. Nagle podniosła głowę, jak dogorywające zwierzę, i wyrzuciła z siebie rozpaczliwie:

– Ach, więc zostanę z tym sama!

Zrobiła to w bardzo efektowny, teatralny sposób, aż kilka osób odłożyło widelce i spoglądało na mnie z ciekawością. Beata mrugnęła do mnie, jakby mówiąc: „Dość tej zabawy, zgódź się dla świętego spokoju, bo będzie coraz gorzej”.

– No dobrze, zgadzam się – rzuciłam na odczepnego.

Najpierw patrzyła z niedowierzaniem, potem zdjęła liliową rękawiczkę.

– Nazywam się hrabina Oksana Modlewska – wyciągnęła upierścienioną dłoń. Automatycznie zerknęłam na drugą i zdumiałam się, że można tyle złota nosić na rękach. – Artystka – podkreśliła i spojrzała wyczekująco. W to, że jest artystką, skłonna byłam uwierzyć. Potrafiła śpiewać godzinami. Miała nawet niezły operowy głos.

– Anita Winiarska – przedstawiłam się machinalnie. Od tamtej pory nie dawała mi spokoju.

Na moje nocne dyżury przybiegała na palcach w koronkowym czepku na głowie, kryjąc coś w dekolcie za koszulą. Przysiadła na brzeżku wiklinowego fotela i wydobywała kilka zdjęć.

– Ja muszę tam wrócić – szeptała konspiracyjnie i oglądała się w kierunku słabo oświetlonych schodów. W całym holu zwykle było ciemno, świeciła się tylko jedna nocna lampka nad naszym stolikiem.

Pewnej nocy znów przyniosła swoje fotografie.

– Niech dziewczyna patrzy, zapamięta, żeby tam trafić, jak przyjdzie pora.

Jej dom znajdował się w jakimś ponurym zakątku. Na fotografii szara jednopiętrowa bryła wynurzała się z koron gęsto posadzonych, a w porze robienia tego zdjęcia prawie bezlistnych drzew. Jednak było coś intrygującego w tym zdjęciu, coś, co kazało przyjrzeć mu się dokładniej. Między tymi drzewami stało coś dziwnego. Było niestety niewyraźne. Wysoki płot obrastały suche pnącza dzikiego wina, przeplatane sztywnymi liśćmi bluszczu. Dalej dość gęste krzaki. Wyłożona płaskimi kamieniami ścieżka prowadziła od krzywej furtki do ganku, na którym siedziała jakaś kobieta, i masywnych drzwi wejściowych, gdzie wisiał duży, żeliwny dzwon. Okna zasłaniały drewniane okiennice. Miałam wrażenie, że patrzę na miejsce zastygłe w innym czasie. Czułam tam obecność jakiejś niezwyklej przeszłości, ciężaru spoczywającego na barkach tego domu jak na ramionach kogoś doświadczonego przez los. Kiedy po raz pierwszy oglądałam te zdjęcia, wzdrygnęłam się, a ona spojrzała na mnie z obawą, że się wycofam, odejdę, nie będę towarzyszyć jej wspomnieniom.

– Okiennice muszą być zamknięte. Oni tam cały czas zagląдают – wyjaśniła.

– Kto? – zapytałam i rozejrzałam się po mrocznym holu, bo ogarnął mnie lęk. Ale nie doczekałam się odpowiedzi.

– W tym pokoju, niech dziewczyna patrzy – powiedziała i podetknęła mi pod nos kolejne zdjęcie przedstawiające wnętrze pałacu. Meble, ornamenty pod sufitem, kobierzec na ścianie, wszystko to sprawiło, że na chwilę znalazłam się w komnacie z innego świata. Przymknęłam oczy i pozwoliłam wyobraźni unieść zapach kurzu z ledwo wyczuwalną nutą wody jaśminowej, jakiej używała Oksana. Było to tak sugestywne, że z braku powietrza zakręciło mi się w głowie. Miałam ochotę usiąść na jednym z krzeseł ze zdjęcia albo na pluszowej kanapie, która przypominała bardziej muzealny eksponat niż sprzęt codziennego użytku. Oksana wetknęła mi do rąk zdjęcie i rozejrzała się lękliwie.

– Co było w tym pokoju? – zapytałam drżącym głosem, wykorzystując chwilę ciszy.

– Tam coś się wydarzyło, ale nie mogę mówić, co. Oni mi nie wierzą, nie kazali tego mówić... – Ukryła fotografie za plecami. – Jak znajdą, to mi zabiorą – tchnęła mi do ucha. – Ale dziewczyna nie powie, prawda?

– Nie powiem – obiecałam.

– On był zły. Zły człowiek, oszukiwał mnie, miał inne kobiety. Dziewczyna niech tam jedzie, niech pilnuje domu, kiedy mnie tam nie będzie. Tam zostało moje dziecko, niech dziewczyna go pilnuje.

– Dziecko? Gdzie?

– W tym domu. Ja wszystko powiem: kuchnia znajduje się w suterenie, bo nie lubię dolatujących z niej zapachów. Na wprost okna, w ogrodzie... Nie, o tym nie wolno mi mówić... Jeśli kulawa wróci, nie rozmawiać z nią. Niech wraca, skąd przyszła. Niech nie chodzi po moim domu i się nie śmieje. – Oksana zrobiła efektowną przerwę, jakby czegoś nasłuchiwała, po czym wróciła do tematu. – Nikt mi nie wierzy, ale on tam przychodził, wołał mnie... Niech dziewczyna pilnuje, żeby nie przychodził, nie siadał na moich krzesłach... – Omiotła wzrokiem pomieszczenie, jakby sprawdzała, czy przypadkiem tutaj go nie ma. Nie miałam pojęcia, o kim mówi, ale poczułam dreszcz na plecach. Potem wstała z wiklinowego fotela, ale zanim opuściła hol, zawahała się przez moment.

– Ja na wszelki wypadek napiszę. Niech dziewczyna da kartkę – poleciała. – Ty... – zamilkła i przyjrzała mi się z zastanowieniem. – Jak się nazywasz?

– Anita Winiarska – powtórzyłam już chyba setny raz, bo wciąż mnie o to pytała.

– Ty, Anita Winiarska jesteś jedyna, której mogę powiedzieć, powierzyć, jak przyjaciółce... Ja nikogo nie mam, nikogo! – rozplakała się i opadła na fotel.

Poszłam do dyżurki i z szuflady biurka wyjęłam arkusz papieru. Podałam jej go wraz z długopisem. Pisała coś długo, ale nie chciała mi tego pokazać.

– Fotografie dam – powiedziała szeptem. – Ale tego jeszcze nie – złożyła kartkę i wsunęła ją za dekolt. – Jeszcze nie czas – dodała tajemniczo.

Odwróciła się na pięcie i wyszła, kartkę zabrała z sobą. Zostałam sama. Podniosłam się i czym prędzej zapaliłam wszystkie światła, żeby zdążyć, zanim z mroku wysuną się postaci zrodzone w chorej wyobraźni Oksany. Tłumaczyłam sobie, że cierpi na jakąś chorobę, nie wiedziałam jaką, nie byłam przecież lekarzem. Może ma objawy schizofrenii i tworzy w głowie własne wizje? W każdym razie zdawałam sobie sprawę, że nie jest z nią w porządku, a mimo to poczułam jakiś ciężar, lęk, którego nie potrafiłam wytłumaczyć. Otrzeptałam się jak pies z upiornych wrażeń i wypłam szklankę wody. Potem pobiegłam do pokoju i ukryłam w walizce fotografie. Dopiero teraz mogłam zacząć myśleć, bo dotąd, przytłoczona przedziwną osobowością Oksany, czułam w sobie intelektualną niemoc. Spojrzałam w kierunku drzwi, za którymi krył się dyrektorski gabinet, a dawniej kuchnia mojej babci i przypomniałam sobie makatkę wiszącą właśnie tam, nad stołem. Niby zwykła rymowanka, jaką można było spotkać w niejednej kuchni, jednak wyszyty na niej napis zawsze wyzwalał we mnie fantastyczne wyobrażenia. Był zagadkowy i zatrważał swoją wymową. „Nie mów nikomu, co się dzieje w domu” – ostrzegał. Ogólnie rzecz biorąc,

tutaj też wszystko było dziwne, tajemnicze i przytłaczające. Przypomniałam sobie o tym właśnie teraz, na nocnym dyżurze, kiedy z górnych sypialni dobiegało pochrapywanie, a po korytarzu raz po raz przemykała podekscytowana własnymi urojeniami Oksana. Prawdę mówiąc, miałam ochotę wziąć nogi za pas. Nic mnie tu przecież nie trzyma – myślałam, wypełniając kolejną kartę księgi raportów. Rozważałam, czy ująć w nich nocne widziadła Oksany, za którymi uganiała się po piętrze. I ile jest prawdy w tym, co opowiadała. Z tą kobietą wiązały się same tajemnice.

Kiedy zrobiło się cicho, przysnęłam w fotelu. Obudziła mnie czyjaś obecność. Aż krzyknęłam z wrażenia, gdy otworzyłam oczy. Nade mną pochylała się twarz Oksany.

– Ja muszę tam wrócić, to wszystko moje – mamrotała. – Muszę wrócić do mojego dziecka...

Kolejną noc miałam wolną, ale obudził mnie hałas z niższego piętra. Poderwałam się z łóżka i zapaliłam lampę. Zegarek wskazywał trzecią w nocy. Zajrzałam do wózka, w którym smacznie spała Sonia, wsunęłam na nogi kapcie i wybiegłam na schody. Zatrzymałam się w połowie drogi. Stąd ujrzałam Wandę, która tej nocy miała dyżur, a w tej chwili usiłowała zagonić do łóżka jednego z podopiecznych, półnagiego Andrzeja, który biegał od drzwi do drzwi i wył przeraźliwie.

– Wracaj do pokoju! – krzyczała. – Andrzej! W tej chwili do łóżka!

Trzymała się od niego w bezpiecznej odległości, bo ten stawał się coraz bardziej agresywny, a ona była bezradna. Wyrwani ze snu pensjonariusze otwierali swoje pokoje i z ciekawością wyglądali na korytarz. Jakaś kobieta zaczęła śmiać się głośno i klaskać w ręce. Jeden z mężczyzn usiłował dogonić Andrzeja i przywołać go do porządku, ale na nic się to nie zdało. Tymczasem Andrzej zabrał się do majstrowania przy drzwiach wejściowych. Za wszelką cenę chciał je otworzyć, by wydostać się na zewnątrz. Wył przy tym jak potępieniec i szarpał klamką. Miałam w pokoju pierniki w czekoladzie, jeszcze z Wrocławia. Trzymałam je na specjalną okazję. Pobiegnęłam po nie, potem zbiegłam na dół, podstawiłam jedno ciastko pod nos Andrzeja, żeby poczuł zapach, i natychmiast je schowałam. Przestał szarpać klamkę i patrzył na mnie błędnym wzrokiem. Chyba nie do końca kojarzył, co sprawiło mu taką przyjemność. Cofnęłam się o dwa kroki i znów pokazałam mu ciastko, po czym schowałam je za siebie. Wanda tymczasem upchnęła obserwatorów w sypialniach. Andrzej ruszył za mną, jak pies za kielbasą.

– Dostaniesz, jak wrócisz do łóżka – obiecałam.

- Dobrze – zgodził się i wyciągnął rękę. – Daj.
- W łóżku – powiedziałam. – Dostaniesz ciastko w łóżku, rozumiesz?
- Rozumiem – przytaknął. – Daj.
- Połóż się, to dostaniesz – powtórzyłam stanowczo.
- Dobrze – rzekł posłusznie i poszedł do sypialni.
- Włóż piżamę – poleciłam.
- Dobrze.

Wszedł do łóżka, nie spuszczając z piernika oka.

– Nie próbuj wstawać, bo przyprowadzę wielkiego psa i cię ugryzie – wymyśliłam na poczekaniu.

– Dobrze, nie będę – obiecał. – Daj.

– Proszę – podałam mu pierniczek. – Smakuje? – zapytałam, widząc, jak pochłania go w okamgnieniu.

– Dobry. Daj jeszcze.

– Nie mam. Ale mam psa, pamiętaj – postraszyłam. – A teraz spać.

– Dobrze – zgodził się i naciągnął kołdrę na głowę.

Opuściłam sypialnię, gasząc światło.

– O Jezu – jęknęła Wanda, zamykając drzwi ostatniej sypialni. – Dobrze że przyszłaś. Chodź do dyżurki, muszę dojść do siebie.

Była czwarta nad ranem, gdy dopijałyśmy herbatę. Do mojego dyżuru pozostały zaledwie dwie godziny. Miałam piasek pod powiekami, ale rozmowa z Wandą mnie wciągnęła. Po tym, co usłyszałam, i tak nie mogłabym zasnąć.

– Lekarz powinien przychodzić w każdy poniedziałek – mówiła. – Ale on tylko dzwoni i pyta, czy wszystko w porządku. Dostaje za to pieniądze, jakby pracował. Pielęgniarka uciekła stąd pół roku temu. Teraz my wypełniamy jej obowiązki, ale Więcak wciąż ma ją na liście płac i bierze za nią wypłatę. Wcale się nie boi. Podobno ma kogoś ważnego w partii i nic jej nie mogą zrobić. Czasem przyjeżdżają kontrolować. Chyba ktoś dyrektorkę uprzedza, bo w takie dni to, co jest w jadłospisie, zawsze zgadza się z tym, co na talerzach. Nigdy nie było wpadki. I wszystko jest: proszek do prania, mydło, nawet pościel jest wykrochmalona i papier toaletowy w łazienkach. Po kontroli to wszystko znika. Świetlica jest tylko na pokaz. Nic tam się nie dzieje. Do biblioteki dyrektorka przyniosła z domu dzieła Lenina. Wyobrażasz sobie? Kto tu będzie czytał dzieła Lenina? No i te trupięgi...

– Jakie trupięgi? – zdziwiłam się.

– Trupięgi, takie buty dla nieboszczyków.

– Co z butami dla nieboszczyków? – wzdrygnęłam się i wytrzeszczyłam oczy.

- Byłaś w drugim pawilonie?
- Nie.
- Nasi podopieczni kleją tam z tektury buty i malują je na czarno.
- Po co?
- Dla zakładu pogrzebowego.

Rzeczywiście, co czwartek wynurzał się z drugiego pawilonu mroczny i krępy jegomość z czołem pofałdowanym jak u buldoga i oczami przewiercającymi wszystkich na wskroś. Dopiero teraz sobie uświadomiłam, że patrzył, jakby brał właśnie miarę na trumnę. Produkcja czegoś takiego na pewno nie wpływała dobrze na nastrój. A przecież byli tu również prawie zdrowi pensjonariusze albo tacy z depresją. Trafili tu, bo słabo radzili sobie z przeciwnościami i nie miał się kto nimi zaopiekować.

Praca w „Ustroniu” była ciężka. I nie chodziło tylko o wysiłek fizyczny, bo na przykład pracowałyśmy za sprzątaczkę, pielęgniarkę czy terapeutkę, których po prostu nie było. Ciężko było również dlatego, że pensjonariusze potrzebowali nas nie tylko do obsługi. Oni potrzebowali naszej troski, wsparcia, pocieszenia, dobrej rady i zwykłej rozmowy. Na to nie miałyśmy czasu.

– Pani Anito – usłyszałam pewnego dnia w gabinecie pani Więcak – proszę nie poświęcać tyle uwagi podopiecznym. Zanedbuje pani inne obowiązki.

– Zanedbuję obowiązki? – zdziwiłam się, próbując sobie przypomnieć, czego nie zrobiłam.

- Owszem. Wczoraj nie podała pani leków Stanisławowi.
- Nie podałam, ale nie dlatego, że o tym zapomniałam.
- Nie? – zapytała zimno, świdrując mnie wzrokiem. – No więc dlaczego?
- Na buteleczce jest napisane, żeby nie podawać dłużej niż miesiąc.
- Niech pani pilnuje własnego nosa. Nie jest pani lekarzem.
- Ale lekarza nigdy nie ma.
- Nie pani sprawa. Proszę podawać zalecane leki.
- Nikt ich nie zalecał prócz pani. A pani też nie jest lekarzem. To przecież silne psychotropy, a on jest bardzo spokojny.
- Muszę przyznać, że ma pani tupet – wysyczała jadowicie. – Nauczyła się tu pani bezczelności.
- Mam dobrego nauczyciela – uśmiechnęłam się złośliwie.
- Kogóż to? – zainteresowała się, siadając za biurkiem.
- Panią – odparłam po krótkim wahaniu.

Minęły dwa miesiące, odkąd przekroczyłam bramę zakładu. Sonia rosła w ramionach przypadkowych opiekunek, nawet kucharki zagadywały do niej, gdy

baraszkowała na kocyku. Koleżanki pomagały mi podczas moich dyżurów, a pensjonariuszki chętnie zajmowały ją grzechotkami. Dzięki temu nie wyginała buzi w podkówkę, ilekroć pojawiała się nad nią nowa twarz. Zakupy dla siebie i Soni robiłam raz w tygodniu, gdy miałam wolny dzień. Pieniądze od Aleksandra wydzielałam ściśle na potrzeby Soni, sama natomiast zaopatrywałam się w to, co akurat było w sklepie. Nie pojechałam do mojego rodzinnego miasteczka, chociaż autobusem można było się tam dostać w pół godziny. Znacznie dłużej jechało się pociągiem, który robił duże koło. Gdyby nie oszustwa i przykry charakter pani Więcak, byłoby tu ciężko, ale całkiem znośnie. Zarobki były niskie, mimo to postanowiłam zaoszczędzić, ile się da i uciec stąd, kiedy już będzie mnie na to stać.

Niebo nad „Ustroniem” poszarzało. Dni jesienniały i stawały się coraz krótsze. Trzydziestu mieszkańców ośrodka snuło się korytarzami, wzbudzało współczucie. Bo to milczenie zawierało wszystko, czego nie potrafili wyrazić słowami: niechęć, rezygnację, żal do losu. Wprowadzona przez Więcak dyscyplina, manipulowanie nie tylko pensjonariuszami, ale również personelem, przejęcie nad wszystkim kontroli wpływało negatywnie na nastroje, gasiło potrzeby. I o to chyba chodziło, żebyśmy zatracili indywidualność, siłę do walki czy choćby sprzeciwu. Pensjonariusze nie mieli tu nic własnego, przebywali cały czas ze sobą, nie mając wpływu na dobór towarzystwa. Nie mieli nikogo i nie byli dla nikogo. Dlatego uwielbiali dzień przeznaczony na pisanie listów. Tak spędzali każde wtorkowe popołudnie.

W środę rano wybierałam się po zakupy. Sonia czekała w wózku na dworze, mnie zaś zatrzymała Wanda, z prośbą o kupienie jakiegoś drobiazgu. Wtedy zawołała mnie dyrektorka.

– Pani Anito, wrzuci pani listy do skrzynki?

– Tak, oczywiście – zgodziłam się chętnie.

Podawała mi kilka kopert.

– A te? – zapytałam, wskazując spory stos leżących na biurku.

– Te się nie nadają do wysłania, a tych dwóch jeszcze nie przeczytałam – odparła zwyczajnie, jakby czytanie cudzej korespondencji było normą. Nic nie powiedziałam. Wzięłam listy i opuściłam gabinet. Od tej pory bez względu na to, czy pełniłam dyżur, czy też nie, sama odbierałam listy od wszystkich i bez zaglądnienia do nich wrzucałam przy najbliższej okazji do skrzynki. Więcak połapała się dopiero po trzecim wtorku.

– Nikt nie napisał listu? – zapytała podejrzliwie Beaty. Ta wzruszyła tylko ramionami, co miało pewnie oznaczać, że nikt jej nie przekazał, więc pewnie

nie. – Będę to obserwować – ostrzegła. Ale nie przeraziłam się. Nadal nadzorowałam wysyłanie listów do rodzin naszych podopiecznych.

W poniedziałek była wyjątkowo ładna pogoda. Poleciałam pensjonariuszom, żeby ubrali się ciepłej i zabrałam ich na krótki spacer, drogą wiodącą wzdłuż torów kolejowych, obsadzoną szpalerem drzew. Pod nogami szeleściły poskręcane, bure liście. Powietrze było rześkie, słońce zamglone. Oksana podeszła do mnie i poprosiła, bym pozwoliła jej poprowadzić wózek z Sonią. Zgodziłam się, choć nie od razu. W przypadku Oksany wolałam być ostrożna. Najpierw trzymała się blisko mnie, potem zaczęła nieznacznie mnie wyprzedzać, aż wreszcie oddaliła się o dobre kilka metrów. Zawołałam ją, ale nie reagowała. Przeraziłam się, że wpadła na jakiś absurdalny pomysł w swoim typie. Przyśpieszyłam kroku, w końcu zaczęłam ją gonić. Krzyczałam, by zawróciła. Zatrzymała się i zakłopotana zaczęła poprawiać poduszkę i kocyk. Spojrzałam z niepokojem na dziecko, ale Sonia nie przejawiała żadnych oznak lęku. Przeciwnie, była bardzo zadowolona. Odebrałam wózek Oksanie i upomniałam ją ostro. Spuściła głowę i milczała, co było do niej niepodobne. Zwykle przecież do niej należało ostatnie słowo. Teraz jednak widziałam, że było jej przykro.

Zarządziłam koniec wycieczki i wróciliśmy na obiad, podczas którego korespondencyjna bomba wybuchła w całej krasie. Stasio, bratanek jakiejś osobistości, opisał bez ogródek, co dzieje się w ośrodku i tego właśnie dnia, nieoczekiwanie, akurat w chwili gdy Więcak zbierała się do domu, w drzwiach pojawili się dwaj mężczyźni i jakaś kobieta. Zabrali ją do gabinetu, gdzie w ruch poszły dokumenty i jądłospisy. Później obejrzelni magazyn, a nawet warsztat z trupięgami. Wszyscy widzieli, że ciepła посадка pani Więcak była zagrożona. Nazajutrz zapowiedzieli przeprowadzenie wywiadu z pensjonariuszami, który miał wbić ostatni gwóźdź do dyrektorskiej trumny. Ale tak się nie stało.

Następnego dnia rano, jeszcze przed pobudką, kucharka, która wyniosła zlewki do pojemnika stojącego za domem, przybiegła przerażona.

– Boże, zmiłuj się! – wołała. – Pani Oksana! Pani Oksana, Jezu!

Wybiegłyśmy wszystkie tak, jak stałyśmy. W samych fartuchach i chodakach, chociaż pogoda była paskudna. Na trawie leżała Oksana, nieruchoma, twarzą do ziemi. Brygida była roztrzęsiona. To ona miała nocny dyżur, gdy to się stało.

– Niech nikt jej nie dotyka! – wołała histerycznie. – Karetka! Wezwijcie karetkę!

– Proszę natychmiast stąd odejść – usłyszałyśmy zasadniczy głos pani Więcak. Trzeba przyznać, że trzymała nerwy na wodzy. – Nic tu po was. Brygida, dzwoń na pogotowie.

Wszyscy wycofali się w milczeniu do swoich obowiązków. Nie mogłam uwolnić się od myśli, że to może przeze mnie, przez tę reprimendę, którą otrzymała Oksana za oddalenie się z wózkiem. Potem jednak przypomniałam sobie, że ona chciała tam wrócić. Wrócić do swojego domu, chronić go przed urojeniami, zjawami zaglądającymi w okna. Może więc to był tylko wypadek?

Karetka przyjechała i pojechała, ale nikomu z nas nie wolno było tam podchodzić.

W obliczu tej tragedii, a może też z innego powodu, komisja nie chciała się już zajmować stanem magazynów. Nakazała wezwać ekipę do zamontowania krat w oknach i przymknęła oko na machlojki w zakładzie. Dyrektorce Więcak znów się upiekło. Ale mnie i tak zwolniła jeszcze tego samego dnia za niesubordynację, to znaczy za wysłanie listów.

W pociągu oglądałam fotografie Oksany.

Minął ponad rok, odkąd rozpoczęłam tułaczkę. Po opuszczeniu domu babci, który nie był już domem babci, tylko Pomocy Społecznej, przyszedł czas, by otworzyć kolejne drzwi, za którymi czekała niewiadoma. Nie znałam jeszcze swojego miejsca na ziemi. Sonia kończyła ósmy miesiąc i zdążyłyśmy się już do siebie przyzwyczać. Była pogodnym i otwartym dzieckiem, co przypisywałam kilku miesiącom spędzonym w ramionach przypadkowych kobiet. Starłam się otrząść z nieprzyjemnych i smutnych wrażeń, przełknąć gorzką pigułkę niegodziwości, jaka spotkała mnie w zakładzie pani Więcak. Wyższość układów nad sprawiedliwością była widocznie domeną tych czasów.

Listopadowy wiatr wieszał się na gałęziach, gdy znów szłam ulicami Wrocławia, objuczona jak osioł, bezdomna. W światłach latarni gubiłam swoje cienie, potykałam się o nierówności chodnika. Szarość miasta zlewała się ze zmierzchem, ponurą aurą i beznadzieją. Ludzie też byli szarzy. Przemykający między budynkami myśliwi pakowali do siatek marzenia o rogu obfitości. Wyrzucając z głowy wszystkie ważne sprawy, tłumili złość, milczeli o buncie, bo konsumpcyjny wyścig zabijał w nich ducha walki o lepsze. Szłam z nurtem, wtopiona w ludzką masę, zmęczona i równie szara jak oni. Szłam do starego mieszkania ciotki Rozalii, przekonana, że zdążyła wrócić tam po remoncie. Obawiałam się tylko, jak mnie przyjmie. I nie chodziło tylko o brak miejsca w jej domu. Zastanawiałam się, czy wybaczy mi Aleksandra.

Czerwone drzwi ciotki nie były już czerwone. Połyskiwały nową, brązową farbą, ale zabrakło na nich wizytówki z jej nazwiskiem. A i pukanie na nic się nie zdało, nawet Banto nie zaszczekał. Stałam bezradnie w progu i zastanawiałam się, czy tu w ogóle ktoś mieszka. Dobijałam się dość długo, w końcu zrezygnowana, schodek po schodku, zaczęłam iść na dół. Z Sonią i bagażami wcale nie było to łatwe.

Teraz musiałam podjąć decyzję, co dalej. Przypuszczałam, że ciotka Rozalia nadal przebywa w mieszkaniu zastępczym. Nie miałam z nią kontaktu i nie wiedziałam, gdzie jej szukać. Moje położenie było beznadziejne. Robiło się późno, a ja nie miałam gdzie się podziać. Aleksander nie wchodził w grę. Tę

furtkę zatrzasnęłam bezpowrotnie. U pani Stefanii nie było miejsca, zresztą pojawienie się u niej znienacka, w dodatku o tej porze nie byłoby w dobrym tonie. Nie była mi aż tak bliska. Hotele nie na moją kieszeń, a na dworcu z dzieckiem spać nie chciałam. Zmęczenie nie pozwalało na racjonalne podjęcie decyzji. Po głowie uporczywie plątała mi się jedynie Florka i jej świta.

Krzywy nie był zdziwiony, gdy ujrzał mnie w progu. Bez słowa podniósł walizki i wtaszczył je do środka. Florka siedziała tyłem i chyba malowała paznokcie, bo po wnętrzu rozchodził się intensywny zapach lakieru. Poruszyła się niespokojnie, ponieważ od strony drzwi ciągnął chłód.

– Gorąco ci, Krzywy? – zapytała z przekąsem. – Zamknij te wierzeje, do cholery.

– Zaraz – burknął Krzywy i przetoczył wózek bliżej pieca.

Podeszłam do Florki i objęłam ją ramionami za szyję.

– Weź się odwal – mruknęła i ruchem ramion strząsnęła moje ręce. Coś ją jednak tknęło, bo odwróciła nagle głowę.

– Anka! – zawołała. – A niech cię! Z pół roku cię nie widziałam – roześmiała się.

– Prawie – sprostowałam. – Przenocujecie mnie?

– Jasne, co nie, Krzywy? – zapytała dla porządku, bo tak naprawdę to ona rządziła. W tym domu i wszędzie. Rządziła Krzywym.

– Możesz tu spać – mruknął. – Jakoś się zmieścimy.

– Jakoś się zmieścimy? – zdziwiłam się. – Drugie łóżko zajęte?

Krzywy nie skomentował, tylko łypnął okiem na Florę. Ta zaś obejrzała się na gaworzącą w wózku Sonię.

– Ale urosła. I siedzi już sama. Widziałeś, Krzywy?

– Si – odrzekł obojętnie i nawet na małą nie spojrział. – Wychylisz fikołka? – zwrócił się do mnie.

Skinęłam głową i rozsiadłam się jak u siebie. Czułam się dobrze w mieszkaniu, w którym nikt nie sprzątał, nie było prądu, a jadło się to, co kto upolował. Ja też chciałam mieć w tym swój udział.

– Przywiozłam wam kilo cukru – oświadczyłam z dumą, bo zdobyłam go bez kartek. – Wyjmij, Krzywy. Na wierzchu, w torbie. I kiełbasę. Swojska, od gospodarza.

– Kiełbasa! – ożywił się. – Dawno nie jadłem.

– Zostaw – warknęła Florka i zabrała kiełbasę. – Dawaj, bo wszystko zeżresz.

Krzywy mieszał coś w szklankach, a ona wyciągnęła z torebki paczkę pokruszonych herbatników. Wzruszyłam się. Sami nic nie mieli, a mimo to byli

gościnni.

– Opowiadaj, co tam w wielkim świecie – zaśmiała się. – Wilk mówił, że pojechałaś do matki.

Zesztywniałam na samą myśl o Wilku. Nie należał do miłych wspomnień.

– Kiedy mówił? – zapytałam.

– Kiedy? – zastanowiła się, po czym zwróciła się do Krzywego: – Kiedy on to mówił, stary? – ponieważ nie odpowiadał, pacnęła się otwartą dłonią w czubek głowy. – No, wtedy, jak zawiózł cię na dworzec – przypomniała sobie i machnęła ręką na milczącego Krzywego. – Ty byś coś wiedział – mruknęła z niechęcią.

– Tak, miałam być u matki, ale w końcu tam nie trafiłam. A on dokąd pojechał?

– Kto? – zdziwiła się Florka. – Wilk? Nigdzie nie pojechał. Zaraz wróci, to sam ci będzie opowiadał. Jak będzie chciał, oczywiście – zastrzegła się. – Wiesz, jaki jest Wilk.

– Powiedziałaś, że zaraz wróci...

– Czasem tu śpi – wyjaśniła oględnie.

Zrobiło się późno, a Wilk się nie pojawiał. Nakarmiłam Sonię i kiedy kładłam ją w wózku, stwierdziłam, że ledwo w nim się mieści i czym prędzej muszę sprawić jej spacerówkę. Podeszłam do okna. Nawet przy słabym świetle świec widać było kurz na szybach. Po chodnikach wiatr miótł resztki zeschniętych liści. Jakiś afisz zawinął się o słup latarni i łopotał, rwąc się na strzępy. Od okna wiało chłodem. Florka włożyła wełnianą, kraciatą kurtkę i skinęła na Krzywego, żeby ją odprowadził.

– Do jutra – powiedziała i klepnęła mnie po męsku w ramię.

Kiedy wyszli, poczułam się nieswojo. Nigdy nie byłam sama w tym domu. Wsłuchiwałam się w szepty drewnianych podłóg, skwierczenie świec, podmuchy wiatru za oknem, a po głowie tłukły się opowieści o tajemniczych zbrodniach, zjawach i demonach, opowiadane dawno temu w tym pokoju.

Wilk wszedł cicho. Tylko drzwi delikatnym skrzypnięciem oznajmiły jego obecność. Serce poderwało się do lotu, ale wspomnienia ostatnich wydarzeń natychmiast osadziły je na miejscu. Zmrużył oczy i przez moment patrzył na mnie z niedowierzaniem. Szybko jednak zatuszował pierwsze wrażenie zblazowanym uśmiechem.

– Nie podobało się u mamusi? – zapytał. Usiadł na krześle, z westchnieniem ulgi zdjął buty, podniósł moją szklankę i powąchał jej zawartość. – Krzywego nie ma?

– Wyszedł z Florką.

Kiwnął głową, otworzył piwo i w milczeniu sączył je wprost z butelki.

Miałam wiele pytań, ale on ani jednym spojrzeniem nie zachęcił mnie do rozmowy. Wolałam jej nie inicjować, żeby nie narazić się na nieprzyjemne komentarze. Siedziałam więc, obracając w palcach szklanekę, i gapiłam się w przestrzeń. Nie mogłam skupić się na własnych myślach. To, że tu siedział, ciążyło, nie pozwalało się odprężyć. Być może on przeżywał to samo i prowadziliśmy bezsensowną cichą walkę słów, które skrywaliśmy głęboko. Analizowałam swój stosunek do niego. Z jednej strony nie wzbudzał we mnie sympatii, można nawet powiedzieć, że go nie lubiłam. Był kpiarski, złośliwy i bezwzględny. Z drugiej jednak strony imponował mi siłą, analitycznym umysłem, czym sama nie mogłam się poszczycić, poza tym był nieprzyzwoicie przystojny.

Wilk nagle się ocknął, spojrzał na mnie, jakby sobie przypomniał, że jeszcze tu siedzę.

– Dlaczego wróciłaś? – zapytał.

– Nie byłam u matki. Pracowałam, ale dyrektorka mnie wyrzuciła.

– Nie żartuj – zaśmiał się. – Za co?

– A za co teraz się wyrzuca? Za uczciwość.

Uśmiechnął się ironicznie i pokiwał głową.

– A co było z tobą? Opowiedz, jaki był ciąg dalszy – poprosiłam. Udał, że nie rozumie.

– Ciąg dalszy czego?

– Twojej przygody. Odwiozłeś mnie wtedy na dworzec. Co było dalej?

Myślałam, że mnie zignoruje, wyśmieje lub coś w tym rodzaju. Ale on spoważniał.

– Wróciłem tam, do niego. Chciałem posprzątać, wiesz, co mam na myśli – uśmiechnął się cynicznie. – Okazało się, że nic mu się nie stało. Był w niezłej formie. Na mój widok podniósł słuchawkę i z tym swoim stoickim spokojem oznajmił, że wezwie milicję. Ale go przekonałem, że nie warto.

– W jaki sposób go przekonałeś?

– Mam swoje sposoby, żeby siedział cicho – mruknął. – W firmie podobno przesunęli go na inny dział. Dobra – machnął ręką. – Nie chce mi się już o tym gadać. Było, minęło.

– Jasne, rozumiem – skwitowałam.

– No, a co z tobą? Wrócisz do ciotki czy co? – zmienił temat.

– Nie mam pojęcia, gdzie jej szukać. W starym mieszkaniu jej nie ma.

- Pytałaś sąsiadów?
- Jutro pojedę tam i zapytam – powiedziałam.
- Anka... – odezwał się Wilk.

Może powiedziałyby coś jeszcze, może nawet spojrzwałyby mi głębiej w oczy, ale wrócił Krzywy.

Zamieniliśmy kilka zdań, ale żadne z nas nie miało już sił na prowadzenie nocnych rozmów.

Spali na waleta, ja dostałam osobne łóżko. Mimo zmęczenia nie mogłam zasnąć.

Dziwnie było leżeć tak bezsennie i tak blisko, choć mentalnej odległości nie dałoby się zmierzyć żadnym metrycznym systemem. Dziwnie było oddychać tym samym powietrzem, krążyć myślą po nieznanymi orbitach jego snu, przebijać ciemność. Powoli i zmysłowo roiłam grę wstępną, dotykałam wzrokiem jego ust i przestałam udawać, że obchodzą mnie tylko spływające z nich słowa. Jak macki ośmiornicy wysunęły się z mroku ramiona, przylgnęły, uwięzły w marzeniu. Wilk, cholera, wcale tego nie chcę – pomyślałam obłudnie i zatonąłam we śnie.

Ranek wstał chmurny, jak lokatorzy tego domu. Wilk umył zęby, wciągnął spodnie i pognał gdzieś na złamanie karku, nawet na mnie nie spojrzawszy. Uśmiechnęłam się z politowaniem nad samą sobą, kiedy uświadomiłam sobie, że jego ramiona były zaledwie mglistą mrzonką, bo Wilk prawdziwy, ten z krwi i kości jest, jaki jest. Ubrałam Sonię i podjęłam kolejną próbę odnalezienia ciotki Rozalii. W mieszkaniu nadal jej nie było, zapukałam więc do sąsiada, pana Bogdana, który niegdyś dostarczył nam choinkę. Wydawał się być z ciotką zaprzyjaźniony. Kiedy otworzył drzwi, na moje powitanie wybiegł uradowany Banto. Ze zdziwieniem zapuściłam żurawia do środka, spodziewając się tutaj również ciotki. Sąsiad był niemniej zaskoczony ode mnie.

- Anita? – zapytał i poprawił na nosie okulary. – Przyszłaś po psa?
- Po psa? Niezupełnie. Szukam cioci...
- Jak to? W szpitalu jeszcze. Nie wiadomo, kiedy ją wypuszczą.
- Ciocia w szpitalu? Co się stało? – wykrztusiłam, a fala wstydu wypęzła mi na policzki. Jak mogłam nie zainteresować się nią wcześniej... Powinnam napisać, zadzwonić. Wiedziałam przecież, że wróci na stare śmieci. Mówiła o tym.

– Nikt nie wie, co się stało. Badają. Myśleli, że woreczek, ale go wycięli, a z nią coraz gorzej. Leży na Rydygiera, jakbyś chciała pójść, ale z dzieckiem i tak cię nie wpuszczą – zastrzegł. – Możesz tu małą zostawić, żona lubi dzieci –

dodał i odgonił podskakującego psa nogą.

– Dziękuję. Oczywiście, że pójdę – powiedziałam.

Żółtko przekrojonego na pół jajka, element szpitalnej kolacji, było zielonkawe. Ale i tak wyglądało lepiej niż twarz ciotki Rozalii. Nigdy nie widziałam jej w tak kiepskim stanie. Kiedy ujrzała mnie w drzwiach sali, podniosła na powitanie rękę. Nie zdziwiła się ani nie ucieszyła. Gdy jednak podeszłam bliżej, zauważyłam, że twarz ma zatroskaną.

– Myślałam, że to Reginka... Miała przynieść mi świeży ręcznik – powiedziała słabo. – Przyszłaś tu sama? – zapytała po chwili.

– Tak, ciociu, sama – odparłam. Zdziwiłam się, że Regina odwiedza ciotkę. To nie było do niej podobne.

– Pytam, bo Aleksander któregoś dnia dzwonił, że już wróciliście. No i jak było? Dobrze się bawiliście?

Zbaraniałam. Nie byłam w stanie nawet udawać, że jest inaczej.

– Ale gdzie, ciociu? – wykrztusiłam, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.

– No, tam gdzie byliście. W Bawarii. A co? Jeździliście gdzieś jeszcze?

– Gdzieś jeszcze? Nie...

– No właśnie. Olek przed waszym wyjazdem mówił tylko o Bawarii. Myślałam, że chociaż widokówkę ciotce przyslesz. A ty nic. Regina tu zaglądała, a ty przepadłaś. Jak kamień w wodę. Ale rozumiem, rozumiem – powstrzymała mnie ruchem ręki, sądząc, że będę się tłumaczyć. – Też byłam zakochana.

Boże, ten idiota nic jej nie powiedział. Ona nie wiedziała, że się rozstaliśmy. Jak mam to odkręcić, żeby jej nie dobić – myślałam gorączkowo. – No i ta Regina... Nigdy nie była zbyt uczuciowa, ale nawet ona przyszła.

– No, a jak się ciocia czuje? – zmieniałam szybko temat i położyłam na szafce kilka jabłek, jedyny artykuł, jaki mogłam dostać w sklepie. Zerknęła na owoce i zamachała rękami.

– Zabieraj to, dziecko. Wcale nie mogę jeść. Niech mi tu nie leżą.

– Co cioci dolega? – zapytałam z troską. Naprawdę było mi jej żal.

– Ach, nie mam pojęcia – zachnęła się. – Niech lekarze się nad tym zastanawiają. I to szybko, bo chciałabym być już w domu – zmęczyła się tą krótką wypowiedzią i zaczęła ciężko oddychać. – Daj mi, dziecko, łyk wody – poprosiła. – Tutaj suche powietrze. Ja dopiero w domu dojdę do siebie.

W domu... Ja też chciałabym wrócić do domu, ale jak w tej sytuacji poprosić ją o klucz?

– Ładnie wyremontowali? – zainteresowałam się.

– Ładnie. Ale nie zdążyłam się nacieszyć. I żałowałam, że was nie ma, kiedy musiałam na nowo się urządzać. Wtedy już nie najlepiej się czułam. Na szczęście Reginka przyszła i mi pomogła.

Reginka? Pomogła? Coś mi tu nie pasowało.

– Długo ciocia tu leży? Może trzeba podlać kwiatki?

– Kwiatki? Nie, nie trzeba. Regina przychodzi i podlewa. A tutaj jestem już ze dwa tygodnie. Ale nie mówisz nic o Soni. Jakże ona się miewa? Urosła?

– Urosła, ciociu. Już do wózka się nie mieści.

– Oj, chciałabym ją zobaczyć. Uśmiecha się?

– No pewnie.

– A Olek, powiedz... Przyzwyczał się do niej? Opiekuje się małą?

Cholera, co za kłopotliwe pytanie. I co mam jej odpowiedzieć? Nie umiem kłamać.

– Ach, co za pytania zadaję – zreflektowała się. – Przecież teraz z nią siedzi, inaczej nie przyszłabyś do mnie.

Wybawiła mnie na chwilę, ale na dłuższą metę takie ukrywanie prawdy na pewno się nie uda. Muszę jednak poczekać, aż ciotka poczuje się lepiej, wtedy jej wszystko opowiem. Rozmowę przerwała pielęgniarka, roznosząca chorym leki.

– Powinnam panią wyrzucić godzinę temu – rzekła do mnie półgłosem, a potem uśmiechnęła się do ciotki. – A któż to panią odwiedził, pani Rozalio?

– To siostrzenica – odparła ciotka z bladym uśmiechem.

– No proszę, i od razu rumieńce na twarzy! – ucieszyła się. – A więc jest jeszcze jedna śliczna siostrzenica, a mówiła pani, że nie ma – pogroziła palcem.

– Jest, jest. Tylko wyjeżdżała za granicę z narzeczonym – oznajmiła ciotka z dumą, a ja z zakłopotania zaczerwieniłam się po czubek głowy.

– No, ale musimy kończyć wizytę – upomniała mnie pielęgniarka. – Niech pani zajrzy do doktora – szepnęła, gdy podnosiłam się z krzesła. – Siedzi w naszej dyżurce – dodała.

Pożegnałam się z ciotką i opuściłam salę. Siostra podążyła za mną i wyprzedziła mnie w drzwiach dyżurki. Zza jej ramienia dostrzegłam młodego lekarza, który opowiadał coś ze śmiechem innej pielęgniarce.

– Doktorze, to siostrzenica pacjentki z trójki, pani Rozalii.

Lekarz spoważniał, skinął na mnie i bez jednego słowa wyjaśnienia poszedł przodem. Biegając za nim truchtem, czułam, że dzieje się coś niedobrego. Otworzył drzwi swojego gabinetu i uprzejmie mnie przepuścił. Wskazał krzesło

przy biurku, sam usiadł po przeciwnej stronie. Potem przyglądał mi się długo. W moim odczuciu trwało to całą wieczność.

– Jestem lekarzem prowadzącym panią Rozalię. Dobrze się stało, że akurat dziś przypadł mój dyżur, kiedy pani przysłała. Pani jest siostrzenicą, tak?

Skinęłam głową.

– Zoperowaliśmy pani ciotkę.

– Tak, wiem. Woreczek żółciowy...

– Nie, proszę pani. Nie woreczek. Otworzyliśmy jamę brzuszną i natychmiast zaszyliśmy. Tam dla nas nie było nic do roboty. Nowotwór załatwił już wszystko... Wiem, jakie to przygnębiające. Potrwa miesiąc, półtora... A może nawet krócej. My już tu nic nie pomożemy. Jedyne, co możemy zrobić, to podawać leki uśmierzające ból. To wszystko.

– Boże – wyjąkałam. – Na pewno? Nie było żadnej pomyłki? Ciocia czuła się świetnie, skąd taka diagnoza?

– Nie sądzę, by czuła się świetnie. Po prostu nie skarżyła się. A do nas trafiła za późno. Stanowczo za późno.

– Zaopiekuję się ciocią – powiedziałam cicho.

Jak to jest, gdy ma się sześćdziesiąt trzy lata i mnóstwo planów na przyszłość, która nigdy nie nastąpi? Jak to jest, kiedy rzeczy codzienne, powtarzalne robi się po raz ostatni? Czy doceniamy smak chleba, wzruszamy się na widok ptaków i chmur, dostrzegamy człowieka, który każdego dnia półgębkiem wita nas na schodach? Zapamiętujemy na zawsze twarze, słowa, drogę do domu? Upychamy po kieszeniach uczucia, przebieramy, selekcjonujemy, wyrzucamy urazy? Śmierć wybiera po omacku, nie zna reguł. Szłam zdruzgotana chodnikiem, skupiałam się na liniach między płytami, które stały się teraz najważniejszym celem. Żeby ich tylko nie nadepnąć. Czy w obliczu umierania takie sprawy mają znaczenie? Nie nadepnąć...

Będę musiała zawiadomić matkę – wystukiwały twarde podeszwy butów. Będę musiała zawiadomić matkę, będę musiała zawiadomić matkę...

Pan Bogdan przekazał mi klucz, anturium, psa. Przez godzinę przeklinałam świat i puste ściany. Potem uciekłam do Kwadratu. Nie chciałam być sama.

Boże, jak ona się cieszyła! Moja enigmatyczna ciotka z pokerową twarzą nauczyła się śmiać pełną pierśią. I to właśnie teraz. Nauczyła się, więc odejść będzie jej jeszcze trudniej. Nie mogłam przestać o tym myśleć, gdy ona podekscytowana opróżniała szpitalną szafkę, zbierała drobiazgi, dziękowała personelowi za opiekę.

– Nie znają się, łapiduchy – szepnęła mi na boku, gdy lekarz spoglądał na nią zatroskany. Nie wiedziała, że za godzinę, dwie, znów poprosi o „te małe, różowe pigułeczki, Anitko, po nich jakoś łatwiej się oddycha”.

Przygotowałam wszystko. Łóżko bliżej okna, podręczny stolik, lampkę, która nie będzie razić w oczy, gdy kilkakrotnie zawoła mnie w nocy. Łazienkową szafkę zapchałam wyczekaną w długiej kolejce gazą i ligniną, jak poradziły pielęgniarki. Przerażała mnie ta trudna odpowiedzialność, ale wiedziałam, że ciocia Rozalia lepiej zniesie to w domu, wśród swoich ukochanych sprzętów, z wiernym Banto u boku. Odsuwałam od siebie myśl o jej ostatnich chwilach, gdy będę musiała przy niej być, trzymać ją za rękę, patrzeć, jak gaśnie. Jeszcze niedawno to ja jej potrzebowałam, liczyłam na jej rozsądek, zaradność, siłę. Dała mi to wszystko, a teraz będę musiała odprowadzić ją na rozstaje.

Powoli przyzwyczajałam się do jej zmiennych nastrojów, które zależały od działania różowych pigułek.

– Powinnaś wrócić do Aleksandra, jak mogłaś zostawić go na tak długo – zrzędziła, gdy zaczynały działać. – Dobrze, że jesteś, Anitko. Aleksander jakoś sobie na razie poradzi, aż wydobrzeję – jęczała, gdy przestawały. – Ale dlaczego on nie przychodzi? – dociekała na pograniczu bólu i ulgi.

Troszczyłam się o ząbkującą i marudną Sonię, pielęgnowałam ciotkę, wybiegałam z psem, polowałam na dostawy w sklepach, gotowałam, prałam zabrudzone nocne koszule, podawałam leki, podstawiałam szklankę wody lub miskę na wymiociny, próżno wyglądałam Reginy, która zapadła się jak kamień w wodę. Uodporniłam się na widok plam na prześcieradle, nie rozróżniałam nocy od dni, nie zauważyłam Bożego Narodzenia...

W drugi dzień świąt ktoś zapukał. Odłożyłam małe nożyczki, którymi obcinałam twarde paznokcie u stóp ciotki i potykając się o rozrzucone zabawki

Soni, podeszłam do drzwi. Banto szalał z radości i wywijał młynka ogonem. Sonia, która dotąd wspinała się po regale do pozycji pionowej i z uporem maniaka zrzucała wszystko, co znalazło się w zasięgu jej ręki, opadła na podłogę i raczkując, w błyskawicznym tempie znalazła się przy mnie. Zanim otworzyłam, poprawiłam byle jak spięte włosy i oceniłam stan czystości włóczkowego swetra. W progu stał Aleksander w nieskazitelnie skrojonym ciemnym garniturze wyglądającym spod rozpiętego wełnianego palta, lśniących butach, w kapeluszu. W prawej ręce trzymał bukiet róż, lewą popychał przed sobą rudowłosą piękność wyjętą wprost z żurnala. Na mój widok zaniemówił. Staliśmy tak naprzeciw siebie, on wytworny, ja potargana, w rozwleczonym swetrze. I ona, trzepocząca zlepionymi rzęsami ocieniającymi oczy naiwnie spoglądającego dziewczątka. Aleksander opanował się prędko. Przesunął piękność przez próg, po czym wszedł sam i zamknął za sobą drzwi. Starał się nie okazywać, co myśli o mnie i o moim wyglądzie.

– To Laura – przedstawił mi rudowłose stworzenie. – Moja narzeczona. My do pani Rozalii.

Szlag mnie trafił. Nie po to chroniłam nasz nieistniejący związek tygodniami, żeby on teraz zniszczył wszystko i dobił ciotkę jakąś rudą małpą.

– Oszalałeś? – wyszczałam. – Po co kłamałeś, że zabawiamy się w Bawarii? Musiałam kłamać, żeby niczego się nie domyśliła.

– To nieporozumienie. Nie mówiłem pani Rozalii, że jestem tam z tobą – sprostował urażony.

– Ale też nie mówiłeś, że jesteś tam z nią – prychnęłam, obrzucając wzrokiem rudzielca. Była śliczna. – Ciocia jest chora.

– Chcę tylko przedstawić jej Laurę i zamienić kilka słów – oznajmił stanowczo i ruszył w kierunku salonu.

– Ani się waż – zatrzymałam go. – Ona jest bardzo chora. Nie pozwolę ci tam wejść.

Ruda przerzucała zdziwiony wzrok ze mnie na niego.

– Nie histeryzuj, proszę – upomniał mnie w swoim stylu. – Wręcę jej tylko róże. Specjalnie sprowadziłem z Holandii – podkreślił. – Długo nie zabawię.

– Ona umiera. Prawdopodobnie ma gdzieś twoje światowe róże – warknęłam.

– Tym bardziej wpuść mnie do niej – zażądał. – Mam prawo ją widzieć. Była dla mnie jak matka.

– Dobrze, ale bez niej – postawiłam warunek, patrząc z niechęcią na Laurę. – Ciocia wciąż... Ona w nas jeszcze wierzy.

– Ja też w nas wierzyłem – burknął, ale się zreflektował i spłoszony zerknął

na rudą. Ta obdarzyła go uroczym uśmiechem, ukazując drobne ząbki i dołeczek w lewym policzku. Zemdliło mnie. Posadziłam ją na ławce pod wieszakiem, złapałam Sonię pod pachę i poszłam pilnować Aleksandra, żeby nie chlapnął czegoś głupiego.

Ciotka poznała go wprawdzie, ale przyjęła obojętnie. Kiwnęła głową na holenderskie róże i poprosiła mnie o drugą w ciągu tej godziny tabletkę. Cierpiała bardzo. Aleksander wyjął z kieszeni chusteczkę i dyskretnie przytknął ją na chwilę do nosa. Wietrzyłam tu wprawdzie, ale nie pomagało na długo. Poza tym za oknem panował mróz, nie chciałam przeziębnić pacjentki.

– Dzień dobry, pani Rozalio – zaczął. – Jak się pani czuje? Bo wygląda kwitnąco... – kłamał.

Odprawiła go ruchem ręki.

Chciało mi się płakać, widząc, jak cierpi, ale nie mogłam odmówić sobie satysfakcji, odprowadzając Aleksandra, który rozejrzał się bezradnie, wcisnął mi w garść napuszone, jak on sam, kwiaty i nadąsany wycofał się do przedpokoju.

Tuż po Nowym Roku zaczęłam liczyć pieniądze. Oszczędności ciotki Rozalii topniały w zatrważającym tempie, a ja swoich już nie miałam. Przerazał mnie brak pracy i perspektywa głodowania w trójkę, a właściwie we czwórkę, bo był jeszcze Banto. Ciocia wprawdzie jadła tyle co ptaszek, ale Sonia miała swoje wymagania, przechodząc powoli na „dorosłą” dietę. Zakupy w aptece również kosztowały. Musiałam regularnie dostarczać cioci lekarstwa i środki opatrunkowe, a Soni warzywa, owoce, nabiał i mięso. Tymczasem pomijając pustki w kieszeniach, pustką świeciły też półki sklepowe. Coraz bardziej skąpe dostawy energii i braki surowców do produkcji powodowały zastoje w zakładach. Rząd naciskał na towary eksportowe, co ograniczało zaspakajanie naszych potrzeb do minimum. Poza tym radio trąbiło o deszczowym, zimnym lecie, przez to kryzysie w rolnictwie i nieurodzajach. Każde kłamstwo było dobre, gdy w kularach szeptano o złym sposobie gospodarowania. Idąc ramię w ramię z zadłużonym krajem, ja również stanęłam na progu bankructwa. Wedle zasady, że biednemu wiatr w oczy wieje, rachunek za prąd przerósł moje możliwości, a na dodatek Sonia absolutnie nie nadawała się już do wożenia w głębokim wózku. W tak tragicznej sytuacji nie byłam jeszcze nigdy. Toteż, kiedy przypadkiem przy ulicy Świdnickiej natknęłam się na Wilka, nie umiałam powstrzymać łez.

– Z radości płaczesz? – zapytał, jak to zwykle on, z ironią. – Z radości, że mnie widzisz? – upewniał się.

– Wilk, nie kpj ze mnie – chlupałam, siąkając nosem. – Jest mi cholernie

ciężko.

Chyba zrozumiał, że znalazłam się w trudnej sytuacji, bo spoważniał.

– Chodź, usiądziemy gdzieś – powiedział i wziął na rękę Sonię, która wręcz wyłaziła z wózka.

W mrocznym wnętrzu Piwnicy Świdnickiej opowiedziałam mu o wszystkich bolączkach. Płakałam przy tym jak bóbr. Nie pocieszał mnie. Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął portfel i przeliczył gotówkę. Zostawił sobie dwa banknoty, a mnie podał resztę.

– Oddasz, jak będziesz miała – powiedział po prostu.

Z trudem się powstrzymałam przed rzuceniem się mu na szyję. Wiedziałam jednak, że przy jego powściągliwym charakterze wprawiłabym go tylko w zakłopotanie.

– Dziękuję – rzekłam i wytarłam łzy.

– Jakbyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać – mruknął. – A teraz leć, śpiesz się.

Zostałam sama. Postanowiłam pójść na pocztę i opłacić rachunki. Potem zamierzałam wstąpić do komisju po jakąś używaną spacerówkę. Ja też się śpieszyłam. Nie mogłam ciotki zostawiać na dłużej samej.

W komisji nie było specjalnego wyboru. Stały dwie spacerówki, przy czym żadna z nich nie podobała mi się zbyt. Rozpieszczona przez Aleksandra, stałam się wybredna. W obecnej sytuacji jednak nie marudziłam. Kupiłam wózek i teraz z trudem obydwą prowadziłam do domu. Stary schowałam w piwnicy.

Ciotce Rozalii nagle się poprawiło. Nie wstała wprawdzie z łóżka, ale poczuła się lepiej i nabrała wiary w wyzdrowienie. Byłam pewna, że nie wie wszystkiego o swojej chorobie albo nie przyjmuje do wiadomości najgorszych scenariuszy. Ale w kolejnym dniu sama zaczęłam wierzyć, że lekarze się pomylili. Zachłannie chwyciła każdą chwilę, aż nie mogłam nadążyć ze spełnianiem jej zachcianek. Prosiła o długopis i papier, na którym długo coś pisała, zaraz potem o włączenie radia, o książkę, a za moment oglądała już zdjęcia i pamiątki zgromadzone w srebrnej kasetce. Potem zamknęła skrzyneczkę i podała mi ją z uśmiechem.

– To dla ciebie. Weź. Ja jestem już za stara na takie błyskotki. Nie noszę biżuterii.

Nabrała ochoty na wytrawne wino, aż zadzwoniłam do szpitala z pytaniem, czy mogę jej podać.

– Niech pani jej nie żałuje – powiedziała pielęgniarka dyżurna. – Niech pani

jej niczego nie żałuje.

Piłyśmy więc razem wino i żartowałyśmy, a ja cieszyłam się, że ciocia jednak dojdzie do zdrowia i nie muszę się już o nią tak martwić. Pielęgniarka miała jednak na myśli coś zupełnie innego.

Był środek nocy, gdy się zbudziłam. Ciotka Rozalia siedziała na krawędzi łóżka, w którym spałam, i wpatrywała się w moją twarz. Błyskawicznie usiadłam z bijącym sercem i już chciałam zapytać, czego potrzebuje, gdy zniknęła.

Pomyślałam z ulgą, że to tylko sen, położyłam się z powrotem i wtuliłam głową w poduszkę. Nagle uświadomiłam sobie bardzo wyraźnie, że to nie mógł być sen. Zerwałam się z łóżka, wsunęłam stopy w rozczłapane kapcie i z tłukącym w piersi sercem pobiegłam do salonu. Na stoliku paliła się mała lampka, a ona miała nieruchome oczy. Przestraszyłam się tak bardzo, że w pierwszej chwili wybiegłam do łazienki i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Chciało mi się wymiotować. Opanowałam się jednak i wróciłam. Podchodziłam ostrożnie, powoli, jak dzikie zwierzę do swojej ofiary. Leżała taka spokojna i obojętna, a ja nie chciałam wierzyć, że właśnie stało się to, czego tak bardzo bałam się przez ostatnie tygodnie.

– Boże, muszę przecież zawiadomić matkę – szepnęłam i spojrzałam na ciotkę, jakbym czekała na jej aprobatę.

Najdziwniejsze było to, że za kilka godzin znów wstanie dzień, jak zwykle ubiorę Sonię, pójdę do sklepu po bułki. I kupię jedną mniej. Obrzuciłam wzrokiem pokój ciepły od światła lampy. Na stoliku wystygła herbata, którą zaparzyłam dla niej przed snem, na oparciu krzesła jej lekko przybrudzony szlafrok, na podłodze przy łóżku kapcie, wszystko jak co dzień. Jakby za moment miała wstać i pójść do swoich obowiązków. Na podłodze obok podniszczonych, wydeptanych jej piętami kapci leżał album ze zdjęciami. Prosiła, żeby nie chować, bo jutro znów będzie je oglądać.

Żal ścisnął mi serce i gardło. Zaczęłam płakać. Po cichutku, żeby nie zakłócić wiecznego snu, łkałam w jej poduszkę, dotykając policzkiem posiwiałych włosów ciotki.

Pochowałyśmy ją na Cmentarzu Grabiszyńskim, całkiem niedaleko pana Jerzego. Aleksander kupił największy wieniec, jaki znalazł w mieście. Rudowłosej piękności nie było. Przybyła za to Regina, przyobleczona od stóp do głów w żałobną czerń. Krok w krok za nią dreptał wyłysiały mąż Leon, ciągnąc za sobą opornego Pawełka, a drugą ręką popychał wózek z niemowlęciem, które okazało się chłopcem, a nie, jak przewidywała Regina, dziewczynką. Matka

stała tuż nad grobem swojej siostry i roniła ciche łzy. Obserwowałam ją dyskretnie ze swojego miejsca. Minął zaledwie rok, a na jej twarzy przybyło kilka zmarszczek. Bardzo chciałam się do niej przytulić, ale czułam jakiś wewnętrzny opór. Przyszło niewiele osób. Prócz Alicji, żadnej z nich nie znałam. Po uroczystościach pogrzebowych Aleksander pożegnał się już na cmentarzu, zaraz po nim odłączył się Leon z dziećmi, my zaś udałyśmy się do mieszkania ciotki Rozalii.

– Zabierasz coś stąd? – zapytała Regina, bo o łzach już zapomniała i teraz łakomie rozglądała się po wnętrzu. Ponieważ patrzyłam na nią, nie rozumiejąc, o czym mówi, złapała mnie za łokieć i zostawiwszy matkę z Sonią w pokoju, zawlokła mnie do kuchni. – Ciotka przepisała mi to mieszkanie – szepnęła. – Zanim wprowadzimy się tu z Leonem, będziesz musiała je opuścić – mówiła półgłosem, żeby matka nie słyszała.

– Jak to opuścić? – zdenerwowałam się. – Zwariowałaś? Dokąd mam pójść?

– Teraz ty sobie powynajmuj, zobaczysz, ile to kosztuje – powiedziała ze zjadliwą satysfakcją. – Musi być sprawiedliwie.

– Regina, nie masz prawa mnie stąd wyrzucać – broniłam się.

– Mam. Chodziłam do ciotki do szpitala, jak ciebie nie było. Wtedy przepisała na mnie, bo ty i tak mieszkasz z Aleksandrem. Tak powiedziała.

– Jak mogłaś? – zapytałam, trzęsąc się z nerwów na całym ciele. – Przecież wiesz, że wcale z nim nie mieszkam, już od miesiący.

– I co z tego? Ciotka nie wiedziała. Poza tym całkiem zniknęłaś. Skąd miałyśmy wiedzieć, gdzie cię znowu poniosło? Ciotka stała nad grobem, więc miałam dopuścić, żeby to wszystko przepadło? Trzeba było pilnować swoich spraw, a nie jeździć Bóg wie gdzie. No, wiadomo, nie wyrzucę cię tak od razu na bruk. Możesz jeszcze zostać, zanim się zorganizujesz – ustąpiła, widząc łzy w moich oczach. – Ale musisz mi płacić za wynajem, tym bardziej że to ja opłacam czynsz.

Patrzyłam, jak wychodzi z kuchni, nie dowierzając, że można być tak wyrachowanym.

– Mamo, wezmę to – zawołała podekscytowana, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć i podbiegła do matki z wielkim ozdobnym dzbanem, stojącym dotąd w kącie salonu. Ciotka go uwielbiała i obchodziła się z nim bardzo ostrożnie.

– A bierz – mruknęła matka i machnęła ręką. Widać było, że nie miała teraz do niczego głowy.

– Muszę zawiadomić Leona, niech tu przyjedzie samochodem, bo nie zabiorę się z tym wszystkim – mówiła, myszkując po moim pokoju.

– Ciszej bądź, obudzisz mi Sonię – ofuknęłam ją beznamiętnym głosem.

Na środku salonu rosła sterta przedmiotów, gotowych do zabrania. Regina myszkowała po szafkach i szufladach ciotki, wywlekała jej rzeczy. Wyglądała jak sęp, szarpiący dziobem swoją ofiarę.

– To jest moje – powiedziałam zimno, wyjmując jej z rąk sporą figurkę afrykańskiego słonia z laki. Dostałam go od Aleksandra, zanim się do niego wyprowadziłam.

Łypnęła na mnie okiem, ale oddała.

– Nie zabieraj wszystkiego – zaprotestowałam stanowczo. – Jeszcze tu mieszkam.

– Ale już niedługo – tchnęła mi prosto w ucho i uśmiechnęła się złośliwie.

Spojrzałam na matkę, ale ta jakby nie słyszała. Prawdopodobnie nie miała pojęcia o tym, co planuje jej starsza córka, niemniej nie miałam wątpliwości, że Regina jak zwykle zrobi wszystko, żeby wyjść na swoje.

Noc dla mnie się skończyła, choć za oknami wciąż czerniało niebo, przetykane gęstymi płatkami śniegu. Pod powiekami piasek, w pokoju ziąb. Wszystko to zachęcało do naciągnięcia kołdry, zatopienia się w miękkiej pościeli. Sonia ugodziła mnie kolanem w bok i głośno westchnęła. Odkąd zaczęła chodzić do żłobka, nie chciała zasypiać w swoim łóżeczku. Była związana ze mną bardziej, niż mi się wydawało. Za chwilę będę musiała ją zbudzić, ubrać tę lejącą się przez ręce zaspaną kukielkę i wyprowadzić na lodowate powietrze. Potem przekazać obcej kobiecie w żłobku i przekonać, że protesty na nic się nie zdadzą. Od miesiąca walczyłam z jej niechęcią do tej instytucji.

Po śmierci ciotki udało mi się zatrudnić w pobliskim przedszkolu jako pomoc nauczyciela. Grosze wprowadzie marne, ale kierowniczka będąca tuż przed emeryturą, pulchna i rubaszna kobieta, okazała mi dużo życzliwości. Podsunęła pomysł zapisania się od września do Studium Nauczycielskiego i obiecała po jego ukończeniu etat nauczycielki.

Po otrzymaniu pierwszej wypłaty i spłaceniu Reginy, wybrałam się do Kwadratu, by zwrócić dług Wilkowi. Zastałam tam pijaną Florę zatopioną w ramionach Pedra, który na mój widok wylał wszystkie werbalne ekskrementy, jakie zdołał zgromadzić w swoim słowniku. Stałam w progu jak wryta i nie rozumiałam, o co chodzi. Kiedy mi się lepiej przyjrzał, oświadczył, że pomylił mnie z byłą dziewczyną. Żadne z nich nie było na tyle trzeźwe, by określić, gdzie jest Wilk. Florka podtykała mi pod nos butelkę z wódką i zapraszała do wspólnej biesiady, ale po kąpieli w bagnie bluźnierstw, jaką zgotował mi Pedro,

chciałam jak najszybciej opuścić to miejsce. Zostawiłam tylko kartkę dla Wilka ze swoim adresem i informacją, żeby odwiedził mnie w celu odebrania długu. Wysłałam, nie pożegnawszy się nawet. I tak pewnie nie zarejestrowali mojej obecności.

Zmierzch zaciągnął bielmem szyby okien. Siedziałam na krawędzi kawowego stołu, zamyślona, beczynna. Czasem tak było, zwłaszcza wtedy, gdy zmęczona porannym wstawaniem Sonia zasypiała nad budyniem albo klocekami, a ja, ułożywszy ją w łóżeczku, zostawałam sama. Piłam mocną herbatę, eliksir zrezygnowanej kobiety i rozmyślałam nad jakimś zwrotem w życiu, akcentem, który ożywiłby martwe ściany i ślepe okna pod mansardowym dachem. W takich chwilach wracały zdarzenia, których blizna spała pod błękitnym kocykiem, a ja zastanawiałam się, dlaczego prócz niej nie mam innych wspomnień. Przestałam ufać swoim gładkim włosom, szczupłej talii i smukłym nogom, traciłam wiarę w ich moc do zdobywania miłości. Ani razu nie zadrżało mi serce, choć dawno przekwitły forsycje i wiosna wybuchła pełnym rozkwitem przyrody.

Zastanawiałam się, czy ciotka Rozalia wciąż czuje się samotna, leżąc kilka alejek od Jerzego. Tuliłam się do jej flanelowych sukienek i pytałam, jak to wszystko zmienić.

Na jego widok rozpierała mnie duma, chociaż nie byłam rodowitą wrocławianką. Monumentalny gmach, na użytek którego przed wojną wyburzono hotel Residennz i dwanaście zabytkowych kamienic, dziś panoszył się przy ulicy Świdnickiej jako siedmiokondygnacyjny dom towarowy, do którego zjeżdżali się klienci z całego regionu. Jakoś tak się składało, że tutaj asortyment był bogatszy niż w innych sklepach.

Korzystając z możliwości pozostawienia dziecka u pani Emilii, żony sąsiada Bogdana, również ja wybrałam się tu po zakupy. Wilka zobaczyłam na ruchomych schodach, kiedy pogrążony we własnych myślach docierał do pierwszego piętra. Bez wahania opuściłam kolejkę, w której ustawiłam się na samym końcu, i ruszyłam za nim. Dopadłam go, gdy oglądał sztruksowe spodnie, zawieszono krzywo na rusztowaniu imitującym męskie nogi. Obejrzał się zaskoczony, gdy go zawołałam.

– Wilk, chciałam zwrócić ci dług, zostawiłam kartkę u Krzywego – mówiłam chaotycznie. – Oddam ci teraz.

W pośpiechu przeszukiwałam torebkę, przeliczałam wydobyte z portfela banknoty.

– Spokojnie – uśmiechnął się półgębkiem. – Nie pali się. Z głodu nie umieram. A u ciebie jak? Już lepiej?

– Tak. Lepiej. Ciotka umarła...

Swoim zwyczajem podniósł do góry lewą brew, jak zawsze, gdy się czemuś dziwił albo z czegoś drwił.

– A to rzeczywiście lepiej – zakpił.

– Nie, nie to miałam na myśli – pośpieszyłam z wyjaśnieniem. – To za wczesna śmierć, niepotrzebna. I wierz mi, że boli do dzisiaj. Tylko że... tylko...

– próbowałam ubrać w słowa ulgę, jaką odczułam, gdy nie musiałam jej już pielęgnować. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak, jakbym się cieszyła. – Tylko teraz znalazłam czas, żeby poszukać pracy.

– To oczywiście – skwitował.

– Wilk, dlaczego nie przyszedłeś po pieniądze? Zostawiłam ci adres na stole u Krzywego.

– Nie chodzę już tam – odpowiedział krótko.

Chciałam zapytać, co się stało, ale patrząc na jego zaciętą twarz, ugryzłam się w język. Gdyby chciał, powiedziałaby o tym od razu.

– Ja też tam dawno nie byłam – odezwałam się po chwili, bardziej do siebie, niż do niego. Istotnie, nie odwiedziłam Florki od tej krótkiej wizyty, gdy Pedro wylał na mnie pomyje. Nigdy dotąd nie doświadczyłam takiego upodlenia, nawet jeśli zrobił to niechcący. Dlatego odstręczała mnie myśl przed ponownym spotkaniem.

Wilk o nic nie pytał, nie komentował ani nie oceniał. Widocznie uznał tę sprawę za zamkniętą, a ja jedynie mogłam się domyślić, że nie chciał staczać się wraz z nimi.

Tuż za moimi plecami usłyszałam zniecka gwar, jakby ktoś otworzył ul z rojem pszczół. Obejrzałam się i zanim od strony schodów dobiegł tłum przejętych czymś kobiet, już stałam przy ladzie pobliskiego działu. Nie wiem, skąd te panie o tym wiedziały, ale po chwili ekspedientki wniosły dwie paczki męskich koszulek z importu. Zerknęłam na Wilka i poprosiłam o dwie, jak sądziłam, w jego rozmiarze. Z tyłu rozpętała się awantura, żeby sprzedawano po jednej sztuce, ale ja swoje miałam już w torbie. Zapłaciłam i czym prędzej umknęłam przed werbalnym linczem. Biegłam teraz do Wilka i z iskrami w oczach wołałam spontanicznie:

– Mam! Mam dla ciebie! Kupiłam, powinny być dobre, są śliczne, sam zobacz... – zakończyłam już bez entuzjazmu, bo Wilk patrzył na mnie dziwnie.

– Co... – bąknęłam skonsternowana – dlaczego tak mi się przyglądasz?

– Chodź stąd – rzucił i złapał mnie za rękę.

Szłam jak zwierzę na rzeź, ciągnięta przez Wilka, zdziwiona jego zachowaniem. Odprowadził mnie kilka metrów dalej i tam, pod ślepym manekinem zaczął całować mnie mocno, namiętnie, natarczywie. Nie opierałam się. Podałam się jego wargom bezwolnie, omdlewająco. Były miękkie i słodkawe w smaku. Fala pożądania ogarnęła ciało, przeniknęła dreszczem, spoczęła niespełnionym, rozkosznym ciężarem. Przez cienką tkaninę koszuli wdychałam niepowtarzalny zapach, jednoczyłam się z rytmem jego serca. Żałowałam, gdy przestał.

– O Boże, Wilk... – jęknęłam jak pensjonarka i natychmiast się zarumieniłam. Nie mogłam oderwać wzroku od jego ust. I nie chciałam, bardzo nie chciałam, żeby teraz mówił. Niechby milczał i pozwolił delektować się wrażeniem, nasycić zmysły.

Spoglądał na mnie z tą swoją uniesioną brwią i beczelnym uśmieszkiem.

– Aż tak? – zapytał drwiąco.

Tylko raz dostałam w twarz. Półtora roku temu, od matki. Ale to pytanie było gorsze niż policzek. Wydarłam z torby koszulki i z furią cisnęłam nimi w tę zuchwałą, bufońską gębę. Potem odwróciłam się na pięcie i natychmiast dałam się pochłonąć tłumowi.

Sonia odpłynęła w krainę snów, niebo wpinało już srebrne pinezki, a ja leżałam na łóżku z bolesną świadomością, że ten mebel służy mi wyłącznie do odpoczynku. Wtedy ktoś zapukał do drzwi. Dźwięk powtórzył się, gdy przyczajona obmyślałam strategię pozbycia się Wilka, bo nie miałam wątpliwości, że to on. Miałam nadzieję, że odpuści i pójdzie sobie. Był jednak tak natarczywy, że mógł lada moment obudzić Sonię. Otworzyłam drzwi gwałtownie, gotowa na atak. Ale to nie był Wilk. W mroku klatki schodowej ginęła dużo drobniejsza postać, której nie mogłam rozpoznać, dopóki nie znalazła się w strumieniu światła.

– Florka? – zdziwiłam się. – Ty tutaj?

– A dla kogo był ten adres? Masz coś do picia? – zapytała za jednym zamachem i weszła do środka.

– Mam herbatę i kompot z rabarbaru – odparłam, idąc za nią, bo bezceremonialnie zaczęła zwiedzać wszystkie kąty.

– Kompot z rabarbaru – roześmiała się. – No co ty, Anka...

– A co chcesz?

– Niedopita jestem – mruknęła.

– Florka, nie bądź głupia, nie marnuj sobie życia – gderałam za jej plecami. – Dlaczego ty zaczęłaś znowu pić?

– Dawno zaczęłam, teraz więcej potrzebuję. A u Krzywego posucha – warknęła zniecierpliwiona.

– Tutaj nie znajdziesz, nie mam. Przykro mi – powiedziałam nieprzyjemnym tonem. – Chociaż nie – dorzuciłam po chwili, a Florka spojrzała z nadzieją – nie jest mi przykro – dokończyłam.

– Jak tak, to lipa – skwitowała i smętnie ruszyła do drzwi, wciąż rozglądając się po drodze, jakby spodziewała się ukrytych po kątach butelek. – Poszukam gdzie indziej.

– Zaczekaj, Florka! – zawołałam za nią. – Chodź, usiądź. Powiedz, co tam u was – poprosiłam, bo potrzebowałam teraz kogoś wesołego obok siebie. Albo nie wesołego, wszystko jedno, potrzebowałam człowieka.

– E, tam. Nic. Wilk nie przychodzi, Cygan gdzieś się ulotnił... Tylko Krzywy został. I Pedro, ale ten... Ech... – machnęła ręką.

– Co z nim? – zaciekawiałam się. – To zdaje się twój chłopak, tak?

– Mój, zaraz mój – zirytowała się. – To chłopak wszystkich bab z Trójkąta. Starych i młodych, wszystkich, które dają się napić. Jest na dnie.

– No widzisz, do czego to prowadzi? Ty też stoczysz się, Florka – zdobyłam się na szczerość. – Przestań pić.

– Przestań, przestań. Daruj sobie morały. Nie wiesz, jak to jest, bo tam nie mieszkasz. Matka pije, ojciec też. Dlatego wolę przesiadywać u Krzywego, niż wysłuchiwać awantur i kupować im wódkę na zeszyt.

– Na zeszyt? Co to znaczy?

– Jak nie masz szmalu, to sklepowa zapisuje w zeszyt dług i płacisz, kiedy masz. Tam większość tak robi... Idę, rabarbaru pić nie będę, cześć – burknęła na pożegnanie i zniknęła za drzwiami.

Wiedziałam, że więcej nie przyjdzie. Nie byłam dla niej interesująca, bo nie kupowałam wódki. Nie miałam też sił ani ochoty, żeby wyciągać ją z nałogu. Musiałaby się stamtąd wynieść, ale ona chyba wcale tego nie chciała.

No i znów ktoś ode mnie odszedł. W tych złych chwilach przywoływałam wszystkich, którzy stanęli na mojej drodze i zastanawiałam się, dlaczego wokół mnie są tacy ludzie. Aleksander, Wilk, Regina, nawet moja matka. Z nimi nie umiałam się dogadać. Ale to może ze mną było coś nie tak? Jedyne ciotka Rozalia mnie rozumiała. Czasem tak bardzo żyła w mojej głowie, aż nie umiałam pojąć, że umarła. Im dłużej jej nie było, tym więcej w niej dostrzegałam cech, o jakich nie miałam pojęcia. W chwilach największej tęsknoty przystawałam w przedpokoju pod ścianą upstrzoną jej myślami i poznawałam ją na nowo. Widocznie to prawda, trzeba odsunąć się od obrazu, żeby zobaczyć więcej.

W kartonie po nowym komplecie garnków, które wczoraj rzucili do gospodarczego, leżał Banto. Sierść, ogon, łapy... Prawie w komplecie. Bez ducha. Odszedł szlakiem przetartym przez ukochaną panią. Może tam, po błękitnych łąkach dobry Bóg pozwoli mu biegać bez smyczy? Co się robi z nieżywym psem?

– Florka, co zrobić z martwym psem? – zapytałam, zamykając szczelnie pudło, w którym ułożyłam zawiniętego w folię i koc Banto. Serce ścisnęło mi się z żalu.

Wyszła do przedpokoju z uczepioną jej nogi Sonią i uniesioną do góry łyżką, którą mieszała ryż. Pomieszkiwała to u mnie, to u Krzywego, odkąd jej rodzice dostali eksmisję z mieszkania. Nawet przestała pić, bo nie miała za co.

– Zabierz stąd dziecko – mruknęłam pod nosem.

– Sonia, pilnuj ryżu – poleciała jej Florka i wręczyła małej łyżkę.

– Oszalałaś? – złapałam się za głowę. – Gotowa wleźć na stołek i zrzucić na siebie garnek – zawołałam, odbierając dziecku łyżkę i doprowadzając je tym do łez.

– Idź po misia, Sonia. Przynieś mi misia – ratowała sytuację Florka. – Oddaj jej tę łyżkę – ofuknęła mnie. – Przetawiam garnek gdzieś wysoko. Na lodówkę. Oddaj.

Ale nie miałam już komu oddawać, bo Sonia pobiegła do pokoju, spełnić życzenie uwielbianej Florki. Przyniosła jej misia i wręczyła z dumą.

– Super. Ona znowu tu jest – burknęłam.

– No i co z tego? Pudło jest zamknięte. Sonia nie widzi, że w środku jest Banto – chlapnęła Florka.

– Cicho bądź – syknęłam, ale było już za późno.

– Banto, Banto! – zawołała Sonia i zaczęła biegać po całym domu w poszukiwaniu psa.

– Za chwilę oszaleję – jęknęłam i usiadłam bez sił na podłodze, obok psiej trumny. – Co mam z nim zrobić?

– Zakopać – podsunęła myśl Florka.

– Zakopać? Gdzie?

– Nie wiem. W parku.

– Zwariowałaś? W parku nie wolno. Można zapłacić karę. Poza tym nie mam łopaty. Biedny Banto... – roztkliwiłam się nagle.

– Stary był – mruknęła na pocieszenie Florka i pociągnęła nosem. – Anka, zabierz go stąd, bo już zaczyna, no wiesz... Śmierdzi.

Wiedziałam, że nie znajdę u niej współczucia. Ona nie bawiła się w sentymynty i nie rozumiała, jak ciężko rozstać się z wiernym zwierzęciem, bo nigdy nie miała nawet chomika.

– Dobrze. Zostań z Sonią. Wyniosę go – powiedziałam i z wysiłkiem podniosłam pudło. Świadomość, że niosę w ostatnią podróż przyjaciela, który jeszcze wczoraj szedł obok mojej nogi, wywołała kolejną falę smutku. Na schodach natknęłam się na pana Bogdana, który poradził, żebym udała się do weterynarza.

– Oni się tym zajmą – powiedział i pokiwał głową ze smutkiem.

Wiozłam tramwajem psa w dwóch foliowych workach i kocu, a mimo to wydawało mi się, że z pudła unosił się nie najlepszy zapach. Martwe psy mają to do siebie, że proces rozkładu postępuje szybko. O tym przekonałam się w dzieciństwie, gdy ulubiony Pikuś babci wyzionął ducha. Miałam więc wrażenie, że pasażerowie coś czują i zerkają na mnie podejrzliwie. Przesuwałam się coraz bardziej w tył wagonu, popychając karton nogą.

– Kurczę... – odezwał się nagle blady, bardzo szczupły młodzieniec i poprawił na nosie okulary w grubych, czarnych oprawkach. – Martwych zwierząt nie powinno się przewozić publicznym środkiem lokomocji.

– Zaraz wysiadam – bąknęłam, zastanawiając się, skąd on wie, że wiozę nieżywe zwierzę.

– Wiem. Ja też tam jadę – oznajmił.

Wysiadł na tym samym przystanku i wyciągnął ręce po pudło.

– Proszę mi to dać, zaniosę – zaproponował wspaniałomyślnie.

– Banto jest ciężki – ostrzegłam, choć wyszło trochę łzawo.

– Przecież wiem – uśmiechnął się. – Nie raz wozilem. Nie mam szczęścia do psów. Teraz jadę odwiedzić swojego kota. Jest w klinice.

– Aha – bąknęłam i zamilkłam.

Zostawiłam weterynarzowi Banto, zapłaciłam za kremację i już byłam w drzwiach, gdy usłyszałam głos okularnika:

– Niech pani zaczeka, ja też już wychodzę.

– Jak miewa się kot? – zapytałam, gdy szliśmy znowu na przystanek.

– Weterynarz zapewniał, że dobrze – odparł. – Śpi snem wiecznym.

– Bardzo mi przykro... – bąknęłam.

– Tak musiało się skończyć. Znalazłem go w piwnicy, ledwo zipał. Miałem jednak nadzieję, że uda się go uratować. No nic... Śpieszy się pani?

– Owszem. Przyjaciółka siedzi teraz z moją córką. Żadnej z nich nie ufam – powiedziałam.

– Zazdroszczę. Mój dom jest pusty. Może jednak mała czarna nie zajęłaby dużo czasu? Kurczę... Chętnie zaprosiłbym panią.

Chudzielec wydawał się sympatyczny, więc zerknęłam na zegarek.

– No dobrze – zgodziłam się. – Pół godziny.

– Dobrze i to – ucieszył się.

Znaleźliśmy małą kawiarenkę blisko przystanku. Pachniało wanilią i mocno paloną kawą. Kilka osób raczyło się nią, podjadając krem sułtański i przeglądając codzienną prasę.

– Nie przedstawiłem się, nigdy się z tym nie śpieszę, bo nie lubię swojego imienia – powiedział, gdy już usiedliśmy. – Jestem Walery.

– Bardzo ładne imię. Rzadko spotykane. Anita – wyciągnęłam do niego rękę.

– Anita – powtórzył. – Pewnie wiesz, że takie imię nadano jednej z samic pająka krzyżaka ogrodowego wysłanej w kosmos w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Druga to Arabella.

– Nie miałam o tym pojęcia – przyznałam. – Jesteś przyrodnikiem?

– Nie. Z wykształcenia polonistą, ale niedawno zostałem kierowcą autobusu.

Lepiej, kurczę, płacą. A ty co porabiasz, prócz tego, że wychowujesz córkę?

– Pracuję w przedszkolu. I uczę się w Studium Nauczycielskim.

– Aha, czyli spotkanie pedagogów – uśmiechnął się.

– Niby tak, ale to chyba praca nie dla mnie – skrzywiłam się.

– A co chciałabyś robić?

– Nie wiem. Chciałabym, żeby efekty mojej pracy były widoczne natychmiast. Z dziećmi ten proces się ciągnie.

– To po co poszłaś do studium?

– Muszę jakoś zarabiać, a nie mam innego pomysłu – przyznałam.

– Powinnaś się określić, bo, kurczę, zmarnujesz życie – rzekł odkrywczco. – Ja nie żałuję, że przesiadłem się za kierownicę. Ludzie są ciekawi. Chociaż wcześniej więcej czytałem, teraz mam na to mniej czasu. Biorę dodatkowe godziny, bo, kurczę, znów ceny podnieśli.

– Lato nie było udane, a i jesień zwiastują zimną i deszczową.

– E tam. Każdy pretekst dobry, żeby ludzi pognębić. Rozwścieczyli naród i dziwią się, że są strajki. Daliby ludziom jeść jak należy, nie byłoby strajków. A

tak co? Sklepy puste, kieszenie puste, jak tu żyć? Ech, robią z nami co chcą. Ale zobaczysz, jeszcze pożałują!

– Nie znam się na polityce.

– Poznasz się. Wszyscy się poznają. Zobaczysz.

Czas minął nadspodziewanie szybko. Z żalem zaczęłam się żegnać.

– Odprowadzę cię – zaproponował. – I tak nie mam co robić w domu. Jutro sobota, wyjątkowo mam wolne.

Wsiedliśmy w nadjeżdżający właśnie tramwaj i po kilkunastu minutach byliśmy już na miejscu. – Chętnie poznałbym twoją córkę – dodał, patrząc na mnie z nadzieją. Zawahałam się, nim się na to zgodziłam. Florka miewała różne reakcje, czasem nieadekwatne do sytuacji. Mogła na przykład wpaść w furję na widok obcego faceta.

– No dobrze – zgodziłam się. – Idziesz na własną odpowiedzialność.

Zakurzony adapter wydobyty spod stosu książek rozbrzmiewał przebojem Grechuty na cały dom:

Będiesz zbierać kwiaty,

Będiesz się uśmiechać,

Będiesz liczyć gwiazdy,

Będiesz na mnie czekać.

I ty właśnie ty będziesz moją damą!

I ty tylko ty będziesz moją panią!...

Florcka w podkasanej kiece odkurzała podłogę, a Sonia ujeżdżała odkurzacza, siedząc na nim okrakiem. Obie przekrzykiwały płytę, każda na swój sposób. Zerknęłam z ukosa na Walerego, zastanawiając się, co on teraz myśli. Ale ten uśmiechnął się szeroko i dołączył do chóru. Nieoczekiwany męski głos zaskoczył obie. Sonia otworzyła buzię i nie przestawała gapić się na gościa, Florcka zaś wyłączyła odkurzacza i w pośpiechu poprawiła spódnice. Ja natomiast podeszłam do adaptera i pozbawiłam Grechutę głosu.

– To Walery – przedstawiłam chudzielca.

Sonia spelzła z odkurzacza i przykleiła się do mojej nogi. Florcka miała taką minę, że najchętniej zrobiłaby to samo.

– Chciałeś poznać moją córkę, ale ona, jak widać, jest nieśmiała. Przedstawię ci wobec tego Florentynę. To moja przyjaciółka. Chwilowo u mnie mieszka.

– Florentyna. Florus, czyli po łacinie kwitnący – określił natychmiast Walery. Masz piękne imię, zazdrozczę ci, ale kurczę, nie jestem kobietą, żeby takie nosić.

– Ja też go nie nosiłam. Przygarnęłam je sobie z książki – wyjaśniła i

natychmiast wzbudziła zainteresowanie kierowcy i polonisty w jednym. Naprawdę jestem Jolka, ale nie lubię.

– Czyli fiołek. Z greckiego.

– A Walery? – zapytała, patrząc na niego z ciekawością.

– Nie mam pojęcia – odparł z rozbrajającą szczerością.

– Aha – skwitowała Florka, po czym zabrała odkurzacz i zniknęła w łazience. Zajrzałam do salonu i struchlałam na widok bałaganu, jaki tam panował.

– Florka, na miłość boską, co robiłyście w salonie?

– Bawiliśmy się w Indian – dobiegł z łazienki bełkotliwy głos. Domyśliłam się, że doprowadza się do porządku i właśnie myje zęby. Zaczęłam pośpiesznie zdzierać koc ze stołu i zbierać porozrzucane przedmioty, gdy tymczasem Sonia odważyła się oderwać od mojej nogi i pobiec do swojego pokoju. Po chwili wróciła. W jednej rączce trzymała gumowego, nadgryzionego krokodyla, drugą zaś wpakowała sobie do buzi. Nie spuszczała oka z Walerego.

– Cześć – przywitał ją i wyciągnął do niej dłoń.

Bez namysłu wcisnęła mu do ręki obrzydliwego krokodyla i zawstydzona schowała się za mnie. Odgruzowałam kanapę i zaprosiłam Walerego, żeby usiadł. Ale on wcale nie miał zamiaru z tego skorzystać. Ku mojemu zdumieniu położył się na brzuchu, na swojej głowie umieścił krokodyla i pełznąc w stronę Soni, zaczął klapać zębami, rozbawiając dziecko do łez. W tym momencie weszła Florka. Spojrzała na niego, potem na mnie i już po chwili sama siedziała na podłodze, udając małą. Sonia podskakiwała i klaskała w ręce, a ja zastanawiałam się, w jakim charakterze do nich dołączyć. Machnęłam w końcu ręką i udałam się do kuchni, żeby przygotować herbatę.

Siedzieliśmy potem do późnego wieczora. Walery był tak atrakcyjny, że Sonia kategorycznie odmawiała pójścia do łóżka.

Minęło sporo czasu, zanim Florka zatrudniła się w małym salonie fryzjerskim o banalnej nazwie *Afrodyta*. Odetchnęłam, bo trudno mi było utrzymać nas wszystkie z jednej niskiej pensji. A Florka teraz prawie nie bywała u Krzywego. Widocznie u mnie było jej wygodniej. Zwykle wracała zmęczona, z obrzękniętymi od stania nogami i przeklinała wszystkie głowy, na których wyrósł choć jeden włos. Zauważyłam, że wieczorami, leżąc już w łóżku, zaczęła czytać książki. To było zdumiewające, bo nigdy wcześniej tego nie robiła. Czytała mozolnie jedną po drugiej, jakby chciała koniecznie nadrobić zaległości z czasów, gdy ich nienawidziła. Dziwiłam się tym bardziej, że robiła to bez specjalnego zapału, jakby miała do czynienia z lekturą szkolną.

– Anka, masz taką książkę o ruskim diable? – zapytała posepnie pewnego

wieczoru.

– O ruskim diable? – zastanowiłam się. – Nie przypominam sobie. A kto napisał?

Przewracała oczami, zagryzała wargi, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć.

– Nie wiem... Nie pamiętam.

– To może dam ci inną książkę. Wprawdzie nie o diable, ale...

– Daj mi spokój z innymi książkami – warknęła. – Musi być ta, o diable.

– To może chociaż kawałek tytułu sobie przypomnisz.

– Czekał... – Zaciśnęła powieki i mamrotała coś pod nosem. – W tytule było imię jakiejś baby – powiedziała w końcu. – Jakiejś ruskiej baby.

– *Anna Karenina*? – podpowiedziałam.

– Nie, żadna Anna – zniecierpliwiła się.

– Małgorzata?

– O właśnie, Małgorzata. Chyba Małgorzata – zastanawiała się.

– *Mistrz i Małgorzata* Bułhakowa. Dobry wybór – uśmiechnęłam się do niej. Cieszyło mnie, że czyta.

– Mam nadzieję – mruknęła.

– Mówisz tak, jakby ktoś ci kazał te wszystkie książki czytać – rzekłam ze śmiechem.

– Nikt mi nie każe – burknęła. – Ale jak słyszę ciągle: „tak pisał Reymont w *Ziemi obiecanej*”, albo „Wokulski też był taki”, no i wychodzi, że ja żadnego Wokulskiego nie znam.

– To panie fryzjerki takie odcytane? – zdziwiłam się.

– Jakie panie fryzjerki? Pracuje ze mną jedna rozlazła flądra, ale ją tylko kotlety interesują.

Milczała przez chwilę, potem uciekła wzrokiem.

– Z Walerym – wyznała i zarumieniła się.

– Nie wiedziałam, że spotykasz się z Walerym – powiedziałam z żalem, bo myślałam, że mówimy sobie o tym, co dla nas ważne.

– Nie mówiłam ci, bo... Bo pomyślałam, że będziesz miała pretensję. Przecież to ty go przyprowadziłaś, a on, no wiesz... Ze mną.

– Ależ skąd! Jaką pretensję – zawołałam. – Bardzo się cieszę. Wierzyć mi się nie chce, że miałaś poczucie winy.

– Miałam – rzekła skruszona.

– Walery to porządny gość. I mądry. Naprawdę się cieszę, Florca – dodałam szczerze.

Lato dawno odeszło, a ja przypominałam sobie o tamtym jeziorze. Księżyc

zanurzał się, marszczył w drobnych falach, wierzbow opadały ramiona. To jedyna taka noc, gdy staliśmy najbliżej siebie i milczeliśmy o tym, co właśnie się spełniło. Pluskały tylko puste łodzie, pozostawione przez rybaków. Wokół nóg owijała się sukienka, wokół ramion – jego ramiona. Ile to już dni, miesięcy, odkąd nie wymawiam tamtego imienia?

Sonia westchnęła, obróciła się na bok. Zazdrościłam jej tego snu, bez trosk i czarnych myśli. Za szybko tłuł się wiatr, zawodził, płakał razem z deszczem. Dawno minęła północ, a Florka nie wróciła jeszcze ze spaceru. Nie martwiłam się, była w dobrych rękach. Być może siedzą teraz u Walerego, rozmawiają o Bułhakowie, albo robią coś, co przynajmniej Florce sprawia dużo więcej przyjemności.

Kolejne chłody w tym domu, chociaż okna po remoncie. Wstałam, otuliłam się szlafrokiem, przykryłam dziecko drugim kocem. Jutro odsunę łóżeczko od okna. Kiedyś odwiedzę panią Stefanię. Teraz zaparzę herbatę. Wciąż jeszcze miałam odruch zaglądania do pokoju, w którym spała ciotka Rozalia. Przechodząc po cichu na palcach, znów to zrobiłam. I znów zdziwiłam się, że jej tam nie ma.

Ostrożnie pomyślałam o Reginie. Od dawna mnie nie nachodziła. Zastanawiałam się, co znów knuje. Spodziewałam się jakiegoś trzęsienia ziemi, bo w tym miesiącu nie przyszła jeszcze po pieniądze, choć ustalony przez nią termin dawno minął. Toteż nie zdziwiła mnie jej wizyta kilka dni później.

– Dobrze ci się mieszka? – zapytała z dobrotliwym uśmiechem. Czekałam na bombę.

– A coś ty taka słodka? – zapytałam podejrzliwie. – Coś się wydarzyło w twoim życiu? Teściowa umarła?

– Ona by umarła... – westchnęła. – Przeżyje najstarszego zółwia.

– Co więc się stało? Masz dni dobroci?

Obruszyła się.

– Nie chodzi o żadne dni dobroci – powiedziała. – Ale widzę, że nie zamierzasz się wyprowadzać, za to zagęszczasz metraż. Tak nie może być. Ta druga też musi płacić. W gruncie rzeczy dla mnie to żadna różnica, kto tu mieszka, ale nie za darmo.

– Tupetu ci nie brak – zaśmiałam się złośliwie. – Florka jest moim gościem, a ja płacę.

– I co z tego? – przerwała mi. – Ona nie jest gościem, za długo tu siedzi i korzysta z mojego mieszkania. Albo będzie płacić, albo niech się wynosi.

– Boże, jaka ty jesteś wyrachowana – westchnęłam.

Zmrużyła oczy i uśmiechnęła się chytrze.

– Wychodzisz? – zapytałam nieuprzejmie, otwierając drzwi.

– Niedługo przyjdę po pieniądze – oświadczyła i wyszła nadąsana.

Przed świętami ludzie dostali podwyżkę. Oczywiście, każdy wiedział, że to marchewka ze strony władz, bo jednocześnie wszyscy oberwali kijem. W sklepach brakowało niemal wszystkiego, więc i tak ciężko było urządzić święta. Rosła inflacja. Walery, który bywał teraz u nas częstym gościem, uspokajał nas.

– Będzie dobrze – mówił. – „Solidarność” rośnie w siłę, coraz nas więcej. Ma moc!

– Jaką moc, Walery? Co ty mówisz? – podawałam w wątpliwość jego słowa.

– Nie widzisz, co dzieje się w kraju? Jest coraz gorzej.

– Nie mów tak, kurczę. Ta organizacja ma poparcie Zachodu, a to powinno wzmacniać twoją wiarę, że związku nie da się zniszczyć. Tym bardziej, że został już zarejestrowany przez sąd – zaznaczył z optymizmem.

– Dziwię się, że tak to odbierasz – wydełam usta. – Przecież powinieneś wiedzieć, że sąd przy rejestracji dokonał zmian w statucie, więc nie zacieraj jeszcze rąk, bo nie wiadomo, co będzie.

– E tam. To próba sił – prychnął z pogardą. – Cały czas są protesty. Zobaczysz, zwyciężymy.

Pewnego dnia przyszedł jednak bardzo wzburzony.

– Ruscy rozstawiają swoje wojska, kurczę! – oznajmił już od progu.

– Gdzie je rozstawiają, u nas? – przestraszyłam się.

– Wzdłuż naszych granic – rzucił zdenerwowany. – Radio Europa podała.

– Wejdą? – zapytała ponuro Florka.

– Wejdą albo nie wejdą, ale ludzie się boją. Naprawdę się boją. Jeśli wejdą, przepadliśmy – zakończył z rezygnacją.

Dwa dni przed Wigilią, wieczorem wpadł nieoczekiwanie Aleksander. Omal nie zemdlałam na jego widok, bo ostatnio widziałam go na pogrzebie ciotki Rozalii.

– Anito, ja muszę z tobą porozmawiać – ekscytował się już od progu. – Przepraszam, byłbym wcześniej, ale stałem w ogonku po paliwo – stękał, wnosząc całe naręcze paczek i paczuszek, na które patrzyłam w zdumieniu. – Nie masz pojęcia, co dzieje się na stacjach benzynowych.

– Zacznij jeździć tramwajem – poradziłam bez odrobiny współczucia, nie spuszczając z oka pakunków. – Co to jest? Coś ty mi tu nawiózł? – zapytałam.

– No właśnie, tramwajem nie przywiózłbym tego wszystkiego, a przecież musimy zrobić z czegoś święta.

– Jak to musimy? Co ty wymyśliłeś, Aleksander? Zamierzasz tu przyjść ze swoją rudą Laurą? – pytałam ze złością. – Ja się nie zgadzam!

– Anito, po kolei, nie gorączkuj się. Mówię przecież, że chcę porozmawiać. Pozwól mi gdzieś usiąść.

– Dobrze – zgodziłam się niechętnie. – Możesz wejść do salonu.

Usiadł na sofie i przez chwilę zbierał myśli. Potem rozluźnił krawat i wlepił we mnie oczy.

– Ja wszystko przemyślałem – zaczął. – Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że przebaczam ci zdradę.

– Jaką znowu...

– Cicho, nie przerywaj mi. Jestem wystarczająco zdenerwowany i dużo nerwów kosztowało mnie przyjście tutaj – chrząknął i poprawił się na sofie. – Przebaczam ci tego chłystka, z którym dopuściłaś się na moim łóżku, w moim domu, wiesz... Nie chcę o tym mówić, to okropne wspomnienie. – Zacisnęła powieki i potrząsnęła głową, jakby chciał wytrzepać z mózgu natrętnie cisnące się obrazy.

– Aleksander... – zaczęłam wściekła, ale nie zamierzał mnie słuchać.

– Prosiłem, nie przerywaj. Pozwól mi powiedzieć do końca. Ja to przemyślałem i nie chcę się pogubić... A więc masz moje przebaczenie. Wiem, że już nie jesteś z tym chłystkiem. To skłoniło mnie...

– Słuchaj, Aleksander – nie wytrzymałam. – Ty nie jesteś sam. Masz swoją rudą Laurę, a ja cię z tego nie rozliczam. Czego ty chcesz ode mnie?

– Spokojnie, Anito. Po kolei. Dojdziemy i do Laury.

– Mów konkretnie, nie mam czasu – zażądałam i spojrzałam ostentacyjnie na zegarek.

– Tak, oczywiście. A więc Laura. No cóż, odprawiłem ją. Nie nadawała się na żonę. Będę mówił konkretnie, Anito. Najlepiej, jeśli przejdę do sedna.

– Wreszcie – westchnęłam.

– Proszę cię o rękę. Ponownie. Doceni, że mimo nadwerężonego zaufania, znowu ci to proponuję.

– Aleksander, oszalałeś – przerwałam mu brutalnie. – Nie ma o czym mówić, idź do domu i odpocznij.

– Zastanów się. Dobrze wiesz, że mogę dać ci wszystko, czego potrzebuje kobieta.

– Nie, no doprawdy, Aleksander... – zachnęłam się.

– Uważam, że dla dobra Soni powinnaś pogodzić się z tym, że chcę z tobą stworzyć rodzinę – oburzył się.

– Ach, dla dobra Soni – zauważyłam z ironią. – To jakaś nowa koncepcja? Aleksander, mówię: nie. Nie wyjdę za ciebie. Nawet dla dobra Soni. Nie chcę też korzystać z niczego, co posiadasz.

– Ach, więc nasłuchiłaś się od tego bubka! – zdenerwował się. – A ja ci mówię, że to wszystko nieprawda, rozumiesz? To wierutne kłamstwo. Jestem uczciwy. Czysty jak łąza.

– Nie twierdzę, że tak nie jest. Niczego nie twierdę. Nie wiem i nie chcę oceniać. Ale bez względu na twoją uczciwość, sumienie i co tylko chcesz, mówię: nie.

– Jednak będę się upierał. Powinnaś wyjść za mnie. Jeśli nie chcesz tego zrobić z przekonania ani dla dziecka, zrób to chociaż przez pamięć dla pani Rozalii.

Przyznam, że strasznie mnie tym zdenerwował. Dał mi do zrozumienia, że ja jako Anita Winiarska wcale się nie liczę. Jedynie jako poświęcająca się matka i czcząca pamięć siostrzenica. Mam spędzić życie z facetem, którego nie chcę, w imię miłości do dziecka i zmarłej ciotki.

– Aleksander, ja mam tylko jedno życie – oznajmiłam, hamując złość. – Sonia będzie jeszcze miała swoje do przeżycia, a ciotka już je miała. Chcę żyć po swojemu z człowiekiem, którego sama sobie wybiorę, rozumiesz?

– Jestem cierpliwy, Anito. Wiem, że dzisiaj tak mówisz, a za rok albo pół zmienisz zdanie. Poza tym lubię twoje dziecko – dorzucił. – Nie każdy jest zdolny do polubienia, a nawet pokochania cudzego dziecka.

– Z pewnością masz rację. Jeśli nikt jej nie pokocha, postaram się sama dać jej tyle miłości, ile potrzebuje.

– Tak ci się wydaje, a dziecko powinno mieć ojca.

– Ma ojca.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

– Wiem, o czym mówisz – skwitowałam.

Aleksander wstał i przeszedł się nerwowo po pokoju.

– Dobrze, poczekam – podsumował, otarł chustką czoło i rozejrzył się nagle. – A gdzie Sonia? – zapytał.

– Położyłam ją wcześniej, była jakaś niewyraźna – odparłam.

– Chora? – zaniepokoił się.

– Być może coś ją bierze. Siąka nosem od kilku dni. Nie pierwszy raz zdarza jej się złapać coś w żłobku – wyjaśniłam. – Czy to już wszystko? Idę piec makowiec.

– Pomogę ci – zaoferował się.

Zdjął marynarkę, zawiesił ją pedantycznie na oparciu krzesła, zawiązał rękawy i zabrał się za mielenie ugotowanego maku. Chciał mi udowodnić, że nadaje się na męża.

Było koło dwudziestej drugiej, gdy wróciła Florka. Zza jej ramienia wynurzył się Walery. Makowiec był w piekarniku, ja wykrawałam właśnie pierniki, a Aleksander układał je na blasze.

– Kurczę, sielski obrazek – powiedział Walery i klepnął Aleksandra w ramię, czym wywołał konsternację nas wszystkich. Pan dyrektor nie był przyzwyczajony do takiej poufałości. – Jestem Walery – rzucił niedbale. – A wiecie, skąd u nas wzięły się pierniki? – zagaił niezrażony miną Aleksandra i roztoczył po nas wzrokiem, jakim patrzy się na uczniów w szkole. Ponieważ nikt się nie odezwał, kontynuował: – Z Holandii, kiedyś uważano je za luksus najbogatszych, nie to, co dzisiaj. Na przykład Francuzi mają podobny do pierników pikantny chleb miodowy, w Szwajcarii jedzą pierniczki z Bazylei, lukrowane, a w północnych krajach takie cieniutkie ciastka piernikowe w kształcie zwierząt i serduszek...

– Wiem o tym wszystkim – przerwał mu chłodno Aleksander. – Nawet jadłem ten francuski miodowy chleb. Wcale mi nie smakował – dodał z satysfakcją.

– Nigdy nie próbowałem, to nie wiem – rzekł szczerze Walery i wyjął z szafki kubki na herbatę. Czuł się tu jak u siebie, co chyba nie podobało się Aleksandrowi, bo kręcił głową, mrużąc coś pod nosem.

– Może zrobimy sobie przerwę i coś przekąsimy – zaproponowałam, sięgając do jednej z toreb z napisem Pewex.

– O, tak! Dobry pomysł – ucieszyła się Florka i zatarła ręce. – Głodna jestem jak wilk.

– Zostaw to, Anito – upomniał mnie Aleksander, patrząc mi na ręce. – Przyniosłem to dla ciebie i dla Soni – oświadczył. Wprawdzie starał się zrobić to dyskretnie, ale wyszło jak wyszło. W kuchni zaległa cisza. Sytuacja była tak niezręczna, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Spojrzałam na swoich przyjaciół, ale Florka uciekła wzrokiem i nawet Walery, który niczym się nie przejmował, teraz przyglądał się podłodze. Niewiele myśląc, zaczęłam zbierać przyniesione przez Aleksandra paczki i wpychać mu je w ramiona.

– Masz, zabieraj to, panie dyrektorze – mówiłam ze złością. – Nie chcę niczego od ciebie, jeśli nie mogę się tym podzielić. Zabieraj i nie pokazuj się...

Nie dokończyłam, bo całą tyradę przerwał mi przeraźliwy kaszel Soni. Rzuciłam resztę pakunków na stół i pobiegłam do jej pokoju. Mała stała w łóżeczku, trzymała się barierek i zanosiła się płaczem i kaszlem, który

przerywała, gwałtownie łapiąc powietrze, jakby się dusiła. Zapaliłam lampę i struchlałam na widok jej siniejącej twarzyczki.

– Jezu, dziecko mi się dusi! – zawołałam przerażona i porwałam Sonię na ręce. – Kochanie, już dobrze, uspokój się, nie płacz – błagałam, czując jednocześnie, jak wiotczeje w moich ramionach.

Aleksander już był przy mnie. Odebrał mi dziecko, owinął je kocem i ruszył do drzwi, w których stali wystraszeni Florka z Walerym.

– Ubierz się, jedziemy – rzucił mi w pośpiechu i już był na klatce schodowej. Złapałam z wieszaka kurtkę i jego palto i pobiegłam za nim.

Ulice były puste, jechaliśmy jak na sygnale. Sonia z trudem łapała otwartymi ustami powietrze i wypuszczała je z rzęzącym urywanym dźwiękiem. Płakałam, bo nie wiedziałam, jak jej pomóc. Już po chwili znaleźliśmy się w dobrze mi znanych okolicach ulicy Traugutta. Aleksander zatrzymał samochód na parkingu, wziął ode mnie dziecko i pognął na złamanie karku do szpitala.

Sonia miała koklusz. Lekarz stwierdził, że przebieg choroby jest dość ciężki i zatrzymał ją na oddziale dziecięcym. Kiedy zostałam z pustym, pachnącym córką kocykiem na szpitalnym korytarzu, nie mogłam powstrzymać łez. Żal rozdzierał mi serce, że będę musiała wrócić do domu, a ona, moja córeczka zostanie tutaj, wśród obcych, chora i cierpiąca. Wtedy Aleksander położył mi dłoń na ramieniu.

– Jestem tu z tobą. Nie martw się, będzie dobrze – powiedział cicho.

Prawie całe święta spędziłam w szpitalu. Aleksander mi towarzyszył, choć wcale go o to nie prosiłam. Przynosił dziecku łakocie, patrzył, jak się cieszy, trzymał za pulchną rączkę, rozmawiał z lekarzami. Potem odwoził mnie, przestępował coraz niższy próg mojego domu, czekał, miał nadzieję.

S tyczeń zaostrzył napięcia polityczne. Walery, który żył tymi sprawami, informował nas o wszystkim na bieżąco.

– Co się dzieje za naszymi plecami! – wołał, patrząc w ekran telewizora. – Uprawia się żonglerkę losem kraju. No, patrzcie, jak to jest: prezydent USA naciska na Ruskich, żeby przestali się do nas wtrącać. Z kolei oni naciskają nasz rząd, żeby jak najszybciej spacyfikował „Solidarność”. A z tymi Ruskimi też może być wesoło. Mówi się, że szykują swoje wojska do manewrów.

– Gdzie? – zapytałam.

– Jak to gdzie? Na naszym terytorium – wyjaśnił ze złością.

– Nic dziwnego, że ludzie się niepokoją – wtrąciłam znów. – Co za chaos.

Florka nie mówiła nic, tylko potakiwała nam obojgu. Podejrzewałam, że ma problemy ze zrozumieniem tego wszystkiego.

Uspokoilo się dopiero w lutym, gdy generał Jaruzelski został premierem i zaapelował o trzy miesiące spokoju. Wszyscy przyjęli to ze zrozumieniem. Naprawdę każdy miał dość trudnej sytuacji i niekompetencji władz. Nikt nie wiedział, jaką niespodziankę szykował nam rząd.

Drugie urodziny Soni były naprawdę huczne, choć grono gości ograniczało się do naszego małego kręgu. Śpiewaliśmy *Sto lat*, Sonia piszczała i klaskała w ręce, a dwie małe świeczki ginęły w torcie wielkości młyńskiego koła, który zdobył gdzieś Aleksander. Obdarowana prezentami i zarumieniona z radości dziewczynka wisiała na jego szyi i obsypywała go lepкими całusami. Patrzyłam na to wszystko trochę z rozrzewnieniem, a trochę z niepokojem, bo moim zdaniem dziecko niepotrzebnie przywiązywało się do tego przyszywanego wujka, który, gdy myślał, że nie słyszę, kazał się nazywać tatusiem. Ale on kuł żelazo, które jego zdaniem powinno być gorące. Nie było.

– Kurczę – odezwał się Walery, zerkając na Florke. – Jak tak patrzę na tę małą, sam nabieram ochoty, żeby taką mieć. – Florka nawet się nie zarumieniła. Wyszczrzyła tylko do niego zęby i mrugnęła okiem. – Właściwie, dlaczego mieszkasz u Anity, a nie ze mną? – zapytał i wpakował sobie do ust słuszną porcję tortu. – Może byśmy się tak pobrali?

Zawsze zasadniczy Aleksander najpierw wyraził zdegustowanie taką formą

oświadczyn, uśmiechnął się jednak w końcu, pogratulował Waleremu i spojrzał powłóczyście w moją stronę. Wzruszyłam ramionami i odwróciłam głowę. Dostrzegła to Florka.

– Ja tam nie wiem, Anka, co ty masz do Aleksandra, ale mnie serce się kraje, jak on tak pełza przed tobą na kolanach. I albo wysuń wreszcie czubek nosa z tej swojej nory, docień go i wyjdź za niego, albo coś kategorycznie powiedz, bo takie zwodzenie jest po prostu nieuczciwe. Człowiek się stara, obsypuje cię prezentami, za małą aż kwiczy, a ty bezczelnie, tak – zaperzyła się, bo obrzuciłam ją wściekłym wzrokiem – bezczelnie z tego wszystkiego korzystasz i nic nie dajesz w zamian. Wiesz, jak w Trójkacie na takie coś mówią?

Zapadła cisza. Aleksander kręcił się niespokojnie, sięgnął do kieszeni, z której wydobył chusteczkę i wytarł nią nos, chociaż nie miał kataru. Walery wbił wzrok we Florkę i patrzył na nią z niedowierzaniem. Mnie załazała fala przykrości i zakłopotania. Zdecydowanie nie chciałam wiedzieć, jak na takie coś mówią.

– Nie trzeba tak, nie trzeba... – jękał się Aleksander i chyba po raz pierwszy w życiu stracił pewność siebie.

– Przesadziłaś, Florka – mruknął Walery. – Kurczę, nie wtrącaj się, to nie twoja sprawa.

– Jak to nie moja? Oczywiście, że moja. Ankę uważam za przyjaciółkę, mogę jej wyłożyć kawę na ławę. A Aleksander – tu spojrzała na niego lekceważąco – to chodząca pierdoła!

– Florka, kurczę, opamiętaj się na litość boską – jęknął Walery – nie możesz być taka obcesowa.

– Pierdoła? – zdumiał się Aleksander. – Nigdy nikt nie nazywał mnie w ten sposób. Dlaczego myślisz, że jestem pierdołą?

Przysłuchiwałam się temu wszystkiemu i płonęłam ze wstydu.

– Ech – machnęła ręką Florka. – Ja nie myślę, ja to wiem. Bo kiedy... Przestań mnie kopać, Walery! – fuknęła na zmieszanego i zaczerwienionego chłopaka. – Bo kiedy widzę, jak zabierasz się za amory... Czy ty ją choć raz pocałowałeś?

– Nie... nie przypominam sobie – bąknął Aleksander i spojrzał na mnie.

– A jakieś komplementy? Mówisz jej komplementy? – maglowała go Florka.

– Dość – przerwałam. – Nie zamierzam tego wysłuchiwać. A ty, Florka, jeśli miałaś coś do powiedzenia mnie albo Aleksandrowi, mogłaś to zrobić na osobności.

– A co? Wstyd ci? – zaperzyła się.

– Florka, kurczę... – mitygował ją Walery.

– Cicho bądź – napadła z kolei na niego. – Chcę powiedzieć, to powiem. Od dawna mi się nie podoba, że Anka traktuje Aleksandra jak... – zawiesiła głos i szukała odpowiedniego słowa.

– Jak co? – wtrącił Aleksander. Był ciekaw opinii Florki na swój temat. Spojrzała na niego lekko zdezorientowana.

– Nie wiem. Zabrakło mi słowa – przyznała.

– Coś ci powiem – rzekł i położył jej rękę na ramieniu. – Walery ma rację, zostaw to nam. To nasza sprawa. Taki mamy układ.

– Jaki znowu układ? – oburzyłam się. – Nie wchodziłam z tobą w żadne układy. Przestań fantazjować. Florka uważa, że jestem nieuczciwa, żąda, żebym się określiła. Proszę bardzo. Nie chcę niczego od ciebie. Słyszysz, Florka? – zwróciłam się do niej. – Niczego od niego nie chcę, poza tym, żeby... – znów spojrzałam na Aleksandra. – Życzę ci wszystkiego najlepszego, a sobie, żebyś zniknął z mojego życia.

Aleksander spiął się i pobladł, ale starał się nie okazywać, jak bardzo wstrząsnęły nim moje słowa.

– Jesteś tego pewna? – zapytał cicho i powoli, jakby w obawie, że głos mu się załamie. Nie lubił okazywać słabości. Nigdy tego nie robił.

– Tak, jestem pewna – powiedziałam zimno.

Pokiwał głową, potem nie patrząc na nikogo, wstał i wyszedł do pokoju Soni. Przez otwarte drzwi obserwowałam w milczeniu, jak bierze małą na ręce, coś jej szepcze, mocno przytula. Sonia otoczyła jego szyję ramionkami i potarła noskiem o jego nos, jak to robią Eskimosi. Potem przyłgnęła do jego twarzy policzkiem. Często tak się żegnali, ale ona nie wiedziała, że tym razem na zawsze. Aleksander postawił małą na podłodze, sięgnął po chustkę i odwracając się od niej, długo wycierał oczy.

– Ty to jesteś świnia, wiesz? – mruknęła do mnie Florka, oglądając tę scenę przez moje ramię. – Nieważne, co on czuje, byleby robił, co ty chcesz, nie? Niech wszyscy grają w twoją grę, bo tak ci się podoba, prawda?

– Przestań, Florka – zaprotestowałam głośno. – A ty co robisz teraz? Nie manipulujesz mną? Nie chcesz, żebym ja z kolei grała w twoją grę? Nie układaj mi, z łaski swojej, życia.

– Każdy to robi – rzekł nagle Walery tonem, jakby dokonał wielkiego odkrycia. – Naprawdę, każdy manipuluje uczuciami drugiego i nawet tego nie zauważa. Jednocześnie ulega manipulacjom kogoś innego. I tak się kręci w kółko to życie, które ni cholery nie zależy od nas samych. Kurczę... Nie zdawałem sobie z tego sprawy, aż do tej pory. Ale nie musimy się wcale na to

godzić... Słyszysz, Aleksander? – mówił podekscytowany, gdy tamten stanął w progu. – Nie musisz się z tym godzić, możesz walczyć, protestować, co tylko chcesz. Możesz kochać kogo chcesz, nikt ci tego nie zabroni.

– Walery, wiem o tym wszystkim – powiedział spokojnie Aleksander. Podniósł z podłogi czarną teczkę, z którą nigdy się nie rozstawał, potem rozejrzał się, czy niczego nie zostawił. – Wiem, że manipulacja jest łatwiejsza od rozmowy, od dogadania się. Po co się liczyć z czyimiś chęciami, poglądami i uczuciami, skoro można jak pionki ustawiać ludzi w odpowiednim miejscu? Zobacz, co teraz zrobię – mówił tylko do niego, jakby mnie i Florki wcale tu nie było. Dopiero teraz podszedł do mnie.

– A ciebie kocham – powiedział po prostu. – I Sonię też. Tak mocno kochałem tylko swoją matkę.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś – bąknęłam zbita z tropu.

– Bo ciebie to i tak nie obchodzi. Poza tym się bałem.

– Czego się bałeś? Ty?

– Właśnie tego, co teraz się stało. Matkę też straciłem. Musiałem patrzeć, jak gaśnie i nic nie mogłem zrobić. Ile miałem lat? Trzydzieści? Teraz mam czterdzieści i znów kogoś kochanego tracę, bo tak ustawiłaś pionki. Wtedy śmierć, a teraz ty.

– Cholera – zakłęła pod nosem Florka.

– Nie, Aleksander – zaprotestowałam zirytowana. – Nie zgadzam się, żebyś atakował moje sumienie, odwracał kota ogonem, zrzucał na mnie winę za własne przegrane życie. Nie tylko ja się w nim pojawiłam, więc nie dam z siebie zrobić ani kata, ani ofiary.

– Aleksander to pierdoła, ale ty jednak jesteś straszna świnka – podsumowała Florka. – Gdybym ja miała takiego faceta... – zaczęła, lecz Walery przerwał jej znaczącym chrząknięciem.

Aleksander uśmiechnął się do niej smutno, potem ubrał się, pożegnał uprzejmie i życząc nam na odchodnym dobrej zabawy, opuścił mój dom. Nie poczułam żadnej ulgi, wręcz przeciwnie, cała nieprzyjemna sytuacja legła mi ciężarem na sercu. Zerknęłam na Sonię. Stała na środku pokoju z opuszczonymi rączkami i rozczarowaniem na twarzy.

– I tak nie pokonasz miłości – rzekła sentencjonalnie Florka – nawet jeśli ją zniszczysz.

– Czy ja wiem... – zastanowił się Walery. – Miłość niepielegnowana wcześniej czy później umiera. Bo to uczucie bardzo delikatne. I to kwestia decyzji, czy ktoś zechce kochać przez całe życie, czy nie. Kurczę, ile musisz

włożyć wysiłku i pracy, żeby ją utrzymać. Inaczej zwiotczeje, zblednie, wyschnie i odfrunie, jak nikomu niepotrzebny zeschnięty liść.

Z końcem marca Florka wyprowadziła się do Walerego. Zdecydowali się pielęgnować swoje uczucie, by nie odfrunęło. Zostałyśmy z Sonią same. Z jednej strony cieszyłam się ze spokoju, jaki zapanował w naszym domu, z drugiej zaś wyrwa po energicznej Florce nie dała się niczym wypełnić. Sonia znowu kogoś szukała. Najpierw Banto, potem Aleksandra, teraz Florki. Kiedy kładłam ją spać, a za towarzystwo miałam jedynie echo rozbijające się o puste ściany, ogarniał mnie strach. Bałam się mijających sekund, które wydawały się bez znaczenia, a budowały dni, całe tygodnie, miesiące, w których nie działo się nic. Bo te sekundy zlepiające się w długie godziny wystawałam jak inni w niekończących się kolejkach, z kartkami dającymi nadzieję, że zaniosę do domu ryż, cukier, masło... Te sekundy, uciekające wraz z gonitwą od jednego pustego sklepu do drugiego, w poszukiwaniu butów, szamponu, papieru toaletowego. Te sekundy przeliczane na coraz mniej wartą złotówkę i nienawiść do tych, którzy nam, Polakom, taki los zgotowali. Bałam się, że prócz zwierzęcego instynktu polowania, zdobywania, rozszarpywania bliźnich, nie zostanie w nas nic.

Nic. Bo nadal chodziło się na pochody pierwszomajowe, nosiło kłamliwe transparenty i uczyło dzieci, jak udawać przed trybunami, za którymi stali nasi moralni oprawcy. Złodzieje złudzeń. Mordercy godności.

– Pani Anito, czwórkami! Czwórkami proszę ustawić najmłodszą grupę. Proszę rozdać dzieciom te chorągiewki... A dlaczego Ala nie ma białej bluzeczki? No niechże pani nie ustawia jej w pierwszym szeregu! Do tyłu albo w sam środek, żeby nie było widać. I proszę im rozdać te chorągiewki... Krzysiu, popraw berecik, na bakier ma być. Niech pani im powie, że mają się uśmiechać i mocno machać. Uśmiechać się, koniecznie!

Potem miały być gwizdzące blaszane koguciki, piłeczki na gumce z trocinami w środku, lepka oranżada i *Wszystko tobie ukochana ziemi* z chrapliwego megafonu, gdzie słowa: „My trudności wszystkie pokonamy, żaden wróg nie złamie hartu w nas” teraz nabierały innego, szczególnego znaczenia. To był czas, gdy zdezorientowani ludzie nie wiedzieli, po której stanąć stronie, więc nie wszyscy się uśmiechali. Ci, którzy nie potrafili pokonać rozczarowania, smutku, obaw i wiecznej troski o codzienność, nie wierzyli w kompromis, zmiany i obietnice, mieli zacięte twarze. Choć na pociechę każdy, kto przyszedł na pochód, dostawał dwadzieścia deko kiełbasy i dwie bułki na dokładkę.

Maj nie zaczął się dobrze. Był zimny i deszczowy, co wróżyło marne plony i dalsze podwyżki. Na dodatek trzynastego maja gruchnęła wstrząsająca wieść o

zamachu na naszego papieża. Ludzie snuli różne przypuszczenia, dlaczego i z czyjego polecenia. Modlili się albo przeklinali. W powietrzu czuć było napięcie i beznadzieję.

To był pogodny dzień. Powietrze stygło, a słońce chyliło się ku zachodowi, gdy po pracy wyszłam z Sonią na spacer do Rynku. Idąc od ulicy Świdnickiej, usłyszałam dźwięki muzyki dobiegającej od strony pręgierza. Stał tam spory tłumek gapiów. Niektórzy podrygiwali i klaskali w ręce. Podeszłam bliżej i dołączyłam do słuchaczy. Trzech młodych chłopaków, przypuszczalnie studentów, śpiewało *Obławę* tak popularnego teraz Kaczmarzkiego, akompaniując sobie na gitarze. Nagle nie wiadomo skąd zjawili się mundurowi, rozgonili słuchaczy, a studentów wsadzili do suki i odjechali.

Krata Domu Towarowego, potocznie nazywanego PDT-em, była podniesiona zaledwie do połowy, gdy potężny tłum, depcząc się, wciskał się do środka z nadzieją, że uda mu się kupić parę rajstop, szampon lub żyletki. Nikt już nie podziwiał tego wspaniałego dzieła europejskiego modernizmu, wpisanego nawet w rejestr zabytków. Zresztą ta właśnie metalowa krata, zamykana na korbę, betonowe atrapy, którymi sztukowano ukruszone ceramiczne gzymsy i obrzydliwa farba olejna, jaką pokrywano złożone niegdyś detale, skutecznie obniżały standard i wygląd budynku. Ale kto zwracałby uwagę na takie rzeczy, gdy nie było co włożyć do garnka. Ugodzona tysiącem rozpychających się łokci, zdeptana twardymi podeszwami butów, dotarłam na koniec kilometrowej kolejki wijącej się przez cały parter. Nie miałam pojęcia, co „dają”, ale skoro stali inni, może i mnie się uda. Asortyment nie miał znaczenia. I tak wszystko było potrzebne. Sonia bawiła się z dziećmi sąsiadów z parteru, mogłam więc pozwolić sobie na zakupy. Po dwóch godzinach przestępowania z nogi na nogę w gigantycznym ogonku wyszłam z tarczą, czyli ze stugramową paczką kawy i blokiem czekoladowym. Dzień stygł powoli, zza budynków spływały coraz dłuższe cienie, szłam nieśpiesznie w czerwcowym zmierzchu i obmyślałam plan na wieczór, pachnący świeżo mieloną kawą. Przechodząc obok wybudowanego przez Finów Hotelu Wrocław, jak zwykle zwolniłam, by chociaż przez szyby wyłowić wzrokiem odrobinę luksusu. Wtedy zobaczyłam Wilka. Wyprowadził z wnętrza jakiegoś mężczyznę, klepnął go na pożegnanie i zanim zniknął z powrotem za drzwiami, dostrzegł mnie.

– Anka – ucieszył się, jakbyśmy rozstali się w całkowitej zgodzie. – Jak miło cię widzieć.

– Cześć – mruknęłam, zatrzymując się, bo zastąpił mi drogę.

– Bardzo się śpieszysz?

– Tak, zostawiłam Sonię u sąsiadów.

Zerknął na zegarek.

– Odprowadzę cię – zaproponował.

– Nie trzeba, idę do tramwaju, to niedaleko.

– Wiem. Ale zanim tramwaj nadjedzie, może uda nam się zamienić kilka

słów. Co u ciebie?

– Nic. Albo wszystko, zależy, co chciałbyś wiedzieć.

– Wszystko.

– Nie da się opowiedzieć jednym zdaniem. Florka mieszkała u mnie jakiś czas. Teraz wyprowadziła się do swojego chłopaka. On jest...

– Nie pytam o Florę ani o jej chłopaka – przerwał mi. – Chcę wiedzieć, co u ciebie.

– U mnie? Nie wiem... Nic. Pusto.

– Pusto? – zapytał i zajął mi w oczy. Cholerna brew powędrowała w górę.

– Kupiłam kawę – powiedziałam beznamiętnie, podnosząc do góry prawie pustą siatkę.

– To nie lada sukces – zakpił. – Może wypijemy razem?

– Raczej nie – odmówiłam chłodno.

– Dlaczego? Żałujesz mi filiżanki kawy? – uśmiechnął się drwiąco, jak zwykle.

– Nie żałuję, ale nie cierpię tych twoich szyderczych uśmieszków – wyrzuciłam z siebie i od razu poczułam się lepiej. Niech wie.

– Szyderczych? – zdumiał się. – Tak je odbierasz? To dlatego wtedy uciekaś? Pamiętał.

– Tak. Właśnie dlatego.

Roześmiał się.

– No dobra, nie będę się uśmiechał. Tak będzie dobrze?

Wzruszyłam ramionami.

– Możesz robić, co ci się podoba. Idę – powiedziałam.

– Zaczekaj, Anka – zatrzymał mnie. – W takim razie ja zapraszam ciebie. Napijemy się kawy tutaj, w hotelu, dobrze?

Był to najnowocześniejszy hotel we Wrocławiu. Jasno oświetlony hol pachniał Zachodem i dobrymi perfumami. W kawiarni było pustawo. Zauważyłam, że Wilk czuł się tu jak u siebie, a z kelnerkami był po imieniu.

– Czym się zajmujesz? – zaciekałam się.

– Wszystkim po trochu – odpowiedział wykrętnie. – Można powiedzieć, że jestem buntownikiem przeciwko systemowi.

– Jak to rozumiesz?

– Zwyczajnie. Oficjalnie pracuję na basenie jako trener. Nieoficjalnie wspieram „Solidarność” i wszystkich, którzy jej sprzyjają.

– Ale w jaki sposób?

– Zwyczajnie. Tutaj różni mieszkają. Na przykład esbecy, śledzą dziennikarzy

przyjeżdżających zza granicy, naszych zresztą też. Mają też inwigilować dyplomatów i tak dalej. Pracownicy hotelu dostali przykaz, żeby nie wpuszczać dziennikarzy na zaplecze.

– Dlaczego?

– Bo stamtąd najłatwiej nadawać prawdziwe wiadomości. Trochę to dla władz niewygodne, nie uważasz? No więc ja właśnie tam ich prowadzę i stoję na czatach. Niech przekazują, co naprawdę się dzieje. Telefonistki odpalają dla nich centralę i telefaksy, a oni trąbią na prawo i lewo, jak upada komuna.

– Nie boicie się? – zapytałam, patrząc na niego z szacunkiem. Pomyślałam, że Walery też byłby z niego dumny.

– Boimy się, jasne, że się boimy. W każdej chwili możemy wpaść. Ale w czasie wojny też była partyzantka, nie?

– A jak cię złapią? Albo ktoś doniesie?

– Pójdę siedzieć.

Kelnerka przyniosła kawę i cukier. Chyba w żadnej kawiarni w mieście nie podawano już cukru. Jeśli ktoś słodził, musiał przynieść swój.

– Wilk... – zaczęłam, mieszając starannie łyżeczką w filiżance. – Wiesz, że Krzywy...

– Wiem i szlag jasny mnie trafia. Pomyśleć, że zadawałem się z tym gnojkiem.

– Ale dlaczego on to zrobił? – zapytałam, kręcąc z dezaprobatą głową.

– Żeby nie iść do wojska. A poza tym, jak odsłuży w ZOMO, ma zapewnioną robotę w milicji – wyjaśnił.

– Widziałam go podczas zgarniania studentów z Rynku – dodałam oburzona.

– Za co? – zainteresował się Wilk.

– Za śpiewanie.

– Ech, za śpiewanie – westchnął i machnął ręką, jakby tym gestem chciał zakończyć irytujący go temat. – No, a co tam u ciebie? – zapytał. – Widziałem cię kiedyś z tym dyrektorkiem, wróciłaś do niego? – Ton wydawał się lekki, ale oczy miał czujne.

– Kiedy widziałeś? – zdziwiłam się, bo nie spotkałam Aleksandra od urodzin Soni.

– Nie pamiętam, chyba zimą – uniósł głowę i przyglądał mi się spod zmrużonych powiek, jakby chciał przyłapać na czymś niewłaściwym.

– Nie, nie wróciłam, skąd taki pomysł? Pomagał mi, gdy Sonia była w szpitalu. Miała koklusz – wyjaśniałam z detalami, choć sama nie widziałam takiej potrzeby.

- Pomagał ci – podkreślił i pokiwał głową.
- Tak. Ale od marca już go nie widziałam – dodałam szybko.
- Nie widziałaś – powtórzył powoli. Był irytujący.
- Nie. I naprawdę nie wiem, co się u niego dzieje – zapewniłam.
- Podniósł filiżankę i zakręcił nią, obserwując z uwagą osad z fusów.
- Nieważne – stwierdził. – Nic mnie to nie obchodzi, dlaczego się tłumaczysz?
- Wcale się nie tłumaczę. Pytałeś, więc odpowiadam – obruszyłam się.
- Zapytałem tylko, czy jesteście razem. Odpowiedziałaś. Więcej nic mnie nie obchodzi – powtórzył zniecierpliwiony.
- Dlaczego się denerwujesz?
- Wcale się nie denerwuję, wymyślasz sobie. Powiedziałem, że nic mnie nie obchodzi – rzucił. – To dupek – dodał po chwili.
- Przestań tak o nim mówić – odezwałam się urażonym tonem.
- A jak mam mówić? – zirytował się. – Co ci się znowu nie podoba? Co ty go tak bronisz?
- Wcale nie bronię, ale nie jest dupkiem, pomógł mi – usprawiedliwiałam Aleksandra.
- Pomógł, pomógł – rzucił ze złością. – Nie było nikogo innego?
- Nie, nie było nikogo innego! – zdenerwowałam się.
- Ale dyrektorek był – stwierdził jadowicie.
- Oszalałeś? Czego się czepiasz? – uniosłam się. – Tak, on był.
- Gdzie? U ciebie? Akurat wtedy się objawił, co? – zapytał kpiąco. – Właściwy człowiek na właściwym miejscu.
- Tak, akurat był u mnie. Odczep się od niego – zażądałam i sięgnęłam po torebkę. Miałam dość tej rozmowy.
- Wcale się go nie czepiam – rzekł podniesionym głosem. – Nie musisz go tak zaciekle bronić. Ja nie znoszę tylko takiego kręcenia. Był, nie był... Dlaczego nie chcesz się przyznać, że jesteście razem? Przecież mnie jest wszystko jedno, nic do tego nie mam. Możesz być sobie nawet z księciem arabskim, co mnie to obchodzi?
- Wilk, o co my się właściwie kłócimy? – odezwałam się zmęczonym głosem.
- Dajmy temu spokój. Myślałam, że przyjemnie spędzimy czas, a ty mi robisz jakieś niedorzeczne awantury.
- Nie robię ci żadnych awantur – mruknął.
- Nie? – przybrałam jego ironiczny ton. – A to przed chwilą?
- Nie odpowiedział. Sięgnął po łyżeczkę i zaczął się nią bawić.

– Nie rozumiem cię, Wilk – powiedziałam. – Robisz z igły widły, a potem się obrażasz.

– Obrażam się? – rzekł z ironią, a jego brew powędrowała w górę. Spodziewałam się, że teraz będzie nieprzyjemny. Ale on uciekł nagle wzrokiem i wpatrując się w ścianę, rzucił zniechceniście: – Nie obrażam się. Jestem zazdrosny, Anka.

Zaskoczył mnie.

– Zwariowałaś? – zaśmiałam się nerwowo. – O mnie?

– Nie. O tatarskiego chana – prychnął. – Bo ty oczywiście niczego nie widzisz.

– Nie widzę – powiedziałam szczerze. – Prócz tego, że wciąż ze mnie kpisz, naprawdę niczego nie dostrzegam.

– Nie kpię, na litość boską, Anka! Nie kpię, taki jestem.

Zamilkłam zakłopotana i rozejrzałam się po lokalu. Naprawdę nie wiedziałam, jak mam reagować na takie oświadczenie. Wilk zazdrosny.

– Muszę już iść – oznajmiłam i podniosłam się z krzesła.

– Zobaczymy się? – zapytał i również wstał, ale zanim odpowiedziałam, dodał z udaną obojętnością: – Jakby co, tutaj mnie znajdziesz.

– Dobrze, Wilk. Jakby co. Dziękuję za kawę.

Kiedy wychodziłam, czułam jego wzrok na plecach.

Wilk znów uderzył mi do głowy. Szłam wzdłuż ulicy Powstańców Śląskich, wciąż o nim myśląc. Tramwaje mijały mnie i kolejne przystanki, a ja nieśpiesznie, choć dawno powinnam odebrać Sonię, wlokłam nogę za nogą w wieczornym czerwcu. Nie zauważyłam nawet coraz bardziej gniewnego wiatru szarpiącego gałęzie i włosy przechodniów. Do domu weszłam przy akompaniamencie pierwszych pomruków burzy. Pochłonięta zabawą Sonia wcale nie zamierzała wracać do domu i musiałam siłą oderwać ją od rozłożonych na podłodze lalek, co oczywiście zakończyło się lamentem. Przestała płakać dopiero wtedy, gdy pozwoliłam jej wyjąć ze skrzynki list. Był opatrzony kilkoma znaczkami i adresem napisanym nieznaną mi ręką. Choć byłam ciekawa zawartości białej podłużnej koperty, rzuciłam list na szafkę w przedpokoju i zajęłam się szykowaniem kolacji dla Soni i przygotowaniem jej do snu. Burza rozpuściła się na dobre. Błyskawice cięły niebo, a ulewa dudniąca o szyby konkurowała hałasem z uderzającymi raz po raz grzmotami. Taka aura zawsze działała dwuznacznie na moje zmysły. Z jednej strony uwielbiałam ją za atmosferę grozy, nastrój, z drugiej zaś podnosiła adrenalinę i wprawiała w paniczny lęk. Wichura musiała zerwać gdzieś linie energetyczne, bo nagle w

całym domu zapanowała ciemność. Po omacku, trzymając się ścian, poszłam do kuchni, gdzie w szufladzie znalazłam świece. Zapaliłam jedną i ustawiłam ją w lichtarzu. Podeszłam do okna. Deszcz zalewał szyby, latarnie na ulicach były martwe. Sonia zasnęła, a mnie ogarnęła pustka. Nieśmiało pomyślałam o Wilku. Chciałam, żeby był tu teraz ze mną, żeby znalazł się po stronie mojego samotnego świata. Powiało tęsknotą.

Następnego ranka był pośpiech przed wyjściem do pracy, potem coraz grubsza warstwa codziennej prasy i rachunków, przykrywała białą kopertę. Faktem jest, że zupełnie o niej zapomniałam.

Pod Hotelem Wrocław przechodziłam teraz codziennie, wierząc w zbieg okoliczności, przypadek, szczęście. Chciałam go spotkać. Udało się po niespełna dwóch tygodniach. Wilk stał przy rozsuwanych szklanych drzwiach i palił papierosa. Na mój widok uśmiechnął się półgębkiem. Tylko tyle. Chyba nie zamierzał mnie zatrzymać, bo nie odezwał się ani jednym słowem, cofnął się tylko pół kroku, jakby chciał zrobić mi więcej miejsca, bym swobodnie przeszła. Przystanąłam.

– Wilk... – zaczęłam go.

Patrzył na mnie, ale nadal milczał, a ja nie wiedziałam, co właściwie chcę mu powiedzieć.

– Jakie jest twoje prawdziwe imię? – zapytałam, bo tylko to przyszło mi do głowy.

Przez chwilę patrzył zaskoczony, potem się roześmiał.

– Nie żartuj. Naprawdę nie wiesz, jak mam na imię?

– Nie.

– Zaczekaj tu – polecił i wszedł do hotelu. Po chwili wyszedł stamtąd i skinął na mnie ręką. Długie włosy, nieściągnięte dzisiaj gumką, zasypywały mu twarz.

– Konrad – rzekł i wciągnął mnie do środka przez szklane drzwi. – Chodź, muszę jeszcze trochę popracować. Pytałem, czy mogę wprowadzić cię na basen. Popatrzysz sobie. No, chyba że masz kostium.

– Nie mam – powiedziałam z żalem.

– No to popatrzysz, jak wielki świat pływa – zaśmiał się. – Chcesz?

– Chcę. Wiesz? Pasuje do ciebie ten Konrad – pochwaliłam, idąc tuż za nim.

– Może. I tak wszyscy mówią do mnie Wilk...

Dym wił się miękko, otaczał jego twarz, frunął pod niebo. Ręka z papierosem rysowała w powietrzu esy-floresy, tym szybciej, im więcej poruszenia było w słowach, gdy opowiadał swoje historyjki. Druga ręka spoczywała pod głową. Wsparta na łokciu śledziłam siwą smużkę, myślałam o tym, co mogłoby

wydarzyć się między nami, gdybym nie bała się pytania, czy „aż tak”. Leżeliśmy na kocu, na ulubionej polanie w Parku Szczytnickim, przemycając między słowami wszystko to, czego nigdy nie zrobimy. Spotykaliśmy się, bo nie potrafiłam wyrzec się Wilka, ale też nigdy nie myślałam o nim poważnie. Byłam ostrożna. Wtedy, po nocy z Dawidem, widziałam się w długim lustrze, zdziwiona, że wciąż wyglądam tak samo, chociaż jeszcze przed chwilą byłam w kosmosie.

– Nie przywiązuj się do swojego odbicia – szeptałam. – Jutro może być inaczej. I było inaczej, dlatego nie chciałam próbować drugi raz.

Florka i Walery zjawili się pewnego sobotniego wieczoru. Byli bardzo uroczyści i zanim wręczyli mi zaproszenie, domyśliłam się, że chodzi o ich ślub. Walery był powściągliwy, Florka natomiast cieszyła się jak dziecko.

– Będziemy mieli przyjęcie – mówiła podekscytowana. – Nigdy w życiu nie miałam przyjęcia. Mama Walerego załatwiła miejsce w świetlicy osiedlowej, w pobliżu domu.

– A twoi rodzice będą? – zapytałam ostrożnie, wiedząc, jaką Florka ma sytuację. Spojrzała na Walerego.

– Nie. Nie będzie ich – powiedziała ponuro. – Nie wiem, gdzie teraz są. A gdybym nawet wiedziała, nie zaprosiłabym ich. Zepsuliby nam całą imprezę. Upiłiby się i tyle. Jeszcze zrobiliby jakąś awanturę.

– Tylko ty się nie upij – ostrzegłam.

– Nie martw się – burknęła. – Walery mnie pilnuje.

– Trzeba cię jeszcze pilnować?

– Niestety – wtrącił Walery. – Zdarza się.

– No, Florka – pogroziłam jej palcem. – Obiecałaś. Uważaj.

– Raz mi się zdarzyło – powiedziała i spojrzała na Walerego z wyrzutem. – Nie musisz jej o wszystkim mówić – dodała z pretensją.

– Nie będziesz pić, nie będę mówić – skwitował.

– Będzie trzydzieści osób – relacjonowała. – Prawie wszyscy z rodziny Walerego. Ode mnie będzie tylko jedna ciotka z Wałbrzycha, kuzynka z Kłodzka, Wilk i Krzywy.

– Krzywy? – zapytałam sceptycznie, czym wzbudziłam czujność Walerego. – Na pewno chcesz go zaprosić?

– Już to zrobiliśmy. Przedwczoraj wysłałam mu kopertę z zaproszeniem. Na pewno już ją otrzymał... Dlaczego masz taką minę? – wydeła usta, jakby chciała zaznaczyć, że to jej wesele, więc ja nie mam tu nic do gadania. – Nie mogę tylko namierzyć Wilka. Odkąd nie przychodzi do Kwadratu, trudno go znaleźć.

- A ty chodzisz do Kwadratu? – zapytałam i zerknęłam na Walerego.
- No coś ty – obruszyła się. Po co? Przecież Krzywego tam teraz nie ma. Wierzyłam jej. Po co miałyby tam chodzić? No, może jedynie do Pedra, który pewnie się tam kręci. Ale na wszelki wypadek przestrzegłam:
 - Florka, obiecałaś mi, pamiętasz?
 - Mówię, że nie chodzę tam – zdenerwowała się. – A ty przestań prawić mi morały.
 - Chcemy zaprosić Aleksandra – dorzucił Walery. – Oboje go lubimy i...
 - Jak chcecie – mruknęłam. I tak nie miałam nic do gadania.
 - A ty masz adres Wilka? – zainteresowała się Florka.
 - Nie, skąd miałabym mieć? Ale wiem, gdzie go można złapać. Pracuje w Hotelu Wrocław na pływalni. A adres Aleksandra mam w notesie, masz tu kartkę i przepisuj sobie.
 - Anka, a gdzie jest Sonia? – przypomniała sobie nagle Florka i rozejrzała się wokół.
 - Na parterze. Sąsiedzi mają dwie dziewczynki, chętnie się z nimi bawi.
 - A... szkoda. Myślałam, że ją zobaczę... Mam już welon, wiesz? – wróciła do tematu. – Kupiłam u modystki. Drogo, cholera, wzięła. Bukiet będę miała z goździków i asparagusa. Razem wybieraliśmy w kwiaciarni. Sukienki szyje mi znajoma teściowej... Jejku, jak to brzmi: teściowej. Jedna biała, z bistoru, a druga różowa.
 - Świetnie – powiedziałam, usiłując wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu.
 - Ta różowa też z bistoru?
 - Też. Przynajmniej się nie wygniecie.
 - Walery przewrócił oczami.
 - Dobra, Florka, wystarczy. Kurczę, słucham już tego chyba piąty raz.
 - Ale Anka nie słyszała – zaprotestowała Florka i uśmiechnęła się do mnie promiennie.
 - Anity to chyba nie interesuje – mruknął.
 - Poczułam się przyłapana na gorącym uczynku. Nie umiałam udawać. I wcale nie o to chodziło, że nie interesował mnie ich ślub. Interesował, ale lista gości mnie przerażała.
 - Walery, to nie tak. Ja naprawdę cieszę się razem z wami, ale wydaje mi się, że musisz o czymś wiedzieć – powiedziałam i wzięłam głęboki oddech.
 - O czym? – odezwał się bez krztyny entuzjazmu i ziewnął szeroko.
 - Krzywy jest w ZOMO.
 - Walery gwałtownie zamknął szczękę, aż kłapnął zębami.

– Kurczę, co? – wybałuszył oczy.

– Krzywy jest zomowcem – powtórzyłam.

– Cholera, Florka, odwołaj to zaproszenie – zażądał.

– Nie – sprzeciwiła się gwałtownie. – Jak odwołam zaproszenie? Oszalałeś? Pójdę do niego i co? Co mam mu powiedzieć?

– Że nie chcemy żadnych pieprzonych zomowców, rozumiesz? To banda szkolona do bicia ludzi. Nie chcę takich na naszym ślubie.

– Krzywy jest moim przyjacielem. Nie interesuje mnie, czy jest zomowcem, czy nie.

– Jest w ZOMO! Ty wiesz, co robi pieprzone ZOMO?

– Nie obchodzi mnie, co robi ZOMO! Krzywy to Krzywy i już!

– Jeśli ty nie odwołasz Krzywego, ja odwołam wesele – powiedział spokojnie, choć widziałam, jak chodzą mu szczęki. Nigdy nie widziałam go tak wściekłego.

– Krzywy jest moim przyjacielem! – krzyknęła Florka, złapała torebkę, wrzuciła do niej puderniczkę, której przed chwilą używała i patrząc na niego z nienawiścią, syknęła: – Albo ja i Krzywy, albo mnie też nie będzie. A ty – zwróciła się do mnie – naucz się trzymać język za zębami!

Potem zerwała się z miejsca i wybiegła, trzaskając drzwiami.

– Florka! – zawołał za nią Walery. – Florka!

Wybiegł za nią. A ja znów zostałam sama.

Byłeś hipisem? – zapytałam Wilka, obserwując, jak wyciera wysportowane ciało ręcznikiem i wkłada przez głowę koszulkę.

– Co takiego? Hipisem? Skąd ci to przyszło do głowy? – zdziwił się.

– Nie wiem, tak pytam. Widziałam ćmę na twoich plecach.

– Miał być motyl, ale nie wyszedł. Jest ćma. Ale przecież nie tylko hipisi robili sobie tatuaże. Każdy może, ty też – dotknął mojego kostiumu, który jeszcze ociekał wodą z basenu. Od pewnego czasu posiadałam karnet na godzinę pływania raz w tygodniu.

– Nie chcę żadnych tatuaży.

– Na studiach miałem kumpla hipisa. Barwna postać – uśmiechnął się do swoich myśli.

– Opowiedz mi – poprosiłam.

– Nie wiem wszystkiego. Tylko tyle, co sam widziałem. Chciał być hipisem, to był. Podobał mu się ich sposób myślenia. Wzorowali się trochę na subkulturach amerykańskich, ale nie do końca. Tamci słuchali takich psychodelicznych kawałków, mówili, że muza to ich filozofia, religia, broń, polityka, wszystko. Oni sami byli muzyką, tworzyli ją. Nasi też słuchali rocka, ale z tworzeniem było gorzej. Chyba mieli związane ręce, gliny się nimi za bardzo interesowały. No i narkotyki. Tamci zażywali prawdziwe, a nasi wączali klej.

– Wączali klej?

– Robili to. Poza tym inhalowali się wybielaczem albo kupowali bez recepty w aptece różne specyfiki, po których można było odpłynąć.

– Co on teraz robi?

– Mój kumpel? Nie widziałem go od lat. Miał artystyczną duszę. Chyba coś rzeźbił. Tak, na pewno rzeźbił. Ciekawy gość. Lubiłem z nim gadać. Nienawidził komuny i kochał Jezusa albo Buddę, kogo chciał, zależnie od humoru. Zabawny był. Pamiętam, jak uganiał się po bazarach za prawdziwymi, to znaczy oryginalnymi dzinsami. Kupował też mnóstwo białych podkoszulek. Pomagałem mu je farbować. Wkładaliśmy w kilku miejscach ziarenka grochu i związywaliśmy to recepturką. A potem do farby. Fajne wzory wychodziły.

Sprzedawał je trzykrotnie drożej, niż kupił. Miał łeb. Kiedyś ściągnął matce zasłony z okien i uszył sobie kolorowe dzwony. W życiu bym nie wyszedł w czymś takim na ulicę, a on paradował w nich z dumą. Jego matka zresztą też była dziwna... – uśmiechnął się do siebie, zapatrzony we własne wizje. – Dziewczyna z Akademii Sztuk Pięknych – ciągnął – też hipiska, robiła koraliki z wypalanej gliny. Czasem im zazdrościłem. Kolorowo było. Włóczyli się, niedosypiali... Szkoda tylko, że studia rzucił. Przestały go interesować. Zajął się sztuką. Potem nie wiem, co się z nim stało.

– Czasami zazdrozczę ludziom takiej bez troski – zauważyłam. – Ja wciąż się czymś martwię.

– Tak? – uniósł brew. – A teraz na przykład czym się martwisz? – zapytał, wieszając ciężkie ramię na mojej szyi. – Chyba sobie wymyślasz, co?

– Nic nie wymyślam. Martwię się o Florę.

– A co z Florą?

– Zniknęła. Pokłóciła się z Walerym i uciekła.

– A Walery?

– Jak to Walery. Robi dobrą minę, ale widzę, że w środku rozpacza. Teraz się martwię, że to przeze mnie.

– Dlaczego przez ciebie?

– Powiedziałam mu o Krzywym. Chcieli zaprosić go na ślub, a ja powiedziałam przy Walerym, że on wstąpił do ZOMO. A wiesz, jaki jest Walery...

– Wiem, solidarnościowiec. To jasne, że nie chciałby mieć zomowca wśród gości. A Flora z kolei chce zaprosić przyjaciela, bez względu na jego przekonania. Ja to rozumiem. Ale skoro oni nie potrafią się dogadać, to może lepiej, że się rozstali.

– No nie wiem. Wyglądało na to, że się kochają.

A przynajmniej Walery. Kochał Florę. Widziałam to w podkrążonych oczach, słyszałam w jego milczeniu, gdy niemal codziennie opadał na moją kanapę i gapił się na mnie bez słowa.

– Nie wróciła? – pytałam, a on, przygnębiony, tylko kręcił głową.

Gdyby nie zbliżające się święto Matki Boskiej Zielnej, nie spotkałabym pani Stefanii na mojej ulubionej polanie w Parku Szczytnickim. Ona z kolei nie podsunęłaby szczodłą ręką papierowej torebki z ryżowymi szyszkami w środku. Miało to znaczenie, bo wszystko, co działo się później, z pewnością potoczyłoby się inaczej.

Był piątek, przyjemny sierpniowy dzień, przypadający na połowę mojego

urlopu. Do wiklinowego koszyka włożyłam kilka kanapek, butelkę wody, mały, kraciasty kocyk i wraz z Sonią wybrałam się do parku. Nasze ulubione miejsce ukryte nieco za krzakami było wolne, rozłożyłam więc koc i posadziwszy na nim dziecko, sięgnęłam do torebki po kolorową książeczkę z wierszykami. Sonia je uwielbiała. Czytałam, a mała podpowiadała końcówki zdań, które znała już na pamięć. W pewnym momencie na koc padł cień i zastygł, nie przesuając się dalej. Podniosłam głowę.

– Tak myślałam, że to Anitka, ale patrzyłam jeszcze, bo pomylić się łatwo. Tyle czasu minęło, a mimo to poznałam, widzisz? A ty, niedobra, nie przysłaś dzieciątka pokazać. Mnie, starej nie chciałaś odwiedzić, co?

– Pani Stefania! – zawołałam zaskoczona i zerwałam się z koca, żeby ją przywitać.

– Dobrze, że chociaż imię pamiętasz – śmiała się uszczęśliwiona, przyciskając mnie do serca. No, pokaż swoje dzieciątko... A mówiłam, że córeczka będzie? Duża już, ze sweterków wyrosła, trzeba nowe robić. No, jakże masz na imię, kochaniutka? – zwróciła się do małej.

– Sonia – szepnęła dziewczynka, przyglądając się nieznajomej twarzy.

– Mój Boże, Sonia! Tak, jak tamta, mojej przyjaciółki. Tak samo! – zawołała i oczy zaszklily się jej ze wzruszenia.

– Tak samo – potwierdziłam. – Pamiętałam wszystko, co mi pani opowiadała.

– A łóżeczka pod oknem nie postawiłaś? – zapytała, patrząc na mnie z uwagą i grożąc na wszelki wypadek palcem.

– Nie postawiłam – zapewniłam i jeszcze raz przytuliłam panią Stefanię.

– To Matka Boska mnie tu przyprowadziła – oznajmiła i przysiadła na kocu, stękając z wysiłku. – Matka Boska Zielna – pośpieszyła z wyjaśnieniem, bo przyglądałam się jej, nie bardzo rozumiejąc. – Jutro przecież jej święto – wyjaśniła trochę zgorszona. – A ja przyjechałam tu ziółek i polnych kwiatków nazbierać do bukietu. Zawsze noszę do kościoła. Potem za obrazem cały rok trzymam, żeby zdrowie było. I jest, dzięki Bogu, jest. Nie narzekam... Ładna ta twoja Sonia, bardzo ładna – zauważyła, przyglądając się dziecku z upodobaniem. – O, masz tu ciasteczko – dodała, wyjmując z siatki papierową torebkę i podtykając ją Soni. – Bierz śmiało, sama robiłam.

Sonia wydobyła z torebki szyszkę z dmuchanego ryżu i od razu wsunęła ją do ust.

– A co? Dobre? – ucieszyła się pani Stefania, gdy Sonia wyciągnęła rączkę po drugą. – Damy trochę mamusi, zanim wszystko zjesz – śmiała się, częstując również mnie. – Musisz jej zrobić, to bardzo łatwe – paplała.

– Tak, wiem. Widziałam nawet przepis w jakiejś gazecie – zauważyłam. – Tylko tego ryżu nigdzie nie ma.

– A nieprawda. Ostatnio rzucili. Można było kupić, ile się chce.

– Wobec tego zrobię – powiedziałam.

Pomogłyśmy starszej pani nabierać drobnych polnych kwiatków i ziół, po czym pożegnałyśmy się z zapewnieniem, że na pewno niebawem ją odwiedzimy. Po drodze, w jednym ze sklepików stojących trochę na uboczu udało mi się nabyć dwie paczki ryżu preparowanego, więc do domu wracałam uszczęśliwiona. Niestety, dobry humor prysł, gdy pod drzwiami mojego mieszkania znów ujrzałam Reginę, tym razem z przychówkiem. Co gorsze, Regina siedziała na walizce. Aż zatrzymałam się na schodach, gdy łypnęła na mnie okiem. Pawełek tłukł patykiem w poręcz od schodów, a drugi chłopczyk, którego imienia nawet nie znałam, trzymał się kurczowo rękawa matki i podrygiwał w rytm akompaniamentu wydobywającego się z jego gardła. Robili tyle hałasu, aż dziwiłam się, że nikt jeszcze nie przyszedł, by ich uspokoić.

– I gdzie ty chodzisz, co? – zaatakowała mnie ze złością Regina. – Ja tu pod drzwiami z dziećmi siedzę, a ty łazisz gdzieś godzinami.

Wyrzut był tak absurdalny, że nawet nie próbowałam się tłumaczyć. W milczeniu wydobyłam klucz i wpuściłam ich do środka. Pawełek natychmiast wskoczył w butach na kanapę i zaczął podskakiwać na niej jak na sprężynie. Ten młodszy, jak się okazało, Piotruś, rozsiadł się na podłodze w przedpokoju i zaniósł się płaczem. Sonia, nie wiedząc, co zrobić w takiej sytuacji, przyklęła przy nim i zaczęła głaskać go po głowie. Oczy miała wielkości spodków, gdy bezradnie spoglądała to na mnie, to na niego. Regina odstawiła walizkę i klasnęła w ręce.

– No! – odezwała się, jakby wróciła właśnie z dalekiej podróży. Potem wtargnęła do salonu, ustawiła na środku walizkę i oznajmiła stanowczym głosem:

– Wprowadzamy się. Dopóki się nie wyniesiesz, biorę ten pokój.

– Jak to? – wyjąkałam zaskoczona, odzyskawszy głos. – Jak to bierzesz ten pokój?

Widocznie była przygotowana na takie pytanie, bo odrzekła bez chwili wahania:

– Jest większy, a ja mam dwoje dzieci. Ty masz tylko Sonię, więc będzie sprawiedliwie, zmieścicie się w mniejszym.

– Żartujesz, Regina – zaczęłam i już miałam usiąść na krześle, bo nogi odmówiły mi posłuszeństwa, ale poderwałam się już po chwili, bowiem Pawełek

zaczęła wdrapywać się na stolik z telewizorem. – Nie zamierzasz chyba tu mieszkać? – zapytałam, szarpiąc się z siostrzeńcem.

– Zamierzam. Z całą rodziną – oznajmiła Regina i z furią otworzyła walizkę, z której zaczęła wyrzucać na podłogę rozmaite części garderoby. – Ta druga, co tu z tobą mieszkała wyprowadziła się, więc skalkulowałam, że nie opłaci mi się trzymać tu tylko ciebie.

– Dotąd ci to nie przeszkadzało, nawet gdy mieszkałam sama. Płaciłam ci przecież.

– Nie chcę już wynajmować, skoro mam swoje. Radzę ci poszukać sobie czegoś, bo zostaniesz bez dachu nad głową.

– Mam dach nad głową. To ja zajmowałam się ciocią przed śmiercią. Nie interesuje mnie zapis, który na niej wymusiłaś. Poza tym chciałabym go zobaczyć.

Spojrzała na mnie tak, aż mnie zemdliło z irytacji.

– Daruj sobie – mruknęła.

Nie odezwałam się więcej. Zabrałam Sonię i wyszłam z domu. Musiałam się nad tym wszystkim zastanowić. Gdyby Regina była inna, na pewno potrafiłybyśmy się dogadać. Nie miałam pomysłu, co powinnam teraz zrobić. Mieszkanie z Reginalą pod wspólnym dachem było niemożliwe.

Zaprowadziłam Sonię do baru mlecznego na naleśniki. Jadła ze smakiem, mimo że ser nie był dosłodzony tak jak lubiła. Nie miałam ochoty wracać do domu, gdzie panoszyła się pyskata lokatorka, ale gdy opuściłyśmy bar, zauważyłam, że od zachodu napływają sino-granatowe chmury, zwiastując burzę, a drzewami wstrząsają coraz silniejsze porywy wiatru.

– Idzie burza, musimy się pośpieszyć – zakomunikowałam Soni, chociaż i tak starała się szybko przebierać drobnymi nóżkami. Żałowałam, że nie zabrałam dla niej wózka. Dość długo szła dzielnie, ale gdy zbliżyłyśmy się do Rynku, nagle wyrwała rączkę z mojej dłoni i ruszyła pędem przed siebie. Do tej pory to się nie zdarzało.

– Sonia! – zawołałam, biegnąc za nią. – Nigdy więcej tak nie rób!

– Ciocia – zawołała mała i wyciągnawszy palec, parła wprost na drzwi wejściowe do Mody Polskiej.

– Jaka znowu ciocia? – zdumiałam się, bo jej jedyna ciotka, była teraz w naszym domu. – I nie pokazuj palcem, to nieelegancko – ofuknęłam ją.

– Ciocia Florka – powtórzyła Sonia i pociągnęła mnie silniej za rękę.

– Florka? Gdzie? W tym sklepie? Na pewno? – dopytywałam. Byłam przekonana, że to pomyłka. Ale Sonia uparła się.

– Dobrze, wejdźmy tam – ustąpiłam w końcu.

Klientów nie było wielu, bo i towaru jak na lekarstwo. Jedyne atrakcyjne kombinezon damski kosztował fortunę, ale właśnie przy nim zatrzymała się Florka. Tuż przy niej, obejmując władczo jej kibić, stał jegomość do złudzenia przypominający Aleksandra.

– Tatusi! – zawołała zniecierpliwiona Sonia, dokładnie tak, jak uczył ją przez wiele miesięcy, i nie oglądając się na mnie, pobiegła wprost do niego. Zdziwiona ekspedientka, niosąca kombinezon, który Florka chciała przymierzyć, zatrzymała się w pół kroku i zerkała skonsternowana to na mnie, to na Florę, to znów na dziecko i Aleksandra.

– Będzie pani mierzyć? – zapytała w końcu niepewnie.

– Oczywiście, że pani będzie mierzyć – odparł za Florę Aleksander i pogłaskawszy na odczepnego Sonię po głowie, popchnął ją lekko w moją stronę – Idź do mamusi – bąknął, po czym chrząknął, poprawił krawat i przyczesał dłonią włosy. Wszystko po to, by zyskać na czasie, zanim odezwał się do mnie: – O, dzień dobry, Anito.

Florka odwróciła się gwałtownie i rzuciwszy na mnie zaledwie okiem, zniknęła czym prędzej za parawanem przebieralni.

Aleksander założył do tyłu ręce i kołysał się rytmicznie, to wspinając się na palce, to znów opadając na pięty. Wbił przy tym wzrok w tkaninę, za którą zniknęła Florka i milczał jak zaklęty. Poczulałam się jak piąte koło u wozu. Sonia natomiast patrzyła na Aleksandra, nic nie rozumiejąc. Po chwili zza parawanu wynurzyła się Florka w kombinezonie i musiałam przyznać, że wyglądała zjawiskowo. Aleksander bez wahania podszedł do kasy i uszczuplił zasoby swojego portfela o żadaną kwotę. W nagrodę Florka, nie zważając na mnie, ucałowała go soczyscie w same usta. Właściwie nie wiem, po co tam jeszcze stałam, przecież wszystko było już jasne.

Będę musiała zawiadomić Walerego – pomyślałam tak samo jak wtedy, gdy umarła ciotka Rozalia, a ja musiałam zawiadomić matkę.

Och, jak bardzo nie chciałam wracać do domu pełnego niechcianej obecności, w dodatku z bagażem nieprzyjemnych wrażeń po spotkaniu z Florą i Aleksandrem. Burza rozszalała się na dobre. Musiałam przeczekać ją w sklepie, żeby nie przemoknąć do suchej nitki. Sonia marudziła ze zmęczenia i rozczarowania zachowaniem osób, które tak lubiła. Postanowiłam jej to wynagrodzić i dziś jeszcze przygotować słodkie szyszki z ryżu.

Już w przedpokoju potknęłam się o porozrzucane obuwie i zwinięty dywanik. Pawełek i jego młodszy brat nie znali żadnych granic, biegali po całym

mieszkaniu, wrzeszcząc wniebogłosy. Regina wisiała na telefonie, uskarżając się na swój los przed jakąś „kochaną Niusią”. Zabrałam Sonię do kuchni i zamknęłam za sobą drzwi. W zlewie zastałam zaschniętą patelnię po jajecznicy, brudne talerze i kubki po herbacie. Zajrzałam do lodówki i zgodnie z podejrzeniem odkryłam brak całego zapasu jajek, które wczoraj wystawałam w kolejce. Tylko ze względu na obecność dziecka, nie wyraziłam głośno tego, co czułam. Zacisnęłam zęby, umyłam naczynia i wysypałam do miski dmuchany ryż. Przepisu musiałam poszukać w jednej z gazet leżących w przedpokoju. Zgarnęłam z szafki cały ich stos i ponownie zamknęłam się w kuchni. Szukając interesującej mnie gazety, natknęłam się na list w białej, podłużnej kopercie, o którym na śmierć zapomniałam. Na pieczętce widniała data sprzed miesiąca. Z poczuciem winy, że być może przeoczyłam coś ważnego i korzystając z tego, że Sonia zajęła się mieszaniem drewnianą łyżką ryżu, rozerwałam kopertę i pobeżnie prześlizgnęłam się wzrokiem po treści listu.

Moja droga,

jakie to szczęście, że przed Twoim wyjazdem wymieniliśmy się adresami, w przeciwnym wypadku, nie mogłabym wysłać do Ciebie tej wiadomości. Może to tylko twór chorej wyobraźni naszej pacjentki, ale może warto sprawdzić. Otóż przy okazji porządkowania pokoju naszej podopiecznej, którą na pewno pamiętasz, Oksany Modlewskiej, natknęłyśmy się na dziwnej treści kartkę, włożoną między jej dokumenty. Doszłyśmy do wniosku, że ten zapisek adresowany jest do Ciebie, bo tylko Ty miałaś taki wózek, więc kartkę załączam. Mam nadzieję, że nie wyrzuciłaś go jeszcze, bo tam może być rozwiązanie tej zagadki.

*Życzę szczęścia,
Beata Niudzińska*

Na załączonej karteczce była krótka informacja, napisana wielkimi drukowanymi literami i opatrzona trzema wykrzyknikami.

Ważny list jest w dziecięcym wózku!!!

Uśmiechnęłam się do siebie i omal nie popukałam się w czoło, myśląc o żarciku koleżanek z „Ustronia”. Nie sądziłam, żeby przywiązywały wagę do jakiegoś zapisku nagryzmołonego na wyrwanej z zeszytu kartce. Złożyłam kopertę na pół i schowałam ją do kieszeni. Tymczasem zniecierpliwiona Sonia zaczęła marudzić i szarpać mnie za rękaw. Przerzuciłam jeszcze kilka gazet, wśród których odnalazłam wreszcie przepis. W tym czasie do kuchni wtargnęli chłopcy wraz z Reginą i przy akompaniamencie pokrzykiwań chłopców i uwag Reginy zabrałam się za robienie szyszek.

W nocy rozmyślałam o liście Beaty, wspominałam wspólne dyżury. Przed oczami pojawiła się również postać Oksany w śliwkowym kapeluszu i niemal poczułam zapach wody jaśminowej. To przykre, że jej życie skończyło się w tak tragiczny sposób. Często myślałam, że nie była chora, tylko dziwna i nie mogła sobie z tym poradzić. Dużo chwil spędziłyśmy razem, bo akurat mnie sobie upodobała do zwierzeń. I ten ostatni spacer... Wciąż nie mogłam sobie darować, że upomniałam ją tak ostro, gdy zbyt daleko odeszła z wózkiem. Potem już nie miałam okazji jej przeprosić.

Nagle mnie olśniło. Usiadłam na łóżku, jak na sprężynie. Oksana odeszła z wózkiem! Mogła tam rzeczywiście ukryć dla mnie jakiś list. Boże, gdyby nie to, że była noc, pobiegłabym natychmiast do piwnicy. Po bokach wózka były kieszonki, list mógł zamoknąć, gdy chodziłam z Sonią podczas deszczu. Nie wiadomo, czy zdołam go odczytać, jeśli oczywiście tam będzie.

Do rana spałam jak zając pod miedzą. Budziłam się co chwilę i przewracałam z boku na bok. Wszystko to było bardzo tajemnicze. Co mogła pisać do mnie Oksana przed śmiercią?

Wstałam wcześniej. Regina i dzieci spały jeszcze w najlepsze, gdy zdjęłam z haczyka klucz od piwnicy i cicho zamknąwszy za sobą drzwi, zeszłam na dół. Otworzyłam piwnicę i przekreśliłam włącznik. Wnętrze zalało słabe światło. Wózek stał w samym kącie, przywalony rupieciami, które na dobrą sprawę należało dawno wyrzucić. Ale tak już jest, że przywiązujemy się do przedmiotów i niepotrzebne traktujemy je na zasadzie „to się jeszcze przyda”. Z trudem wydobyłam wózek i wyprowadziłam go na korytarzyk, gdzie było znacznie jaśniej. Jakież było moje rozczarowanie, gdy przeszukawszy obie kieszonki i wszystkie zakamarki, niczego nie znalazłam. Zamknęłam piwnicę, a wózek wyprowadziłam pod śmietnik. W ostatniej chwili wyjęłam jeszcze materacyk dla Soni do zabawy. I wtedy dostrzegłam wygniecioną kopertę, na której widniało moje nazwisko. Nie ukrywam, że ręce mi zadrżały. Pobiegłam na skwerek za domem i przysiadłam na jedynej ławce. Rozerwałam kopertę.

– O Boże – szepnęłam, patrząc na podpis Oksany. Nie mogłam zapanować nad gęsią skórką, gdy obracałam w palcach kartkę, pisaną ręką kobiety, której nie było już wśród żywych. Jak z za grobu. Przebiegłam wzrokiem list, nie rejestrując ani jednego słowa. Potem przeczytałam wszystko jeszcze raz. Bardzo uważnie.

Ten list jest dla Anity Winiarskiej.

Oświadczam, że ja, Oksana Modlewska, mam nieruchomość w Samotworze, położoną na lewo od pałacu, jak się idzie w stronę starego dębu. Dom ma numer

43.

Budynek ten sam, co widoczny na zdjęciach, które dziewczynie dałam. Niech Anita Winiarska się nim zaopiekuje, tak jak obiecała przy świadku, Beacie Nudzińskiej. Taka jest moja prośba i ostatnia wola, bo nie mam nikogo innego. W wypadku, gdybym umarła, a nikt z bliskiej rodziny nie zgłosiłby się, przekazuję ten dom Anicie Winiarskiej, mojej najlepszej opiekunce i jedynej życzliwej mi osobie. Jestem świadoma tego, co tutaj piszę i podpisuję się osobiście, jako Oksana Modlewska.

Pod spodem widniała data i miejsce, w którym list został napisany oraz zamazysty podpis. Pamiętałam tę datę. I pamiętałam tę kartkę w różową linię, którą przyniosłam Oksanie tamtej nocy z dyżurki. Nie wiedziałam jeszcze, co powinnam z tym zrobić. Być może to wszystko było prawdą, a może zostało wyssane z hrabiowskiego palca pani Oksany. Tak czy inaczej, powiało mroczną tajemnicą.

O d dziewięciu dni wracałam okrężną drogą. Najpierw autobusem do Rynku, potem pieszo, by przeciąć szeroką ulicę Świerczewskiego. Stąd widać było białą bryłę Hotelu Wrocław. Tutaj zawsze zwalniałam, ociągałam się, podchodziłam pod same drzwi, żeby trafić na Wilka, którego nie widziałam całe dwa tygodnie. Ludzie wchodzili i wychodzili, a ich mowa, której nie rozumiałam, wskazywała, że są zagranicznymi turystami. Najczęściej niemieckimi. Kręcili się tu też Polacy ubrani w czarne garnitury i panienki w kusych, opiętych sukienkach z niedyskretnymi dekolami. Te najczęściej przesiadywały w barze. Wilka nie było. A ja właśnie teraz potrzebowałam go najbardziej. Coraz częściej uświadamiałam sobie jednak, że to, jak zachowuje się Wilk, nie ma nic wspólnego z prawdziwą przyjaźnią, na którą liczyłam. Na pewno bardziej fascynowałyby go zbliżenia, choć nie było w nim ani czułości, ani chęci dzielenia się sobą z drugim człowiekiem. Praktycznie nic o nim nie wiedziałam. Nic, prócz tego, jaki był w kontakcie ze mną. A o tym decydowały jego nastroje. Czasem pozwalał się lubić, czasem kazał nienawidzić. Teraz potrzebowałam rozmowy, ale on znów gdzieś przepadł. Wilk bagatelizował wszystko, co nie dotyczyło jego osobiście. Nie umiał się przejać. Nie czuł się też w obowiązku informowania mnie o nagłych zniknięciach. Nie liczył się ze mną.

Aż przystanęłam w miejscu, gdy dotarło do mnie to, o czym właśnie pomyślałam: Wilk się ze mną nie liczył, nie byłam dla niego ważna. Nie potrzebował mnie w swoim życiu. Ten dziwny związek skazany był na nieistnienie. Nie było nas. Był tylko on i tylko ja, przypadkowi, różni ludzie. To dziwne, ale poczułam ulgę, że właściwie jestem całkowicie wolna i nie muszę o nic zabiegać. O przyjaźń ani o miłość. Uświadomiłam to sobie bez bólu i żalu: nie muszę go mieć. Czułam się inaczej, niż po rozstaniu z Dawidem. Tam na samym dnie została kupka popiołu po tym, co było ważne i miało znaczenie. Teraz powinnam stąpać ostrożnie, na palcach, by nie wzniecać nowego uczucia. W każdym razie jego obiektem nie może być Wilk.

Zbiegłam po betonowych schodkach, przyrzekając sobie, że nigdy już nie będę warować pod żadnymi drzwiami ani u żadnych stóp. Przyjaciele tak nie postępują.

Wskoczyłam do siódemki i zajęłam wolne miejsce przy oknie. Obserwowałam ulice, po których ludzie ginęli w szparach miasta. Szeptali o różnych sprawach: o wódce, o tym, co w sklepie za rogiem i kiedy to się wreszcie skończy. Kiedy nie szepotali, wierzyli. Na murach domów i brudnych przystankach kwitła twórczość zbuntowanego narodu: „Precz z komuną” albo „Precz z pacholkami Moskwy”. Przed moimi oczami stanął Walery, który wiedział, kto to robił. Nie jeden raz sam malował czerwoną farbą napisy podburzające do boju. Kiedy oplakał już Florkę, poszedł na całość i poświęcił się sprawie. Rzadko go widywałam, ale czasem, przedzierając się przez rzekę przechodniów, udawało mi się dostrzec jego zaaferowaną twarz. Raz stanęłam z nim oko w oko, przejęta, że będzie chciał mówić o niej. Ale on zatrzymał się na chwilę, ścisnął wymownie moje ramię i poszedł dalej. To już skończone, odkochane, ale wciąż widocznie bolesne. Schudł jeszcze bardziej, a na jego czuprynie gdzieś połykiwały srebrne niteczki. I nie uśmiechał się już. Wcale się nie uśmiechał.

Odebrałam ze złości Sonię i niechętnie wróciłam do domu. Tym razem było dziwnie cicho. Moja siostra siedziała przy stole i zgłębiała tajniki jakichś dokumentów. Chłopcy bawili się w kącie nożyczkami. Dookoła walały się pocięte strzępy gazet. Na mój widok Regina szybko schowała dokumenty pod gazetę i wstała.

– Wiem, że nie palisz – przywitała mnie – ale może masz gdzieś ukryte papierosy?

– Zgadłaś, mam – odparłam i poszłam do swojego pokoju, gdzie w komodzie leżała rozpoczęta paczka Marlboro. Należała do Wilka, nie sądziłam, żeby się o nią upomniał.

– Daj – wyciągnęła rękę. Potem nerwowo wyjęła papierosa z pudełka.

– Powiesz mi, co się stało? – zapytałam ostrożnie.

– Nic się nie stało. Skąd pomysł, że coś się stało? Chciałam zapalić, i tyle – odparła, wydawało mi się, zmieszana. – Idę do kuchni, nie będę tu smrodzić.

– A chłopcy? Nie boisz się ich tak zostawić? – zerknęłam wymownie na nożyczki w rękach Pawła.

– Nic im nie będzie. Przynajmniej jest chwila spokoju.

– Jak chcesz – mruknęłam, odesłałam Sonię do pokoju i poszłam za nią. – Opowiadaj – zachęciłam.

Regina stanęła na środku kuchni i zapaliła nerwowo.

– Co mam opowiadać? Przecież mówię, że nic się nie stało.

– Coś wygrzebałaś w dokumentach – stwierdziłam w ciemno. – Coś, co nie

jest po twojej myśli, tak?

– Nic nie wygrzebałam. Przeglądałam tylko. Nic tam nie ma.

– To dlaczego ukryłaś je pod gazetą? – atakowałam.

– Żeby chłopcy nie pocięli nożyczkami – odparła, patrząc mi zimno w oczy.

– Kłamiesz, Regino, widzę to. Mam nadzieję, że ktoś cię kiedyś osądzi, bo ja nie dam sobie z tobą rady – westchnęłam.

Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem, ale nie miała gotowej odpowiedzi. Nabrałam pewności, że znów coś knuje.

Wyszłam do swojego pokoju i nastawiłam płytę z sentymentalnym bluesem. Regina zaczęła krzątać się po kuchni. Czuła się tutaj już u siebie. Przeraził mnie fakt, że tak zostanie, że nigdy się jej nie pozbędę.

Wtedy zadzwonił telefon. Wybiegłam do salonu i podniosłam słuchawkę. Pawełka właśnie znudził spokój i zaczął rozrzucać ścinki gazet, krzycząc przy tym głośno. Mimo moich uwag, nie zamierzał się uspokoić.

– Anka! – krzyczał w słuchawkę Wilk. – Dzwonię z... – resztę zagłuszył Pawełek. – Halo! Halo! A kto tam u ciebie tak wrzeszczy?

– Cześć – odpowiedziałam, ledwie słysząc siebie. – To mój siostrzeniec. Gdzie jesteście? Powtórz!

– Spakuj Sonię i przyjeżdżaj. Masz pociąg o dwudziestej drugiej z minutami, sprawdziłem.

– Oszalałeś? Nie mogę rzucić wszystkiego i przyjechać. Mam pracę.

– Zostaw to wszystko w cholere. Mam okazję...

Mówił coś jeszcze, ale Paweł zagłuszył jego słowa łoskotem wysypywanych z pudełka drewnianych klocków.

– Paweł, ciszej! – skarciłam go. – Wilk, powtórz, nic nie słyszałam, jaką okazję?

– Nie mogę długo mówić, monety się kończą... Anka, jestem w Gdyni! Możesz... – Dalej słychać było tylko przerywany głuchy sygnał.

– Wilk! Halo! Halo, Wilk! – wołałam.

Cisza. Ciężka, dzwoniąca w uszach, z echem głosu Wilka. Spojrzałam na zegarek. Wskazywał za kilka minut dziewiętnastą. Teoretycznie mogłabym zdążyć, jeśli natychmiast zabrałabym się za pakowanie. Stałam ze słuchawką w rękę, dokonując kolejnego wyboru w życiu. Potem powoli odłożyłam słuchawkę na widełki. Przecież nawet nie wiedziałabym, gdzie go szukać.

Paweł tańczył wokół wieży z klocków jakieś indiańskie łamańce, Sonia, która przybiegła z pokoju, szarpała mnie za rękaw, dopytując o coś, czego nie rozumiałam, zaciekawiona Regina stała w progu z łyżką w rękę, patrząc

wyczekująco. A ja potknęłam się po raz drugi, próbując zabić w sobie niedoszłą kochankę, wyzwolić się z więzów dobrych wspomnień, pozostać na ścieżkach, na których czułam się bezpiecznie. Znowu przestraszyłam się życia. Odprowadzana wzrokiem Reginy, wyszłam do swojego pokoju, zamknęłam dokładnie drzwi i wyłączyłam płytę. A więc Wilk nie był mi tak obojętny, jak przypuszczałam. Bolało.

Na szafce obok łóżka leżała tajemnicza koperta z listem z zaświatów. Nie do końca wierzyłam w jego treść, ale postanowiłam to zrobić. Pojechać tam w niedzielę. Zobaczyć ten dom. Dom widmo, bo w jego istnienie też nie wierzyłam.

Nazajutrz, wracając z pracy, natknęłam się na Aleksandra. Był sam. Szedł z parasolem, taki widocznie miał zwyczaj, bo nie zanosił się na deszcz. Widząc go z daleka, rozejrzałam się wokół, szukając miejsca, w które mogłabym czmychnąć, ale on już mnie zauważył. Uniósł do góry rękę i przyśpieszył kroku.

– Miło cię widzieć – przywitał mnie i pocałował w rękę. – Cieszę się, że cię spotykam, bo chciałbym zamienić z tobą kilka słów. Czy znajdziesz dla mnie czas?

– Teraz? – zapytałam i odruchowo spojrzałam na zegarek. Miałam jeszcze ponad trzy godziny do zamknięcia żłobka. Dyskretnie rozejrzałam się za Florką, ale nie było jej w pobliżu.

– Tak. Bardzo mi na tej rozmowie zależy.

– Dobrze, jeśli to takie ważne – zgodziłam się.

– Ważne. Wstąpmy do Ambrozji, tam są znakomite lody i kawa. Czy masz ochotę na taki deser? A może jesteś głodna, to wejdziemy do...

– Nie, nie jestem głodna, może być Ambrozja – przerwałam mu.

To był chłodny dzień, więc bez trudu znaleźliśmy wolny stolik. Aleksander złożył zamówienie i zanim zaczął mówić, przyjrzał mi się krytycznie.

– Zmizerniałaś – zauważył. – Masz jakieś kłopoty?

– Mieliśmy mówić o tobie. Powiedziałaś, że to ważne.

– Tak, tak... Rzeczywiście. Chciałem porozmawiać z tobą o Joli.

– O kim? – zdziwiłam się. – Nie znam żadnej Joli.

– Ależ znasz... Żle się wyraziłem, ty mówisz na nią Florka – poprawił się natychmiast.

– Ach, Florka, no jasne. Co tam u niej?

– Nie wiem. Rozstaliśmy się. I o tym właśnie chciałbym porozmawiać. Kto to jest Krzywy?

– To jej przyjaciel, dlaczego pytasz?

- Uciekła do niego. Powiedziała, że ograniczam jej wolność.
- A ograniczałeś?
- Tak – odparł z rozbijającą szczerością.
- No więc o co masz pretensję? – zapytałam z nutką ironii.
- Ograniczałem, bo miałem powód. Ona pije, Anito. Pije jak smok. A ten jej przyjaciel...
- Krzywy? On nawet nie mieszka w domu. Jest skoszarowany. Florka pewnie jest w Kwadracie sama.
- W jakim Kwadracie? Nie rozumiem.
- Kwadrat to mieszkanie Krzywego. Taka melina w Trójkącie – wyjaśniłam zmęczonym głosem. Odkąd Pedro zmieszał mnie z błotem, wspomnienia tamtych czasów nie sprawiały mi przyjemności.
- Nie rozumieliśmy się. Nie potrafiłem zaakceptować jej zachowania – wyznał z rozdrażnieniem.
- Jak mogłeś zaakceptować jej zachowanie, skoro nie zaakceptowałeś nawet jej imienia – obruszyłam się.
- Bo je sobie wydumała. Ma przecież przyzwoite własne imię. Po co to wydziwianie?
- Taka właśnie jest Florka. Albo przyjmujesz ją z całym tym pakietem, albo wcale. Czego oczekujesz ode mnie? Mam ją do ciebie przyprowadzić na postronku i pogrozić jej palcem, żeby się grzecznie zachowywała?
- Ależ broń Boże! Wcale tego nie chcę. Chciałem tylko zapytać, czy ty jesteś z tym chłystkiem? Widziałem was razem i...
- Masz na myśli Wilka? A jeśli z nim jestem, to co? – odparłam wykrętnie.
- Anito, znałem przecież twoją ciotkę, pochodzisz z uczciwej, przyzwoitej rodziny, a on, ten twój chłopak jest też z tego szemranego towarzystwa. Nie chcę, żebyś narobiła sobie kłopotów – wyjaśniał mentorskim tonem.
- Nie martw się o mnie – burknęłam.
- Uważam, że choćby ze względu na twoją zmarłą ciotkę powinienem mieć cię na oku. Nie wybaczyłyby mi, gdyby coś ci się stało.
- Nic mi się nie stanie. Naprawdę nie musisz się mną interesować.
- Zawsze będę się tobą interesować. Jesteś moją pierwszą miłością – powiedział i starał się zająrzeć mi w oczy.
- Aleksander, nie zaczynaj znowu – upomniałam go. – Poza tym szybko zapomniawszy o tej, jak powiedziałeś, pierwszej miłości, gdy wiązałeś się z Florką.
- To cwaniara. Nawet się nie obejrzałem, jak owinęła mnie wokół palca.

Przecież zrobiła to, żeby wydoić ze mnie pieniądze. Jak tamta, Laura. Prawie jej się to udało. Wciąż nowe kiecki, drogie restauracje, szminki, pudry... Ech, że też dałem się tak omamić.

– No cóż... Chyba nie za darmo? – zauważyłam z sarkazmem.

– No proszę cię, Anito. To już bardzo osobiste sprawy.

– Przepraszam, masz rację – zreflektowałam się.

– No, ale nie mówmy już o mnie. Wyglądasz na przygnębioną. Z Sonią wszystko w porządku? Zdrowa?

– Sonia? Okaz zdrowia – uśmiechnęłam się. – Mam inny problem. Dostałam dziwny list i nawet nie wiem, kogo się poradzić.

– Masz mnie – oświadczył z butą i poprawił się na krześle. – Możesz mi zaufać.

– Ktoś chce przekazać mi dom.

Zastrzygł uszami.

– Ktoś z rodziny? – zapytał ostrożnie.

– Nie. Zupełnie obca kobieta. Z ośrodka dla upośledzonych.

– Z tego ośrodka, gdzie pracowałaś?

– Tak.

– Nie, nie! Nie wchodź w to – ostrzegł gwałtownie i zamachał rękami. – To jakiś absurd, bzdura! Takie przekazanie domu przez chorą umysłowo osobę to dla ciebie same kłopoty. Poza tym tego domu może w ogóle nie być, może to tylko urojenia. A nawet jeśli jest, po co ci to? Chcesz włóczyć się po sądach? Procesować się z rzeczywistymi spadkobiercami? Ha! Nie wiadomo, dlaczego właśnie tobie przekazała. Może była skonfliktowana z połową świata i niepotrzebnie narobisz sobie wrogów. Albo nieruchomości jest w długach. Daj sobie spokój, dziewczyno! – zakończył i złapał się za serce. Aż się zasapał z przejęcia. – Anito, masz przecież mieszkanie – dodał po chwili, znacznie już spokojniej.

– Mam i nie mam. Łapę położyła na nim siostra i wymusiła na ciotce Rozalii, żeby je na nią przepisała. W dodatku teraz się do niego sprowadziła. Z dziećmi.

– Regina? Dlaczego to zrobiła?

– Znasz Reginę?

– Poznałem ją na pogrzebie. Nie wywarła na mnie dobrego wrażenia. No więc, dlaczego ci to zrobiła?

– Jest wyrachowaną podłą kłamczuchą – wylałam z siebie gorycz.

– Ale co konkretnie powiedziała?

– Że mieszkam z tobą, a dom w razie czego zostanie bez opieki i diabli go

wezmą, więc, żeby lepiej przepisała na nią. I ciotka to zrobiła. Przekazała jej jako darowiznę.

– Niech to... – zaklął Aleksander. – Nie przejmuj się tym. Zamieszkać ze mną... – rzekł czule i przykrył dłonią moją, spoczywającą na stoliku. – Co to za kobieta? – zapytał po chwili.

– Regina?

– Nie – machnął ręką. – Szlag z nią. Ta, co przekazuje ci nieruchomości? Zapytała cię chociaż o zdanie, czy się na to godzisz?

– Nie.

– Nie bardzo rozumiem. Węszę w tym jakieś ciemne sprawy. Może ten dom jest bardzo zadłużony? Albo to jakaś stara rudera? Wiesz co? Powiedz jej po prostu, że odmawiasz – poradził odkrywco.

– Nie mogę.

– Dlaczego? Szantażuje cię?

– Nie żyje.

Aleksander zamilkł. Gapił się na mnie z głupim wyrazem twarzy.

– Możesz powiedzieć coś więcej? – odezwał się w końcu.

– Ale co więcej? Gdybym wiedziała więcej, nie pytałabym cię o zdanie.

– Znałaś tę kobietę? Kto to jest?

– Kto to był – poprawiłam. – Znałam – odparłam zdawkowo.

– Widzę, że niczego się nie dowiem – zdenerwował się. – Gdzie ten dom?

– Poza Wrocławiem.

– Anito, bardzo cię proszę, nie zajmuj się tą sprawą. To jakieś nieczyste interesy. Kto bezinteresownie przekazywałby obcej osobie dom? A jej rodzina? Co, nie ma żadnej rodziny? Nie wiem, o co w tym chodzi, ale bardzo mi się to nie podoba. Nie rób głupstw. Masz pracę, masz u mnie mieszkanie, masz dziecko! Pomyśl o dziecku. A tej twojej siostrze jeszcze dopieczemy, zobaczysz. Mam układy.

– Daj spokój, Aleksander. Nie chcę twoich układów. Ale dobrze, jeszcze się nad tym domem zastanowię – obiecałam i sięgnęłam po torebkę.

– Śpieszysz się? – zapytał zawiedziony. – Myślałem, że pojedziemy jeszcze na cmentarz. Nie chcesz odwiedzić ciotki Rozalii?

Znów zerknęłam na zegarek.

– Dobrze, mam jeszcze chwilę czasu.

Wędrowaliśmy między nagrobkami. Pierwsze jesienne liście tanecznym ruchem pojedynczo sfruwały z drzew. Smętne szare pomniki w dostojnych szeregach przypominały o nieuniknionym kresie. Na niektórych z nich płonęły

znicze. Lubiłam ten niepokój cmentarza z pozycji chwilowej nieśmiertelności i złudzenia, że mnie to nie dotknie. Zapach wosku drażnił nozdrza. Na grobie ciotki leżały zeschnięte wiązanki. Nie byłam tu od miesiący. Teraz, otulona ciszą, wpatrywałam się w kopczyk usypanej ziemi, nieprzykrytej jeszcze marmurową płytą i starałam się skupić na kilku słowach modlitwy. Nie umiałam się już modlić.

– Cześć, ciociu – powiedziałam tylko i nie wiem dlaczego przypomniałam sobie słowa Miłosza o końcu świata: „Innego końca świata nie będzie”.

Innego końca świata nie będzie – chodziło mi po głowie. Może ktoś kiedyś wymyśli, jak śmierć obłaskawić, jeśli nie, nauczę się modlić o odwagę przekroczenia granicy.

Znów przyśniła mi się tamta przeszłość. Uporczywa, nieproszona. Może powinnam pisać do ciebie listy, chować je do szuflady. Chciałabym, byś kiedyś poznał dzieciństwo swojej córki. Tego ranka długo przyglądałam się sobie w szkle lustra, na którym były odciski jej oślinionych palców. Wszędzie są jej ślady, Dawid. Ona jest. Prawdziwa, z krwi i kości, twoja. Szkoda, że nie możesz przypomnieć sobie mojej twarzy, na którą co dzień patrzę i która każdego dnia wygląda inaczej, niż wtedy, gdy byłeś. Ja pamiętam twój uśmiech, ale wtedy nie sprawiał mi bólu. Dlaczego sny istnieją, a ciebie nie ma naprawdę, i rozmowa musi być milczeniem, brzmiącym jak próba umierania naszej rzeczywistości? Jakby jej nigdy nie było. Chcę cię nienawidzić, Dawid, bo i tak nie dotrzemy wzajemnych obietnic.

Wstałam z trudem, jak każdego ranka, gdy oczy jeszcze kleją się od niedokończonego snu. Była to ponura jesienna niedziela, a ja obiecałam sobie, że będzie wyjątkowa. Wbrew Aleksandrowi, ale w zgodzie z własnym postanowieniem, uprosiłam poprzedniego dnia Reginę o opiekę nad Sonią i zanim mała otworzyła oczy, byłam już w drodze na Dworzec Świebodzki. Stąd miał odjechać podmiejski autobus do Samotworu. W torbie wiozłam kanapkę z żółtym serem i list Oksany. Miałam nadzieję, że spotkam tam kogoś z jej rodziny. Autobus w dni świąteczne kursował mniej więcej co dwie godziny, więc musiałam poczekać kwadrans na przystanku. Dzień był zimny i pochmurny, jak to jesienią. Otuliłam się szczelniej cienką kurtką, żałując, że nie włożyłam pod nią swetra. Droga do wioski była wyboista i autobus podskakiwał z jękiem. Wsiadłam za dwiema kobietami, które zatrzymały się jeszcze na przystanku, by dokończyć rozpoczętą w autobusie rozmowę. Podeszłam do nich i podsunęłam zdjęcie przedstawiające dom.

– Przepraszam – zagaiłam uprzejmie. – Którędy dotrę do tego miejsca?

Patrzyły długo, mrużąc oczy. Jedna z nich wyjęła z torebki okulary, by dokładniej przyjrzeć się zdjęciu. Potem zgodnie pokręciły głowami.

– Nie jestem stąd, ale często tu bywam. Tutaj nie ma takiego domu. Nigdy nie widziałam – oznajmiła ta w okularach. Druga gorliwie przytaknęła.

– Na pewno? – powątpiewałam. – Jest przecież zdjęcie i podano mi ten adres.

– Jaki adres? – zapytała zasadniczym głosem ta w okularach, a ta druga spojrzała na mnie wyzywająco.

– Samotwór 43. To przecież mała miejscowość. Coś takiego jak dom, nie może zginąć.

– Ale jaka ulica? Zna pani nazwę ulicy? – dociekała ta w okularach.

– Nie. Napisano, że między pałacem a starym dębem.

– Kto to pisał, matko święta – prychnęła ta druga. – Między pałacem a starym dębem... – uśmiechnęła się ironicznie i pokręciła głową.

– Właścicielka tego domu – wyjaśniłam niepewnie. Irytowała mnie ta bez okularów.

– No to niech pani sobie szuka – zaśmiała się. – Między pałacem a starym dębem nie ma żadnych domów, tam jest tylko las. A do starego dębu od pałacu, kawał drogi – dodała z satysfakcją.

Podziękowałam półgębkiem i ruszyłam w stronę pałacu. Położony na skarpie, prezentowałby się pięknie, gdyby o niego bardziej dbano. Prostokątny, budowany raczej z cegły, bo gdzieś pod tynku wyglądały czerwone plamy, z mansardowym dachem, stał dumnie, zwrócony frontem w stronę folwarku. Nad głównym wejściem pyszniła się głowa lwa, a nad każdym dużym prostokątnym oknem – stiukowe dekoracje. Tabliczka głosiła, że pałac stanowił własność Wrocławskiej Akademii Rolniczej. Od głównego wejścia biegły betonowe schody. Przysiadłam na nich i ponownie przeczytałam z uwagą list Oksany. Nie pomyliłam się. Oksana wyraźnie napisała: między pałacem a starym dębem. Chyba że ona... Nie była przecież całkowicie zdrowa.

– A co? Ładny, prawda? – wzdrygnęłam się na dźwięk męskiego głosu. Musiałam długo się rozglądać, zanim dostrzegłam starszego mężczyznę trzymającego na smyczy ryżego kundla. Stał z boku schodów, ukryty za betonowym murkiem. Pies penetrował pobliskie krzaki.

– Ładny – potwierdziłam.

– Pani kochana, ja na tych pałacach zęby zjadłem – zaczął gawędziarskim tonem. – Ze sto ich już odwiedziłem i spisałem, jak mnie na emeryturę wysłali. A będzie tego! Tych dworów, zamków, pałaców na Dolnym Śląsku ponad siedemset. Życia nie starczy, żeby to wszystko zobaczyć. Za późno człowiek zaczął – pokiwał głową i pociągnął psa. – Chodź no tu! Czego ty wiecznie po tych krzakach się ciągasz, co? Potem nic, tylko siedzę i rzepy z ogona wyciągam... Ten ładny – wrócił do tematu. – Ale po niektórych to już nie ma czego zbierać. Ruina, pani kochana, ruina.

– Domyślam się – bąknęłam.

– Co tam się, pani kochana, domyślasz. Po wojnie peerelowskie władze kazały niszczyć, bo ponemieckie to niedobre, wrogie. Potem PGR-om dali we władanie. Na biura, mieszkania... W niektórych to i świnie trzymali. Ech! – machnął ręką. – Szkoda gadać – zamyślił się. – Nie siedź, pani kochana, na tych schodach, bo wilka dostaniesz – pouczył mnie i się zaśmiał. – He, he, moja żona tak zawsze mówi: wilka dostaniesz. Pierun jeden wie, co ona ma na myśli.

– Chrypkę? – zapytałam nieśmiało.

– A kto tam za nią trafi? Może i chrypkę. A wiesz, pani kochana, kto ten pałac projektował?

– Nie wiem – odparłam i podniosłam się ze schodów. – Kto?

– Carl Gotthard Langhans – rzekł z niekłamana dumą. – Mówi to pani coś?

– Nie – bąknęłam zawstydzona, chociaż nie wiedziałam, czy powinnam się wstydić. Z pewnością połowa społeczeństwa nie wiedziała, kim był Carl jakiś tam.

– Tak myślałem. A to, pani kochana, wielkie nazwisko. Ten sam, co budował w Berlinie Bramę Brandenburską, ot co! Takie skarby tu mamy.

Nie odezwałam się, chociaż może powinnam mu pogratulować, że mieszka u stóp takiego ważnego pałacu.

– A pani na wycieczkę przyjechała czy na obiad do rodziny? – zapytał, przyglądając mi się z zainteresowaniem.

Czym prędzej wydobyłam z torebki fotografię, zbiegłam ze schodów i podstawiłam mu ją przed same oczy.

– Szukam takiego domu.

Mężczyzna zaledwie rzucił okiem na zdjęcie, przyciągnął psa i zaczął coś majstrować przy jego obroży.

– Pójdziemy, Rudy. Dość się nałaziłeś – mruczał do kundla.

– Szukam tego domu – powtórzyłam z naciskiem.

– A mówiłem, że cały będziesz w rzepach – karcił psa i udawał, że nie słyszy moich słów.

– Jest tu taki dom? – nie dawałam za wygraną, machając mu przed nosem fotografią.

– Co ma nie być? Jest – odezwał się wreszcie, unikając mojego wzroku.

– Gdzie?

– Tam, dalej – machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

– Czy pan wie dokładnie, gdzie on jest? – dopytywałam, gdy mężczyzna zaczął się oddalać.

Zatrzymał się, patrzył na mnie przez długą chwilę, zanim odpowiedział:

– Wiem.

– Kobiety na przystanku powiedziały mi, że niczego takiego tutaj nie ma.

– Jest – odrzekł krótko. – I wszyscy miejscowi o nim wiedzą – dodał po pewnym czasie. – One widocznie nie były stąd.

– Mógłby mi pan wytłumaczyć, jak tam dotrzeć?

Mężczyzna przestał się nagle śpieszyć, wrócił, oparł się plecami o mur przy schodach i zapatrzył się gdzieś przed siebie.

– To niedobry dom – rzekł powoli. – Na pani miejscu brałbym nogi za pas.

Przeraziły mnie te słowa, ale w kieszeni kurtki spoczywała złożona w pół koperta, a w niej list z ostatnią wolą Oksany.

– Muszę tam pójść – powiedziałam głosem, który ledwie przecisnął mi się przez gardło.

– Jak tam pani sobie chce – mamrotał, odchodząc drobnym kroczkiem. – Ja bym nie szedł – dodał, odwracając głowę. Potem zniknął na dróżce za krzakami.

Zostałam sama. Nadal nie wiedziałam, gdzie szukać domu Oksany, więc ruszyłam biegiem za mężczyzną. Dogoniłam go bardzo szybko.

– Proszę mi powiedzieć, którądy mam iść – pytałam zdyszana.

– Wzdłuż drogi jakiś kilometr. Potem trzeba skrócić w las, jest dróżka w lewo. Trochę zarośnięta, ale jak będzie pani uważać, to pani nie przeoczy.

– Dziękuję – powiedziałam i skinęłam mu na pożegnanie.

Odszedł, ciągnąc na smyczy opierającego się ryżego psa. Musiałam przyznać, że ten mężczyzna napędził mi trochę stracha. Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby pójść na przystanek i po prostu wrócić do Wrocławia, ale wiedziałam, że gdybym tak zrobiła, nie zaznałabym spokoju. Zawsze mogę się przecież wycofać, ale skoro przyjechałam, postanowiłam sprawdzić, co dzieje się w tym niby strasznym miejscu.

Samotna wędrówka nie była przyjemna. Dłużyła mi się, zwłaszcza że musiałam uważnie wypatrywać przejścia prowadzącego w głąb lasu. Natrafiłam wreszcie na utworzony z koron łysiejących drzew tunel, zamykający się nad piaszczystą drogą. Posiadłość oddalona była o kilkadziesiąt metrów od drogi asfaltowej. Za to droga dojazdowa do posesji otoczona była krzewami. Wzdłuż niej przepływał bystry, wąski jak wstążka strumyk.

Ogrodzenie nieforemnej bryły, jaką okazał się dom, stanowiła zardzewiała siatka, obrośnięta wysychającym dzikim winem i brunatno-zielonym bluszczem. Na pierwszy rzut oka to wszystko nie wyróżniało się niczym szczególnym. Widoczny z drogi budynek nie zachwycał, nie przyciągał wzroku. Szara elewacja, jedno piętro, drewniane okiennice, zupełnie niepasujące do reszty.

Jedno z okien, na parterze, było uchylone, co wskazywało na czyjąś obecność. Otworzyłam niedomkniętą furtkę i znalazłam się na terenie zaniedbanego ogrodu, pokrytego opadłymi liśćmi. Niby wszystko zwyczajne, ale to, co ukazało się nagle moim oczom, dosłownie wbiło mnie w ziemię. W ogrodzie stało pięć posągów Lenina. Policzyłam. Pięć. Spomiędzy nagich drzew i krzewów wyłaniały się sylwetki bolszewika w różnych pozach. Patrzyły pustymi oczami, z powagą godną dyktatora. Z kolei na ganku siedziała naga dziewczyna owinięta strzępami rybackiej sieci, jej głowa, zupełnie pozbawiona twarzy zwrócona była w moją stronę. Zanim zrozumiałam, że to tylko rzeźba przedstawiająca kobietę naturalnej wielkości, omal nie wyskoczyło mi serce. Nie ulegało wątpliwości, że mieszkał tu jakiś fanatyk, bo na co komu tyle posągów Lenina? Spojrzałam jeszcze raz w kierunku domu i straciłam resztkę pewności siebie. Ktoś obserwował mnie z okna. Nie miałam już wcale ochoty zajmować się tym domem. Odwróciłam się na pięcie i zanim zdążyłam pomyśleć, uciekłam w panice. Biegłam, potykając się o wystające korzenie. Serce waliło mi jak dzwon. Zwolniłam tylko dlatego, że nie mogłam złapać oddechu. Wtedy usłyszałam za sobą kroki. Dudniły w mojej głowie coraz głośniejsze, jak tętent koni.

– Hej, zaczekaj! – usłyszałam nagle.

Odwróciłam się automatycznie. Ujrzałam młodego dryblas, mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Flanelową koszulę w czarno-czerwonej kratę i wytarte dżinsy chronił przewiązany w pasie czarny, poplamiony fartuch. Ciemne włosy chyba dawno nie widziały fryzjera, bo spadały mu na oczy. Odgarnął je ruchem głowy i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Przestraszyłaś się? – zapytał.

– Trochę – odparłam nawet dość hardo, bo napięcie powoli ustępowało.

– Zabłądziłaś, czy chciałaś coś kupić?

– Co kupić? – zdziwiłam się – Lenina?

– Tutaj jest pracownia rzeźbiarska. Niektórzy przyjeżdżają, żeby coś kupić. A te posągi były dawno zamówione, ale nikt ich nie odebrał. Można je kupić. Albo inne dzieła.

– Ach... Pracownia – powtórzyłam z niejaką ulgą i pokiwałam głową.

– No to jak? – niecierpliwiał się dryblas.

– Nie chcę niczego kupować – oznajmiłam. – I nie zabłądziłam.

– O... – zdziwił się treściwie. – W takim razie co cię tu sprowadza?

– Mam dziwny list dotyczący tej nieruchomości – oświadczyłam i sądząc, że mam do czynienia z mieszkańcem tego domu, sięgnęłam do kieszeni.

Dryblas wytarł ręce w fartuch i wyciągnął dłoń.

– Można? – zapytał.

– Proszę – podałam mu. – Nie wiem, co z nim zrobić.

Długo wpatrywał się w kartkę, potem przeniósł wzrok na mnie.

– Niezły numer – mruknął. – Michał się zdziwi.

– Kto to Michał? – zaciekawiałam się, odbierając list.

– Chodź, poznasz go. Sam ci powie.

Ruszył przodem. Szłam za nim, dokładniej przyglądając się pomnikom. Nie miałam pojęcia, z czego były zrobione, bo wyglądały niesamowicie realistycznie, jak żywe. Wykonane perfekcyjnie, jednak według mnie była to wątpliwa ozdoba ogrodu.

W holu zapuszczonego nieco domu przywitała mnie brzydka kobieta, wsparta na lasce. W drugiej ręce trzymała tacę. Mimo że również była tylko dziełem sztuki, minęłam ją z pewnej odległości.

Znaleźliśmy się w dużym pokoju przechodnim, doświetlonym wielkimi oknami wychodzącymi na ogród z tylnej strony domu. Młoda dziewczyna w przewiązanej czerwonej chustce szlifowała papierem ściernym odlew głowy naturalnej wielkości. Na mój widok podniosła do góry rękę i uśmiechnęła się.

– To Majka – przedstawił ją półgłosem dryblas. – A ja jestem Ignac. Ty Anita, tak? To o ciebie chodzi w tym liście?

– Tak, Anita – potwierdziłam.

– Majka, poznaj Anitę – zawołał do dziewczyny w chustce, a ta ponownie pomachała mi ręką. Przez kolejne drzwi Ignac puścił mnie przodem.

– Pracownia Michała jest tutaj – rzekł. – Pogadajcie sobie, ja wracam do roboty – dodał i czmychnął.

Ten jakiś tam Michał nie pracował. Siedział okrakiem na krześle, twarzą do oparcia i gapił się przed siebie. Pod białym podkoszulkiem prężył się mocno zbudowany tors i silne ramiona. Jego poważne oblicze, częściowo ukryte pod kilkudniowym zarostem, wyrażało rozdrażnienie. Był ponury jak chmura gradowa, przez co trudno było ocenić jego wiek. Nie zareagował na mój widok. Obejrzałam się jeszcze za Ignacem, szukając wsparcia, ale tamten dawno zniknął w sąsiednim pokoju. Musiałam radzić sobie sama.

– Cześć – powiedziałam i wyciągnęłam do niego rękę. Zignorował ją.

– Co tam? – zapytał, nie odpowiadając na powitanie.

– Jestem Anita – przedstawiłam się z lekką urazą w głosie. Nie bardzo wiedziałam, od czego zacząć.

– Super. Michał – burknął. – Masz jakiś interes?

Rozejrzałam się po pracowni, bo nie raczył zaprosić mnie, żebym usiadła. Na środku stało koło garncarskie, obok podręczny, upačkany gliną stolik. Pod ścianami porozstawiane misy i dzbany, przygotowane do wypalenia. Na frontowej ścianie wisiały gipsowe maski. Niby nic w nich nie było nadzwyczajnego, ale wyglądały upiornie. W kącie dostrzegłam drewnianą skrzynkę, na której mogłabym przycupnąć.

– Mogę usiąść? – zapytałam. Powoli narastała we mnie irytacja na jego niegościnnosć.

– Jasne, siadaj – odparł, nie ruszając się z miejsca. Musiałam sama przywlec skrzynkę i postawić ją naprzeciw tego buca.

– Mam list – oznajmiłam, wyciągając do niego złożoną w czworo kartkę papieru. – Nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

Nie przyjął listu. Nawet, ignorant, nie drgnął. Moje rozdrażnienie sięgało zenitu.

– Czytaj – polecił krótko i oparł łokcie o poręcz krzesła, którą miał przed nosem.

Przez chwilę jeszcze trzymałam list w wyciągniętej dłoni, patrząc w jego bezczelną twarz, po czym wzruszyłam ramionami i rozłożyłam papier. Kiedy doczytałam do ostatniej kropki, podniosłam na niego wzrok. Michał parsknął śmiechem.

– Już? Koniec tych bzdur? – zapytał rozbawiony i wściekły zarazem.

– Koniec – potwierdziłam.

– To ty jesteś ta Anita Winiarska? I co ona tam napisała? Przekazuje ci dom? Przeczytaj no jeszcze raz.

– Tak, to ja jestem ta Anita Winiarska – powiedziałam ze złością. – Przestań zachowywać się jak jakiś guru. Proszę, sam sobie przeczytaj – rzuciłam w niego kartkę papieru, która osunęła się po jego podkoszulku i upadła na podłogę. Nawet nie raczył się po nią schylić.

– Ja nie widzę – oświadczył głosem, który nie pasował do tej zaskakującej informacji. Był butny, wyzywający, jakby jego właściciel chciał zagłuszyć nim krzywdę, która go spotkała. Opadłam z powrotem na skrzynkę, z której podnosiłam się właśnie, żeby opuścić tę cholerną pracownię.

– Nie widzisz? – powtórzyłam i bezwiednie machnęłam mu dłonią przed oczami. Nawet nie mrugnął.

– Nie widzę. A ty się tak nie wkurzaj. Jeśli wiązałaś jakieś nadzieje z tym domem, to strata. Oświadczam, że Oksana wykazała się niezłym poczuciem humoru. Jakim ona jest właścicielem? – ironizował. – To był dom mojego ojca.

Odkąd nie żyje, należy do mnie.

Milczałam, więc dodał:

– Bardzo mi przykro.

To stwierdzenie nie zabrzmiało, jakby mu było przykro. Zabrzmiało jak szyderstwo, z domieszką pretensji, że śmiałam zakłócić jego spokój.

– Dobrze, w porządku – powiedziałam. – Przynajmniej wszystko jest jasne. W takim razie wychodzę.

Ruszyłam do drzwi.

– A ta Oksana to wariatka – rzucił głośno w przestrzeń, zatrzymując mnie wpół kroku. – Niby sfiksowała po tym, jak ojciec spadł ze schodów – dodał nieco ciszej, zorientowawszy się, że stoję tu jeszcze i słucham.

– Spadł ze schodów? Samodzielnie czy go zrzuciła? – zapytałam niegrzecznie. Nie pomyślałam o tym, że jako syna tak postawione pytanie mogło go urazić.

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedział pytaniem. – Nie byłem świadkiem. Ale kto wie? Mogła to zrobić. Według mnie, z jej głową zawsze było coś nie tak. Zastanawiam się, co ojciec w niej widział... Właściwie, po co ja ci o tym wszystkim opowiadam? Krótko mówiąc, dom jest mój – rzucił i, jak mi się wydawało, stracił dla mnie zainteresowanie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, żeby nie wziął mnie za sępa, czyhającego na cudzą własność. Chciałam to wszystko wyjaśnić, ale nie miałam pojęcia, od czego zacząć.

– Ja nigdy nie wiązałam z nim żadnych nadziei. Ten list przyszedł zupełnie niedawno z ośrodka, w którym przebywała Oksana. Jakiś czas tam pracowałam, a ona zwierzała mi się i pokazywała zdjęcia. Domagała się, żebym przyjechała pilnować tutaj wszystkiego, wtedy napisała ten... To oświadczenie, testament, czy jak tam można to nazwać. A potem, kiedy rzuciła się z okna...

– Co ty powiesz? – ożywił się. – Ta wiedźma rzuciła się z okna?

– Tak. Spadła z pierwszego piętra.

– Szkoda, że tak późno – burknął pod nosem.

Zamilkłam zgorszona. Oksana była dziwaczką, ale żeby mówić w ten sposób... Chociaż z drugiej strony, nie wiedziałam wszystkiego. I prawdę mówiąc, nie chciałam nic wiedzieć. Wszystko tu było dziwne.

– Pójdę już, nic tu po mnie – odezwałam się wreszcie. – Dobrze, że przyjechałam, będę miała czyste sumienie.

– Ignac cię odprowadzi – rzekł z ulgą Michał, nie ruszając się z miejsca.

– Nie trzeba. Trafię sama. Miło było cię poznać – powiedziałam nieszczercze,

bo miło wcale nie było.

– Ciebie też – mruknął równie nieszczercze.

Zbiegłam na dół. Kładłam rękę na klamce, gdy nagle nie wiadomo skąd wynurzył się rudowłosy typ o sylwetce atlety, z długą prawie po pas brodą, przebarwioną dymem z fajki, która również teraz smętnie zwisała mu z ust. W rękach trzymał przez ścierekę okopcony garnek.

– Zawołaj Michała – zwrócił się do mnie, jakbym całe życie nic innego nie robiła. – Zrobiłem żarcie. Będziemy w pawilonie, w ogrodzie, powiedz mu. I weź sobie z kuchni jakiś talerz, bo nie wiedziałem, że jest jeszcze jedna gęba.

Kopnął nogą drzwi wyjściowe i już go nie było. Przez moment stałam oszołomiona obcesowym zachowaniem brodacza, potem zawróciłam i ponownie przekroczyłam próg pracowni Michała. Tym razem nie siedział, tylko trzymając ręce w kieszeniach stał przodem do okna, jakby podziwiał roztaczający się za nim krajobraz.

– Halo – przerwałam ciszę. Drgnął i lekko odwrócił głowę w moją stronę. – Taki duży facet z brodą powiedział, że ugotował obiad. Prosi, żebyś zszedł.

– Obiad – parsknął. – Ciekawe... I prosi. Barnaba prosi – powtórzył z sarkazmem. – Barnaba nigdy nie prosi. Powiedz, że zaraz przyjdę – powiedział. – I, jak chcesz, weź dla siebie jakiś talerz, Barnaba nigdy nie wie, ile osób ma nakarmić.

Pomyślałam, że tak dziwnego domu jeszcze nie widziałam. Znów zbiegłam na dół.

Zawartość kociołka przygotowanego przez Barnabę była mieszaniną kapusty, skwarek i czegoś jeszcze. Z pewnością dominowała w niej olbrzymia ilość pieprzu, ale w tym towarzystwie potrawa dała się zjeść. Majka pochłaniała takie ilości, że powinna wyglądać jak parowóz, a była zadziwiająco smukła. Ignac perorował bez ustanku, ale co chwilę zerkał na zegarek, żeby nie przeoczyć czasu zastygania czegoś tam. Nie znałam się na technikach rzeźbiarskich, więc nawet nie usiłowałam tego zapamiętać. Siedziałam tu między nimi i zastanawiałam się, co ja właściwie robię w tym specyficznym gronie artystów. Barnaba pykał swoją fajeczkę i niewiele jadł, przypuszczałam, że podjadał w trakcie gotowania. Nawet naburmuszonemu Michałowi poprawił się nastrój i uśmiechał się półgębkiem, słuchając naszego gwarzenia. Ignac objaśniał mi sposób tworzenia tak realistycznych dzieł, jak siedząca na ganku dziewczyna czy stojąca w holu brzydka kobieta.

– To rzeźby hiperrealistyczne, z gliny, żywicy i silikonu. Pomysł narodził się zupełnie niedawno w Stanach Zjednoczonych. Ma być idealnie, prawdziwie,

niedoskonale i szczegółowo, ponieważ taki jest człowiek. Ja jestem w tym żółtodziób, bo te dzieła są autorstwa samego genialnego Augusta Gawędy – opowiadał.

– Augusta Gawędy? – zapytałam, marszcząc brwi, jakbym usiłowała sobie przypomnieć to nazwisko. W rzeczywistości nic mi ono nie mówiło, ale nie chciałam okazać się taką ignorantką sztuki.

– To mój ojciec – burknął Michał.

– Pomagał ojcu, jeszcze przed studiami – wyjaśnił Ignac, wskazując ruchem głowy Michała. – Po jego śmierci sam się tym zajmował. Niestety, miał pecha.

– Miałeś o tym nie gadać, Ignac – wtrącił Michał.

– Tak, miałem nie gadać, przepraszam...

– A ten Lenin w pięciu odsłonach? To też rzeźba hiperrealistyczna? – zmieniłam temat, udając, że nie słyszałam uwagi.

– Nie, Lenin jest z betonu – wyjaśnił znowu Ignac. – Z takiego specjalnego, nie takiego, jaki spotyka się na budowach. – Poza głową, rękami i twarzą, bo to odlewy gipsowe, resztę formuje się z drucianej siatki i styropianu, i pokrywa specjalnym workowym płótnem. Dopiero potem nakłada się ten beton. Najpierw trzeba to robić pędzlem, potem szpachelką. – To jest świetna technika – zauważyła Majka. – Takim betonem można kształtować każdą zmarszczkę i fałdkę. Poza tym ta masa jest bardzo odporna na warunki atmosferyczne, dlatego rzeźby mogą stać pod gołym niebem, tak jak tutaj – dodała. – Michał robił to kiedyś z ojcem.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową i spojrzałam z podziwem, ale też ze współczuciem na Michała. Przypuszczałam, że wzrok stracił niedawno, a ta praca była jego pasją i nie może przeboleć jej utraty. Wszyscy zamilkli, więc rozejrzałam się po długim, drewnianym baraku nazywanym pawilonem. Słońce, które przedarło się wreszcie przez chmury, kończyło właśnie wędrówkę i chyliło się ku zachodowi. Do kąta, gdzie siedział Michał, docierało teraz najmniej światła, dlatego trudno było odczytać cokolwiek z jego ukrytej w półmroku twarzy.

– To stare dzieje – odezwał się znieczeka ponurym głosem. – Nie ma sensu do tego wracać. Obecnie lepiej garnki i nienawidzę tego. Poszukajcie sobie lepszego tematu – to mówiąc, wstał i przesuwał ręką po krawędzi stołu, opuścił pawilon.

– Nie przejmuj się – rzucił Ignac. – Michał jest rozżalony, nie ma co się dziwić.

– Przepraszam, że o to zapytam, ale co właściwie stało się z jego wzrokiem?

Tak zupełnie nic nie widzi?

– Rozróżnia ciemne i jaśniejsze plamy.

– Może więc to przejściowa przypadłość? – wyraziłam nadzieję, choć sama nie bardzo w to wierzyłam.

– Nie wiem – rzekł Ignac i zaczął zbierać puste talerze. – Może.

– Głupie gadanie – wtrącił się Barnaba i postukał o stół fajką. – Od dzieciaka miał problem. Już wtedy zdiagnozowano u niego zmiany wrodzone. Pamiętasz, jakie okulary nosił? Jak denka od spodków. Ale jeszcze widział. A potem nagle szast prast i ślepy. No i co zrobić? Takie życie.

– I nie ma żadnej nadziei na wyleczenie?

– Na wyleczenie – powtórzył gorzko. – Jakie wyleczenie, dziewczyno. Lekarz ponoć mu powiedział, że rogówka do wymiany. A przecież nie nosi w kieszeni zapasowej. W szpitalu coś tam pomajstrowali, ale nic nie dało się zrobić. Może kiedyś coś wymyślą.

– Oby – powiedziałam ze szczerą nadzieją.

Ignac z Majką pozbierali brudne naczynia, ale do pawilonu już nie wrócili. Barnaba w zamyśleniu pykał swoją fajeczkę.

– Nikogo już tu nie ma – zauważyłam nieśmiało.

– Skończyli na dzisiaj i zbierają się do domu – mruknął Barnaba. – Na mnie też już czas – westchnął i ciężko podniósł się z miejsca. – Jeżeli ci się tu spodobało, możesz przyjeżdżać.

– Ja nie jestem artystką.

– E tam – machnął ręką i poszedł. Zostałam sama.

Zegarek wskazywał za kwadrans osiemnastą. Przestraszyłam się, że nie złapię już autobusu.

Poza pawilonem panował już wieczorny ziąb. W dodatku zaczęło mżyć i powoli zapadał zmierzch. Wszędzie panoszyła się jesień.

Musiałam się śpieszyć. Październikowe słońce miało swoje jesienne prawo, by udać się wcześniej na spoczynek. Ciemniało. W lesie przestało być przyjemnie. Idąc duktem, nasłuchiwałam odgłosów z pobliskich krzaków. Najlżejszy trzask gałązki urastał w mojej wyobraźni do stąpania niedźwiedzia lub szarży tabunu rozwścieczonych loch. Toteż z każdym krokiem szłam coraz szybciej i szybciej, aż w końcu zaczęłam biec, by pokonać wreszcie ten mroczny odcinek drogi. Na szosie było jaśniej. Poza tym co pewien czas przejeżdżał jakiś samochód, co dawało poczucie obecności człowieka. Na przystanku w Samotworze nie było nikogo. Rozkład jazdy zdarty, nie mogłam więc sprawdzić, o której przyjedzie najbliższy autobus. Czekałam w ciemno, przechadzając się

tam i z powrotem. Dopiero mijająca mnie kobieta uświadomiła mi, że ostatni podmiejski autobus odjechał jakieś dwadzieścia minut temu. Przeraziłam się. Pierwszą myślą była oczywiście Sonia. I Regina, która w tej chwili zapewne nie posiadała się z wściekłości. Bo o troskę o mnie nie śmiałam nawet jej podejrzewać. Druga myśl wiązała się z moją sytuacją. Oczywiście sama sobie byłam winna, bo nie należało do tego dopuszczać. Mogłam przewidzieć taką sytuację. Teraz musiałam wrócić do gburowatego Michała i poprosić go o nocleg. Już na samą myśl o pokonaniu ciemnej drogi, ogarnęła mnie niechęć, cóż dopiero o ponownym, mało przyjemnym spotkaniu.

Szosa szłam dziarsko, tym bardziej że zimny wiatr dawał się we znaki, a mżawka potęgowała jeszcze uczucie chłodu. Wejście do lasu nie było miłe. Zawahałam się, zanim zanurzyłam się w ciemność. Ogród Michała wyglądał upiornie, a wzrok zaczął płątać mi figle. Figury ożyły, osaczały w cichym marszu, odrealniały rzeczywistość. Dziewczyna w rybiej sieci odzyskała twarz i patrzyła wprost na mnie jaszczurczym spojrzeniem. Dom stał się jakiś monstrualny i przytłaczał, jak twierdza. Trzeba było przejść obok widziadła na schodach, pociągnąć za linkę żeliwnego dzwonka i czekać w nieskończoność, aż łaskawca zechce otworzyć. Nie potrafiłam sklecić kilku słów, w których miałabym poprosić go o nocleg, w głowie miałam pustkę. Dzwonek zagrzmiął z siłą trąb jerychońskich i długo dudnił w uszach. Na plecach czułam oddech własnych urojeń, wyłaniających się z mroku. Wreszcie na piętrze stuknęło okno.

– Kto tam? – zawołał Michał, wychylając się do połowy, choć i tak nic nie widział.

– Michał, to ja, Anita. Byłam tu wcześniej, pamiętasz?

– Pamiętam. Stało się coś?

– Tak. Spóźniłam się na autobus.

Milczenie trwało tak długo, że z przerażeniem pomyślałam o ponownej drodze przez las. Dalej nie sięgałam wyobraźnią.

– Widzisz tę kobietę na schodach? – zapytał w końcu.

– Tak – odparłam zdziwiona.

– Klucz jest w jej dekolcie. Wyjmij i sobie otwórz, trochę potrwa, zanim zejdziesz.

Uśmiechnęłam się, trochę z ulgą, że w ogóle raczył się odezwać, a trochę głupkowato na myśl, że mam przebierać palcami między glinianymi piersiami posągu.

– Słyszałaś?

– Tak. Już otwieram.

Klucz był duży, jak od bramy piekieł. Gdy byłam już w środku, Michał, trzymając się poręczy, stał w połowie schodów. W całym domu było ciemno jak w norze.

– Mogę zapalić światło? – upewniłam się, zanim nacisnęłam włącznik w ścianie.

– Ach, no tak – bąknął. – Zapomniałem, że niektórzy tego potrzebują – dokończył z przekąsem. – Pewnie chcesz herbaty, co? – wysilił się na uprzejmość.

– Tak, trochę zmarzłam – potwierdziłam niepewnie.

Kiedy zaprowadził mnie do kuchni, odniosłam wrażenie, że już tu byłam. Znałam to pomieszczenie z opowiadań Oksany. Nie lubiła go, pewnie dlatego, że nie miała pojęcia o gotowaniu. Mówiła coś o kuchennym oknie, ale nie pamiętałam, co.

Obserwowałam Michała, jak radzi sobie z przygotowaniem herbaty. Bałam się zaproponować mu pomoc, mógł uznać to za oznakę litości.

– Chodź do pokoju – zaproponował. – Nie będziemy gadać w kuchni.

Posłusznie przeszłam za nim do salonu. Michał dość pewne kroki skierował do stojącej pod ścianą kanapy.

– Na komodzie stoi pięcioramienny świecznik, widzisz go? – wskazał ruchem głowy, kierując się pamięcią stałych miejsc dla poszczególnych przedmiotów.

– Tak, widzę.

– Gdybyś mogła nie zapalać lampy, tylko świece, ja też bym coś z tego miał. Przynajmniej poczułbym zapach. Resztę mogę sobie wyobrazić – poprosił.

Spełniłam jego prośbę. Blask świec spoczął na jego twarzy, płomyki ożywiły ją, dodały ciepła.

– Dziękuję – rzekł zadowolony i nawet lekko się uśmiechnął. – Skoro trafiła się taka okazja, że mam z kim pogadać, to jej nie przepuszczę – dodał. – Możesz usiąść koło mnie, nie gryzę – poklepał pluszowe obicie.

– To był pokój Oksany? – zapytałam, siadając w nieznaczej odległości i rozejrzałam się ciekawie. Ściany, sprzęty, wszystko było mi znane z fotografii, a ona opowiadała bardzo obrazowo. Panował tu niesamowity klimat. I ten zapach kurzu, świec, starych książek... Kojarzył mi się ze starym antykwariatem.

– Nie, no coś ty? To nasz reprezentacyjny salon. Ojciec chętnie tu przesiadywał. Z Oksaną też – dodał z niechęcią.

– Nie lubiłeś jej?

– Nie cierpiałem, tak samo jak Matyldy, z którą zdradzał moją matkę. Ten posąg na schodach to właśnie Matylda.

– Nie ma twarzy.

– Wiem. Tak jak każdy, kto ma ich wiele.

– Znałeś Matyldę?

– Trochę. Poznałem ją jeszcze we Wrocławiu. Bo tę cholere, Oksanę, już tutaj.

– Jej nie wyrzeźbił?

– Nic o tym nie wiem.

– A co z twoją mamą?

Poruszył się niespokojnie, a do mnie dotarł świeży zapach lawendy, którego wcześniej nie czułam.

– A co ty mnie tak wypytyujesz?

– Przepraszam, tak jakoś... Zaciekawileś mnie. Wydaje mi się, że masz za sobą interesujące życie. Jak nie chcesz, to nie opowiadaj.

– Nic interesującego. Moje życie to pasmo problemów. Ale dobrze, opowiem ci co nieco za to, że koło mnie usiadłaś – zażartował i przesunął rękę po miękkim pluszu, dotykając przypadkiem moich palców. Cofnęłam dłoń.

– Pytałaś o moją matkę, tak?

– Tak.

– Ech, ona nic kompletnie nie rozumiała. Ani artystycznej duszy ojca, ani jego sztuki. Nie mówię oczywiście o przypadkach z Leninem. Lenin to interes – roześmiał się. – Matka była bardzo analityczna, konkretna. Ojciec długo próbował coś z tym zrobić. Zabierał ją na wystawy, do galerii. Starał się ukazać jej piękno sztuki. Ale się nie udało. Ją to nudziło.

– Chyba się nie dobrali – wtrąciłam.

– Ewidentnie, bo jego nudziły doczesne problemy domowe. Żył z dnia na dzień i nie mógł zrozumieć, dlaczego się piekliła, gdy nie było co włożyć do garnka.

– Są takie typy mężczyzn. Nie obchodzi go, skąd kobieta weźmie, ma być na stole i już – wtrąciłam ze złością, bo sama myśl o takich facetach mnie irytowała.

– Nie, z nim było zupełnie inaczej. On mógł wcale nie jeść. Żył sztuką. Czasami całymi dniami nie opuszczał pracowni. Matka zanosila mu ciepłe posiłki i wnosila zimne. Nawet tego nie zauważył. Ale potrafił być bardzo hojny. Gdy miał pieniądze, obrzucał ją drogimi prezentami i nie pojmował, czemu jej to nie cieszy. A ona była zapobiegliwa, chciała odkładać na czarną godzinę. Nie rozumieli się wcale. W końcu on znalazł sobie kobietę, która skwapliwie przyjmowała podarki.

– Tę Matyldę?

– Tak. Trafił na Matyldę i zakochał się po uszy. Kiedy matka odchodziła, nawet tego nie zauważył. Ona oczywiście zabrała mnie z sobą. Na początku mieszkaliśmy w wynajętym pokoju u jakiejś kobiety, do czasu, aż matka wyszła ponownie za mąż. Wtedy przeprowadziliśmy się do jej nowego męża, pod Kraków. Ojciec w tym czasie rozstał się również z Matyldą.

– I związał z Oksaną?

– Tak. Dopiero wtedy zamieszkał w tym domu.

– Musiał sporo zarobić, skoro udało mu się kupić taki duży dom. Na pomnikach Lenina?

– No... Nic o tym nie wiem, ale widocznie zarobił.

– Nie kontaktowaliście się?

– Wręcz przeciwnie. Ojciec za mną tęsknił i chciał, żebym przyjechał. Zrobiłem to dopiero po maturze, gdy zdawałem na studia, na Akademię Sztuk Pięknych – odpowiedział i machnął ręką zniecierpliwiony. – No, może już wystarczy. Nie musimy o mnie rozmawiać. O starych, proszę bardzo, ale o mnie, nie.

– Nie, oczywiście, że nie musimy. Tym bardziej że robi się późno. Gdzie mogłabym się przespać?

– Gdzie chcesz, nawet tutaj, przyniosę ci śpiwór... – poderwał się z miejsca.

– Powiedz, gdzie leży, sama sobie przyniosę – zaproponowałam.

– Nie. Nie staraj się mnie wyręczać, nie znoszę tego. Zresztą śpiwór jest w mojej sypialni. Masz ochotę plądrować w mojej sypialni? – rzekł ze złością, a wychodząc, potknął się o krzesło, co rozgniewało go jeszcze bardziej.

Zostałam w salonie sama. Podeszłam do okna i uchyliłam firankę. Po szybie spływał deszcz, rozmazując chwiejące się na wietrze konary drzew. Czerń za oknem kontrastowała z przytulnym wnętrzem salonu, ubranym w ciepły blask świec. Było mi tu zacisznie i dobrze. Jedynie myśl o Soni, pozostawionej pod opieką Reginy, zakłócała mój spokój.

– Proszę, śpiwór dla ciebie – przerwał mi tę zadumę Michał, który zatrzymał się w progu. – Przyniosłem ci też poduszkę.

Podeszłam bliżej, by odebrać od niego pościel.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziałam z wdzięcznością. – Miałabym problem, gdybyś mnie nie wpuścił.

– Dlaczego miałabym cię nie wpuścić? – zdziwił się. – Ten dom jest jak hotel. Nie masz pojęcia, ile osób się tu przewinęło.

– Być może, ale... Nie obraż się, miałam inne zdanie na twój temat, gdy cię

poznałam.

– Tak? A jakie miałaś zdanie?

– Sprawiałaś wrażenie zarozumiałego bufona i ponuraka.

– Niewiele się pomyliłaś – uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie – zaprotestowałam pośpiesznie. – Wcale taki nie jesteś.

– Zwykle nie jest mi do śmiechu. Wszystkie marzenia diabli wzięli. Nie mogę nauczyć się żyć bez obrazu. Nienawidzę wszystkiego, co piękne, być może nienawidzę też ciebie.

– Daruj sobie. Nie jestem wcale piękna.

– Na pewno? – zapytał. Wyciągnął dłoń i poszukał mojej twarzy. Czuję się nieswojo, gdy delikatnie wodził po niej palcami. Wstrzymałam oddech, podczas gdy on dotykał moich włosów. – Jesteś brunetką? – zapytał.

– Tak. Skąd wiesz?

– Nie lubię takich pytań. Nie wiem, strzeliłem w ciemno – obruszył się.

– Przepraszam, myślałam, że włosy się od siebie czymś różnią, na przykład ciemne są bardziej szorstkie albo gładziej.

– Nie mam pojęcia. Nie obmacuję kobiecych głów, żeby się tego nauczyć. Zresztą, co to za różnica... Chodź, pokażę ci, gdzie jest łazienka. Ręczniki znajdziesz w szafce. A zęby chyba umyjesz palcem, bo nie mam zapasowych szczotek.

– Poradzę sobie – odparłam, idąc za nim.

Zanurzałam się w gorącej wodzie, próbując wytłumaczyć sobie, jak to się stało, że jestem w tym przypadkowym domu i korzystam z wanny i ręcznika zupełnie obcego faceta.

Kiedy wyszłam rozgrzana kąpielą i owinięta ręcznikiem, z salonu, ku mojemu zaskoczeniu, sączyła się cicha melodia, a Michał siedział w najlepsze na sofie.

– Ty jeszcze tutaj? – zdziwiłam się.

– Pomyślałem, że możemy jeszcze pogadać – rzekł z nadzieją. – No, chyba że jesteś śpiąca.

– Nie jestem. Kąpiel mnie rozbudziła – przyznałam. – O czym chcesz pogadać?

– O wszystkim. Fajnie, że zostałaś. Zwykle po szesnastej jestem tu sam jak palec. Nie jest to przyjemne uczucie, zwłaszcza, gdy się nic nie widzi. Nawet książki nie można poczytać. Dom wielki i cisza wokół. I ta cholerna ciemność.

– Rozumiem, ale nie podzielę twojej radości – powiedziałam smętnie. – Niedobrze się stało, że nie zdążyłam na autobus. Powinnam wrócić. Nikt nie wie, że tu jestem.

– Ten nikt to kto? – zainteresował się.

– Siostra. Na pewno jest wściekła, że nie ma mnie tak długo. Zostawiłam dziecko pod jej opieką.

– Dziecko? – nie potrafił ukryć zaskoczenia. – Sama jesteś dziecko, przynajmniej masz taki głos. A mąż? Wyrósł już z pieluch? – zapytał zgryźliwie.

– Nie mam męża – odparłam i dodałam szybko: – Nie chcę o tym mówić. Opowiedz mi lepiej o Oksanie.

– O Oksanie? – skrzywił się. – Słabo ją znałem, ale to nieciekawa persona. Nie warto zarywać dla niej nocy. Dlaczego cię interesuje?

– Miałam okazję poznać ją w ośrodku dla upośledzonych.

– Daj spokój z Oksaną. Zamiast tego mam propozycję. W piwnicy stoi gąsior dobrego wina. Jeszcze Aniela go nastawiała.

– Kolejna miłość twojego ojca?

– Nie, to kobieta, która tu przychodziła, by pomagać w prowadzeniu domu.

– Ta, której posąg stoi w holu?

– Skąd wiesz?

– Oksana wspominała coś o niej. Czy ta Aniela była rzeczywiście aż tak brzydka? Nie wierzę, żeby istota ziemską nosiła taką twarz.

– Bez przesady. Urodą nie grzeszyła i była kulawa, ale to, co widziałas, to artystyczna wizja mojego ojca. Nie przepadał za nią. Dla biednej staruszki ten wizerunek jest bardzo krzywdzący.

– Teraz go już nie ma, Aniela może wrócić i pomagać tobie – zauważyłam.

– Wątpię, żeby chciała – zasepił się. – Ona uwielbiała Oksanę, chociaż się z nią kłóciła, ale dla niej zrobiłaby wszystko. Tylko dla niej – podkreślił. – Ojca nie lubiła, ja byłem jej raczej obojętny, niewiele mnie znała. A jeśli chodzi o mnie, radzę sobie przy pomocy przyjaciół. Pójdiesz ze mną po to wino?

– Jestem tylko w ręczniku – wyznałam.

– O! Dopiero teraz o tym mówisz? – zaśmiał się. – Ty w ręczniku, a ja tracę czas – zażartował. – Dam ci jakąś swoją czystą koszulę, chcesz?

– Daj – powiedziałam zakłopotana.

Koszula pachniała lawendą, jak sam Michał. Musiałam zawinąć rękawy, żeby nie zwisały prawie do kolan. Poza tym w tej koszuli poczułam się jakaś bardzo Michałowa i żałowałam, że on tego nie widzi. Dziewczyna w męskiej koszuli zawsze trochę rozkliwia faceta. Ja nie wiedziałam, czy chcę go rozkliwić, ale chciałam, żeby miał taką możliwość.

Szukając w kuchni pustej butelki, dopiero teraz zauważyłam, jaki tu panował rozgardiasz. I brud. Tutaj po prostu wszystko zarastało brudem. Barnaba może

coś tam potrafił upichcić, lecz nie przykładał zbyt wielkiej wagi do porządków. Po jego kuchczeniu zostały bardzo niechlubne ślady. Nie miałam pojęcia, jak niewidomy Michał mógł się odnaleźć w tym chaosie.

Schody do piwnicy były kamienne, zimne. Z czarnej czeluści też wiało chłodem. Otrząsnęłam się jak pies, zanim tam weszłam.

– Nie ma tu prądu? – zapytałam.

– W założeniu jest, ale ojciec nigdy go nie podłączył. Na najwyższym schodku powinna leżeć latarka – wyjaśnił.

Znalazłam. Wąski snop mdłego światła ogarnął schody, po których stapałam ostrożnie. Tajemnica tego domu schodziła razem ze mną, nasyciła wyobraźnię jakąś tragiczną przeszłością. Czułam za kołnierzem oddech mieszkańców, który przenieśli się w zaświaty. I to jakieś dziecko, o którym wspominała Oksana. Muszę zapytać Michała o dziecko. Zeszłam na dół i nagle uświadomiłam sobie, że Michała nie ma ze mną. Serce zabiło mi mocno. A jeśli to oszust i morderca? Może wcale nie jest niewidomy, tylko udaje? Zwabił mnie do tej piwnicy, żeby...

– Poszukaj gąsiora – dobiegł mnie jego głos, wyrywając z absurdalnych myśli. – Ja już schodzę, wziąłem jeszcze jedną butelkę.

Omiotłam światłem schody, po których, trzymając się mocno poręczy, szedł Michał. Poza butelką nie niósł łomu, noża ani siekiery. Uśmiechnęłam się do siebie półgębkiem. Byłam zła, że tak łatwo wprowadzam się w stan lęku i paniki. Obejrzałam wewnątrz piwnicy. Stały tu regały ze słoikami, pustymi i wypełnionymi przetworami, duża beczka, w kącie leżały zwoje kabli, jakieś deski. Dwa gąsiory zarysowały się krągłościami niedaleko wejścia. Dość duże, ale Michał powinien bez trudu je podnieść. Przy tym świetle ich zawartość wydawała się czarna jak smoła. Michał uniósł pękatą banię, ja natomiast, trzymając w zębach latarkę, usiłowałam podtykać butelki z wetkniętym w nie lejkiem. Na górę wróciłam z prawdziwą ulgą.

– Opowiadaj – poprosiłam, gdy zaopatrzeni w wino i kieliszki, ponownie usadowiliśmy się na kanapie. Już bez skrupowania umościłam się obok niego. Był miły, choć na początku zgrywał gbura. Teraz upił łyk wina i przez chwilę delectował się smakiem.

– Ależ ja naprawdę nic o niej nie wiem, poza tym, że robiła z ojcem, co chciała. Miała nad nim jakąś moc, wiedźma...

– Chyba dobrze powodziło się twojemu ojcu – zauważyłam i znów rozejrzałam się po salonie.

– Czy ja wiem? Niespecjalnie – skrzywił się. – Ojciec zupełnie nie pasował do

obecnego ustroju. Był typowym artystą, bujającym w obłokach. Toczył batalie o eksponowanie swojej sztuki, ale ci, od których to zależało, nie byli nią zainteresowani. Może dlatego, że wywodziła się ze Stanów Zjednoczonych, a tutaj to, co amerykańskie, to przecież złe. Aż w końcu prezes jakiejś dużej firmy zamówił u niego Lenina. Ojciec dopieścił go tak, że na ten plac, gdzie go ustawiono, przyjeżdżali różni dyrektorzy, żeby go obejrzeć. Podziwiali, kiwali głowami i pytali, gdzie taki można zamówić. No więc ojciec zakasał rękawy i zabrał się za pomniki. Okazało się, że trafił w punkt, ponieważ wciąż był na nie popyt. Różne przedsiębiorstwa, zakłady, fabryki kupowały je na swoje dziedzińce. Ojciec się rozochocił, ale tych ostatnich dzieł niestety nie zdążył opchnąć.

– Nikt ich nie ukradnie? – zatroszczyłam się.

– Dotąd nikt się nie połasił. Miejscowi tu nie podchodzą. Jedni nienawidzili komucha, jak nazywali mojego ojca, inni bali się mocy piekielnych – uśmiechnął się. – Tu podobno straszy – dodał i żartobliwie zamachał nad moją głową rozczapierzonymi palcami.

– Przestań – ofuknęłam go, ponieważ zawsze byłam trochę przesądna. – Nie chcę słuchać o duchach. Mów o Oksanie.

– Dobrze – zgodził się niechętnie. – A ty dolej jeszcze wina – podstawił kieliszek. Nalałam sobie i jemu, a on poprawił się na kanapie. – Nie lubię o niej mówić, bo od początku nie lubiłem jej samej. W ogóle bym tu nie przyjeżdżał, gdyby ojciec tak nie nalegał. Ale w końcu zostawiłem matkę pod Krakowem i przybyłem. Sytuacja w tym domu wydawała się dość klarowna. Oksana się panoszyła jak pani na włościach, Aniela chodziła nadąsana, bo miała tylko gotować, ale okazało się, że musi robić wszystko, bo Oksana do niczego się nie nadawała, poza tym, że z upodobaniem zaglądała do sypialni ojca. Ale on myślał o czymś innym. Mógł nie jeść. Mógł tonąć w brudzie. Mógł nie zmieniać koszul. Chciał tylko rzeźbić i nie potrafił zrozumieć, że życie składa się nie tylko ze sztuki. Ona chciała ślubu.

– A on?

– Początkowo nie, ale kiedy powiedziała, że jest w ciąży, zgodził się.

– A była? I co z tym dzieckiem? – wtrąciłam.

– Na ten temat też nic nie wiem, bo, szczerze mówiąc, uciekłem do akademika. Tam poznałem Kaśkę i nawet na niedziele nie chciało mi się przyjeżdżać, bo tutaj atmosfera była dość gęsta. Na wakacje jeździłem z nią i kumplami pod namioty.

– Kaśka to twoja dziewczyna? – zapytałam trochę rozczarowana.

– Tak, dziewczyna – odparł swobodnie i dość obojętnie. – Pieniędzy od ojca nie brałem, bo właściwie sam niewiele miał.

– To z czego żył?

– Z pieniędzy Oksany. Była artystką, śpiewaczką. Z tego, co mówił ojciec, cholernie zdolną. Śpiewała w Moskwie, w operze. Nie wiem, skąd się tutaj wzięła. Podobno pochodziła z jakiejś ważnej rodziny. Jej dziad był Polakiem, ale matka już chyba stamtąd, z Moskwy. Nie wiem, co o niej mówić. Prawie jej nie znałem. Wróciłem tu na dobre dopiero po wypadku ojca.

– Oksana cię zawiadomiła?

– Nie, skąd znowu. Jakiś milicjant. Oksana dostała wtedy niezłego fioła. Chodziła po pustych pokojach i śpiewała ruskie dumki i kołysanki. Jej głos niósł się po całym lesie tak głośno, że ludzie ze wsi przychodzili z ciekawości. Stawali na drodze i słuchali, ale nikt nie odważył się przekroczyć choćby furtki. Wtedy właśnie uciekła stąd Aniela, jedyny świadek tego, co się tutaj wydarzyło. Kiedy przyjechałem, Oksana nie chciała mnie wpuścić, krzyczała, że to jej dom i żeby moja noga tu nie powstała. Zawiadomiłem milicję, a oni, widząc, co się dzieje, wezwali pogotowie. Zabrali ją.

Michał zamilkł, a ja dolałam nam jeszcze wina. Wiele rzeczy było dla mnie niejasnych i pewnie zapytałabym o to, ale kręciło mi się w głowie, a powieki robiły się coraz cięższe.

– Pewnie bardzo to przeżyłeś – mruknęłam sennie.

– Niby nie byłem przywiązany do ojca, ale po jego śmierci nie mogłem się pozbierać. Ten dom był jak wielka betonowa trumna. Kaśka, którą tu ściągnąłem, wyprowadziła się po kilku dniach. Mówiła, że za dużo tu się płacze dusz. Obiecała przyjeżdżać. Prawdę mówiąc, nie miałem też czasu o tym wszystkim myśleć. Poszedłem w ślady ojca. Rzeźbiłem, prócz tego łąpałem dorywczą robotę, żeby się utrzymać. Wtedy stało się to, przed czym okulista przestrzegał rodziców, gdy miałem kilka lat, a on przepisywał mi coraz grubsze okulary. Przestałem widzieć.

– Boże, to musiało być straszne...

– Tak... Załamałem się. Wylądowałem w klinice. Tam robili, co mogli, ale się nie udało. Ignac, mój kumpel ze studiów, bardzo się tym przejął. Żeby mi jakoś pomóc, wynajął u mnie pracownię. Potem, nie wiem skąd, ściągnął jeszcze Barnabę i innych. Pracują tu i płacą mi za to. Wygodniej byłoby im we Wrocławiu, nie musieliby dojeżdżać, ale Ignac wiedział, że na taką pomoc się zgodzę, a żadnej jałmużny nie przyjmę. Przestałem radzić sobie z rzeźbą i zająłem się lepieniem garnków. To cała historia – zakończył. – W gardle mi

zaschło – dodał, podstawiając kieliszek.

– A co z Kaśką? – zdołałam jeszcze zapytać, ale nie pamiętam, co odpowiedział.

Wino hulało mi po głowie, język się plątał, gdy próbowałam z kolei opowiedzieć o swoim życiu. Nie pamiętam nawet, czy dokończyłam moją historię. Obudziłam się, gdy świtało, z potwornym bólem głowy, wtulona w rozchełstaną koszulę Michała, który pochrapywał z otwartymi ustami. Poruszyłam się, a on przygarnął mnie mocno i wymamrotał:

– Kaśka, przyjeźdź tu jeszcze...

Autobus tłukł się po wybojach. Po nocy, która była jak przemarsz widm po samotorskim domu, bolała mnie głowa. Na kolanach wiozłam glinianą misę, którą otrzymałam na pamiątkę, a w myślach historię Michała. Powiedział, że jego życie to stan zniewolenia, u którego podstaw leży kalectwo, prześladowane go od dzieciństwa. Teraz nie umie przekroczyć już żadnej granicy, ponieważ są dla niego niewidzialne. Przestał wierzyć w pokonywanie, wspinanie się, działanie, bo znalazł się na ślepej mieliźnie. I nie chce mi niczego narzucać, zwłaszcza że nie ma nic do zaferowania, prócz ułomnego siebie, ale przecież dwojgu zdruzgotanym przez los byłoby różnie, łatwiej. Mówił to w półśnie, a ja nie wiedziałam, czy słowa te kierował do mnie, czy do jakiejś tam Kaśki. Zamroczeni winem, wtopieni w siebie, przemilczeliśmy budzący się poranek i moment jakiegoś pijanego zauroczenia. Albo raczej osobliwej fascynacji, półprzytomnej z niewyspania i podlanej suto winem. Nie wiedziałam tego jeszcze i bałam się werbalizować, bo początki często bywają fałszywe. Czułam lęk przed pytaniem siebie o coś tak ulotnego, jak budzące się w pustym sercu pierwsze ślady uczucia.

Regina, o dziwo, nie była wściekła. Przyczyną jej znakomitego humoru był Leon. Leżał rozciągnięty na kanapie ciotki Rozalii, z gazetą w rękę. Na podłodze u jego stóp baraszkowały dzieci, nie wyłączając Soni. Sielski obrazek dopełniała ona sama w fartuszkę, również należącym do ciotki Rozalii, i z chochlą w rękę. Regina podśpiewująca, Regina uśmiechnięta. Wniebowzięta. Widząc mnie w drzwiach, mrugnęła.

– Dobrze się bawiłaś? – zapytała. – Sądząc po twoich zapuchniętych ślepiach, nieźle – dodała, nie czekając na odpowiedź. – Może wreszcie wyjdiesz za mąż – zakończyła. Zastanowiłam się, czy złośliwie. Ale chyba nie. Po raz pierwszy mówiła coś szczerze. Pracę rozpoczęłam w samo południe, więc zabrałam Sonię i zaczęłam szykować ją do żłobka.

– Zostaw ją – zaprotestowała życzliwie. – Spójrz, jak się dobrze bawi z moimi chłopakami. Po co będziesz dzieciaka ciągać? Właśnie gotuję obiad.

Nie wierzyłam własnym uszom. Nagle w domu zrobiło się rodzinnie i przyjaźnie. Odesłałam dziecko z powrotem do zabawy i poszłam wziąć kąpiel.

Gdyby Regina zawsze była taka, życie z nią pod jednym dachem byłoby do przyjęcia – myślałam. Może teraz, gdy Leon sprowadził się na dobre, coś się zmieni?

Ale ona nie była taka. Kiedy wyszłam z łazienki, okutana ręcznikiem, zatrzymała mnie i szepnęła:

– Leon się sprowadził, rozumiesz, co mam na myśli? – mrugnęła do mnie okiem i cmoknęła powietrze.

– Rozumiem. Pokaż mi akt własności mieszkania, to się wyprowadzę.

– Dobra, dobra – prychnęła. – Pokażę ci. Przekonasz się, kto ma rację. Mogłaś trzymać się tego dyrektora. Miałabyś pieniądze, chatę, samochód, wszystko. Gdybym ja miała taką okazję...

Z salonu dobiegło chrząknięcie.

– Leon oczywiście bardzo się stara – dodała szybko – ale on nie jest dyrektorem, tylko hydraulikiem.

Wzruszyłam ramionami i zamknęłam się w swoim pokoju. Tutaj przestałam być taka butna. Chciało mi się płakać.

Listopad brunatniał na trawnikach, ogołocił świat z kolorów.

Leon po pracy zwykle wylegiwał się na kanapie, a Regina spiskowała z nim po cichu. W pewien sobotni rano, w połowie listopada, przyszło mi na myśl, by odwiedzić Michała. Zatęskniłam nie tyle za nim samym, co za niepowtarzalną atmosferą tego artystycznego domu i za ludźmi, którzy tam przebywali. Spakowałam małą podróżną torbę, wzięłam Sonię i udałam się na Dworzec Świebodzki. Byłam pewna, że odwiedziny w Samotworze ukoją choć trochę moje skołatane nerwy. Trasę już znałam, skupiłam się więc na tym, co powiem Michałowi, gdy go zobaczę. Minął przecież miesiąc od naszego spotkania.

Sonia była zachwycona spacerem przez las, chociaż pogodę miałyśmy pod pseem. W świetle dziennym śmieszyło mnie wspomnienie demonów, które nękały moją wyobraźnię w mroku. Wokół panowała cisza i tylko gdzieniegdzie odzywały się pojedyncze głosy ptaków. Nogi odmówiły Soni posłuszeństwa i co kilka metrów musiałam brać ją na ręce.

W ogrodzie nie było nikogo. Oczywiście prócz Matyldy siedzącej na schodach i kilku wcieleń Lenina, na widok których Sonia wpadła w jeszcze większy zachwyty. Pociągnęłam za linkę uwieszoną przy dzwonku. Nie znałam osoby, która otworzyła mi drzwi. Dziewczyna z króciutko przystryżoną fryzurką, w dzinsach i obszernej koszuli, chyba męskiej, patrzyła na mnie pytająco.

– Ja do Michała – wyjaśniłam, modląc się w duchu, żeby to nie była Kaśka.

– Nie ma go – odparła, mierząc mnie wzrokiem. – Pojechał z Barnabą do Wrocławia. Jak chcesz, to poczekaj.

– Poczekam – zdecydowałam.

– Dobra, jakby co będę w pracowni – rzuciła i odwróciła się na pięcie, nie zajmując się nami więcej.

Trzymając Sonię za rękę, poszłam za nią. Na niskim parapecie w pracowni siedział Ignac i popijał maślanek.

– No jak tam – zawołał na mój widok. – Czyja chata? Twoja czy Michała?

Dziewczyna zatrzymała się w miejscu i obejrzała się na mnie z niechęcią. I właśnie przez to spojrzenie postanowiłam przemilczeć odpowiedź. Uśmiechnęłam się tajemniczo. Kaśka czy nie, niech sobie łamie głowę – pomyślałam.

Ignac wręczył Soni kawałek gliny, a mnie anielskie skrzydło z gipsu i papier ścierny.

– Trzymaj – powiedział. – Żebyś się nie zanudziła.

Szlifowałam skrzydło i przysłuchiwałam się rozmowie o jakiejś galerii. Kątem oka obserwowałam drzwi. Wyobrażałam sobie, jak przywita mnie Michał i czy ta dziewczyna z krótką fryzurką, o wyglądzie francuskiej lalki rzuci mu się na szyję. Gdzieś w środku trzepotały maleńkie skrzydełka ekscytacji, a jednocześnie tremy i obawy. Drzwi wejściowe trzasnęły, gdy skrzydło było gotowe, a moja cierpliwość powoli się kończyła. Do pracowni wszedł zamasyście Barnaba, a za nim Michał. Sonia porzuciła swoją glinę i przyłgnęła do mojej nogi, jak zwykle w momentach onieśmienia. Dziewczyna o francuskiej urodzie nawet nie drgnęła.

– Obrabiasz moje skrzydło? – ucieszył się Barnaba, wyjmując mi je z rąk i przyglądając się efektowi pracy.

– Ignac mi kazał – odparłam.

– No i bardzo dobrze – zagrział Barnaba i poklepał mnie po ramieniu. – Dobra robota!

Zarumieniłam się z zadowolenia jak uczennica i zerknęłam na Michała. Stał w drzwiach z zastanowieniem na twarzy.

– Czyj to głos? – zapytał. – Nie Barnaby, tylko ten drugi.

– Mój, Anity – powiedziałam szybko, żeby nie trzymać go w niepewności. – Przyjechałam ukoić nerwy.

– No i bardzo dobrze – ucieszył się. – Barnaba, gąsior wina na dziś wieczór! – zawołał. Zerknęłam na dziewczynę. Uśmiechnęła się ironicznie i spojrzała na mnie bez cienia sympatii.

Podeszłam, ciągnąc trzymającą się mojej nogi Sonię. Stałam tak blisko, że czułam na twarzy jego oddech.

– Cześć, Michał – powiedziałam cicho.

– Zostaniesz do jutra? – zapytał. Znów rzuciłam okiem na dziewczynę. Wydeła pięknie skrojone usta.

– Jestem tu z moją córką, Sonią.

– Świetnie! Pokaż mi ją – poprosił. Podsunęłam dziecko tak, by mógł sięgnąć ręką, i obserwowałam wzruszona, jak delikatnie dotyka twarzy Soni. Wygięła buzię w podkówkę i spojrzała na mnie bezradnie.

– Już nie chcę – szepnęła, podnosząc na mnie zalęknione oczy. Michał zabrał rękę.

– Cześć, Sonia – powiedział wesoło. – Jestem wujek Michał. – Nic na siłę – rzekł do mnie półgłosem. – Mała musi się przyzwyczaić. Potem podniósł głowę i oznajmił wszystkim:

– Cieszę się, że siedzę na tym zadupiu. Kilka godzin w mieście i już łeb mi pęka od rozklekotanych tramwajów, spalin i kolejek na kilometr.

– Kalmiak wziął skorupy? – zapytał Ignac, zabierając się do pracy.

– Nie wszystkie. Trzy dzbanki odrzucił. Ale większość tak – odparł z zadowoleniem.

– I bardzo dobrze. Spotkałeś kogoś znajomego?

– Tomasz do mnie podszedł.

– Który Tomasz? Dymek? – Ignac odłożył dłuto i znów przysiadł na parapecie.

– Dymek – potwierdził Michał. – Ożenił się dwa tygodnie temu.

– Nie gadaj! Dymek się ożenił? Nie wierzę – zawołał Ignac i obiema dłońmi uderzył w kolana. – Ten zwariowany hipis?

– Serio. Nawet znormalniał. Zresztą musiał się ożenić.

– No, chyba że musiał. Z własnej woli nigdy by tego nie zrobił. Było wesele? – zainteresował się Ignac.

– Było, było – mruknął Michał.

– I nie zaprosił cię? – zdziwił się Ignac. – Byłeś jego dobrym kumplem.

– Stare dzieje. Przecież kontakt nam się urwał. Mówił, że chciał, ale nie znał mojego adresu. Ale Konrada zaprosił. Pamiętasz go?

– Którego Konrada? Tego Wilka? – ożywił się Ignac. – Kopę lat go nie widziałem.

Zastrzygłam uszami.

– Wilka. Tomasz mówił, że nic się nie zmienił. Szuka guza, jak zwykle.

- On kiedyś źle skończy, zobaczysz – zauważył Ignac złowieszczo.
 - Co się dziwisz? – mruknął Michał. – Koleś z Trójkąta. I tak daleko zaszedł, skończył polibudę.
 - Ciekawe, co teraz robi – zadumał się Ignac.
 - Myślałam, że jest w Gdyni – palnęłam. – Poza tym słyszałam, że on wcale nie pochodzi z Trójkąta, tylko się tam kręci...
 - Ty znasz Wilka? – zdziwił się Michał.
 - Jeśli o tym samym mówimy, to tak. Ten, którego mam na myśli, też na imię ma Konrad. Taki wysoki, z ciemnymi włosami do ramion i wytatuowaną ćmą na plecach, tak?
 - Tak – potwierdził Ignac, a Michał tylko wzruszył ramionami.
 - Nie wiem, jak teraz. Kiedyś tak wyglądał. Skąd wiesz, że ma ćmę na plecach? – burknął ze złością, a Ignac zarechotał:
 - Pokaż mi dziewczynę we Wrocławiu, która nie wie, że Wilk ma ćmę na plecach. Casanova...
 - Ja nie wiem – wtrąciła wyniośle dziewczyna. Dotąd jedynie przysłuchiwała się rozmowie, zajęta swoją pracą. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i jeszcze bardziej wydeła usta.
 - O, nie wiedziałem, że Alicja dziś tu jest – mruknął Michał i zmarkotniał.
 - Przyjechałam za Majkę – wyjaśniła. – Zaraz się zmywam, chciałam tylko...
 - Nie musisz się tłumaczyć. Przecież nie zabraniam ci tu przyjeżdżać.
 - No, dobra – zreflektował się Ignac. – My tu gadu, gadu, a czas leci. Trzeba brać się do roboty.
- Michał odwrócił się i wyszedł z pracowni, zaczepiając po drodze nogą o porzucony przez kogoś młotek. Zaklął pod nosem i machnął nogą, żeby go kopnąć, ale nie trafił, co rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Alicja obserwowała go dyskretnie spod przymrużonych, długich rzęs. Była niesympatyczna, ale urody nie mogłam jej odmówić.
- Nie bardzo wiedziałam, co mam ze sobą począć. Tutaj nie miałam nic do roboty, poza tym czułam niechęć do Alicji, a Michał sprawiał wrażenie, jakby się obraził. Postanowiłam zignorować tematy, które uznałam za drażliwe, i udając, że nie dostrzegam dąsów Michała, pójść za nim. Byłam pełna obaw, że nie zechce, bym tu więcej przyjeżdżała, podczas gdy właśnie zaczęłam przywiązywać się do tego miejsca i przyzwyczajając do niego.
- Zastałam go w kuchni, przy rozpakowywaniu zakupów.
- Pomóc ci? – zapytałam, jakby nigdy nic.
 - Możesz to włożyć do lodówki – rzekł chłodno, wskazując na wyłożone z

siatek artykuły. – A warzywa do koszyka stojącego pod oknem.

– Chcesz, żebym coś ugotowała? – zapytałam, układając w koszu włoszczyznę. Siliłam się na pogodny i lekki ton.

– Dlaczego miałabyś u mnie gotować? – mruknął, wciąż naburmuszony.

– Nie wiem. Barnaba też u ciebie gotował – odparłam zmieszana. Sprawił mi przykrość.

– Barnaba to co innego. On nie jest gościem – podkreślił, a ja odczytałam to po swojemu: Barnaba jest swój, prawie domownik, a ja jestem obca.

– Alicji byś pozwolił? – palnęłam. Nie odpowiedział, tylko się zachnął nieprzyjemnie. – W takim razie pójdę już – powiedziałam zawiedziona, bo jechałam tu z zamiarem spędzenia przyjemnego weekendu, po którym wiele sobie obiecywałam. – Akurat zdążę na autobus o czternastej. Z Sonią idzie się znacznie wolniej.

– Jak uważasz – powiedział, obracając w dłoniach okazałych rozmiarów seler. Ogarnął mnie tak wielki smutek, że chciało mi się płakać. – Warto było ciągnąć dzieciaka na te kilka chwil? – dorzucił.

– Michał – zaczęłam, wyjmując mu z rąk seler i wkładając do koszyka. Stałam tak blisko niego, że miałam ochotę odgarnąć mu włosy z czoła, pogłodzić lekko zarośnięty policzek, pocałować nadąsane usta. Bardzo tego pragnęłam. – Nie planowałam kilku chwil, miałam nadzieję, że spędzę tu czas do niedzieli, zapraszałeś przecież. Ale wydajesz mi się jakiś nieswój, więc może tego nie chcesz.

– Ja jestem nieswój? – udał zdziwienie. – Wydaje ci się. Zostań tyle czasu, ile planowałam. Nie przeszkadzasz mi przecież.

Od całej postaci wiało lodowatym chłodem. Powinnam bez wahania odejść, ale spróbowałam jeszcze go spacyfikować.

– Może masz rację – mruknęłam dla świętego spokoju. – To co? Ugotować coś?

– Jak chcesz, możesz gotować. Pomogę ci – odparł ugodowo i uśmiechnął się z przymusem.

Do wieczora się trochę rozkręcił, a najbardziej po wyjeździe Alicji. Po obiedzie, gdy już wszyscy wynieśli się z pracowni i pojechali do domu, z ulgą rozsiadł się na kanapie i, ku mojemu zdziwieniu, zawołał Sonię. Na początku moja córka odnosiła się do niego z dużym dystansem, ale już po pewnym czasie z dziecięcą ufnością zawarła z nim nić porozumienia. Kończyłam jeszcze porządkować kuchnię, gdy z salonu dobiegły mnie odgłosy ich wspólnej zabawy. Dołączyłam do nich, gdy za oknem zapadał zmierzch.

– Deszcz pada? – zapytał Michał, nadstawiając ucha.

– Leje jak z cebra – potwierdziłam.

Rzeczywiście, po szybach spływały obfite strugi, a porywisty wiatr szarpał gałęziami drzew rosnących w ogrodzie, zdzierał z nich resztki jesieni. Tutaj było zacisznie i przytulnie. Dom miał wyjątkowy klimat. Czuło się tu artystycznego ducha. Wszędzie poustawiane były dzieła oczekujące na wyschnięcie, oszlifowanie, pomalowanie lub po prostu na sprzedaż. Zapach był unikalny, charakterystyczny dla świeżej farby i czegoś jeszcze, ale nie potrafiłam tego sprecyzować. Jednak czystość wnętrza pozostawiała wiele do życzenia, a wszystkie kąty aż prosiły się o wodę i ścierkę. Mogłabym się tym zająć, ale nie chciałam sprawiać wrażenia, że się panoszę. Nie zasłużyłam jeszcze na status domownika, jak na przykład Ignac czy Barnaba.

Sonia była w swoim żywiole. Bawiła się figurkami, ugniatała glinę i gadała coś do siebie cienkim głosikiem. Korciło mnie, żeby zapytać o Alicję, lecz uznałam, że na to za wcześnie. Podeszłam do regału z książkami, których tu nie brakowało i wybrałam jedną z nich. Był nią nowiutki, jak się wydawało nietknięty tomik wierszy Zbigniewa Herberta. Otworzyłam na przypadkowej stronie i zaczęłam czytać głośno przypadkowe wersy:

– „...wybacz – że myślałem tylko o sobie gdy życie innych okrutnie nieodwracalne krążyło wokół mnie jak wielki astrologiczny zegar...”.

– „...dziękuję ci że dzieła stworzone ku chwale Twojej” – włączył się Michał, przymknąwszy oczy, jakby oczami wyobraźni przekładał kolejne kartki książki – „...udzieliły mi części swojej tajemnicy i w wielkiej zarozumiałości pomyślałem...”.

– Znasz to na pamięć? – zdziwiłam się.

– Uwielbiam *Modlitwę Pana Cogito* – odparł. – Ten tomik kupiłem niedługo przed utratą wzroku. Czytałem go w kółko, jakbym miał nasycić oczy wyrazami, których już nigdy potem nie było mi dane zobaczyć. Jedynym moim bogactwem jest to, co zachowało się w pamięci.

– Znasz alfabet Braille’a?

– Tak, nauczyłem się, ale książek nie mam...

– Poczytam ci, chcesz? – zapytałam spontanicznie, sięgając po coś z prozy.

– Dobrze – zgodził się. – Jeśli mogę cię prosić o Kuśniewicza... Poczytaj Kuśniewicza.

Nie znałam tego autora. Przebierałam palcami między tomami nierówno ustawionymi na półce.

– Znalazłaś? – niecierpliwił się Michał. – Taka beżowa książka. *Lekcja*

martwego języka.

– Mam – ucieszyłam się, wyjmując ją z półki i wycierając rękawem z kurzu.

– Wiem, że zakurzona – odezwał się Michał, chociaż nie widział przecież, co robię.

– Gdybyś nie miał nic przeciwko temu, ogarnęłabym tu trochę – zaproponowałam nieśmiało, wykorzystując sytuację.

– Nie teraz. Teraz mi poczytaj. Boże, jak dawno nie trzymałem książki w rękach. Możesz mi ją podać? – Włożyłam mu egzemplarz do rąk, a on głaskał okładkę, dotykał palcami pojedynczych kartek, wachał czarno zadrukowane strony. – Kiedyś nie zasnąłem bez książki – westchnął. – No czytaj.

Była o umieraniu. Wszystko w niej było śmiercią: dogorywająca pierwsza wojna światowa, zapadła dziura gdzieś we wschodniej Galicji, jesień pachnąca zbutwiałymi liśćmi, wreszcie główny bohater chory na gruźlicę. Odniosłam wrażenie, że cała opowieść była jedną głęboką trumną.

– To trudna książka – zauważyłam, przerywając po kilkunastu stronach. – Takie archaiczne słownictwo i jeszcze te wtręty z niemieckiego, ukraińskiego... Ciężko się czyta.

– A ja lubiłem go czytać. Podoba mi się kreacja nieistniejących literackich światów, w których mówi się martwymi językami. Poza tym utożsamiam się trochę z bohaterem. Mnie też już nic nie czeka.

– Ależ, co ty mówisz! – oburzyłam się szczerze. – Jak możesz twierdzić, że cię nic nie czeka?

– Daruj sobie, Anito. Dobra, nie chciałem o tym mówić. Czytaj.

Czytałam słowa, których nie pojmowałam, a moje myśli szybowały, chyba po raz ostatni, w przestrzeni tego pokoju, bo zaczynałam rozumieć, jak bardzo nam nie po drodze. Jak bardzo on jest artystą, a ja przy nim jestem tak zwyczajna, prosta i przyziemna. Jak bardzo on nie chce tego, czego chcę ja. Nigdy nie znajdziemy się na tej samej płaszczyźnie i nigdy nie będziemy mówić o tym samym.

Sonia zaczęła ziewać i szukać wygodnego miejsca, żeby oprzeć zmęczoną głowę. Znów przerwałam czytanie, tym razem po to, by ułożyć dziecko do snu. Michał wskazał dawny pokój Oksany, oświetlony mdłą lampą, prawie pusty, nie licząc szafy i miękkiego łóżka. Mała leciała mi przez ręce, gdy przebierałam ją we flanelową pizamkę. Nagle znieruchomiała, patrząc szeroko otwartymi oczami.

– Ja chcę, żeby ta dziewczynka sobie poszła – powiedziała płaczliwie.

– Jaka dziewczynka? Nie widzę tu żadnej dziewczynki, prócz ciebie –

odparłam lekko zniecierpliwiona, ponieważ nie miałam ochoty na zabawę w jakieś fantazje.

– Bo ona teraz stoi za tobą – szepnęło dziecko, wpatrując się gdzieś poza mną, szeroko otwartymi oczami. Obejrzałam się gwałtownie.

– Soniu, nikogo tu nie ma – rzekłam drżącym głosem, wierząc, że to zmęczenie wywołało majaki w głowie małej.

– Jest – upierała się Sonia. – Patrzy na ciebie.

Dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie. Wprawdzie byłam przesądna, ale nikt mnie dotąd aż tak nie przeraził. Porwałam dziecko na ręce i pośpiesznie opuściłam pokój.

– Michał – powiedziałam, ledwo panując nad dygotaniem z nerwów. – Przepraszam, że sprawiam ci kłopot, ale Sonia boi się spać w tamtym pokoju.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Nie wiem – skłamałam. – Może pewniej czułaby się bliżej nas. Nie zna tego domu.

– Boję się dziewczynki – sprostowała mała, a jej buzia wykrzywiła się w hamowanym płaczu.

Michał roześmiał się.

– Nie ma tu innej dziewczynki oprócz małej Soni – rzekł uspokajająco. – Ale w porządku – zwrócił się do mnie – połóżmy ją na razie w mojej sypialni. Potem ją przeniesiemy – dodał szeptem.

Sypialnia Michała była piętro wyżej, tuż nad salonem, w którym siedzieliśmy, ale i tak musiałam poczekać przy małej, aż zaśnie. Kiedy wróciłam, Michał odwrócił głowę na dźwięk kroków i gdyby nie pewność, że nie widzi, pomyślałabym, iż mi się przygląda.

– Czy możesz napełnić kieliszki? – zapytał. – Ja jeszcze nie mam wyczucia i zawsze rozlewam – dodał niby swobodnie, ale wyczułam rozżalenie i zakłopotanie w jego głosie.

Wino miało piękny, szkarłatny kolor i pachniało wiśniami. Wzięłam do ręki książkę.

– Nie, nie będziemy już czytać – zaprotestował Michał, słysząc szelest kartek. – Porozmawiamy. Jeszcze tylko włączę radio, może będzie jakaś muzyka.

– Ja to zrobię – zerwałam się z miejsca.

– Nie – zatrzymał mnie. – Sam to zrobię. I proszę cię, żebyś nie starała się mnie wyręczać. Tak wygląda teraz moje życie i muszę się dostosować do warunków, jakie podarował mi złośliwy los. Jestem ślepy i tak już zostanie – rzekł ze złością.

– Michał, tak nie będzie, zobaczysz. Medycyna wciąż się rozwija. Na pewno znajdzie się jakaś rada.

– Nie mów, że na pewno, bo tego nie wiesz – burknął. – Zresztą, przestańmy o tym mówić. Są przyjemniejsze tematy. Na przykład, co cię skłoniło, żeby tu przyjechać?

– Tutaj jest spokój. Chciałam odpocząć i zregenerować nadszarpnięte nerwy.

– Masz kłopoty? – zaniepokoił się.

– Jakby to krótko ująć... Tak, mam kłopoty z siostrą. Mieszkaniowe – wyjaśniłam dość oględnie.

– Możesz tutaj mieszkać, jeśli chcesz. Już ci mówiłem. Pokój się znajdzie – zaproponował. – I żebyś nie pomyślała, że wiesz... Że ja coś do ciebie, no wiesz. Po przyjacielsku ci proponuję, mieszkać.

– Nie, Michał. Bardzo ci dziękuję za chęć pomocy, ale we Wrocławiu mam pracę, a Sonia ma żłobek.

– Samotwór to nie koniec świata. Ludzie stąd dojeżdżają do pracy – argumentował.

– Nie wyobrażam sobie codziennego ciągnięcia dziecka tam i z powrotem – mówiłam zrezygnowana, bo naprawdę miałam ochotę się tu sprowadzić. Po przyjacielsku.

– Jak chcesz, nie będę cię przecież zmuszał... A tego Wilka skąd znasz? – zapytał zniecierpliwiony.

Zawahałam się, zanim odpowiedziałam:

– Z ulicy. Moja koleżanka nas z sobą poznała.

– Aha, koleżanka. Coś was łączyło?

– Czy ja wiem? – zastanowiłam się. – Pomyłka. Oboje się pomyliliśmy.

Noc nie była spokojna. Wichura jeszcze się wzmogła i trzaskała gałęziami o szyby. Ulewa również nie ustawała. Gwałtowny listopadowy koncert nie pozwalał mi zmrużyć oka. Odnosiłam wrażenie, że ktoś nieustannie dobija się do okien, by wdrzeć się do środka. Wygrzebałam się spod ciepłej kołdry i unosząc firankę, wyjrzałam przez zalaną deszczem szybę. Z mroku wynurzały się odrealnione kształty, szalejące w dzikich płasach na wietrze. Posągi wyłaniały się zza drzew, zdawały się podchodzić krok za krokiem, coraz bliżej domu. Wzdrygnęłam się, zaciągnęłam zasłony i wróciłam do łóżka. Teraz z kolei usłyszałam trzeszczenie podłogi, stąpanie, jakieś westchnienie. Przypomniało mi się wieczorne widziadło Soni i to wystarczyło, bym całkowicie wybiła się ze snu. Leżałam z szeroko otwartymi oczami, spięta i przyczajona, jak przed atakiem niewidzialnych mocy. Nie potrafiłam już walczyć z wybujałą

wyobraźnią. Usłyszałam wydobywający się gdzieś z dna duszy zaniepokojony głos, mój własny głos:

– Co to? Kto tu jest?

– To ja, Michał – wynurzyło się z ciszy. – Sprawdzalem, czy okna są zamknięte. Straszliwie wieje.

– Boże... Przestraszyłam się.

– Czego się przestraszyłaś? Nic się nie dzieje. Prócz nas nikogo tu nie ma – uspokajał. Zatrzymał się w progu, widziałam zarys jego sylwetki.

– Wiem, że nikogo nie ma i to jest najgorsze, bo ciągle mam wrażenie, że ktoś kręci się po domu.

– Ja się kręcę. Przez tę wichurę nie mogę spać. Jeśli chcesz, mogę tu przy tobie... – przerwał w pół zdania i zrobił parę nieśmiałych kroków.

Wstałam, zapaliłam lampę. Sprzęty odzyskały dawne kształty, a on wyciągnął obie dłonie, gdy ruszyłam ku niemu, dotykając bosymi stopami chłodnych desek podłogi. Wymówił szeptem moje imię, rozbudził zmysły i pragnienie, by stać się sobą i nim równocześnie. Powietrze rozstępowało się przed nami, kurczyła przestrzeń, zamierał czas, gdy zbliżaliśmy się powoli, wstrzymując oddechy, czując wzajemne drganie wyrrywających się słów, na które zabrakło śmiałości. Ramiona wypełnione nagłą niezrozumiałą czułością i namiętnością truchlały tchórzliwie w połowie drogi do siebie. I nagle moje roziskrzenie zgasło, gdy usłyszałam:

– Mogę tu przy tobie zostawić włączone radio. Matka zawsze tak robiła, gdy byłam mały.

Zaciskałam powieki i szłam przed siebie, grzęznąc w wyobrażeniu, jak to jest, gdy widzi się tylko ciemne i jasne plamy. Nie przeszkadzało mi to, że Michał jest niewidomy, nie uwierało i mogłam o tym nie myśleć, jednak w nim było coś, co zatrzaśniało furtkę do rodzącego się uczucia. Teraz, z perspektywy minionych dni, ogarniał mnie wstyd, że tamtej nocy pomyślałam inaczej. Tak, zdawałam sobie sprawę, że jego oczy nie mogą roziskrzyć się zachwytem ani nie pociemnieją namiętnością. Z dystansu czasu i dzielących nas kilometrów pomijałam ten fakt. I nie trzeba było nawet wina, by stwierdzić, że Michał zamącił mi w głowie. Z pustych dni wiało tęsknotą. Nocami przychodził w marzeniach. Towarzyszył każdej chwili, jak ćmiący ząb, tępy ból, uciążliwa migrena.

W niedzielny poranek, trzynastego grudnia, dzień wstał mroźny. Za oknem prószył śnieg, krakały gawrony, a Sonia domagała się kubka ciepłego mleka. Kuchnię okupowała Regina z uwieszonym jej szlafroka Piotrusiem. Pawełek dokazywał w salonie, tłukąc kijem od szczotki w podłogę. Leon manipulował przy telewizorze. Odbiornik śnieżył, więc mój szwagier walił z całej siły otwartą dłonią w jego obudowę. Nagle na ekranie pojawiła się poważna postać w mundurze i grubych okularach.

„Obywatelki i obywatele...” – usłyszałam. Na początku nie skupiałam się na tym, co mówił, tym bardziej że przez dzikie okrzyki Pawła i tak niczego nie można było usłyszeć.

– Paweł, uspokój się! – zagrział Leon i podkreślił głos w odbiorniku.

– Wielki jest ciężar odpowiedzialności, jaka spada na mnie w tym dramatycznym momencie polskiej historii – mówił generał Jaruzelski. Regina stanęła w progu i wycierając ręce w ścierkę, przysłuchiwała się jego słowom. Stałam tuż za nią, wpatrując się w ekran. Na razie nic z tego nie rozumiałam. – Obowiązkiem moim jest wziąć tę odpowiedzialność – chodzi o przyszłość Polski, o którą moje pokolenie walczyło na wszystkich frontach wojny i której oddało najlepsze lata. Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. Rada Państwa, w zgodzie z postanowieniami konstytucji, wprowadziła dziś o północy stan wojenny na

obszarze całego kraju.

– Co? – zawołała Regina nienaturalnie piskliwym głosem. – Co on powiedział? Będzie wojna? Jezus, Maria, Leon! Wojna?

– Cicho bądź, kobieto! – wrzasnął Leon. – Słuchaj!

– To ostatnia droga, aby zapoczątkować wychodzenie kraju z kryzysu, uratować państwo przed rozpadem. Komitet Obrony Kraju powołał pełnomocników-komisarzy wojskowych na wszystkich szczeblach administracji państwowej oraz w niektórych jednostkach gospodarczych. Pełnomocnicy-komisarze otrzymali prawo nadzorowania działalności organów administracji państwowej, od ministerstw do gmin.

– Leon, ja nic nie rozumiem z tego, co on mówi – stwierdziła nieswoim głosem Regina. – Powiedz mi ty: będzie wojna czy nie?

– Jest stan wojenny, kobieto. Stan wojenny, nie żadna wojna. Słuchaj, co on mówi.

– Ale co to znaczy? – nie ustępowała. – Stan wojenny to nie to samo co wojna?

– Nie to samo – warknął z rozdrażnieniem Leon i przysunął się bliżej telewizora.

– W imię interesu narodowego, dokonano zapobiegawczo internowania grupy osób zagrażających bezpieczeństwu państwa. W grupie tej znajdują się ekstremalni działacze „Solidarności”...

– Boże, Walery... – jęknęłam. – Ciekawe, co z nim.

– Tato, chcę kupę – zakomunikował płaczliwym głosem Piotruś, szarpiąc Leona za rękaw.

– Posadź go na nocnik, Regina – polecił zniecierpliwiony Leon, nie odrywając oczu od telewizora.

– Na polecenie Wojskowej Rady internowano również kilkadziesiąt osób, na których ciąży osobista odpowiedzialność...

– Tato, ty mnie posadź – marudził mały, doprowadzając Leona do szewskiej pasji.

– Regina! – ryknął.

Złapałam malca pod pachy i wyniosłam do łazienki.

– Nie przeszkadzaj tacie – upomniałam go i posadziłam na nocnik.

– Będziemy konsekwentnie oczyszczać polskie życie ze zła – mówił tymczasem Jaruzelski. – Bez względu na to, gdzie się ono rodzi. Wojskowa Rada zapewni warunki do bezwzględnego zaostrzenia walki z przestępczością. Działalność przestępczych gangów rozpatrywana będzie przez sądy w trybie

doraźnym.

– Juuuuz! – dobiegło z łazienki radosne wołanie Piotrusia.

– Piotrek zrobił kupę! Piotrek zrobił kupę! – podśpiewywał Pawełek, podskakując na jednej nodze przed samym ekranem.

– Chryste Panie, czy w tym domu nie może być chwili spokoju?! – krzyknął Leon. – Regina, zajmij się nimi!

– A ty co? – odgryzła się. – Ojciec jesteś. Nic, tylko ja i ja – zrzędziła, ale posłusznie poszła do łazienki.

– Aby skutecznie sprawować swą przewodnią misję, współpracować owocnie z sojusznicznymi siłami, opierać się musi na ludziach prawych, skromnych i odważnych – twierdził generał. – Na takich, którzy w każdym środowisku zasłużą na miano bojowników o sprawiedliwość społeczną, o dobro kraju.

– Mamusiu, ja chcę mleczko – przypomniało moje dziecko, które przydreptało boso z drugiego pokoju.

– Już, kochanie – powiedziałam szeptem, biorąc ją na rękę. – Słucham bardzo ważnej wiadomości.

– Będziemy oczyszczać wiecznie żywe źródła naszej idei z deformacji i wypaczeń...

Regina zabrała chłopców do kuchni i resztę przemówienia wysłuchaliśmy we względnym spokoju.

Potem w milczeniu podgrzewałam w rondlu mleko dla Soni, a Regina zamasztyłym ruchem smarowała pasztetem z puszki chleb dla chłopców.

– No to mamy – rzekł złowieszczo Leon, stając w drzwiach kuchni. – Doigraliśmy się.

– Ale o co w tym wszystkim chodzi? – dopytywała się Regina.

Wprawdzie już wcześniej pojawiały się sygnały, które do mnie docierały z ust Walerego, gdy jeszcze tutaj bywał, ale również byłam zaskoczona i oszołomiona tym, co się stało. Byliśmy świadkami zdarzenia, które ten dzień wycisnie na kartach naszej historii.

– Regina, oni chcą ograniczyć nam prawa, pozbawić możliwości dochodzenia tego, co należy się obywatelom, a o co walczy „Solidarność”. Boją się utraty władzy – wyjaśniłam tak, jak sama to rozumiałam.

– Bzdury opowiadasz – mruknął Leon. – Niczego się nie boją, tylko chcą wreszcie zaprowadzić porządek. Ludzie zamiast pracować, strajkują, bo im się we łbach poprzewracało. Chcą więcej zarabiać, a nic nie robią. Spójrz na mnie: jestem hydraulikiem. Jak pójde do klienta i naprawię mu kran, dostanę pieniądze. A jak będę leżał brzuchem do góry, nie dostanę. Ot i cała tajemnica.

A tę całą „Solidarność” pierwszy wystrzeliłbym w kosmos. Ale dobrze. Generał teraz zarządzi jak trzeba. Jakby on tego nie zrobił, zaraz Ruskich by do nas przyniosło.

– Jezu... – jęknęła Regina. – A pamiętasz – zwróciła się do mnie – co babcia o nich opowiadała? Ruscy byli gorsi od Niemców.

– Daj spokój, Regina – rzekł z rozdrażnieniem Leon. – Nie wiesz, o co chodzi, to nie gadaj.

Regina machnęła na niego ręką i odwróciła się plecami.

– Na ulicę lepiej nie wychodzić – powiedziała do mnie. – Nie wiadomo, co tam się dzieje. Ty Soni jutro do żłobka nie prowadź. Weź zwolnienie i siedź w domu, dopóki się to nie skończy.

– Ty jak coś powiesz – pokręcił głową Leon. – To może potrwać. Co ty myślisz, że minie tydzień i będzie po wszystkim?

Regina zacięła usta i nic nie odpowiedziała.

– Przejdę się – oznajmiłam, gdy pozmywałam talerze po śniadaniu, a Regina zasiadła do cerowania skarpetek.

– Jak zwykle szukasz przygód – stwierdziła, kręcąc głową. – No i po co tam pójdziesz? Za mało ci wrażeń?

– A niech idzie – wtrącił Leon. – Czego się czepiasz?

Regina wzruszyła ramionami i odgryzła zębami nitkę. Rzadko używała nożyczek przy szyciu.

Mróz był duży, jak na połowę grudnia. Z nieba prószył drobny śnieg, zabielił skwerki i chodniki. Tylko ulice błyszczały mokrym asfaltem. Okolice najbliższej domu były opustoszałe, jak to w niedzielne przedpołudnie, ale przy głównej kręciło się sporo ludzi. Kiedy dostrzegłam, że ulicami suną milicyjne wozy i czołgi, a na każdym skrzyżowaniu stoją funkcjonariusze lub żołnierze, uciekłam do domu. Cóż z tego, że nie zaczepiali nikogo i ogólnie panował spokój, jeśli wszędzie wyczuwało się strach i napięcie.

Po kolacji, gdy dzieci już spały, Leon z nosem w telewizorze słuchał wiadomości, a Regina kąpała się, ktoś cicho zapukał. Zerknęłam na zegar wiszący na ścianie. Właśnie minęła dwudziesta druga. Poszłam do przedpokoju i wyjrzałam przez wizjer. Na klatce schodowej panowała ciemność, więc nadal nie wiedziałam, kto kryje się za drzwiami.

– Kto tam? – zapytałam.

Odpowiedziała mi cisza.

– Kto tam? – ponowiłam pytanie i przyłożyłam ucho do drzwi. Leon poruszył się niespokojnie, ale się nie obejrzał.

– Anita, otwórz... – usłyszałam stłumiony głos. Uchyliłam drzwi.

– Jezu, Walery... – jęknęłam, bo ledwo go poznałam. Był zarośnięty jak yeti.

– Muszę tu zostać – rzekł kategorycznie, wsuwając się do środka. Złapałam go za rękę i zaciągnęłam do swojego pokoju.

– Przepraszam, że tak wyglądam – sumitował się – ale, kurczę, nigdzie nie ma żyletek.

– Walery, ani słowa o „Solidarności” przy moim szwagrze – ostrzegłam, ignorując jego przeprosiny.

– Dobrze, nic nie będę gadał. Przenocujesz mnie?

– Mam cię przenocować? – przeraziłam się. – Nie bardzo mam gdzie... Siostra się tu wprowadziła z całą rodziną.

– Mogę spać na podłodze, to nie ma znaczenia – powiedział i rozejrzał się po pokoju.

– Zrobię, co się da. Głodny?

– Nie, jadłem... Mogę usiąść?

– Jasne, co za pytanie. – Opróżniłam krzesło z ubranek Soni. – Siadaj. Powiesz, co się stało?

– Powiem – odparł i zamilkł. Patrzyłam na niego wyczekująco, ale on oparł głowę na dłoniach i tkwił tak, dopóki nie usłyszał głosu Reginy za drzwiami.

– Leon, czego ty tak siedzisz przed tym telewizorem? Nic nowego nie powiedzą. Połóż się spać. Jutro przecież do roboty.

– Dobra, dobra – odparł. – Zaraz.

– Anita już śpi?

– A kto ją tam wie – burknął.

Poruszyła się klamka. Walery pociągnął mnie tak, że nieoczekiwanie znalazłam się na jego kolanach.

– Przepraszam – bąknęła na ten widok Regina i się wycofała. Potem szeptała o czymś z Leonem.

Przesiadłam się na brzeg łóżka.

– Mów – zażądałam.

– Kurczę, Anita, ty nie wiesz, co się dzieje. W nocy zabierali ludzi...

– Kto zabierał? Kogo?

– Służba Bezpieczeństwa i milicja. Łazili po domach i zabierali tych z „Solidarności”.

– U ciebie też byli?

– A nie pomyślałaś, że siedziałbym raczej w domu, nie u ciebie? Jasne, że byli. Chyba około pierwszej, przy drzwiach mojego sąsiada z przeciwka, też z

„Solidarności”, zrobiło się jakieś zamieszanie. Wyjrzałem przez wizjer i zobaczyłem trzech milicjantów w towarzystwie jakichś bubków. Domyślałem się, że esbeków. Najpierw zapukali. A potem łomotali jak gestapo! Nikt im nie otworzył, więc zaczęli tłuc jeszcze głośniej, a jeden gliniarz nawet kopał w drzwi.

– I nikt z sąsiadów nie wyjrzał, kiedy robili taki hałas?

– Ja byłem jedynym sąsiadem na tym piętrze. Kurczę, ty byś wyjrzała? Mieli z sobą łomy i chcieli tego żelastwa użyć, ale w końcu otworzyła im żona sąsiada. Zaspana, ledwo widziała na oczy. Odepchnęli ją i wtargnęli do środka. Nie czekałem dłużej. Wiedziałem, że po mnie też za chwilę przyjdą. Złapałem ubrania pod pachę i ryzykując, że ktoś stamtąd wyjdzie i mnie zobaczy, czmychnąłem do piwnicy. Łapy mi się trzęsły tak, że nie mogłem się ubrać. Piżamę wepchnąłem za jakieś deski, które tam leżały i chciałem wybiec na ulicę. A tam, kurczę, patrole. Drzwi pilnowali, żeby nikt nie uciekł. Na szczęście, nie zdążyli mnie zobaczyć, wlałem znów do piwnicy i wcisnąłem się za tę kupę desek. Siedziałem tam i nasłuchiwałem, co się dzieje. Robili straszny raban. Wylazłem z kryjówki, gdy usłyszałem głosy na ulicy. Wyjrzałem przez okienko. Mojego sąsiada zabrali do suki i powieźli, prawdopodobnie na komendę. Nie miałem pojęcia, czy wszyscy wyszli, było ciemno, więc siedziałem do rana. O świcie opuściłem piwnicę i z duszą na ramieniu przemknąłem do swojego mieszkania. Z pozoru nic się nie wydarzyło, ale zamek był rozwalony. Czyli u mnie też byli. Nawet nie wchodziłem do środka, bałem się, że ktoś tam siedzi i czeka na mnie. Uciekłem. Cały dzień łąziłem po ulicach, bo nie miałem dokąd pójść. Do rodziny nie, bo zaraz by mnie znaleźli. Do naszego lokalu, gdzie się zbieraliśmy, też nie, bo podobno zomowcy wszystkie takie miejsca okupują. Do żadnego z kumpli też nie mogłem iść, bo są w podobnej sytuacji. Jedynie ty mi przysłaś do głowy. Nie wiedziałem, że mieszka ktoś u ciebie.

– Myślisz, że nie będą cię tu szukać? – zapytałam z przejęciem.

– Cholera ich wie. Prędzej czy później mogą mnie namierzyć i internować. Tutaj też nie mogę dłużej zostać.

– A co z pracą? Przecież, jak wrócisz, natychmiast cię złapią.

– Na razie skontaktuję się jakoś z szefem i wezmę urlop, a potem zobaczymy... Szef na szczęście zrozumie. Poproszę też któregoś z kumpli z pracy, żeby naprawił zamek i zamknął moje mieszkanie.

– Zostań tu chwilowo, siostrze powiem, że jesteś moim narzeczoną i przyjechałaś z... Zielonej Góry. Chcesz może zadzwonić do rodziców, zawiadomić ich, że...

Spojrzał na mnie chmurnie.

– Anita, z choinki się urwałaś? Telefony zablokowane. Nie działają.

Regina mamrotała pod nosem, a Leon patrzył spode łba, ilekroć Walery opuszczał mój pokój, dlatego wychodził z mieszkania razem ze mną, gdy szłam do pracy. W końcu zabrałam Sonię do lekarza i naopowiadałam bajek, żeby tylko dostać kilka dni zwolnienia.

Nieszczęścia lubią chodzić parami i dzień później w progu mojego domu stanęła Florka.

– Wilk miał wypadek – powiedziała na przydechu i oparła się o framugę.

– Co ty mówisz, Florka... – odezwałam się, gdy minęło pierwsze wrażenie.

– Wpuść mnie – zażądała, oderwała się od framugi i zachwiała na nogach. Poczulałam zapach przetrawionego alkoholu.

– Nie żyje. Kaput – powiedziała rzeczowo, choć nieco bełkotliwie.

– Jezus, Maria... Co się stało? Skąd wiesz? – zasypałam ją pytaniami.

– Wiem. Rąbnął w drzewo – oznajmiła, potknęła się o próg i wylądowała na szafce z butami.

– Ale skąd o tym wiesz? – upierałam się, bo Florka nie wydawała mi się wiarygodna.

– Od Krzywego wiem – odparła zaczepnie i nagle zaczęła chlipać. – Rąbnął w drzewo i wyrznął łbem o... O coś tam, nie pamiętam dokładnie.

– Nie pamiętasz dokładnie? Może o kierownicę, Jezu... – jęknęłam. – Kiedy?

– Nie wiem, w nocy... Co mnie tak tu trzymasz, w tym korytarzu – trąciła mnie łokciem i ruszyła do pokoju, gdzie był Walery z Sonią. Musiał ją słyszeć, bo stanął na środku pokoju, cały spięty, jak pantera gotowa do skoku.

– O, Walery! – rzuciła zaskoczona i dla odmiany zaczęła się śmiać. – Kogo ja tu spotykam! Mój kochany Walery! Jestem wolna – dodała i zawiesiła mu się na szyi. – Tylko dla ciebie. – Z trudem zdjął jej ręce i chrząknął zakłopotany. – Twój facet już mnie nie chce – dodała, patrząc na mnie żałośnie, i osunęła się na krzesło. – A ty? – dźgnęła palcem sweter Walerego – chcesz mnie?

Walery poczerwieniał, a Sonia przyglądała się Florce wielkimi oczami.

– Kurczę, Florka – wybąkał. – Lepiej będzie, jak pójdziesz do domu i się prześpisz.

– Z tobą – stwierdziła. – Z tobą się prześpię.

– Nie sądzę – bąknął znowu i spojrzał na mnie bezradnie. Nieznacznie wzruszyłam ramionami.

– Widziałam się z Krzywym. A on nic, tylko pytał o ciebie – oświadczyła nagle, w miarę trzeźwo. – Ha, ha, ha! – zaśmiała się znowu. Była kompletnie

niezrównoważona. – A ty się tutaj schowałeś! Powiem, gdzie jesteś, bo wszyscy cię szukają. Milicja cię szuka, zomowcy cię szukają... Ty teraz ważniak jesteś, bo pół świata cię szuka! – kpiła, śmiejąc się głośno, aż zaciekawiona Regina zajrzała przez szparę w drzwiach.

– Dosyć, Florka, idź do domu – zdenerwowałam się.

– Dobrze, idę, ale zapomniałam ci powiedzieć, że Wilk nie żyje – powtórzyła i podniosła palec do góry. – Prawie! – zaznaczyła. – Ja ci to przysłałam powiedzieć, że on prawie się zabił. Zabrali go do szpitala. Ja ci tylko chciałam powiedzieć, że miał wypadek – bełkotała.

– To żyje czy nie? – zdenerwowałam się nie na żarty.

– No przecież mówię, że prawie żyje i prawie nie – plątała się. – Ja ci tylko chciałam powiedzieć...

– Już powiedziałaś, idź! – wręczyłam jej kurtkę, którą zdążyła zdjąć, i wypchnęłam ją za próg. – Trzymaj się poręczy, bo spadniesz – zawołałam za nią i zatrasnęłam drzwi.

– Musisz tu sprowadzać tych swoich gości? – warknęła Regina. – Co jeden to lepszy. Zobaczysz, co będzie, jak wróci Leon. Przekonasz się – zagroziła.

– Mam to gdzieś – odgryzłam się.

– Ty uważaj – ostrzegła. – Tego tam – wskazała moje drzwi – szukają. Słyszałam.

Wróciłam do pokoju i spojrzałam pytająco na Walerego.

– Wiem – rozłożył bezradnie ręce. – Muszę natychmiast zniknąć.

– Musisz – potwierdziłam smętnie.

Trwaliśmy w zupełnym milczeniu, tylko Sonia, bazgrząc coś na kartce czerwoną kredką, mamrotała cichutko. Walery zajrzał jej przez ramię.

– No, pokaż. Co tam narysowałaś?

– To jest pan – oświadczyła.

Walery podniósł kartkę i obracał nią na wszystkie strony. Trudno było dopatrzeć się czegoś w tych dziecięcych bazgrołach.

– Hm... Pan – rzekł z zastanowieniem. – A co to za pan?

– Taki pan z ogrodu – odparło dziecko bez wahania.

– Matko, Lenin... – zawołałam odkrywczco. – Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy...

Walery spojrzał na mnie jak na ortodoksyjną wyznawczynię leninizmu, wychowującą w tym duchu córkę, a ja uśmiechnęłam się z satysfakcją.

To się źle skończy, zobaczysz – zrzędził Walery za moimi plecami. – Kurczę, wiesz, że wprowadzili zakaz opuszczania stałego miejsca pobytu? Zatrzymają nas, zobaczysz – sapał coraz głośniej, taszcząc Sonię. Ja niosłam siatkę na zakupy wypchaną niezbędnymi rzeczami: ubranka Soni, bielizna na zmianę, szczotki do zębów. Nie mogłam wziąć podróźnej torby. To byłoby podejrzone.

– Daj spokój – denerwowałam się. – Cicho bądź i nie kracz!

– Ale trzeba mieć pozwolenie. Nie wsiądę do autobusu. Wszędzie są kontrole – denerwował się.

– Histeryk – burknęłam do siebie. – Dobrze, Walery. Nie wsiadajmy na Dworcu Świebodzkim, tylko na Grabiszyńskiej.

– Na Grabiszyńskiej? Ty wiesz, co dzieje się na Grabiszyńskiej? Czołgi, milicja, zomowcy, co tylko chcesz.

– To na Tęczowej. Najwyżej wysiądziemy na pierwszym lepszym przystanku, jeśli będą kontrolować.

– Ale tam, gdzie jedziemy trzeba się zarejestrować w urzędzie!

– Już leczę, rzeczywiście – warknęłam. – Przestań wreszcie się tak trząść. Samotwór to zadupie. A tego domu właściwie nie widać, jest na odludziu. Jakby co, jedziemy oglądać pałac. Na chwilę. Obejrzymy i wracamy.

W autobusie prawie nie było ludzi. Nic dziwnego, w dzień powszedni wszyscy pracowali. Nerwy zaczęły odpuszczać, gdy byliśmy już w połowie drogi i nadal nic niepokojącego się nie działo. Mogłam sobie pozwolić wreszcie na własne myśli, również o Florce i o Wilku. I o Michale. O Michale najwięcej.

Jak to jest, że ludzie, którzy nadają sens naszemu życiu, pojawiają się znikąd i najczęściej wtedy, gdy ich wcale nie szukamy? Niezauważalnie zamieszkują nasze serca, wnoszą swoją mądrość, radość, słuchają zwierzeń, pozwalają się kochać zdrową, rozsądną miłością. Są jak słońce, które nigdy nie gaśnie i nie trzeba przy nich starać się być kimś innym, niż jest się w rzeczywistości. Przy nich wszystko jest takie proste, zwyczajne. Albo nadzwyczajne, bo każdy dzień w ich obecności to święto. Brak w nich niewygodnych sugestii i ukrytych motywów. Taki jest Michał, tak się przy nim czuję.

Teraz, obserwując przydrożne krajobrazy, pokryte cienką warstwą bieli, zastanawiałam się, jak nas przyjmie. I o czym pomyśli, gdy przywiozę Walerego. Czy zgodzi się na jego obecność pod swoim dachem?

Przez nikogo nie zaczepiani, wysiedliśmy w Samotworze. Sonia zasnęła w autobusie i Walery znów musiał nieść ją przez całą drogę.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zrozumiał wreszcie rysunek Soni.

– A niech mnie... Kurczę... – wyjąkał na widok pięciu pomników Lenina w ogrodzie. – Kto tu mieszka?

– Mój kolega – wyjaśniłam.

Walery nic nie powiedział, tylko przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

Pociągnęłam za linę przy żeliwnym dzwonku. W tej zabelonej śniegiem ciszy zabrzmiał jak dzwon kościelny. Michał zareagował szybko. Być może stał właśnie przy oknie.

– Barnaba? – zapytał, uchyliwszy nieznacznie jedno skrzydło. Chyba na niego czekał, bo głos miał pełen nadziei.

– Nie... To ja, Anita – odparłam.

– Anita? – powtórzył zaskoczony. Trudno było określić, z jakim to wiązało się uczuciem. – Mam zejść czy wyjmiesz sobie klucz?

– Nie schodź, wyjmę.

Poszukałam klucza i zwróciłam się do Walerego:

– Michał jest niewidomy. Nie wyskocz z czymś.

– Aha, kurczę... – skwitował krótko. – Nie bój się, nie wyskoczę.

Kiedy otworzyłam drzwi, Michał był już na dole i zanim zdążyłam powiedzieć słowo, rozłożył ramiona, w które z impetem wpadła Sonia. Na jego twarzy najpierw pojawił się wyraz zdumienia, a potem radosny uśmiech. Tulił Sonię, ale był czujny, jakby oczekiwał czegoś jeszcze. Podeszłam blisko i dotknęłam jego ramienia.

– Jestem – powiedziałam.

– Zrobiłaś mi prawdziwą niespodziankę – rzekł, odstawiając małą na podłogę i przygarniając mnie do siebie. – Tym bardziej że żaden z artystów dziś nie przyjechał.

– Pewnie przez ten cholerny stan wojenny – wtrącił nieoczekiwanie Walery, wywołując na twarzy Michała konsternację.

– Przywiozłaś tu kogoś? – zapytał i rozluźnił uścisk.

– Michał, to Walery. Mój kolega. Jest tutaj ze mną, bo ma kłopoty. Czy byłbyś skłonny wynająć mu pokój na pewien czas?

– Zaraz, po kolei – przywołał mnie do porządku. – Zaskoczyłaś mnie. Może usiądziemy, chciałbym, żeby twój kolega sam mi wszystko opowiedział.

– Kurczę... – zaczął Walery, gdy już znalazł dla siebie miejsce na jednym z antycznych krzesel. – Nie wiem, od czego zacząć, bo... Jaki jest twój stosunek do „Solidarności”?

– A jak myślisz? Jaki może być mój stosunek, do tego, co się dzieje, na tym zadupiu? Może cię rozczaruję, ale jako odsunięty od wszystkiego ślepy artysta, cierpię jedynie z powodu braku towaru na rynku. Reszta jest mi obojętna.

– Naprawdę? Kurczę... – w głosie Walerego istotnie czuć było głębokie rozczarowanie.

– Nie dotyka mnie to bezpośrednio. Naprawdę – odrzekł nieco zniecierpliwiony Michał, a ja przestraszyłam się, że nie zgodzi się ukrywać u siebie Walerego. – To nie oznacza, że nie orientuję się w sytuacji – dodał prędko. – Jeśli chodzi o Jaruzelskiego, cieszymy się, że nie jest jak generał Pinochet w Chile, który kazał zatrzymywać i torturować tysiące aktywistów, dysydentów i związkowców. Słyszałeś o tym? Nasz stan wojenny to przy tamtym doprawdy pikus.

– Co ty mówisz – nie zgodził się Walery. – Stan wojenny uśmierca nasze nadzieje, wstrzymuje życie społeczne, gasi w nas całą energię. Władze nie trzymają się umów, to gra wojenna! Poza tym nie posługiwałbym się tutaj takim przykładem. Pinochet obronił kraj przed komunizmem, a Jaruzelski nie ma nic przeciwko niemu, bo wszystko zawdzięcza Kremłowi. Zaszczyty i władzę.

– Nie chcę wypowiadać się na temat, w którym nie czuję się pewnie. Zależy mi na demokracji i sprawiedliwości.

– Demokracji – zaperzył się Walery. – Nie przy tych rządach, kurczę! Czy oni mogą myśleć o demokracji? Zwolennicy strzałów w tył głowy, wielbienie kołchozów i upadłej gospodarki? A jeśli chodzi o sprawiedliwość, to... To my właśnie po to jesteśmy, żeby tak było. Żeby w Polsce była sprawiedliwość i demokracja.

– Amen – dokończył Michał z lekką ironią, czym jeszcze bardziej rozdrażnił Walerego.

– Słuchaj, jeśli to dla ciebie nie jest ważne, to wszystko nie ma sensu... Zostań, jeśli chcesz – zwrócił się z kolei do mnie – ja wychodzę.

– Ależ spokojnie – mitygował go Michał. – Nie powiedziałaś mi jeszcze, czego ode mnie oczekujesz.

– Już niczego – burknął Walery.

– Czekaaj, Walery, tak nie można – wtrąciłam się. – Tu nie ma różnicy zdań,

jest tylko polemika. Zwykła konfrontacja poglądów, których Michał nawet nie określił. Sam słyszałeś, że nie chce zajmować stanowiska w tej sprawie, bo czuje się nieco z boku.

– Jak może być z boku, skoro jest Polakiem – zdenerwował się na nowo Walery.

– Tak, jest Polakiem i sam powiedział, że zależy mu na demokracji, tak jak tobie. Tylko nie weźmie w tym czynnego udziału, bo nie może. Nie unosz się więc niepotrzebnie, tylko powiedz Michałowi, o co chodzi.

– Nie musisz mnie tłumaczyć – odezwał się Michał, kładąc dłoń na mojej. – Potrafię sam bronić swojego stanowiska. A kolega zrobi, jak uważa.

– Kurczę, no dobrze... – skapitulował Walery. – Potrzebuję jakiegoś bezpiecznego kąta. Jestem zaangażowanym działaczem „Solidarności”. Szukają mnie.

– Dobra, możesz tu zostać – zgodził się bez entuzjazmu Michał. – Na własną odpowiedzialność – dodał.

– Zapłacę ci za pokój – zobowiązał się Walery.

– Nie będę się bronił, każdy grosz się przyda, ale nie o to chodzi. Potrzebujesz pomocy, więc możesz ją otrzymać też za darmo. Dam ci pokój, ale odpowiedzialność w razie czego bierzesz na siebie. Ja o niczym nie wiem. Nie chcę kłopotów, los i tak solidnie mnie już nakopał.

– Dobrze, umowa stoi. O niczym nie wiesz. Nie będziemy o tym rozmawiać.

– A ty, Anito? – zwrócił się do mnie Michał. – Zostaniesz tu trochę? – zapytał.

– Nie mogę, muszę wracać. Właśnie skończyło mi się wolne – odparłam smętnie, bo lubiłam tu przebywać.

– A gdzie Sonia? – zainteresował się. – Cicho tu jakoś...

Zerwałam się z miejsca i wybiegłam z salonu. Sonię znalazłam w pracowni. Siedziała w kucki z wyciągniętym językiem i smarowała farbą anioła Barnaby. Czarną farbą.

– Boże, Sonia... Coś ty narobiła – jęknęłam przerażona. – Barnaba nas zabije. Mnie, ciebie i Michała na dokładkę...

Sonia rzuciła pędzel, jakby ją nagle oparzył i wyginając buzię w podkówkę, przybiegła wtulić się w moje ramiona. Płakała rzewnie, ściągając do pracowni Michała i Walerego.

– Co się stało? – dopytywał się Michał.

– Anioł piekłem pachnący – mruknął Walery i się skrzywił. – Sonia pomalowała go na czarno – wyjaśnił Michałowi.

– Znając Barnabę, da sobie z tym radę – zaśmiał się nienaturalnie. Wiedziałam, że sam się zmartwił, ale nie chce stresować dziecka. – Nic takiego się nie stało – dodał po chwili.

Do Śródmieścia zaniósł mnie niechęć do powrotu w domowe pielesze. Wieczny rejwach, zamieszanie, kłótnie Reginy z Leonem i ich krzywe spojrzenia bardzo mnie zniechęcały. Byłam tym naprawdę zmęczona. Lubiłam spacerować po tych rejonach Wrocławia, które słabiej znałam. Ta część miasta, w której się znalazłam, nosiła jeszcze ślady walk wojennych. Prawie cały Wrocław został zniszczony pod koniec wojny, gdy stał się niemiecką twierdzą w obronie przed nacierającą Armią Czerwoną. Mijałam stare kamienice, naznaczone dziurami po kulach i wyobrażałam sobie strach tamtych ludzi, uciekających w popłochu do piwnic lub na ulicę. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że tam, gdzie teraz jest uprzątnięte miejsce po dwóch lub pięciu piętrach, które runęły pod gradem bomb, stało czyjeś łóżko, szafa, kredens, bezpiecznie chroniący kryształową paterę albo cienką jak pergamin porcelanę. Ktoś tam słuchał muzyki z trzeszczącej płyty, ktoś inny siedząc na białym, czarnym lub brązowym krześle, jadł zupę z fajansowego talerza. Skorupy w drobne kwiatki, wygiętą łyżeczkę, ucho od blaszanego kubka do dziś jeszcze można było znaleźć na zaniebanym podwórku. Może tu, gdzie właśnie stałam, zginął od kuli chłopak, ciągnący na sznurku drewnianego ptaszka z jednym skrzydłem? Może przed tamtą bramą schwytano młodą kobietę śpieszącą się na spotkanie z ukochanym? Myślałam o tym wszystkim, gdy mijały mnie dzisiejsze ciężkie czołgi i okratowane milicyjne suki.

– Anka! – usłyszałam nagle czyjś głos. Rozejrzałam się, ale nie dostrzegłam nikogo znajomego.

– Tam! – Jakiś przechodzień pokazał mi palcem wychylonego z szoferki Krzywego i splunął pod nogi. W pierwszej chwili chciałam podnieść rękę w odpowiedzi na to wołanie, ale zrezygnowałam. Było mi wstyd. Na najbliższym przystanku wsiadłam do pierwszego lepszego tramwaju.

Nawet nie zauważyłam, kiedy znalazłam się w okolicy Dworca Głównego. Nie przeszkadzał mi lodowaty wiatr ani drobno padający śnieg. Nie czułam ostrego podmuchu na policzkach. Po prostu szłam.

Ktoś zatrąbił. Podskoczyłam przestraszona nagłym dźwiękiem.

– Anita! – zawołał Aleksander, wychylając się z okna swojego samochodu. – Podwiozę cię, chodź szybko, tu nie wolno stać!

Wsiadłam do jego samochodu tylko dlatego, że mnie zaskoczył, a w dodatku ponaglał.

– Dawno cię nie widziałem, moja droga – przywitał mnie. – A gdzie Sonia? Czyżbyś zostawiła ją z siostrą?

– Nie, została u znajomych na wsi. Przed świętami nie mam zajęć, więc pojedę po nią. Niech sobie odpocznie od miasta – wyjaśniłam.

– To dobrze, ty też trochę odetchniesz. Gdybyś miała męża, nie byłabyś taka zmęczona – zauważył cierpko.

– Aleksander, nie zaczynaj znowu. Nie mam nastroju, by wdawać się z tobą w tego rodzaju dyskusje.

– Dobrze, dobrze – uspokoił mnie. – Mówię tak, bo wyglądasz na przygnębioną.

– Nie jestem przygnębiona, tylko w marnym humorze.

– Znowu siostra? – zapytał.

– Znowu – potwierdziłam, bo nie zamierzałam opowiadać mu o Krzywym. Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Czekaj – powiedział z lekkim uśmiechem. – Mam swoje układy.

– Aleksander, co ty chcesz zrobić? – przestraszyłam się, bo znałam jego partyjne możliwości.

– Jeszcze nie wiem, ale znajdę na nią haczyk.

– Aleksander, nic nie rób. Jest niedobra, ale to moja siostra.

– I co z tego, że twoja siostra? Zasługuje na nauczkę. Nie martw się, nic jej nie będzie, ale przytrę jej trochę nosa.

Zamilkłam, bo jeśli Aleksander coś postanowił, nie przemawiały do niego żadne argumenty. Mogłam liczyć tylko na to, że będzie miał ważniejsze sprawy na głowie i o tym zapomni.

Wysiadłam pod samym domem i podziękowałam za podwiezienie.

– Nie ma za co. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń. Numer wciąż ten sam – zaznaczył.

Było już po zmierzchu, gdy wróciłam. Regina właśnie szorowała w wannie swoich chłopców.

– O, jesteś – burknęła na mój widok. Nie była w najlepszym nastroju. – Gdzieś ty była tyle czasu?

– U znajomych.

– U znajomych. Pięknie. A tutaj jakaś baba pytała o ciebie.

– Jaka znowu baba? – zdziwiłam się.

– Nie wiem. Chyba z twojej pracy, bo wiedziała o zwolnieniu.

– I co jej powiedziałaś?

– A co miałam powiedzieć? Czarowałam, że siedzisz w kolejce u lekarza, bo

małej się pogorszyło.

– Dziękuję – odetchnęłam z ulgą.

– Nie masz za co. Ona i tak coś tam sobie zapisała. A gdzie masz małą? – zapytała i wyjrzała z łazienki.

– Zostawiłam ją u znajomych. Po co mam ją wozić, skoro wrócę tam na święta?

– To znaczy, że nie będziesz na święta w domu? – dociekała.

– Nie. Już się umówiłam, że zostanę u nich do sylwestra.

– A co to za jedni? To rodzina tego chudego w okularach, co tu był? Leon powiedział, żebyś trzymała się od niego z daleka, skoro go szukają, bo jeszcze nam napytasz kłopotów.

– Niech się twój Leon nie boi. Jest wyznawcą generała, więc nic mu nie grozi – ucięłam i ostentacyjnie zamknęłam się w swoim pokoju.

Następnego dnia w pracy czekała mnie niespodzianka. Przede wszystkim nie zastałam już mojej ulubionej pulchnej kierowniczkii. Na jej miejscu siedziała elegancka, około czterdziestoletnia kobieta. O takich mówi się, że mają klasę. Drzwi jej gabinetu były szeroko otwarte, więc nie było możliwości, żeby coś umknęło jej uwadze. Doskonale widziała więc, że w szatni podeszła do mnie jedna z koleżanek i szeptem oznajmiła, że od tygodnia jest tu zupełnie inaczej. Więcej informacji nie zdążyła mi przekazać, ponieważ nowa kierowniczka wychyliła się ze swojej pieczary i uprzejmie poprosiła mnie do siebie.

– Nie miałam okazji jeszcze pani poznać – rzekła, wskazując mi krzesło. – Pani Winiarska, prawda?

Potwierdziłam skinieniem głowy i nerwowo przełknęłam ślinę.

– Należy pani do związku „Solidarność”, tak?

– Tak, koleżanka niedawno zapisywała...

– Ostatni tydzień spędziła pani na zwolnieniu.

– Tak – odparłam niepewnie, bo nie wiedziałam, do czego zmierza.

Kierowniczka przyjrzała mi się z uwagą i westchnęła, jakby miała do przetoczenia kilkutonowy kamień.

– Nie potrzebujemy już pomocy nauczyciela w naszym przedszkolu – oznajmiła chłodno.

– Nie? To znaczy...

– To znaczy, że pani nie będzie już tutaj zatrudniona.

– Zwalnia mnie pani?

– Tak należy to rozumieć – rzekła krótko.

– Ale ja kończę Studium Nauczycielskie. Od września będę miała dyplom i...

– Nie mam wolnego etatu dla nauczyciela, przykro mi – odparła rzeczowo.

Siedziałam nadal z wbitym w nią spojrzeniem, nie wiedząc, co mam teraz zrobić.

– Dziękuję pani – skwitowała, spojrzawszy na mnie zimno, i zajęła się przekładaniem dokumentów.

Wyszłam załamana, bez słowa. Zabrałam z szafki pracowniczej swoje rzeczy i opuściłam przedszkole, nie pożegnawszy się z nikim. Żal i lęk przed przyszłością zaciskały mi gardło.

– Ty już w domu? – zdumiała się na mój widok Regina.

– Tak, przedszkole zamknięte do świąt – skłamałam. Nie chciałam dzielić się z Reginą tym, co mnie spotkało. Pod płaszczykiem współczucia karmiłaby własną energią moim nieszczęściem, cieszyłaby się w duchu, udzielała głupich rad lub wypominała, że trzeba było tak albo nie trzeba było inaczej... Najlepsze, co mogłam teraz zrobić, to spakować manatki i uciec do Samotworu. Tam czekał mnie spokój, zrozumienie, szczerłość i konstruktywne, mądre wskazówki. Tam było również moje dziecko, pozostawione pod opieką niewidomego artysty i zagorzałego aktywisty. Tam wreszcie czekały ramiona, które potrafiły utulić każdy ból. Okazało się jednak, że to wcale nie było takie proste.

Do drzwi zapukał listonosz.

– Skrzynki na dole zdjęli – powiedział zasapany. Wręczył Reginie list i poszedł.

– To z domu – poinformowała Regina, trzymając w ręku białą kopertę.

– To otwórz – powiedziałam, wzruszając ramionami. Nie pierwszy raz otrzymywałyśmy list od matki. – Pewnie życzenia na święta – domyśliłam się.

Ale to nie były życzenia.

– Babcia jest w szpitalu – powiedziała Regina, przebiegając wzrokiem treść listu. – Matka bardzo obawia się o jej zdrowie, a babcia chciałaby nas zobaczyć – zrelacjonowała.

– Boże – jęknęłam i łzy zakręciły mi się w oczach. Kochałam babcię. Może źle to zabrzmie, ale kochałam ją bardziej niż matkę. – Pokaż ten list – poprosiłam.

No tak. Zaczęło się od zwykłej grypy, ale potem były powikłania. W rezultacie babcia trafiła do szpitala z ciężkim zapaleniem płuc i wyglądało to naprawdę niedobrze. Tak wynikało z listu. Zerknęłam na datę.

– Regina, matka pisała prawie dwa tygodnie temu. Do dzisiejszego dnia wiele mogło się zmienić. Trzeba tam jak najszybciej pojechać.

– To jedź – rzuciła. – Ja przecież nie zostawię dwójki dzieci.

– Jak to? Możesz zostawić chłopców z Leonem, a ja muszę tłuc się pociągiem

z Sonią.

– Mogłaś wyjść za mąż – zauważyła z pogardą. – Jak sobie pościelisz, tak się wypiszesz. Ja nie pojedę. Zresztą święta idą, ja mam rodzinę, muszę coś przygotować.

– To zabierz Leona i dzieci, pojedźmy razem. Mama się ucieszy...

– Jeszcze czego? Zresztą widziałaś kiedy naszą matkę, jak się cieszy? Wiecznie niezadowolona.

– Ale tu chodzi o babcię... Ona chce nas zobaczyć.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to ty byłaś jej oczkiem w głowie. Ja mogłam nie istnieć – odburknęła. – Nie muszę jechać.

– Dobrze, pojedę sama – zdecydowałam, patrząc na nią z niechęcią.

Zamknięta w swoim pokoju, zastanawiałam się nad organizacją tego wszystkiego. Ten, kto stwierdził, że najlepszym lekarstwem na zmartwienie jest drugie zmartwienie, miał rację. Nie myślałam już o utracie pracy. Myślałam o babci. Trzeba odebrać z Samotworu Sonię. Trzeba udać się na posterunek milicji po pozwolenie na wyjazd z Wrocławia. Trzeba kupić bilet, potem przywitać matkę. Trzeba spokoju.

Znów autobus sześćset dziewięć, niebieskawa zmięczona kurzawa za oknem. Znów mróz na drodze, pomniki w puszystych czapach, brzydki szary dom. Naga kobieta na ganku, klucz. Tego wieczoru było już za późno, by wracać. Tego wieczoru był Michał, Sonia i Walery, blask kominka i miękki plusz kanapy. Potem jedna noc na tym pluszu, z twardą poduszką pod głową. Rankiem walizka i pożegnanie.

– Zostaw Sonię – powiedział Michał. – Radzimy sobie, a ona ma się tu dobrze. Zaprzyjaźniła się z kotem i Barnabą. Kończy malować anioła na czarno. Zostaw ją.

Na dworcu tłumy. Tuż przed świętami ludzie oszaleli, choć w tym czasie inwigilacji, patroli, nadzoru, niełatwo było wyjechać. Każdy wiózł, co zdołał upolować w sklepach, gdzie z racji świąt rzucano ludziom ochłapy. Tobały i tobołki zalegały przepelnione korytarze, półki i podłogi przedziałów. Pasażerowie przysypiali na stojąco. Wciśnięta między młodego mężczyznę, usiłującego znaleźć miejsce dla swojej drugiej nogi, a łokieć kobiety śmierzdzącej czosnkiem, starałam się pozbyć ciepłej kurtki i szalika. W Poznaniu rozluźniło się na tyle, że mogłam dotrzeć do okna. Mimo mrozu uchylałam je nieco, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Na peronie siedziała kobieta okutana wełnianą chustą i jadła bułkę. Nie widziałam dokładnie twarzy, ale w jej ruchach dostrzegłam coś, co łudzaco przypominało Oksanę. Patrzyłam na nią, jak

urzeczona, bo Oksana zawsze mnie mocno fascynowała. Widok tej kobiety wzbudził we mnie chwilowe wątpliwości. Może to Oksana? Upadła na trawę, może udało się ją uratować? Gapiłam się na nią, dopóki nie zasłonił jej mężczyzna w płaszczu i czarnym kapeluszu. Wyglądał jak jakiś tajniak albo szpieg.

– Niech pani zamknie to okno – upomniał mnie ktoś z pretensją w głosie. Spojrzałam nieprzytomnie. – Zimno, niech pani zamknie – powtórzył mężczyzna stojący tuż za mną, następnie sam je zatrzasnął. Po chwili miałam przed sobą tylko brudną szybę i wspomnienie sylwetki kobiety. Wróciło „Ustronie” i nocne rozmowy z Oksaną Modlewską.

Matka chyba się ucieszyła. Naprawdę. Stała w progu domu z czerwonej cegły i długo nie potrafiła zrobić żadnego gestu ani powiedzieć jednego słowa. Patrzyła tylko, ale z jej wzroku można było wyczytać ulgę, że nie jest już sama. Liczyłam na serdeczny uścisk, gorący pocałunek na zimnym czole, cokolwiek. Ale ona wychyliła się za próg i, spoglądając gdzieś poza mnie, zapytała o Reginę.

– Nie przyjechała – westchnęła zawiedziona.

– Ja jestem, mamó – oznajmiłam, w obawie, że jestem dla niej jak powietrze. Niezbędne, ale tak naturalnie obecne, że już się go nawet nie zauważa.

– Tak, tak... Widzę przecież. No chodź, pewnie głodna jesteś po takiej podróży. I zmęczona.

– Mamó...

– Pościel już przygotowałam, od kilku dni czeka. Myślałam, że bardziej się przejmiesz, ale nie, trzeba było czekać dwa tygodnie...

– Mamó, przytul mnie proszę – zebrałam, pragnąc aż do bólu jej bliskości.

– No przecież – bąknęła zmieszana, przygarniając mnie na moment do siebie.

– Rozbierz się, zrobię gorącej herbaty, może z czarnym bzem, co? Na przeziębienie dobry, a ty zmarzłaś na kość.

– Co z babcią? – zapytałam, idąc za nią do kuchni i słuchając zrzędliwego tonu, jak brzęczenia roju much.

– W szpitalu jeszcze. Niby lepiej, ale bardzo słaba. Jutro pójdziemy do niej, zaniesiemy makowca i barszczu z uszkami, ona lubi. Ucieszy się, jak cię zobaczy. Może to i dobrze, że to ty przyjechałaś, zawsze bardziej cię kochała niż Reginę. Ech, co to za Wigilia będzie. Nikogo, tylko my dwie. Ale chociaż nie będę sama. No, a gdzie Sonia? Z Reginą pewnie została. To dobra dziewczyna, zawsze pomoże, jak trzeba. I taka rozsądna. Pewnie, po co miałaś tyle kilometrów w tłoku wieźć to dziecko. Siostra to jednak siostra. Zawsze różnie ci

będzie, jak mnie zabraknie. No wypij tę herbatę i zjedz coś. Śledzie dostałam, zaraz przyprawię cebulką. A może jajka ci usmażyć, co?

– Tak, mam, usmaż mi jajecznicę, taką dobrą, jak kiedyś mi robiłaś.

– A jaką tam dobrą? Zwyczajną jajecznicę robiłam. Co w niej było takiego dobrego? Jajko, trochę soli... Pewnie mówisz o tej, co robiła babcia, ona mleka dodawała.

– Nie, mam. Mówię o twojej jajecznicy.

– No to zrobię ci, zrobię... A co to takiego? Co ty mi tu dajesz? Bluzkę? I po co ty pieniądze wydajesz... Na pewno droga była, a co ty tam zarabiasz... Szkoda, że nie zostałam z tym dyrektorem, dobrze by ci się powodziło, ale ty zawsze musisz po swoim.

– Podoba ci się? Przymierz ją mam.

– No ładna, ładna. Ale niepotrzebnie kupowałaś, mam w czym chodzić. Potem przymierzę. A może na Reginkę byłaby dobra? Zabierz dla niej, jej się nie przelewa.

– Mam, to dla ciebie, Regina ma w czym chodzić i wcale jej się źle nie powodzi.

– Ech, ty to jesteś. Nigdy jej nie kochałaś.

Pokój babci, w którym tak lubiłam przesiadywać, nie zmienił nawet zapachu. Ta sama woń mięty i lawendy, ta sama kapa w łowickie pasy na łóżku, stary fotel, z przetartym na oparciu pluszu. I tylko nie było babci z jej miłością i dobrotliwym uśmiechem. Żal ścisnął za gardło, wycisnął łzy. Jutro miałam ją zobaczyć, chorą i słabą, w szpitalnej sali. I to wcale nie będzie radosne spotkanie.

Lżej chorzy pacjenci dostali na święta przepustki, dlatego obydwa łóżka obok tego babcinego były wolne. Przez uchylone drzwi dostrzegłam ją, taką ukochaną, mizerniutką i smutną. Leżała na prawym boku, patrząc z zadumą w ścianę z niebieskawą lamperią. Wślizgnęłam się tuż za matką, w rękę niosłam siatkę z makowcem i pierogami. Nasze kroki wyrwały babcię z apatii, podniosła głowę i zerknęła w kierunku drzwi. Jej oczy zalśniły na mój widok, a broda zadrżała w hamowanym płaczu.

– Anitka – wyszeptała łzawo. – Dziecko moje ukochane, Anitka...

Wyprzedziłam matkę i nie zważając na torbę, którą rzuciłam niedbale na stojące przy łóżku krzesło, wpadłam w wyciągnięte ramiona.

– Babciu, nareszcie! Moja kochana, najlepsza babciu! – wołałam, ściskając ją i obsypując pocałunkami. Ona zagarniała mnie ramionami ze wszystkich stron, jakby się bała, że wycieknę przez nie, rozplnę się i zniknę. Jak na słabą

starszkę, miała nadspodziewanie dużo sił.

– A toś mi, wnusiu, niespodziankę zrobiła! – zawołała rozpromieniona, odsuwając mnie na odległość ramion i przyglądając się z upodobaniem. – Och, jak ty wypiękniałaś, jaka dorosła się zrobiłaś. Boże mój, jak ja za tobą tęskniłam! Siadaj, opowiadaj.

– Mama jest ze mną – zauważyłam ze śmiechem i odsunęłam się, by mogły się przywitać.

– Widzę przecież, widzę – szczebiotała babcia i podstawiła matce pomarszczony policzek. – Weź krzeselko, kochana, a Anitka niech tutaj siada koło mnie. No, jakże ci tam w dalekim świecie? Opowiadaj.

Złapałam babcię za rękę i przytuliłam do swojego policzka.

– Babciu... Nie mogę się nacieszyć! Tak straszliwie cię Kocham – wyszeptalam ze łzami w oczach.

Przytuliła moją głowę do serca, trzymała mocno i kołysała, jak dawniej, gdy byłam mała. Potem pogładziła niezgrabnie po włosach i znów odsunęła, by uważnie przyjrzeć się mojej twarzy.

– Kochana moja, dobrze ci tam chociaż? Jak nie, to wracaj do domu. Nie patrz na nic, wracaj – powiedziała z żarem i łypnęła okiem na matkę, która w tym czasie rozpakowywała jedzenie.

– Dobrze mi, babciu. Nie dzieje mi się żadna krzywda – uspokoiłam ją. – A ty? Jak się czujesz? Nic nie wiedziałam, że jesteś taka chora. Przyjechałabym wcześniej.

– Ja chora? Jak ciebie zobaczyłam, to wszystkie choroby uciekły precz – roześmiała się rozpromieniona. Czas do domu wracać. Jak dobrze, że przyjechałaś.

Matka wyszła wcześniej, a ja siedziałam prawie do wieczora. Opowiadałam o Soni, pani Stefanii i Michale, o mieście, które pokochałam, domu w Samotworze i przyjaciółach. Tylko o Reginie nie wspomniałam ani słowem, ale ona wcale o nią nie pytała.

Na ścianie stary zegar droczył się z ciszą. Właśnie przed chwilą wciśnięty w kąt kanapy Michał przestał się odzywać. Zwodnicze wino, blask świec, cicho płynąca melodia... W takich chwilach zwykle trzyma się mocniej za rękę, całuje namiętniej, kocha na całe życie. I ufa dozgonnie, zatracając w zapachu, słowach i dotyku. Zawierając złudnemu losowi, zapada się w tę magię, wierzy, czuje drżenie serca i umiera na miłość w czyjejś sypialni.

To miała być jego sypialnia.

– Nie chcę, żeby nasza przyjaźń zawędrowała zbyt daleko – powiedział, gdy byłam już prawie pewna, gdzie spędzę dzisiejszą noc. Otrzeźwił mnie tym jednym zdaniem. Upokorzył. I zamilkł.

– Dlaczego, Michał? – jęknęłam po bardzo długiej chwili rozczarowania i zdumienia.

Wstał, podszedł do drzwi, ale zanim opuścił salon, oznajmił krótko:

– Ja muszę być sam.

– Michał, zaczekaj – zatrzymałam go. – Czy chodzi o Alicję? – zapytałam, bo odkąd poznałam tę dziewczynę, nie dawała mi spokoju.

– Alicję? – zdziwił się. – No coś ty – uśmiechnął się z ironią. – Co ma do tego Alicja?

– Nie wiem, co ma do tego, ale odkąd pojawiła się w tym domu, odnoszę wrażenie, że przestałeś się mną interesować.

Puścił klamkę, wrócił i usiadł ciężko na sofie.

– Anito, bądź uczciwa. Czy kiedykolwiek rozmawialiśmy w ten sposób o nas? Dawałem ci jakąś nadzieję? Jeśli tak, to oznacza, że nie zapanowałem nad sobą, nic więcej.

Uczepiłam się tego zdania, jak ostatniej deski ratunku.

– Nie zapanowałeś? Co masz na myśli?

– Ech! – zachnął się tylko i ukrył twarz w dłoniach.

– Michał, odpowiedz – nalegałam.

Podniósł głowę. Gdyby widział, patrzyłby w jakiś określony sposób. Umiałabym go czytać, rozumieć. Ale on miał pustkę w oczach. Przeraziłą pustkę.

– Dzisiaj rano wylałem wrzątek obok filiżanki. Posprzątałaś. Wczoraj włożyłem sweter na lewą stronę, a ty zwróciłaś mi uwagę. Nie potrafię dobrać jednakowych talerzy do obiadu i zawsze mnie poprawiasz, chociaż nigdy o tym nie mówisz. Nie odpowiadam Soni, gdy pyta, czy ta kredka jest żółta, a ta brązowa. A ile razy zawołałaś: „Michał, spójrz! Jaki piękny zachód słońca, śnieg, szron!”. To tylko niektóre sytuacje, które składają się na codzienność. A bywają znacznie trudniejsze. Czy ty myślisz, że świadomie obarczyłbym ciebie lub kogokolwiek innego takim ciężarem? Ja muszę być sam, Anito. Nie zmienię tej decyzji i nie pytaj więcej, dlaczego, bo sprawiasz mi ból.

– Ale powiedziałaś, że nie zapanowałaś. Nad czym nie zapanowałaś? – upierałam się.

– Jesteś kobietą?

– Tak.

– A ja jestem mężczyzną?

– No tak...

– No więc nie zadawaj pytań na poziomie Soni. Naprawdę, Anito, jesteśmy dorośli.

– I właśnie dlatego rozmawiamy. Jesteśmy dorośli, zdolni do kochania. Przynajmniej ja jestem do tego zdolna. I to ty sprawiasz mi ból.

Znów nie odpowiedział. Poszukał mojej dłoni i przyłożył ją sobie do serca. Czułam, jak mocno bije.

– To dla ciebie – powiedział. – I będzie tak nawet wtedy, gdy znajdziesz jakiegoś szlachetnego pana i będziesz z nim miała pół tuzina dzieci. Moje serce zawsze będzie dla ciebie życzliwe.

– Życzliwe serce – prychnęłam. – Mówisz jak opiekun społeczny. A ja się nie zgadzam, żebyś odgrywał się na mnie tylko dlatego, że jakaś tam Alicja odrzuciła twoje zaloty! – rzuciłam na chybił trafił, sądząc, że rozszyfrowałam zagadkę.

– Co też ci przyszło do głowy? – zdziwił się szczerze. – Nigdy nie zabiegałem o Alicję – dodał.

– Nie? – zapytałam skonsternowana. – Byłam pewna, że o to chodzi. Alicję uważam za kapryśną, nabzdyczoną księżniczkę.

– Chyba ją trochę tym krzywdzisz – odrzekł spokojnie. – Wprawdzie nigdy nie była w moim guście, ale wbrew pozorom to dobra dziewczyna.

– To dlaczego jej nienawidzisz?

– Nie używaj takich mocnych słów. To nieprawda, że jej nienawidzę, bo nie mam powodu. Czasami mam żal. Wiem, że nieuzasadniony, bo często nie mamy

wpływu na to, co się dzieje.

– A co się stało?

– Właściwie nic. Ona i Kaśka zakochały się w sobie. Są teraz parą.

– Rozumiem – skwitowałam, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Byłam tym zaskoczona.

– Cieszę się, że rozumiesz, ale nie wiąż tego faktu z moją decyzją. Chcę być sam, ponieważ, jak powiedziałem, nie chcę nikogo sobą obarczać. I przede wszystkim to powinnaś zrozumieć.

– To też rozumiem, Michał – powiedziałam ze smutkiem. – Nie będę tu przyjeżdżać.

– Ależ przyjeżdżaj! Zawsze będziesz mile widziana.

– Przestań, Michał. To nie o to chodzi.

Drzwi, przed którymi siedziała Matylda z jaszczurczym spojrzeniem w nieistniejącej twarzy, zostały w tym samym miejscu. Wszystko, co spotkało mnie za tymi drzwiami, również tam zostało. Zabrałam tylko swoją szlachetność, którą próbowałam za wszelką cenę wcisnąć Michałowi. Nawet nie wiedziałam, czy to, co do niego czuję, można nazwać prawdziwą miłością. Podobno trzeba bez obrzydzenia wyprać czyjeś przepocone skarpetki, a w skrajnych przypadkach oddać mu nerkę, żeby się o tym przekonać. Nie wiem, jak z nerką, ale skarpetki bym wyprała. Skarpetki tak, bez wątplenia.

Ciągnęłam Sonię za rękę i nie próbowałam nawet odpowiadać na jej pytania. Brudny jak nasze pożegnanie śnieg wymykał się spod butów, zostawał z tyłu, razem z popołudniem wieńczonym czerwonym zachodem. Na tę samą czerwień patrzyłby teraz Michał, gdyby mógł widzieć. Gdyby mógł widzieć, pozwoliłby mi zostać. I pozwalałby mi na zachwyt w rodzaju: „Spójrz, jaki piękny zachód!”. Oglądałby ze mną ten zachód i tuliłby mnie do serca, a ja wierzyłabym, że bije dla mnie. Gdybym mogła, oddałabym mu swoje oczy. I nerkę, do cholery, też bym mu oddała. Żeby tylko zechciał przyjąć.

Zatrzymałam się tak nagle, że biegnąca obok mnie Sonia omal się nie przewróciła.

– Wracamy – powiedziałam tylko i pociągnęłam ją z powrotem. Przebierała małymi nogami w za wielkich butach, bo tylko takie mogłam dostać w sklepie, i już o nic nie pytała. Dawno dostrzegła, że świat dorosłych jest światem niepojętym.

Otworzył mi Walery, który widocznie wypatrzył nas przez okno. Wepchnęłam mu w ramiona Sonię i, biegnąc po dwa stopnie, dopadłam pracowni Michała. Otworzyłam drzwi jednym pchnięciem i zatrzymałam się w

progu. Stał przy oknie, zwrócony twarzą do ogrodu. Czerwone smugi zatrzymywały się na nim, rzucając czarny cień na podłogę.

– Michał – zawołałam półgłosem.

Odwrócił się gwałtownie i ruszył do mnie, wyciągając ramiona. Wpadłam w nie z westchnieniem ulgi, wtuliłam się w roboczy kombinezon i płakałam ze szczęścia. Michał zagarniał mnie raz po raz ramionami, przyciskał do siebie tak mocno, że traciłam oddech.

– Michał, proszę...

– Cicho... Cicho, Anita. Nic nie mów, nic...

Ranek wstał mroźny. Z łóżka obserwowałam, jak Michał czyści kominek, podkłada nowe drewno, rozpala ogień. Widocznie nabrał już wprawy, bo gdybym nie wiedziała, że jest niewidomy, sądziłabym, że po prostu bywa trochę flegmatyczny i ma mniej pewne ruchy. Sięgał po omacku po spiętrzone polana, ułożone w symetrycznej powtarzalności, w systematycznym ładzie, jakby od tej estetyki zależała jakość ognia w kominku.

– Zawsze jesteś taki dokładny? – zauważyłam.

– Kiedyś nie byłem. Teraz porządek ułatwia mi życie – odparł.

Rozpalili ogień i wrócił do mnie, zamieniając pachnące nami prześcieradło w nową pieśń miłosną. I tyle mocy było w tańczącej nade mną twarzy, i tyle doznań w podróży na niebiańską stronę, i tyle smutku, że nie mógł widzieć mojej rozkoszy.

Leżałam potem obok niego z szeroko otwartymi oczami i myślałam o trwałości uczuć. Nie wierzyłam, że to, co zaistniało między nami, zamieni się w dom, pachnący świeżym praniem i obiadem, rozkosznymi dziećmi i nami, małżeńskim stadłem na wieki. Michał tego nie pragnął, tak czułam.

Cisza trwała zbyt długo i podświadomie zaczęłam czekać na pytanie, o czym myślę.

– O czym myślisz? – zapytał, wstając i naciągając spodnie, a ja uśmiechnęłam się do swoich wynurzeń.

– Myślę o tym, że nas nie będzie – powiedziałam, rozciągając się leniwie. Nie było w tym tonie dramatu, była zwyczajność, bo święcie wierzyłam w to, co mówię.

– Nas nie będzie? – zdziwił się. – Co masz na myśli?

– To, że będziesz ty i będę ja, ale nie będzie nas.

– A niby dlaczego? – zapytał, śmiejąc się, ale ten śmiech nie zabrzmiał szczerze. Michał był czujny jak zając.

– Ponieważ ty we mnie nie wierzysz, więc zostanę kobietą niezależną –

odparłam butnie.

– Jak to nie wierzę? I kto ci broni być kobietą niezależną? – obruszył się.

– Kobieta niezależna nie dąży do trwałego związku. Nie potrzebuje go. A wczoraj mówiłaś, że mnie nie chcesz. Ja z kolei nie chcę nikogo innego.

– W porządku. Jeśli któraś nie potrzebuje, czy też nie chce, wcale nie musi go mieć. Ale ty powiedziałaś, że mnie kochasz, tak?

– Tak. Ty też to powiedziałaś.

– Jasne. Zostawmy to. Z moją miłością zrobisz, co zechcesz. Wyjaśnij mi tylko, co rozumiesz przez swoją niezależność.

– To, co wszyscy. Będę samowystarczalna materialnie, będę sobie sama radziła z załatwianiem wszystkich spraw, wychowam sama swoje dziecko, a jeśli zepsuje mi się coś w domu, to wezwę majstra i mu zapłacę. Proste.

Wysłuchał mnie do końca, potem usiadł na łóżku.

– Źle to pojmujesz, kochanie – rzekł spokojnie. – Niezależność wcale nie polega na tym, o czym mówisz. Niezależność to posiadanie własnych przekonań i dążenie do spełnienia swoich pragnień. Poczucie własnej wartości i gwizdanie na to, co sądzą o tobie inni. Taka niezależność nie wyklucza jednak bycia z kimś, kogo się kocha.

– Nie wiem, czy cię kocham. Chociaż oddałabym ci nerkę.

Roześmiał się, podobnie jak w nocy, gdy mu tę nerkę po raz pierwszy zaproponowałam.

– Rozumiem. Na razie szczęśliwie jej nie potrzebuję. Pomówmy o tobie. Jeśli twoim przekonaniem jest samodzielność pod każdym względem, ja nie mogę ci tego zabronić. Chcę tylko, żebyś zastanowiła się nad swoimi emocjami związanymi z krzywdą, jakiej doznałaś w życiu, bo sądząc po twoich słowach, tak właśnie było. Moim zdaniem powinnaś usunąć ze swojego otoczenia wszystkie osoby, przy których nie czujesz się dobrze.

– Łatwo ci mówić. A jeśli to jest moja własna siostra, z którą mieszkam? Ty na pewno też czasem spotykasz, albo raczej spotykałeś, taką osobę. Przy kimś takim ciężko normalnie żyć, bo to pesymista pełen goryczy i złośliwości. Będzie odbierał twoje siły, a w zamian prezentuje złą energię. Moja siostra jest właśnie taka. Gasi mnie, ciągnie do ziemi, odbiera chęć działania, uśmiechania się, mówienia. I im ze mną gorzej, tym z nią lepiej. Wysysa ze mnie całą energię. A ja nie mam dokąd uciec.

– Przede wszystkim nie spotykałem, a spotykam. Ja nie umarłem, Anita. Straciłem jedynie wzrok, to wszystko. Wierz mi, że można stracić dużo więcej. A co do ciebie, uważam, że trzeba znaleźć sposób, żeby się z nią rozstać, choćby

mentalnie. I nie zawracać sobie nią więcej głowy. Po co ma cię ograniczać? Ty masz swoje życie, a ona swoje. Niech więc przeżyje je sobie jak chce, w swoim świecie, a na starość zostawi sobie zgorzkniałość i zgryźliwość.

– Ty nic nie rozumiesz, Michał. Ona przy tym wszystkim jest chytra i przebiegła. Ograbia mnie ze wszystkiego, materialnie też. Kiedy ciocia Rozalia umarła...

– Wiem, opowiadałaś mi o tym – przerwał mi.

– Nie umiem z nią walczyć – westchnęłam.

– A po co masz z nią walczyć? Niech postępuje jak chce i rozlicza się z własnym sumieniem – odparł. – Ty zadbaj o siebie. Nie obmyślaj żadnej strategii czy zemsty, bo szkoda na to czasu. Zajmij się własnymi sprawami, postaw sobie przyzwoity cel i go realizuj. Nie wierzę, żebyś chciała poświęcać uwagę chytrusce i egoistce. Życie samo się na niej zemści, bo karma się odwraca. A tak na marginesie, jeśli masz inną możliwość, niż przebywanie z nią pod wspólnym dachem, wykorzystaj ją.

– Jaką możliwość? Przecież nie mam dokąd pójść.

– Masz, tylko wciąż nie przyjmujesz tego do wiadomości. Możesz zamieszkać tutaj.

Coś na dole trzasnęło i po chwili do sypialni zapukał Walery.

– Jacyś ludzie przyjechali – powiedział przez zamknięte drzwi.

– To Ignac i Barnaba – rzucił mi przez ramię Michał i ostrożnie wyszedł z sypialni. W takich momentach miałam ochotę podbiec do niego, chwycić pod ramię i poprowadzić wszędzie tam, gdzie akurat potrzebował. Powstrzymałam się jednak przed tym gestem. Zostałam w pokoju i przez chwilę jeszcze myślałam o tym, co powiedział, ale nie podjęłam żadnej decyzji. Na razie zostałam, bo tam, we Wrocławiu nic mnie nie czekało.

Reszta tygodnia upłynęła na wielkich porządkach, do których wreszcie udało mi się namówić Michała. Opróżnialiśmy szafy z pachnących naftaliną ubrań ojca i Oksany. Wybieraliśmy książki, które nie miały dla niego znaczenia, a mogły przydać się wiejskiej bibliotece. To znaczy, ja odczytywałam tytuły, a on podejmował decyzję. Odkryliśmy dawno zaginione dłuta rzeźbiarskie, a na dnie nieużywanego łóżka – płótna z udanymi malarskimi próbami Augusta Gawędy. To znaczy, według mnie były one udane, bo Michał tego nie widział. W pokoiku na górze, gdzie siedząc na sfatygowanej wiśniowej poduszce wspartej na toczonych nóżkach równie starego krzesła, segregowaliśmy archiwalne czasopisma i stare dokumenty, przeglądałam papiery znajdujące się w tekturowej teczce. Czytałam głośno, czego dotyczyły, a on decydował, co należy

z nimi zrobić. W ręce wpadło mi jednak coś, co mogło radykalnie zmienić sytuację Michała. Mogło, ale nie musiało. Paradoksalnie, sytuacja ta zależała ode mnie. Przebiegałam wzrokiem kolejny raz urzędowe pismo, a fala gorąca oblewała mnie od stóp do głów.

– Co tak zamilkłaś? – zapytał zaintrygowany.

– Zamyśliłam się – odparłam spłoszona i ukryłam dokument za koszulą.

Anitka? A to dopiero! Niedawno myślałam o tobie. Człowiek stary, to nikt do niego nie chce zaglądać. O, i Sonia jest! – Pani Stefania otworzyła szeroko drzwi swojego mieszkania. – No chodźcie, ziąb taki na dworze, aż do domu ciągnie.

– Dzień dobry, pani Stefanio. Stęskniłyśmy się – mówiłam, wycierając dokładnie obuwie i popychając przed sobą małą. – Przywitaj się, Soniu.

Pani Stefania, nie czekając, złapała ją w ramiona i wyściskała za wszystkie czasy.

– A to niespodziankę mi zrobiłyście! – zawołała. – A ja dziś nie mam ryżowych szyszek – dodała po chwili zawiedziona.

– Nic nie szkodzi. Sonia i tak ostatnio nie ma apetytu, nie powinna jeść słodczy. Ja tu do pani przyszedłam z prośbą – powiedziałam, zerkając na nią niepewnie.

– Wiedziałam, że tak bezinteresownie to ty nie przyszedłaś – zażartowała. – Masz jakieś kłopoty? Powiedz.

– Kłopoty mam jak każdy, ale w nich mi pani nie pomoże – rzekłam ze smutkiem. – Przyszedłam, bo przywiozłam od mamy cały worek włóczki...

– Ach, chcesz, żebym zrobiła ci sweter, tak? No pokaż tę włóczkę.

– Nie, pani Stefanio, nic podobnego. Nie chcę pani, broń Boże, wykorzystywać. Mama kupowała tę włóczkę dawno temu, jest jej naprawdę dużo. Chcę, żeby pani nauczyła mnie robić takie śliczne wzory.

– No to pięknie, Anitko. Pewnie, że cię nauczę. Ale najpierw ty mi się przysłuż. Ślisko tak dzisiaj, bałam się do sklepu wyjść. Jak byś tak mogła po chleb pobiec...

– Oczywiście, pani Stefanio. Tylko chleb?

– Może jeszcze maselko dostaniesz – powiedziała, wciskając mi do ręki kartkę na masło i drobne pieniądze.

Szłam do znanego mi sklepu, wymachując pustą siatką. Tyle wspomnień łączyło mnie z tą ulicą. Przeważnie dobrych, ale nie miałam ochoty natknąć się na nikogo ze znajomych. A jednak. Przed domem z zieloną bramą stała Florka i chuchała w zgrabiące ręce.

– Anka! – zawołała na mój widok. – Masz może fajki?

– Przecież wiesz, że nie palę – odparłam, zbliżając się do niej.

– Ale zapytać można, nie? Wstąpisz? Chlapniemy po jednym...

– Nie, dziękuję, Florka. Śpieszę się... Florka, pamiętasz, jak wpadłaś do mnie z wiadomością, że Wilk miał wypadek?

– Coś tam pamiętam, jak przez mgłę – zmrużyła oczy i usiłowała sobie przypomnieć.

– Co z nim?

– Nie wiem. To było w Gdyni. Skąd mam wiedzieć? Słyszałam tylko o wypadku, bo Krzywy teraz wiesz, blisko milicji – zaśmiała się.

– Ach, w Gdyni – bąknęłam zawiedziona.

– Od kiedy tak obchodzi cię Wilk? – zdziwiła się. – A co z Walerym? – zapytała i uciekła wzrokiem gdzieś na bok. – Widujesz go?

– Tak, widuję – odparłam, przyglądając się jej badawczo. – Mam coś przekazać?

– Nie, nie – zaprzeczyła gwałtownie. – Nic mu nie mów. On jest dla mnie za porządny.

– Kiedyś nie mówiłaś, że za porządny. Ale wtedy prawie nie piłaś, Florka – powiedziałam z żalem. – Pójdę już, muszę kupić chleb dla pani Stefanii. Potem może nie być.

– Wiesz co? Pozdrów ode mnie Walerego, jak go zobaczysz – rzuciła na pożegnanie, odprowadzając mnie smętnym wzrokiem.

Cały dzień przesiedziałyśmy z Sonią u pani Stefanii. Ona uczyła mnie dziewiarstwa, a ja w zamian opowiadałam jej o wszystkim, co się w międzyczasie u mnie wydarzyło.

– Oj, widzę, że życie cię nie głaszcze – zauważyła, kiwając głową. – Najgorzej z tą pracą...

– Kończę Studium Nauczycielskie. W czerwcu dostanę dyplom. Od września poszukam pracy jako nauczycielka – rzekłam bez entuzjazmu.

– No tak, ale dopiero jest styczeń. Musisz za coś żyć – martwiła się. – Wiesz co? Ja Alicji popytam. Ona ma różne znajomości, może coś się znajdzie.

– Będę pani wdzięczna, pani Stefanio. Zajrzę tu za parę dni.

Z nowymi umiejętnościami i pełna nadziei wróciłam do domu. Regina stała przed lustrem w łazience i usiłowała obciąć sobie włosy.

– Podetniesz mi tam z tyłu? – zapytała na mój widok.

– Dlaczego nie pójdziesz do fryzjera? – odpowiedziałam pytaniem, biorąc od niej nożyczki.

– Taniej w domu. No tnij, śmiało – zachęcała.

– Przestań się kręcić, bo będzie krzywo – upomniałam, rozczesując jej włosy.

Postrzyżyny przerwało nam głośne pukanie do drzwi. Podpity dozorca starał się przybrać służbową postawę, gdy wprowadzał mężczyznę o surowej twarzy. Tuż za nimi wkroczył dzielnicowy. Po raz pierwszy zjednoczyliśmy się z Reginą we wspólnym zdziwionym niepokoju.

– Wincenty Orężnik – przedstawił się ten surowy. – Jestem prezesem spółdzielni mieszkaniowej.

– Poproszę o dokumenty – zażądał w tym samym momencie dzielnicowy.

Obie natychmiast dopadłyśmy swoich torebek w poszukiwaniu dowodów osobistych, by podać je stróżowi prawa. Milicjant lustrował ich treść, a dozorca, przestępując z nogi na nogę, pocierał w zakłopotaniu palcami nos.

– Obywatelka nie jest tu zameldowana – zwrócił się do Reginy dzielnicowy.

– Nie... Nie zdążyłam, ja się niedawno przeprowadziłam – bąknęła.

– Kiedy niedawno? Dzisiaj?

– A gdzie tam, dzisiaj – wtrącił się dozorca. – Kilka miesięcy już tę panią widzę.

– No więc? Nie zna obywatelka przepisów? – spojrzał groźnie. – Jest stan wojenny. Za brak meldunku będzie kolegium.

– Znam, znam przepisy... Tyle miałam na głowie, zapomniałam – tłumaczyła się głupio. Była blada jak śmierć i trzęsły jej się ręce. W drzwiach pokoju stanął zaciekawiony Pawełek i pracowicie dłużył palcem w nosie.

– Obywatelki mieszkają tu razem?

– Tak, to moja siostra – bąknęła znów Regina i zerknęła na mnie.

– Siostra. To wiemy – rzekł dzielnicowy i zawiesił na niej zimny wzrok. Pytamy, czy mieszka obywatelka u siostry.

– Tak – przyznała. – Najpierw wynajmowałam mieszkanie gdzie indziej, ale drogo było, więc siostra... Więc się do siostry... No, więc zamieszkaliśmy całą rodziną tutaj, jak ciotka umarła.

– Bez zameldowania – podkreślił kwaśno dzielnicowy.

Skruszona Regina opuściła głowę.

– No właśnie – zauważył prezes. – Główna lokatorka umarła. A panie zapewne wiedzą, że nie mają prawa pozostawać w spółdzielczym mieszkaniu nieżyjącego najemcy?

– Spółdzielczym? – wytrzeszczyłam oczy. – Mówiłaś, że... – zwróciłam się do Reginy, ale umilkłam, gdy zaczęła dawać mi rozpaczliwe znaki oczami.

– Co mówiła siostra pani? – zaciekawił się prezes.

– Utrzymała, że to była własność ciotki. Własność, którą ciocia przepisała na nią, to znaczy na moją siostrę, Reginę.

Prezes uśmiechnął się kpiąco.

– Proszę mi pokazać ten dokument – zwrócił się do Reginy.

– Nie mam – przyznała się natychmiast i uciekła wzrokiem, gdy próbowałam pochwycić jej spojrzenie.

– Oczywiście, że pani nie ma, bo ciotka nie mogła takiego dokumentu sporządzić – oświecił ją prezes. – Prawo do mieszkania spółdzielczego jest niezbywalne, proszę pani. Czyli nie może być odziedziczone. Musiałaby pani być członkiem tej spółdzielni. Jest pani?

– Nie... – wyjąkała Regina.

– No, nie jest pani, nie jest... – pokiwał z politowaniem głową prezes.

– Ja też nie – przyznałam się od razu.

– Ano właśnie – dziobnął palcem w moim kierunku. – W dodatku nie poinformowała pani spółdzielni o śmierci głównego najemcy. A tak robić nie wolno. Należy niezwłocznie zgłosić. Niezwłocznie! – pouczył mnie, grożąc sugestywnie palcem.

– Ale obywatelka płaciła, tak? – zainteresował się dzielnicowy. Jeśli płaciła, powinna wiedzieć, że to mieszkanie spółdzielcze. Przecież to wszystko jest napisane.

– Ja płaciłam – przyznała się Regina.

– No właśnie, opłaty wpływały, przez co nie zarejestrowaliśmy braku najemcy. Czyli pani wiedziała, tak? – napadł na nią prezes.

– Tak...

– I utrzymywała pani siostrę w błędnym przekonaniu, że mieszkanie stanowi teraz pani własność? Dlaczego?

Regina opuściła głowę jeszcze niżej.

– Moja siostra, podając się za właścicielkę, pobierała ode mnie każdego miesiąca opłatę za wynajem – powiedziałam cicho, bo było mi wstyd. Wstyd za obrzydliwy postępek Reginy.

– To sprawa kryminalna – zauważył dzielnicowy i spojrzał z naganą na Reginę. – Spiszemy protokół!

– Coś takiego... Coś takiego... – sapnął prezes i sięgnął po chusteczkę, bo krople potu wystąpiły mu na czoło. – A pani mieszkała tu wcześniej? – zwrócił się znów do mnie.

– Jakiś czas tak, potem się wyprowadziłam na kilka miesięcy. Przebywałam z ciocią jedynie ostatnie dni przed śmiercią, kiedy się nią opiekowałam.

– Hm... Ale wyprowadziła się pani... Szkoda – zafrasował się prezes i potarł dłonią podbródek. Ale oczka miał lisie, przebiegłe. – Gdyby stale pani mieszkała, miałyby prawo wstąpić do spółdzielni w miejsce zmarłej, a tak, to przepadło.

– Ale ja też tu bywałam – zaatakowała go Regina.

– Niech pani się już lepiej nie odzywa – powiedział ze złością prezes i spojrzął na nią z obrzydzeniem. – Poza tym lokatorskie prawo do mieszkania spółdzielczego może przysługiwać tylko jednej osobie i jak powiedziałem, pani Winiarska miałyby pierwszeństwo, gdyby była zameldowana.

– Obywatelka Winiarska wciąż jest tu zameldowana – zaznaczył dzielnicowy, zaglądnąwszy do swojego dowodu.

– Tak? – zdziwił się prezes, starając się ukryć rozczarowanie. Chrząknął zakłopotany i przeczesał dłonią rzadkie włosy. – Ale no... tego... Szkoda, doprawdy szkoda, że nie mieszkała pani tutaj. Powrót na kilka dni się nie liczy. Bo widzi pani, do każdego mieszkania jest naprawdę długa kolejka. Ludzie latami czekają, proszę pani. Latami! A pani, jak powiedziała, była łaskawa swojego czasu się stąd wyprowadzić, więc, cóż... Nie przysługuje... No nie przysługuje... – zajęczał, niemal załkał w udawanym żalu. – Trzeba opuścić lokal. Jak najprędzej opuścić lokal – zakończył rzewnie.

– Obywatelka Winiarska przyjedzie na komisariat i złoży zeznania – zwrócił się do mnie dzielnicowy, mierząc jednocześnie zimnym spojrzeniem Reginę. – A obywatelka – zajrzał do dowodu – Gronowska się doigrała. Brak zameldowania, oszustwo i wyłudzenia! Żeby tylko na kolegium się skończyło. Ale może obywatelka iść do ciupy! – ostrzegł z ledwie ukrywaną satysfakcją.

Kiedy wyszli, zadzwonił telefon. Regina z wściekłości zatrzasnęła się w łazience, podeszłam więc do aparatu.

– Już? Po wszystkim? – usłyszałam wesoły głos Aleksandra. – Wszystko się udało?

– Nie. Nie mam gdzie mieszkać – odparłam, uświadomiwszy sobie, komu zawdzięczałyśmy tę wizytę.

– Ależ Anito! – oburzył się. – Wszystko według planu. Zamieszkaś ze mną.

Autobus pęczniał od nadmiaru pasażerów. W godzinie szczytu przemieszczał swoje nabrzmiałe ciało poza granicę miasta. Śnieg właśnie zaczął na nowo padać. Zasypywał przednią szybę, bawiąc się w berka z ospałymi wycieraczkami. Śledziłam nasilającą się zawieję za oknami. Krajobrazy umykały przed ścigającym je wzrokiem.

Po ostatnim incydencie z Reginą i utracie mieszkania zdecydowałam się na rozpoczęcie nowego rozdziału swojego życia. Ale nie z Aleksandrem, choć bardzo nalegał, tylko z Michałem w roli głównej. Michał jeszcze nie wiedział, co kryła moja walizka. Spoczywał w niej akt notarialny dotyczący własności domu. Ważny dokument poświadczający prawo Oksany Modlewskiej do nieruchomości, w której mieszkał, niczego nieświadomy. Umowa kupna-sprzedaży dotyczyła Oksany Modlewskiej i jakiegoś pana Bronisława Ostańskiego, a nie Augusta Gawędy. Ojciec Michała nie miał z tym nic wspólnego. Byłam więc posiadaczką tego niezwykle istotnego dokumentu, sporządzonego przez notariusza, opatrzonego pieczętą i ważnym podpisem ważnego urzędnika. Mówił on czarno na białym, że prawowitą właścicielką nieruchomości przy ulicy Świerkowej 43 jest Oksana Modlewska, a Michał Gawęda nie miał tu nic do roboty. Skoro jednak wszystko wskazywało na to, że Oksana zginęła śmiercią tragiczną, rzucając się z okna, a przedtem twierdziła, że nie ma nikogo bliskiego i przekazała własność mnie, sprawa wydawała się jasna. Michał zaś albo nic nie wiedział, albo udawał przede mną, żeby zachować dom.

Rozstanie z Reginą do przyjemnych nie należało, jak wszystko, co wiązało się z moją siostrą. Mimo to moje zeznanie nie spoczęło na biurku w komisariacie, choć przesłuchujący mnie milicjant zapewnił, że całą kwotę płaconą Reginie za wynajem mieszkania, z wyjątkiem pieniędzy przeznaczonych na czynsz, odzyskam. Nie chciałam świadczyć przeciwko siostrze, pomimo przykrości, jakich od niej doznałam. Mieszkanie opuszczaliśmy tego samego dnia. Ona zionęła do mnie nienawiścią, a ja byłam szczęśliwa, że nareszcie wszystko się skończyło. Nawet utrata mieszkania, chociaż niesłuszna, była dla mnie pigułką do przełknięcia, zresztą podejrzewałam, że to Aleksander maczał w tym palce, żeby zwabić mnie do swojego domu. Michał cieszył się jak dziecko. Po rzeczy

zgłosił się Barnaba i zabrał wszystko, co do mnie należało.

Na razie akcja wciąż toczyła się w autobusie, pełnym zamyślonych, szarych ludzi, dojeżdżających z pracy do domu. Dużo dałabym za to, by znaleźć jakieś przyzwoite zajęcie i móc do nich dołączyć.

Gdy przekraczałam furtkę, ciągnąc za sobą mrok zapadającego wieczoru, Sonia spała w najlepsze na sankach, opatulona grubym kocem. Pewnym ruchem sięgnęłam za dekollet Matyldy i wydobyłam klucz, którego więcej tam nie schowałam. Poczucie własności dało mi jednocześnie pewność siebie, kiedy pokonywałam próg tego domu. Przez cały czas mitygowałam się w duchu, by nie przekraczać granic i zachowywać się tak, jak dotąd. Pierwszy przywitał mnie Walery, który gawędził z Ignacem w pracowni.

– Gdzie Michał? – zapytałam po krótkim powitaniu.

– Zamknął się u siebie i lepi te swoje dzbanki – objaśnił Walery.

– Pójdę do niego – odparłam. – A ty, Ignac, jeszcze tutaj? Nie zdążysz przed godziną milicyjną – ostrzegłam.

– Przenocuję dzisiaj, mam sporo roboty – powiedział i podniósł się leniwie. – Barnaba i dziewczyny też zostają. Robią właśnie kolację w kuchni.

– Zajrzę tam – powiedziałam sucho. Nie podobało mi się, że rządzą się jak u siebie. Ciekawe, że dotąd mi to nie przeszkadzało. Rozebrałam Sonię i pozwoliłam jej się jeszcze chwilę pobawić. Pobiegła od razu do pracowni.

W kuchni cała trójka siedziała przy stole i zaśmiewała się do łez. Wokół nich brudne talerze, na kuchence upaprany czymś garnek, kubki i szklanki niemyte chyba od tygodnia, bo trudno było znaleźć choć jedną czystą. Zaciśniełam zęby i bez słowa poszłam na górę. Michał siedział jak zwykle w ciemnościach, słycać było tylko szum koła garncarskiego. Zapaliłam światło.

– Kto tu jest? – zapytał. Podeszłam do niego i pocałowałam go w usta.

– Anita, kochanie – przerwał robotę i pogłodził mnie po policzku upaprana gliną dłonią.

– Michał! – oburzyłam się. – Ty paskudny draniu! – zanurzyłam rękę w mokrej mazi i pacnęłam go po twarzy.

– Takaś ty? Czekał! – zawołał i chlapanął znów we mnie.

Odwdzięczyłam mu się solidną porcją i po chwili sami wyglądaliśmy jak jego dzbanki, tyle że on mógł to sobie jedynie wyobrazić. W pewnym momencie wstał i przytulił mnie mocno.

– Anita, tak się cieszę, że jesteś. Zostaniesz? – zapytał.

– Nie wiem – przekomarzałam się. – Walery twierdził, że masz zły humor.

– Ech, nie słuchaj Walerego. To nieprawda. Mam znakomity humor, kiedy

jesteś przy mnie. Zostaniesz?

– Pewnie, że tak. Nawet na dłużej. Może na zawsze, jeśli będziesz tego chciał – powiedziałam, zniżając głos.

Cisza trwała tak długo, aż straciłam całą pewność siebie.

– Anita, jesteś tego pewna? – zapytał w końcu. – Na pewno chcesz ze mną być?

– Chcę – skwitowałam krótko.

– Wobec tego postaram się, żeby to się nie zmieniło – powiedział czule.

Potem zeszliśmy do pracowni i urządziliśmy wielkie święto. Zanosilo się na bardzo wesołą noc, ale gdy Majka zaczęła śpiewać Soni kołysanki, Michał zdenerwował się okropnie.

– Przestań! Nie śpiewaj tego! Nigdy więcej nie śpiewaj w tym domu żadnych kołysanek!

Majka zamilkła zdziwiona i chyba tylko ja zrozumiałam jego ostrą reakcję.

Rankiem Walery oświadczył, że wybiera się z całą ekipą do Wrocławia.

– Nie boisz się? – zapytałam z niepokojem.

– Nie. W tamtą stronę pojedę ze wszystkimi. Zajrzę tylko do mojego mieszkania i zabiorę trochę rzeczy. Myślę, że sprawa już przycichła i przestali mnie szukać. Wrócę autobusem po południu – uspokoił mnie.

Po ich wyjeździe zrobiło się nagle bardzo cicho. Michał zasiadł do garncarskiego koła, Sonia bawiła się klockami w dużej pracowni, a ja zabrałam się za porządki w kuchni. Świadomość, że jestem u siebie, dodawała mi skrzydeł. Umyłam naczynia i blaty, zajęłam się porządkowaniem szafek, wyrzucając całą górę niepotrzebnych rzeczy. Wór pustych słoików i butelek po mleku, dziurawy czajnik, sympliczki artykuły spożywcze zalegające półki chyba od kilku lat, opakowania po cukrze i makaronie, i mnóstwo innych śmieci. Na koniec wyszorowałam podłogę. Zdjęłam poszarzałą firankę i zawiesiłam świeżą, którą znalazłam w komórce, zwaną przez Michała bieliźniarką. Kiedy wreszcie zrobiło się przejrzyste i przyjemnie, pobiegłam po Michała, żeby pochwalić się efektem. Zwolniłam w połowie schodów. Przecież on tego i tak nie zobaczy – pomyślałam ze smutkiem. Wróciłam do kuchni i zabrałam się za szykowanie obiadu. Gdy Michał siedział już przy nakrytym stole, a ja poszłam po Sonię, zastanowiło mnie jej zachowanie. Siedziała na podłodze i wyraźnie z kimś rozmawiała radosnym głosem. Śmiała się przy tym i klaskała w ręce.

– Soniu, dość tej zabawy – powiedziałam stanowczo. – Umyj ręce i chodź do kuchni na obiad.

Nie protestowała, ale spoważniała nagle i poinformowała powietrze przed

sobą:

– Poczekaj tu na mnie, zaraz wrócę.

Zignorowałam jej dziecięcą fantazję i pozostawiłam to bez komentarza, jednak gdy wieczorem kazała komuś już iść „do swojego domu”, przestraszyłam się nie na żarty.

– Soniu, z kim ty rozmawiasz?

– Z dziewczynką, ale już sobie poszła – odparła. – Jutro też przyjdzie – dodała, budząc we mnie grozę. Nie chciałam rozwijać tematu przed snem, więc pocałowałam ją tylko na dobranoc i na palcach opuściłam pokój, z nadzieją, że do jutra zapomni.

Po tym męczącym dniu zasiedliśmy w zakurzonej salonie do wieczornej herbaty. Znowu nie było prądu i chcąc nie chcąc, musiałam zapalić świece.

– A gdzie Walery? – zapytał od niechcienia Michał. Struchlałam. W wirze zajęć zupełnie o nim zapomniałam.

– Pojechał do Wrocławia, miał wrócić po południu – mówiłam, podchodząc do okna. Odśloniłam firankę i długo wpatrywałam się w czerń nocy. Za oknem sypał drobny śnieg, przykrywał puchem drzewa i posągi. Wokół było śmiertelnie cicho. I strasznie. Nocny ogród przerażał. Odwróciłam się do Michała i wtedy dostrzegłam jego uśmiech, który w blasku migotliwych świec wydał mi się upiorny.

– Michał – wykrztusiłam. – Co ty robisz? Z czego się śmiejesz?

– Nie śmieję się, kochanie, tylko uśmiecham się do ciebie. Cieszę się, że jesteś i zdecydowałaś się zostać tu na stałe – powiedział ciepło. Jego głos mnie uspokoił. Podeszłam bliżej, a cień, który padł na jego twarz, przegonił wszystkie demony.

Czekaliśmy do północy, ale Walery się nie zjawił.

W sypialni było zimno. Michał nie rozpałił w kominku, a elektryczny grzejnik wystygł. Wtuliłam się w ciepłe ramię Michała i próbowałam zapomnieć, że nie widzi mojej najładniejszej, koronkowej koszulki.

– Opowiedz mi o swoim dziadku – poprosiłam zniechęta.

– O dziadku? – zdziwił się. – Co chcesz wiedzieć o moim dziadku?

– Wszystko – wymruczałam leniwie. – Chcę znać twoje korzenie.

– Dobrze – zgodził się. – Tego ze strony matki prawie nie znam. Mogę opowiedzieć ci o dziadku Gawędzie.

– Tak, mów – ponagliłam i umościłam wygodniej głowę w zagłębieniu jego ramienia.

– Dziadek miał na imię Jan. Jan Gawęda. Pochodził z kresów wschodnich,

konkretnie z miasteczka Kleszczele. Wiesz, gdzie są Kleszczele? – zapytał i połaskotał mnie za uchem. Poczułam się jak jego kot.

– Nie mam pojęcia – mruknęłam leniwie, wtulając się w niego jeszcze mocniej. – Opowiadaj.

– A po co, skoro nie wiesz, gdzie są Kleszczele? – drażnił się.

– Jutro będę wiedziała. Sprawdzę na mapie – obiecałam. – No opowiadaj.

– Dobrze. Po wojennych zawieruchach dziadek przeniósł się na południe Polski i ożenił z Gabriellą, moją babcią. Pamiętam ją bardzo dobrze, chociaż tyle lat minęło, odkąd nie żyje. Zawsze nosiła chusteczkę na głowie, a pod nią miała warkocz spleciony w koronę. Piekła kołaczki. Wiesz, co to są kołaczki?

– Wiem. Takie bułki na drożdżach.

– Trochę uprościłaś. Ale zgadza się, że na drożdżach. Kiedy byłem dzieckiem, lubiłem tam jeździć. W Kozinkach było zawsze tak spokojnie. A oni bardzo się kochali, wiesz? Widziałem, jak na siebie patrzyli. My też tak będziemy... Zobaczysz, kochanie.

– Będziemy tak na siebie patrzeć?

– No... ty będziesz patrzeć, a ja będę cię tulić. Zgoda?

– Ty też będziesz patrzeć. Za kilka lat wynajdą coś takiego, że cię wyleczą... Jestem tego pewna.

– Może tak. Często o tym marzę...

– Opowiadaj dalej.

– Kiedy zmierzchało, a dziadek nie miał już roboty w polu, brał mnie na kolana i snuł wspomnienia ze swojego rodzinnego miasteczka. Te dobre i te, jak wiadomo, trochę mniej. O czasach wojny i totalitaryzmu nie muszę chyba nic mówić, bo pewnie wiesz, że historia pogranicza była dramatyczna i bezlitosna. O tym się milczy, ale mój dziadek wszystko opowiadał.

– Tak, wiem, co tam się działo. Opowiedz, co było potem.

– Kiedy założył rodzinę i urodził im się syn, czyli mój ojciec, dziadek własnymi rękami wybudował dla nich dom. Domem właściwie można nazwać tylko to, co stworzyli razem, czyli rodzinę i miłość, bo to, co sklecił dziadek, było ubogą, drewnianą chatą, krytą strzechą. Wyobraź sobie, że ona wciąż jeszcze mocno się trzymała, gdy widziałem ją ostatnio, mimo że nikt tam nie mieszkał od dziesięciu lat.

– A teraz? Wciąż się trzyma?

– Raczej tak. To chyba zasługa ojca, który odziedziczył tę chałupę, jeździł więc do Kozinek i regularnie konserwował drewno, wymienił dach i pielęgnował każdą belkę. Traktował swoje rodzinne gniazdo jak najwyższej

klasy zabytek. Kochał to miejsce. W środku były tylko dwie izby i bardzo duża kuchnia, pewnie dlatego, że dziadek lubił jeść – zażartował Michał. – Teraz chata należy do mnie, ale jak wiadomo, nie zadbam o nią tak, jak ojciec. W ogóle nie zadbam – dodał ciszej.

– Koziółki? Kózki? – Jak to się nazywało? – zapytałam, bo nazwa natychmiast ulotniła mi się z głowy.

– Kozinki.

– Opowiedz o Kozinkach – poprosiłam tonem, jakim Sonia prosiła mnie o bajkę.

– To mała, górzysta wioska. Z kościołem, szkółką, przychodnią i sklepem, w którym było mydło i powidło. Przez środek wioski przepływa strumień. Latem wszystkie miejscowe dzieciaki skakały boso po mokrych kamieniach. Strumyk był bystry, zimą nigdy nie zamarzał. Podczas roztopów zalewało starą kładkę, aż w końcu zupełnie się rozpadła i ktoś w jej miejsce przerzucił przez wodę dwie grube belki. Kto wie, może do dzisiaj tam leżą. Dom dziadka stał na wzniesieniu, na końcu wsi. Pewnie dlatego wichry tam hulały ze zdwojoną mocą, a świerki były mocno pochylone w północną stronę. Wyglądało to bardzo malowniczo. Wydawało mi się wtedy, że nie ma piękniejszego miejsca na Ziemi.

– A potem? Kiedy byłeś starszy, a dziadków zabrakło? Również uważałeś, że jest tam najpiękniej?

– Nie wiem, chyba nadal tak jest. Dawno nie byłem. Zresztą teraz, wiesz... I tak bym tego nie widział.

– Ale poczułbyś hulający wiatr. I słońce, i bryzę ze strumienia – uśmiechnęłam się do własnych myśli. – Jeśli chcesz, możemy się wybrać do tych twoich Koziółków.

– Do Kozinek.

– Prawda, do Kozinek.

– Nie chcę. Byłoby mi żal, że nie zobaczę tego wszystkiego. Zresztą, śniła mi się kiedyś ta wieś. Właśnie taka, jaka została w mojej pamięci.

– Opowiedz mi ten sen.

– Mam opowiedzieć ci sen? Po co?

– Chcę widzieć twoje obrazy. Nigdy wcześniej o tym nie myślałam. Jak wyglądają twoje sny?

– Moje sny? Zwyczajnie, przesuwają się obrazy, kolorowe obrazy. Prawdopodobnie, gdybym nigdy nie widział, śniłyby mi się dźwięki, bo skąd miałbym wziąć obrazy?

- Z wyobraźni. Myślisz, że potrafiłbyś wyobrazić sobie obraz z niczego?
- Nie wiem, Kiedy słyszę dźwięki, mam różne wrażenia. Czasem to właśnie mi się śni. Na przykład spadam. Albo latam. Czuję strach przed czymś. Wiem, że to jest straszne i uciekam.
- A kiedy coś ci opowiadam, potrafisz sobie wyobrazić?
- Oczywiście, że tak. Lubię, gdy opowiadasz. Robisz to niezwykle obrazowo. Poza tym chcę słyszeć twój głos, jest kojący. – Michał zamilkł na chwilę, jakby czegoś nasłuchiwał.
- A powiedz mi jeszcze... – zaczęłam, ale mi przerwał.
- Cicho. Coś tam się dzieje na dole – powiedział szeptem, co sprawiło, że poczułam lęk.
- Nie strasz mnie, Michał. Może to Walery wrócił, pójdę sprawdzić.
- To pewnie jakieś zwierzę. Sarna albo dzik. Nie idź tam sama, zaczekaj, pójdę z tobą – Michał uniósł się na łokciu i słuchał w jeszcze większym napięciu.
- Nie trzeba, zostań. Sprawdzę tylko i zaraz wrócę. Zawołam cię, jeśli coś się będzie działo – powiedziałam swobodnie.
- Michał zawahał się, ale powstrzymałam go ruchem ręki.
- Postałam chwilę za drzwiami, nasłuchując, zanim ruszyłam ku schodom.
- Nacisnęłam włącznik, ale nie zareagował, widocznie znów nie było prądu. Nauczyłam się już trzymać pod ręką latarkę.
- Po schodach stapałam ostrożnie, tak cicho, że słyszałam własny oddech. Z każdym krokiem narastał we mnie lęk, aż serce zaczęło łomotać mocno, coraz mocniej. Mogłam jednak pozwolić Michałowi pójść ze mną. Byłoby mi różniej – pomyślałam. Oświetlony latarką korytarz, gdzie z cienia wynurzał się milczący posąg Anieli, sprawiał ponure wrażenie. Jakoś nie miałam odwagi otwierać wejściowych drzwi. Przeszłam do salonu i uchyliłam okno. W mrocznej ciszy coś zazgrzytało, niczym zęby potępieńca. Powiało mroźnym powietrzem. Wtedy usłyszałam trzask łamanych gałęzi, zamajaczyła czyjaś postać i zniknęła w zaroślach. Z duszą na ramieniu zamknęłam okno najciszej jak potrafiłam. Potem, pokonując po dwa stopnie naraz, wbiegłam na górę.
- Ktoś jest na dole – rzuciłam od drzwi.
- Na pewno ci się nie zdawało? – zapytał i usiadł na łóżku.
- Michał, nic mi się nie zdawało, tam ktoś był – przekonywałam, gdy zmarznięta znalazłam się z powrotem w jego rozgrzanych ramionach.
- Czasem podchodzą tu sarny. Szukają pożywienia, zwłaszcza w taki mróz.
- No nie wiem – powątpiewałam. – Sarna poruszałaby się inaczej.

– Dobrze, moja mała przestraszona dziewczynko. Jutro zobaczysz, co to za ślady – rzekł uspokajająco i przygarnął mnie do siebie.

Śladów nie było. Postarał się o to wciąż padający śnieg.

Nie wrócił również Walery. Martwiłam się o niego. Wyobrażałam sobie, jak umundurowani funkcjonariusze wywlekają go z autobusu, może nawet okładają pałkami. Około dziewiątej Barnaba przywiózł całą ekipę, którą natychmiast zasypałam pytaniami o Walerego. Widzieli go tylko do momentu opuszczenia samochodu przy Dworcu Głównym. Nie mieli pojęcia, co mogło wydarzyć się potem. Zdenerwowana tym wszystkim, włożyłam stary fartuch i zabrałam się za sprzątanie salonu. Z furią wyrzucałam z półek książki, czyściłam każdy zakurzony grzbiet, ścierałam pajęczyny z kątów. Podczas polerowania mebli dobiegł do mnie z zaświatów głos Oksany: „Meble mam antyczne, więc trzeba ostrożnie, żeby nie zarysować. Parkiety pastować raz na kilka dni...”. Odruchowo sprawdziłam miękkość ściereczki i uśmiechnęłam się w zadumie. Ta kobieta musiała rzeczywiście mieć jakieś arystokratyczne korzenie.

Wciąż zerkałam przez okno, mając w pamięci nocną przygodę. Ale w ogrodzie panował spokój. Duże płatki śniegu kładły się powoli na nagich gałęziach, a Lenin przybrał karykaturalną postać bałwana. Kiedy okna lśniły, bielily się firanki, a parkiety błyszcząły przepisowo, ugotowałam kocioł ziemniaków i postawiłam przed każdym kubek kwaśnego mleka.

– Koniec ze śmierdzącą kapustą – zwróciłam się do Barnaby. – Na jutro przygotowuję listę zakupów, zbierzemy od wszystkich kartki i pieniądze. Od tej pory ja będę gotować.

– A jeśli pójdziesz do pracy? – przypomniał Michał. – Nie będziesz miała na to czasu.

– Znajdę czas. W sobotę też byłam w studium, a jednak mieliście co jeść, prawda? Wolę gotować wieczorami niż sprzątać po Barnabie i wdychać kapuściane opary.

Barnaba skrzywił się, niezadowolony. Lubił kucharzyć.

– W marcu wyjedziemy na targi rękodzieła, Michał też – zauważył Ignac. – Będziesz miała spokój.

– Doskonale – ucieszyłam się. – A teraz – zwróciłam się do Ignaca – zanim weźmiesz się do pracy, przynieś, proszę, z pawilonu trochę drewna. Michał rozpali w kominkach.

– Jest kobieta, jest organizacja – mruknął Barnaba i puścił oko do Ignaca, który podniósł się bez entuzjazmu i wyszedł z koszem na drewno. Wrócił po kilkunastu minutach z zafrasowaną miną.

– Może się mylę, ale zdaje się, że mieliśmy gościa w pawilonie. Ktoś tam chyba spał – oznajmił.

– Jest kobieta, nie ma miejsca w łóżku – zarechotał Barnaba i klepnął Michała w udo.

– Cicho bądź, Barnaba – warknął na niego Michał. – Anita twierdzi, że widziała kogoś w nocy w ogrodzie.

– To możliwe – powiedział z przejęciem Ignac. – Ktoś wyjął ze skrzyni śpiwór i uwił sobie całkiem wygodne gniazdko na ławie.

– Są jakieś inne ślady? – zapytał rzeczowo Michał. Nie był już taki spokojny.

– Prawdę mówiąc, nie przyglądałem się, więc nic nie rzuciło mi się w oczy. Śpiwór schowałem.

– Intrygujące – mruknął Michał.

Śnieg ubierał sosny w srebrzyste welony, wąski jak wstążka strumyk zamarł, sparaliżowany mrozem, a we mnie buzował płomień. Po tych kilkunastu dniach zakochanego szaleństwa biegłam na przystanek, nie mogąc przestać myśleć o Michale. O jego zakochaniu. O moim zakochaniu. O nas.

Do Wrocławia jechałam w konkretnym celu. Zamierzałam odwiedzić panią Stefanię. Interesowało mnie, czy Alicja znalazła dla mnie jakąś pracę.

Miasto oddychało napięciem i niepokojem. Wszędzie patrole, na głównych ulicach opancerzone wozy milicyjne, ku którym przechodnie rzucali nienawistne spojrzenia. Pod sklepami kłębiły się tłumy, wynoszące w siatkach jedynie rozczarowanie. Ale mimo zagęszczonej atmosfery miasta, czułam się bezpiecznie. Nagle ktoś mnie ostro trącił w ramię. Za ledwie się obejrzałam, gdy przebiegający obok młody mężczyzna wepchnął mi w ramiona plik papierów i zniknął w tłumie. Zatrzymałam się dosłownie na chwilę, by zerknąć na to, co trzymam w rękach, gdy nieoczekiwanie otoczyła mnie grupa uzbrojonych funkcjonariuszy ZOMO. Trzech zostało przy mnie, reszta pobiegła za uciekającym mężczyzną. Jeden z zomowców, wrywając z moich rąk papiery, zaklął siarczyście i kopnął boleśnie w łydkę.

– Ta bibuła jeszcze ci gardłem wyjdzie – rzucił mi w twarz i wcisnął gazety za pazuchę.

Dwóch innych złapało mnie mocno pod ręce i pociągnęło do milicyjnej suki. To wszystko działo się tak szybko, że w oszołomieniu nawet nie próbowałam się bronić. Brutalnie pchnięta, znalazłam się w środku okratowanego wozu. Samochód stał jeszcze, czekając na pozostałych. Ze strachu robiło mi się niedobrze. Wiedziałam, jak okrutni potrafili być podczas bezlitosnych, nierzadko krwawych przesłuchań. Ludzie, których jedyną winą były oznaki sprzeciwu wobec narzuconego systemu, wygląd albo podejrzane zachowanie, padali ofiarą ich bestialskich praktyk. Ja zostałam wplątana w coś znacznie gorszego. Miałam w rękach podziemne gazetki i chociaż nie znałam ich treści ani pochodzenia, niewątpliwie zostanę oskarżona o kolportaż. Łzy wściekłości napływały mi do oczu, gdy myślałam o człowieku, który wcisnął mi to w ręce.

Musiał wiedzieć, że go gonią i być może miał nadzieję, że biegnąc za nim, nawet mnie nie zauważą. Nie wierzyłam, by tak podle mnie wrobił.

Usłyszałam jakiś hałas i zerknęłam w okno. Złapali go i już po chwili wtrącili do nyski, w której siedziałam. Nawet nie spojrział mi w oczy ani się nie odezwał. Ruszyliśmy. Półprzytomna z przerażenia nie potrafiłam ocenić, w której części miasta się znajdujemy. Myślałam o Soni i Michale, i truchlałam na myśl, że mogę ich już nie zobaczyć. Co stanie się z moim dzieckiem, gdy zamkną mnie w więzieniu? Co pomyśli o mnie Michał, gdy nie wrócę na noc?

Samochód zatrzymał się na wylanym betonem dziedzińcu przed budynkiem komisariatu. Wysiedliśmy, poganiani mocnymi szturchańcami. W tym samym czasie nieopodal zatrzymały się jeszcze dwa wozy, z których wysypali się zomowcy. Niektórzy z nich podeszli do tych „naszych”, by zamienić kilka słów. Ogólnie ruch był jak w mrowisku, milicja miała pełne ręce roboty. Zanim zostałam zawleczonej do budynku komendy, ktoś z tyłu odezwał się nagle:

– Dziewczynę biorę. Już ja ją załatwię.

Kilku z nich zarechotało, a mnie zemdliło ze strachu. Wtem ktoś mocno popchnął mnie w kierunku komisariatu. Przez ramię zerknęłam na oprawcę i aż wstrzymałam oddech z wrażenia. Krzywemu, który mnie prowadził, nie drgnęła nawet powieka. W drzwiach komendy, gdzie stał jakiś milicjant, szarpnął mną mocniej.

– Dalej, ruszaj! – warknął jak do ociągającej się krowy.

Znaleźliśmy się w korytarzu. Pod ścianą ustawione były krzesła, na których siedziało sporo osób, Krzywy minął je i prowadził mnie dalej, aż zniknęliśmy za rogiem, w węższym, biegnącym prostopadle do głównego, korytarzu.

Przechodzący tłusty funkcjonariusz zatrzymał się przy Krzywym i zapytał:

– Do mnie idziecie?

– Nie – odparł krótko Krzywy. – Do Siwego.

Tamten obrzucił mnie obojętnym wzrokiem i poszedł dalej. Krzywy błyskawicznie złapał mnie za łokieć i wepchnął do damskiej toalety. Weszłam do kabiny i gorączkowo zastanawiałam się, co dalej. Nie mogłam przecież siedzieć tu w nieskończoność. Odczekałam ze trzy minuty i uchyliłam drzwi, ale Krzywego już nie było. Z duszą na ramieniu opuściłam toaletę i jakby nigdy nic, ruszyłam w kierunku wyjścia. Niezaczepiana przez nikogo, dotarłam do głównej bramy, gdzie stał patrol złożony z trzech funkcjonariuszy. Staralam się nie zmylić kroku, przechodząc obok nich. Rozmawiali o czymś i nie byli mną w najmniejszym stopniu zainteresowani. Za bramą przyśpieszyłam. Dopiero wtedy zmięły mi nogi i zaczęły trząść się jak galareta.

Tego dnia nie odwiedziłam już pani Stefanii. Jadąc autobusem linii sześćset dziewięć, czułam na sobie wszystkie spojrzenia. Raz po raz rozglądałam się w obawie, że ktoś mnie śledzi.

Kiedy opowiadałam o wszystkim Michałowi, puściły nerwy. Płakałam jak bóbr w jego ramię.

– Nie puszczę cię już do Wrocławia – zdecydował. – Przynajmniej na razie. A Krzywemu, czy jak mu tam, osobiście postawię gorzałkę.

Przez kilka kolejnych dni żyłam w obawie, że znajdą mnie, przyjadą tu i zaaresztują. Michał tłumaczył, że raczej nie będą chcieli się przyznać do swojej nieostrożności. Jedynie Krzywy mógł mieć z powodu mojej ucieczki nieprzyjemności. Przypomniałam sobie moment, kiedy przeze mnie Walery nie chciał zaprosić go na swój ślub. I jak drapieżnie broniła go Florka. I miała rację, bo człowiek może być dobry lub zły, ale nie można go oceniać po funkcji, którą pełni.

To był ponury dzień. Za oknem marznąca mżawka, w domu napięcie. Tego dnia Michał zszedł do dużej pracowni i zaczął szukać czegoś w skrzyni z narzędziami. Najpierw przewracał w niej wszystko, obmacując po kolei przedmioty, potem z furią zaczął wyrzucać je na podłogę.

– Czego szukasz? Pomogę ci – zaproponowałam.

– Nie – warknął. – Nie chcę. Muszę sam.

Odsunęłam się i z pewnej odległości obserwowałam jego zmagania. Szukał jeszcze jakiś czas, aż w końcu rzucił żelastwem o podłogę i ukrył twarz w dłoniach.

– Niech to szlag! Niech to jasny szlag trafi! – zawołał zduszonym głosem, nie zdając sobie pewnie sprawy z tego, że wciąż tu jestem. Dotąd nigdy przy mnie nie pozwalał sobie na takie wybuchy złości czy rozgoryczenia. – Na cholere mi takie życie!

– Michał, chcę ci pomóc – zaproponowałam ponownie.

Drgnął zaskoczony.

– Nie! Wyjdź stąd! – krzyknął i uderzył pięścią o podłogę.

Wybiegłam z pracowni, zraniona i rozżalona na Michała.

Potem siedziałam w kuchni, tuląc do siebie Sonię, jedyną istotę, która kochała mnie bezgranicznie, która mnie potrzebowała i nie wahała się o nic prosić. W tym momencie znów znalazłam się na starcie. Musiałam wiedzieć, czy chcę na nowo coś zacząć, określić moje chwilowe zatrzymanie. Pomiedzy wszystkim, co było dotąd, i wszystkim, co przede mną, pojawiły się Michałowe złości, racje, zapatrywania, oceny, wersje. W tej chwili nie było tam mnie samej, a przecież to

ja właśnie ryzykowałam kolejne potknięcie. Każda decyzja miała swoje następstwa, dlatego musiałam podejmować je ostrożnie. Czy mogę podjąć wyzwanie pozostania z Michałem? Na razie chciałam okopać się ze wszystkich stron, nauczyć się go rozumieć, znosić i wybaczać jego chwile słabości. A potem sprawić sobie sukienkę, w której bliżej byłoby mi do wyjścia za męża, niż do wyjścia z jego życia. Wciąż jeszcze nie byłam go pewna.

– Anita... – stał w korytarzu i mówił w przestrzeń, nie wiedząc, z której strony będę go słuchała. – Anita, podejdź do mnie, kochanie. Chcę cię przeprosić, wytłumaczyć...

– Nie trzeba – powiedziałam, gdy znalazłam się obok niego. – Nie trzeba mi tłumaczyć. Domyślam się, jak bardzo czasem czujesz się bezradny, rozumiem cię.

– Nie zostawiaj mnie. Dużo zrozumiałem, odkąd jesteś ze mną.

– Nie zostawię.

Datę ślubu ustaliliśmy na dwudziestego dziewiątego maja. Pomyślałam, że muszę zawiadomić matkę.

Od pewnego czasu miałam wrażenie, że to nie ja wybrałam to miejsce do życia, tylko ono mnie. Tak jakby się uparło przykuć mnie do siebie, obciążyć tajemnicą, zmusić do jej rozwiązania.

Nadszedł marzec. Pokropił piegami czteroletni już nos Soni, drobniutką zielenią wyrastające koło płotu krzewy, deszczem polanę za domem. Michał chętniej niż dotąd przebywał na spacerach, łapał słońce. Opisywałam mu każdą zmianę, jaką niesły przyrodzie wiosenne roztopy. Słuchał uważnie, potem tulił mnie do siebie i dziękował niebiosom za jego oczy w mojej twarzy.

Dni upływały szybko. Zbliżała się wystawa ceramiki i Michał rozpoczął przygotowania. Prócz satysfakcji, bardzo liczył na to, że uda mu się sprzedać te, jak to nazywał, skorupy. Mimo wynajęcia pracowni i przekazywania ceramiki panu Kalmiakowi, który zajmował się ich dystrybucją, brakowało pieniędzy na utrzymanie i nowe materiały do pracy. Mieliśmy więc nadzieję, że wystawa przyniesie jakieś zyski. Barnaba i Ignac mieli pojechać z Michałem w charakterze pomocników. Teraz pakowali dzieła w kartony, zabezpieczali szarym papierem. Natomiast ja z Sonią u boku i grabiami w ręku wybrałam się do ogrodu, by zrobić pierwsze wiosenne porządki. Pod płotem, naprzeciw kuchennego okna zakwitły forsycje, pod nimi zaś leżały stosy sosnowych igieł i zeszłorocznych dębowych liści. Przyniosłam z piwnicy duży wiklinowy kosz i z zapalem zabrałam się do pracy. Uznałam, że to doskonałe miejsce na przesadzenie małego krzaczka dzikiej róży, który wyrósł niespodziewanie

niemal na samej ścieżce. Wypełniłam kosz igliwem, wysypałam w kąt ogrodu za domem, gdzie miało czekać na spalenie, i poszłam do pawilonu po szpadel. To cudowne, że mogłam zmienić porządek ustalony przez przyrodę, decydować o tym, co i gdzie wyrośnie w ogrodzie. Ochoczo wbiłam szpadel w ziemię. Była pulchna i wilgotna, nasączona niedawno stopniałym śniegiem. Zanurzyłam głębiej i wtedy natrafiłam na opór. Nie był to kamień, usłyszałabym charakterystyczny zgrzyt. Korzeń? Postukałam szpadlem. Dotarł do mnie głuchy dźwięk. W tym miejscu pod ziemią coś było. Na poniemieckich terenach zdarzało się, że wysiedlani mieszkańcy zakopywali cenne przedmioty w nadziei, że kiedyś po nie wrócą. Byłam coraz bardziej zaintrygowana. Co powie Michał, gdy oznajmię mu, że znalazłam w ogrodzie skarb? Zaciekawiona Sonia podeszła ze swoją łopatką i zaczęła nieudolnie nią grzebać tuż obok miejsca, gdzie kopałam. Baczenie jednak obserwowała, jak zawzięcie macham szpadlem, odgarniam ziemię, spod której wyłaniały się fragmenty czegoś drewnianego. Już nie szpadlem, a rękami niecierpliwie usunęłam ostatnią warstwę torfowo piaszczystej ziemi i odsłoniłam deski niewielkiej skrzynki. Emocje sięgały zenitu. Były mieszaniną zaciekawienia, fascynacji, oczekiwania. Tak bardzo żałowałam, że nie mogę zawołać Michała, by stał się wraz ze mną świadkiem sensacyjnego odkrycia.

Wieko skrzynki nie było niczym przymocowane, więc dość łatwo pozwoliło się przesunąć. Kiedy odsłoniłam zawartość, struchlałam. W środku były kości. Drobne, jakby ktoś rozsypał szczątki niewielkiego psa. Ale to nie był pies. Obok szczątków czyjaś troskliwa ręka położyła lalkę. Odskokczyłam jak oparzona, ale nie mogłam oderwać oczu od makabrycznego odkrycia. Stałam odrętwiała, dopóki nie przypomniałam sobie o obecności Soni. Roztrzęsiona zasłoniłam czym prędzej skrzynię i pośpiesznie zaczęłam zasypywać wszystko ziemią. Moja córka przyglądała się temu, ale ponieważ się nie odezwała, sądziłam, że nie zdążyła zauważyć zawartości. Wstrząsające znalezisko rozbiło mnie na kawałki, odebrało ochotę nie tylko na dalsze porządki w ogrodzie, ale na robienie czegokolwiek. Przed oczami miałam wciąż małą czaszkę leżącą bokiem i tę lalkę, której spatynowanej twarzy nie chciałam nawet oglądać. Niecierpliwie czekałam, aż Barnaba i Ignac opuszczą nasz dom. Musiałam porozmawiać o tym z Michałem.

Siedziałam, jak na szpilkach, gdy Barnaba majstrował coś jeszcze przy samochodzie, a Ignac wymieniał z nimi ostatnie uwagi. Gdy wreszcie odjechali, podeszłam do Michała i wzięłam go za rękę.

– Kochanie – szepnął i przytulił mnie mocno. – Tak się cieszę na tę wystawę.

Szkoda, że nie będzie mi dane obejrzeć tych cudów.

– Gdzie ta wystawa? – zapytałam, choć w tej chwili wcale mnie to nie interesowało.

– W Zgorzelcu. Będą też goście z Niemiec.

– Ale tych wschodnich?

– No tak, wschodnich... Masz jeszcze tę pyszną babkę, którą upiekłaś wczoraj? – zapytał nagle i się oblizał. Zawsze mnie bawiło jego łakomstwo. Ale nie dzisiaj.

– Mam, Michał – powiedziałam beznamiętnie. – Podać ci?

– Podać, podać! – zatarł ręce. – A gdzie Sonia? Może też by zjadła? – zapytał.

– Może... – odparłam niemrawo.

– Czy mi się wydaje, czy jesteś jakaś niewyraźna, kochanie? Coś się stało? Może źle się czujesz?

– Dobrze się czuję, Michał. Coś się stało – odpowiedziałam i chciałam zabrać rękę, którą wciąż trzymał.

Przez jego twarz przebiegł ledwo dostrzegalny, trudny do określenia grymas. Ścisnął mocniej moją dłoń i przyciągnął do siebie.

– Nie puszczę cię, mów.

– Zaraz. Najpierw podam ci ciasto – zdecydowałam.

Usiadł przy stole i cierpliwie czekał.

– Mów – zażądał, gdy usłyszał, że postawiłam talerzyk. – Martwię się.

– Niepotrzebnie, to nic nie zmieni...

– Zawsze się martwię, gdy masz zły nastrój. Boję się, że już mnie nie będziesz chciała, że rozmyśliłaś się i odejdziesz.

– Co ci chodzi po głowie – obruszyłam się i pieszczotliwie przeciągnęłam dłonią po jego włosach. Były przyjemne w dotyku. – Nie mam zamiaru cię opuszczać, dobrze mi z tobą.

– I to właśnie chciałem usłyszeć – powiedział z ulgą. – Mów mi o tym, zapewnij. Jeśli wiem, że zostaniesz ze mną, nic nie jest mi straszne. A teraz powiedz wreszcie, co się stało. Wyjrzałam przez kuchenne okno na Sonię, która wciąż bawiła się w ogrodzie. Przy niej nie mogłabym poruszać tego tematu. Była bystra i ciągle układała coś w tej swojej głowie.

– Znalazłam coś w ogrodzie – oznajmiłam ścisłym głosem. – Pod forsycjami – sprecyzowałam.

– Co znalazłaś pod forsycjami? – zapytał, ale nie zauważyłam w tym pytaniu szczególnego zainteresowania.

– Drewnianą skrzynkę – zaczęłam i zawiesiłam głos. Wciąż miałam to przed

oczami. – W środku są szczątki dziecka – dodałam po chwili. – Małego dziecka. Myślę, że niemowlaka, bo...

– Czekaj, Anita... – przerwał mi i odłożył na talerzyk kawałek ciasta, który już trzymał w palcach. – Chcesz powiedzieć, że znalazłaś w naszym ogrodzie grób jakiegoś dzieciaka? Dobrze zrozumiałem?

– Tak. Pod forsycjami jest grób dziecka – potwierdziłam.

– Myślisz, że... Niemcy?

– Skąd mam wiedzieć, Michał? Koło dziecka ktoś położył lalkę. Sonia bawi się podobną. Może się mylę, ale być może to współczesna lalka, nie jakaś tam przedwojenna.

– Współczesna? – jęknął. – Skąd?

– Nie wiem, nie jestem żadnym ekspertem. Ale myślę, że trzeba powiadomić milicję. Niech oni się tym zajmą.

– Tak, na pewno masz rację. Powiadomię o tym natychmiast po powrocie ze Zgorzelca. Skoro to dawna sprawa, kilka dni nikogo nie zbawi, prawda?

Wzruszyłam ramionami, zapominając, że on przecież mojego gestu nie widzi. Dla niego moja odpowiedź była jedynie milczeniem.

– Jak odkryłaś tę skrzynkę?

– Chciałam w tamtym miejscu posadzić dziką różę, która wyrosła przy samej ścieżce. No i wykopałam...

– Co to za dziecko, na litość boską? – zastanawiał się głośno.

– Oksany? – podsunęłam myśl. – Kiedy rozmawiała ze mną, wspominała o jakimś dziecku... Może urodziła i ono było martwe? Nie była już pierwszej młodości, mogło tak się zdarzyć.

– Tutaj by rodziała? W domu? – zwałił Michał.

– Mogła nie zdążyć do szpitala – zauważyłam. – A tu nie ma telefonu. Pomyślałam, że nie chciała rozstawać się z maleństwem i postanowiła pogrzebać je tutaj, żeby mieć je blisko siebie – snułam przypuszczenia.

– Ależ to wykluczone, nasze prawo zabrania – oburzył się.

– Nasza polonistka opowiadała, że Żeromski umieścił grób ukochanego syna w zaciszu swojego ogrodu w Nałęczowie – zaprotestowałam. – Zbudował tam nawet kapliczkę.

– Żeromski – prychnął Michał – to co innego. Poza tym zrobił to bardzo dawno temu. Dzisiaj nie wolno tak robić. Żadnych cmentarzy na własnej posiadłości, w parku ani w lesie. Nawet z jedną kwaterą. Czy przy grobie, który znalazłaś, był jakiś krzyż albo choćby tabliczka?

– Nie, skąd...

– Ano właśnie, bo ktoś pochował to dziecko po cichu, po kryjomu, zupełnie nielegalnie. Przypuszczalnie nikt nawet o tym nie wie, że ono się narodziło... No nic. Nie trap się już, kochanie – próbował mnie uspokoić. – Przyjedzie milicja i zbada sytuację. Mam nadzieję, że czegoś się dowiemy. A potem pochowamy te szczątki na cmentarzu.

Milczałam bardzo długo, zanim powiedziałam pośpiesznie.

– Michał, ona kazała mi go pilnować. Teraz przypominam sobie, jak mówiła, żebym pilnowała jej dziecka...

– No nie żartuj... – uśmiechnął się z przymusem. – To przecież wariatka.

– Matka – powiedziałam niepewnie. – Wariatka czy nie, ale to matka.

Nie będzie cię przez tydzień – westchnęłam, przytulając się do ramienia Michała. Chciałam, żeby pochylił się teraz nade mną, zajrzał w oczy i czytał z nich. Czytał jak z otwartej księgi. Ale on mógł jedynie słuchać i wierzyć, lub nie, w słowa i gesty.

– Będziesz tęskniła? – mruzczał, bawiąc się kosmykiem moich włosów.

– A jak myślisz? – zapytałam.

– No, może... Trochę.

– Trochę? – zdziwiłam się. – Myślałam, że dość wyraźnie okazuję moje przywiązanie.

– Przywiązanie. Właśnie, tylko przywiązanie – droczył się ze mną. – A ja chciałbym, żebyś kochała mnie tak do dna. Do jakiejś absolutnej nieskończoności. Żeby poza mną nie było już nic. Żadnego świata, nic! Żeby ta miłość była rozpaczliwie euforyczna. Rozumiesz, o czym mówię?

– Ty sam nie wiesz, o czym mówisz.

– Wiem. Tak właśnie cię kocham.

– Tym bardziej uważam, że nie wiesz, o czym mówisz...

– Wątpisz w moją miłość?

– W taką? Tak. Więcej tu słów niż miłości.

– Anita, jeszcze się przekonasz, że tak jest.

– Dobrze, jestem cierpliwa, przekonaj mnie.

– W takim razie ty też mnie przekonaj – rzucił rozdrażniony.

– Robię to każdego dnia. Chyba nie muszę o tym opowiadać. Moja miłość może nie jest, jak to określiłeś, rozpaczliwie euforyczna. Jest zwyczajna, prosta jak kawałek chleba. I taką miłość chcę otrzymywać od ciebie. To mi wystarczy.

– Kocham cię, Anito. Kocham cię zwyczajnie.

Długo stałam na ganku między dumną Matyldą a wciąż machającą na pożegnanie Sonią, choć samochód Barnaby dawno zniknął za bramą. Potem obrzuciłam jeszcze wzrokiem ogród i pociemniałe niebo. Zbierało się na deszcz, czuło się go w powietrzu. Pozwoliłam Soni pobawić się przed domem do pierwszych kropel, sama zaś udałam się do kuchni, by sprzątnąć rozgardiasz po wspólnym śniadaniu. Zmywając naczynia, nie mogłam powstrzymać się przed

zerkaniem w stronę kwitnących forsycji, które przyciągały wzrok, jakbym spodziewała się ujrzeć tam jeszcze jedno bawiące się w ogrodzie dziecko. Jeśli rzeczywiście Oksana była jego matką, miałoby teraz sześć, może siedem lat. Patrzyłam tak długo, aż powietrze zgęstniało, wypełniło się wypływającym spod ziemi widmem małej dziewczynki. Szła, nie dotykając ziemi nawet czubkami palców, wprost do mojego okna. Zacisnęłam powieki i potrząsnęłam mocno głową. Jeszcze by tego brakowało, żebym nakarmiła iluzją wyobraźnię pod nieobecność Michała. Teraz dopiero zrozumiałam. Gdy był obok, demony nie miały prawa ożywać w mojej głowie.

Na wszelki wypadek jednak zatrzasnęłam okno, przez które wpływało orzeźwiający marcowe powietrze i zabrałam się za obieranie warzyw na zupę. Niebo pociemniało jeszcze bardziej, a drzewa roztańczyły się pod naporem coraz silniejszego wiatru. Postanowiłam zabrać Sonię do domu, zanim rozszałe się ulewa. Gdy wyszłam ponownie na ganek, dostrzegłam sunący w kierunku bramy biały, duży samochód. Trzymając w dłoni rączkę Soni, czekałam, aż samochód się zatrzyma. Z wnętrza wysiadł niski, korpulentny jegomość w kraciastej marynarce i w kapeluszu o podobnym deseniu. Otworzył sobie furtkę i pewnym krokiem podążył prosto do nas. Już w połowie ścieżki uchylił kapelusza.

– Dzień dobry – odezwał się słowami o dziwnym akcencie. Uśmiech miał szczery, jowialny. – Nazywam się Lech Góralczyk – przedstawił się, gdy stał już jedną nogą na ganku.

– Bardzo mi miło – odparłam i uściśniłam przyjaźnie wyciągniętą dłoń.

– Mówi to pani coś? – zapytał z pewnym siebie uśmiechem.

– Pańskie nazwisko? – zdziwiłam się. – Przykro mi, ale zupełnie nic mi nie mówi.

– Nie?! – w jego głosie było tyleż zdumienia, co rozczarowania. – A zna pani piosenkę „Ciau, ciau, moja mała, jutro będziesz dla mnie cała” – zanucił, podrygując nogą, którą wciąż trzymał na pierwszym stopniu ganku

– Przyznam, że nie – odparłam niepewnie, nie wiedząc, czy powinnam się tego wstydzić.

– No nic, trudno – machnął ręką i lekko się nachmurzył. – Przyjechałem tu na koncert z Ameryki. Z Chicago, na zaproszenie bardzo ważnych osób – uściślił. – Jestem starym Polonusem, mam amerykańską żonę. Śpiewałem w Warszawie, Poznaniu, a teraz we Wrocławiu...

Nagle skulił się, bo pierwsze wielkie krople deszczu spadły mu za kołnierz. Po sekundzie lunęło jak z cebra. Otworzyłam drzwi i wciągnęłam

niespodziewanego gościa do środka. Sonia przyglądała się mu w milczeniu szeroko otwartymi oczami.

– Proszę, niech pan wejdzie do pokoju i powie, o co dokładnie chodzi.

– Już mówię, droga pani, już mówię – sapał, drepcząc drobnymi kroczkami w miejscu, więc wskazałam mu drogę do salonu. Usiadł na jednym z krzeseł i rozejrzał się wokół, jednocześnie pozbawiając okrągłą, łysą jak kolano głowę kapelusza.

Usiadłam naprzeciw, z uczepioną mojej nogi Sonią.

– Kiedy usłyszałam, droga pani, że stan wojenny w Polsce, pomyślałam, że trzeba wnieść trochę radości do uciemżonego kraju, dobrze gadam?

Skrzywiłam twarz, imitując uśmiech, i poprawiłam się na krześle.

– Pani nie wie, co się tam działo, jak gazety o tym napisały. Polonia amerykańska była oburzona. O-bu-rzo-na! – wyskandował, połyskując złotą szóstką, znacznie wyróżniającą się wśród pozostałych, starannie wykonanych sztucznych zębów. – Były demonstracje, droga pani, a jakże! Pięćdziesiąt tysięcy ludzi chodziło wokół konsulatu. Rzucali butelki z czerwoną farbą, widziałem, jak spływała po ścianie. Jak krew, droga pani. Jak krew!

– Do czego pan zmierza? – przerwałam mu trochę zniecierpliwiona. Wciąż nie wiedziałam, w jakim celu tu przyjechał.

– Ano droga pani, chcę powiedzieć, że nie byliście tu sami. Polonia amerykańska daje wam wsparcie.

– Rozumiem, ale dlaczego pan z tym do mnie...

Polonus Lech Góralczyk zamilkł i prześwidrował mnie na wskroś małymi, bystrymi oczkami.

– Czy pani jest wyznawcą komunizmu? – zapytał szeptem, obracając w rękach kapelusz.

– Nie, skąd to pytanie?

– Ależ ja pani wcale o to nie podejrzewałem! – zawołał z wyraźną ulgą i roześmiał się ukazując równie złotą siódemkę. – Droga pani, nawet przez jedną malutką chwileczkę tak nie pomyślałem!

Potem znów ściszył głos i wskazując palcem za okno, zapytał:

– A skąd to upodobanie do Lenina?

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, Lech Góralczyk przysunął krzesło tak blisko, że niemal stykaliśmy się kolanami i kontynuował:

– Przejeżdżałem przypadkiem, przypadczkiem, wie pani, za potrzebą w las... I je zobaczyłem. Te pomniki, droga pani, rzecz jasna. Pomyślałem, że chętnie kupię też do ogrodu. Żonka się ucieszy. A co! Ale kupiłbym tylko jeden, no bo

pięć to już przesada – skrzywił się z niesmakiem. – Potem pomyślałem, że jakbym wziął wszystkie, to na pniu sprzedam! Taki Lenin w Ameryce pójdzie jak świeże bułeczki. To co? Sprzeda je pani?

– Wszystkie? – zapytałam rzeczowo.

– Wszystkie, a jakże. Dobrze zapłacę. W dolarach. Zie-lo-niut-kich! – zaznaczył. – To jak? Ubijemy interesik? – zapytał i zatarł ręce.

Deszcz za oknem nie ustawał i tylko on wypełniał ciszę, która nastąpiła po tym pytaniu. Lech Góralczyk nadal świdrował mnie wzrokiem.

– Nie wiem – powiedziałam w końcu. – Lenin nie należy do mnie.

– A do kogo, pani złociutka? – zainteresował się, nie spuszczając ze mnie przenikliwego spojrzenia.

– Te pomniki należą do... do mojego męża.

– A gdzie mąż szanownej pani? Ja poczekam.

– Nie, nie – przeraziłam się. – W żadnym wypadku nie będzie pan czekał. Mąż wróci za cztery dni.

– Przyjadę, droga pani. Na pewno przyjadę. Mogę nawet zostawić zaliczkę – wyjął z kieszeni portfel, z którego wyłuskał okazały plik zielonych banknotów.

– To na wszelki wypadek, żeby mi drogiego Leninka ktoś nie sprzątnął – zachichotał.

– Proszę to zabrać – zaprotestowałam, odsuwając jego rękę. – Nikt panu go nie sprzątnie, bez obaw.

– To w takim razie do zobaczenia – wstał, ukłonił się mnie, Soni i szafie, i zaczął wycofywać się z salonu, po drodze wkładając na głowę kapelusz. – Bardzo mi było miło panią poznać, bardzo miło...

Otworzyłam przed nim drzwi. Z ganku wtargnęła miotana wichurą ulewa, zawirowała w korytarzu. Lech Góralczyk nastawił niewielki kołnierz marynarki i przytrzymując kraciasty kapelusz, puścił się do samochodu biegiem, na jaki pozwoliły mu krótkie nogi. Zatrzasnęłam za nim drzwi i przekręciłam klucz w zamku.

Po południu miały przyjechać Alicja z Majką, ale było już po trzynastej, a one się nie zjawily. Z pewnością odstraszyła je fatalna pogoda. A deszcz nie ustępował. Zalewał strugami okno, na ścieżce tworzył rozległe kałuże. Gałęzie targane wichurą smagały białe twarze posągów Lenina. W domu panował półmrok. Było sennie i leniwie.

Po obiedzie ułożyłam Sonię na drzemkę, sama zaś zasiadłam w salonie z włóczką i drutami. Cierpliwie, oczko po oczku dziergałam ozdobną poduchę. Miałam teraz czas na rozmyślanie, wartościowanie, planowanie przyszłości z

Michałem. Do ślubu pozostały dwa miesiące. Myślałam o miłości przedstawionej przez Michała. Takiej do końca, do dna, do unicestwienia wszystkiego, co istnieje. Takiej miłości nie ma, to mrzonka. A jeśli ktoś chce taką obdarzyć drugiego człowieka, czyni go swoim niewolnikiem. Siebie też. Bo taka miłość musi być bezwzględna, chora, ostateczna i należy jej się po prostu bać. Więc już nie chcę, żeby mnie przekonywał. Zgadzam się, że drugi człowiek jest potrzebny, ale nie może być niezbędny, nie może paraliżować, ograniczać, zniewalać. Trzeba nauczyć się z nim żyć, ale trzeba też umieć żyć bez niego. Ciocia Rozalia przegapiła miłość podawaną każdego dnia małymi porcjami tylko dlatego, że czekała na tę wielką. Rozpaczliwie euforyczną, jak określił ją Michał.

Sonia wstała kapryśna. Nie chciała jeść nawet ulubionego budyniu śmietankowego, który wyjęłam z żelaznych zapasów „na psychiczny kataklizm”. Nie interesowały jej klocki, lalki ani bajki, których zawsze lubiła słuchać. Niespokojnie wędrowała od okna do okna, marudziła, skarżyła się na ból głowy. Przypomniałam sobie jej koklusz i zadrżałam, czy nie złapała jakiejś nowej choroby, bo tutaj, bez telefonu i samochodu byłyśmy odcięte od świata. Zwłaszcza przy takiej pogodzie. Zwłaszcza że zapadał zmrok. Zwłaszcza że byłam sama jak palec. Co chwilę dotykałam jej czoła, czym drażniłam ją jeszcze bardziej. W rezultacie powędrowała do łóżka wcześniej niż zwykle. Zapaliłam jej małą lampkę przy łóżku i podałam książeczkę z obrazkami. Ze złością szmyrgnęła nią o podłogę, aż posypały się kartki.

– O, nie – zdenerwowałam się w końcu. – Tak robić nie wolno. Jeśli nic cię nie interesuje, połóż się spać. Trudno, może jutro będziesz miała lepszy dzień.

Nawet nie protestowała. Zgasiłam lampkę i wyszłam do salonu. Byłam w nie najlepszym nastroju, więc pomyślałam o stojącym w piwnicy gąsiorze z domowym winem Anieli. Skoro tak bezsensownie upłynął dzień, postanowiłam umilić sobie chociaż wieczór, tym bardziej że był to czas, gdy zwykle zasiadaliśmy z Michałem na pogaduszki. Teraz Michała nie było. Nie było nikogo, do kogo mogłabym otworzyć usta. Wzięłam więc z kuchni lejek i butelkę, i ruszyłam do korytarza, z którego prowadziły schody w dół. Zapaliłam mdłe światło pod sufitem i uchyliłam drzwi. Skrzypnęły. Zawsze skrzypiały, ale dopiero teraz zwróciłam na to uwagę. Z czarnej czeluści powiało chłodem i stęchlizną. Poszukałam latarki, leżała tam, gdzie zwykle. Gdy stapałam w dół po kamiennych schodach, oświetlonych słabą, drżącą wiązką światła, towarzyszył mi lęk. Był całkowicie irracjonalny, niemniej samotna wyprawa do podziemi domu, którego przeszłość otoczona była mroczną tajemnicą, przyprawiała o

szybsze bicie serca. Na dole, gdzie z ciemnych kątów wyłaniały się cienie porzuconych sprzętów, było jeszcze bardziej nieprzyjemnie. Staralam się skupić jedynie na butelce i gąsiorze, ale teraz właśnie nie potrafiłam uwolnić się od natrętnych myśli, nachalnie krążących mi po głowie. Trzymając w zębach latarkę, przechylałam nad butelką ciężki gąsior, gdy nagle w korytarzu zgasło światło. Nie ukrywam, że zadrżały mi ręce. Wino wypełniło chyba połowę butelki, gdy na górze skrzypnęły drzwi, a po chwili rozległ się odgłos szybko przebiegających bosych stóp. Omal nie wypuściłam z rąk gąsiora. Przed oczami mignęła mi postać dziecka spod forsycji, która dziś rano zagęściła powietrze przed kuchennym oknem.

– Jezus, Maria – szepnęłam do siebie, a szept rozbiegł się tysiącem szeleszczących słów po piwnicznych ścianach. – To nie wyobraźnia. W tym domu straszy...

Ostrożnie odstawiłam gąsior. Ledwie trafiłam korkiem w jego otwór, tak bardzo trzęsły mi się ręce. Podniosłam butelkę i oświetliłam latarką schody. Wtedy na górze ponownie rozległ się szybki tupot, a drzwi piwnicy poruszyły się nieznacznie. Zamarłam w obawie, że coś je w końcu zatrzśnie.

– Chryste – jęknęłam i oparłam się o zimną, wilgotną ścianę. – Nie pójdę tam. Za nic!

Stałam tak i oddychałam głęboko, próbując uspokoić rozkołataną serce, które podchodziło mi do gardła. Zdawałam sobie sprawę, że tutaj też nie mogę zostać. Tak naprawdę nie wiedziałam, gdzie w tej chwili jest straszniej. Ale tam, na górze było moje dziecko i musiałam je chronić.

Dotarłam do korytarza. Pstrykanie włącznikiem nie miało sensu, ponieważ światła nie było w całym domu. Widocznie znowu wyłączyli prąd. Zamknęłam dokładnie piwniczne drzwi. Umarłabym, gdyby samoistnie zaskrzypiały. Przez chwilę nasłuchiwałam dźwięków z głębi domu, ale wszędzie panowała cisza, nie licząc szmeru padającego za oknami deszczu i tańczącego w gałęziach wiatru. Oświetlając latarką drogę, dobrnęłam do salonu, odszukałam zapalki i sprawdzając co chwilę, czy nic i nikt nie czai się za moimi plecami, zapaliłam wszystkie świece w lichtarzu. Pokój ogarnęło ciepłe, rozedrgane światło. Nalałam pełen kielich wina i wypiłam je łapczywie, aż do dna. Chciałam przestać myśleć. Natychmiast. Nalałam drugi kielich, na zwiotczających ze strachu nogach podeszłam do kanapy i wtuliłam się w jej miękki plusz. I wtedy znów to usłyszałam. Z korytarza dobiegło pośpieszne plaskanie bosych nóg. Głos uwiązł w gardle, gdy w drzwiach pojawiła się nagle mała biała postać.

– Boże, Sonia, co ty tu robisz? – wychrypiałam, gdy dotarło do mnie, kto tam

stoi. Podbiegłam do niej i tuląc ją w ramionach, dziękowałam wszystkim mocom świata, że to nie żadne widmo, tylko moja własna córka. – Dlaczego ty biegasz po nocy, co? – pytałam bardziej pieszczotliwie, niż ze złością. Czułam tak ogromną ulgę, że w tej chwili wybaczyłabym jej wszystko. – Dlaczego nie jesteś w łóżku?

Sonia obejrzała się na drzwi i roześmiała głośno. Jej śmiech rozdarł na strzępy mój spokój i panującą wszędzie śmiertelną ciszę.

– Bawię się z tamą dziewczynką – odparła z przejęciem.

Zamarłam. Bo wtedy zrobiło się naprawdę upiornie.

Bałam się zgasić świece, bałam się pójść na górę, wyjrzeć przez okno, sprawdzić, czy drzwi są zamknięte. Bałam się wszystkiego, a najbardziej bałam się Soni. To dziecko widziało duchy. Nie ulegało wątpliwości, że tak właśnie było.

A mimo to spałam razem z nią w łóżku. Wolałam to niż jej bieganie po całym domu za umarłą dziewczynką, która nie chciała spoczywać pod forsycją.

W ogrodzie nocą umarło drzewo. To musiało stać się, gdy spałam, bo nie słyszałam jego upadku. Wichura odebrała mu ducha i odeszła, pozostawiając zraniony kikut i rozpostarte na ścieżce gałęzie. Ranek wstał cichy i potulny, jakby czuł się temu winny. Ziemia wsysała nocną ulewę, a słońce nieśmiało przedzierało się przez wędrujące chmury. Zaczął się kwiecień.

Sonia stała przed dużym kryształowym lustrem, z nosem przy samym szkłe. Jej twarz pulsowała, żyła po tamtej stronie. Przyglądałam jej się dyskretnie, myśląc o tym, co kryje się w jej głowie. Dlaczego widzi więcej? Podałam jej owsiankę i patrzyłam, jak miesza w niej łyżką, robi z mleka fale, mamrocze zmyślane historie. Może więc nie o duchy tu chodzi, tylko o jej wybujałą wyobraźnię? W świetle dnia wszystko wygląda inaczej, ma jaśniejsze strony.

Zaczął się ładny dzień, jak po burzy, chociaż burzy nie było. Wyszłam z Sonią przed dom, sprzątnęłam ze ścieżki gałęzie martwego drzewa. W ziemi bałam się kopać, nie chciałam odkrywać kolejnych starych tajemnic. Przedemną trzy noce bez Michała, bałam się dowiedzieć o tym miejscu jeszcze więcej. Gąsior z winem przyniosłam za dnia, ustawiłam w salonie obok pluszowej kanapy. Wiedziałam, że na trzeźwo nie dam rady. Przygotowałam kilka dodatkowych świec, zapalki, jakbym szykowałą się na wojnę. W rzeczywistości zaś odsuwałam myśl o nocy jak najdalej.

– Soniu, nie zapraszaj dzisiaj żadnych dziewczynek do zabawy – poprosiłam na wszelki wypadek, choć kiedy wymawiałam te słowa w liczbie mnogiej, skóra zjeżyła mi się na całym ciele. Wyobraziłam sobie setki sinych bosych stópek, biegających tam i z powrotem po pokojach, schodach, korytarzach. I setki białych dziecięcych twarzy, za którymi ciągały się powłóczyste żałobne welony włosów.

– Ja nie zapraszam tej dziewczynki – odparło moje dziecko. – Ona tu mieszka. Opadły mi ręce.

Wbrew moim życzeniom, zmierzch skradał się krok po kroku, wlokąc mgły nad lasem. Robiłam wszystko, by zagłuszyć ciszę, z której w każdej chwili mogły wyłonić się kroki, szepty i westchnienia upiórów zamieszkujących ten dom lub moją głowę. To naprawdę nie miało znaczenia, gdzie one się

gnieździły. Zanim ułożyłam Sonię do łóżka, znieczuliłam się lampką wina i włączyłam radio. Niech coś gada, śpiewa, nawet trzeszczy i szumi, byle nie dzwoniła cisza. I światło. Dużo światła, w każdym pomieszczeniu. Żeby tylko nie wyłączyli znów prądu. U Soni lampka przy łóżku. Niech nie buduje z tańczących po ścianach cieni nowych przyjaciółek. Lustro lepiej zasłonić prześcieradłem. Kto wie, czy nie wylezie z niego jakieś lichy. Potem jeszcze jedna lampka wina i jeszcze...

Obudziło mnie stukanie w okno. Ścienny zegar wskazywał dwie minuty po północy. Dom był oświetlony jak na weselu, więc trudno było udawać, że nikogo w nim nie ma, albo że wszyscy śpią. Pukanie powtarzało się w równych odstępach. Trzy stuknięcia, cisza. Znów trzy stuknięcia i ponownie cisza. Jak automat. Ale to nie był automat. Ktoś stał pod oknem i pukał palcem w szybę. Nie nachalnie. Raczej miarowo i metodycznie. I właśnie ta miarowość przerażała mnie najbardziej. Natychmiast nasunęła mi się opowieść babci o demonach, zwiastujących takim pukaniem śmierć.

Okno w salonie zaciągnięte było ciężką kotarą, ale Bóg mi świadkiem, że uchylenie choćby jej rąbka było ponad moje siły. Stałam po tej stronie cholernej szyby i wsłuchiwałam się w demoniczne pukanie. Bałam się, że oszaleję i do końca życia będę tkwić w omamach i lękach, jak Oksana. To ona mówiła przecież, że jakiś „on” podchodzi do okna, wdziera się do domu, siada na jej krzesłach. Powoli zaczynałam wierzyć, że od wczoraj powinnam być już pacjentką szpitala psychiatrycznego. Zatkanam dłońmi uszy i uciekłam do pokoju Soni. Dopiero widok spokojnie śpiącego dziecka uświadomił mi, że nie mogę popadać w histerię. Jestem odpowiedzialna za moją córkę. Zdeterminowana przeszłam do sypialni, skąd był widok na przód ogrodu i jednym ruchem otworzyłam okno.

– Kto tam? – rzuciłam w ciemność. Pilnowałam, by głos mi nie zadrżał ze strachu.

– Kurczę, Anita, nareszcie! – odezwał się z ulgą Walery. – Weź, otwórz drzwi, już mi nogi w tyłek włożą.

Zbiegłam jak na skrzydłach i zanim Walery zdołał mnie przywitać w jakiś cywilizowany sposób, zawisłam na jego szyi.

– Boże, Walery, jak dobrze, że to ty! – chlupałam w jego kurtkę. – Nie wytrzymam dłużej w tym chorym domu, tu straszy jak diabli. Ja już myślałam, że zwariowałam, wczoraj to tupanie, a dzisiaj ktoś w okno...

– Kurczę, Anita, opamiętaj się – mitygował mnie, uwalniając się z moich zaciśniętych na jego szyi rąk. Ochłonełam na tyle, by zdobyć się na w miarę

przytomne pytanie:

– Ale dlaczego ty tutaj o tej porze?

– No, nareszcie jest z tobą jakiś kontakt – odetchnął z ulgą. – Dasz mi gorącej herbaty? Zmarzłem trochę.

– Chodź do kuchni – szczebiotałam szczęśliwa, że mam przed sobą absolutnie żywego człowieka. – Dam ci herbaty i coś do zjedzenia, a ty będziesz opowiadał. Martwiłam się o ciebie, nie pokazywałeś się, odkąd wyjechałeś z Barnabą. Co się z tobą działo?

– A nic. Wysiadłem na dworcu i od razu natknąłem się na patrol, potem na drugi. Przed dworcowym budynkiem, na Świerczewskiego kolumna zomowców. Miałem się prosić, aż mnie dorwą? Nie poszedłem do domu, jak planowałem, tylko włóczyłem się po kolegach. Jeden z nich drukował ulotki. Zatrzymałem się u niego i pomagałem je roznosić.

– Roznosić? Nie bałeś się, że cię złapią?

– A kto powiedział, że się nie bałem? Zresztą było nas więcej i wszyscy starali się robić to ostrożnie. Wkładaliśmy za wycieraczki samochodów, zostawialiśmy w sklepach na półkach, na przystankach tramwajowych... Nie dawaliśmy tego ludziom do rąk, bo nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi. W końcu doszliśmy do wniosku, że to mało ostrożne, trzeba zmienić ekipę, bo ktoś mógł nas namierzyć. Teraz inna drużyna roznosi, a ja się upłyniłem. Tutaj przyjechałem autostopem, dlatego tak późno...

– I co teraz?

– Nie wiem. Chyba tu trochę zostanę. Mogę?

– Tak, pewnie, że możesz. Tylko nie ujawniaj się.

– No jasne, wiem.

– Dwa dni temu był tu taki gość z Ameryki, chciał kupić Lenina.

– Którego? – zainteresował się i automatycznie zerknął za okno.

– Wszystkie pięć pomników – powiedziałam z dumą, jakbym osobiście je wykonała.

– Po co mu to? Co on chce z nimi zrobić? – zdziwił się.

– Opchnąć sąsiadom. Spodobał mu się pomysł na dekorację ogrodu – zaśmiałam się.

– A Michał co na to? Chce sprzedać? To pamiątka po ojcu, jakby nie było.

– Michał nie darzył ich szczególnym sentymentem. Poza tym przy naszej rozmowie nie było go, wyjechał. Wróci za dwa dni. Ten facet powiedział, że dobrze zapłaci. Pieniądze bardziej nam się przydadzą niż te pomniki.

– No pewnie... Jest tylko jeden szkopuł – zasepił się Walery.

– Jaki znowu szkopał? – zaperzyłam się, bo o niczym innym nie marzyłam, jak o pozbyciu się bolszewika z ogrodu.

– Nie wiem, czy pozwolą mu wywieźć go z Polski. A jeśli nawet, to czy w Ameryce chętnie go przyjmą? Jest to w końcu symbol komunistycznego zniewolenia.

– W Ameryce wszystko przyjmą. A poza tym, co mnie to obchodzi? Chce kupić, proszę bardzo. Dostanie Lenina, my pieniądze i będziemy kwita.

– Nie chcę cię straszyć, ale z tego może zrobić się polityczna sprawa.

– Jaka polityczna sprawa? – przestraszyłam się.

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie i zapytał:

– Anita, a co ty wiesz o Leninie?

– To, co wszyscy – odparłam, zdziwiona jego pytaniem. – Nigdy mnie specjalnie nie zajmował. Wiem to, co powiedzieli mi w szkole. Chciał rewolucji, po której wszyscy mieli być sobie równi.

Walery podniósł się z miejsca i przeszedł się po kuchni. Potem zatrzymał się i rzucił z pretensją, jakby chciał uczynić mnie odpowiedzialną za bieg historii:

– Bardzo szczytny cel, prawda? Tak uczyli w szkole. Podtykali obrazki, na których wujcio Lenin głaszcze po płowych główkach dziatwę, a ona macha mu przed nosem rozkwitłym kwieciem. Tymczasem ten paranoik miał na swoim koncie zbrodnie nie mniejsze niż Stalin czy Hitler. Ale o tym się nie mówiło, o nie! A ja ci powiem, że historia w szkolnych podręcznikach nie ma nic wspólnego z prawdą.

– Nie bronię go, broń Boże, ale jego polityczne ideologie miały chyba jakieś dobre intencje? – zapytałam, zbita nieco z tropu.

– Intencje? On miał obsesję, nie dobre intencje. Chciał, żeby bolszewicy przechwycili władzę, a temu marzeniu podporządkował wszystko. Był bezwzględny. Miliony istnień skazał na śmierć. Takie pomniki, jak te tutaj, znieważają pamięć sowieckich ofiar.

– Jak? – wyjąkałam, bo wizja wujcia Lenina siłą rzeczy była mi po stokroć bliższa. – Jak skazał na śmierć?

– Polityką antychłopską – zachnął się. – Kolektywizacją, głodem! Poza tym kazał likwidować wszystkich przeciwników swojej ideologii. Kiedyś na pewno będzie się o tym mówić. To był zbrodniarz i tyle.

– Walery, nie chcę już o tym słuchać – westchnęłam. – Wiem, że kiedy wsiądziesz na swojego konika, możesz opowiadać bez końca. Ale wciąż wszędzie jest źle. A ja jestem już tym zmęczona. Teraz z radością położę się spać. Myślę, że ty też chętnie odpoczniesz.

– Jasne – zgodził się niechętnie, bo lubił te swoje historie. Zamilkł, lecz po chwili zapytał, niby od niechcienia:

– Florki nie widziałaś ostatnio?

– Nie, ostatnio nie – powiedziałam, zbierając brudne naczynia ze stołu. – Tylko wtedy, wiesz... Jak przyszła powiedzieć o Wilku.

– Myślisz, że z tym Wilkiem coś ją łączy?

– Florka z Wilkiem? – powiedziałam rozbawiona. – Z nim się nie da stworzyć związku, Walery. Nie martw się.

– Wcale się nie martwię – rozzłościł się. – Tak tylko pytam – dodał już spokojniej i zaczerwienił się jak panienka.

Pomyślałam, że wciąż kocha Florę.

– Kochanie moje! Anito, już jestem! – Michał biegł od furki tak szybko, na ile pozwoliła mu ciemność przed oczami, bo przecież dzień był jasny, a nawet słoneczny. Biegł, potykając się, a ja drżałam, że zaraz upadnie i będzie mu głupio, bo chciał jak każdy mężczyzna powitać swoją ukochaną. Wysłałam mu naprzeciw, ale zawahałam się przed zejściem na ścieżkę i podaniem mu ręki, żeby nie pomyślał, że to z litości nad jego kalectwem. Natomiast szczęśliwa Sonia wyprzedziła mnie, przebiegła obok i rzuciła mu się na szyję, spontanicznie, z radością. I to ona, nie ja, ujęła jego dłoń i powiedziała:

– Daj mi rękę, bo masz chore oczka.

A on uśmiechnął się z wdzięcznością i wcale się o to nie gniewał. Było mi wstyd, że od własnego dziecka muszę uczyć się bycia kimś zwyczajnym, prostym i szczerym.

– A gdzie mamusia? – zapytał i śmiesznie przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał mojej obecności.

– Czeka na ganku – odparła Sonia. – Bardzo czeka, na najwyższym schodku.

– Aż na najwyższym schodku! – zawołał tryumfalnie. I znów to Sonia sprawiła, że moje czekanie stało się nagle wyniesione na piedestał, najważniejsze, takie z najwyższego schodka. Wobec takiego postawienia sprawy nie ruszałam się z miejsca, by nie pomniejszyć wagi tego bardzo ważnego czekania.

Za Michałem szedł Barnaba. Samochód zostawił za bramą, więc uginał się pod ciężarem kartonu, z którego wystawały wytwory Michała. A to oznaczało, że nie wszystko udało się sprzedać. To z kolei wróżyło chudy miesiąc. O tym właśnie pomyślałam, gdy Michał zbliżał się do mnie z bezradnie opuszczonymi ramionami, bo nie wiedział, gdzie dokładnie stoję, by je do mnie wyciągnąć. O tym pomyślałam. Nie o Michale, nie o radości ze spotkania. O tym. A zaraz

potem o jego matce, która nie rozumiała swojego męża artysty. I o ich rozstaniu. Ja nie chciałam rozstawać się z Michałem, powinnam zweryfikować swoje podejście do jego spraw.

– Nareszcie, kochanie – westchnął Michał, wziął mnie w ramiona i stopił lody. Pal licho pieniądze – pomyślałam i wtuliłam się w jego pachnącą wiatrem kurtkę.

Barnaba minął nas bez słowa, postawił karton w korytarzu, wracając, klepnął Michała w ramię, a do mnie mrugnął okiem. Zaraz potem zniknął za bramą.

– Mówisz, że jakiś amerykański rodak chce kupić nasze pomniki? – upewniał się podczas obiadu Michał.

– Tak – wtrącił Walery, pałaszujący drugą porcję pierogów z serem. – Chce kupić, a ja uważam, że to dziwny pomysł. Żeby nie powiedzieć: głupi.

– Dlaczego? – obruszył się Michał. – Niech jadą w świat. Mnie na nich nie zależy.

– Zastanawiam się, czy przejdą przez granicę. I to jeszcze hurtem. W dodatku do Ameryki.

– To nie nasz interes – zachnął się Michał. – Sprzedajemy – zdecydował podekscytowany. – Gotówka potrzebna. W maju bierzemy ślub, to i na wesele wystarczy. Trzeba też wymienić lodówkę, bo stara coś słabo mrozi. Kupimy na talony dla młodych małżeństw – planował.

– Może na miejsce tych pomników zasadzimy jakieś ładne ozdobne krzewy? I warzywniak zrobimy za domem, trzeba kupić nasiona – zapaliłam się.

– Ja to bym na waszym miejscu dom odświeżył, pomogę – włączył się Walery.

Podczas obiadu nie rozmawialiśmy o niczym innym. Dzieliliśmy skórę na niedźwiedziu, choć żadne z nas nie wiedziało, ile ów Lech Góralczyk zamierza nam zapłacić.

Wspólny wieczór w salonie nie trwał długo. Michałowi pilno było do moich ramion i to on pierwszy zakończył debatę. Już na schodach tłumaczył swój kilkudniowy zarost brakiem żyletek na rynku. Przemknęło mi przez myśl, że takich rzeczy nie doświadczałam, mieszkając z Aleksandrem. Ale co z tego, że pachniałam najlepszym mydłem, a on był gładki jak pupa niemowlęcia, skoro i tak nie sypialiśmy razem i nigdy nie przytulaliśmy się do siebie? Michał mógł być obrośnięty jak drwał, nie powstrzymywało mnie to przed zanurzeniem się w nim całym. Doceniałam jego poranne prostowanie ścierpniętych ramion, by nie zbudzić mnie najdelikatniejszym poruszeniem, uziemianie sporów, których byłam nieustannym zapłonem, zakorzenianie uczucia. To dzięki niemu z

każdym dniem jego imię nabierało dla mnie większego znaczenia i wyzwało coraz więcej czułości. Z rozrzwinięciem też obserwowałam, jak między nim a Sonią zacieśnia się nić przyjaźni. Mimo tych wszystkich zalet, fakt, że Michał jest niewidomy, czasem kładł się cieniem na naszym związku. I nie chodziło tu o mnie, ale o niego, kiedy starał się podjąć każde wyzwanie i w nieprzyjemny sposób odmawiał przyjęcia pomocy. Zaciskałam zęby, czułam, że nie unikniemy kłótni. Poza tym moja matka... Zawiadamiając ją o ślubie, przemilczałam ten fakt i teraz bałam się, że w czasie uroczystości wybuchnie bomba. Matka nigdy nie była tolerancyjna, natomiast owszem, spontaniczna. Drżałam na myśl, że wyrazi głośno, co myśli o moim wybranku.

Ranek wstał słoneczny, podobnie jak ja po upojnej nocy. Michał zerwał się wcześniej i przygotował na śniadanie jajecznicę.

Po schodach szłam rozpromieniona, nucąc półgłosem. Dzisiaj wypadał dzień, w którym Lech Góralczyk miał zgłosić się po pomniki, co oznaczało przyплыw gotówki. Z pewnością przyjedzie jakimś dużym samochodem – myślałam, zmierzając do okna. Sonia bawiła się już w salonie pod okiem Walerego. Chleb z dżemem, który dla niej przygotował, odłożyła beztrąsko na dywan i z wysuniętym na wierzch językiem, jak podczas największego wysiłku, rysowała coś na kartce papieru. Zawróciłam do kuchni i przyniosłam jej talerzyk. Nawet nie naburczałam na temat niezliczonej ilości bakterii, które zje teraz razem z kanapką. Dopiero potem podeszłam do okna. Zerknęłam przez nie i zamarłam.

– Matko Boska... Walery, widziałeś to? – wykrztusiłam, nie odrywając wzroku od pomników, które dziś właśnie miały być sprzedane.

– Co? Nic nie widziałem – mruknął z nosem w książce.

– To podejdź tu i zobacz! – zażądałam.

Walery leniwie odłożył książkę i niechętnie podniósł się z miejsca.

– O kurczę – jęknął, gdy stanął obok mnie. – A niech to... Co teraz zrobimy?

– Co tam się stało? – chciał wiedzieć Michał, który właśnie stanął w drzwiach. Ja i Walery wymieniliśmy się spojrzeniami i milczeliśmy, bo żadnemu z nas nowina nie chciała przejść przez gardło.

– Powiecie wreszcie czy nie? – zniecierpliwził się Michał.

Sonia, która też znalazła się przy oknie, nie miała żadnych skrupułów.

– Pan Lenin jest czerwony – oznajmiła z przejęciem.

– Zawsze był – roześmiał się Michał.

– Nie ma się z czego śmiać. Ktoś oblał pomniki czerwoną farbą – potwierdził słowa Soni grobowym głosem Walery.

– Nie gadaj – zdenerwował się Michał. – Anito, na którą godzinę

zapowiedział się ten z Ameryki?

– A jakie to ma znaczenie? – odezwała się beznamiętnie. – Lenin nie nadaje się na sprzedaż i kropka. Możemy mu sprzedać Anielę.

– Anielę nie jest na sprzedaż. Pytam, bo może uda się wyczyścić je rozpuszczalnikiem.

– Nie bądź naiwny, Michał. I tak zostaną ślady.

– Kurczę, to co zrobimy? – przejął się Walery.

– Nic. Nie sprzedamy – powiedziała zawiedziona. – Szkoda...

– Ja bym jednak spróbował – zapalił się Walery. – Gdzie jest rozpuszczalnik?

– Stoi w pawilonie – mruknął zrezygnowany Michał. – Jak chcesz, to próbuj.

Walery poprosił mnie o jakąś szmatę i włożył kurtkę. Choć mieliśmy już kwiecień, poranki były naprawdę chłodne. Podałam mu stary podkoszulek Michała i poszłam do kuchni.

Zdażyłam zmyć naczynia po śniadaniu, gdy Walery stanął w progu. Minę miał głupią.

– Co? – zapytałam. – Nie schodzi?

– Schodzi. To nie jest farba.

– Co ty mówisz, Walery – szepnęłam, przysiadając na brzeżku taboretu.

– Kurczę, Anita, co tak zbladłaś? – przestraszył się i zaczął wachlować mnie mokrą szmatą ze śladami krwi.

– Przestań, zabierz to! Pajac! – zawołałam z obrzydzeniem.

– Pajac! Pajac! – zaklaskała w ręce Sonia.

– Uspokój się, Soniu. Nie mam nastroju do żartów – upomniałam małą. – Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz się pobawić.

– Pajac! – zawołała na odchodnym Sonia i wybiegła na dwór.

– Czy nie powinniśmy zawiadomić milicji? – zwróciłam się znów do Walerego. – Przerazała mnie rosnąca liczba spraw, którymi powinna zająć się milicja. Najpierw ten grób pod forsycją, teraz krew na pomnikach. Aż strach pomyśleć, co jeszcze czeka nas w tym domu.

– Świetny pomysł – odparł z ironią. – Po jaką cholere tu milicja? Przyjadą, zaczną węszyć, przy okazji mnie zgarną.

– To co robimy?

– Ale o co ci chodzi? Myjemy i sprzedajemy – powiedział.

– No, ale ta krew! Skąd krew na pomnikach?!

Walery przyjrzał mi się z niedowierzaniem i pokiwał z politowaniem głową.

– Coś ty się tak tej krwi uczepiła? Czy ja choć jednym słowem powiedziałem, że to krew?

– Powiedziałaś, że to nie farba – bąknęłam, bo już nic z tego nie rozumiałam.

– Co ty miałaś z chemii? – zapytał.

– Trzy...

– Trzeba było uważać na lekcjach, to nie wpadałabyś teraz w histerię. Zrobię ci mały powtórkowy wykład. W wyniku połączenia chlorku żelaza i rodanku amonu powstaje czerwona ciecz, przypominająca krew. Pani pokazywała nam takie doświadczenie na chemii. A ja zapamiętałam to na całe życie, bo z chłopakami robiliśmy kawały i strasziliśmy dziewczyny. Dlatego dokładnie wiem, jak to wyglądało. Identycznie jak to na pomnikach.

– I to jest właśnie ta substancja? – upewniałam się. Po ostatnich przygodach miałam dość horrorów. – Po co ktoś to zrobił?

– Z nienawiści do komuny. Ktoś chciał nam uświadomić, że takie gloryfikowanie komunisty jest nie w porządku wobec tego wszystkiego, co się teraz dzieje. Te pomniki za bardzo kłują w oczy. Myślę, że zrobił to ktoś ze wsi. Ale nie martw się, to da się umyć, tylko potrzebuję pomocy, sam nie zdążę.

– Mogę ci pomóc – zadeklarowałam się, choć niechętnie.

Nosiliśmy wodę i pucowaliśmy dzieła Augusta Gawędy bez opamiętania, dopóki nie usłyszeliśmy szumu nadjeżdżającego samochodu. Walery obejrzał się na drogę.

– Kurczę, to milicja! – zawołał, po czym bez chwili wahania rzucił szmatę i uciekł.

Zanim wóz milicyjny zatrzymał się przed bramą, zawołałam Michała. Wolałam mieć wsparcie, tym bardziej że nie miałam pojęcia, czemu zawdzięczamy tę wizytę. Michał przyszedł nad wyraz szybko. Stał koło mnie i przyglądał dłońią włosy. W tym czasie dwóch milicjantów sunęło już ścieżką. Zasalutowali jednocześnie, jak na komendę. Błyskawicznym wzrokiem obrzuciłam pomniki. Dwóch Leninów ociekało wodą, reszta sztuczną krwią. Funkcjonariusze nie byli jednak tym w ogóle zainteresowani.

– Szukamy zaginionej szesnastolatki – odezwał się jeden z nich, a drugi w tym czasie podetknął Michałowi pod nos zdjęcie. – Już od miesiąca bawimy się z nią w kotka i myszkę. Uciekła z domu. Doniesiono nam, że kręciła się w tej okolicy.

– Czy obywatel ją widział? – zapytał ten drugi. Podsunął bliżej twarzy Michała podobiznę dziewczyny i potrząsnął nią wymownie, ponieważ Michał nie miał pojęcia, że ma coś oglądać i odwrócił głowę w zupełnie innym kierunku.

– Nie – odpowiedział Michał zgodnie z prawdą.

- To niech obywatel spojrzy – zdenerwował się ten pierwszy.
 - Przecież jestem ślepy! – wyrzucił z siebie Michał. Był wściekły, jak zawsze, gdy musiał o tym mówić.
 - A obywatelka? – zwrócił się do mnie skonsternowany milicjant, pokazując mi zdjęcie.
 - Ja widzę – przyznałam się natychmiast.
 - Czy ta dziewczyna nie przychodziła tutaj? – zapytał, stukając palcem w fotografię.
 - Nie wiem, nigdy jej nie widziałam.
 - Mam rozumieć, że w domu nie ma nikogo?
 - Nie – odparłam. – Tylko moja córka, Sonia. Ma cztery lata – dodałam szybko, bo milicjant spojrzał podejrzliwie.
 - W takim razie dziękujemy – zsalutował i już chcieli odejść, gdy nagle pod nogi wpadła im roześmiana Sonia.
 - Szukaj mnie! Walery! Szukaj! – wołała, patrząc w okno na pierwszym piętrze.
- Milicjanci spojrzeli po sobie.
- A więc jednak ktoś tam jeszcze jest – stwierdził jeden z nich i obaj natychmiast ruszyli w kierunku domu.
 - Proszę przygotować dokumenty – polecił po drodze stróż prawa.
- Złapałam za rękaw Michała i pociągnęłam go za sobą. Modliłam się w duchu, żeby Walery wlaź w mysią dziurę.
- W domu okazaliśmy swoje dokumenty, po obejrzeniu których funkcjonariusze zainteresowali się innymi pomieszczeniami.
- Kto tu jest jeszcze? – zapytał jeden.
 - Nikogo więcej nie ma – zapewniałam z duszą na ramieniu, że zechcą to sprawdzić.
 - Czasami przyjeżdżają tu artyści rzeźbiarze, ale dzisiaj nie dotarli – wyjaśnił Michał, biorąc mnie za rękę. Zrobiło mi się nieco raźniej.
 - A kto to jest Walery? – zainteresował się funkcjonariusz.
 - Nie wiem. Nikt – odparłam z nadzieją, że Sonia nie będzie się tu plątać, ale właśnie usłyszałam jej drobne kroczyki na ganku. Zrobiło mi się słabo, jednocześnie poczułam, jak Michał ściska kurczowo moją dłoń.
- Sonia wbiegła do salonu, a jeden z milicjantów przyklęknął przy niej na jedno kolano i zaglądając jej w oczy, zapytał:
- Jak masz na imię?
 - Sonia – odparła śmiało i dodała: – Masz ładną czapkę.

Obcowanie z Barnabą i Ignacem właśnie wydało owoce.

– Pozwolę ci ją przymierzyć, jeśli powiesz, kto to jest Walery – podszedł ją sprytnie, a moja dusza jęknęła.

Sonia spojrzała na mnie, lecz nie mogłam dać jej żadnego znaku, żeby trzymała język za zębami.

– Pajac – powiedziało moje rezolutne dziecko i roześmiało się radośnie.

– Pajac? – zdziwił się milicjant i spojrzał na tego drugiego. Tamten nieznacznie wzruszył ramionami.

– Pajac! Pajac! – Sonia podskoczyła w miejscu i zaczęła klaskać w dłonie, zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy nazwałam tak Walerego. – Pokaż czapkę – zażądała.

Milicjant podał jej czapkę, wyprostował się i poprawił mundur.

– Mówisz, że Walery, to twój pajac? Pajacyk? – weryfikował.

– Tak, pajacyk – powtórzyła automatycznie, pochłonięta oglądaniem srebrnego orzełka.

– No dobrze – mruknął funkcjonariusz i znów spojrzał na mnie.

Nie potwierdziłam ani nie zaprzeczyłam. W ogóle nie drgnęłam.

– No dobrze... – powtórzył jeszcze raz i wyciągnął rękę po czapkę, z którą Sonia z żalem się rozstała. – W takim razie idziemy. Niech obywatelka zwraca uwagę, kto tu się kręci. Jakby dziewczyna się pojawiła, proszę nas jak najszybciej zawiadomić – nakazał, po czym obaj wyszli, a ja zabrałam się ze zdwojoną energią do pucowania Lenina.

Lech Góralczyk przyjechał rozklekotanym żukiem w towarzystwie dwóch osiłków. Jeden z nich nosił duży granatowy beret naciągnięty na czoło, poruszał się niemrawo i w ogóle wyglądał trochę tak, jakby był poszkodowany na umyśle. Drugi był raczej dziarski i wydawał się bardziej rozgarnięty. Pomniki były już wymyte, gdzieniegdzie pozostał jednak różowawy odcień. Staliśmy wszyscy w ogrodzie, jak w pożegnalnym orszaku, kiedy oni z wysiłkiem przenosili posągi do samochodu. Ustawiali je jeden za drugim, jak w kolejce. Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Ten w berecie wyciągnął z szoferki wielki młot i roztrzaskał pierwszemu pomnikowi gipsową głowę. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wziął się za następny. Staliśmy jak zakłęci, tylko Lech Góralczyk krzyczał i wymachiwał rękami. Drugi robotnik odsunął się na bezpieczną odległość i spokojnie zapalił papierosa.

– Ziutek – rzekł flegmatycznie do kolegi. – Przestań, stary... Daj już spokój, człowieku... – Odwrócił się do nas i jakby na potwierdzenie naszych domysłów, popukał się znacząco w czoło. Potem wziął szufłę i zaczął sprzątać gipsowe

głowy.

Mężczyzna w berecie rzucił na ziemię młot, splunął i zatrzasnął się w szoferce. Walery pomógł w załadunku korpusów na samochód, a kiedy było już po wszystkim, Lech Góralczyk podszedł do mnie, wyjął z portfela chudy plik dolarów, podzielił je na pół i podał mi jedną część.

– Moja strata i wasza strata – powiedział, machnął ręką i wsiadł do szoferki.

Walery niemal siłą odebrał mi latarkę i gwałtownie otworzył na oścież uchylone drzwi pawilonu.

– Stój, nie ruszaj się! – wrzasnął na całe gardło, zanim przekonał się, czy tam w ogóle ktoś jest. Dopiero potem omiótł wnętrze wątlým światłem.

– Na pewno kogoś widziałaś? – zwrócił się do mnie.

– Na pewno, Walery – odpowiedziałam szeptem. – Ktoś biegł wzdłuż ogrodu, w tę stronę.

– Wyłaź! Milicja już jedzie – blefował.

Wtedy zza skrzyni wysunęła się drobna postać.

– Wyłaź, ręce do góry! – darł się Walery, przejęty swoją rolą.

– Cicho, Walery, nie krzycz tak – mitygowałam go, gdy z ciemności wynurzyła się najpierw rozczochrana głowa, a potem cała reszta sylwetki młodziutkiej dziewczyny.

Walery zatrzymał światło na jej twarzy i na moment zaniemówił z wrażenia.

– A ty mała, co tu, kurczę, robisz? – zapytał, gdy doszedł trochę do siebie.

Dziewczyna była chudziutka jak patyk i miała ogromne oczy. Stała naprzeciw nas i uporczywie milczała.

Podeszłam bliżej.

– To ty uciekałaś z domu? – zapytałam zasadniczym tonem. Nie chciałam jej spłoszyć, ale nie zamierałam też niańczyć. Ponieważ zignorowała mnie, podobnie jak Walerego, zapytałam ostrzej: – Jak się nazywasz?

– Karolina Czerska, proszę pani – odparła posłusznie. Głos miała ładny, głęboki. Nie pasował do tej filigranowej figurki.

– Zwiłaś? – ponowiłam pytanie.

Obrzuciła bystrym wzrokiem Walerego, po czym zwróciła się wyłącznie do mnie.

– Tak – rzuciła zadziornie. – Mogę się tu przespać jedną noc? Pozwoli mi pani?

– Już co najmniej jedną przespałaś – stwierdziłam w ciemno, niemal przekonana, że poprzednim razem to też była ona. Nie zaprzeczyła. – Milicja cię szukała, wiesz?

- Wiem – rzekła z nonszalancją. – Cały czas mnie szukają.
- Nie zamierzasz wrócić do domu?
- Nie – odparła krótko.

Spojrzałam na Walerego, szukając wsparcia, ale on stał tylko oparty plecami o ścianę i bacznie jej się przyglądał.

- Jesteś głodna? – zapytałam.

Przełknęła ślinę, ale nie odpowiedziała.

- Karolina, pytam, czy jesteś głodna – powtórzyłam twardo.

- Tak – przyznała.

– Chodź ze mną, nakarmię cię – mruknęłam, starając się nie okazywać, że mięknę. Chyba nie powinnam się z nią cackać. Nie sprawiała wrażenia zalęknionej.

Starła się nie jeść łapczywie. Umykałam wzrokiem, żeby nie patrzeć jak pozostały z obiadu sos ścieka jej po brodzie. Moczyła w nim kawałki chleba i pakowała sobie do ust, przełykając duże kęsy jak kaczka.

Walery ziewnął szeroko i straciwszy zainteresowanie dziewczyną, która tylko jadła, wrócił do łóżka. Zostałyśmy same. Kiedy odsunęła pustą miseczkę, oparła się o krzesło i wyciągnęła z rozkoszą przed siebie nogi, zagaiłam:

- Powiesz mi, co się stało?

– Nie zawiadomi pani milicji? – odpowiedziała pytaniem. – Nie powie pani, że tu byłam?

– To zależy, moja droga – odezwałam się chłodno. – Jeszcze nie powiedziałaś, dlaczego uciekałaś.

Zmrużyła oczy. Trzeba przyznać, że była bardzo pewna siebie.

– Przecież i tak mogę powiedzieć cokolwiek – uśmiechnęła się bezczelnie. – Wszystko można powiedzieć i we wszystko można uwierzyć, no nie?

– Owszem, wszystko – zgodziłam się. – Może więc uznasz, że jestem naiwna, ale wierzę, że jednak powiesz prawdę.

- Właściwie nic nowego, standard. Problem z matką.

- Różnice pokoleń? Ma inne zdanie niż ty? O to chodzi? – snułam domysły.

- Też, ale nie to jest najważniejsze.

– No to co? Powiesz wreszcie? – zniecierpliwiłam się. Wyciąganie z niej po jednym słówku było irytujące.

– Powiem – zdecydowała nieco potulniejszym tonem. – Chociaż nie wiem, od czego zacząć, wszystko jest ważne.

– Najlepiej od początku – mruknęłam i z trudem ukryłam ziewnięcie. Było bardzo późno i pragnęłam już znaleźć się w łóżku. Mogłabym odłożyć tę

rozmowę do jutra, ale nie ufałam jej. Rankiem przypuszczalnie nie zastałabym tej pannicy. Prawdopodobnie ucieknie o świcie.

– Słyszała pani o strajkach w stoczni? – zadała retoryczne pytanie. Każdy Polak, i nie tylko, o nich słyszał.

– No pewnie – oznajmiłam.

– Moja matka tam pracuje. W stoczni. Jest księgową. Natomiast ojciec jest marynarzem. Mieszkamy w Gdyni. Zna pani Gdynię?

– W zasadzie nie. Zwiedzałam kiedyś całe Trójmiasto. Byłam tam na wycieczce szkolnej.

– No właśnie... To pewnie nie wszystko pani widziała. Tam, w Gdyni jest taka dzielnica willowa, gdzie pełno jest jednorodzinnych domków. Takie betonowe pudełka. Mówi się na nią Zegarkowo.

– Zegarkowo? Śmiesznie. Dlaczego?

– Tak twierdzą tubylcy, że niby wybudowano ją za pieniądze pochodzące z przemytu zegarków. Bo wszystko, proszę pani, co przywozili marynarze, nazywało się przemytem. A to nieprawda. Przywozi się różne rzeczy, których nie ma w Polsce, to chyba naturalne, prawda? Za granicą dziwią się na przykład, że marynarze wykupują cały zapas papieru toaletowego. A oni dla rodzin wiozą. Jaki to wstyd, prawda? Papier toaletowy, artykuł pierwszej potrzeby! Albo podpaski. Marynarze przywożą je żonom, siostram, córkom, komu się da. Chyba tylko one nie mają z takimi rzeczami problemu. No, może jeszcze te, które mają dolary. Ale nie każdy ma. Mniejsza o to. Faktem jest, że ojca właściwie nie ma w domu, bo wciąż pływa. Myśmy się do tego przyzwyczaiły i kiedy on ma urlop i kręci się po chacie, matkę to strasznie irytuje. Ona ma bzika na punkcie domu i porządków, podobnie jak wszystkie chyba marynarzowe, które mieszkają w tych willach. No, ale one w większości wypadków nie pracują, tylko dopieszczają te swoje gniazdko, a potem zapraszają sąsiadki, żeby się pochwalić. Wie pani, że te kobiety popisują się nawet dziećmi?

– Co ty powiesz? – zapytałam z nutką złośliwości. Nie o tym chciałam słuchać.

– Naprawdę! Kiedy byłam małą, matka prasowała mi codziennie świeży kołnierzyk i kokardy do szkoły. Wyglądałam jak lalka z wystawy. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że to wszystko na pokaz. Matka jeszcze nie pracowała. Pamiętam, że chata była zawsze wypucowana, jak w muzeum. Buty musiałam ścierać już na ganku, a goście dostawali uszyte z flaneli łapcie, żeby parkiety się nie porysowały. Gdy podrosłam, matka miała kota na punkcie urządzania domu. Wszystko musiało być dopasowane i inne niż u pozostałych. Chodziła po

pchlich targach, polowała na starocie i porcelanę, aż urządziła wszystko na tip-top. Wtedy to były bankiety dla znajomych! Sąsiadki konkurowały w wymyślaniu wyszukanych potraw. Nie daj Bóg, żeby któraś zaserwowała jakąś tam zwyczajną sałatkę jarzynową albo śledzie. Nie, takich rzeczy się w Zegarkowie nie podaje...

– Nawet teraz? – przerwałam jej.

– A co pani myśli! Nawet teraz – potwierdziła.

– No dobrze. Ale do czego ty właściwie zmierzasz? Na razie nie zauważyłam żadnego konfliktu.

– Właśnie do niego zmierzam. Kiedy zaczęły się strajki, ojciec akurat dostał kilka dni urlopu. A matka siedziała dniami i nocami w stoczni. Żeby pani wiedziała, jak on się denerwował, jak się o nią martwił. Codziennie do niej jeździł i namawiał, żeby zostawiła to wszystko i wróciła do domu. W tym właśnie czasie zauważyłam, że ojciec musi być w niej strasznie zakochany.

– Wcześniej tego nie widziałaś?

– No nie... Wcześniej matka zawsze była w domu, więc nie musiał się o nią martwić ani starać.

– No jasne, że nie musiał – mruknęłam pod nosem, żeby Karolina nie słyszała. Żona była na miejscu i skakała wokół niego, więc uważał, że wszystko jest w porządku.

– Ale urlop się skończył – ciągnęła Karolina – i ojciec musiał wypłynąć w kolejny rejs. Cieszyłam się, że starzy tak się kochają, mało kto może się tym pochwalić. Aż pewnego dnia matka przyprowadziła do domu jakiegoś faceta. Powiedziała, że właśnie zatrudnił się w stoczni, przyjechał z innego miasta, nie ma jeszcze własnego kąta, więc u nas wynajmie pokój. Nie bardzo mi się to podobało, nikt nie lubi, jak mu się ktoś obcy kręci pod nogami, ale nie miałam nic do gadania. Poza tym on i tak większość dnia spędzał w pracy, więc mi nawet nie przeszkadzał. Ale matce coś odbiło. Zaczęła się stroić, latać do fryzjera, szykować kolacyjki z winem, przy świecach, na które go co wieczór zapraszała.

– Ciebie też? – zapytałam. Ta opowieść stała się intrygująca.

– Mnie też, bo tak wypadało, ale szczerze mówiąc, często zapominała, że z nimi siedzę i zachowywała się przy tym facecie jak kotka w marcu.

– A on?

– Nie... – rzekła z zastanowieniem. – On był nawet tym zakłopotany. Wyglądał, jakby wciąż się dziwił. Wie pani, tak patrzył...

Karolina podniosła do góry jedną brew i wlepiała we mnie oczy. Zrobiło mi się

gorąco. Wyglądała jak Wilk.

– I co było dalej? – zapytałam na przydechu. Już wcale nie chciało mi się spać.

– Dalej? Dalej... – zastanowiła się przez moment. – Aha, już wiem. Ojciec przesłał wiadomość, że niebawem będzie. I nagle ten człowiek zniknął. Jakimś cudem znalazło się dla niego lokum i już nie musiał mieszkać u nas. Tak naprawdę w tym czasie zaczął się ten konflikt, o którym mówiłam. Bo teraz matka wychodziła z domu. Nadal jedli te swoje kolacyjki, ale już chyba u niego i mnie nie zapraszali. Matka wracała coraz później i później, aż w końcu nie przyszła na noc. Potem unikała mnie i udawała, że nic się nie stało. Właściwie wymyślała ciągle nowe i coraz głupsze preteksty, aż mnie mdliło. Nie chodziło mi o ten idiotyczny związek, tylko o to, że ojciec ją tak kochał, a ona go oszukiwała. On miał zaledwie tydzień wolnego, to przecież krótko, ale ona i tak nie mogła wytrzymać bez tego swojego Konrada...

– Jak powiedziałaś? Konrada? – przerwałam jej znowu i odpięłam jeden guzik pod szyją, bo zrobiło mi się jeszcze bardziej gorąco.

– Tak się nazywa.

– Wytrzymała?

– Tak, ale z trudem. Widziałam, jak ją nosi, aż dziwne, że ojciec nic po niej nie poznał. Zresztą nie miał czasu na rozmyślanie. Zawsze kiedy ma urlop, jest coś do zrobienia. A to kran cieknie, to znów węgiel na zimę trzeba załatwić, drzwi naoliwić, wie pani, jak to jest.

– Wiem. Co dalej?

– Matka zakochała się jak nastolatka. Ludzie zaczęli szemrać po kątach, aż mi było głupio, bo przyglądali mi się jak małpie w cyrku. W szkole się opuściłam, wiadomo, co innego miałam na głowie. Wkrótce okazało się, że to nie było najgorsze zmartwienie, jakie mogło mnie spotkać. Pewnego dnia ktoś zadzwonił do mnie, że matka jest w szpitalu.

– Miała wypadek – wykrztusiłam. – Jechali razem i mieli wypadek... Uderzyli w drzewo.

– Jezu... Skąd pani wie? – zdziwiła się. – Tak właśnie było – mówiła powoli, przy czym gapiała się na mnie jak na czarownicę. – Trzasnęli w drzewo. I to dzień przed przyjazdem ojca. Wtedy wszystko wyszło na jaw. Musiałam o wszystkim ojcu opowiedzieć, bo nie rozumiał, dlaczego oni razem i tak dalej. W sumie matce nic takiego się nie stało. Miała tylko złamaną rękę i jakieś potłuczenia, zaraz ją wypuścili. Z tym facetem było gorzej.

– A co jemu się stało? – zapytałam, wstrzymując oddech. Zapomniałam, że

nie on był przedmiotem rozmowy.

Karolina spojrzała na mnie z zastanowieniem. Była inteligentna, ale nawet ona nie mogła się domyśleć, dlaczego dałam się ponieść emocjom.

– A co pani tak o niego pyta? Ja nie wiem dokładnie, co mu się stało. Przecież w domu były ciche dni, nikt z nikim nie gadał, zwłaszcza o tym. Dopiero kiedy ojciec pojechał, słyszałam urywki rozmów matki z przyjaciółką. Coś tam z nim niewesoło było...

– Przeżył? – zapytałam z przejęciem.

– No przeżył, przeżył. Gdyby umarł, matka wróciłaby do domu, a mnie nie byłoby tutaj... Ojciec wściekły wypłynął w rejs, a matka zaczęła przesiadywać w szpitalu. Powiedziałam, że jeśli nie przestanie, to coś zrobię. A ona na to, że wystarczająco już zrobiłam i dziękuję mi za zmarnowanie życia. Ja jej zmarnowałam życie, no proszę pani, ja!

Karolina zerwała się z miejsca i przemierzyła kilkakrotnie kuchnię, zanim się uspokoiła. Potem mówiła już ciszej.

– Niewiele myśląc, spakowałam manatki i poszłam sobie. Myśli pani, że zauważyła? Czy ona zauważyła chociaż, że mnie nie ma? – Karolina oparła głowę o stół i rozplakała się jak dziecko. – Zostawiłam jej list – szłochała – żeby mnie nigdy nie szukała, bo i tak nie wrócę. Chyba że się pogodzą. Ona i ojciec. Myśli pani, że ona to przeczytała? Ten list? Jak pani myśli, przeczytała?

Patrzyłam na jej drobne ramiona, które unosiły się w hamowanym płaczu z mieszanymi uczuciami.

– Nie wiem, czy przeczytała. Na pewno cię szuka i rozpacza.

– Tak – skwitowała kąśliwie. – Rozpacza, akurat!

– Karolino, nie miałaś dzieci, więc nie wiesz, jak to jest – zauważyłam z pozycji, jak mi się wydawało, doświadczonej matki.

– Nie wrócę, jeśli ona nie zostawi tego faceta i nie pogodzi się z ojcem – powiedziała twardo, rozmazując ostatnie łzy po twarzy.

– Skąd będziesz wiedziała, czy się pogodzili? – zapytałam trzeźwo.

– Nie wiem – przyznała. – Miałam do nich dzwonić z poczty, ale najpierw zablokowano telefony, a teraz się boję, że mnie złapią.

– Może od dawna są razem, a ty wciąż się tułasz.

– Może. Nie wiem... Mogę pójść spać? – zapytała nagle, jakby chciała uciąć dyskusję. – Padam na twarz.

– Za chwilę – zatrzymałam ją ruchem ręki. – Chcę ci jeszcze coś uświadomić. Coś, czego nie możesz jeszcze wiedzieć, bo niewiele doświadczyłaś.

– Jak tak na panią patrzę, to pani też...

– No, może masz rację – zgodziłam się lekko rozbawiona. – Ale mam na koncie trochę więcej przeżyć niż ty. Chcę ci powiedzieć, że nie możesz zabronić matce miłości. Tylko tyle. I tak nie pokonasz miłości, nawet jeśli ją zniszczysz – powiedziałam i nagle zamilkłam. Sama kiedyś to od kogoś usłyszałam... Już wiem, od Florki. Na pewno od niej. Powiedziała tak o Aleksandrze. – Zastanów się, czy wolno ci szantażować własną matkę.

– Ale tu chodzi o ojca! – oburzyła się.

– Ojciec powinien z nią porozmawiać. Chyba jest jakiś powód, że pokochała kogoś innego.

– O czym tu rozmawiać? Dla mnie to wszystko jasne.

– Wiesz, co ci powiem? Powinnaś tam wrócić i sama się o tym przekonać. Najlepiej teraz, gdy ten człowiek potrzebuje pomocy, a sam nic nie może dać w zamian. Jeśli ona wciąż będzie trwać przy nim, pielęgnować go i troszczyć się o niego, możesz zapomnieć o ratowaniu związku twoich rodziców.

Karolina spojrzała na mnie swoimi wielkimi oczami i nic nie odpowiedziała. Prawdopodobnie nie chciała tego usłyszeć. To burzyło jej poczucie stabilizacji w ciepłym rodzinnym gniazdku i jej status pisklęcia w puchu. – Możesz teraz pójść spać, przygotowuję ci łóżko – dodałam cieplejszym tonem.

– Nie, nie chcę. Wolę tam, w tej drewnianej budzie. Dziękuję za kolację, dobranoc – powiedziała zgaszona i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Leżałam w ramionach Michała, który się przebudził i patrzył wraz ze mną w ciemność. A raczej to ja patrzyłam razem z nim w jego ciemność i zastanawiałam się, czy to, co mu daję, jest porównywalne z tym, co matka Karoliny mogłaby podarować Wilkowi. Myślałam też o tym, czego oczekuję od Michała i na ile siebie wzajemnie potrzebujemy.

Rankiem, jak przewidziałam, Karoliny już nie było. Miałam nadzieję, że wzięła do serca moje słowa i wróci do domu. Jeśli zaś chodzi o Wilka, nie miałam stuprocentowej pewności, że to on. Jednak tak wiele zbieżności kazało mi przypuszczać, iż tak właśnie było. Cóż, świat jest podobno mały, a przypadki bywają zdumiewające.

Babcia miała łzy w oczach, gdy rysowała krzyż na moim czole. Klęczeliśmy przed nią w zarzuconych na ramiona płaszczach, skrywających ślubne stroje. Za oknem lało jak z cebra, a zimny wiatr tarmosił gałęzie i rozdmuchiwał ptakom ogony. Barnaba doczyszczzał zabłocone reflektory w swoim samochodzie i raz po raz zerkał w niebo z nadzieją, że to się wreszcie skończy. Matka kręciła głową i cmokała z dezaprobatą, bo wszystko było nie tak, jak sobie wyobrażała. Sukienkę trzeba było zadrzeć wysoko, żeby nie uwalą się w błocie. Florce rozmazało się oko, ale nie było już czasu na poprawianie makijażu. Trzeba było jechać.

Kościółek nie był duży, a i tak goście nie wypełnili go nawet do połowy. Trzymałam Michała mocno, żeby nie potknął się o rozciągnięty przez środek, zdeptany chodnik. Tuż za nami kroczyli Florka z Walerym, nasi świadkowie. Między nimi zaś, z dumnie uniesioną głową, szła Sonia. Goście mościli się w ławkach, blisko ołtarza, żeby dobrze słyszeć przysięgę i widzieć łzy panny młodej. Ale mnie daleko było do łez. Zastanawiałam się, co Regina robi na moim ślubie i dlaczego nie ma Aleksandra. Poza tym wszystko rejestrowałam bardzo dokładnie: pajęczynę na nodze świętego Franciszka, krzywe zęby księdza i to, że ministrant miał katar. Wszystko, tylko nie to, że za chwilę zostanę żoną i będę dzielić życie z drugim człowiekiem. Michał powtarzał za księdzem głośno i dobitnie, ale moja matka i tak wyglądała, jakby miała wątpliwości. Na naszych palcach zabłysły obrączki, zdobyte cudem przez Ignaca od jakiejś Rosjanki, bo w sklepie jubilerskim paradoksalnie sprzedawano je na podstawie zaświadczenia o zawartym już małżeństwie.

Przyjęcie zorganizowaliśmy sami, w naszym domu, a raczej w domu Oksany, na jej krzesłach i przy jej stole. Wciąż jeszcze nie mogłam się przemóc, by traktować te wszystkie dobra jak moją własność. Czasem odnosiłam wrażenie, że prawowita właścicielka płacze się gdzieś po tym świecie i pewnego dnia zaskoczy nas swoją obecnością.

Siedziałam między Michałem a moją matką i obserwowałam weselną gości. Barnaba raczył się wódką, na którą z okazji ślubu wydawano ekstra talony. Walery z Florką stali przy oknie, pewnie zwierzali się z tych miesięcy bez

siebie, bo patrzyli sobie miłośnie w oczy i manipulowali tak, by ich ciała muskały się raz za razem. Cieszyłam się na myśl, że następną parą przed ołtarzem będą właśnie oni. Reginie, jak się okazało, ściągniętej na ślub przez matkę, nie zabrakło tupetu, by skorzystać z przyjęcia. Usiadła jednak w takim miejscu, by nie rzucać się w oczy, choć i tak widziałam, jak spogląda na mnie z zaciśniętymi z gniewu ustami. Matka polowała na możliwość rozmowy tylko ze mną, wykorzystując każdy taki moment na strofowanie mnie i krytykowanie podjętych przeze mnie decyzji.

– Jak ty z nim będziesz żyła – gderała, rzucając w kierunku mojego świeżo upieczzonego męża krzywe spojrzenia. – On ci przecież w niczym nie pomoże, pieniędzy nie zarobi, niczego w domu nie naprawi. Po co ci taki? Lepiej było za dyrektora wyjść. I w mieście byś mieszkała, nie w tej głuszy. Ech... Ty jak coś zrobisz, to do niczego niepodobne.

Za to grupa artystów wynajmujących u Michała pracownię bawiła się świetnie i co chwilę wznosiła okrzyk „gorzko, gorzko”. Matka Michała w towarzystwie drugiego męża, sióstr i ich małżonków siedziała nieco dalej. Widziałam, że mówili na mój temat, bo wciąż zerkali w naszym kierunku i unosili kieliszki z winem, uśmiechając się życzliwie. Dzieci pobiegły na górę i bawiły się w pokoju Soni, nie przejmując się uroczystością. Michał miętosił pod stołem moją dłoń i niewiele się odzywał. Może winien był siąpiący wciąż deszcz i ponura aura za oknem, dość, że atmosfera była raczej ospała, do czasu, aż ojczym Michała sięgnął po akordeon i przesunawszy krzesło w kąt pokoju, zaczął grać skoczne biesiadne melodie. Ignac, który miał już trochę w czubie, niewiele myśląc, złapał mnie za rękę i na środku pokoju odtańczyliśmy jakieś wygibasy. W nasze ślady poszedł Walery z Florką, Majka i Barnaba, a nawet Michał.

„Na morzu burza hula...” – zaintonował nasz akordeonista, a matka i ciotki Michała natychmiast podchwyciły refren:

Zabrałaś serce moje, zabrałaś moje sny

A mnie pozostawiłaś te łzy gorące łzy.

Nawet moja matka i babcia, podochocone alkoholem, podśpiewywały pod nosem i kiwały się rytmicznie. Michał tulił mnie do siebie i szeptał mi coś do ucha, ale melodia zagłuszała jego słowa. Poddałam się jej, oparłam brodę na jego ramieniu i kołysząc się leniwie, spod przymrużonych powiek obserwowałam naszych nielicznych gości.

Nagle w progu stanęła kobieta w przemoczonym ubraniu, z ociekającym wodą parasolem. Nie znałam jej, ale zważywszy na podobieństwo do posągu dekorującego hol, domyśliłam się w niej starej Anieli. Nie ruszała się z miejsca,

tylko nieco zaskoczona, przyglądała się uważnie wszystkim twarzom. Ojczym przestał grać, a goście zatrzymali się w tańcu i patrzyli na nią zdziwieni. Regina aż uniosła się na krzesło, by lepiej widzieć całą sytuację, w której weszła aferę. Leon pociągnął ją za rękaw, ale ofuknęła go ostro. Nikt prócz Michała nie znał Anieli, ale on właśnie nie mógł jej zobaczyć. Zapadła taka cisza, że słychać było jedynie strugi deszczu za oknem. Michał zaniepokoił się i chciał o coś zapytać, ale położyłam mu palec na ustach. Uznał to widocznie za jakąś weselną grę, bo uśmiechnął się i ze zrozumieniem pokiwał głową, jakby w oczekiwaniu na jakąś niespodziankę. Stalibyśmy tak pewnie jeszcze długo, gdyby nie zareagowała moja matka.

– A pani czego tu szuka? – zapytała ostro, nie opuszczając swojego krzesła. Aniela spojrzała na nią zimno.

– Pani Oksany szukam. Jest tutaj?

Michał, usłyszawszy znajomy głos, zostawił mnie na środku pokoju i ruszył w kierunku, skąd dobiegał.

– Pani Aniela? – zapytał niepewnie.

– A co ty mnie nie poznajesz? – zdziwiła się. – Tak się zestarzałam? Gdzie pani Oksana?

Zadrzałam, że Michał powie zbyt dużo i rozpęta niepotrzebną burzę, ale on był bardzo opanowany.

– Nie ma jej tutaj – odpowiedział tylko.

– A nie wiesz, gdzie jej szukać? Mam pilną sprawę.

– Nie wiem – odparł. – Przykro mi.

– A tu co? Wesele? – zapytała znowu. – Tak się tu zabawiacie w cudzym domu?

Michał otworzył usta, ale uprzedziła go Regina.

– A co to za sprawa? – zawołała ze swojego miejsca i zerknęła na Leona. – Może my coś pomożemy?

– Niech pani patrzy końca swojego nosa – ofuknęła ją Aniela i znów zwróciła się do Michała: – Jak przyjedzie, niech mnie jak najszybciej odwiedzi. Wie, gdzie mieszkam.

Po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

– Niech pani zaczeka – zawołała za nią Regina i zarzucając na plecy szal, wybiegła na korytarz. – Czyj to dom? – usłyszałam jeszcze, zanim wymknęła się za Anielą aż na ganek.

Nocami porzucaliśmy świat słów, by mówić milczeniem zawieszonym na opuszkach palców, wilgotnych wargach i na czułych dłoniach. Oddzielając ciało

od umysłu, balansowaliśmy na granicy świadomości i rozkoszy. Dopóki nasze dni utkane były głównie namiętnością, życie wydawało się cudowne.

Najpierw wróciła Karolina. Dostrzegłam ją rankiem na ganku. Siedziała zrezygnowana, a jej twarz nie wyrażała wiele więcej niż oblicze Matyldy. Bez słowa wpuściłam ją do środka.

– Nikt nie odbiera telefonu – oświadczyła ponuro. – Tam nikogo nie ma. Pani mówi, żebym wróciła do domu, ale ja nie mam domu! Może tam są jakieś ściany, schody i obrazy, ale to nie dom, rozumie pani?

– Uspokój się, Karolino. Pojadę z tobą na pocztę, spróbujemy zadzwonić jeszcze raz. Może twoja mama chwilowo gdzieś wyszła, nie histeryzuj...

– Chwilowo? Dzwoniłam cały dzień, obleciałam chyba wszystkie poczty we Wrocławiu. Trzęsłam się, żeby mnie nie dorwali gliniarze, ale jej po prostu tam nie ma! Zajmuje się swoim facetem i wszystko ma gdzieś! – krzyczała, a jej słowa pełne żalu i bólu najpierw rozdzierały mi serce, a potem zaczęły irytować.

– Karolino, tak nie można – tłumaczyłam. – Wściekasz się, że matki nie ma w domu. A ty tam jesteś? Skąd wiesz, czy nie jeździ po całej Polsce i nie szuka ciebie? A może właśnie walczy o życie, bo przyprawiłaś ją o zawał serca? Może rozpacza, bo zrobiła już wszystko, żeby cię odnaleźć, a teraz może jedynie bezradnie czekać? Ona do tego czekania potrzebuje czyjś ciepła i zrozumienia, rozumiesz? Może szuka go w ramionach jedyne go człowieka, który jej to potrafi dać. I posłuchaj, powtarzam ci jeszcze raz: ona ma prawo kochać nie tylko ciebie.

– Nie mówię o sobie, mówię o ojcu! – wykrzyczała mi w twarz. – To jego porzuciła!

– Nie, Karolino. Mówisz o sobie. Wszystko w tobie aż krzyczy w poczuciu krzywdy. Ojciec poradzi sobie z tym po swojemu, bo musi być jakaś przyczyna i jakieś rozwiązanie. Ale to ty poczułaś się zdradzona i porzucona, nawet jeśli nie mówisz tego wprost. Nagle spadłaś z piedestału, prawda?

– Nigdy na nim nie stałam – mruknęła.

– Na pewno? A komu twoja matka poświęcała najwięcej uwagi? Nie tobie? A teraz może robi coś wreszcie dla siebie, nie pomyślałaś o tym? Ty już jesteś dorosła, nie potrzebujesz jej uwagi. Niedługo pójdziesz swoją drogą.

Gdy mówiłam, zapadła się w głąb siebie, zapatrzyła niewidzącym spojrzeniem. Może tam właśnie szukała odpowiedzi na wszystkie cisnące się do jej głowy pytania?

– Muszę się nad tym zastanowić – odezwała się po długim milczeniu. – Muszę pomyśleć, co było nie tak...

Nie miałam pojęcia, ile czasu zajmą jej przemyślenia, nie wiedziałam też, czy zamierza oddać się im tutaj. Na wszelki wypadek udałam się do pracowni Michała, żeby omówić tę sprawę.

– Od początku mi się to nie podobało – oznajmił zde gustowany. – Dziewczyna nie uczęszcza od miesiąca do szkoły, a matka pewnie odchodzi od zmysłów. Moim zdaniem Karolina powinna dostać nauczkę. Zawiadomiłbym milicję.

– A ja raczej zadzwoniłabym do matki. Karolina jest na zakręcie, nie umie się pozbierać. Uważam, że to sprawa rodziców, nie milicji.

Michał uśmiechnął się.

– Dobrze, kochanie. Zadzwonimy do jej matki. Niech tu przyjedzie i ją sobie zabierze.

Byłam ciekawa kobiety, która zakochała się w Wilku. Była mi w jakiś sposób mentalnie bliska. Pewnie dlatego, że mnie również podobał się Wilk i gdybym nie poznała go tak dobrze, być może zakochałabym się w nim na amen, tak jak ona.

Następnego dnia zażądałam od Karoliny numeru telefonu do matki, zostawiłam Sonię pod opieką jej i Michała, i wybrałam się do Wrocławia. Na poczcie zamówiłam rozmowę międzymiastową i usiadłam wśród czekających na połączenie. Wszyscy byliśmy mimowolnymi świadkami urywków czyjegoś życia, przysłuchiwaliśmy się wykrzykiwanym w słuchawkę obietnicom i odmowom, kłótniom, żalom i uciechom. Rozmowy kontrolowane były więc nie tylko przez urzędy cenzury. Po dwóch godzinach obserwacji przewijających się tłumów kobieta w okienku poinformowała mnie, że Gdynia nie odpowiada. Podziękowałam i z uczuciem niespełnienia i zmarnowanego czasu, opuściłam Urząd Pocztowy. Po drodze na przystanek ustawiłam się w kilometrowej kolejce po kawę, ciągnącej się przez całą ulicę. Ludzie stali niespokojnie, przestępując z nogi na nogę, jakby chcieli ominąć ten cały proces oczekiwania, pokonać tłum, znaleźć się na czele. Ja również wyglądałam co chwilę zza ramienia wysokiego jegomościa stojącego przede mną i oceniałam, jak daleko mi jeszcze do wejścia. Tego dnia słońce świeciło ostro, a przed sklepem nie było ani trochę cienia.

Nie spodziewałam się ujrzeć tu Aleksandra. Szedł pieszo, spacerkiem i wymachiwał, jak zwykle, parasolem. Dostrzegł mnie w ostatniej chwili, podczas gdy ja obserwowałam go już co najmniej od kilkudziesięciu sekund.

– O, Anita... – raczej stwierdził bez krztyny entuzjazmu, niż wydał okrzyk radości. Rozumiałam rozczarowanie. W końcu od dawna starał się zakuć mnie w małżeńskie kajdany. – Wybacz, że nie kibicowałam twojemu szczęściu, ale,

wierz mi, nie mogłem – skrzywił się, jakby zjadł właśnie cytrynę. – To zbyt silne dla mnie przeżycie. Niemniej nie pozostaje mi nic innego, jak uszanować twój wybór... Tak jest, uszanować – dodał ze smutkiem.

Przemilczałam ten komentarz, bo prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Po co ty tu stoisz? – zmienił nagle temat.

– Rzucili kawę – odparłam zażenowana. Było mi wstyd przed Aleksandrem, że muszę stać w długim ogonie po jedną paczkę kawy. Było mi wstyd, nie dlatego, że stoję. Większości społeczeństwa obecnie upływało na tym staniu życie. Wstydziłam się, bo on z pewnością uzna mojego męża za nieudacznika. Może mi nawet o tym powie.

Tymczasem Aleksander zrobił ruch, jakby chciał mnie z tej kolejki wyciągnąć. Zreflektował się jednak i pozostawił tę kwestię bez komentarza.

– Pracujesz już? – zapytał niby od niechcienia.

– Nie. Szukam czegoś – odparłam.

– A nie przyszedłabyś do mnie? – zapytał po dłuższym milczeniu. – Potrzebuję sekretarki.

Chce mi pomóc – pomyślałam z przykrością, bo zdawałam sobie sprawę, jak odbiera moją obecną sytuację: mąż ślepy, żona bez pracy i jeszcze dziecko na utrzymaniu. Znałam go. W jego pojęciu to prawdziwy dramat.

– Nie, Aleksander – odmówiłam grzecznie. – Nie nadaję się na sekretarkę. Poszukuję czegoś innego.

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi – rzekł z uprzejmym uśmiechem, a nawet leciutko się skłonił, okazując wspomniany szacunek moim decyzjom. – Podobnie jak spodziewam się, że nie opuścisz tej bezsensownej kolejki na rzecz kawy, którą z radością kupiłbym ci w Peweksie.

Pokusa była ogromna.

– Wybacz, Aleksander, dokonałam wyboru wraz z całym pakietem, czy jak kto woli, z dobrodziejstwem inwentarza – siliłam się na żart. – Oznacza to, że muszę dostosować się do sytuacji.

– Rozumiem, co to oznacza – uśmiechnął się kwaśno. – Wobec tego poczekam w samochodzie, bo mam ci jeszcze coś do powiedzenia.

– Jak chcesz – rzuciłam i przesunęłam się krok do przodu.

Był cierpliwy. W kiosku zakupił gazety i przeglądał je z nikłym zainteresowaniem. Niemal przez cały czas miałam go na oku, więc z całą stanowczością mogłam stwierdzić, że ani razu nie spojrzął na zegarek. Gdy miałam zaledwie trzy osoby przed sobą, zabrakło kawy. Z kolejki wyszłam na

tarczy, co mnie jeszcze bardziej upokorzyło.

– Kupiłaś? – zapytał od niechcienia i zwinął gazetę, kiedy stanęłam przy oknie jego samochodu.

– Niestety, nie udało mi się – odparłam. – Co chciałeś mi powiedzieć?

– Zechcesz wsiąść do auta?

– To konieczne? Trochę się śpieszę.

– Nalegam – rzekł z uśmiechem.

Ruszył natychmiast, gdy znalazłam się obok. Już po chwili rozpoznałam drogę prowadzącą do jego domu.

– Wiesz mnie do siebie? Po co? – zapytałam i poruszyłam się niespokojnie.

– Mam tam dla ciebie ślubny prezent – odparł. – Chciałbym ci go dać.

Zatrzymaliśmy się pod znajomym blokiem. Nie byłam tu od pamiętnej ucieczki z Wilkiem, poczułam się nieswojo. Dookoła powstały dwa nowe budynki, hałas pracujących dźwigów dobiegał więc ze znacznej odległości i nie był już tak uciążliwy, jak wtedy, gdy kołysałam małą Sonię. Aleksander zabrzączał kluczami i puścił mnie przodem. Dziwnie było iść po znajomych schodach, zatrzymać się pod drzwiami, które kiedyś otwierałam własnym kluczem. Uderzyła mnie znajoma woń zagranicznych środków do sprzątania i wody kolońskiej, której od lat używał. Dla mnie był to zapach luksusu, którego nie doświadczyłam w żadnym innym domu. Dreszczyk emocji przemknął mi przez plecy. Rozpoznałam w nim bliżej nieokreślony żal, że jednak wyrzekłam się tego dobrobytu na rzecz Michała. Boże, pomyślałam zdumiona zbudzoną nagle refleksją – czy ja naprawdę kocham mojego męża?

– Usiądźmy na chwilę – zaproponował Aleksander, wskazując drzwi do swojej sypialni. – Tutaj będzie nam najwygodniej.

Nie protestowałam, bo wiedziałam, że to jego ulubiony pokój, z ulubionym fotelem, w którym często się zanurzał. W oczy rzuciła mi się przede wszystkim śnieżnobiała, jak zawsze, pościel przykrywająca łóżko. Aleksander był estetą i potrafił perfekcyjnie o siebie zadbać. Do takich rzeczy niepotrzebna mu była kobieta.

– Przygotuję coś chłodnego, rozgość się tymczasem – rzekł, znikając w drzwiach.

Zasiadłam w jego fotelu. Spoglądając na sprzęty, przywołałam wspomnienia wszystkich spędzonych tu chwil. Zawiesiłam wzrok na nigdy nietkniętym przeze mnie łóżku i niechciana, a jednocześnie zaskakująca fala namiętności oblała mnie od stóp do głów. Musiałam natychmiast wstać, otworzyć okno i uśpić krnąbrne ciało. Aleksander nigdy nie pociągał mnie fizycznie, nie rozumiałam

więc swoich zdumiewających reakcji. Może to wszystko dlatego, że po raz pierwszy na nic nie należał?

Przyniósł tacę, na której stała ciemna smukła butelka i dwa kieliszki z najcieńszego szkła.

– Clos de Goisses – zaanonsował, stawiając z pietyzmem tacę na biurku. – Wspaniały francuski szampan, dla prawdziwych koneserów – dodał, po czym otworzył sprawnie butelkę i z atencją napełnił kieliszki. – A więc za twoje szczęście, Anito – wzniósł toast, podchodząc do okna, gdzie stałam. Sięgnął po moją dłoń i ucałował czubki palców. Ani słowem nie napomknął, że żałuje, iż to szczęście nie będzie jego udziałem.

– Dziękuję, Aleksander – powiedziałam szczerze, patrząc mu w oczy. – Również za to, że nie masz już do mnie żalu.

Przemilczał tę uwagę i usiadł na brzegu łóżka. Zajął miejsce naprzeciw, w przepaścistym fotelu. Smakowaliśmy szampan, mierząc się spojrzeniami. Nigdy nie piłam tak wyszukanego trunku. Był nadzwyczajnie masywny, z przyjemnym posmakiem. Aleksander obserwował mnie pilnie i zareagował natychmiast, gdy opróżniłam kieliszek.

– Zanim ofiaruję ci prezent – rzekł powoli, świdrując mnie wzrokiem – chcę powiedzieć ci wszystko, co nieraz cisnęło mi się na usta, ale byłaś zbyt młoda na tak dojrzałe wyznania. Teraz jesteś mężatką i myślę, że przekroczyłaś pewne bariery i zakosztowałaś rozmaitych zmysłowych wrażeń. Mam rację?

Tym śmiałym stwierdzeniem wprowadził mnie w zakłopotanie, zarumieniłam się i czułam się z tym jeszcze bardziej niezręcznie. Aleksander zauważył to. Podszedł do mnie i ujmując za obie dłonie, podniósł mnie z fotela.

– Pamiętasz taki wieczór – zaczął głębokim, łagodnym głosem, obejmując mnie w pół prawą ręką, a lewą podając mi na nowo wypełniony kieliszek – gdy zarzuciłaś mi, że nie flirtuję z tobą? Pamiętasz to? – przysunął twarz do mojej i musnął ustami policzek. – Powiedziałem, że nie potrafię flirtować, ale to nieprawda. Byłaś wtedy zbyt młoda, a kobietę należy smakować, jak ten szampan. Z wrażliwością konesera.

Stałam zesztywniała, niezdolna do żadnego ruchu, gdy sięgnął po zapinkę przytrzymującą moje włosy i jednym ruchem uwolnił falę, która zasypała mi twarz. Odgarnął ją, wsuwając palce w tę sypiącą się burzę, po czym wskazującym palcem rozchylił mi usta, dotknął języka i przesunął nim po moich ustach tak delikatnie, jakby musnęła je ważka. Zmiękły mi nogi.

– Anito, jesteś zbyt zmysłowa, by wziąć cię tak po prostu – szepnął. – Twoje ciało trzeba budzić powoli, jak robi to poranna rosa, która kropla po kropli

spływa do kielicha różowego kwiatu.

Zbliżył usta do moich i rozchylił je, tym razem koniuszkiem języka. Jego prawa ręka na moich plecach paliła rozżarzonym węglem, a język zagłębiał się, penetrował coraz śmielej. Traciłam oddech od ruchliwych, wpijających się warg. Podałam się tej subtelnej, aksamitnej magii, oddawałam pocałunki, wiotczałam w jego ramionach.

– Kochanie – szeptał, układając mnie jak kruchą porcelanę na chłodnej, pachnącej świeżością i zbytkiem pościeli, rozpinał drobne guziczki, uwalniał ciało. Potem zanurzał we mnie twarz, pieścił oddechem, dotykiem, szeptaniem.
– Kochanie... – dobiegał głos z coraz bardziej nieznanego świata.

Na brzuchu poczułam zimny strumień, spływającą, niedyskretną strużkę szampana, którą zbierał łakomymi ustami i językiem, a ja drżałam, wilgotniałam, wstrzymywałam oddech w niecierpliwym oczekiwaniu i byłam gotowa na wszystko. Ale on wciąż delectował się, celebrował miłość, zwlekał.

– Zróbmy to wreszcie, Aleksander – wyszeptałam niecierpliwie, doprowadzona tą wirtuozerią do granicy doznań, niemal do szczytu.

Odpowiedziała mi cisza. Nagle uświadomiłam sobie, że Aleksandra przy mnie nie ma. Kiedy otworzyłam oczy, stał przy biurku i patrzył na mnie cynicznie, popijając małymi łykami szampana.

– Masz przecież męża – odpowiedział lodowatym głosem na moje nieme zdziwienie. – Dokonałeś wyboru z całym dobrodziejstwem inwentarza, prawda?

Nigdy, przenigdy nikt mnie tak nie poniżył. Łzy upokorzenia płynęły mi po twarzy, gdy pośpiesznie opuszczałam mieszkanie Aleksandra. Przekonałam się na własnej skórze, jak okrutnie może się zemścić odtrącony mężczyzna. Znieważona, ośmieszona i sponiewierana płonęłam ze wstydu na samo wspomnienie tego, co się stało. Brzydziłam się sobą i nienawidziłam tego podłego drania, Aleksandra.

O powrocie do domu nawet nie chciałam myśleć. Nie potrafiłabym udawać przed Michałem, że wszystko jest w porządku. Musiałam wynurzyć się z cuchnącego bagna, przetrwać koszmar, wpisać go w rozdział porażek i odsunąć jak najdalej od siebie. Na to jednak potrzebowałam czasu.

Jakiś czas kręciłam się po Rynku, ale było tam zbyt wiele oczu, a ja w żadne nie miałam odwagi spojrzeć. Poszłam więc pieszo na Ostrów Tumski, wyspę na Odrze. Liczyłam, że w tym najstarszym zakątku miasta znajdę ukojenie, wyrzucę z głowy negatywne myśli i przygotuję się do spotkania ze zdradzonym mężem.

Po bruku spacerowały gołębie i leniwie wydziobywały niewidzialne okruszki. Godziny płynęły tu powoli, zachęcały do zwolnienia tempa. Gazowe latarnie spały jeszcze, by zbudzić się o zmierzchu i zamigotać bladymi ognikami. Nogi same zniosły mnie do katedry, kłaniającej się zniszczonymi przez wojnę wieżami. Rzadko oddawałam się modlitwie, lecz teraz pragnęłam złożyć na którymś z licznych ołtarzy swoją słabość i upokorzenie, i błagać o odzyskanie godności. Kajałam się przed świętymi, jakbym to ich skrzywdziła, nie Michała.

Resztę dnia spędziłam na Wyspie Słodowej. Siedząc na trawie, obserwowałam bawiące się dzieci i spacerujące zakochane pary. Starłam się nie myśleć o Aleksandrze, głodzie, pragnieniu, o niczym. Zerwałam się z miejsca dopiero, gdy słońce zsunęło się za horyzont, niebo pociemniało, a od zachodu powiało chłodem. Okolica, w której się znajdowałam, opustoszała niemal zupełnie. Na najbliższym przystanku wsiadłam do tramwaju, którym dojechałam do Podwała. Tu musiałam wysiąść, by dotrzeć do Dworca Świebodzkiego.

Poza przechadzającymi się patrolami, nie było tu prawie nikogo. Mimo to czułam, że coś wisi w powietrzu. Nie potrafiłam tego uzasadnić w żaden sposób,

jednak gdzieś w środku zagnieżdżył się niepokój. Latarnie i przejeżdżające samochody rzucały światło na rosnące przy ulicy drzewa, a ich ruchome cienie przesuwają się po ścianach budynków. Pod sklepem spożywczym formowała się pokaźna kolejka. Do rana wydłuży się pewnie na kilka metrów. Szmerzący strumień głosów pełnych niezadowolenia przelewał się z ust do ust, drażnił, prowokował.

– Tramwaje stoją – zauważył ktoś, gdy zbliżałam się do kolejnego przystanku. Dopiero teraz dostrzegłam długi ciąg pojazdów. Ludzie opuszczali wagony, sarkając pod nosem. Dwie kobiety, może matka z nastoletnią córką znalazły się tuż przede mną.

Szły w milczeniu, wybijając rytmicznie kroki. Nagle ta młodsza zatrzymała się, chwyciła matkę za rękę i szepnęła:

– Słyszysz to?

To było tak sugestywne, że ja również zwolniłam kroku i przekrzywiając głowę, łowiłam wprawdzie odległe, ale nasilające się dźwięki.

– Chyba jakieś zamieszki – powiedziała niepewnie matka. – Może dlatego tramwaje stanęły. – Co robimy? – dodała i zerknęła z niepokojem na córkę. Minęłam je z wahaniem, bo nie wiedziałam, czy nie powinnam cofnąć się i pójść inną ulicą. Ryzykowałam jednak spóźnienie na ostatni autobus.

– Nic, idziemy dalej – dobiegł mnie z tyłu głos. Poczułam się raźniej. Skoro one idą, to ja też. – Nie będziemy tu przecież sterczeć tylko dlatego, że komuś zachciało się demonstracji – mówiła zdenerwowanym głosem matka.

– Zachciało się demonstracji? – powtórzyła córka z oburzeniem, a ja nadstawiłam ucha. – Mamo, co ty mówisz? Oni walczą o normalność, a ty takie coś...

– Wiem, wiem – irytowała się matka. – I co z tego, że walczą?

Nagle za naszymi plecami rozległ się hałas i już po chwili obok przetaczały się ciężkie samochody oddziałów ZOMO i mniejsze, zakratowane milicyjne nyski. Jednocześnie zza rogu dał się słyszeć tupot nóg i niebawem ujrzałam nacierający wprost na mnie tłum. Obejrzałam się. Kobiety nagle znikły, widocznie umknęły w boczną uliczkę albo na jakieś podwórko. Stałam jak urzeczona i patrzyłam na to, co się dzieje. Na widok samochodów demonstranci uformowali się w szeregi i biorąc się pod rękę, zbudowali żywą zaporę. Głośno skandowali hasła. Ktoś wymachiwał białą-czerwoną flagą, inny kłął pod adresem wyskakujących z samochodów, uzbrojonych w tarcze i pałki milicjantów. Nagle znalazłam się w samym środku kotła. To nie wyglądało dobrze, zwłaszcza że rozjuszona rzesza młodych ludzi, chyba w większości studentów, nie zamierzała się cofnąć ani

rozejść, do czego zachęcano ich gumowymi pałkami. Posypały się kamienie. Osłonięci tarczami milicjanci parli w stronę tłumu, wyłapywali, kogo popadło i ciągnęli w stronę stojących nieopodal milicyjnych suk.

– Walery! – wyrwał mi się nagle z piersi krzyk na widok znajomej sylwetki. To oczywiste, że musiał tu być i znowu w coś się wplątać. – Walery!

Zacząłam przedzierać się przez tłum w kierunku suk, błyskających oślepiającym niebieskim światłem. Popychana i potrącana z każdej strony, bezskutecznie go wypatrywałam, choć widziałam, jak przed chwilą wlekli go zomowcy. Odpuściłam wreszcie, bo nie chciałam ryzykować, że sama padnę ofiarą ulicznego starcia i zostanę zawieszona na komendę. Z trudem zaczęłam się wycofywać, ale popychana przez tłum, tylko kręciłam się w miejscu. – Żeby tylko nie upaść – myślałam gorączkowo. – Żeby nie upaść, bo mnie zdeptają.

Nie wiem, jak znalazłam się na chodniku. Cofnęłam się jeszcze kilka metrów i wbiegłam do ciemnej cuchnącej bramy najbliższej kamienicy. Wspięłam się na pierwsze piętro i stanęłam przy oknie pozbawionym szyb. Uciekłam w samą porę, bo uruchomiono właśnie armatki wodne, żeby rozgonić nacierający tłum. Widziałam, jak wszyscy rozpierzchli się przed zimnym strumieniem wody, niektórzy jeszcze rzucali kamieniami, inni wycofywali się, raz po raz wybuchali grubiańskim śmiechem i wypluwali przez zęby obelżywe słowa. Zastanawiałam się, ilu z nich potraktowało zamieszki jako walkę o sprawę, a ilu jako awanturniczą burdę dla własnej rozrywki.

Stałam przy tym oknie jeszcze długo, zanim demonstracja ostatecznie została zdławiona.

Przez ten strajk nie zdążyłam na ostatni autobus. Odjechał kwadrans przed moim przybyciem na przystanek. Teraz bezradnie, cała w nerwach, gapiłam się na rozkład jazdy. Nie miałam innej możliwości wydostania się z miasta. Nie miałam też zbyt wiele czasu do godziny milicyjnej. Nocleg na dworcu autobusowym nie wchodził w grę, zaraz będą kontrolować i dociekać, co tutaj robię. Nagle do głowy wpadł mi pewien pomysł. Nie zastanawiając się dłużej, według zasady, że najciemniej pod latarnią, zdecydowanym krokiem ruszyłam na najbliższy posterunek milicji.

– Dobry wieczór – ukloniłam się dyżurnemu. – Moje nazwisko Gawęda. Anita Gawęda – przedstawiłam się. – Chciałam zgłosić makabryczne odkrycie...

Nie chciałam słuchać, że zajmą się tym jutro. Rozpłakałam się i oznajmiłam, że specjalnie po to przyjechałam, by o tym powiedzieć, a teraz nie mam jak dostać się do domu, zwłaszcza że zaczęła się godzina milicyjna. I niech zrobią ze mną, co zechcą, nawet zamkną w areszcie, bo ja się stąd nie ruszę na krok.

Chcąc nie chcąc, jakiś sierżant odwiózł mnie do domu, gdzie przyświecając sobie latarką, pobieżnie obejrzał miejsce pod forsycją i zapowiedział przysłanie ekipy.

Michał stał na ganku, gdy szłam ścieżką, zmęczona, sfrustrowana całym dniem i wygłodzona. Miałam ochotę minąć go, niczego nie tłumacząc i zaszyć się w mysią dziurę. To oczywiście nie wchodziło w grę.

– Cześć, Michał – mruknęłam, żeby nie miał wątpliwości, że to ja.

– Gdzieś ty była tyle czasu? – zapytał z wyrzutem. – Nie masz pojęcia, co ja tutaj przeżywałam. Co się stało? Z kim ty przyjechałaś?

– Och, Michał – jęknęłam, odsuwając się na bezpieczną odległość, żeby nie przyszło mu do głowy brać mnie w ramiona. – Mogę wejść do domu? Jestem potwornie zmęczona. Opowiem ci wszystko, chodź.

Szukał mojej ręki, ale udałam, że tego nie widzę. Po tym, co przeżyłam z Aleksandrem, mierziło mnie najłżejsze dotknięcie. Wciąż czułam do siebie obrzydzenie. Jednocześnie serce ścisnęło mi się na myśl, co czuje teraz Michał. W żadnym wypadku nie zasługiwał na takie traktowanie.

– Pół dnia spędziłam na poczcie – opowiadałam rozżalona, gdy już zasiedliśmy przy kuchennym stole. – Niestety, nie udało mi się uzyskać połączenia. Potem we Wrocławiu były demonstracje. Trafiłam w sam środek jednej z nich i nie mogłam się wydostać...

– Ech, Anita. Nie mogłaś ich jakoś ominąć? Na każdej ulicy były te demonstracje? – pytał z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że nie na każdej. Ale na tej, którą akurat szłam, były. Zanim zdążyłam się wycofać, z tyłu natarli zomowcy. Nic nie mogłam zrobić. Potem okazało się, że mój ostatni autobus właśnie odjechał.

– No więc jak wróciłaś? – zapytał podejrzliwie.

– Przywiózł mnie milicjant – odparłam ponuro.

– Świetnie – skwitował z przekąsem. – Ciekawe, czy mnie również by przywiózł.

– Na pewno, gdybyś wpadł na taki pomysł, jak ja. Powiedziałam, że mamy w ogrodzie trupa.

– Co? Powiedziałaś o tym? – zareagował najpierw gorączkowo, by po chwili stać się bardziej sceptycznym. – I oni tak od razu zareagowali? Nie, Anita. Nie wierzę, że tak z miejsca, po nocy chcieli to oglądać – zauważył z lekką drwiną. – Gdyby nie twoje ładne nogi, na pewno nikt by się nie śpieszył.

– Michał, była godzina milicyjna. Nie mieli co ze mną zrobić, więc odwieźli – przekonywałam. Chyba skutecznie, bo przestał się czepiać.

– Trzeba przyznać, że tupetu ci nie brak – roześmiał się. – Nigdy bym na to nie wpadł.

Dziwił się, że po tak ciężkim dniu nie śpieszę się do łóżka. Że chce mi się jeszcze siedzieć na ganku i słuchać odgłosów nocy. Że zwlekam z kąpielą. Dziwił się. A potem poszedł spać. I chociaż konałam ze zmęczenia, długo wsłuchiwałam się w jego oddech i wsunęłam się pod kołdrę dopiero wtedy, gdy stał się równomierny. Sądziłam, że już zasnął, dlatego wstrząsnęło mną jego nagłe pytanie:

– Anito, co naprawdę wydarzyło się dzisiaj?

Przez moment leżałam zaskoczona, spięta.

– Skąd to pytanie? – odparłam opryskliwie. – Przez cały wieczór ci o tym opowiadałam.

– Zgadza się – rzekł chłodno. – Ale to tylko część prawdy. – Niedobrze, jeśli zamierzasz bazować na kłamstwie...

– Nie kłamię! – przerwałam mu ostro.

– Albo na niedopowiedzeniach – dokończył spokojnie, nie zważając na mój protest. Potem odwrócił się do mnie plecami.

Miał trudniej. Bez wątpienia miał trudniej, bo nie widział emocji wypisanych na mojej twarzy. Dlatego był wrażliwszy, bardziej nieufny, ostrożny. Przed sobą miałam jego szerokie plecy, za sobą otwartą drogę. Mogłam odejść. Na tę noc albo na zawsze. Dał mi wybór. Dotknęłam delikatnie jego ramienia, ale nawet nie drgnął.

– Michał – szepnęłam, nachylając się nad jego uchem. – Opowiem ci wszystko, dam ci wybór...

Odwrócił się gwałtownie, zagarnął, zakleszczył w ramionach, jakbyśmy mieli tak trwać na wieki. Poddałam się tej pieśczoć i przyłgnęłam nie tylko ciałem, ale całym sercem, które nagle zrobiło się lekkie.

– Już nie chcę wiedzieć – powiedział. – Ważne, że wróciłaś.

Zabrali wraz ze skrzynką. Pod forsycją został dość głęboki dół. Pomyślałam, że teraz przeniosę tam dziką różę, która rośnie przy ścieżce. Funkcjonariusze ekipy dochodzeniowo-śledczej chodzili, oglądali, zadawali pytania, ale żadne z nas nie potrafiło na nie odpowiedzieć. Wtedy Michał przypomniał sobie Anielę.

– Pracowała tu jakiś czas. Może będzie wiedziała – poinformował śledczego.
– Nie wiem dokładnie, gdzie mieszka, ale ludzie przecież ją tu znają, pokażą.

Śledczy spojrzał na niego z namysłem i pokiwał głową.

– Przywieźcie tę kobietę – polecił jednemu z funkcjonariuszy i przysiadł na ganku.

– Obywatel od dawna tu mieszka? – zapytał Michała.

Michał zmarszczył czoło i liczył coś w pamięci.

– Od dziesięciu lat. Ale sporą część tego czasu spędziłem w akademiku we Wrocławiu. Wpadałem tu co jakiś czas.

– Kto tu wtedy mieszkał?

– Mój ojciec i jego narzeczona, Oksana Modlewska. No i ta stara Aniela, nie znam jej nazwiska. Ją samą też niewiele znam.

– Rozumiem. A ta Oksana Modlewska... Ona miała jakieś dzieci?

– Z tego, co mówił mi ojciec, nie.

– A może spodziewała się dziecka?

– Nie wiem. Nic takiego nie zauważyłem.

– Trudno coś zauważyć niewidomemu – burknął śledczy.

– Wtedy jeszcze nie miałem tego problemu – sprostował Michał.

– A obywatel August Gawęda kiedy umarł?

– Siedem lat temu. Miał wypadek, spadł ze schodów.

Śledczy wyjął notes i coś w nim zapisał.

– Taaaak... Rozumiem. Obywatel był przy tym?

– Nie. Studiowałem wtedy. Jak zaznaczyłem, mieszkałem w akademiku.

– Ktoś był świadkiem tego wypadku?

– Oksana Modlewska. Może też Aniela, nie wiem.

– Gdzie przebywa teraz obywatelka Modlewska?

– Nie wiem – odparł Michał, chrząknął i przestąpił z nogi na nogę. Śledczy zawiesił na nim z zastanowieniem wzrok, ale nic nie powiedział.

Wahałam się, czy powinnam się wtrącić, opowiedzieć o „Ustroniu”, chorobie Oksany i jej wypadku. Być może fakty te popchnęłyby śledztwo do przodu i wyjaśniły pewne kwestie. Śledczy jednak o nic mnie nie pytał, więc milczałam, czekając na bardziej odpowiedni moment.

Radiowóz zatrzymał się z cichym szmerem. Ze środka wysiadł funkcjonariusz, otworzył drzwi z drugiej strony i obojętnie przyglądał się starej Anieli, gdy ta niezgrabnie gramoliła się do wyjścia. Była przejęta, kiedy prowadził ją dobrze znaną ścieżką, by obejrzała skrzynkę i dół po niej.

Nie chciała oglądać. Machnęła tylko ręką i wytarła oczy rogiem chustki, którą miała na głowie.

– Panie – zwróciła się do śledczego. – Ja w tej wsi długo mieszkam, ale czegoś takiego, co tu się wyrabiało, nie widziałam.

– Niech obywatelka usiądzie – przerwał jej śledczy i wskazał krzesło, które w pośpiechu przyniosłam z domu. Usiadła na brzeżku i oparła dłonie na kolanach.

– Niech obywatelka mówi. Od początku – zażądał i otworzył notes.

– Od jakiego początku? Jak tu u niej robiłam czy jeszcze wcześniej? – zapytała.

– Wcześniej – odparł. – No, wszystko, co obywatelka wie – dodał i zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Dobrze – westchnęła i usadowiła się wygodniej. – Słyszałam, że w tym domu kiedyś taki Niemiec mieszkał. Ożenił się z polską kobietą. Kiedy on poszedł na wojnę, to ona urodziła córkę. I tak we dwie tutaj żyły, bo Niemiec z tej wojny już nie wrócił. Kiedy przyjechałam do Samotworu, to ta mała do szkoły już chodziła. Wdowa drugi raz się wydała, ale już za Polaka, i znów córkę urodziła. A potem – Aniela zmarszczyła czoło i poprawiła chustkę na głowie – to jakoś po pięćdziesiątym roku było, ten drugi mąż też się na tamten świat zawinął. Podobno był chory na gruźlicę, tak ludzie gadali.

Śledczy nabrał powietrza w płuca, jakby chciał przerwać, ale chyba się rozmyślił, bo machnął tylko ręką. Stałam za nim na ganku, więc nie mogłam widzieć jego twarzy. Widziałam natomiast dokładnie twarz Michała, który oparty o murek ganku, stał naprzeciw milicjanta.

– Ona nie chciała tu sama z dziećmi siedzieć – ciągnęła Aniela – więc namyśliła się sprzedać dom i wyjechać do miasta. Kupił to od niej taki jeden z Warszawy, co w ministerstwie robił. Pewnie pan słyszał, nazywał się Ostański. Bronisław Ostański. Słyszał pan?

– To nieistotne – burknął śledczy. – Niech obywatelka opowiada.

– Ten Ostański chyba się nie nacieszył specjalnie domem, bo i tak cały czas siedział w stolicy. Aż raz przywiózł stamtąd śpiewaczkę, tę Modlewską, słyszał pan? – Aniela zrobiła efektowną przerwę, ale on znów się nie odezwał.

Przez cały czas obserwowałam Michała. Przysłuchiwał się spokojnie opowiadaniu Anieli.

– Oj, ona wtedy to była ważna pani! – kontynuowała Aniela. – Piękna, postawna... Dawniej w Moskwie śpiewała. – Przechyliła się w stronę śledczego i zniżyła głos. – Ja to myślałam, że była kochanką tego Ostańskiego, wie pan?

Funkcjonariusz poruszył się nieznacznie i przygryzł końcówkę długopisu. Aniela natomiast mówiła dalej.

– Myślałam, że ukrył ją tutaj, żeby żona nie widziała, i że oni tutaj tego... Wie pan...

Milicjant nie reagował, natomiast na twarzy Michała pojawił się nieznaczny uśmiezek.

– Ale oni chyba nic takiego nie robili. Ostański sprzedał Oksanie dom i już. Potem wyniósł się do Warszawy i tyle żeśmy go widzieli.

Wstrzymałam oddech, a w Michała jakby piorun strzelił. Wyprostował się nagle i odwrócił twarz w kierunku, z którego słyszał głos Anieli.

– Co pani tu za bzdury opowiada – powiedział oburzony. – Ostański sprzedał Oksanie dom? Ależ to absurd, dom należał do mojego ojca.

– Akurat – zaprotestowała Aniela. – Stary Gawęda był biedny jak, za przeproszeniem, mysz kościelna. A Oksana pieniądze miała. Zresztą za grosze kupiła. Chwaliła mi się kiedyś.

– Tak, tak – zaśmiał się szyderczo Michał. – Niech pani słucha tej wariatki. Zawsze jej piątej klepki brakowało.

– Obywatelka posiada jakieś dokumenty dotyczące tej nieruchomości? – przerwał sprzeczkę funkcjonariusz, zwracając się do Anieli.

– A skąd ja? – zaperzyła się. – Panie, ja tu u nich tylko miałam gotować, bo Oksana łyżką o łyżkę nie umiała stuknąć. Skąd u mnie dokumenty, coś pan!

– Jestem pewien, że papiery gdzieś leżą w domu – odezwał się Michał, choć nikt go o to nie pytał. – Poszukamy z żoną. Przekonacie się wszyscy, że dom jest mój.

– Nie ja będę takie rzeczy rozstrzygać – uciął śledczy. – Niech obywatelka mówi, co tu się wydarzyło – skierował ponownie pytanie do Anieli.

– A co się miało wydarzyć – obruszyła się. – Gawęda robił te swoje rzeźby, a ona kręciła się po chałupie jak, za przeproszeniem, smród po gaciach. Do

niczego się nie nadawała. Ani do garów, ani do miotły. Najczęściej śpiewała, a wtedy mury się trzęsły. No i jak teraz wspomnę, to ona bez przerwy do łóżka mu laża. No, nie powiem, był zadowolony, jak każdy chłop, ale żenić się nie chciał. Nawet wtedy... – Aniela zająknęła się i zamilkła.

– Niech obywatelka mówi – ponaglił śledczy. – Nawet kiedy?

– Nawet wtedy, kiedy go prosiła – dokończyła Aniela, zawiązała mocniej chustkę pod brodą i zakończyła krótko, jakby na potwierdzenie własnych słów: – Tak. Nawet jak go prosiła.

Śledczy długą chwilę patrzył na nią z rozmysłem, w końcu zapytał:

– Czy obywatelka Modlewska ma dzieci?

– Nie – odparła szybko Aniela.

– Nigdy nie miała? – dociekał.

– A co to, panie, za pytanie? – zdenerwowała się. – Co to znaczy nigdy? Albo się je ma albo nie. Ona nie ma.

– Nie miała nawet przez chwilę?

Aniela zmrużyła oczy i dla odmiany poluzowała chustkę.

– Jak na świętej spowiedzi powiem. Brzuch jej urósł, to prawda. Ale dzieciaka nie ma.

– Niech no obywatelka nie kręci – zdenerwował się śledczy. – Urodziła czy nie urodziła?

– Panie, jak nosiła, to musiała i urodzić – przyznała Aniela i znów sięgnęła do chustki. Ręce jej drżały.

– Obywatelka wie, w którym szpitalu to było?

– W jakim szpitalu, panie... – powiedziała gorzko, aż głos jej się załamał.

– No więc gdzie?

– A ja wiem, gdzie? Poszła gdzieś z brzuchem, a jak wróciła, to ani brzucha, ani dzieciaka.

Śledczy poklepał się po kieszeniach, wyjął paczkę sportów, wyłuskał z niej jedyne papierosa, długo obracał w palcach, potem schował, by ponownie wyjąć i zapalić.

– Taaak – westchnął przeciągle. – Ani brzucha, ani dzieciaka... I obywatelka nic o tym nie wie.

– A skąd ja mam wiedzieć? Po pracy chodziłam do domu, nawet jeśli późno było i ciemno, to i tak szłam. Póki, panie, własne łóżko mam, u obcych nie będę spać. Rano Gawęda był w pracowni. Miał pilną robotę i na noc wcale się nie kładł. Poszłam, jak zwykle do kuchni. Pani Oksana zawsze wstawiała po dziewiątej, a tu już południe dochodziło, a ona nie schodziła. Przestraszyłam się,

że źle się czuje i poszłam do sypialni, ale jej tam nie było. Gawęda, zajęty swoją robotą, wcale się nie przejął. Powiedział, że pewnie pojechała do Wrocławia coś kupić. On rzadko wiedział, co się w domu dzieje. Zmierzchało, jak zaczęłam zbierać się do siebie. Zakładałam czapkę w korytarzu przed lustrem i usłyszałam hałas pod drzwiami. Otworzyłam, a to pani Oksana. Ledwo na nogach się trzymała. Ani brzucha, ani dzieciaka nie miała, tak, jak mówiłam.

– I co było dalej?

– Nie wiem. Poszłam.

– Zostawiła obywatelka taką słabą kobietę i poszła?

– A co miałam robić, skoro ona położyła się i płakała. Zapytałam, czy po karetkę zadzwonić, ale się wzbraniała, jak przed diabłem. Nakrzyczała na mnie i kazała iść do domu. Wróciłam na drugi dzień i tak mi się zdawało, że pani Oksana całkiem zwariowała. Chodziła po domu i śpiewała. Panie, aż ciarki brały! Pan August nie wytrzymał, ubrał się i na milicję chciał iść...

– I co? Niech obywatelka mówi – niecierpliwiał się śledczy. – Poszedł?

– Nie – odparła krótko.

– A dlaczego nie?

– Spadł ze schodów.

– Spadł ze schodów? – ożywił się śledczy. Wstał z ganku i przydeptał butem niedopałek. – Obywatelka to widziała?

– Nie widziałam – odrzekła Aniela, odwracając wzrok. – Jak przyszłam, leżał na dole bez ducha. A ona stała nad nim i patrzyła. Nic nie mówiła, tylko tak patrzyła. Zostawiłam ich i pobiegłam czym prędzej do wsi, do sklepowej, żeby dzwonić po karetkę. Zanim wróciłam, jego już zabrali, a ona siedziała na ganku, o, jak pan Michał teraz, kołysała się w przód i w tył i śpiewała ruską kołysankę. Okropna była ta kołysanka, o jakimś straszyle.

– Rozumiem... A nie widziała obywatelka, żeby ktoś grzebał pod krzakami? To było naprzeciw kuchennych okien. Nic obywatelka nie widziała?

– Nic. Po co mnie pytać o to wszystko? Tylko Oksana wie, jak było.

– A gdzie jest teraz obywatelka Modlewska? – zapytał i postukał długopisem w notes, gotowy, by zapisać adres.

– Panie, to wy jesteście od szukania, nie ja – zdenerwowała się Aniela. – Tyle co wiedziałam, powiedziałam. Cała tajemnica przy Oksanie.

– Czyli w grobie – wyrwało mi się znienacka.

Aniela spojrzała na mnie zaskoczona, a śledczy znieruchomiał.

– W grobie? – upewnił się, czy dobrze usłyszał. – Co obywatelka ma na myśli?

- Z tego, co wiem, Oksana Modlewska nie żyje.
- A skąd obywatelka wie?
- Była chora. Skoczyła z okna. To się wydarzyło w Domu Opieki „Ustronie”. Aniela wytrzeszczyła na mnie oczy i złożyła ręce jak do modlitwy.
- Ach, mój Boże – jęknęła. – Kiedy?
- Dawno – powiedziałam dość oględnie, bo sama nie mogłam się doliczyć, czy były to cztery, czy może pięć lat temu.
- Dawno, matko miłosierna... Nie ma Oksany – pokiwała smutno głową i wstała, bo śledczy skinął na nią ręką.
- No dobrze. Odezwiemy się jeszcze. Do widzenia – powiedział, chowając notatki i ruszyli razem do samochodów, gdzie czekała reszta ekipy.
- Cholera! – odezwał się nagle siedzący wciąż na ganku Michał i uderzył pięścią w kolano. Za spokojnie tu było, prawda? Niechby sobie to dziecko spoczywało nadal w skrzyni, co nam do tego? Po co było wołać tych milicjantów i wywlekać je z grobu?
- Michał, co ty mówisz?
- Trzeba teraz przeszukać cały dom i znaleźć dokumenty. Ojciec mówił zawsze: w moim domu, przyjeźdź do mojego domu i tak dalej. Byłem... Nadal jestem pewien...
- Rozczaruję cię – zdobyłam się na szczerość. – Ja mam te dokumenty. Znalazłam je, kiedy robiliśmy porządki. Nieruchomość kupiła Oksana. Nie chciałam ci o tym mówić, bo i tak mieliśmy się pobrać, więc co to za różnica? Zawsze będziemy mieszkać tu razem.
- Nie wierzę – Michał złapał się za głowę. – Czyli nie ty u mnie mieszkasz, tylko ja u ciebie?
- Na to wygląda, Michał.
- Z okna wychyliła się Karolina.
- Pojechali? Mogę już wyjść z Sonią?
- Możesz, możesz – mruknęłam.

Pociąg stukał miarowo, choć teraz wyraźnie zwalniał. Karolina była podekscytowana. Długa nieobecność w domu, tułaczka, niedojadanie i sypianie byle gdzie odcisnęły na niej piętno. Była chuda i spłoszona jak zwierzątko.

– Pójdzie pani tam ze mną? – pytała, zbierając drobiazgi z przedziałowej półki do plecaka. Trema, jaką odczuwała przed wejściem do rodzinnego domu i spotkaniem z matką, rosła z każdą minutą.

– No przecież po to jadę – odparłam i uśmiechnęłam się do niej, chociaż

koncept ten wiązał się ze sprzeczką z Michałem i znacznym nadszarpnięciem i tak już okrojonego domowego budżetu.

– Anita – sprzeciwiał się pomysłowi Michał. – Kończą nam się pieniądze. Taki wyjazd jeszcze bardziej uszczupli nasze zasoby. Nie dość, że trzeba kupić bilet Karolinie, to jeszcze dla ciebie, i to w obie strony. Poza tym nie ma powodu, żebyś tam jechała. Karolina zwiedziła całą Polskę wszerz i wzdłuż bez twojej pomocy. Poradzi sobie, natomiast ty zostawiasz własne dziecko. Zastanów się nad tym.

Nie chciałam się zastanawiać. Jedynym prawdziwym powodem mojego uporu była możliwość zobaczenia Wilka. O tym jednak nie mogłam powiedzieć Michałowi.

Pociąg zatrzymał się na stacji w Gdyni. Tłum zafalował przy wąskich drzwiach wagonów, zanim wylał się na peron. Na chwilę straciłam Karolinę z oczu i w panice rozglądałam się dookoła.

– Tutaj, proszę pani! – zawołała, machając do mnie ręką.

Prócz jej plecaka i mojej torebki nie miałyśmy innych bagaży, więc szybko udało nam się wydostać na zewnątrz dworca. Słońce oślepiało, ale wiatr był porywisty, chyba od morza. Miałam ochotę zostawić tutaj tę dziewczynę i biec na plażę, zatopić stopy w miążkim piasku, poddać się słonej bryzie. Morze widziałam tylko raz, na wycieczce szkolnej. Ale to wystarczyło, by zakochać się w nim bez pamięci.

– Myśli pani, że ona tam będzie? – słowa Karoliny wdarły się w moje myśli.

– Na pewno. Nie martw się – odparłam.

Zapowiedziałam tę wizytę telegramem. Matka Karoliny zareagowała jednym wyrazem: „czekam”, niemożliwe więc, żeby było inaczej. Z pewnością niecierpliwiła się i czuła się równie nieswojo przed tym spotkaniem. W końcu musiały sobie wszystko wyjaśnić.

Dom, do którego wchodziłyśmy po stromych schodkach, różnił się nieco od innych. Miał znacznie większy balkon i rozbudowaną werandę. Ogród jawił się w rozkwicie panoszącej się wiosny. Duże kuchenne okno, osłonięte muślinową firanką, było na oścież otwarte, a z wnętrza dobiegały dźwięki *Pepe wróc*, piosenki Perfektu, okupującej ostatnie listy przebojów. Obiecująco brzmiało szcęknięcie naczyń. Poczulałam głód i przełknęłam ślinę. Karolina spojrzała na mnie pociemniałymi ze zdenerwowania oczami i wpiła się palcami w mój nadgarstek. Pokiwałam głową na znak, że rozumiem, i nacisnęłam brzęczyk dzwonka.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Witaała nas atrakcyjna kobieta około

czterdziestki. Farbowane blond włosy wymykały się spod artystycznie niedbałego koka sterczącego z czubka głowy. Pociągnięte jasnym cieniem powieki komponowały się z niebieskimi, czujnie spoglądającymi oczami. Szczupła sylwetka ukryta w fałdach luźnej sukienki prezentowała się wdzięcznie i zmysłowo. Musiałam przyznać, że Karolina z figurą podlotka traciła w porównaniu ze swoją kwitnąco wyglądającą matką. Przestałam dziwić się Wilkowi, że stracił dla niej głowę.

– Dzień dobry – odezwała się matka Karoliny, wyciągając do mnie rękę. – Czerska. Iwona Czerska – przedstawiła się. – Dziękuję, że pani zechciała...

– Anita Gawęda – przerwałam jej, przesuwając przed siebie Karolinę. – Oto zguba.

– Proszę, niech pani wejdzie do środka, porozmawiamy – rzuciła, biorąc jednocześnie córkę w ramiona. Powitanie wypadło dość chłodno. – Och ty – zwróciła się do niej – jak mogłaś coś takiego mi zrobić?

– Daj spokój, mamó – zachnęła się Karolina, wyrwała z ramion matki i umknęła, jak przypuszczałam, do swojego pokoju.

– Nie zamykaj się, porozmawiamy! – krzyknęła za nią matka, a odwracając się do mnie, pokręciła z rezygnacją głową. – No i widzi pani – westchnęła. – Co można z taką zrobić?

Nie odpowiedziałam, tylko uniosłam do góry ramiona w geście bezradności.

– Zapraszam do salonu – ożywiła się nagle Iwona Czerska i wskazała mi pokój, do którego prowadziło przejście zwieńczone modnym łukiem.

Stary dom w Samotworze, urządzony wprawdzie dość przypadkowo, ale jednak w konkretnym stylu, różnił się od wnętrza willi państwa Czerskich. Tam lekko przetarty plusz lub rysa na drewnie starego kredensu nikomu nie przeszkadzały, meble miały duszę i swoją historię. Tu natomiast pretendowały do antyków, ale były zaledwie ich imitacją. Krzesła chroniły płócienne pokrowce. Na stole leżał obrus ozdobiony haftem richelieu, nie wyobrażałam sobie, by można było zjeść na nim obiad bez stresu, by go nie zaplamić.

Tutaj nie do pomyślenia byłby przerzucony przez oparcie fotela wełniany szal, na wypadek, gdyby komuś zrobiło się chłodno, czy odłożona w przypadkowe miejsce książka. Nawet owoce leżące na posrebrzanej paterze wyglądały jakby ułożone były na pokaz. Wszystko pedantycznie lśniło, lecz nie zachęcało do rozgoszczenia się.

– Niechże pani siada – roześmiała się sztucznie pani Iwona i niby przypadkiem obrzuciła wzrokiem moje buty. Ja też na nie spojrzałam.

– Nie chciałabym... – zaczęłam wymownie.

– Ach, rozumiem! Teraz wszędzie tyle kurzu i piasku, dawno nie padało... Szkoda parkietu, prawda? Podam pani flanelowe łapcie – to mówiąc, skoczyła jak na skrzydłach do przedpokoju, skąd przyniosła małe gustowne ciapy, przeznaczone do naciągania na buty.

– Czy napije się pani kawy? – zapytała uprzejmie gospodyni, już w połowie drogi do kuchni. – A jakiej? – świergotała, zanim zdążyłam odpowiedzieć. – Z mlekiem? A może po turecku?

Nie lubiłam wspominać Aleksandra, niemniej wyniosłam jakąś wiedzę z czasów wspólnego mieszkania z nim.

– Poproszę czarną – rzuciłam z pewnością siebie. – Nie przepadam za kawą z mlekiem.

– Oczywiście! – zawołała, będąc już jedną nogą w kuchni.

Jak się spodziewałam, nie podała napoju w szklankach z metalowym koszyczkiem, a w cieniutkiej porcelanie ozdobionej szlaczkiem białych różyczek. Wystąpiły też kruche ciasteczka w prawdziwej czekoladzie. Kusiły, ale wolałam się nie częstować, żeby nie nakruszyć.

– No, niech pani opowiada – zagaiła pani Iwona i zerknęła dyskretnie na zegarek. Pomyślałam, że śpieszy się do Wilka, do szpitala. – Gdzie pani tę moją córkę znalazła?

– Nie szukałam jej, sama przyszła. Ukryła się w drewnianym pawilonie, który stoi w naszym ogrodzie. Przygarnęłam ją, a potem próbowałam zawiadomić panią, ale nikt nie odbierał telefonu.

– Och, rzeczywiście... Przeważnie mnie tu nie było – rzekła skruszona.

– Tak też pomyślałam, dlatego wysłałam telegram.

– Pomyślała pani? Karolina coś o mnie wspominała?

– Tak, wspominała. Nie tylko o pani.

– No właśnie, nie tylko o mnie – powtórzyła zjadliwie. – Miesza się w nie swoje sprawy i próbuje oceniać, gówniara. Będzie dorosła, to sama zobaczy, że życie nie jest takie proste, jak byśmy chcieli – denerwowała się.

– Czy... Czy ten pan... Pan Konrad wyszedł już ze szpitala? – zapytałam. Wyszło niezręcznie, chociaż siliłam się na obojętny ton.

– Nie wiem – odparła ku mojemu zaskoczeniu. Potem sięgnęła po papierośnicę i wyszła z nią na balkon. Może nie powinnam, ale poszłam za nią.

– Nie wie pani? – powtórzyłam ze zdziwieniem. – Jak to?

– A co pani ma do tego? – zapytała butnie i odwróciła głowę w drugą stronę. – Dlaczego pani tak wypytuje? To moja sprawa – głos jej się załamał przy ostatnim słowie, wierzchem dłoni pośpiesznie otarła łzy. – Pogodziłam się z

mężem – dodała już zwyczajnym, zdecydowanym głosem. – Przestałam tam chodzić. Nie spotykamy się.

– Rozumiem – bąknęłam i podsunęłam jej popielniczkę, bo słupek popiołu niebezpiecznie się wydłużył.

– Dziękuję – szepnęła i strzepnęła popiół tuż obok. Spadł i rozbił się o podłogę. Schyliła się i zaczęła zbierać poślinionym palcem. Na przegubie jej ręki dostrzegłam wytatuowaną małą ćmę, wierną kopię tej, którą Wilk miał na plecach. Kiedy podniosła się, jej twarz była spięta. – Nic pani nie rozumie – powiedziała ze złością i zaciągnęła się nerwowo.

– Ależ rozumiem, zrobiła to pani dla niej, dla Karoliny.

Spojrzała na mnie, jakbym urwała się z choinki.

– Co też pani przyszło do głowy? Nie, nie dla Karoliny. Zrobiłam to, ponieważ nie potrafiłam wyrzec się dotychczasowego życia i tego – zakresliła przestrzeń wokół siebie – co tutaj stworzyłam. Nie umiem żyć w dzisiejszej Polsce, wystawać w kolejkach, żebrać o paczkę herbaty albo o rajstopy. To chore! Dotąd niczego mi nie brakowało. Mąż dobrze o tym wie, więc postawił mi ultimatum. Wbrew pozorom, wybór nie był trudny. Ja nie umiem być biedna, a Konrad, proszę pani, nie zapewniłby mi takiego luksusu.

– A miłość? – zapytałam, patrząc na nią z niedowierzaniem.

– Miłość? Może to zabrzmie śmiesznie, ale w nędzy każda miłość dostaje skrzydeł. Odfruwa. Nie ma nic stałego. – Zgasiła z impetem niedopałek i wróciła do pokoju. – Zje pani z nami obiad? – zapytała, sprzątając filiżanki.

– Nie, dziękuję. Pójdę już. Proszę pożegnać ode mnie Karolinę.

– Pożegnaj – obiecała. – Jeszcze raz dziękuję pani za opiekę nad nią – dodała znacznie serdeczniej. Zauważyłam, że zawsze wtedy, gdy żegnamy niechcianego gościa, robimy się dla niego miłsi.

Zsunęłam z butów flanelowe łapcie i położyłam rękę na kłamce.

– Jak to jest z ćmami? – zapytałam jeszcze, odwracając na chwilę głowę. – Czy zdążą położyć cień, zanim spłoną?

Wprawdzie przyjechałam tu z nadzieją spotkania Wilka, ale ostatecznie zrezygnowałam. Widzieć go pokonanego, okaleczonego, odrzuconego, byłoby kroplą upokorzenia dolaną do oceanu nieszczęść, jakie go spotkały. Z pewnością nie chciałby, żebym go takim widziała.

W zatłoczonym pociągu udało mi się zająć kwadrat przestrzeni, tyle, co pod butami, i kawałek ściany, o którą mogłam się oprzeć. Żelazne cielsko lokomotywy szarpnęło i powiodło wypełnione troskami wagony. A ktoś, widząc je z mostu lub z dróżki przy torach, będzie liczył mamrocząc do siebie:

„szczęście, nieszczęście, paczka, list...”.

– Miałam dziwny sen – powiedziałam, podnosząc się z łóżka.

– Tak? – zapytał Michał, ciągnąc mnie za troczek od koszuli. – A co to był za sen? – W jego głosie nie było ani trochę zainteresowania tym, co miałam do opowiedzenia. – Zostań, dokąd ty idziesz?

– Puść mnie, chcę odsłonić okno – oganiałam się od niego. Michał czasami zachowywał się jak dziecko.

– Wrócisz?

– Wrócę, wrócę – mruknęłam.

Blask słońca zalał pokój, gdy rozsunęłam zasłony. Po niebie wędrowały puszyste obłoczki i wszystko wskazywało na to, że aura tego dnia pozwoli nam na pracę w ogrodzie.

– No więc co takiego ci się przyśniło? – zapytał Michał, usiłując rozpiąć jedyny guziczek broniący dostępu do mojego ciała.

– Ty – odparłam krótko, odsuwając jego rękę.

– No widzisz – westchnął. – Przyjmujesz mnie w snach, ale na jawie, to już nie. Ech, ty... – Nie wyglądało na to, że Michał żartuje. Istotnie, ochłodziło się ostatnio między nami.

– Na jawie też, ale nie teraz. Jeszcze Sonia tu wejdzie... – powiedziałam, naciągając kołdrę pod brodę.

– Trzeba sprowadzić na nowo Walerego. Gdy tu był, Sonia biegła do niego, nie do ciebie.

– Sprowadzić Walerego. Nic prostszego, prawda? – zauważyłam cierpko. – Och, nawet nie wiem, gdzie go szukać. Obawiam się, że go zamknęli. Któregoś dnia pojedę do Wrocławia, przy okazji odwiedzę Florkę, może ona coś wie.

– Po co chcesz tam jechać? – zapytał z niezadowoleniem. Nie lubił, gdy wyjeżdżałam nawet na kilka godzin.

– Muszę wstąpić do pasmanterii, żeby kupić zamki błyskawiczne.

– No nie wiem – rzekł gniewnie. – Nie mamy na to pieniędzy.

– Nie mamy? – zdziwiłam się. – Barnaba i reszta nie zapłacili za pracownię?

– Zapłacili. Ale nie sposób utrzymać trzyosobowej rodziny jedynie z tych opłat. Ty nie pracujesz, a...

– Michał, bądź sprawiedliwy – przerwałam mu ze złością. – Sprzeciwiałeś się, gdy chciałam pojechać do Wrocławia w poszukiwaniu pracy. Poza tym, jak widzę, ty też nie pracujesz – zauważyłam z pretensją.

– Tak, zgadza się. Nie pracuję. Ale to dlatego, że nie mam za co kupić materiałów. Pieniądze za dzbanki poszły na twoje podróże do Gdyni i z

powrotem.

– Nie przesadzaj, Michał. Bilety nie kosztowały aż tak dużo – oburzyłam się.
– Chcesz obarczyć mnie winą za własną nieudolność – chlapięłam, zanim ugryzłam się w język.

Michał milczał. Zraniłam go, a teraz nie potrafiłam cofnąć, bezmyślnie rzuconych słów.

– Bilety nie kosztowały dużo – odezwał się spokojnie po długiej chwili. – Ale ty kupiłaś jeszcze dwa obrusy na stół, chociaż mamy ich całą szufladę, i komplet kieliszków, których wcale nie potrzebujemy.

– Bo akurat rzucili. Wszyscy brali – tłumaczyłam się.

– Szkoda, że nie pomyślałaś o tym, że dopiero zaczął się nowy miesiąc – burknął. – Przed nami opłaty za prąd, gaz i wodę. O jedzeniu nie wspomnę. A te zamki błyskawiczne? Co to za nowy wymysł?

– Żaden wymysł. Zamki są mi potrzebne. Powiem ci do czego, jak mi się uda coś zrealizować.

– Aha. A jeśli się nie uda, kolejne pieniądze w błoto.

– Michał, nie podcinaj mi skrzydeł, dobrze?

– Dobrze. Dobrze, oczywiście. Możesz eksperymentować, ale miej świadomość, że teraz nawet jagody nie rosną w lesie, więc nie wiem, co będziemy jedli.

Spojrzałam na niego i pokręciłam z niedowierzaniem głową.

– Ależ ty jesteś złośliwy – stwierdziłam, po czym wygrzebałam się spod kołdry i zaczęłam się ubierać.

– Mamusiu, ktoś puka! – zawołała przejęta Sonia, biegnąc z głośnym tupaniem po schodach.

– Już schodzę – powiedziałam i wsunęłam stopy w kaptcie. Spodziewałam się kogoś z artystów, więc nie przejmowałam się specjalnie swoim wyglądem. Oni zwykle wyglądali jeszcze gorzej.

Regina, która stała w progu, w prawej ręce ścisnęła z całej siły ramię wyrwijącego się Pawełka, lewą trzymała na barana młodszego synka, Piotrusia, który gapił się teraz na mnie i stroił głupie miny. Zza ramienia mojej siostry wystawała ostrzyżona na jeża ruda czupryna, spod której spoglądały na mnie bystre oczy, ukryte za szklami okrągłych okularów w cienkiej pozłacanej oprawce. Właścicielka rudej głowy miała drobną, ale typowo męską sylwetkę, a twarz nerwową i ruchliwą jak jaszczurka. Ubrana była w prostą, białą koszulę, zapiętą pod samą szyję, czarną marynarkę przewiesiła zaś przez ramię. Regina przy niej wyglądała jak czołg. Tak się też zachowywała, gdy napierała całym

ciałem na chłopców, chcąc przepchnąć ich przez drzwi, których mężnie broniłam.

– Wpuści nas pani? – zapytała ruda zaskakująco niskim głosem, niepasującym do jej postury. Zapatrzyłam na jej zacięte w poziomą kreskę usta, niezachęcające do uśmiechu ani gościnności.

– Możemy wejść? – dopominała się tym razem Regina i pchnęła chłopców tak, że chcąc nie chcąc, staranowali drzwi i znaleźli się w przedpokoju. Regina wpadła tam zaraz za nimi. Ruda sięgała mi najwyżej do ramienia, ale zadarła głowę i nie spuszczała ze mnie oka, gdy mijała mnie w przejściu.

– O co chodzi? – wydusiłam wreszcie pytanie, gdy zdobyły szturmem salon.

– Cóż – zaczęła Regina, zerkając na towarzyszkę, która ściągnęła z nosa okulary i zaczęła przecierać je ręką koszuli. – Nie będę owijać w bawełnę. Chcę cię prosić, żebyś zaopiekowała się przez kilka dni moimi chłopcami.

Ruda włożyła z powrotem okulary i pokiwała głową.

– Dlaczego? Stało się coś? – zapytałam, przerażona samą wizją przebywania z dwójką diabłat z piekła rodem.

Ruda znów zsunęła okulary. Wyglądało na to, że ten gest powiązany jest z każdym zdaniem, które wypowiada lub słyszy.

– Mamy mały problem – wyszczyła przez zęby niskim głosem. – Musi się pani zająć, nie ma innej rady.

Obrzuciłam ją niechętnym wzrokiem i oburzona zwróciłam się do Reginy:

– Kto to jest? Mogłabyś przedstawić mi osobę, która usiłuje dyrygować moim życiem.

– Nie całym życiem, zaledwie tygodniem – wysiliła się na dowcip ruda. – Otylia Mareczek – przedstawiła się i natychmiast nasadziła na nos okulary. Spoglądałam na jej twarz, zastanawiając się, który człon nazwy należałoby uznać za imię. W jej przypadku nie było to takie oczywiste. – Mamy problem – powtórzyła.

– Regina jest chora? Albo Leon? Pani jest jakimś lekarzem? – zadawałam kolejne pytania, bo tylko takie problemy przychodziły mi do głowy.

– Nie – odpowiedziała hurtem na wszystkie. – Ale pani jest siostrą, trzeba pomóc – dodała twardo, zbijając mnie z tropu.

– Za tydzień ich zabiorę – rzuciła Regina, po czym odwróciła się na pięcie, trąciła w bok Otylię Mareczek i jednym susem znalazła się na ganku. Ta wyskoczyła za nią, zdejmując dla odmiany okulary. Wróciła jednak i wyciągnęła do mnie dłoń na pożegnanie. Zawahałam się, podając swoją. Miałam nieodparte wrażenie, że zechce ją pocałować.

Niemal biegly do samochodu zaparkowanego przed furtką. Otylia otworzyła bagażnik małego fiata i wystawiła z niego pękata walizkę wprost na ścieżkę. Następnie usiadła za kierownicą i nim zdążyłam zareagować, samochód zniknął na drodze wśród drzew.

– A niech to! – zaklęłam głośno, chociaż nie było już przy mnie nikogo.

Wściekła na siebie, że uległam paskudnej manipulacji, szarpnęłam walizę i zatargałam ją do domu.

W salonie zastałam Michała w towarzystwie całej trójki dzieci. Usiłowałam dopytać chłopców, co robią w naszym domu, ale gdyby nie Sonia, nie dowiedziałaby się nawet tego, kim są.

– Anito? – zawołał, gdy stanęłam w drzwiach. – Możemy porozmawiać?

– Och, Michał – odezwałam się skruszona. – Nawet nie wiem, jak ci o tym powiedzieć.

– Zwyczajnie. Chociaż może nie przy dzieciach – dodał, słysząc ton mojego głosu, i zwrócił się do małej: – Soniu, zabierz, proszę, chłopców do ogrodu.

– Chodźcie, pokażę wam takie białe robale, a potem dół po grobie – obiecała tajemniczo, zmrużywszy oczy, i natychmiast stała się bohaterką w oczach swoich kuzynów.

Ja tymczasem opowiedziałam Michałowi przebieg rozmowy z siostrą i Otylią Mareczek. Próbowaliśmy wspólnie rozwikłać tę sprawę, lecz nie doszliśmy do żadnych konkluzji. Nie mieliśmy pojęcia, co mogło skłonić Reginę do tak nagłego wyjazdu. Jedno było pewne: dzieci nie były niczemu winne i należała im się opieka.

Otwierając kolejne kuchenne szafki, zastanawiałam się, czym przy tak mizernych zasobach nakarmię powiększoną nieoczekiwanie rodzinę. Znalazłam paczkę makaronu i tym musiałam się zadowolić. Liczyłam na to, że w najtrudniejszych chwilach wesprze nas Barnaba, niechby nawet i kapustą.

Po południu zamknęłam się w pokoju, który wygospodarowałam ze zbędnej, drugiej na piętrze, garderoby. To było jedyne miejsce, gdzie nikt mi nie przeszkadzał. Poza tym były tu dwa okna wychodzące na dwie strony ogrodu, miałam więc dzieci na oku.

W tym pokoju od pewnego czasu realizowałam swój plan, o którym na razie nie mówiłam Michałowi. Zdarzało mu się krytykować moje pomysły, a to nie motywowało do działania.

Wykorzystując nabyte od pani Stefanii umiejętności, kończyłam właśnie dziergać na drutach komplet składający się z kapy na łóżko i dwóch poduszek. Wszystko było już gotowe, brakowało tylko zamków błyskawicznych do

zapięcia poduszek. Jeśli jednak ich nie było, postanowiłam wszyć guziczki i zrobić ozdobne pętelki. Komplet ten wykonałam na zamówienie spotkanej przypadkiem nauczycielki szkoły wieczorowej. Pochwaliłam się tą umiejętnością, dzięki czemu mogłam teraz cieszyć się nieoczekiwanym zarobkiem.

Pracowałam pilnie, zerkając co pewien czas na bawiące się dzieci. Gdy nastąpiła podejrzana cisza, zbiegłam na dół. Moje podejrzenia okazały się słuszne. Nie było ich w ogrodzie. Nie panikowałam, byłam przekonana, że za chwilę je znajdę. Mogły być w pawilonie, albo w dużej pracowni, jeśli któryś z artystów jeszcze tam coś tworzył. Zajrzałam w jedno i drugie miejsce, ale tam również ich nie zastałam.

– Sonia! – zawołałam, wychodząc ponownie na ganek. Odpowiedziała mi cisza. – Sonia! Paweł! Do domu! – zawołałam głośniejszym głosem, po czym wróciłam do środka i zrobiłam obchód wszystkich pomieszczeń. Nigdzie ich nie było.

– Michał, nie wiesz, gdzie są dzieci? – zapytałam z rosnącym niepokojem.

– Bawiły się przecież w ogrodzie. Jeszcze niedawno słyszałam ich krzyki.

– Obawiam się, że wyszły bez pozwolenia za furtkę, poszły w las i nie wiedzą, jak trafić z powrotem.

Wyszliśmy, nie zamykając drzwi na klucz. Dzieci powinny być gdzieś w tej okolicy, nie mogły przecież odejść w tak krótkim czasie zbyt daleko. Ciemność zadomowiła się między drzewami, dając równą szansę mnie i Michałowi.

– Sonia! – zawołałam, zwijając dłonie w trąbkę. – Hop, hop! Sonia! Paweł! – krzyczałam, obchodząc ogrodzenie dookoła.

– Tutaj jesteśmy, mamusiu! – usłyszałam nagle cienki głosik mojej córki.

– Gdzie? – rozglądałam się dokoła. – Gdzie wy jesteście?

– W grobie – odparła radośnie mała.

– W grobie? – powtórzyłam i z wrażenia oparłam się o ramię Michała, który ledwie powstrzymywał się od śmiechu.

– Przestań się śmiać – ofuknęłam go. – Dzieci pomyślą, że to jest zabawne.

– A nie jest?

Zostawiłam go i pobiegłam pod forsycje. W dole kłębiła się cała trójka.

– Co to za głupia zabawa! – denerwowałam się. Dlaczego nie odzywaliście się, kiedy was wołałam? – strofowałam głównie Sonię i Pawła, bo Piotruś niewiele z tego wszystkiego jeszcze rozumiał.

– Nie mogliśmy się odzywać, bo byliśmy trupami – odparł rezolutnie Paweł, a Sonia zachichotała jak czarownica, aż mnie ciarki przeszły.

– Maszerujcie do domu – rozkazałam. – I od razu do łazienki, bo brudasom

kolacji nie dam.

Byłam tak rozgniewana, że nawet Pawełek stulił uszy po sobie, a przestraszona Sonia zaczęła mrugać rzęsami, jak zwykle, gdy zamierzała się rozpląkać. W przedpokoju, gdy chłopcy pobiegli do łazienki, zarzuciła mi na szyję uwalane ziemną rączki i wyszeptowała:

– Mamusiu, nie gniewaj się. Przepraszam cię stąd do nieba.

– Można przeproszać stąd do nieba? – zauważyłam sceptycznie, choć już mnie prawie udobruchała swoimi lepкими całusami.

– A widzisz moje przeproszenie? Takie do nieba?

– No widzę – uśmiechnęłam się z przymusem.

– No widzisz – zaszczębiotała radośnie.

– Anka, pamiętasz Pedra? – zapytała Florka, spoglądając na mnie ponuro z za zarzuconego niedopałkami i pustymi butelkami stołu. Widziałam, jak trzęsą się jej ręce.

– Pamiętam – odparłam. Byłam przerażona stanem Florki, jej wyglądem, tym, co działo się wokół niej.

– Pamiętasz, jak pił? – zapytała znowu, sięgając po do połowy opróżnioną butelkę taniego wina. Przechyliła ją, upiła kilka łyków i zawiesiła w palcach między kolanami.

– Pamiętam, Florka.

– Ja piję teraz tyle, co on wtedy, więc go rozumiem. A ty musisz zrozumieć mnie.

– Florka, nie chcę tego rozumieć, chcę ci pomóc.

– Po co?

– Chcę, żebyś zaczęła normalnie żyć.

– Normalnie żyć – powtórzyła, śmiejąc się gorzko. – Co to znaczy: normalnie? To my wybieramy dla siebie normalność. Jeżeli ktoś poddaje się obcym wyborom, traci wolność. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Mówisz o Walerym?

– Mówię o sobie. Walery się nie poddał, jego wolność została zgwałcona, odebrana siłą, on nie miał żadnego wyboru.

– Wiesz, co z nim?

– Tyle, co powiedział mi Krzywy. Podobno siedzi w Łowiczu. Podobno go nie katowali. Nic więcej nie wiem.

– Florka, stan wojenny się skończy, wypuszczą go, pobierzecie się. Nie pij, nie marnuj się.

– Zjeżdżaj, Anka. Nie chce mi się ciebie słuchać. Nienawidzę takiego

gadania. Nigdy nie jest tak, jak sobie zaplanujemy. Nasza data ślubu dawno minęła. Walery siedzi, a ja piję. Nic z tego nie będzie.

– Uciekasz od marzeń, Florka. A powinnaś układać życie w marzeniach, jeśli na razie nie możesz robić tego w rzeczywistości. Nadzieja nie jest matką głupich, jak to mówią niektórzy. Jest matką skrzywdzonych, poczekalnią do czegoś lepszego. Jest przywoływaniem dobrych myśli.

– Nie uciekam od żadnych marzeń, tylko od świadomości. Jest mi łatwiej, kiedy o niczym nie wiem. Wtedy nie tracę energii na myślenie, jak to zmienić. Niepotrzebnie tu przysłaś, nic po twoim gadaniu. Idź już. Zostaw mnie z moją przyjaciółką. – Przyssała się do butelki i wypła jej zawartość prawie do końca.

Podniosłam się z westchnieniem i opuściłam Kwadrat. Nie potrafiłam wpłynąć na Florkę, ona wolała przemilczeć całe zło, utopić je w tanim winie.

Myślenie o Walerym też nie pomagało. Trzeba było czekać na jakiś koniec. Koniec, jakikolwiek był, rozwiązywał wszystko i pozwalał dalej żyć.

W pokoju nauczycielskim przekazałam zamówione narzuty i poduszki. Niespodziewanie otrzymałam dwa kolejne zamówienia od innych pań. Nic dziwnego, na rynku nie można było niczego nabyć, kwitł więc handel dziełami ludzkich rąk. Ucieszyłam się, że na najbliższe tygodnie mam zapewnioną pracę. Pieniądze przekazałam Barnabie z prośbą o zakupienie dla Michała gliny rzeźbiarskiej.

Regina przyjechała w piątkowe popołudnie. Nie roztkliwiała się szczególnie nad dziećmi i nie rozplęwała się w podziękowaniach za opiekę. Widziałam, że jej myśli krążą zupełnie gdzie indziej. Nie próbowałam nawet o to pytać. Sonia rozstała się z chłopcami z żalem, ja z ulgą. Jeszcze tego samego dnia zasiadłam do nowego wyzwania, Michał zaś przy pomocy Soni przygotowywał w swojej pracowni miejsce na świeży towar. Powiało optymizmem.

Kolejny tydzień spędziliśmy bardzo pracowicie. Po śniadaniu pracowaliśmy w ogrodzie, usuwając niepotrzebne krzaki, które zarastały każdy skrawek wolnego miejsca. Ignac z Barnabą pomogli Michałowi w zbiciu kilku ławek z grubego drewna. Ustawiliśmy je w miejscu po wyciętych badylach. W ogrodzie przejaśniało i znalazło się miejsce do wypoczynku. Wreszcie zaczęło docierać tu słońce. Na strychu znalazłam bujany fotel i wiklinowy stolik. Ustawiłam je na tarasie. W donicach przyniesionych z pawilonu posadziłam wykopane w lesie wrzosi. Nasz ogród nabierał charakteru i z przyjemnością spędzaliśmy w nim czas. Żałowałam tylko, że Michał nie może tego wszystkiego zobaczyć.

Popołudniami zabieraliśmy się do pracy zarobkowej. Michał tworzył nowe naczynia z gliny, ja dziergałam włóczkowe pledy. Pierwszy raz od

niepamiętnych czasów poczułam się spokojnie i bezpiecznie. Nie zauważyłam, kiedy minął maj.

Na początku czerwca odwiedził nas oficer śledczy z wiadomością, że wykopane pod forsycją szczątki nie mogły należeć do dziecka Oksany, ponieważ badania wykazały, że pochowano je jakieś dwa miesiące wcześniej, to znaczy, zanim dziecko Oksany przyszło na świat. Należało więc rozwiązać dwie zagadki. Czyje to szczątki i gdzie jest dziecko Oksany. Oznaczało to, że funkcjonariusze będą nam się tu kręcić do czasu ich wyjaśnienia. Kiedy próbowałam rozmawiać o tym z Michałem, ten tylko wzruszał ramionami.

– Nie rozumiem, czym się zajmujesz. To nie nasza sprawa, przecież nic o tym nie wiemy. Pewnie miał rację, ja jednak pragnęłam spokoju.

Koniec czerwca przyniósł mi dyplom Studium Nauczycielskiego. Mogłam więc zacząć poszukiwanie pracy. Jednak wciąż coś mi w tym przeszkadzało.

Dzień był upalny i duszny. W powietrzu wisiała burza i nawet Sonia chodziła zmęczona i rozdrażniona. Marudziła, że nie ma Ignaca, za którym przepadała, choć doskonale wiedziała, że podczas wakacji żaden z artystów nie będzie korzystał z pracowni. Przyznam, że mnie też ich brakowało. Nie tylko dlatego, że miesiące wakacyjne pozbawiały nas zarobku, ale również w tym czasie musiałam niemal codziennie pokonywać długą drogę do sklepu znajdującego się we wsi. Zwykle zakupy załatwiał dla nas Barnaba.

Michał otworzył wszystkie okna w swojej pracowni, ale i tak nie był w stanie usiedzieć nad kołem garncarskim. Poprosiłam, by zajął się Sonią, a sama udałam się po pieczywo. Musiałam się śpieszyć, bo po południu chleba najczęściej brakowało. Szłam leśną drogą, co chwilę zerkając na niebo pokrywane się coraz ciemniejszą warstwą chmur. W duchu zaklinałam niebiosa, żeby wstrzymały się z ulewą do mojego powrotu. Niestety, pierwsze pomruki burzy usłyszałam, gdy docierałam do sklepu. Jak zwykle o tej porze tłum klientów zajmował całą powierzchnię niewielkiego sklepu. Ludzie pośpiesznie pakowali skromne sprawunki i czym prędzej umykali do domu, by zdążyć przed zbliżającym się żywiołem. Obserwowałam z trwogą skłębione chmury i drzewa tańczące ze wzmagającym się wiatrem.

Nagle dostrzegłam starą Anielę, odchodziła właśnie od lady. Zauważyła mnie i zatrzymała się z wahaniem.

– Pani Gawęda – mruknęła. – Pani tu sama?

– Sama – przyznałam, a w serce wstąpiła nadzieja, że może zaprosi mnie do swojego domu, bym przeczekala nadciągającą nawałnicę.

– Burza idzie – stwierdziła, zerkając w kierunku otwartych drzwi sklepu.

- Słyszę – potwierdziłam i zawiesiłam głos w oczekiwaniu.
- Sklepowa zamknie zaraz, jak tylko chleb sprzeda – ostrzegła złowieszczo.
- Wiem. Będę musiała poczekać na przystanku.
- Tak, na przystanku – rzekła, kiwając głową i odwróciła się natychmiast do kobiety, która pociągnęła ją za rękaw.
- Chodź, mamó, bo zaraz będzie lało – powiedziała, jednocześnie obrzucając mnie wzrokiem.
- Już idę. A gdzie Małgosia? – zapytała, rozglądając się wokół.
- Czeka na dworze – odparła kobieta. – To ona? – usłyszałam jeszcze, gdy odchodziły.
- Ona – burknęła Aniela.

Gruchnęło gdzieś w pobliżu, aż zadrżała ziemia. Deszczu jeszcze nie było, ale wichura tarłosiła drzewami, sypała kurzem w oczy. Po omacku dotarłam do wiaty przystanku, wcisnęłam się w jej najgłębszy kąt. Bałam się, jak zawsze, gdy burza przechodziła tuż obok. Kolejna błyskawica oślepiła mnie, zacisnęłam powieki i w napięciu czekałam na grzmot. Raz, dwa, trzy... Zagrzmiało, zaraz potem oberwała się chmura. Podjechał autobus. Nie miałam powodu jechać do Wrocławia, ale tutaj też nie chciałam zostać. Wsiadłam i poczułam się bezpieczniej. Ulewa uniemożliwiała normalną jazdę. Kierowca miał już swoje lata, pewnie dlatego prowadził ostrożnie, bardzo powoli. Byłam jedynym pasażerem. Usiadłam z przodu, obserwując strugi deszczu, spływające po przedniej szybie. Wycieraczki pracowały jak szalone. Deszcz zmienił się w grad, tłukł w dach, bębniąc jak na werblach. Autobus podskakiwał na wybojach, błoto chlustało spod kół. Nagle kierowca nacisnął zmienacka gaz, pojazd szarpnął i ruszył jak wściekły do przodu. Omal nie spadłam z krzeselka, więc gotowa do awantury, spojrzałam na kierowcę. Spojrzałam i struchlałam. Mężczyzna osunął się na swoim fotelu bez przytomności. Oparta o pedał gazu stopa robiła swoje. Zerwałam się z miejsca, jednym kopnięciem zrzuciłam nogę kierowcy z gazu i łapiąc odruchowo kierownicę, usiłowałam wyprostować skręcający niebezpiecznie autobus. Nigdy nie prowadziłam samochodu i nie miałam pojęcia, co powinnam dalej robić. Szukałam nogą odpowiedniego pedału, który zatrzymałby pojazd. Wiedziałam tylko, którego nie powinnam naciskać pod żadnym pozorem, żeby znów nie dodać gazu. Nadepnęłam coś, co znów szarpnęło wozem i zatrzymało go gwałtownie. Poleciałam do przodu, łapiąc po drodze wszystko, co miałam pod ręką, czyli przede wszystkim ramię i głowę kierowcy, a i tak uderzyłam czołem w przednią szybę. Upadłam, ale dopięłam swego, silnik zgasł, a kierowca się ocknął. Autobus stał niebezpiecznie

pochylony nad przydrożnym rowem.

– O Jezu – jęknęłam, zbierając się z podłogi. – Co się stało?

Przed oczami miałam mroczki, ale zdołałam dostrzec półprzytomną twarz kierowcy, który obiema dłońmi pocierał kark, sięgał po butelkę z wodą, pił łąpczywie. Potem burknął coś, jednak przez bębniący w dach autobusu grad nic nie usłyszałam. Przysiadłam na brzeżku najbliższego siedzenia i próbowałam uspokoić dygoczące kolana. Kierowca widocznie doszedł do siebie, bo spojrzał na zegarek, zapuścił silnik i ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie zatrzymywał się na żadnym przystanku, chociaż na niektórych czekali pasażerowie, nie zapytał też mnie, gdzie chciałabym wysiąść. Zawiózł mnie do zajezdni, nic nie mówiąc, skinął na mnie głową i mimo padającego deszczu wysiedliśmy z wozu. Szłam za nim, przypuszczalnie do biura.

Dyspozytor wstał na nasz widok i obrzucił mnie wrogim spojrzeniem. Pewnie spodziewał się z mojej strony pretensji dotyczących komunikacji. Ku jego zdziwieniu, odezwał się kierowca, i to ostro.

– Żądam urlopu, natychmiast! Gdyby nie ta młoda kobieta, skończyłbym na drzewie albo w rowie, na pewno w trumnie. Niech sama powie – mówił podniesionym głosem, jednocześnie przesuwając mnie przed siebie. – No, niech pani opowie – dodał, zwracając się do mnie.

– Kierowca podczas jazdy stracił przytomność. Musiałam mu pomóc – powiedziałam, ujmując rzecz skromnie, chociaż do tej pory nie mogłam dojść do siebie.

– Najmocniej panią przepraszam i bardzo dziękuję za reakcję – zaczął dyspozytor, składając się w ukłonach, niczym scyzoryk. – Pogoda dzisiaj duszna, zasłabł człowiek. Ja też nie najlepiej się czuję – dodał na usprawiedliwienie.

– Pogoda nie ma nic do tego! Nie pamiętam, kiedy miałem urlop, a wiesz, że moja żona... Poza tym za dużo godzin dajesz. Z jednego dyżuru nie zszedłem, a ty już mi wcisnęłaś nową trasę.

– Nie ma ludzi, kto ma pracować? – usprawiedliwiał się dyspozytor. – Zarobisz sobie, nie narzekaj.

– Mam gdzieś ten zarobek. Zdrowie dla mnie ważniejsze. A że ludzi nie ma? Pewnie, że nie ma, bo połowa siedzi za „Solidarność”.

– Cóż zrobić, Walduś, takie czasy – westchnął dyspozytor i otarł pot z czoła. – Wracaj na trasę, do dwudziestej drugiej jesteś, nie?

– Nie – odparł kierowca. – Idę do domu. – Złapał mnie za łokieć i wyprowadził z dyspozytorni.

Szliśmy obok siebie w milczeniu. Ulewa zmieniła się w drobny deszczyk, ale po dusznym przedpołudniu przyjemnie było poczuć orzeźwiający chłód na twarzy. Kierowca zatrzymał się nagle i wyciągnął do mnie rękę.

– Chciałem podziękować pani. Gdyby nie pani, na pewno przeniósłbym się dzisiaj do nieba. A w domu chora żona. Co ona by beze mnie zrobiła?

– Proszę nie dziękować – powiedziałam. – Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo. Może nawet lepiej niż ja – uśmiechnęłam się na wspomnienie karkołomnej próby zatrzymania autobusu.

– Niechże mi pani zrobi przyjemność – poprosił nagle. – Chodźmy do kawiarni. Człowiek życie przeżyje, a nie zazna żadnych przyjemności. Zjemy dobry krem albo lody. A niech tam! Pójdzie pani ze mną? W ramach podziękowania zapraszam.

– Pójdę! – zgodziłam się z entuzjazmem i złapałam go pod rękę, jak dobrego znajomego.

Zawędrowaliśmy aż do Ratuszowej. Przy tej pogodzie konsumentów było jak na lekarstwo, a kelnerki niemrawe. Usiedliśmy potulnie i czekaliśmy, aż któraś zdecyduje się podejść. Z kelnerkami należało się liczyć, bo od ich humoru zależała świeżość potraw i wielkość porcji – tak przynajmniej twierdził towarzyszący mi pan Walduś. Zamówił dla mnie krem i kawę, a dla siebie dwie setki wódki, które wypił natychmiast, jedną po drugiej, i zaraz poprosił kelnerkę o jeszcze. Powąchał mój krem i skrzywił się nieznacznie.

– Niezbyt świeży, ale bałem się, że w ogóle nie będzie. A do kawy mam cukier.

Dyskretnie wydobyl z kieszeni marynarki mały słoiczek po musztardzie i hojnie wysypał do mojej szklanki dwie czubate łyżeczki.

– Teraz, proszę pani, to nawet kartki są na kartki – pokiwał smutno głową. Istotnie, od marca każdy nosił w dowodzie osobistym wkładkę, na której odnotowywano blankiety reglamentacyjne. – Moja żona taka chora, czasem mówi, żebym jej sera białego kupił albo tłustego mleka, a tu figa z makiem. Nie ma! I żal ściska, bo kto wie, ile jej jeszcze życia zostało, a ona nawet sera sobie nie zje. Już ja bym tego, kto tam na górze rządzi... Ech! – uderzył ręką w stół, aż zabrzączały łyżeczki, i zamilkł, zaciskając usta. Kelnerka przyniosła dwie kolejne setki i zabrała puste kieliszki.

Pokiwałam smutno głową i zanurzyłam łyżeczkę w kremie.

– Jak masz męża, to go kochaj – powiedział ze złością, nachylając do mnie twarz. – Jak ci na imię? Wioletka? Beatka?

– Anita.

– Anita. Kochaj swojego męża, bo kiedy będzie stygł, a ty będziesz mu co dzień nosiła tacę z jedzeniem i szłochała, bo on niczego nie tknie, kiedy będziesz kładła się obok, a on i ciebie nie tknie, będzie już za późno. A wiesz, co to znaczy kochać?

– Chyba wiem.

– Chyba... – uśmiechnął się gorzko. – Ja wiem, jak to jest cierpieć czyimś cierpieniem. Jak nie móc już udawać, a wciąż jeszcze udawać, bo tak trzeba, rozumiesz?

– Rozumiem.

– To dobrze, bo musisz rozumieć, że wszystko, co z kimś przeżyjesz, powinno być właśnie tak. Z nikim innym, nigdzie indziej i w żadnym innym czasie. Gdy to zrozumiesz i się z tym zgodzisz, możesz uznać, że byłaś szczęśliwa. Ja zrozumiałem to teraz. Wiem, że późno, ale zrozumiałem i kocham żonę jak wtedy, gdy przed ołtarzem trzymałem ją za rękę.

Michał czekał na ganku, zatroskany i zaniepokojony. Widziałam go już z drogi, gdy biegłam, potykając się o długie mokre trawy.

Obym nigdy nie musiała niczego udawać – myślałam, zbliżając się do niego. Mijałam młode sosny, z kroplami zatrzymanego na gałązkach deszczu, prześwietlone słońcem listki białej brzozy, a nad domem widziałam zaróżowione zachodem niebo.

– Michał, kocham cię – szepnęłam, tuląc się do niego. – Na świecie jest tak pięknie, a ja chcę zachwycać się przy tobie, chcę ci o tym wszystkim opowiedzieć.

Zmartwienia wyłażą nocą. Wypełzają z zakurzonych kątów i skradają się powoli, osaczając bezsenne myśli. Mnożą się, roją na poduszce, wciskają pod powieki, przeradzają się w lęki. Rankiem zamieniają się w pytania, twierdzenia i wnioski, którymi obarcza się bliźnich i strząsa z ramion choćby ich część. Tego dnia wstałam podenerwowana, zalękniona brakiem stabilizacji i niepewności. Bałam się o nasz dom, którego posiadanie wciąż nie było dla mnie sytuacją jasną i klarowną, narastała we mnie podejrzliwość wobec siostry, której nie potrafiłam zaufać, po głowie krążyła mi nie wiadomo dlaczego Oksana, nagle ożywiona, powracająca, zamartwiałam się nieustannym brakiem pieniędzy. Jakaś niewidzialna siła zaczęła pchać mnie do działania, popychała na ślepo, byle do przodu.

– Michał, muszę pojechać do Wrocławia. Za moment zacznie się rok szkolny, a ja nie znalazłam jeszcze pracy – odezwałam się, wrzucając do połowy obrany ziemniak z powrotem do koszyka.

– Dobrze, kochanie – zgodził się spokojnie Michał. – Kiedy chcesz jechać?

– Teraz, natychmiast.

– Teraz? – zdziwił się tak nieoczekiwaną decyzją.

– Tak, nie mogę dłużej czekać. Dzisiaj jest ostatni dzień sierpnia. To i tak za późno, obawiam się, że nic już nie znajdę.

– Jeśli ma być praca, będzie i ostatniego sierpnia, nie martw się. Jeżeli chcesz, pojedę z tobą. Sonia też ucieszy się z wycieczki.

Ponieważ zanosilo się na dłuższy pobyt we Wrocławiu, przygotowałam kanapki i butelkę z herbatą. Wyjechaliśmy dość późno, obawiałam się, że nie zdążę odwiedzić zbyt wielu szkół. Odprawiłam Michała na Wzgórze Partyzantów, koło którego właśnie przechodziliśmy, sama zaś powędrowałam dalej. W czterech szkołach spotkałam się z natychmiastową odmową, ponieważ nie było wolnych etatów, w kolejnej oczekiwano nauczyciela wychowania fizycznego, a w następnej geografa. Około czternastej opadły mi ręce. Wyrzucałam sobie, że nie zajęłam się tym wcześniej. Dotarłam do ulicy Legnickiej, a stamtąd na jedną z bocznych ulic, gdzie znalazłam kolejną placówkę. I tutaj miałam szczęście. Dyrektorka była zasadnicza i niezbyt

przyjemna, ale bardzo chętnie przyjęła mnie do pracy w świetlicy szkolnej. Nie wybrzydzałam. Na skrzydłach frunęłam do tramwaju, by jak najszybciej dotrzeć tam, gdzie zostawiłam Sonię z Michałem. Chciałam podzielić się z nimi radosną wiadomością. Zostałam ich na schodkach, tuż nad fosą, gdzie Sonia karmiła kaczki naszymi kanapkami.

– Michał, uważaj! – wołałam z daleka. – Uważaj, Sonia stoi nad samą wodą!

– Nic jej nie będzie – uspokajał mnie. – Przecież ma oczy, widzi, gdzie kończą się schody.

– Soniu, jak mogłaś wrzucić do wody nasze kanapki – strofowałam małą. – Co teraz będziemy jeść?

Mała milczała, patrząc na mnie ze skruchą.

– Nie zamartwiaj się tak wszystkim – upomniał mnie Michał. – Pójdziemy do baru na naleśniki – zdecydował. – A ty powiedz, jak poszło.

Opowiadałam z ożywieniem o spotkaniu z dyrektorką. Kiedy doszłam do dokumentów, które powinnam wypełnić, zorientowałam się, że ze szczęścia zostawiłam je na jej biurku.

– Michał, muszę tam wrócić. Zapomniałam teczki z dokumentami.

– No więc jedźmy tam – powiedział.

Tramwaj był przepełniony, a ludzie dziwnie niespokojni. Ten i ów przebąkiwał o jakichś zamieszkach. Początkowo nie zwracałam na to uwagi, potem sama zaczęłam obserwować przez okno ulice, na których panował dziwny ruch. Wysiedliśmy przy Legnickiej. Jedną ręką trzymałam Sonię, drugą zaś wsunęłam pod ramię Michała, żeby go prowadzić. Po przejściu kilkudziesięciu metrów przeraziłam się.

– Michał, tu coś się dzieje – powiedziałam półgłosem, żeby Sonia nie słyszała. – Mnóstwo ludzi, pełno zomowców i milicji. Nie możemy tędy iść.

– Nie ma innej drogi? – zapytał, a Sonia zaczęła cicho pochlipywać.

– Nie wiem, rozejrzę się. Nie bój się, Soniu – zwróciłam się do dziecka. – Zaraz stąd wyjdziemy. Chciałam się wycofać, ale z drugiej strony nadciągały milicyjne posiłki.auta wjeżdżały w tłum, rozpraszając go. Ludzie budowali barykady, zza których poleciały kamienie. Sonia zaczęła płakać już na dobre. Nie wiedziała, co się dzieje i była przerażona. Michał zatrzymał się bezradny, zdając się całkowicie na mnie. Świadomość, że wszystko teraz jest na mojej głowie, blokowała racjonalne myślenie. Staliśmy w pewnej odległości, lecz tłum rozprzestrzenił się, parł w naszą stronę. Ludzie, których wciąż przybywało, byli jak w amoku. Biegali we wszystkich kierunkach, potracali się wzajemnie. Oddziały milicyjne spychały demonstrantów w coraz dalsze rejony miasta.

Nagle tuż obok nas posypały się butelki z benzyną. Ktoś z opancerzonego transportera otworzył ogień, co jeszcze bardziej rozjuszyło demonstrantów. Jeden z gazików stanął w płomieniach, przestraszona załoga w okamgnieniu z niego wyskoczyła i zaczęła się wycofywać. Ukryłam Sonię za plecami i gwałtownie szarpnęłam Michała do tyłu. Zdążyłam na czas, bo w tym momencie płonący nieopodał samochód eksplodował. Ciągnęłam z całej siły z jednej strony Sonię, z drugiej Michała, powtarzając sobie w duchu, że muszę być silna. Nagle Michał skulił się i z jękiem chwycił za kolano.

– Jezus, Maria, Michał, co ci się stało? – zapytałam w panice, pochylając się nad nim. Sonia darła się wniebogłosy, przytupując nogami.

Dostrzegłam, że jeden z zomowców strzela pociskami po krawężnikach, Michał musiał oberwać rykoszetem. Tłum nacierał, a on nie mógł się ruszyć.

– Ratunku! – zawołałam w obawie, że nas stratuja. – Niech mi ktoś pomoże!

Jakieś ręce chwyciły Michała pod pachy i dźwignęły do góry. Ktoś włókł go w kierunku pobliskiego wieżowca. Biegłyśmy za nimi z Sonią, uważając, by nie stracić z oczu Michała. Okazało się, że tam, na ostatnim piętrze udzielano pomocy rannym. Wszystko było zorganizowane. Michał został opatrzony przez chudą, czarnowłosą kobietę, dostał przeciwbólową tabletkę i natychmiast musiał ustąpić miejsca następnemu poszkodowanemu pacjentowi. Na szczęście po pewnym czasie doszedł do siebie na tyle, że mógł poruszać nogą. Kiedy wyszliśmy z windy, udało nam się uciec z największego kotła.

Uciekaliśmy, ale w tej chwili nigdzie nie było już spokojnie. W wielu miejscach ruch uliczny został wstrzymany. Demonstranci wykrzykiwali antykomunistyczne hasła i śpiewali patriotyczne pieśni. Widziałam, jak zatrzymanych bito pałkami i kolbami karabinów. Milicja strzelała, Sonia histeryzowała i płakała, a Michał czuł się zagubiony. Było jak w piekle. Przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, unikając takich, gdzie było najgoręcej. Robiło się coraz później, ale demonstracje rosły w siłę. Zmęczeni, przerażeni i głodni, z trudem dobrnęliśmy na Dworzec Świebodzki. Obawiałam się o nasz powrót do domu, na szczęście był autobus.

Jak cudownie było wysiąść w spokojnym Samotworze, iść drogą i nie słyszeć niczego prócz wieczornego ptasiego koncertu i delikatnego szumu przydrożnych traw. Jak czule witało się dom, oazę spokoju i bezpieczeństwa. Z jaką miłością tuliło się najbliższe sercu istoty, o które jeszcze niedawno tak bardzo się drżało.

Nazajutrz pojechałam do nowej szkoły. Tego dnia Wrocław był spokojny, a ulice zasypały uroczyste stroje rozpoczynających nowy rok szkolny uczniów. Dyrektorka przywitała mnie uprzejmie i przedstawiła rozkład zajęć na pozostałe

dni tygodnia. Stałam w udekorowanej auli, zastanawiając się, co przyniesie ten nowy etap w życiu.

Do domu wracałam pełna zapału, gotowa na nowe wyzwania.

Teraz będzie już tylko lepiej – myślałam.

– Anito – zaczepił mnie Michał, gdy wybierałam się po Sonię do ogrodu. – Być może cię zmartwię, ale był tu dziś Ignac z Majką.

– Dlaczego miałyby mnie to martwić? – zdziwiłam się. – Najwyższy czas, żeby wrócili do pracowni.

– Otóż oni nie będą już z niej korzystać. Barnaba i Alicja również nie.

– Nie? Dlaczego? – pytałam zawiedziona. Ich rezygnacja wiązała się ze znacznym uszczupleniem naszego domowego budżetu.

– Majka skończyła pisać pracę i przenosi się do Krakowa. Barnaba i Ignac znaleźli coś na miejscu, a Alicja nie chce przyjeżdżać tu sama.

– A twoje prace? Kto będzie je woził do Kalmiaka?

– Nie wiem. Zastanawiam się, czy nie zorganizować tego inaczej. Powiem ci o tym wieczorem, jak już Sonia pójdzie spać, a ty będziesz miała spokojną głowę.

– Czy ja kiedykolwiek będę miała spokojną głowę? – zapytałam z powątpiewaniem.

– Na pewno, kochanie – odparł Michał. – Bardzo w to wierzę.

Tego dnia jednak nie było mi dane zaznać spokoju. Tuż po obiedzie przed furtką znów zatrzymał się radiowóz. Prócz milicjantów wysiadła z niego Aniela. Zaintrygowana wyszłam na ganek. Funkcjonariusz śledczy zasalutował.

– Wizja lokalna – mruknął.

Aniela była roztrzęsiona, gdy podchodziła do miejsca pod forsycją.

– Tutaj zakopałam – powiedziała i spojrzała na milicjanta tak, jakby teraz dopiero dotarło do niej całe zło, jakiego się dopuściła.

– Twierdzi obywatelka, że córka urodziła martwe dziecko?

– Nie martwe. Żywe przywiozła ze szpitala. Szwagier ją przywiózł, bo mąż Krystynki, znaczy mojej córki, w więzieniu wtedy za włamanie siedział. Pół roku mu jeszcze zostało.

– Trzymajcie się tematu – upomniał ją śledczy.

– Potworek, panie... To był potworek, nie dziecko. No, ale jak po pijaku zmajstrowali... Córka bała się mężowi takie coś pokazać. Wtedy zgadała się z Oksaną.

– Co znaczy, zgadała się z Oksaną?

– A bo Oksana, panie zawsze fiu-bździu miała w głowie. A tu nagle ciąża.

Ona tego dzieciaka nie chciała, nieraz do mnie mówiła. Powiedziałam o tym Krystynce i wówczas ona wpadła na ten pomysł. Panie, ja niewinna jestem, pochowałam tylko...

– Jaki pomysł? – dociekał śledczy.

– No, że Oksana zostawi swoje dziecko Krystynce, a tamto...

– Co tamto?

– Panie, ja nie wiem! Pochowałam tylko. A co biedna Krystynka miała zrobić? Bała się męża, toć by ją zabił, jakby takiego dzieciaka zobaczył. Teraz ma zdrowe i nawet nie wie, że Małgosia nie jego. Po co było kopać w ziemi? – zwróciła się z płaczem do mnie.

– Boże – jęknęłam przerażona.

– Czyli obywatelka potwierdza, że wychowuje dziecko obywatelki Oksany Modlewskiej, a własną wnuczkę udusiła poduszką i pogrzebała w tym miejscu.

– Ja nie udusiłam, tylko pogrzebałam, panie... – skamlała Aniela. – Nic więcej nie wiem.

Nie chciałam więcej słuchać. Uciekłam do domu i zatrzęsłam się w swoim pokoju. To, co usłyszałam, było przerażające. Musiałam dojść do siebie, zanim opowiedziałam o tym wszystkim Michałowi.

– To mi wyglądało na jakieś nieczyste sprawy – skwitował. – Patologia i tyle. Szkoda tylko tej Małgosi, bo co z nią będzie, jak one trafią do więzienia?

– Michał, przygarnijmy ją – powiedziałam, patrząc na niego w napięciu.

– Co ci chodzi po głowie, kochanie? – zdziwił się i machnął ręką. – Sonia nam wystarczy, poza tym... – wyciągnął do mnie obie ręce i przyciągnął mnie do siebie. – Poza tym chciałbym mieć własne.

– Michał, Małgosia jest jedyną dziedziczką Oksany – dokończyłam.

Wrzesień minął spokojnie. Zapisałam Sonię do przedszkola i odtąd każdego ranka wyruszałyśmy leśną drogą do autobusu, by po południu Michał mógł witać nas obiadem. Posiłki nie były wyszukane, ale i tak podziwiałam go, że tak dobrze radzi sobie w kuchni. Poza tym pracował przy kole garncarskim. Towar nadal odbierał od niego Barnaba. O pomyśle, który zakiełkował Michałowi w głowie, wciąż nie mieliśmy okazji porozmawiać. Wydawałoby się, że nasze życie zaczęło się stabilizować, wciąż jednak miałam poczucie zagrożenia. A wszystko przez córkę Oksany.

Ostatecznie nasz spokój zburzyło jedno niedzielne przedpołudnie na początku października. To był wyjątkowo piękny dzień. Lekki wietrzyk strącał przeświecione jesiennym słońcem złote liście, wiecznie zielone sosny gubiły szyszki, z których Sonia układała na ścieżce przedziwne ornamenty. Michał

krzątał się po kuchni, a ja nakrywałam do stołu przed obiadem. Szeroko otwarte okno pozwalało na ostatni przed słotami oddech rześkim, jesiennym powietrzem.

– Wołaj małą na obiad – polecił Michał. – Wszystko już gotowe.

Sonię znalazłam za pawilonem. Ciągała na sznurku drewnianą kaczkę z urwanymi skrzydłami.

– Wytrzymaj porządnie buty – upomniałam ją, zanim weszła na ganek. Odwróciła się do mnie przodem i jak to się już zdarzało, nagle zastygła w bezruchu, spoglądając gdzieś poza mnie.

– Soniu, tylko nie zaczynaj znowu – ostrzegłam ją. Bałam się tych jej dziwnych wizji, gdy nieoczekiwanie dostrzegała postaci rodzące się w jej wyobraźni. – Nie ma tam żadnej dziewczynki, słyszysz?

– Słyszę, mamusiu – odparła spokojnie. – Nie ma dziewczynki, tylko pani – dodała zwyczajnie, bez emocji. Obejrzałam się odruchowo.

Ścieżką sunęła do nas wysoka i szczupła kobieta. Jej bladą twarz zdobiły namalowane rumieńce, jak u ruskiej lalki. Uśmiechała się tajemniczo, wodząc majestatycznym wzrokiem po jesiennym ogrodzie, jak jakaś hrabina.

– Boże – szepnęłam i złapałam się za serce. – To Oksana... Oksana Modlewska.

Dopiero teraz dostrzegłam przed furtką małego fiata i stojące przy nim Reginę oraz drobną Otylię Mareczek.

Mijając mnie, Oksana skinęła wyniośle głową, położyła dłoń w śliwkowej rękawiczce na włoskach zdumionej Soni i z gracją przekroczyła próg domu. Otylia, biegnąc za nią ścieżką, zdejmowała i wkładała nerwowo okulary. Tuż za nią drobnym kroczkiem podążała Regina. Zamknęłam ten korowód, popychając przed sobą dziecko przez drzwi domu. Oksana wsunęła swoją dostojną postać do salonu, przeciągnęła po drodze dłonią w rękawiczce po stole i obejrzała ją gruntownie, szukając kurzu. Zasiadając na sofie, wycelowała we mnie wskazujący palec.

– Dziewczyna tu pilnowała, jak prosiłam? – zapytała, przesywając mnie na wskroś przenikliwym wzrokiem.

Kątem oka widziałam, jak Regina uśmiecha się głupkowato. Nie chciałam dać jej tej przyjemności.

– Niczego nie pilnowałam, droga pani. Po prostu mieszkałam. Cieszę się, że widzę panią w dobrym zdrowiu – powiedziałam, z trudem kryjąc zaskoczenie.

– Miało nie być życia, ale odratowali – rzekła i machnęła ręką. – Są tacy, którzy twierdzą, że nie ma też zdrowia – mruknęła z przekąsem. – Dziewczyna

wie, co mam na myśli – to mówiąc, zakręciła na czole sugestywne kółko. Uniosłam do góry brwi, bo nie umiałam się do tego faktu odnieść. – Dzięki tej, tam... widzi dziewczyna? – wskazała na Otylię, a ja kiwnęłam głową – dzięki niej jestem tutaj.

Otylia skłoniła lekko głową, uśmiechnęła się samymi kącikami ust i włożyła okulary.

– Wróciłam do swojego domu – wyrecytowała Oksana jak wyuczoną lekcję i zerknęła na Reginę. Ta z aprobatą przymknęła na moment oczy i pokiwała głową.

– Co? – oburzył się Michał, którego sprowadziła Sonia. – Do tego domu?

Oksana znów spojrzała na Reginę, która ponownie skinęła głową.

– Tak – potwierdziła. – Wróciłam do domu. Do mojego domu – podkreśliła.

– W takim razie będziesz musiała się z nami podzielić – prychnął Michał.

– W żadnym wypadku – zaprotestowała Otylia, wyciągając z torebki jakieś papiery. – Proszę spojrzeć. – Podsunęła dokumenty pod mój nos. – Tu nie ma nic do dzielenia. Zajmujecie bezprawnie dom mojej klientki. Pani Oksana wróciła do domu i będzie przebywała pod opieką rodziny, która się nią zajmie. – Otylia Mareczek wsunęła na nos okulary i wskazała ruchem głowy Reginę.

– Moja siostra? – nie wytrzymałam. – No tak, to było do przewidzenia – dodałam. – Teraz rozumiem, że poszukiwała Oksany, gdy zostawiła mi pod opieką dzieci. I pewnie wykopałaby ją z grobu, gdyby ta miała nieszczęście tam się znaleźć.

– A pani to kto? – zwrócił się z pytaniem do Otylii Michał.

– Jestem adwokatem pani Modlewskiej – Otylia Mareczek otaksowała go za okularów, następnie je zdjęła i dodała: – Pani Modlewska wynajęła mnie, bym pilnowała jej interesów. Wszędzie bowiem plenią się oszuści.

– Oksana wzięła sobie adwokata? – zdziwił się Michał. – Z pewnością również ze względu na dziecko, które zaginęło gdzieś w dziwnych okolicznościach.

Twarcz Oksany stężała, a ręce w śliwkowych rękawiczkach powędrowały do gardła, na którym się zacisnęły.

– Sza! – zawołała histerycznie i wywróciła oczami. – Sza! Sza! Nikt o tym nie wie! Sza!

Regina, która stała dotąd jak posąg, podbiegła do zaczerwienionej Oksany, wyjęła buteleczkę z lekarstwem i podała ją z wprawą. Widać było, że robiła to nie pierwszy raz. Ta wychyliła solidny łyk, oparła się plecami o sofę i zaczęła ciężko oddychać.

– Niechże pan przestanie – rzuciła pogardliwie Otylia Mareczek. – Ta sprawa została już wyjaśniona. Opiekunka mojej klientki przygotowuje się do adopcji dziecka. Niech pana o to głowa nie boli. Dostaje pan tydzień – Otylia zerknęła na Reginę, a ta znów skinęła głową. – Tak, tydzień na wyprowadzenie stąd swojej rodziny. Myślę, że wszystko jasne. Teraz się z państwem pożegnamy.

– Zaraz – rzuciłam, zbliżając się do Reginy. – Nigdzie nie zamierzam się stąd ruszać. Oksana powierzyła mi opiekę nad domem. Mam list, w którym mnie o to prosiła. Poza tym, nie rozumiem, dlaczego ty mi to robisz. Za każdym razem, gdy coś mi się udaje, ty to burzysz. Dlaczego?

– Ten list możesz sobie wsadzić! – zaśmiała się z pogardą. – Oksana jest teraz pod moją opieką. Niebawem jej córka również. Nawet jeśli im coś się stanie, dom przejdzie w moje ręce. I niczego ci nie odbieram, prócz tego, co mi się należy.

Zamilkła i przez chwilę spoglądała na mnie z nienawiścią.

– Bo ty miałaś się nigdy nie narodzić – syknęła. Kiedy matka przywiozła cię ze szpitala, odebrałaś mi wszystko. – Najpierw ją. Miałam wtedy dziesięć lat i pamiętam, że nie pozwalali mi się do niej zbliżyć, bo słaba. Ale ciebie w zębach do niej nosili. Widziałam przez szparę w drzwiach, jak cię tuliła, a ty wysysałaś z niej ostatnie soki. Ojciec latał od jednej do drugiej, babcia roztkliwiała się nad tobą, a ja siedziałam w kącie, bo nikt o mnie nie pamiętał. Potem już zawsze ty byłaś najważniejsza. Wszystko dla ciebie! Żałuję, że nie udało mi się...

Regina zająknęła się i potoczyła po wszystkich zakłopotanym spojrzeniem.

– Czego ci się nie udało? No powiedz – zachęcałam lodowato.

– Niczego – odparła i uśmiechnęła się pod nosem do swoich myśli.

– Mam nadzieję, że osiągnie cię sprawiedliwość – mruknęłam.

Potem długo płakałam w ramionach Michała.

– Wszystko jest po coś – szeptał, gładząc mnie po plecach wstrząsanych szlochem, którego nie byłam w stanie już hamować. – Nie płacz, kochanie, widocznie to nie jest nasze miejsce.

– Nie, oczywiście, że to nie nasze miejsce. Ostatnio nic innego nie robię, tylko szukam jakiegoś miejsca.

– Znajdziemy, zobaczysz – pocieszał dla samego pocieszenia, bo byłam przekonana, że nie ma żadnego pomysłu.

– Skąd w tobie tyle optymizmu, Michał? Ty znajdziesz? Ty? – zapytałam gorzko i od razu wiedziałam, że przesadziłam.

– Zdumiewające, jak doskonale udaje ci się mnie ranić – zareagował ostro, odsuwając mnie od siebie. – Nie musiałaś wychodzić za mnie. Uprzedzałem cię.

Z ogrodu dobiegł płacz Soni. Wybiegłam, by zobaczyć, co się stało. Leżała na ścieżce, na jej kolanie pojawiła się krwawa plama.

– Nie płacz, Soniu. Zaraz opatrzę ci ranę i przestaniesz boleć – mówiłam czule, zastanawiając się jednocześnie, czy Michałowa rana równie szybko się zagoi.

– Przepraszam, Michał – powiedziałam po powrocie. – Zapędziłam się. Niczego nie żałuję, dobrze mi z tobą. Jestem tylko przerażona, ponieważ nic nie mamy, dachu nad głową ani pieniędzy. I na nic dobrego się nie zanosi, a moja siostra...

– Jesteś taka nierówna, Anito. Nigdy nie jestem cię pewien – zauważył. – A siostrę zostaw. Zobaczysz, zamiast błyszczeć, spłonie.

– Jak ćma? – zapytałam, siąkając nosem.

– Tak, kochanie. Jak ćma.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

– Zrobię herbatę, chcesz? Podumamy, co dalej.

Idąc do kuchni, przelotnie pogładził mnie po włosach. Lecz wcale nie zrobiło mi się od tego raźniej. Do głowy przyszedł mi Kwadrat, pani Stefania, nawet Aleksander. Żadna z opcji nie była dobra. Wynajęcie pokoju we Wrocławiu również nie wchodziło w grę. Było kosztowne, poza tym Michał potrzebował pracowni.

– Anita! – zawołał nagle z kuchni Michał, a ja poderwałam się z krzesła, wyobrażając sobie kipiący czajnik i lejący się wszędzie wrzątek.

– Zostaw, już idę – krzyczałam, pędząc na złamanie karku.

– Ja teraz właśnie... Anita, słuchaj! Nie wiem, jak to przyjmiesz, ale właśnie sporo zrozumiałem. Bo, jak mówiłem, wszystko, co się dzieje, jest po coś. A my mamy dom, kochanie. Czeka na nas.

– Jaki znowu dom? Michał...

– W Kozinkach.

– Michał, na miłość boską... Mówiłeś, że to rudera.

– Tak, mówiłem. Wiem. Ale moje życie też było rudera, zanim cię poznałem.

W serii podniebnych znaczków pojawił się wielki wóz, jechał przez chwilę obok nas, widziałam go z okien pociągu. Sonia drzemała, opierając o bagaż stopy w zielonych skarpetkach. Z kieszonek wysypywały się zbierane w pośpiechu żołędzie. W Samotworze udało nam się dotrzeć do końca października, akurat tyle, by odebrać wypłatę ze szkoły. Michał sterczał przy oknie w korytarzu, chociaż miejsce w przedziale było wolne, i układał coś w swojej głowie. Potrzebował widocznie spokoju, a dobrze wiedział, ile mam do powiedzenia. Bo mnie roznosiły emocje. Skrajne. Bo czyż nie jest tak, że

wszystko jest nam wypożyczone? Na własność dostaniemy tylko śmierć. Zaraz potem ogarniała mnie euforia, niczym nieuwarunkowana, ponieważ nie wiedziałam zupełnie, co nas czeka w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. W tych jakichś Kozinkach. Ostatnie dni w starym domu spędzałam udając, że nic mnie już nie przeraża. Nie chciałam okazywać słabości przed Michałem, tym bardziej przed Sonią, która w dziecięcej niefrasobliwości cieszyła się ze zmiany miejsca. Tymczasem kroiłam łzami kamienne oblicze Matyldy, bo tylko jej mogłam zwierzyć się z podpełzających zwątpień i lęku przed niewiadomym. Żegnały nas dostojne sosny, rozplomienione liśćmi klony, wrzaskliwa czerwień jarzębiny. Wszędobyłskie jesienne rozedrganie poddawało się naturze, strząsało kolory, stygło.

Każdy kolejny krok zagłuszał to, co już oswojone.

c.d.n.